

**BERNARD MINIER**

# **NIE GAŚ ŚWIATŁA**

*N'éteins pas la lumière*

Przełożyła

Monika Szewc-Osiecka



*Mary Read*

# **UWERTURA**

## PUSZCZA BIAŁOWIESKA W POBLIŻU GRANICY POLSKO-BIAŁORUSKIEJ

Szedł przez środek lasu. Wokół niego szalała zamieć. Z zimna szczękał zębami. Na brwiach i rzęsach osadzały mu się kryształki lodu; śnieg jak skorupa oblepiał jego narciarską kurtkę i wilgotną wełnianą czapkę. Nawet Rex z trudem posuwał się naprzód, z każdym susem zapadając się w śnieżnej pierzynie. Zwierzę regularnie poszczekiwało, najwyraźniej chcąc poinformować właściciela o swojej dezaprobach dla takiego stanu rzeczy. Szczekanie powracało do nich echem. Od czasu do czasu pies przystawał, by się otrzepać, jakby wyszedł z wody. Z jego płowo-czarnej sierści unosiła się wtedy w powietrze chmura śnieżnego pyłu i lodowych igiełek. Smukłe, umięśnione łapy zostawiały głębokie ślady na białym całunie, a brzuch - jak plastikowe sanki - żłobił w jego powierzchni płytką rynnę.

Zaczynało się ściemniać. Zerwał się wiatr. Gdzie ona jest? Gdzie szalas? Mężczyzna zatrzymał się i wyrównał oddech. Sapał. Z jego płuc dobywało się charczące dyszenie, plecy pod bluzą i grubą kurtką były mokre od potu. Miał wrażenie, że las zachowuje się jak żywy organizm: szmer poruszanych wiatrem ciężkich od śniegu gałęzi, suchy trzask kory pękającej pod wpływem mrozu, świst zamieci, który chwilami brutalnie wzbierał w jego uszach, krystaliczny szept pobliskiego strumyka nie całkiem jeszcze skutego lodem. Cholera, ale mróz! Nigdy w życiu nie było mu tak zimno.

W szarzejącym zmierzchu, przez zasłonę płatków śniegu bombardujących jego oczy, dostrzegł przed sobą jakiś przedmiot.

Błysk metalu, dwa zębate koła... Sidła... Między stalowymi szczękami tkwił czarny kształt.

Przez chwilę odczuwał jakiś niejasny niepokój. To, co się tam znajdowało, nie przypominało żadnego żywego stworzenia. Było pogryzione, poszarpane, rozczłonkowane. Śnieg wokół pułapki był poplamiony lepłą krwią. Obok leżały małe kości i różowe wnętrzości pokryte cienką warstwą szronu.

Kiedy wpatrywał się w pułapkę, w powietrzu rozległo się wycie, które przeszło jego uszy niczym zardzewiałe ostrze. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek słyszał podobny dźwięk: tak bardzo przepelniony trwogą, bólem, nieludzkim cierpieniem. Zresztą żaden człowiek nie mógłby wydać z siebie takiego krzyku. Odgłos dochodził z głębi lasu na wprost przed nim. Niedaleko. Gdy krzyk po raz drugi rozdarł wieczorną ciszę, krew ścięła mu się w żyłach, a całe ciało w jednej chwili pokryło się gęsią skórą. Wreszcie dźwięk ucichł, uniesiony północnym wiatrem.

Na chwilę znowu wszystko ucichło. A potem, jakby echo pierwszego krzyku, rozległy

się kolejne - dalsze, bardziej stonowane: z prawej strony, z lewej, z całej zalanej mrokiem puszczy. Wilki... Jego ciałem od stóp do głów wstrząsnął dreszcz. Z rozpaczliwą determinacją, jeszcze energiczniej podnosząc kolana, mężczyzna znowu ruszył w drogę, kierując się tam, skąd usłyszał wołanie. Wreszcie zobaczył szałas. Jego ciemna, zwarta sylwetka wznosiła się na końcu naturalnej alei między szpalerami drzew. Ostatnie metry oblodzonej ścieżki przebył prawie biegiem. Rex jakby coś wyczuł, ponieważ z ujadaniem rzucił się do przodu.

- Rex, czekaj! Rex, do nogi! Rex!

Owczarek niemiecki wśliznął się już jednak do środka przez uchylone drzwi, unieruchomione w tej pozycji wysoką śnieżną zaspą. Na polanie panował zdumiewający spokój. W leśnych ostępach rozległo się głośnie wycie. Po chwili niczym koncert zawtórowały mu gardłowe nawoływania, odpowiadające sobie nawzajem. Coraz bliżej. Mężczyzna niezdarnie przekroczył zaspę i wszedł do szałasu. Powitał go ciepły jak roztopione masło blask lampy sztormowej oświetlającej wnętrze.

Odwrócił głowę. Zamarł. Poczucił, jak jego mózg przeszywa lodowata igła.

Zamknął oczy i ponownie je otworzył.

Niemożliwe. To się nie dzieje naprawdę. Ja po prostu śpię. To musi być sen.

Tym, na co patrzył, była Marianne. Leżała naga na stole pośrodku szałasu. Jej ciało musiało być jeszcze ciepłe, gdyż dosłownie dymiło w mroźnym powietrzu. Pomyślał, że Hirtmann nie mógł odejść daleko. Przez chwilę czuł pokusę, by rzucić się za nim w pościg. Wtedy wszystkie jego kończyny zaczęły drżeć. Znajdował się na progu mrocznej otchłani - utraty przytomności albo obłądzenia. O mało nie zemdleł. Zrobił krok. Potem następny. Zmusił się do patrzenia. Jej tułów był rozcięty od wgłębienia u nasady szyi aż do pachwiny. Najwyraźniej zrobiono to na żywo, gdyż kobieta bardzo krwawiła. Krew ubarwiła czerwienią resztę ciała i wylała się grubą warstwą na drewniany stół i surowe deski podłogi. Ona także jeszcze parowała. Następnie kat musiał rozsunąć skórę na klatce piersiowej i sięgnąć w głąb ciała. Narządy wewnętrzne wydawały się nietknięte, brakowało tylko jednego... Serca. Hirtmann ułożył je delikatnie na łonie Marianne. I odszedł. Serce było cieplejsze niż cała reszta, Servaz widział unoszącą się w lodowatym powietrzu białą parę. Ku własnemu zdziwieniu nie czuł mdłości ani obrzydzenia. Coś tu nie grało. Powinien zwymiotować przed tym stołem. Rozplakać się. Wyc. Ogarnęło go dziwne otępienie. Nagle Rex zawarczał i odsłonił kły. Mężczyzna odwrócił się do psa. Owczarek patrzył przez uchylone drzwi. Miał najeżoną sierść. Jego postawa wyrażała groźbę i przerażenie.

Servaz poczuł, że zmienia się w sopel lodu.

Podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Były tam. Na polanie. Otaczały szafas. Policzył. Osiem wilków. Chudych i wygłodzonych.

Marianne...

Powinien zabrać ją do samochodu. Pomyślał o broni, którą zostawił w schowku. Rex wciąż warczał. Odgadł strach i napięcie psa. Pogłaskał go po łbie. Wyczuł drżenie mięśni pod futrem.

- Dobry pies - odezwał się ze ściśniętym gardłem, kucając i obejmując go ramionami.

Zwierzę spojrzało na niego złotymi oczami z taką łagodnością, że mężczyzna poczuł napływające łzy. Pies szybko dyszał, raz po raz przywierając do niego unoszącym się bokiem. Servaz wiedział, że istnieje tylko jedna szansa, by wyjść z tego cało. Była to najsmutniejsza i najtrudniejsza rzecz, jaką miał kiedykolwiek zrobić.

Odwrócił się do stołu, podniósł serce Marianne i umieścił je z powrotem w jej klatce piersiowej. Przełknął ślinę, zamknął oczy i wziął na ręce nagie, krwawiące ciało. Było lżejsze, niż przypuszczał.

- Idziemy, Rex! - powiedział zdecydowanym głosem i skierował się ku drzwiom.

Pies szczeknął chrapliwie na znak sprzeciwu, jednak ruszył za panem, warcząc, ze spuszczonej oczami, podkulonym zadem i ogonem wciśniętym między łapy.

Wilki czekały, stojąc w półokręgu.

Ich żółte ślepią płonęły z podniecenia. Sierść na całym ciele Rexa była zjeżona. Pies znowu odsłonił zęby. Wilki odpowiedziały głośnym warczeniem, otwierając pyski i marszcząc wargi, pod którymi widać było przerażające kły. Rex zaszczekał na watahę. Jeden przeciwko ośmiu. Domowy pies przeciwko dzikim drapieżnikom. Nie miał najmniejszych szans.

- Rex, naprzód! - zawołał jednak właściciel. - Naprzód! Bierz go!

Po policzkach mężczyzny płynęły łzy, jego dolna warga drżała, a wszystko w środku krzyczało: Nie, nie idź tam! Nie rób tego, nie słuchaj mnie! Pies szczeknął kilka razy, ale nie ruszył się z miejsca. Został nauczony posłuszeństwa, ale ta komenda za bardzo godziła w jego instynkt przetrwania.

- Bierz go, Rex! Bierz go!

Rozkaz pochodził jednak od jego pana, jego ukochanego pana, którego żadna żywa istota nie darzyła tak wielką miłością, wiernością i szacunkiem jak on.

- Bierz go, do cholery!

Pies wyczuł gniew w głosie właściciela. I coś jeszcze. Chciał mu pomóc. Udowodnić

swoje przywiązanie i lojalność. Mimo strachu.

Zaatakował.

Na początku prawie był górą, gdy jeden z wilków - niewątpliwie przewodnik watahy - rzucił się na niego, a on zrobił zręczny unik i chwycił napastnika za gardło. Wilk zawył z bólu. Pozostałe zwierzęta cofnęły się ostrożnie o krok. Pies i wilk splotły się w walce. Rex stał się na powrót dzikim, okrutnym i krwiożerczym stworzeniem.

Mężczyzna nie mógł czekać dłużej.

Odwrócił się i ruszył naprzód. Zwierzęta nie zwracały na niego uwagi. Na razie. Z Marianne w ramionach szedł naturalną aleją między drzewami. Krew wsiąkała w jego grubą kurtkę, a po twarzy ciekły mu łzy. Z tyłu usłyszał przepełnione bólem skomlenie psa i zdwojone warczenie sfory. Krew ścięła mu się w żyłach. Rex znowu zaskomlał. Ostry dźwięk, pełen cierpienia i trwogi. Pies wzywał go na pomoc. Mężczyzna zacisnął zęby i przyśpieszył. Jeszcze trzysta metrów...

Ostatni krzyk pośród wietrznej nocy.

Potem nastąpiła cisza i Servaz zrozumiał, że Rex jest martwy. Zastanawiał się, czy wilki zadowolą się tym zwycięstwem, czy też ruszą w pościg za nim. Odpowiedź nadeszła bardzo szybko. Za jego plecami rozległo się szczekanie. W samym środku zamieci. Przynajmniej część wilków wróciła do polowania. Tym razem łupem miał być on.

Samochód.

Stał zaparkowany na drodze, w odległości mniej niż stu metrów. Karoserię zaczynała już przykrywać warstwa śniegu. Jeszcze przyśpieszył, podcięty strachem jak biczem. Czuł ogień w płucach. Warczenie dochodziło tuż zza jego pleców. Odwrócił głowę. Wilki go dogoniły. Cztery z ośmiu... Zwierzęta wpatrywały się w niego, mroząc go spojrzeniem żółtych ślepiów o bladym odcieniu bursztynu. Nigdy nie dotrze do samochodu. Za daleko. Zwłoki Marianne spoczywające w jego ramionach były coraz cięższe.

Ona nie żyje. Nie możesz dla niej nic zrobić. Ale jeszcze możesz ocalić siebie...

Nie! Jego mózg sprzeciwiał się temu pomysłowi. Przecież poświęcił już psa. Przciskał do tułowia ciepłe ciało. Czuł, że jego kurtka nasiąka krwią. Podniósł oczy ku niebu. Płatki śniegu spadały na jego twarz jak gwiazdy, jakby niebo waliło mu się na głowę, jakby cały kosmos rzucił się na niego, zamierzając go pochłonać. Wydał z siebie okrzyk wściekłości i rozpacz. Najwyraźniej jednak na wilkach nie zrobiło to wrażenia. Wygłodniałe zwierzęta niejedno już słyszały, wiedziały, że nie mają się czego obawiać ze strony tej samotnej zdobyczy. Ich nozdrza wyczuwały jej strach, nade wszystko zaś docierała do nich woń krwi płynącej z drugiej ofiary. Dwie uczyły w jednej. Były zbyt głodne. Zbyt podekscytowane.

Ruszyły do przodu.

Wynocha! Spieprzajcie! Won stąd, kanalie! Zastanawiał się, czy rzeczywiście wołał, czy jest to tylko krzyk jego umysłu.

Uciekaj! Już! Nic już dla niej nie zrobisz! Uciekaj!

Tym razem posłuchał wewnętrznego głosu. Puścił nogi Marianne. Jej stopy opadły na śnieg. Zanurzył dłoń w jej klatce piersiowej. Palce w rękawiczce chwyciły jeszcze ciepłe, zwarte i sprężyste serce. Wyjęły je z otwartej rany. Wsunęły pod jego grubą kurtkę, składając na piersi, przy samym sercu. Poczuł, że bluza przesiąka krwią. Opuścił zwłoki na śnieg. Blade, nagie ciało cicho zapadło się w białym całunie. Servaz powoli cofnął się o trzy kroki. Wilki natychmiast się na nią rzuciły, a wtedy on się odwrócił i zaczął uciekać. Dobiegł do samochodu. Auto było otwarte, ale przez chwilę wydawało mu się, że drzwi przymarzły. Zakrwawionymi palcami z całej siły szarpnął klamkę. Gdy nagle skrzypnęły i otworzyły się, o mało się nie przewrócił. Opadł na siedzenie kierowcy. Jego dłoń w lepkiej, czerwonej rękawiczce tak bardzo się trzęsła, że kiedy wyjmował kluczyki, omal nie upuścił ich między fotele. Rzucił okiem we wsteczne lustro. Nagle uświadomił sobie, że z tyłu ktoś siedzi. Domyślił się, że właśnie popada w obłąd. Nie, to niemożliwe! Kobieta jednak otworzyła usta.

- Martin - odezwała się błagalnym tonem.

\*

- Martin! Martin!

Zadrżał. Otworzył oczy.

Siedział bezwładnie w starym fotelu z wygniecionej skóry. Rex lizał jego prawą dłoń, która zwisała z podłokietnika.

- Uciekaj mi stąd. - Jakiś głos odezwał się do psa. - Idź pozaczepiać kogo innego. Martin, wszystko w porządku?

Rex odszedł, merdając ogonem, w poszukiwaniu nowego kompana do zabawy. Nie brakowało ich w tym miejscu. Rex należał do wszystkich i do nikogo, był tu prawdziwym gospodarzem. Servaz otrząsnął się jak pies z jego snu. Spojrzał na ekran telewizora. Wyświetlano program o francuskich badaniach kosmicznych. Rozpoznał ogromny globus z Cité de l'Espace we wschodniej części Tuluzy, na którym nocą widać kontury kontynentów obwiedzione niebieską poświatą. Potem zobaczył budynki Instytutu Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej, leżące od strony Jolimont, na innym zboczach wzgórza górującego nad centrum miasta.

Oprócz Servaza i Élise w salonie nie było nikogo. Mężczyzna uświadomił sobie, że zasnął przed telewizorem, pokonany przez panujące w budynku ciepło. Trwało leniwe

popołudnie tej ciągnącej się w nieskończoność zimy. Odwrócił wzrok w stronę okna, za którym przez cały ranek widać było biały krajobraz zalany słońcem. Na kilka cudownych godzin - pomiędzy zapachem kawy unoszącym się w korytarzach, śmiechami pracowników, dużą, przystrojoną choinką i olśniewającą bielą na zewnątrz - odnalazł część swojej dziecięcej duszy.

Potem, niedługo po lunchu we wspólnej sali, słońce skryło się za chmurami, zerwał się zimny wiatr, nagie gałęzie drzew za oknem zaczęły się poruszać i temperatura na zewnętrznym termometrze gwałtownie spadła z plus pięciu do minus jednego stopnia. Właśnie wtedy policjant posepnie zapadł się w fotelu przed wyciszonym telewizorem, a potem pogrążył się w pełnym koszmarnych wizji śnie.

- Miał pan zły sen - powiedziała Élise. - Krzyczał pan.

Spojrzał na nią, jeszcze zdezorientowany. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Oczami wyobraźni jeszcze raz ujrzał ośnieżoną puszcę, szafas, wilki... Marianne... Koszmar, który nie był tylko snem... Jaką jeszcze mógł mieć nadzieję? Odpowiedź brzmiała: żadną.

- Jest pan pewien, że wszystko w porządku?

Élise - czterdziestolatka z ładnymi krągłościami i oczami śmiejącymi się nawet wtedy, gdy próbowała zrobić zatroskaną minę - była jedyną osobą z personelu ośrodka, którą Servaz lubił. I bez wątplenia jedyną, która była w stanie znieść jego. Reszta rekrutowała się spośród byłych policjantów, którzy przeszli tu leczenie, a następnie zaczęli pracę: byli to tak zwani „policijni asystenci medyczno-socjalni”. Wspierali innych pensjonariuszy, serwując im mieszankę uwagi, braterstwa i współczucia, która przypominała mu galaretowatą masę. Oni też nie lubili Servaza. Nie chciał dołączyć do gry. Nie chciał się bratać ani rozczulać nad swoim losem. Odmawiał współpracy.

W przeciwieństwie do nich Élise niczego od niego nie oczekiwała.

I nigdy nie pracowała w policji. Któregoś dnia postanowiła się rozwieść, po tym jak jej mąż, który od lat upokarzał ją, groził jej i „poszturchiwał”, popełnił błąd: po jakiejś drobnej sprzeczce w środku nocy zostawił ją z synem w szczerym polu, a sam wsiadł w samochód i odjechał. Po rozwodzie dzień i noc nękał ją telefonami, czekał na nią, gdy wychodziła z pracy albo w hipermarkecie, i błagał, by do niego wróciła, grożąc, że porwie dziecko albo zabije ich oboje, a następnie popełni samobójstwo. Raz na parkingu - na oczach syna - popchnął ją tak mocno, że uderzyła głową o zderzak samochodu i straciła przytomność. Po tym zdarzeniu sędzia przydzielił jej ochronę oraz wydał eksmężowi zakaz zbliżania się do kobiety. Ten się jednak nie zniechęcił. Miał już do czynienia z policją i wiedział, że takie dyspozycje rzadko są wprowadzane w życie. Potem Élise znalazła pracę w tym ośrodku rehabilitacyjnym dla



wykończonych policjantów, gdzie wszyscy od razu ją pokochali. Opowiedziała o swoich problemach kilku pensjonariuszom i oto z dnia na dzień eksmałżonek miał na karku gliniarzy, którzy odwiedzali go z najbliższych powodów, dzwonili do niego do pracy rano, w południe i wieczorem, wpadali, by go p o p r z y j a c i e l s k u pozdrowić, co najmniej dwa razy w tygodniu parkowali samochód przed jego domem i zaczepiali go na ulicy, przy sąsiadach, ot tak, zwracając się do niego po imieniu, a czasem nawet trochę go szturchając - nigdy jednak z taką siłą, z jaką on uderzył Élise. Groził im, że wniesie skargę o nękanie, ale nigdy tego nie zrobił. Przestał za to nękać Élise i dziecko. Kiedy były mąż zniknął z jej życia, szybko stała się tą kobietą, którą była, zanim się poznali: energiczną, o zaraźliwym śmiechu, pełną radości życia.

- Dzwoniła pana córka.

Servaz spojrział na nią, unosząc brew.

- Spał pan, nie chciała panu przeszkadzać - dodała. - Ale powiedziała, że niedługo do pana wpadnie.

Wziął pilota i wyłączył telewizor. Wstał. Popatrzył na swój wytarty sweter, zmechacony na łokciach i nadgarstkach. Przypomniał sobie, że nazajutrz jest Boże Narodzenie.

- Może skorzysta pan z okazji i się ogoli? - zasugerowała uszczypliwie.

Przez chwilę milczał.

- A jeśli tego nie zrobię?

- Wtedy potwierdzi pan to, co prawie wszyscy tu o panu myślą.

Znowu uniósł brew.

- A co myślą?

- Mają pana za dzikusa, faceta nie do życia.

- Pani też tak uważa?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Zależy od dnia...

Servaz się roześmiał. Kobieta zawtórowała mu i odeszła. Ale kiedy tylko zniknęła, śmiech uwiązał mu w gardle. Nie żeby mu zależało na opinii innych, ale nie chciał, by Margot zobaczyła go w tym stanie. Po raz ostatni odwiedziła go w tym miejscu przed trzema miesiącami: nie zapomniał zakłopotania i smutku w oczach córki.

Przeszedł przez hol wejściowy i ruszył po schodach. Jego pokój znajdował się na samej górze, na poddaszu: niewiele ponad dziewięć metrów kwadratowych powierzchni: łóżko wąskie jak posłanie Odysa po jego potajemnym powrocie na Itakę, szafa, biurko, kilka półek z książkami - Plaut, Cynceron, Tytus Liwiusz, Owidiusz, Seneka... Spartański wystrój. Ale

widok z okna na pola i lasy był piękny, także zimą.

Zdjął stary pól golf i T-shirt, włożył czystą koszulę i sweter, grubą sportową kurtkę, szalik i rękawiczki, zszedł po schodach do holu i skierował się ku tylnym drzwiom - tym, które wychodziły na niepokalanie białą przestrzeń.

Szedł w ciszy ośnieżoną równiną, aż dotarł do niewielkiego lasu. Wciągnął w nozdrza wilgotne i zimne powietrze. Na śniegu nie było widać żadnych śladów. Nikt tędy nie przechodził.

Pod upudrowanymi drzewami stała kamienna ławka. Strzepnął śnieg odzianą w rękawiczkę dłonią i usiadł. Pod pośladkami poczuł wilgoć i zimno.

Kruki zaciągnęły wartę na niebie, które prawie nie różniło się kolorem od reszty krajobrazu.

Jego myśli były czarne jak pióra ptaków. Odchylił głowę do tyłu i głęboko odetchnął. Jej uśmiech znowu wypłynął na powierzchnię jego pamięci jak obraz utrwalony na siatkówce oka. W ubiegłym miesiącu Servaz bez konsultacji z lekarzem odstawił antydepresanty. Nagle się przestraszył, że znowu wciągają go ciemności.

Może zadziałał zbyt szybko...

Wiedział, że zaburzenie, na które cierpi, może go zabić, że jego walka jest walką o przetrwanie. Zmagał się z udręką ciężkiej depresji, a im bardziej się zmagał, tym silniej czuł złowieszczą pętlę zaciskającą się wokół niego niczym stryczek. Przelękniony zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie miał siłę znosić tak dewastujące cierpienie. I tak dogłębne.

Sześć miesięcy wcześniej odebrał w swoim mieszkaniu paczkę dostarczoną przez firmę UPS. Nadawcą był niejaki Monsieur Osoba, zamieszkały w miejscu o nazwie Przewłoka, w Polsce, pośród lasów, blisko granicy z Białorusią. W tekturowym pudełku znajdował się drugi pojemnik. Izotermiczny. Servaz chwycił kuchenny nóż i przystąpił do usuwania woskowej pieczęci. Poczuł, jak jego puls przyśpiesza. Nie pamiętał już, jakiego odkrycia się spodziewał - z pewnością, biorąc pod uwagę rozmiary paczki, oczekiwał, że znajdzie w niej odcięty palec, a może dłoń. To, co zobaczył, było jednak znacznie gorsze... Było czerwone, miało połysk świeżego mięsa i rozmiar dużej gruszki. Serce. Z całą pewnością ludzkie. Tekst, którym opatrzona była przesyłka, napisano nie w języku polskim, lecz po francusku:

*Ona złamała Twoje, Martin. Pomyślałem, że teraz poczujesz się wolny. Oczywiście, na początku będziesz cierpieć. Ale nie będziesz już musiał jej szukać, mieć nadziei. Pomyśl o tym.*

*Serdeczności,*

*J.H.*

Ostatnia, delikatna i chwiejna nadzieja, że chodzi o złośliwy dowcip i serce należy do innej osoby. Zakład biologii policji kryminalnej wykonał analizę porównawczą na podstawie DNA Hugona, syna Marianne. Nauka wydała werdykt. Servaz poczuł, że traci zmysły. Adres wskazywał na samotny dom w środku wielkiej Puszczy Białowieskiej. Jednego z ostatnich lasów pierwotnych w Europie, ostatniego reliktu Lasu Hercyńskiego, który porastał całą Europę Północną na początku naszej ery. Badanie zebranego materiału DNA potwierdziło, że Hirtmann przebywał w tym miejscu. Wskazywały też na to zaginięcia kilku kobiet w krajach Europy w ciągu ostatnich lat. Wśród nich była Marianne... Servaz dowiedział się też, co w języku polskim oznacza słowo „Osoba”. Hirtmann także czytał jego ulubionego Homera<sup>1</sup>.

I oczywiście w tym miejscu ślad się urwał...

Miesiąc później Servaz został wysłany na zwolnienie lekarskie i skierowany do ośrodka dla policjantów w depresji, gdzie zalecono mu przez dwie godziny dziennie uprawiać sport i oddawać się zwykłym pracom, takim jak zamiatanie suchych liści. Bez szemrania odrabiał całą pańszczyznę, odmawiał natomiast udziału w sesjach terapeutycznych. Unikał też spotkań z pozostałymi pensjonariuszami: w wyniku przebytych doświadczeń albo wrodzonej skłonności prawie wszyscy trafiali do ośrodka jako alkoholicy. Policjanci, którzy po latach poruszania się po obrzeżach plugastwa odkleili się od rzeczywistości. Którzy już dłużej nie potrafili znieść tego, że całymi dniami nazywa się ich psami, pałami, smerfami, mendami, szmatami, tego, że ich dzieci są napastowane na szkolnym podwórku, ponieważ oni pracują w policji. Nie wytrzymali tego, że nieustannie są obiektem powszechnej nienawiści, podczas gdy prawdziwi bandyci moszczą się w kawiarnianych ogródkach albo gżą w łózkach... Prawie każdy z mieszkańców tego miejsca co najmniej raz miał już w ustach lufę własnego pistoletu.

Jedna z cech depresji polega na tym, że człowiek staje się niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek działania. Stehlin, szef Servaza, szybko się zorientował, że jego podwładny nie potrafi już prawidłowo wykonywać swojego zawodu. Co komendant sam mógłby potwierdzić, gdyby ktokolwiek go o to zapytał: o morderców, gwałcicieli i wszelkiej maści łajdaków dbał jak o zeszłoroczny śnieg. Miał ich gdzieś, podobnie jak wszystko inne: smak potraw, wiadomości telewizyjne, sytuację na świecie, a nawet swoich ukochanych łacińskich pisarzy.

A także muzykę Mahlera.

Ten ostatni objaw uznał za najbardziej niepokojący.

---

<sup>1</sup> Francuskie słowo *personne* to po polsku „osoba”, „nikt”, „ktokolwiek”. *Nikt* (gr. Outic) to imię, którym Odyseusz przedstawił się cyklopowi Polifemowi (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Czy doszedł już do siebie? Nie był tego pewien. Jednak od jakiegoś czasu obserwował jakby lekką odwilż. W ponurym, opustoszałym krajobrazie, jakim stało się jego życie, pojawiły się niewielkie zielone pędy i poczuł, jak w jego żyłach zaczyna krążyć krew. Od pewnego czasu świerzbiło go też na myśl o pewnej odłożonej sprawie, której akta leżały na jego biurku. Zapytał o nią nawet Espérandieu, swojego zastępcę i jedyne prawdziwego przyjaciela. Twarz młodego mężczyzny rozjaśniła się: „No proszę!”, Servaz także się uśmiechnął. Choć Vincent słuchał indie rocka, czytał mangi i pasjonował się tak głębokimi zagadnieniami, jak gry komputerowe, ciuchy i zaawansowane technologicznie gadżety, był on kimś, kogo Servaz słuchał i szanował. Zdał Martinowi relację z rozwoju dwóch najbardziej newralgicznych spraw, nad którymi wspólnie pracowali, a które wciąż nie były wyjaśnione. Kiedy dostrzegł w oczach szefa drobną iskierkę tęsknoty, rozciągnął usta w dziecięcym uśmiechu.

*W życia wędrownice, na połowie czasu Straciwszy z oczu szlak niemylnej drogi,  
Wgłębi ciemnego znalazłem się lasu<sup>2</sup>.*

- He? - zdziwił się Espérandieu, marszcząc brwi.

- Dante - wyjaśnił Servaz.

- Taaa... A, Asselin odszedł.

Komisarz Asselin. Kierował Wydziałem Kryminalnym.

- Jaki jest następca?

Espérandieu się skrzywił. Servaz ujrzał las oświetlony promieniami wiosennego słońca. Ziemia była jeszcze zamarznięta. Zgubił się w środku lasu i przemarł do kości pomimo ciepłego słonecznego światła przesączonego się między liśćmi. Przegnał tę wizję. To tylko sen. Pewnego dnia, już bardzo niedługo, wyjdzie z tego lasu. Nie tylko we śnie.

---

<sup>2</sup> Dante Alighieri, *Boska komedia*, pieśń I, przeł. Edward Porębowicz.

## **AKT PIERWSZY**

*Niech twoja dusza zostanie wydana*

*Na nieuchronne męczarnie.*

Madame Butterfly

# 1.

## ODSŁONA

*Piszę te słowa. Ostatnie. A pisząc je, wiem, że to już koniec: tym razem powrót nie będzie możliwy.*

*Będziesz mieć mi za złe, że informuję cię o tym w wigilijny wieczór. Wiem, że w najwyższym stopniu godzi to w twoje przeklęte przywiązanie do konwenansów. Ty i te twoje pieprzone maniery. I pomyśleć, że wierzyłam w twoje kłamstwa, w twoje obietnice. Coraz więcej słów i coraz mniej prawdy: oto dzisiejszy świat.*

*Naprawdę to zrobię, wiesz? Przynajmniej to nie jest ściema. Czy teraz twoja ręka odrobinę zadrżała? Pocisz się?*

*A może przeciwnie, uśmiechasz się, gdy czytasz te słowa. Czy to ty stoisz za tym wszystkim? Czy może ta twoja zdzira? To wy wystaliście mi te wszystkie opery? I cała reszta: to też wasza sprawka? Był taki czas, że dałabym wszystko, żeby się dowiedzieć, kto może mnie do tego stopnia nienawidzić, kiedy rozpaczliwie usiłowałam zrozumieć, czym zasłużyłam sobie na taką nienawiść. Ponieważ to musiała być moja wina, tak sobie mówiłam. Ale to się skończyło.*

*Myślę, że popadam w obłąd. Kompletnie wariuję. A może to przez te leki. Wszystko jedno, nie mam już siły. Tym razem mam dość. Koniec. Stop. Ktokolwiek to był - wygrał. Nie daję już rady. Nie sypiam. Stop.*

*Nigdy nie wyjdę za mąż, nigdy nie urodzę dzieci: przeczytałam to zdanie w jakiejś książce. Cholera. Teraz rozumiem, co ono znaczyło. Oczywiście, są rzeczy, których będę żałować. Życie czasem potrafi być bardzo fajne, z pewnością po to, by potem silniej przywalić... Ty i ja, może z czasem w końcu byłoby okay. A może nie... To nic. Wiem, że postarasz się szybko o mnie zapomnieć, odeślesz mnie do magazynu z niemiłymi wspomnieniami, o których niechętnie się mówi. Zrobisz skruszoną minę i powiesz swojej dziuni: „Była chora, depresyjna; nie zdawałam sobie sprawy, do jakiego stopnia”. A potem szybko zajmiecie się czym innym. Będziecie się śmiać i pieprzyć. Mam to gdzieś. Możesz zdechnąć. Ja tymczasem zrobię to.*

*MIMO WSZYSTKO: WESOŁYCH ŚWIĄT*

Christine odwróciła kopertę: nie było danych nadawcy Nie było też znaczka. I nie było

jej - Christine Steinmeyer - nazwiska. Ktoś wrzucił ją bezpośrednio do skrzynki na listy... To musi być pomyłka: ten list jej nie dotyczy. Spojrzała na rzędy skrzynek wiszących na ścianie, z nazwiskami wypisanymi ręcznie na etykietkach: osoba, która wrzuciła list, pomyliła skrzynki, to wszystko.

Ten list jest przeznaczony dla kogo innego. Dla innej osoby mieszkającej w tej kamienicy.

Następnie przez jej umysł przebiegła myśl, od której prawie zapało jej dech w piersi: czy list jest tym, na co wygląda? Cholera. Poczowała, że na moment traci równowagę. Znowu skierowała wzrok na podwójną zadrukowaną kartkę: jeśli tak, koniecznie trzeba kogoś powiadomić. No tak, ale kogo? Pomyślała o osobie, która napisała list - o tym, w jakim musiała być stanie i co w tej chwili robi, i poczuła, jakby na jej żołądku zaciskały się lodowate palce. Powoli, analizując każde słowo, przeczytała jeszcze raz ostatnie linijki: *Możesz zdechnąć. Ja tymczasem zrobię to.* Nie było wątpliwości: to był list napisany przez kogoś, kto chce ze sobą skończyć.

Jasna cholera...

W wigilijny wieczór ktoś w tym mieście lub w pobliżu zamierza odebrać sobie życie - a może już to zrobił... A Christine wie o tym jako jedyna. I nie ma żadnych sposobów, by go powstrzymać, ponieważ osoba, która miała przeczytać list (list, który z całą oczywistością jest także wołaniem o pomoc), nie przeczyta go.

To żart. To musi być żart.

Jeszcze raz przeczytała pierwsze linijki, szukając elementów, które wskazywałyby na mistyfikację. Ale komu chciałoby się robić taki dowcip w wigilię Bożego Narodzenia? Co to za chora kobieta? Christine wiedziała, że wiele samotnych osób nie cierpi tego okresu, w którym ich samotność staje się jeszcze bardziej dojmująca- ale żeby porywać się na taką maskaradę? List brzmiał zresztą złowieszczo autentycznie - chodzi o jego ton, nie o treść, kobieta przypuszczała, że adresat znał niektóre szczegóły.

Gdyby było choć imię, cokolwiek, mogłaby zapukać do wszystkich drzwi i zapytać: „Czy państwo znają taką to a taką?”.

Światło zgasło, pograżając klatkę schodową w ciemności rozjaśnianej jedynie blaskiem wpadającym z ulicy przez szybę w podwójnych drzwiach z kutego żelaza. Christine zadrżała. Spojrzała w kierunku drzwi, tak jakby osoba, która wsunęła list do jej skrzynki, miała się nagle znowu pojawić. W piekarni naprzeciwko udekorowano witrynę. Przez zasłonę syjącego śniegu kobieta zobaczyła sanie Świętego Mikołaja. Stojąc tak w pograżonym w mroku holu, poczuła dreszcz - nie tylko z powodu listu: ciemności były dla niej równie

przeróżające jak ostrze brzytwy.

I w tym momencie w jej kieszeni zawibrował telefon.

- Co ty wyprawiasz?

\*

Zatrzasnęła za sobą przeszklone drzwi. Gdy znalazła się na chodniku, podmuch wiatru podniósł kołnierz jej płaszcza. Poczwała na policzkach mokre płatki śniegu, który znowu zaczął sypać i zdążył już pokryć jezdnię białą warstwą. Omiotła ulicę wzrokiem, aż zauważyła, że Gérald daje jej znaki światłami samochodu.

Kiedy otworzyła drzwi od strony pasażera, z wnętrza uderzył jej nozdrza przyjemny zapach skóry, nowego plastiku i męskiej wody toaletowej, a do jej uszu dobiegł głos Nicka Cave'a śpiewającego *Jubilee Street*. Opadła na fotel dużego białego crossovera, pozostawiając uchylone drzwi. Gérald odwrócił się do niej, wykrzywiając usta w okolicznościowym, gwiazdkowym uśmiechu, a kiedy się pochylił, by ją pocałować, jej podbródek połaskotał delikatny szal z szarego jedwabiu. Christine poczuła ciepło dochodzące z wnętrza jego wełnianego płaszcza i przyjemny zapach, jakim przesiąknięte były jego ubrania. Przypływ uległości, jak ukłucie przypominające o potrzebie czającej się w podbrzuszu, uderzył ją jak strzał heroiny.

- Gotowa, by stawić czoło panu „Dawniej-Było-Lepiej” i pani „Moja-Droga-Nic-Pani-Nie-Je”? - zapytał, celując w nią telefonem.

- Co robisz?

- Przecież widzisz, pstrykam ci zdjęcie.

Dźwięk jego głosu rozgrzał ją jak aksamitny łyk kawy po irlandzku, ale trudno jej było zdobyć się na szczery uśmiech.

- Najpierw popatrz na to.

Zapaliła górną lampkę i podała mu kartkę i kopertę.

- Christine, już jesteśmy spóźnieni...

Pieszczotliwy, lecz zdecydowany głos, mieszanka łagodności i władczości - właśnie to uderzyło ją już przy pierwszym spotkaniu, znacznie bardziej niż jego wygląd.

- No ale spójrz.

\*

- Gdzie to znalazłaś?

W tonie jego głosu słyhać było niemal dezaprobatę, jakby mężczyzna winił ją za znalezienie tego listu w jej...

- ...w mojej skrzynce na listy.



Mimo panującego półmroku w jego oczach za szklami okularów wyczytała zaskoczenie. Oraz irytację. Gérald nie lubił niespodzianek.

- I co? - zapytała. - Co o tym myślisz?

- To na pewno jakiś kawał. A co by to miało być?

- Nie, nie sędzę. Brzmi zbyt prawdziwie.

Westchnął, poprawił okulary na nosie i znowu skierował wzrok na kartkę, którą trzymał przez rękawiczkę. Na list padało słabe światło z sufitu. W blasku reflektorów widać było opadające, leciutkie białe płatki; przed przednią szybą cicho przejechał jakiś samochód. Christine czuła się jak w ciemnym i zimnym wnętrzu batyskafu ze wszystkich stron otoczonego przez śnieg. Zaglądając Géraldowi przez ramię, jeszcze raz przeczytała list. Jego słowa osiadały w jej umyśle jak biały puch.

- Jeśli tak, to jest to pomyłka - podsumował. - Ten list był przeznaczony dla kogoś innego.

- Właśnie.

Znowu na nią spojrzał.

- No dobra, słuchaj, później rozwiążemy tę zagadkę. Moi rodzice na pewno już na nas czekają.

Tak, oczywiście: twoi rodzice... Boże Narodzenie... Jakie to ma znaczenie, że jakaś kobieta akurat tego wieczoru zamierza popełnić samobójstwo?

- Gérald, czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, co ten list oznacza?

Zdjął dłonie z kierownicy i oparł je na udach.

- Myślę, że tak - odparł bardzo poważnie, ale w jego głosie dało się wyczuć jakby nutę żalu. - Co... Co chcesz, żebyśmy zrobili?

- Nie wiem. Nie masz jakiegoś pomysłu? Nie możemy przecież tak tego zostawić.

- Ależ - znowu ta przygana w głosie, jakby chciał powiedzieć: „Tylko ty potrafisz się wpakować w takie tarapaty, Christine” - kochanie, mamy spotkanie u moich rodziców: masz ich zobaczyć po raz pierwszy, a jesteśmy już spóźnieni prawie godzinę. Ten list może jest autentyczny, a może i nie... Zajmiemy się tą sprawą, jak tylko będziemy na miejscu, obiecuję. Ale teraz musimy już jechać.

Mówił spokojnie, rzeczowym tonem. Zbyt rzeczowym: używał go, kiedy mu się sprzeciwiała, co ostatnimi czasy zdarzało się coraz częściej. Ten ton oznaczał: „Zauważ, że daję dowód ponadprzeciętnej cierpliwości”. Pokręciła głową.

- Istnieją tylko dwie możliwości: albo ten list jest wołaniem o pomoc, które nie zostanie usłyszane, ponieważ osoba, która powinna go przeczytać, nie przeczyta go; albo też dziś

wieczorem ktoś rzeczywiście popełni samobójstwo. W obu wypadkach wiem o tym tylko ja.

- Co?

- Dobrze usłyszałeś. Musimy zawiadomić policję.

Mężczyzna przewrócił oczami.

- Ale ten list nawet nie jest podpisany! I nie ma na nim żadnego adresu! Nawet jeśli pójdziemy na policję, co chcesz, żeby zrobili? Wyobrażasz sobie, ile czasu to zajmie? To nam rozwali całą wieczerzę!

- Wieczerzę? To, o czym do ciebie mówię, to sprawa życia albo śmierci!

Wyczuła, że mężczyzna prostuje się z oburzenia. Wydał z siebie odgłos przebitej opony.

- Ale, do cholery, CO MAMY Z TYM ZROBIĆ?! - wrzasnął. - Nie mamy żadnego sposobu, żeby się dowiedzieć, o kogo chodzi, Christine! Żadnego! Poza tym jest duże prawdopodobieństwo, że ta osoba blefuje: kiedy człowiek ze sobą kończy, nie wrzuca listu do skrzynki, zostawia kartkę u siebie albo ma ją przy sobie! To pewnie zwykła mitomanka, która jest sama w wigilijny wieczór i znalazła tylko taki sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę! Wzywa pomocy, ale to nie znaczy, że zamierza przejść do działania!

- Aha, więc chcesz, żebyśmy spędzili wigilię, jakby nic się nie stało, tak? Żebyśmy świętowali, tak jakbym nigdy nie znalazła tego listu?

Zobaczyła błysk w oczach Géralda. Mężczyzna spojrział przez przednią szybę, na której płatki śniegu zaczęły osiadać przezroczystą warstwą, jakby miał nadzieję, że ktoś przyjdzie mu z pomocą.

- Christine, niech to szlag, nie wiem! To twoje pierwsze spotkanie z moimi rodzicami! Wyobrażasz sobie, jakie wrażenie zrobimy, jeśli pojawimy się z trzygodzinnym opóźnieniem?!

- Przypominasz mi tych dupków, którzy mówią: „Nie mógł iść się zabić gdzie indziej?“, kiedy ich pociąg staje w szczyrim polu.

- Nazywasz mnie dupkiem? - zapytał głosem o oktawę niższym niż przed chwilą.

Christine spojrzała na niego ukradkiem. Był blady. Nawet jego wargi całkowicie straciły kolor.

Cholera. Posunęła się za daleko. Uniosła dłoń na znak zawieszenia broni.

- Nie, nie. Oczywiście, że nie. Wybacz. Posłuchaj, bardzo mi przykro. Ale nie możemy przecież zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, prawda?

Westchnął. Miał dość. Dłonie w skórzanych rękawiczkach mocno zaciskały się na kierownicy. Christine przebiegła przez głowę dziwna myśl, że w tym wozie jest stanowczo za

dużo skóry.

Mężczyzna jeszcze raz wciągnął i wypuścił powietrze.

- Ile mieszkań jest w twojej kamienicy?

- Dziesięć. Po dwa na każdym piętrze.

- Oto moja propozycja: zapukamy do wszystkich drzwi, pokażemy list i zapytamy lokatorów, czy mają pomysł, kto go napisał.

Zmierzyła go baczny spojrzeniem.

- Jesteś tego pewien?

- Tak. Tak czy owak z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że co najmniej połowa mieszkańców wyjechała na święta. To ograniczy poszukiwania.

- A twoi rodzice?

- Zadzwońę do nich, wytłumaczę, co się dzieje, i powiem, że się spóźnimy. Zrozumięją. Poza tym możemy jeszcze bardziej zawęzić obszar poszukiwań: ten list jest ewidentnie przeznaczony dla mężczyzny. Ilu samotnych mężczyzn mieszka w budynku, wiesz?

Tak, wiedziała. Kamienica była stara. Poprzedni właściciel podzielił lokale na małe mieszkania dwupokojowe i kawalerki, żeby inwestycja przynosiła maksymalne zyski. Były tylko dwa duże mieszkania dla rodzin, poniżej jej piętra.

- Dwóch - odpowiedziała.

- W takim razie będziemy potrzebować kilku minut. Przy założeniu, że nie spędzają wigilii gdzie indziej i są w domu.

Uświadomiła sobie, że Gérald ma rację. Powinna była wcześniej o tym pomyśleć.

- Do innych drzwi też zadzwonimy, na wszelki wypadek - dodał. - A potem się zwijamy.

- A jeśli to nic nie da? - zapytała.

Rzucił jej spojrzenie, które oznaczało: „Uważaj, żeby nie posunąć się za daleko”.

- Zadzwońę do glin od rodziców, zapytam, co dalej. Christine, nie możemy zrobić więcej. Nie będę psuł wieszki z powodu czegoś, co prawdopodobnie jest głupim kawałem.

- Dzięki.

Gérald wzruszył ramionami, rzucił okiem we wsteczne lustro, po czym otworzył drzwi i wyszedł na zimno, zostawiając za sobą rozgrzane powietrze i zapach mężczyzny.

\*

Dwudziestego czwartego grudnia o dwudziestej pierwszej dwadzieścia jeden nad Tuluzą sypał wyjątkowo gęsty śnieg. Nocne niebo było całkowicie zasnuwane chmurami, tłum

ludzi kłębił się w pośpiechu na coraz bardziej białych chodnikach oświetlonych blaskiem świątecznych neonów. Christine zmieniła stację. Jej koledzy z Radio 5 byli tak podekscytowani, jakby właśnie ogłosili koniec świata albo wybuch trzeciej wojny światowej. Śnieg zmieniał się pod kołami samochodów w błoto, które pod wpływem spalin mieniło się kolorami tęczy. Przejechali przez most Pompidou i minęli wielki łuk mediateki. U stóp wzgórza Jolimont koła SUV-a lekko zabuksowały w śnieżnej brei. Wokół słychać było trąbienie klaksonów, przekleństwa kierowców i warkot silników. Elektryzujący koktajl niecierpliwości i skrajnego podekscytowania. Gérald także przeklinał, ale po cichu: mieli ponad dwie godziny spóźnienia.

Christine znowu myślała o liście. O osobie, która go napisała. Oczywiście nic nie wskórali. Wszyscy samotni mężczyźni wybyli na czas świąt. Pary również. W kamienicy zostały tylko dwie rodziny, w tym jedna z czwórką dzieci: maluchy, podekscytowane jak cała reszta ludności, tak wrzeszczały, że Gérald musiał podnieść głos, podtykając rodzicom pod nos rozpostarty list. Z początku zarówno mąż, jak i żona zdawali się nie pojmować tego, co się do nich mówi. Później, gdy słaby promień zrozumienia przebił się do ich zaabsorbowanych przygotowaniami do Bożego Narodzenia umysłów, Christine zauważyła w oczach spoglądającej na męża kobiety błysk podejrzliwości. Niewiedza i zaskoczenie mężczyzny wyglądały jednak na szczerze. Drugą rodziną było młode małżeństwo z jednym dzieckiem. Między tą dwójką najwyraźniej panowały głęboka jedność i wzajemne zrozumienie i Christine zastanawiała się, czy kiedyś ona i Gérald będą wyglądać podobnie. Wydawali się szczerze wstrząśnięci wydźwiękiem listu. „Boże, co za straszna historia!” - zawołała młoda żona w widocznej ciąży i Christine przez chwilę myślała, że kobieta się rozplacze. A potem zeszli z Géraldem do samochodu.

Spojrzała na niego ukradkiem. Prowadził z zaciśniętymi szczękami. Odkąd ruszyli, nie odezwał się ani słowem. Zauważyła, że jego czoło przecina charakterystyczna bruzda - wyraz niemal udręki - którą zdarzało jej się już widywać.

- Zrobiliśmy to, co musieliśmy zrobić - oświadczyła.

Mężczyzna nie odpowiedział. Nawet nie kiwnął głową. Przez chwilę Christine miała mu za złe, że próbuje wywołać u niej poczucie winy. Bo właśnie to próbował zrobić, nieprawdaż? A czy nie powinni raczej czuć się odpowiedzialni za tę osobę, której nie zdołają uratować? Zastanawiała się, czy to z nią jest coś nie tak, czy też, im poważniejszy staje się ich związek, tym częściej Gérald ją gani i się jej sprzeciwia. Potem zbywa wszystko uśmiechem albo dowcipnym słowem, ale to bez znaczenia: od pewnego czasu jego zachowanie się zmieniło. I Christine wiedziała od kiedy. Od momentu, gdy padło słowo m a ł ż e n i s t w o.

\*

Boże Narodzenie. Cholera. Nasza pierwsza Wigilia. Dziś jego rodzice, jutro moi. Czy go polubią? Czy on polubi ich? Nie powinnaś się tak nakręcać: Géralda wszyscy lubią. Jego koledzy, jego studenci, jego mechanik samochodowy, nawet twój pies... Tak właśnie pomyślałaś na tamtym przyjęciu w Kapitolu, nie? Pamiętasz? Były tam ładniejsze kobiety, zgrabniejsze, szczuplejsze, a nawet, oczywiście, bardziej błyskotliwe - ale to ciebie zaczepił, a kiedy go odprawiłaś, ponownie przystąpił do ataku. To dla ciebie podniósł nos znad szklanki wypełnionej kostkami lodu, rumu i dużych ćwiartek limonki - drinka Caipirinha - jakby się budził z długiego snu. A potem się odezwał: „Skądś znam pani głos... Gdzie ja panią słyszałem?”. I nawet kiedy trochę przydługo mówiłaś o twojej robocie w Radio 5, słuchał cię. Naprawdę słuchał... Chciałaś być zabawna, inteligentna, co ostatecznie nie bardzo ci się udało. Ale on tak nie uważał: wyglądał, jakby wszystko, co mówisz, uznawał za niezwykle zabawne i rozrywkowe.

\*

Być może wszyscy lubią Géralda - ale jej rodzice to nie wszyscy. Jej rodzice to Guy i Claire Dorianowie. Dorianowie z telewizji... Niech ktoś spróbuje sprawić, żeby polubili go ludzie, którzy robili wywiady z Arthurem Rubinsteinem, Chagallem, Sartre'em, Tino Rossim, Gainsbourgiem i Birkin - między innymi...

\*

Otóż to - kontynuował w jej głowie głos, którego z biegiem lat nauczyła się nie cierpieć i słuchać jednocześnie. - Tata nie będzie go ani uwielbiał, ani nienawidził. Będzie go olewał. Po prostu. Mój ojciec to człowiek, który interesuje się tylko jedną rzeczą: samym sobą. Nie jest łatwo być jednym z pionierów telewizji - gościem, który spędzał cały czas na małym ekranie - a potem stać się kimś anonimowym. Mój ojciec to człowiek, który przez cały czas pływa w sosie nostalgii i wspomnień, który topi swoją chandrę w alkoholu i nawet nie usiłuje się z tym kryć. No dobrze. I co z tego? Jest wolny, niech spieprzy ostatnią prostą własnej egzystencji, jeśli mu to odpowiada. Ja nie pozwolę mu spieprzyć swojej.

\*

- W porządku? - zagadnął Gérald.

W jego głosie dało się wyczuć nutkę skruchy.

- Wiesz, rozumiem, że źle się poczułaś z powodu tego listu.

Spojrzała na niego. Kiwnęła głową na znak, że wszystko okay. Pomyślała: Ależ oczywiście, że nie, nie rozumiesz. Zwolnili. Na budce przystanku autobusowego zobaczyła duży plakat. Reklama Dolce & Gabbana. Widziała ją już gdzieś w mieście. Pięciu młodych

mężczyzn wokół leżącej na ziemi kobiety. Umięśnione, naoliwione, lśniące ciała. Piękni. Superseksowni. Oczywiście napięcie seksualne. Mężczyźni nie mieli na sobie koszulek, jeden z nich przytrzymał kobietę przy ziemi, blokując jej nadgarstki. Kobieta wrywała się, ale na próżno. W niejednoznacznym geście buntu. Mimo bardzo prowokującego stroju cały dowcip tej inscenizacji polegał - jeżeli można tu mówić o dowcipie - na tym, że trudno było powiedzieć, czy kobieta się zgadza czy nie. Plakat nie pozostawiał za to żadnych wątpliwości w kwestii tego, co ją czeka. Marna prowokacja dla konsumentów-zombi - pomyślała Christine. Czytała gdzieś, że dwoje na troje Francuzów nie jest w stanie rozpoznać, czy reklama przemycia seksistowskie stereotypy. Kobieta-plakat, kobieta-statystka: przestrzeń publiczna jest pełna kobiecych ciał... Christine zaprosiła do swojego programu przewodniczącą stowarzyszenia kobiet doświadczających przemocy. Przez siedem dni w tygodniu odbiera ona telefony od żon, które są bite, które nie mają prawa odzywać się do sąsiadów, a tym bardziej do innych mężczyzn, od żon terroryzowanych za to, że kolacja była rozgotowana albo za słona, od żon, których kości noszą ślady po złamaniach i urazach, od żon, które nie mają dostępu ani do konta bankowego, ani do lekarza, od żon, których spojrzenie - kiedy wreszcie znalazły w sobie odwagę, by zgłosić się do stowarzyszenia - było puste, nieobecne i zaszczute.

Kiedys, gdy była jeszcze dzieckiem, sama była świadkiem pewnej sceny. Dlatego właśnie czuła potrzebę, by zapraszać do swojego programu silne kobiety, takie, które mogą służyć za przykład: szefowe, bojowniczkki, artystki, polityczki. A także dlatego, że sama nigdy nie pozwoliłaby mężczyźnie, by dyktował jej, jak ma się zachowywać.

Jesteś tego pewna?

Gérald nie zwracał już na nią uwagi. Prowadził, patrząc przed siebie, pogrążony w myślach, których treści nie znała. Kim jest autorka listu? Musi się tego dowiedzieć.

## 2.

### PARTYTURA

Śniła jej się jakaś kobieta. Nie był to przyjemny sen. Kobieta stała w blasku księżyca pośrodku alei obsadzonej po obu stronach ciemnymi cisami, przypominającej wejście na cmentarz: nieco dalej widać było dwa wysokie kamienne słupy, a między nimi bramę. Padał śnieg i noc była bardzo zimna, ale kobieta miała na sobie lekką koszulę nocną na cienkich ramiączkach, odsłaniających nagie ramiona. Christine chciała się dostać na cmentarz, ale kobieta zagradzała jej drogę. „Nic pani nie zrobiła - mówiła. - Zostawiła mnie pani”. „Próbowałam - jęczała we śnie Christine. - Przysięgam, że próbowałam. Niech mi pani teraz pozwoli przejść”.

Ale w chwili, gdy mijala kobietę, głowa tej ostatniej obróciła się wokół własnej osi w nieprawdopodobny sposób, a jej oczy stały się atramentowoczarne i patrzyły w ślad za Christine. W niebo poderwało się stado czarnych ptaków, które kłębiły się i zanosily straszliwym krzykiem, a kobieta wybuchnęła śmiechem. Wstrętnym, histerycznym śmiechem, który obudził Christine. Jej serce waliło niczym kopyta galopującego konia.

List...

Żałowała, że zostawiła go w samochodzie: chciałaby go przeczytać jeszcze raz. Zważyć w dłoni. Spróbować zgadnąć, kto go napisał. I w jakim celu. Niebieska lampka nocna stojąca na szafce przy łóżku rzucała na sufit niewyraźne światło. Widoczna przez uchylone drzwi lampa sufitowa w przedpokoju również była zapalona, jej blask padał na podłogę sypialni. Podobnie było we wszystkich pomieszczeniach. Christine wysunęła nogę spod kołdry i poczuła na bosej stopie lodowate powietrze. Za zasłoniętymi oknami panowały jeszcze ciemności, ale do jej uszu dochodziły już odgłosy ulicznego ruchu - dźwiękowy podkład, na który składał się warkot samochodów, skuterów, ciężarówek dostawczych. Spojrzała na radiobudzik. Siódma czterdzieści jeden... Cholera! Zasnęła! Odrzuciła kołdrę i rozejrzała się po pustej sypialni, która równie dobrze mogłaby być hotelowym pokojem. A jednak kiedy przed rokiem po raz pierwszy zobaczyła to mieszkanie, była nim zauroczona. Zachwyciły ją wysokie sufity, kominek w salonie. Uwielbiała tę dzielnicę, jednocześnie tajemniczą i modną, z jej średniowiecznymi uliczkami, restauracjami, kafejkami, sklepem ze zdrową żywnością, pralnią, piwnicą z winami i włoskim sklepikiem spożywczym. Cena była oczywiście wysoka. Christine wzięła kredyt na trzydzieści lat. Ale ani trochę nie żałowała. Za każdym razem, kiedy budziła się w tym pokoju, utwierdzała się w przekonaniu, że była to najlepsza decyzja,

jaką podjęła w ciągu wielu lat.

Pazurki Iggy'ego zastukały na klepkach parkietu. Zwierzę wskoczyło na kołdrę i przeszło na drugą stronę łóżka, by różowym językiem polizać ją po policzku. Iggy był kundlem o karmelowo-białym umaszczeniu, szpiczastych uszach i wielkich, okrągłych brązowych oczach, które patrzyły z uwagą i przypominały oczy słynnej gwiazdy rocka - stąd jego imię. Przekrzywił łeb na bok i wpatrywał się w panią. Christine z uśmiechem poczochnęła psa i wstała.

Włożyła stary kaszmirowy golf i grube wełniane skarpetki i ruszyła za Iggyem do połączonej z salonem kuchni.

- Niech pan chwilkę zaczeka, panie Futrzaku - zakomenderowała, nakładając zawartość konserwy do miski, do której pies niecierpliwie zaczął już wpychać pysk.

Pokój był pusty, jeśli nie liczyć starej skórzanej sofy, ławy z Ikei oraz plazmy na stoliku telewizyjnym stojącym w pobliżu kominka. Tylko część kuchenna była urządzona. Na środku salonu królował samotny wioślarz, obok niego spoczywały hantle. Christine lubiła ćwiczyć wieczorami przed telewizorem. Na ekranie urządzenia z wyłączonym dźwiękiem migotał poranny program. Telewizor był włączony przez całą noc - tak było zawsze. Na podłodze obok kominka piętrzyły się książki, gazety i kolorowe czasopisma: Christine była znaną prezenterką radiową prywatnej stacji Radio 5. Prowadziła poranny blok w godzinach od dziewiątej do jedenastej codziennie oprócz sobót - kiedy audycję odtwarzano z taśmy - oraz niedziel. *Poranki Christine* stanowiły koktajl informacji, muzyki, konkursów i humoru, z biegiem czasu z coraz większą przewagą humoru nad informacjami. Za niespełną godzinę musi być w studiu, by poprowadzić bożonarodzeniowy program. Przewidziano stosowną muzykę - Johna i Yoko w piosence *Happy Xmas (War is Over)* i *I Wish It was Christmas Today* Juliana Casablancasa. Potem był czas na mniej lub bardziej spontaniczne żarty, a następnie dyżurny psychiatra miał mówić o samotności oraz o tym, jak trudny jest ten okres dla osób, które nikogo nie mają. Menu okraszone odrobiną współczucia, ale bez przesady: to Boże Narodzenie, nastrój musiał być świąteczny.

Zastanawiała się, czy to nie dobra okazja, by porozmawiać z kimś o liście. Była z Bercowitzem na przyjacielskiej stopie. Psychiatra występował w programie raz w tygodniu, zazwyczaj w środy, ale tym razem wyjątkowo jego wypowiedź została przesunięta i dołączona do audycji świątecznej. Bo był dobry i miał dużą słuchalność.

Tak, Bercowitz wypowie się na temat autentyczności listu. A może nawet będzie wiedział, co robić...

Ale może też będzie jej wyrzucał, że właściwie niczego nie zrobiła, że czekała zbyt



długo. Ostatecznie ani Gérald, ani ona nie powiadomili policji. Nie miała odwagi jeszcze bardziej psuć wieczoru. Widać było, że rodzice Géralda postarali się, by wszystko wypadło doskonale. Nie wyglądali na dotkniętych z powodu ich dwugodzinnego spóźnienia. Ojciec Géralda był starszą wersją syna - modelu ulepszanego w następnym pokoleniu. Jednak główne cechy charakterystyczne obecne w pierwowzorze były ponadczasowe: elegancja, solidna budowa ciała, samokontrola, oczy w kolorze ciepłego brązu, bezpośrednie, ujmujące spojrzenie, dyskretnie uwodzicielski temperament. Błyskotliwość, ale jednocześnie sztywność. Mało subtelności czy swobody. Nieznośna skłonność do twierdzenia, że rolą kobiety jest sekundowanie mężczyźnie.

Najwyraźniej matczyne geny miały mniejszą siłę przebicia w DNA synka. Christine zastanawiała się, czy fakt, iż jego matka nigdy nie odważyła się sprzeciwić ojcu, to jej nieustanne upieranie się przy opiniach męża, nie wyjaśnia trudności Géralda w dopuszczeniu odmiennego zdania - zwłaszcza gdy padało ono z ust przyszłej żony.

Obsypali ją prezentami. Tablet, stacja dokująca łącząca telefon z głośnikami bez pośrednictwa komputera (podejrzewała, że pomysłodawcą tych upominków jest przyszły teść, który podobnie jak syn miał ciągoty do nowych technologii i nauk ścisłych), sweter (od matki Géralda). Wyglądali na zachwyconych wszystkim, co opowiadała. Żdźbło krytyki dostrzegła jedynie w spojrzeniu Géralda (kiedy mówiła, kilka razy zauważyła na sobie jego wzrok).

To na pewno z powodu tej sprzeczki w samochodzie. Trzeba było z nim rozmawiać delikatniej.

Gdy Iggy zajął się hałaśliwym opróżnianiem miski, weszła za bufet otwartej kuchni, naląła sobie kubek kawy, szklankę soku z mango i marakui i posmarowała masłem light dwie kromki szwedzkiego pieczywa. Moczyła je w kawie, siedząc na barowym stołku ze stali, gdy w jej głowie znowu odezwał się znajomy głos: Jeśli sądzisz, że twoi rodzice ułatwią ci sprawę, grubo się mylisz. Nigdy nie będziesz Madeleine, Chris. Nigdy...

Poczuła skurcz żołądka wywołany nagłym atakiem nadkwasoty.

Dzieciństwo: nie trwa długo, ale nigdy nie można się z niego wyleczyć - ciągnął głos. - To zranione dziecko w naszym wnętrzu ciągle jest obecne. Prawda, Christine? To dziecko, które się boi, kiedy zapada zmrok. Które widzi to, czego nigdy nie powinno było zobaczyć...

Szklanka z sokiem owocowym rozprysła się o wyłożoną płytkami podłogę u jej stóp. Kobieta zadrżała.

Zeszła ze stołka, by pozbierać kawałki szkła. Poczuła kłujący ból, kiedy lśniący jak diament odłamek wbił jej się w palec wskazujący. Cholera! Z rany natychmiast pociekła krew, która zmieszała się z kałużą napoju jak strużka soku z granatu z drinkiem. Tętno

Christine momentalnie zaczęło rosnać. Zrobiło jej się sucho w ustach. Na czole pojawiły się kropelki potu. Oddychaj... Nie tolerowała widoku krwi. Oddychaj. Bercowitz nauczył ją, jak oddychać przeponą. Zamknęła oczy, zaczekała, aż przepona znajdzie się w najniższej pozycji, a klatka piersiowa maksymalnie się rozszerzy, a następnie powoli wypuściła powietrze, wciągając brzuch. Wstała i drżącą ręką oderwała z rolki kawałek papierowego ręcznika, z którego zrobiła opatrunek, starając się nie patrzeć na palec. Następnie chwyciła gąbkę i odwracając wzrok od podłogi, starła plamę.

Rzuciła okiem na efekt swojej pracy i natychmiast tego pożałowała. Gruby prowizoryczny opatrunek już nasiąkał krwią. Przełknęła ślinę. Masz szczęście, że pracujesz w radiu, a nie w telewizji.

Zegar na ścianie wskazywał trzy po ósmej. Ruszaj się!

Pomknęła do łazienki, zdjęła sweter i skarpetki. Jasna kula pod sufitem migotała, co oznaczało, że żarówka wkrótce wyzionie ducha. Każda, najkrótsza choćby chwila ciemności była dla Christine jak ostrze brzytwy przyłożone do skóry, a każde migocące światło jak wbita w ciało drzazga. Fobie - odezwał się głos w jej głowie. - Nie tylko fobia krwi, ale także lęk przed czernią, przed ciemnością, przed igłami, przed zastrzykami, przed bólem... Ksenofobia. Nyktofobia. Algofobia. Każdy z nich ma swoją nazwę. I ten największy, że zwariuje z powodu wszystkich poprzednich, on odpowiednio się nazywa. Psychofobia - lęk przed chorobami psychicznymi... Zdołała je ujarzmić, trzymać w rozsądnych granicach dzięki środkom uspokajającym i terapiom, nigdy jednak nie udało jej się całkowicie ich pozbyć. Zawsze gdzieś się czaiły, w każdej chwili gotowe się ujawnić. Zaciśnęła zęby. To, co zobaczyła w lustrze w świetle migającej żarówki, spodobało jej się tylko częściowo. Trzydziestoletnia kobieta. Kasztanowe włosy z jasnym kosmykiem opadającym na bok twarzy, krótko ścięte za uszami. Zielone oczy. Tak, była ładna. Jednak z biegiem lat jej rysy się wyostrzyły. A w kącikach oczu pojawiły się dyskretne jeszcze zmarszczki. Za to jej ciało było dokładnie takie samo jak przed dziesięciu laty: wąskie biodra i płaska klatka piersiowa. Przypomniała sobie tę aktorkę, którą widziała w jakimś szwedzkim filmie: miała twarz poraną zmarszczkami, i kiedy się rozebrała i pojawiła naga przed kamerą, jej ciało - o wiele młodsze, kształtne i jędrne - wydawało się należeć do kogo innego.

Weszła pod prysznic, uważając, by nie zmoczyć opatrunku. Gorąca woda rozluźniła jej napięte od stresu mięśnie. Christine znowu pomyślała o liście. O kobiecie, która go napisała. Gdzie ona jest? Co robi w tej chwili? Czuła, jak niepokój wwierca się w jej żołądek. Dziesięć minut później ostatni raz pogłaskała Iggy'ego i z włosami mokrymi po prysznicu zamykała drzwi.

- Dzień dobry, Christine - powitała ją Michèle, sąsiadka z piętra.

Odwróciła się do tej drobnej i wyjątkowo wątej kobiety, ważącej poniżej pięćdziesięciu kilogramów, o szarych włosach zdecydowanie zbyt długich jak na jej wiek, która stała w cieniu. Christine wiedziała, że jej sąsiadka pracuje w administracji; w zachowaniu, dykcji i wizji świata kobiety było coś, co kazało się domyślać, że była pracownicą oświaty. Od czasu przejścia na emeryturę Michèle spędzała czas na obronie nielegalnych imigrantów albo praw lokatorów i brała udział we wszystkich manifestacjach piętnujących zbyt mało lewicową politykę władz miejskich. Christine była pewna, że za jej plecami Michèle i jej znajomi krytykują jej audycje, w których udzielała głosu zarówno związkowcom, jak i szefom przedsiębiorstw, przedstawicielom magistratu, a nawet miejscowej prawicy, i w których - nad czym sama ubolewała - było coraz mniej poważnych tematów.

- O czym będzie dzisiejszy program? - zaskakująco głośno zapytała sąsiadka.

- O Bożym Narodzeniu - odpowiedziała Christine. - A także o samotnych osobach, które boją się tego okresu. Przy okazji: Wesołych świąt!

Natychmiast pożałowała tej próby samousprawiedliwienia. Sąsiadka rzuciła jej niezbyt życzliwe spojrzenie.

- W takim razie powinna ją pani poprowadzić ze squatu przy rue du Professeur-Jammes. Tam zobaczyłaby pani, jak wygląda Boże Narodzenie dla rodzin, które nie mają w tym kraju dachu nad głową ani przyszłości...

Wal się, warknęła w duchu. Pomyślała, że kurdupelka ma całkiem ładną buzię, ale otwiera ją stanowczo zbyt często.

- Niech się pani nie martwi, któregoś dnia zaproszę i panią - rzuciła i nie czekając na windę, ruszyła w dół po schodach. - I będzie pani miała pełną swobodę wypowiedzi, obiecuję.

Zimne powietrze na zewnątrz dobrze jej zrobiło. Temperatura spadła do około minus pięciu stopni Celsjusza. Christine o mało się nie przewróciła na śliskim chodniku. Powietrze było pełne spalin i zanieczyszczeń. Na dachach zaparkowanych samochodów, parapetach i pokrywach kontenerów na śmieci leżał śnieg, a mimo to mężczyzna tam był - wśród kartonów na chodniku po drugiej stronie ulicy, wiernie trwając na stanowisku. Nawet przy takiej pogodzie wolał spać na ulicy niż w jakimś przytulisku. Christine dostrzegła jego jasne, przenikliwe i wpatrujące się w nią oczy niczym dwa blade okna pośrodku twarzy przypominającej mapę samochodową. Życie na ulicy pozostawiało na niej znaki czytelne dla wszystkich: przekrwione oczy, blizny, tiki nerwowe, drżenie rąk, brak zębów, policzki zapadnięte z powodu alkoholu, narkotyków lub głodu, skóra wytatuowana przez słońce i niepogodę, przez zanieczyszczenia powietrza. Wyłonił się spod kilku kołder, w które był

owinięty. Jego broda była biała po bokach, a w środku czarna, jak futro starego zwierzęcia. Ile mógł mieć lat? Trudno powiedzieć. Między czterdzieści pięć a sześćdziesiąt.... Spał pod bramą przeciwległej kamienicy od kilku miesięcy. Wydawało jej się, że pamięta, jak się pojawił na wiosnę. Kiedy miała czas, przynosiła mu gorącą kawę. Albo zupę. Ale nie tego ranka. Przeszła tylko na drugą stronę, z wciąż mokrymi włosami, trzymając w ręku monetę.

- Dzień dobry - odezwał się. - Niezbyt ciepło dzisiaj. Niech pani uważa, bo ślisko.

Wyciągnął dłoń. Jego krótkie paznokcie miały niemal taki sam kolor jak mitenka, z której wystawały. Śnieg pokrywał białą chodnik w odległości mniej niż dwudziestu centymetrów od jego kartonów i stosu wypchanych plastikowych toreb.

- Niech pan idzie wypić coś ciepłego - powiedziała.

Skinął głową. W jego oczach pojawił się przenikliwy błysk.

Mężczyzna lekko zmarszczył czarne, gęste brwi, wskutek czego na jego skroniach pojawiła się siatka ciemnych zmarszczek.

- Jest pani pewna, że wszystko gra? Wygląda mi pani na zmartwioną. To te troski tyle ważą, co? Wszystkie te obowiązki...

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Facet śpi na pięciostopniowym mrozie, cały jego stan posiadania to zawartość wypchanych czarnych worków na śmieci, które ciągnie za sobą wszędzie jak ślimak swój dom. Nie ma rodziny, dachu nad głową i pewnie zostało mu niewiele życia - a troszczy się o nią. Zaskoczyło ją to już za pierwszym razem, gdy podeszła do niego, by dać mu monetę. Spontanicznie zagał rozmowę, a ją prawie wbiło w ziemię: mówił wyraźnie, dobrze postawionym głosem, w którym słychać było spokojną pewność siebie. Głosem z gatunku tych, jakie przebijają się do naszych uszu przez gwar rozmowy. Który zdradza wysokie wykształcenie i obycie. Mężczyzna nigdy się nie skarżył.

Często się uśmiechał. Mówił o pogodzie i aktualnych wydarzeniach jak o dwójce starych sąsiadów. Do tej pory nie odważyła się zapytać go, jak się znalazł w tym miejscu i jaka jest jego historia. Obiecała sobie jednak, że któregoś dnia to zrobi, jeśli ten człowiek wciąż tu będzie.

- Jest pan pewien, że chce pan tu zostać? Nie ma gdzieś jakiejś noclegowni?

Posłał jej pobłażliwy uśmiech.

- Przytuliska... Domyślam się, że nigdy pani tam nie była. Nie, niech pani tego źle nie zrozumie, po prostu... te miejsca nie są zbyt... rozumie pani, co mam na myśli. Niech się pani mną nie przejmuje. Jestem twardy jak stary kojot. Piękne dni jeszcze wrócą, to tylko zły moment, który trzeba przetrwać, śliczna damo.

- W takim razie do zobaczenia wieczorem - rzuciła na odchodne.

- Dobrego dnia!

Ostrożnym krokiem (dość już miała emocji) dotarła do samochodu zaparkowanego na sąsiedniej ulicy, otworzyła drzwi od strony pasażera i wyjęła ze schowka spray do rozmrażania szyb. W ciągu nocy nie spadło dużo śniegu i warstwa na karoserii saaba 9-3 była taka sama jak poprzedniego dnia. Okrążyła maskę samochodu i znieruchomiała. Przez chwilę stała z opuszczonymi ramionami, a z jej ust wydobywały się obłoczki pary. W śniegu na przedniej szybie ktoś napisał palcem:

WESOŁYCH ŚWIĄT, PIEPRZONA KURWO

Christine zadrżała. Rozejrzała się dookoła i poczuła lekkie zawroty głowy. Panika wróciła: złowrogi palec, który napisał te słowa, z pewnością należał do kogoś, kto wiedział, że właścicielem samochodu jest kobieta.

Spryskała szybę sprayem. Włożyła pojemnik do schowka. Zamknęła saaba. I tak nie miała czasu, by jechać samochodem. Nie w tym śniegu. Ruszyła w stronę najbliższego wejścia do metra, uważając, by się nie pośliznąć.

Była spóźniona... W ciągu siedmiu lat pracy nigdy jej się to nie zdarzyło.

Ani razu.

### 3.

## CHÓR

O ósmej trzydzieści siedem prawie biegiem przekroczyła próg Radio 5. Siedziba stacji, położona w górnej części alées Jean-Jaures, była wyraźnie skromniejsza niż gigantyczne i mroczne sąsiednie budynki, które z irytacją pochylały się nad tym mikrosem i jego prowokującym szyldem:

#### MASZ GŁOS, MASZ WŁADZĘ

Tablice przy wejściu, przed windami, obwieszczały, że Radio 5 to druga pod względem liczby słuchaczy stacja w regionie Midi-Pyrénées, który jest z kolei największym regionem we Francji metropolitarnej, ma powierzchnię większą niż Belgia i taką samą jak Dania (na dowód załączono mapę Europy). Goście byli informowani o wadze misji pełnionej przez stację, jeszcze zanim dotarli na piętro, gdzie znajdowała się redakcja i studia. Jeśli moja misja jest tak istotna, to dlaczego tak mało mi płacą? - pomyślała Christine. Skinęła głową recepcjonistce na parterze, a następnie, gdy dojechała windą na drugie piętro, rzuciła się w stronę niewielkiego, całkowicie przeszklonego pomieszczenia, w którym znajdowały się automaty z kawą i dystrybutory wody. Przygotowała sobie espresso macchiato z ziaren Arabica 100%, fair trade.

- Ktoś tu się spóźnił - wymruczał jakiś głos wprost do jej ucha. - Dobrze by było się pośpieszyć. Bo szef się wścieknie.

Wyczuła znajomy zapach perfum La petite Robe noire, których właścicielka stała tuż za jej plecami. Zbyt blisko.

- Zaspałam - odparła, zanurzając wargi w śmietance.

- Mmm... Ktoś się oddawał cielesnym igraszkom, co?

- Cordélio!

- I nie chce o tym rozmawiać?

- Nie.

- Cóż za skrytość. Nigdy nie widziałam tak skrytej osoby. Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć, Christine.

- Nie, nie sadzę.

- Pracujemy razem już dziesięć miesięcy, a ja nic o tobie nie wiem. Poza tym, że jesteś

pracowitą, obowiązkową, inteligentną i ambitną profesjonalistką. Gotową na wszystko, żeby pisać się w górę. W sumie tak jak ja, tylko że ja miałabym ochotę wspiąć się na ciebie...

Christine odwróciła się i znalazła się twarzą w twarz z mającą metr osiemdziesiąt dryblaską, ważącą na oko jakieś sześćdziesiąt kilogramów.

- Wiesz, że za coś takiego mogłabym ci załatwić zwolnienie?

- Za coś jakiego?

- Za mówienie takich rzeczy. To się nazywa molestowanie.

- M o l e s t o w a n i e? O mój Boże! - Młoda stażystka zrobiła minę osoby do głębi wstrząśniętej, komicznie układając usta w kółko podkreślone dwoma małeńkimi stalowymi kuleczkami w dolnej wardze. - Jezu! Ja mam dziewiętnaście lat! Jestem stażystką! Mam głodową pensję! Chyba nie zrobiłabyś czegoś takiego?

- Nie jesteś moją koleżanką, jesteś moją asystentką. I gdybym była w twoim wieku, nie mieszałabym się w życie dorosłych. - Słowo „dorosłych” wymówiła z naciskiem.

- Czasy się zmieniają, maleńka.

Cordélia pochyliła się i przełożyła ramię pod ręką Christine, by wrzucić monetę do automatu, który stał za plecami prezenterki. Wybrała cappuccino. Ich twarze prawie się stykały. Oddech stażystki pachniał kawą i papierosami.

- Co zrobiłaś z włosami? - zapytała Christine, z pośpiechem pijąc kawę, która parzyła ją w język.

- Kolor. Taki jak twój. Podoba ci się?

Do tej pory Cordélia miała na głowie zestawienie platynowego blondu i czerni. Zawsze też miała papierosa zatkniętego za ucho, jak stary włóczęga, nadmiar maskary na rzęsach i nosiła koszulki z długim rękawem i napisami w stylu *Even the Paranoid have Enemies*.

- A to ważne, czy mi się podoba?

- Nawet nie wiesz jak bardzo - odpowiedziała dziewczyna i trzymając w dłoni kubek, pchnęła przeszklone drzwi.

\*

- Widziałas, która jest godzina? - odezwał się Guillaumot, dyrektor programowy.

Guillaumot nie pracował dla radia. On poślubił radio. A ściślej mówiąc, zanim został dyrektorem programowym, poślubił właścicielkę Radio 5. Jego małżonka była zarazem jego dyrektorką i osobą wypłacającą pensję. Mężczyzna dostał wrzodów żołądka, które leczył sukralfatem. Stracił też wszystkie włosy i nosił perukę godną Beatlesów w wersji z roku 1963. Z punktu widzenia Christine - reprezentantki ligi niezamężnych kobiet w wieku 20-60 lat - można było o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest atrakcyjny. Był nawet nieco

odstręczający. Jak pokój, w którym od dawna nie otwierano okiennic. I wyglądał, jakby wiecznie przygniatał go jakiś tajemniczy ciężar. Być może owym brzemieniem był fakt utrzymywania przy życiu stacji, której oferta nie opiera się na szlagierach dla nastolatków, oraz odpowiedzialność przed dyrekcją, której coraz mniej zależy na jakości programów, a coraz bardziej na słuchalności.

- Ja też ci życzę wesołych świąt - odparła, zanurzając się w hałaśliwy labirynt pomieszczenia redakcji. - Jak tam prasówka? - rzuciła w kierunku Ilana. - Wesołych świąt, przy okazji.

- Wesołego czego?

Ilan siedział przy swoim biurku, które sąsiadowało z biurkiem Christine. Uśmiechnął się do niej i wskazał na wycinki z prasy przychepione do ściany. Na ścianie znajdował się również zegar, który w formie świetlnych punkcików pokazywał upływające sekundy.

- Gotowa - odpowiedział Ilan. - Czekaliśmy tylko na ciebie.

Wzięła do ręki marker i długopis i przystąpiła do szybkiej lektury. Ilan jak zwykle wykonał świetną robotę.

- Dobrze - rzuciła, przeglądając artykuł z „Le Parisien” na temat izby porodowej w Betlejem, znajdującej się o rzut kamieniem od Bazyliki Narodzenia Pańskiego i prowadzonej przez katolickie zakonnice, której dziewięćdziesiąt procent pacjentek stanowiły Palestynki - muzułmanki. Przebiegła wzrokiem pozostałe teksty Angielscy lordowie rezygnują z gęsiich wątróbek (tło muzyczne: *God Save the Queen* w wykonaniu Sex Pistols). Gigantyczna bożonarodzeniowa szybka randka w Korei Południowej („macie jakiś pomysł na upragniony prezent gwiazdkowy każdego singla?”). Około dwudziestu lotów z lotniska w Blagnac odwołanych z powodu trudnych warunków pogodowych („zanim wyjedziecie z domu, skontaktujcie się telefonicznie ze swoim przewoźnikiem”).

- A coś takiego jak oddział pomocy społecznej zagrożony likwidacją cię nie interesuje?  
- odezwał się szczekliwy głos za jej plecami.

Odwróciła się na fotelu. Becker, dyrektor sekcji informacyjnej. Mierzył ją wzrokiem z wysokości swoich stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu. Przysadzisty mężczyzna w brązowym swetrze, który uwypuklał jego umięśnioną, ale i korpulentną sylwetkę. On także łyśiał, ale nie nosił peruki. Jak wszyscy dziennikarze radiowi Becker uważał się za uosobienie prawdziwej szlachetności zawodu, za człowieka z misją, podczas gdy prezenterzy byli w jego oczach komikami, zabawiaczami publiczności. Nie miał zresztą w swoim zespole ani jednej kobiety.

- Cześć, Becker. Ja też ci życzę wesołych świąt.



- Steinmeyer, czy takie słowa jak „solidarność”, „wykluczenie”, „hojność” nie należą do twojego słownictwa? A może wolisz mówić o polowaniu na prezenty albo o najładniejszej szopce?

- Ta jednostka jest w Concarneau, nie w Tuluzie.

- Ach tak? Więc jak to się stało, że mówili o tym nawet w ogólnokrajowym dzienniku telewizyjnym? Ale to pewnie zbyt mało zabawne dla twoich słuchaczy. Nie słyszałem też u ciebie nic na temat pozwolenia na sprzedaż lekarstw przez Internet ani o całkowitym zakazie sprzedaży alkoholu osobom poniżej dwudziestego piątego roku życia...

- Miło się dowiedzieć, że słuchasz mojego przeglądu prasy.

- Ty to nazywasz przeglądem prasy? Dla mnie to ściema. Przegląd prasy powinni robić prawdziwi dziennikarze - oświadczył i przeniósł wzrok z Christine na Ilana, a potem przez dłuższą chwilę spoglądał w górę na Cordélię. - Na tym polega problem tego przeklętego radia. Zapomina się, że radio to przede wszystkim informacja...

Z niewzruszoną miną przyglądała się, jak mężczyzna się oddala. W Radio 5 było tak samo jak we wszystkich stacjach radiowych i telewizyjnych na świecie: stosunki między pionem informacji, kierownictwem programowym i popularnymi prezenterami często bywały napięte, a nieraz wręcz nie do zniesienia. Obmowa, pogarda i wzajemne obelgi były na porządku dziennym. Im bardziej zaś źródłem problemów dla wszystkich stawał się Internet, tym liczniejsze były konflikty.

Christine westchnęła, odchyliła się w fotelu i odwróciła w stronę swoich asystentów.

- Okay, zaczynamy Gotowi?

- Jaki mamy lead? - zapytał Ilan.

Siedział odwrócony plecami do niej. Christine miała widok na jego jarmużkę. Uśmiechnęła się. Na znak solidarności z kolegami Ilan założył „święteczną” jarmużkę w emotikony.

- „Nie tylko Jezus urodził się w Betlejem” - odpowiedziała.

Entuzjastycznie kiwnął głową.

- A właśnie, coś takiego do ciebie przyszło.

Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Na rogu jej biurka leżała koperta bąbelkowa. Christine ją otworzyła. W środku znajdowała się stara płyta CD z operą Verdiego *Trubadur*. Nie znosiła opery.

- To musi być dla Brunona - powiedziała.

Bruno był odpowiedzialny za oprawę muzyczną.

- Jest z nami doktor Bercowitz, neurolog, psychiatra, etolog i psychoanalityk, autor licznych fachowych publikacji. Dzień dobry, panie doktorze. Będziemy dziś rozmawiać o tych osobach, dla których święta Bożego Narodzenia są trudnym doświadczeniem.

Dwudziestego piątego grudnia, minutę po dziewiątej, psychiatra czekał w studiu na pytanie Christine. Bercowitz był profesjonalistą zaprawionym w występach radiowych. Specjalistą od komunikacji. Lubił to, czym się tu zajmował, i to było słyszeć. Jego głos zdradzał serdeczną osobowość o niekwestionowanym autorytecie, jego język nie był ani zbyt naukowy, ani przesadnie potoczny. Przede wszystkim jednak potrafił nawiązać więź ze słuchaczem - jakby siedział nie przed radiowym mikrofonem, ale w jego kuchni czy salonie. Bercowitz był dla radia idealnym ekspertem i Christine wiedziała, że niedawno otrzymał propozycję ze strony pewnej rozgłośni publicznej.

- Doktorze - zaczęła - znowu mamy święta. Świąteczka, blask radości w oczach dzieci... Ale błyszczą nie tylko oczy dzieci, także dorosłych. Dlaczego w tym okresie jesteśmy tacy uczuciowi?

Słuchała odpowiedzi jednym uchem. Bercowitz zagłębiał się w temat nieśpiesznie, by słuchacz mógł się przyzwyczaić do jego głosu. Dotarły do niej tylko urywki: „Boże Narodzenie odsyła nas do naszego dzieciństwa”; „Fakt, iż na całej ziemi miliardy ludzi równocześnie świętują to samo, budzi intensywne, krzepiące poczucie więzi z innymi”; „Poczucie wspólnoty podobne do tego, którego dostarczają wielkie imprezy sportowe, a czasem też tragiczne wydarzenia, takie jak wojny”. Christine zauważyła, że w jego głosie jak zwykle słyszeć odrobinę za dużo samozadowolenia, ale nie stanowiło to dla niej problemu. Była już skupiona na kolejnym pytaniu:

- Może pan nam wyjaśnić, dlaczego w tym czasie, gdy większość z nas się cieszy, niektórzy ludzie przeżywają lęk i cierpienie? Zresztą jest ich całkiem sporo.

- Paradoksalnie wtedy, kiedy jedni ludzie przeżywają intensywne poczucie wspólnoty, ci, którzy są samotni, mocniej doświadczają swojego wykluczenia - odpowiedział, zabarwiając głos dokładnie odmierzoną dawką współczucia. - Więzy rodzinne nie są dziś tak ważne jak kiedyś: wiele rodzin rozpada się, nie tylko fizycznie, ale także ze względu na wyznawanie różnych systemów wartości. W moim gabinecie spotykam pacjentów, którzy zdradzają objawy niepokoju na miesiąc przed Bożym Narodzeniem, a im bliżej świąt, tym bardziej są nerwowi. Nie należy też zapominać o tym, że na nasze emocje silnie w tym czasie działają wystawy sklepowe, uliczne dekoracje, reklamy... Nasza podświadomość jest bombardowana bodźcami. Dla kogoś, kto nie lubi Bożego Narodzenia, ponieważ wie, że będzie sam i w dodatku nie ma pieniędzy, te bodźce są nieustannym źródłem konfliktu

między społecznym nakazem radości a jego rzeczywistą sytuacją. Poza tym Boże Narodzenie wydobywa na światło dzienne nie tylko wszystkie blaski, ale także cienie dzieciństwa.

Na te słowa żołądek Christine zareagował lekkim skurczem.

- Oczywiście nie możemy położyć się spać dwudziestego trzeciego grudnia i obudzić się drugiego stycznia - podkreśliła. - Co mogą zrobić takie osoby, żeby przeżyć ten czas bez popadania w zbyt wielkie przygnębienie?

- Przede wszystkim postarać się o to, by nie spędzać tego wieczoru samotnie. Możemy stworzyć sobie rodzinę zastępczą. Świątować Boże Narodzenie z przyjaciółmi, a nawet z sąsiadami, z którymi dobrze się dogadujemy. Jeśli znajomi was lubią, na pewno chętnie was zaproszą. Muszą tylko wiedzieć, że jesteście sami: nie wstydźcie się im o tym powiedzieć. Możecie też zaangażować się w jakąś akcję dobroczynną, solidaryzując się z innymi. Z pewnością dostarczy wam to dużej satysfakcji płynącej z poczucia bycia potrzebnym, zrobienia tego wieczoru jakiejś sensownej rzeczy. Stowarzyszenia, banki żywności, ośrodki pomocy bezdomnym zawsze potrzebują wolontariuszy. A jeśli nie, zawsze można zmienić otoczenie. Jeśli możecie, wyjeździecie. Dzięki temu skupicie uwagę na nowych rzeczach.

Wyjechać... Wyjechać, zamiast stawić czoło rodzicom, świętom, kolacji. Słowa psychiatry wpadały do jej umysłu jak monety do kościelnej skarbonki.

- A co z tymi, którzy nie mają ani środków, by wyjechać, ani przyjaciół, którzy by ich zaprosili, ani sił czy zdrowia do zaangażowania się w wolontariat? Czy jest coś, co my moglibyśmy dla nich zrobić? - zapytała z nieoczekiwaniem ściśniętym gardłem.

Cholera, co się ze mną dzieje? Oczami wyobraźni zobaczyła kobietę ze swojego snu: *Nic pani nie zrobiła.*

- Oczywiście - odpowiedział Bercowitz, patrząc jej prosto w oczy, jakby wyczuł jej niepokój. - Zawsze można coś zrobić...

Za szybą oddzielającą studio od reżyserki Igor - realizator programu, trzydziestoletni brodacz o długich, tłustych włosach - schylił się do swojego mikrofonu.

- Trochę szybciej, doktorze - powiedział.

Psychiatra skinął głową. Odwrócił się do Christine.

- Bardziej niż kiedykolwiek powinniśmy być uważni na sygnały alarmowe. Samotny sąsiad. Jakieś dwuznaczne słowa, które mogą być wołaniem o pomoc.

*Zostawiła mnie pani,* powtarzała kobieta ze snu. Nagle pomieszczenie o powierzchni cztery na cztery metry, z przeszkloną ścianą oddzielającą je od reżyserki i drugą, zasłoniętą roletami, za którą była redakcja, bez innych źródeł dopływu powietrza prócz klimatyzacji, wydało jej się duszną klatką. Miała wrażenie, że temperatura w studiu rośnie.

Bercowitz mówił.

I patrzył na nią.

Jego małe usta poruszały się, ale Christine go nie słyszała.

Słyszała inny głos. *Nic pani nie zrobiła.*

- Dziesięć sekund - odezwał się w jej słuchawkach głos Igora.

Przez chwilę nie zorientowała się, że psychiatra skończył mówić. Nastąpiło półsekundowe milczenie. Nic nieznacząca chwila w skali dnia czy życia. Ale dla słuchaczy - wieczność. Igor wpatrywał się w nią zza szyby. To samo robił Bercowitz, który wyglądał w tej chwili jak zawodnik rugby rozpaczliwie czekający, aż jego partner zajmie wreszcie pozycję, by złapać piłkę.

- Hmm, dziękuję - powiedziała. - A teraz przejdziemy... przejdziemy do pytań naszych słuchaczy.

Była dziewięta dwadzieścia jeden. Christine, cała czerwona, wlepiła oczy w monitor swojego maca, podczas gdy zdezorientowany Igor puścił dżingla. Na niecierpliwie migocącym ekranie pojawiła się informacja o trójce słuchaczy na linii: linia pierwsza, linia druga, linia trzecia. Były także esemesy. Słuchacze mieli możliwość zadawania pytań tą drogą, pozostawienia wiadomości albo też zabrania głosu na żywo. W tym ostatnim wypadku najpierw rozmawiała z nimi koordynatorka, która oceniała jakość połączenia, wagę pytania oraz łatwość wypowiedzania się jego autora, i przekazywała Christine krótkie komentarze.

Prezenterka natychmiast zauważyła słuchacza numer jeden: Trzydzieści pięć lat. Architekt. Singiel. Koordynatorka opisała go w entuzjastycznych słowach: „Inteligentny, rzeczowe pytanie, przyjemny głos, swoboda wypowiedzi, lekki akcent: rewelacja”. Jak zwykle postanowiła zostawić go na koniec. Dała znak Igorowi, by włączył drugą linię.

- Mamy pierwsze pytanie - powiedziała. - Jest z nami Reine. Dzień dobry Reine. Mieszka pani w Verniolle, ma pani czterdzieści dwa lata i jest pani nauczycielką.

Słuchaczka numer dwa, jak ją o to poproszono, podała w skrócie parę informacji biograficznych, po czym zadała pytanie. Psychiatra rzucił się na nie łapczywie i odpowiadał mruczącym głosem. Christine pomyślała, że będzie jej go brakowało, gdy odejdzie ku swojemu przeznaczeniu w stacji o krajowym zasięgu.

Następnie poprosiła doktora, by odpowiedział na esemesy. A potem oddała głos Samii, która czekała na trzeciej linii.

- Dziękuję - powiedziała, gdy lekarz udzielił odpowiedzi. - Ostatnie pytanie. Mathias, słuchamy pana.

Numer jeden.

Dziewięta trzydzieści.

Skinęła, by Igor otworzył połączenie.

- Nie czujesz się źle z tym, że pozwoliłaś komuś umrzeć?

Na ułamek sekundy zaskoczenie wbiło ją w fotel. Głos był mocny i dobitny. Niski, ciepły, a zarazem głęboki tembr, lekko świszczące końcówki wyrazów. Można było sobie wyobrazić usta gotowe zwierzać się na ucho lub szeptać groźby, i osobę zdolną do wprowadzenia ich w czyn. Coś śliskiego i pełzającego... Christine nie wiedziała dlaczego, ale miała wrażenie, że facet, który z nią rozmawia, znajduje się w ciemności. Jej ciało przebiegł długi dreszcz i zadała sobie pytanie, czy aby jej mózg nie przeinacza właśnie jakichś o wiele bardziej błahych słów. Ale nie. Głos mówił dalej:

- Mówisz o solidarności, ale pozwoliłaś, żeby w wigilijny wieczór ktoś popełnił samobójstwo. A przecież ten ktoś wzywał cię na pomoc.

Napotkała spojrzenie psychiatry. Otworzył usta i zamknął je, nie odezwawszy się słowem.

- Jakie... jest... pańskie... pytanie? - Własny głos wydał jej się bezbarwny. Pozbawiony wyrazu. Niemający nic wspólnego z tym giętkim i posłusznym narzędziem, o niemal erotycznym brzmieniu, którym posługiwała się na co dzień.

- Więc jaka ty właściwie jesteś?

Poczuła, że jej dłonie są wilgotne od potu. Zobaczyła wytrzeszczone oczy Igora za szybą oraz odbicie własnej osłupiałej twarzy. Wreszcie podniosła rękę, dając mu znak, by przerwał połączenie.

- Eee... Dziękuję. Dziękuję też panu Bercowitzowi za jego cenne nauki. A wszystkim słuchaczom życzę wesołych świąt.

Rozległa się melodia z czołówki programu: *Notion*, Kings of Léon. Christine odchyliła się na oparciu, oszołomiona, jakby jej krew się zbuntowała i odmówiła krążenia. Brakowało jej powietrza. Dusila się w ciasnej przestrzeni studia, w której wciąż rozbrzmiewały słowa tego mężczyzny

Zobaczyła, jak Igor pochyla się do mikrofonu. W słuchawkach rozległ się jego głos:

- Czy ktoś może mi, kurwa, powiedzieć, co się dzieje? Christine, do cholery, spałaś czy co?!

\*

- Trzeba go było od razu wyłączyć - powiedział dyrektor programowy z przyganą w głosie. - Na samym początku, jak tylko odezwał się do ciebie na ty. Nie powinnaś go trzymać na antenie.

Guillaumot patrzył na nią zagniewany. Jego głos dochodził do niej przez grubą warstwę oszołomienia jak przez filtr. Tak jakby jej mózg był obity tą samą wyściółką o specjalnych właściwościach akustycznych co ściany studia. Wszędzie były przyciski - włącznik na mikrofonie i mnóstwo guzików w reżyserce do miksowania dźwięku, włączania muzyki, reklamy, dodawania efektów dźwiękowych, nigdzie jednak nie było klawisza, który mógłby zatrzymać hałas w jej głowie.

- Christine, co się z tobą dzisiaj dzieje? - zapytała Salomé, koordynatorka. - To była prawdziwa masakra.

- Jak to?

- Twoje zachowanie nie było... Cholera, zostawiłaś tę pieprzoną dziurę! Wyglądałaś na kompletnie nieobecna! - Oczy Salomé za szklami okularów były pełne potępienia. - Nie zapominaj, że jesteś twarzą tej stacji, kochana. A raczej jej głosem. Słuchacze muszą sobie wyobrazić osobę wesołą, pozytywną. Zawodowca, a nie kogoś, kto ma wszystko gdzieś i ma takie same problemy jak oni!

Niesprawiedliwy wydzźwięk tej uwagi obudził ją.

- Dzięki, ale wykonuję tę robotę od siedmiu lat. Żebym się choć raz skarżyła! Poza tym, kto wpuścił tego świra na antenę?

Zobaczyła, że oczy Salomé zapłonęły z wściekłości. Był poślizg. Czyżby istniał jakiś związek?

- Czy mogłabym... to odsłuchać? - zapytała.

Wszystkie audycje były nagrywane. Nagrania przechowywano przez miesiąc, a następnie wysyłano do Naczelnej Rady Radiofonii. Wszystkie incydenty były przedmiotem debriefingu, tak jak działo się to teraz.

- Co? - zawołał Igor, ruchem głowy odrzucając kręcone włosy, które opadały mu na twarz i brodę. - Ale po co, do kurwy nędzy?

Dyrektor programowy podejrzliwie zmierzył ją wzrokiem.

- Znasz tego człowieka? Masz jakieś przypuszczenia, co mogła oznaczać ta historia z samobójstwem?

Pokręciła głową. Poczwała na sobie ciężar ich spojrzeń.

- Mamy jego numer w pliku. Zawiadomimy gliny - powiedziała Salomé.

- I co dalej? Co oni zrobią? Zatrzymają go za czynną zniewagę na falach radiowych? - ironizował Igor. - Dajcie spokój... To tylko kolejny wariat. Jak to było u Audiarda? „Błogosławieni pęknięci, albowiem przez nich przejdzie światło”.

- Ja traktuję to bardzo poważnie - odparował dyrektor programowy. - To była audycja

bożonarodzeniowa, do cholery! Facet na antenie oskarża nas, że pozwalamy ludziom popełnić samobójstwo! Wobec pięciuset tysięcy słuchaczy!

\*

- Gérald?

- Chris? Co się dzieje? Masz dziwny głos.

Stała przed automatem z kawą, z dala od uszu redakcyjnych kolegów. Nie zapaliła światła, więc pomieszczenie było pogrążone w półmroku. Tylko blask śniegu wpadający przez okno odbijał się od szyby maszyny. Przed chwilą minęła Beckera, który posłał jej słodki uśmiezek, jakby rzeczywiście słuchał jej audycji.

- List. Masz go jeszcze? - rzuciła do słuchawki.

- Co? - Po drugiej stronie wyczuła mieszaną zaskoczenia i irytacji. - Tak... no, tak mi się zdaje - powiedział.

- Gdzie?

- Hmm, musiał zostać w schowku, tak sądzę. Cholera, Chris, tylko mi nie mów, że...

- Jesteś u siebie?

Wyczuła, że się waha.

- A... nie, jestem w biurze.

Chwila wahania i ten dziwny ton. Tak jakby miał zamiar ją okłamać i ostatecznie się rozmyślił. Poczucia, jak w jej wnętrzu uruchamia się system alarmowy. Nauczyła się rozpoznawać kłamstwka Géralda - jak wtedy, kiedy chciała ściągnąć film i odkryła, że poprzedniego wieczoru ściągał pornosa. Udawał, że to pomyłka, że zamierzał ściągnąć co innego. A ona wiedziała, że to nieprawda.

- W biurze? W Boże Narodzenie?

- No... Miałem pilną sprawę do załatwienia. Chris, jesteś pewna, że wszystko w porządku?

- Pamiętasz, że za dwie godziny mamy spotkanie u moich rodziców?

W słuchawce rozległo się parsknięcie, które brzmiało, jakby mężczyzna kichnął.

- Chris, to nie jest coś, o czym można by zapomnieć.

#### 4.

### BARYTON

Pstryk. Nie jest pewna tego, co zobaczyła. Złudzenie. Autosugestia. Jej umysł odtwarza scenę szczegół po szczególe. Jak w aparacie fotograficznym. Pstryk. Pstryk. Ogarnia całość. Pstryk. I za każdym razem powraca do tego samego miejsca. Jak w niemych kinie z lat dwudziestych XX wieku obraz z kamery - drżący, podskakujący, pełen rys, coraz ściślej zacieśnia się wokół jednego elementu. Ich dłoni.

A potem na czarnym ekranie jej umysłu pojawiają się linijki dialogu: ich dłonie, widziałaś je, tak czy nie? Spoczywały obok siebie, kiedy otworzyłaś drzwi. Blisko, zbyt blisko... Ale jaki to był rodzaj bliskości? Pokonała opustoszałe korytarze Wyższego Instytutu Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej i nucąc zapomnianą piosenkę Chrisa Rea *Driving Home for Christmas*, pchnęła drzwi. Płatki śniegu na jej białej kurtce jeszcze nie stopniały. Z powodu zimna panującego na zewnątrz płonęły jej policzki.

- Cześć - rzuciła trochę głupio, gdy ich ujrzała.

Widok Denise zaskoczył ją. Dziewczyna była nie mniej zdumiona. Christine wyczytała to w jej oczach. Zobaczyła też zaskoczenie w oczach Géralda. A później jej spojrzenie uchwyciło ten ruch, trochę niżej... Ich dłonie. Spoczywające na krawędzi biurka. Jego lewa ręka, silna i opalona, tuż obok jej prawej dłoni - delikatnej, eleganckiej, o doskonale wypielęgnowanych paznokciach. Nie potrafiłaby powiedzieć, które z nich odsunęło dłoń: dostrzegła tylko ruch. Czy w chwili gdy weszła do pomieszczenia, trzymali się za ręce? Nie miała pewności. Była natomiast pewna ich zakłopotania. Oczywiście to niczego nie dowodzi - zaoponował głos rozsądku w jej głowie. Gdyby to ona znajdowała się w jakimś pomieszczeniu blisko obcego mężczyzny, a Gérald wszedłby bez uprzedzenia, z pewnością także poczułaby się zmieszana. Tak. Ale nic takiego jak do tej pory nie zaszło. A ta dwójka nie po raz pierwszy była tak blisko siebie. Zdarzało się to już na przyjęciach czy grillach. Teraz zaś znajdowali się sami w - można powiedzieć - pustym budynku. W Boże Narodzenie. A nie powinno ich tu być. Christine postanowiła, że zrobi Géraldowi niespodziankę, i jeśli chodzi o efekt zaskoczenia, to owszem, udało się. Jej niespodzianka była pełnym zaskoczeniem: dla wszystkich.

- Cześć - powiedziała i więcej się nie odezwała.

Zamilkła.

Poczuła, jak jej policzki purpurowieją. Tak jakby to ją przyłapano na gorącym uczynku.



Ale na jakim uczynku? A może był to tylko efekt różnicy między temperaturą na zewnątrz - także w jej saabie ze szwankującym ogrzewaniem - a ciepłem panującym na korytarzach.

Ale przecież zapukała. Jej mózg zarejestrował godzinę, którą wskazywał ścienny zegar. Była dwunasta dwadzieścia jeden.

- Dzień dobry, Christine - odpowiedziała Denise. - Jak się masz?

Być może Denise nosiła staroświeckie imię, ale poza tym w pełni podążała za modą. Miała dwadzieścia pięć lat. Była dość drobna, ale za to piękna, miała uśmiech, który u dentysty kosztowałby fortunę i solidny mózg doktorantki. Oraz oczy o głębokiej, mglistej barwie ulubionego trunku Géralda. Oczy w kolorze Caipirinha. Bez lodu. Gérald był promotorem jej doktoratu w Instytucie. Christine zwykła dzielić przyjaciółki narzeczonego na trzy kategorie: nieszkodliwe, zainteresowane, niebezpieczne. Dla Denise trzeba było stworzyć odrębną kategorię: w najwyższym stopniu zainteresowana/zdecydowanie nie nieszkodliwa/b a r d z o niebezpieczna... A sądzisz, że jak się mam? Zastaję cię sam na sam z moim przyszłym mężem w Boże Narodzenie w pustym budynku, choć zarówno ciebie, jak i jego nie powinno tutaj być, jesteście tak blisko siebie, że prawdopodobnie gdyby tylko siedział, już dawno wślazłabyś mu na kolana, z tym wielkim zapalem doktorantki ocierającym się o nabożne uwielbienie. Więc jak mam się mieć?

Zdrowy rozsądek nakazywał jej jednak zachowanie umiaru.

Prawdopodobnie Gérald nie widział tego w ten sposób - mężczyźni zresztą nigdy w ten sposób nie patrzą. Spojrzała na niego ukradkiem. W odpowiedzi posłał jej ten uśmiech, który potrafiła określić tylko jednym słowem: *relax*. Uśmiech, który miał moc ją pokrzepić i uspokoić. Ale nie tym razem. O nie. Tym razem zauważyła, do jakiego stopnia ten uśmiech jest objawem nie rozluźnienia, ale automatyzmu - zwykłego odruchu mięśni jarzmowych. Dostrzegła w nim domieszkę nerwowości. A może rozdrażnienia?

- Nie mieliśmy się spotkać u twoich rodziców? - zapytał.

Jakby na sygnał Denise odsunęła się od biurka, odpychając się od blatu ślicznymi ramionami.

- No dobrze, to ja już pójdę. Ostatecznie życie to nie tylko praca. Zresztą to może zaczekać do środy. Wesołych świąt, Christine. Wesołych świąt, Géraldzie.

Nawet jej głos był doskonały. Lekko ochrypy, dokładnie tak jak trzeba. Christine usłyszała, że odpowiada to samo, choć w głębi serca bynajmniej nie życzyła jej niczego wesołego. Zobaczyła, jak odchodzi, ujrzała jej doskonały tyłek w obcisłych dżinsach. Także doskonałych. Przez zamknięte drzwi usłyszała oddalające się stukanie obcasów w doskonale cichych korytarzach Instytutu.

- Co się dzieje? - zapytał. - Ciągłe chodzi o ten list?

Wyglądał na niezadowolonego. Czyżby miał inne plany na najbliższą godzinę?  
Przestań.

- Masz go?

Zasłonił się wymijającym gestem.

- Mówiłem ci, musiał zostać w samochodzie. Nie sprawdzałem. Christine, psiakrew, nie będziemy tego zaczynać od nowa!

- To nie potrwa długo. Pójdę z listem na komisariat i spotkamy się u moich rodziców, jak było umówione.

Teraz on odsunął się od biurka i ze zrezygnowaną miną sięgnął po wełniany płaszcz i szalik.

- Nie masz wrażenia, że tego już trochę za wiele? - zapytał, gdy szli korytarzem.

- Co tu robisz w Boże Narodzenie? - Nie potrafiła powstrzymać pytania.

- Co? Miałem sprawę do załatwienia.

- A Denise? Miała tę samą sprawę? - wymknęło jej się i natychmiast tego pożałowała.

- Co masz na myśli? - Jego głos działał jak termometr, na którym słupek rtęci opadł właśnie w zawrotnym tempie.

- Nic.

Pchnął szklane drzwi wychodzące na parking. Uderzył w nich gwałtowny podmuch wiatru, który znowu niósł z sobą płatki śniegu.

- Ależ tak, dokończ myśl. Co sugerujesz? - Był troszkę za bardzo poirytowany. Gérald zawsze się wkurzał, gdy czuł się na czymś przyłapanym.

- Niczego nie sugeruję. Nie podoba mi się, że ona tak się koło ciebie kręci.

- Denise się koło mnie nie kręci. Jestem promotorem jej doktoratu. A ona jest pasjonatką. Tak jak ja. Powinnaś to zrozumieć. Ty też lubisz swoją robotę, nie? Masz przecież tego asystenta, tego... Ilana, który je ci z ręki. I zdaje się, że pracowałaś w Boże Narodzenie?

Jego argumenty były logiczne, choć Christine wyczuwała, iż ta logika jest nieco naciągana, a ton, jakim mówił, trochę sztuczny. Otworzył samochód, schylił się i sięgnął do środka, po czym wyprostował się z listem w dłoni. Jego grzywka tańczyła na wietrze, opadając na okulary.

- Na razie - powiedział sucho.

Odszedł w stronę budynków. Christine otworzyła saaba i usiadła na miejscu kierowcy. Wewnątrz panował chłód. Przez dzinsy poczuła lodowatą skórę fotela. Przekręciła klucz w

stacyjce. Radio i dyszący nawiew ogrzewania odezwały się w tym samym momencie. Lou Reed śpiewał, że mamy wspaniały dzień. Coś takiego. Zapaliła światła, uruchomiła wycieraczki, by usunąć z szyby cienką warstwę śniegu, rzuciła okiem na tylny fotel, na którym piętrzyły się zapakowane prezenty. Poprzedniego dnia po pracy odwiedziła kilka sklepów i hipermarketów. Kupiła dla matki ciepły i elegancki zimowy płaszcz, dla Géralda pełną kolekcję filmów Kubricka z gratisem w postaci książki *The Stanley Kubrick Archives*, a dla siebie komplet sprostnej bielizny (oglądając się w lustrze przymierzalni, wyobrażała sobie, jakie wrażenie zrobi na Géraldzie, i pomysł, by otworzyć mu drzwi w takim stroju rozbawił ją i sprawił, że się uśmiechnęła, ale teraz, po tym jak zobaczyła Denise, nie wydawał jej się już tak dobry). Najdłużej szukała prezentu dla ojca. W ostatniej chwili przypomniało jej się, że przez dwa lata z rzędu kupowała mu wieczne pióro i w końcu postanowiła nabyć tablet: najtańszy, jaki był w sprzedaży.

Na prośbę matki kupiła także ostrygi, figi, parmezan, świąteczne bułeczki nadziewane owocami w cukrze, słodkie białe wino do smażonych wątróbek oraz specjalną świąteczną kawę. Wyobraziła sobie girlandy, świece, polana jabłoni i dębu płonące w kominku, i jak zawsze, kiedy miała odwiedzić rodziców, co z każdym rokiem zdarzało jej się coraz rzadziej, poczuła, że robi jej się niedobrze. Potem zauważyła samochód Denise, czerwono-białego mini, który wciąż stał na parkingu... Nieoczekiwanie poczuła lekki zawrót głowy.

Spojrzała w stronę budynków.

Jakiś głos w środku mówił jej, żeby zaczekała, aż wyjdą, ale inny, mocniejszy, rozkazał, by nic nie robiła i szybko stamtąd spadała. Postanowiła posłuchać tego drugiego. Powoli ruszyła, jadąc po śniegu, który pokrywał parking jak cienka warstwa talku. Drugi głos wyrzucał jej brak zaufania: oto kim jest - paranoiczką. Nie ma żadnego powodu do zazdrości. Denise nie jest ani pierwszą, ani ostatnią laską kręcącą się koło jej faceta, to wszystko.

Muszę się nauczyć ufać innym. A przede wszystkim jemu.

Wiedziała aż za dobrze, skąd bierze się w niej ten brak zaufania. Jak można zaufać komukolwiek, kiedy zostało się zdradzoną przez jedyną osobę na świecie, której nie wolno było tego zrobić? Tak. To stamtąd brało się wszystko. Z tej czarnej dziury, która przez tyle lat pochłaniała światło. Obecność Denise w biurze Géralda niczego nie oznaczała. Oczywiście, że nie. Po prostu w najgorszym momencie przypomniawszy jej o swoim braku zaufania do samej siebie. Znajdowali się w miejscu pracy, nie w hotelowym pokoju ani w samochodzie zaparkowanym w środku lasu: Mój Boże, przecież oni razem pracują! W końcu nie jest winą twojego faceta, że jego najlepsza badaczka jest atrakcyjna. I inteligentna.

I sympatyczna. I niebezpieczna...

Kłamstwo - odpowiedział drugi głos, który był jej spadkiem po najczarniejszych latach.  
- Nie oszukuj się, moja piękna. Widziałaś ich dłonie, tak czy nie? W głębi duszy doskonale wiesz, że tu nie chodzi o zaufanie, prawda, Christine? Nie, chodzi o co innego. Po raz kolejny boisz się spojrzeć prawdzie w oczy.

\*

- Na co pani czekała?

Policjant patrzył na nią z niewzruszoną miną. Nieodgadniony. Poruszały się tylko jego palce, które międliły brzydki krawat. Zawahała się.

- To była wigilia. Miałam... miałam pierwszy raz spotkać się z rodzicami mojego narzeczonego. Nie chciałam się spóźnić.

- W porządku. - Spojrzył na zegarek. - Ale teraz jest trzynasta piętnaście. Mogła pani przyjść wcześniej.

- Pracuję w radiu. Miałam poranną audycję. A teraz od czterdziestu minut czekałam w kolejce.

Wyglądało na to, że wzbudziła jego zainteresowanie.

- A co pani robi w tej audycji?

- Prowadzę ją.

Uśmiechnął się.

- Tak mi się zdawało, że już gdzieś musiałem słyszeć pani głos. Za pół godziny mam spotkanie, niestety nie będę mógł poświęcić pani wiele czasu.

Uważnie spojrzył na rozpostarty na biurku list. Jakby fakt, iż Christine jest osobą publiczną, zmieniał postać rzeczy.

- Co pan o tym myśli? - zapytała, przerywając przedłużającą się ciszę.

Wzruszył ramionami.

- A skąd ja mam wiedzieć? Nie jestem psychologiem. W każdym razie żaden przypadek samobójstwa nie został wczoraj zgłoszony. Jeśli to może panią pocieszyć... - Wypowiedział te słowa, jakby mówił o zwykłym włamaniu albo kradzieży torebki. - Ten list wydaje mi się dziwny - dodał w końcu. - Jest w nim coś niejasnego.

- To znaczy?

- Nie wiem... Ten ton. Nie brzmi autentycznie. Kto tak mówi? Kto w taki sposób wzywa pomocy? Nikt...

Pomyślała, że mężczyzna ma rację. Miała takie same odczucia, kiedy po raz dziewiąty albo dziesiąty czytała list. Osobliwe poczucie czegoś dziwnego w tym liście, jakiejś anomalii czy nawet zagrożenia innego niż sama zapowiedź samobójstwa.

Policjant wpatrywał się w nią intensywnie.

- A jeśli ten list nie trafił do pani skrzynki przez pomyłkę?

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Może osoba, która go napisała, chciała, żeby przeczytała go właśnie pani?

- To absurd. Nie mam zielonego pojęcia, o czym ten list mówi.

Wciąż na nią patrzył. Małymi, ciekawskimi oczkami gliniarza.

- Jest pani tego pewna?

- Tak!

- W porządku. - Złożył list. - Są na nim inne odciski palców oprócz pańskich?

- Mojego narzeczonego. Naprawdę? Zajmie się pan tym? Spojrzał na swoje dłonie i znowu utkwiał w niej oczy.

- Zobaczę, co da się zrobić. Jaki jest tytuł pani programu? Flirtuje z nią? Christine poszukała wzrokiem obrączki na jego palcu. Nie nosił jej.

- *Poranki Christine*. W Radio 5.

Pokiwał głową.

- Ach tak. Lubię tę stację.

## 5.

### CONCERTATO

- Niech nam pan wyjaśni, na czym polega pańska praca, Géraldzie.

Niebieskie oczy jej matki. Pełne zainteresowania. Jak w czasach, kiedy prowadziła ten program w pierwszym kanale, a jej gośćmi były wszystkie znakomitości tego kraju - aktorzy, politycy, wykonawcy ambitnych piosenek, myśliciele. W tamtych latach było mniej komików. A zjawisko *reality TV*, telewizyjny ekwiwalent otwartego rynsztoka, nie istniało.

Christine patrzyła na nich. Jej doskonali rodzice. Siedzący obok siebie na sofie i po czterdziestu latach małżeństwa trzymający się za ręce jak pierwszego dnia. U Steinmeyerów pielęgnowało się perfekcyjny wizerunek. Doskonałość detali. Nawet ich ubrania były do siebie dopasowane: spodnie i bluzki w niemal identycznych kolorach, kancik bez zarzutu, zgodność gustów odzieżowych, kulinarnych, artystycznych... Christine zauważyła wahanie Géralda, gdy jego wyjaśnienia, które miały być proste i dydaktyczne, okazały się zwyczajnie nudne.

Na pewno się nie spodziewałaś, że trafisz na rodzinną wersję telewizyjnego planu: to moja wina, powinnam cię była uprzedzić. Psiakość, i ja chciałam ci zrobić niespodziankę.

- Ale to wszystko musi się państwu wydawać, cóż, nudne - zakończył, czerwieniąc się. - Choć muszę przyznać, że to... ależ tak, to pasjonujący zawód, przynajmniej moim zdaniem - nie omieszkał dodać.

Wielkie nieba, Géraldzie! Gdzie się podziało twoje przekłete poczucie humoru?

Spojrzał w jej kierunku, szukając wsparcia. Pobłażliwy uśmiech jej matki. Christine dobrze go znała. Rozpoznała także sposób, w jaki matka zerkała na Géralda. Takim wzrokiem patrzyłaby dwadzieścia lat temu na niezbyt błyskotliwego gościa na planie swojego programu *Niedziela na topie*, który zaczynał się co tydzień o siedemnastej. Potem matka miała epizod depresji, a po pewnym czasie zaczęła prowadzić magazyn tygodniowy już wtedy przeżywający względny schyłek, który z nadejściem Internetu przerodził się w powolną śmierć. Wielu odbiorców zaczęło wówczas sądzić, że dziennikarze pracujący dla papierowej prasy są kiepscy albo sprzedajni, a trzywierszowa informacja w bezpłatnym serwisie lub tweet o maksymalnej długości stu czterdziestu znaków to strawa intelektualna w pełni zaspokajająca potrzeby ich mózgu.

- Nie, nie, nie - beczelnie skłamała matka. - Sądzę, że to naprawdę pasjonujące, serio. - (Nigdy nie ufaj ludziom, którzy szermują przysłówkami naprawdę, szczerze, serio: matka

sama ją tego nauczyła). - Choć muszę przyznać, że nie wszystko rozumiałam. Co byś powiedziała na zaproszenie go do twojego programu, kochana?

Obie strony zgodnie parsknęły śmiechem. Żeby uspić słuchaczy? - pomyślała Christine. Nie, to by było okrutne.

A co robił w tym czasie jej ojciec? Uśmiechał się. Kiwał głową, cały ciężar rozmowy przerzucając na nich. Jego spojrzenie było nieobecne.

- Ja... To wino jest znakomite - powiedział Gérald.

- Tak - zawtórowała mu matka Christine. - Naprawdę, kochanie, Gérald ma rację. Twoje wino to istny cud.

- Grand-puy-Lacoste 2005 - odpowiedział lakonicznie ojciec.

Pochylił się, by uzupełnić kieliszki. Christine zastanawiała się, kiedy wyciągnie na tapetę Madeleine. I jak zagai temat. Bo prędzej czy później zacznie o niej mówić. Choćby mimochodem, nie wprost, z przelotnym drżeniem w głosie. Było to równie nieuniknione jak bożonarodzeniowy indyk. Madeleine zmarła przed dziewiętnastu laty. Od tego czasu ojciec nosił żałobę. Stałą, permanentną - niemal zawodową. „Pański zawód? - Byłem dziennikarzem, pisarzem, osobistością radia i telewizji, z pewnością słyszał pan o programie *Wielki bałagan*. - A obecnie? - Żałoba, proszę wpisać: żałoba...”. Wikipedia podawała, że Guy Dorian, w rzeczywistości Guy Steinmeyer, jest francuskim dziennikarzem i pisarzem urodzonym 3 lipca 1948 roku w Sarrance (Pireneje Atlantyckie), że przez dwadzieścia lat prowadził najświetniejszą we Francji codzienną audycję radiową zainaugurowaną 6 stycznia 1972 roku, łącznie wyemitowano 6246 programów, podczas których przeprowadził wywiady ze wszystkimi liczącymi się w kraju artystami, politykami, sportowcami, pisarzami, naukowcami, a nawet prezydentami, w tym dwoma urzędującymi (Christine pamiętała kilka spośród setek nazwisk: Brigitte Bardot, Arthur Rubinstein, Chagall, Sartre...). Następnie przeszedł do telewizji, gdzie odnosił takie same sukcesy. Przynajmniej do czasu, aż agencje reklamowe wykupujące czas antenowy zaczęły być głównymi decydentami w zakresie ramówki, kiedy to uznano, że trwający cały wieczór program poświęcony tylko jednemu gościowi - w którym mówiło się rzeczy wartościowe, inteligentne, a nawet osobiste - nie może być emitowany w porze największej oglądalności.

- Tak bardzo się cieszymy, że wreszcie pana poznaliśmy - oświadczyła jej matka. - Christine dużo nam o panu mówiła.

(Doprawdy? A kiedyż to?)

Zakłopotane spojrzenie Géralda w jej kierunku.

- Tak... Ona także opowiadała mi o państwie. - Było to ordynarne kłamstwo, które

zabrzmiało jak kłamstwo.

- I tak bardzo się cieszymy, że w końcu spotkała kogoś odpowiedniego.

(O nie, litości, tylko nie to).

- Christine to osoba, która wie, czego chce - oświadczył jej ojciec.

Perfekcyjne małżeństwo odwróciło głowy w jej stronę jak para doskonale zsynchronizowanych robotów.

- Dlatego jesteśmy tacy dumni z naszej córki - zawtórowała matka.

Matka znowu spojrzała na Christine. W jej oczach widać było nie tyle dumę, ile raczej próbę przekonania samej siebie do tego, co właśnie powiedziała.

- Postanowiła pójść w nasze ślady. I ciężko na to pracuje.

- Jesteśmy z niej bardzo dumni - podkreślił ojciec. - Zawsze byliśmy dumni z n a s z y c h c ó r e k.

- To Christine ma siostrę? - (Głos Géralda).

No proszę, jesteśmy w domu. Christine poczuła guł w gardle.

- Madeleine była starszą siostrą Christine. - Ojciec już śpieszył z wyjaśnieniami, a jego głos załamał się na chwilę jak u nastolatka. - Zginęła... W wypadku. Maddie była niezwykle zdolna, wszechstronnie utalentowana. Christine nie było łatwo żyć w jej cieniu. Ale wyszła z tego. A teraz pokazuje, z jakiej gliny jest ulepiona.

Przez jej głowę przemknęło wspomnienie, jak brutalna migawka pamięci. Lato 1991 roku. Dom w Bonnieux. Przyjaciele na brzegu basenu. Jest ich tak wielu, a ich twarze oglądane w obiektywie są tak znajome, że cała scena do złudzenia przypomina zdjęciowy plan. Madeleine jest w środku. Madeleine - trzynastolatka wyglądająca na trzy lata więcej: kobiece cycki pod T-shirtem, kobiece biodra i małe, okrągłe pośladki w obcisłych szortach - która pełni rolę kelnerki, przyciągając spojrzenia mężczyzn, z radosną naiwnością grając swoimi wdziękami, sprawdzając działanie swoich wcześniej rozwiniętych możliwości na męskie libido. (Czy rzeczywiście w ten sposób na nią patrzyła? W wieku dziesięciu lat? A może jej pamięć na nowo przetwarza tę scenę?) Niewinna nimfomanka, przedrzeźniająca i przyćmiewająca dorosłe samice - jaką ona, Christine, nigdy się nie stanie. Baby Doll na zawsze zaklęta w ciele kobiety-dziecka. Każde nawiązanie do Madeleine wywoływało w niej takie wzburzenie, że w końcu zawsze przed oczami jej wyobraźni pojawiał się obraz siostry. Widziała ją, jak kładzie tacę na metalowym stoliku, jak powoli zdejmuje dżinsowe szorty i koszulkę, by dziewczęcym, ale zarazem niewyobrażalnie prowokacyjnym gestem odsłonić szczupłe ciało, opalone nogi i zadziwiająco jak na jej wiek wypełniony dwuczęściowy kostium. Christine widziała (tak przynajmniej myślała, wyobrażała sobie), jak znajdujący się



obok mężczyźni pieszczą wzrokiem zbijającą z tropu doskonałość młodego, niedojrzałego (ale nie w Iranie, powiedział głos feministki w jej wnętrzu) ciała, usiłując zaprzeczyć własnej pożądlivosti - ich oczy stawały się jakby zamglone, nieobecne - i wreszcie oszalamiająca Lolita trzema lekkimi jak powiew susami podbiega do krawędzi basenu i doskonałym skokiem rozcina muskaną przez wieczorne światło powierzchnię wody. Salwa oklasków. Eksplozja radości. Całe napięcie wreszcie uwolnione w tym zbawiennym wybuchu entuzjazmu. Panie i panowie, oto królowa wieczoru. I nie tylko tego. Madeleine była królową dwadzieścia cztery godziny na dobę. Christine była wówczas skazana na rolę damy do towarzystwa.

Napotkała spojrzenie Géralda. Dostrzegła jego zakłopotanie. Nie mówiłaś mi o siostrze... Nie powiedziałaś, że twoi rodzice są... na Boga... celebrytami...

Była mu wdzięczna, że się nie odzywa.

- Kiedy Christine była mała - powiedziała jej matka, uśmiechając się - próbowała rozpaczliwie dorównać siostrze.

(Nie, litości, mamó, nie ty).

- Jak wtedy, kiedy ojciec nauczył ją pływać... - Zaśmiała się. Ale ojciec się nie śmiał. Nie patrzyła na niego. Patrzyła na swoje smukłe dłonie. - To było bardzo trudne. Ale zawzięła się. Nie chciała się poddać. Nigdy. Taka jest Christine. Trwa przy swoim. Przez całe dzieciństwo miała przed sobą niedościgniony wzór, któremu tak trudno było dorównać.

Tak, to ojciec nauczył ją pływać, to dzięki niemu odkryła *Zew krwi*, *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* i *Księgę dżungli*, to on chodził z nią na pierwsze kinowe seanse. A jednak choć ojciec okazywał jej tyle czułości, pobłażliwości i przekory („No co? Chyba ja też mam prawo do buziaka, nie tylko twoja mama, małpeczko!”), zawsze miał dla niej nieco mniej tych uczuć niż dla jej siostry. Z Madeleine było inaczej. Więź, którą można by określić jako... wyższą? (Przestań w tej chwili - zganił ją wewnętrzny głos). Ale to była prawda, może nie? „Kochasz mnie?” - zapytała kiedyś ojca. Pamięta, że to było w dniu jej dziesiątych urodzin. Oczywiście, że cię kocham, małpeczko. Uwielbiała, gdy ją tak nazywał, głębokim, rozpoznawalnym dla wszystkich głosem, a na jego twarzy pojawiał się szeroki uśmiech telewizyjnej gwiazdy. Parskała na to i chichotała, a jednocześnie miała gęsią skórę. Nigdy jednak nie powiedział „moja”. Do Madeleine zawsze mówił m ó j a kochana, m ó j koliberku, m ó j promyczku. Madeleine nigdy nie pytała ojca, czy ją kocha. Nie musiała tego robić. Wiedziała.

Ojciec, mimo że się przed tym bronił, udawał i był przekonany, że przejawy ojcowskiej miłości dzieli po równo (Mój Boże, staruszko, ależ ty czasem używasz słownictwa!), zawsze

wolał Maddie. Christine, choć była dopiero dziesięciolatką, instynktownie to rozumiała.

Jak na ironię, fizycznie to ona była do niego bardziej podobna. Ile razy jej o tym przypominano: „Masz taką samą twarz jak ojciec, masz jego sposób mówienia, masz jego oczy, masz...”.

\*

- Do cholery, mogłaś mnie uprzedzić! - oburzył się Gérald, gdy byli już w samochodzie.

- Uprzedzić? O czym?

- Że twoi rodzice to celebryci!

- Celebryci? A ilu ludzi ich pamięta?

Mnóstwo, odpowiedział wewnętrzny głos. Choć od emisji ich ostatnich programów upłynęło piętnaście lat, jej rodzice każdego roku otrzymywali kilogramy listów. Sława jest jak niektóre nowotwory: wszędzie zostawia przerzuty.

- Ja ich pamiętam! Pamiętam, że kiedy wracałem ze szkoły, moja matka przyklejona do radia słuchała nabożnie twojego ojca rozmawiającego z jakimś politykiem, artystą czy intelektualistą. I tę słynną czołówkę...

- George Délerue - sprecyzowała mimo woli.

- Tak - zanucił kilka taktów (klawesyn, organy Hammonda, flet, przypomniawszy sobie Christine. Ponadczasowa melodia, klucz do dzieciństwa, muzyczna magdalenka). - Zdajesz sobie sprawę, że jego programy ukształtowały całe pokolenie? A twoja matka! Ile razy jako nastolatek trafiałem na nią, gdy włączałem telewizor! Dlaczego nie przyjęłaś ich nazwiska?

- Ależ ja noszę swoje nazwisko! - oburzyła się. - Nie widzę powodu, żeby je zmieniać.

- Mimo wszystko mogłaś mnie uprzedzić.

- Bardzo mi przykro, chciałam ci zrobić niespodziankę.

- No cóż, udało ci się. Twoi rodzice są niesamowici. N i e s a m o w i c i. Jaka z nich doskonała para! Jesteśmy razem tyle miesięcy, a nigdy mi o nich nie mówiłaś. Dlaczego?

Dobre pytanie.

- To nie jest mój ulubiony temat.

\*

Cholera jasna! Zamknęła saaba i ruszyła na drugą stronę zaśnieżonej ulicy, do swojej kamienicy. Teren pełen był nowych garbów, wertepów i pułapek, i przemieszczanie się po nim przypominało chodzenie po powierzchni Księżyca. Christine było niedobrze, czuła, jakby jej przepełniony żołądek miał wybuchnąć. Pomyślała, że w tym corocznym marnotrawstwie żywności jest coś nieprzyzwoitego.

Coś obscenicznego...

Równie obscenicznego jak smutek jej ojca. Czasem Christine była na niego śmiertelnie zła za tę niekończącą się żalobę, w której się zasklepił. Miała ochotę wykrzyczeć mu w twarz: My też ją straciłyśmy! My też ją kochałyśmy! Nie masz monopolu na smutek! Przeszedł już jedną operację nowotworu ślinianek. Kiedy kolejna? Przez chwilę Christine zastanawiała się, czy można popełnić samobójstwo, indukując sobie raka.

Była tak poruszona, że dwa razy się pomyliła, wystukując kod przy wejściu do bramy. Mroczny, zimny hol powitał ją jak grobowiec. Zadrzała. Ruszyła w kierunku skrzynek na listy. Z lękiem otworzyła swoją. Nie było korespondencji. Christine odetchnęła. Zobaczyła przymocowaną do kraty windy informację „Awaria” i zaklęła. Wzruszyła ramionami. Logiczne zakończenie katastrofalnego dnia.

Ruszyła po schodach, które podobnie jak cała kamienica pogrążone były w doskonałej ciszy. Kiedy światło zgasło, na kilka sekund przystanąła na drugim piętrze i jej uszy wychwyciły dobiegający zza drzwi zduszony głos telewizora i krzyki dzieci. Podjęła dalszą wspinaczkę. Nie zapalała światła. Wystarczała jej szara poświata wpadająca przez okienko w połowie klatki schodowej.

Czuła się zmęczona i przygnębiona. Cały ten dzień od początku do końca był kosmiczną klapą.

„Twoi rodzice są niesamowici. Niesamowici. Jaka z nich doskonała para!”

Gérald, mój maleńki, jak ty zawsze potrafisz powiedzieć coś zabawnego.

Z jej piętra nie dochodził żaden dźwięk. Było to normalne, ponieważ jej sąsiadka, kiedy tylko nie otwierała swojej złośliwej buzi, zachowywała się cicho jak myszka. Christine miała przed sobą jeszcze dwa stopnie. I wtedy to poczuła...

Zatkała nos.

Co za dziwny zapach! Nie była to nieprzyjemna, lecz dobrze znana woń zakurzonego i wystrzępionego dywanu na schodach.

Była silna.

Coś jakby amoniak.

Christine przełknęła ślinę. Śmierdziało moczem. Fuj, co za ohyda. Ruszyła w kierunku drzwi mieszkania. To stamtąd dochodził zapach. Odrażające, naprawdę odrażające...

Zapaliła światło i schyliła się, usiłując oddychać bardziej ustami niż nosem, by powstrzymać mdłości. Dolna część jej drzwi i wycieraczka były mokre. Na podłodze widać było kałużę. Jakiś pies musiał przed chwilą nasikać na jej drzwi. Cholera. Ale jej sąsiadka nie miała psa. A nawet robiło jej się niedobrze na widok „tych ludzi, którzy bardziej przejmują się zwierzętami niż resztą ludzkości”, jak wyjaśniła jej pewnego dnia, kiedy zobaczyły

sąsiadkę z góry wyprowadzającą swojego pudła. No właśnie, czyżby to pudel z ostatniego piętra? Nie mógł donieść na ulicę? Zdarzyło się to pierwszy raz, ale mimo wszystko właścicielka mogłaby powycierać. Christine obiecała sobie, że wspomni o tym, kiedy spotka ją następnym razem. Po drugiej stronie drzwi akurat w tej chwili postanowił się rozdzwonić telefon stacjonarny.

Zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu kluczy. Które jak raz znajdowały się na samym dnie, zagrzebane pod stosem chusteczek higienicznych, słuchawek, gum miętowych, długopisów i szminek. Dźwięk telefonu w jej mieszkaniu - nagły i niecierpliwy - nie dawał za wygraną.

Otworzyła drzwi i jednym susem przesadziła ciemną plamę na wycieracze. Rzuciła otwartą torebkę na sofę i podbiegła do aparatu.

- Halo?

Usłyszała czyjś powolny oddech.

- Halo? - powtórzyła.

- Mogłaś uratować tę biedną kobietę, Christine. Ale nie zrobiłaś tego. A teraz jest już za późno.

Podskoczyła. To był męski głos. Serce zaczęło jej walić.

- Kto mówi?

Żadnej odpowiedzi. Nic, tylko ten oddech, ale Christine rozpoznała głos: ciepły, głęboki, lekko świszczący, z akcentem, i znowu to wrażenie, że mężczyzna znajduje się w mroku, że mówi pogrążony w ciemnościach.

- Kim pan jest?

- A ty, Christine, czy ty wiesz, kim jesteś? Kim jesteś naprawdę? Zastanawiałaś się już nad tym?

Ten facet nazywa ją Christine. Zna ją! Przypomniała sobie słowa gliny: „A jeśli ten list nie trafił do pani skrzynki przez pomyłkę?”.

- Kto mówi? Zadzwoń na policję. - Kiedy wypowiadała te słowa, usłyszała w nich echo własnego strachu.

- I co im powiesz?

Gość po drugiej stronie nie wydawał się ani trochę zaniepokojony. Jego stoicka pewność siebie zwiłokrotniła panikę Christine.

- Zrobiłam, co mogłam: dałam list policji - usprawiedliwiała się, jakby tłumaczenie się przed nieznanymi było rzeczą normalną. W jej skroniach pulsowała krew. - A pan, co pan...

*(Nie czujesz się źle z tym, że pozwoliłaś komuś umrzeć?)*

- Co pan zrobił? I skąd pan ma mój numer telefonu?

- Tss-tss. Obawiam się, że to za mało. Stanowczo za mało. Myślę, że mogłaś zrobić o wiele więcej, ale nie chciałaś zepsuć Gwiazdki, mylę się?

- Niech pan powie, kim pan jest albo...

*(Mówisz o solidarności, ale pozwoliłaś, żeby w wigilijny wieczór ktoś popełnił samobójstwo).*

- ...odkładałam słuchawkę. Czego pan ode mnie chce?

Czuła się tak, jakby pod jej czaszką kłębił się rój os.

- Podoba ci się ta gra, Christine?

Nie odpowiedziała. O jakiej grze on mówi?

- Christine, słyszysz mnie?

Ależ tak, słyszała go. Ale nie miała już sił, by powiedzieć choćby słowo.

- Podoba ci się? Bo to nie koniec. O nie. To dopiero początek.

## 6.

### SOLISTA

Servaz wpatrywał się w paczkę. Czuł suchość w gardle. Miał wrażenie, jakby czyjeś szponiaste palce głaskały go po grdyce, wbijały się w klatkę piersiową. Przesyłka była znacznie mniejsza niż ostatnim razem. Pieczętka wskazywała, że nadano ją w Tuluzie, ale to oczywiście o niczym nie świadczyło. Jakkolwiek by było, tym razem - mając na uwadze rozmiar pakunku, około jedenastu centymetrów na osiem - w środku nie mogło być izotermicznego pojemnika.

Nie było też nazwiska nadawcy-oszusta, jakiegoś monsieur Osoby...

Po chwili wahania otworzył pakunek. Rozległ się suchy dźwięk rozdieranego papieru. Wiedział, że nie powinien tego robić. Należało wezwać kryminalnych, by zbadali paczkę z każdej strony, posypali proszkiem daktyloskopijnym, zapakowali w torebkę, opieczętowali i zabrali do laboratorium. Ale na poprzedniej przesyłce niczego nie znaleźli i Servaz był przekonany, że z tą byłoby podobnie.

Szaroperłowy kartonik ze szczelnie przylegającą pokrywką. Policjant spojrział przez okno na zaśnieżony krajobraz, wziął głęboki wdech i powoli unióśł ją drżącymi palcami. Jego wzrok zatrzymał się na dnie pudełka. W miarę, jak ogarniała go ulga, jego płuca napelniały się powietrzem: to nie było to, czego się spodziewał. Obawiał się, że znajdzie palec. Albo kosmyk włosów. Albo ucho. Zamiast tego wpatrywał się w mały prostokąt z białego plastiku, na którym widniało czerwone logo przedstawiające koronę, klucz oraz litery „T” i „W”. *Grand Hôtel Thomas Wilson* - wyjaśniał mały napis na dole.

Elektroniczny klucz hotelowy... Był i numer pokoju: 117. A także złożony kawałek papieru leżący pod spodem, na poduszeczce z czerwonej satyny. Rozwinął go.

*Spotkanie jutro, pokój 117*

Zaokrąglone, wprawne, zwarte pismo. Niebieski atrament. Kobieta?

Zastanawiał się, jaka kobieta mogłaby mieć ochotę na spotkanie w luksusowym hotelu z gliną w depresji. I o jaki charakter spotkania chodzi. Randka? A cóż by innego - w hotelowym pokoju... Charlène? Dwukrotnie odwiedziła go podczas jego „rekonwalescencji”. Charlène Espérandieu była nie tylko najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Była także żoną jego zastępcy. Zimą przed czterema laty zbliżyli się do siebie tak bardzo, że

znaleźli się o krok od gestów, których nie dałoby się już naprawić. Charlène była bowiem również niezwykle atrakcyjna. Istniał jednak jeden szkopuł: była w siódmym miesiącu ciąży, a Vincent był jego najlepszym przyjacielem... A w dodatku to on miał być ojcem chrzestnym chłopca.

A potem do jego życia powróciła Marianne i Charlène Espérandieu rozplynęła się w mgławicy bytu, którym mogła się stać, ale który nie wyszedł poza stadium embrionalne. Teraz jednak, gdy go dwukrotnie odwiedziła, zawróciła w głowie nie tylko pensjonariuszom, którzy spotkali ją w ośrodku, ale w pewien sposób także jemu. Znał przyczynę swojej reakcji: wrażliwość, depresja, samotność. Stanowił łatwy łup. A Charlène wciąż była tak samo piękna, seksowna i rozbrajająca.

Dla niego zaś wciąż tak samo stracona.

Czyżby to ona proponowała spotkanie? Jeśli tak, to dlaczego tak nagle? Dlaczego teraz?

A może ten klucz oznacza co innego?

Jeszcze raz na niego spojrział. Przeszedł go dreszcz. Hotel przy placu Wilsona, jeden z najelegantszych w Tuluzie. Servaz miał okazję tam być w związku z pewnym śledztwem. Nad nazwą podany był numer telefonu. Wyjął komórkę.

- Grand Hôtel Thomas Wilson.

- Chciałbym zarezerwować pokój.

- Oczywiście, proszę pana. Standard, podwyższony standard czy apartament?

- Numer 117.

Chwila ciszy po drugiej stronie.

- Na kiedy pan potrzebuje?

- Na jutro.

Usłyszał bębnienie w klawiaturę.

- Przykro mi, ten pokój już jest zarezerwowany. Ale mogę panu zaproponować inny, podobny...

- Nie, dziękuję. Chcę właśnie ten.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego zależy panu akurat na tym pokoju? - Głos w słuchawce brzmiał teraz bardziej nieufnie. - Jest bardzo ładny, ale mamy inne, równie...

- Powiedziałem już, że chcę tylko ten.

Znowu milczenie.

- Cóż, w takim razie widzę tylko jedną możliwość: Mam pański numer telefonu. Gdyby rezerwacja została odwołana, natychmiast pana zawiadomię, panie...

Zawahał się. Ale właściwie dlaczego?

- Servaz - odparł.
- Powiedział pan „Servaz”? S-E-R-V-A-Z?
- Tak, a o co chodzi?
- Cóż, naprawdę nie rozumiem: pokój jest zarezerwowany na to nazwisko.



## 7.

### VIBRATO

Śniło jej się, że biegnie przez las ścigana przez coś olbrzymiego i straszego. Nie wiedziała, co to jest, było jednak pewne, że to coś za jej plecami jest ogromne. Zauważyła stare gospodarstwo z przybudówkami stojące wśród drzew. Wyczerpana upadła na śnieg w odległości zaledwie kilku metrów od drzwi. Kiedy podniosła głowę, na progu stał jej ojciec w podkoszulku, spodniach z wysokim stanem na szelkach i farmerskich butach. „Jest list do ciebie”, powiedział. Rzucił go na ziemię przed nią i zatrzęsął drzwi. I właśnie wtedy się obudziła.

Strach. Pot. Galopujący puls. Bang-bang-bang...

Zerwała się, otworzyła szeroko oczy i usta. Serce waliło jej jak szalone. Jej pachy, czoło i plecy były mokre. Pościel była wilgotna od potu. Białe zimowe słońce wpełzało jak gorączka przez szpary między listwami żaluzji. Jak długo spała?

Była ósma jeden.

O nie, znowu! Czowała niesmak w ustach. Przypomniała sobie, że wieczorem zażyła środek nasenny. Pierwszy od dawna. Tabletkę i dzin z tonikiem. Nie: dwa dziny z tonikiem. Wstała z oczami napuchniętymi od snu. Kiedy tylko się ruszyła, Iggy wskoczył na łóżko, by polizać ją po policzku i upomnieć się o poranną porcję pieśczot. Pogłaskała go. Machinalnie. W jej głowie jak strzępki papieru fruwały rozproszone wspomnienia: wieczerza wigilijna, telefon w trakcie audycji, plama moczu na wycieracze, a na koniec głos tego faceta w telefonie...

Zmusiła się do wolniejszego oddychania. Wsłuchiwała się w panującą w mieszkaniu ciszę. Tak jakby ktoś mógł tu być. Znowu zaczęła nasłuchiwać.

Nic. Tylko Iggy się niecierpliwił. Wpatrywał się w nią czułymi, okrągłymi oczkami, niczego nie rozumiejąc. Koniuszek różowego języka wystawał z czarnej mordki. Christine wstała. Wyszła do pokoju i przemknęła do łazienki. Torując sobie drogę wśród stosów T-shirtów, skłębionych prześcieradeł, majtek i wilgotnych ręczników, dotarła do umywalki. Napełniła wodą kubek do mycia zębów. Wypiła jednym haustem. Lampa pod sufitem wciąż migiała. Drażniło ją to. Christine przeszła do kuchni i naląła sobie kawy. Kiedy otworzyła lodówkę, uświadomiła sobie, że nie ma apetytu.

Znowu zaczęła myśleć o plamie pod drzwiami.

Poprzedniego wieczoru nie miała odwagi, by ją zetrzeć. Poprzestała na dwukrotnym

przekręceniu zamka w drzwiach. Ruszyła w stronę wyjścia. Otworzyła. Wciąż było czuć moczem, choć teraz zapach docierał z drugiego planu jak daleka fala i lekko szczypał w nosie. Nic więcej.

Nie miała czasu, by się tym zająć. Uznała, że lepiej będzie wyrzucić wycieraczkę i kupić nową. Postanowiła, że wieczorem znieśie ją od razu do pomieszczenia z kontenerami na śmieci. Nie ma mowy, by to coś - cokolwiek to było - znalazło się w jej mieszkaniu.

Nagle uderzyła ją pewna myśl - odrażająca, niezdrowa i szokująca... A jeśli to nie jest mocz zwierzęcia? Telefon rozdzwonił się dokładnie w chwili, gdy znalazła się przed drzwiami. To nie mógł być zbieg okoliczności. Ktoś na nią czekał, śledził ją... Ten sam mężczyzna, który telefonował do radia? Czy to możliwe, by to on nasikał na jej drzwi? Zrobiło jej się słabo. Patrząc z odrazą na brudną wycieraczkę, zrobiła krok w tył. Poczowała strach - jakby efekt uboczny na myśl, że być może poprzedniego wieczoru mężczyzna siedział na schodach pół piętra wyżej i czekał na jej powrót. Z obawą spojrzała na klatkę schodową. A potem, z bijącym sercem, popatrzyła na windę. Na wszelki wypadek wcisnęła guzik. Wkrótce rozległ się pomruk silnika i skrzypienie ruszającej z dołu kabiny.

Czy to także ten człowiek zepsuł windę? A może zaczynam mieć paranoję?

Radio...

Czas upływał. Christine zawsze była punktualna - zawsze, od siedmiu lat - a teraz miała się spóźnić dwa dni z rzędu! Czym prędzej wróciła do mieszkania i zamknęła drzwi na klucz.

Pod prysznicem nagle sobie uświadomiła, że jedyną rzeczą, która oddziela ją od nieznanego, jest stary i z pewnością zbyt słaby zamek. Powinna go zmienić i dołożyć wewnętrzny rygiel. Na wszelki wypadek. Wytarła się i zawinięta w ręcznik popędziła do komputera. Wystukała adres wyszukiwarki firm online. Trzej pierwsi ślusarze, do których zdołała się dodzwonić, odpowiedzieli jej, że w najbliższym czasie są zajęci. Spojrzała na ścienny zegar. Ósma dwadzieścia pięć... Szybko!

- Dzisiaj o siedemnastej, pasuje pani? - odpowiedział czwarty.

- Świetnie.

Podawała mu adres i rozłączyła się. Ubrała się w ekspresowym tempie. Dziś nie będzie makijażu, nie ma czasu. Iggy siedział przy drzwiach i wesoło merdał ogonem. Christine poczuła, jak ściska jej się serce. Już poprzedniego dnia musiała go pozbawić spaceru, a on grzecznie nasusiał do wyłożonej papierem gazetowym kuwety przeznaczonej na takie sytuacje. Wieczorem spanikowała na myśl o wyjściu na ulicę po tym, co się stało, i kundelek na próżno czekał na spacer, drepcząc coraz bardziej udreńczony w tę i z powrotem między nią a drzwiami.

Od ponad dwudziestu czterech godzin pies nie wystawił nosa na zewnątrz.

- Bardzo mi przykro - powiedziała ze ściśniętym gardłem, drapiąc go po wąskiej głowie. - Naprawdę, Iggy, bardzo mi przykro. Obiecuję ci, że dziś wieczorem pójdziemy na długi spacer, zgoda?

Psiak podniósł na nią pytający wzrok. Znowu pozbawiono go wyjścia, a on nie wiedział dlaczego.

- Masz moje słowo. Długi spacer.

W rzeczywistości jednak myśl o wyjściu nocą na puste ulice ją przerażała.

\*

- Christine, do cholery, co ty wyprawiasz?

- Przepraszam, to się więcej nie powtórzy!

Chciała pędem ominąć biurko Guillaumota, lecz ten złapał ją za nadgarstek.

- Chodź do mojego biura.

- Co? Ale już jesteśmy spóźnieni: startujemy za mniej niż dwadzieścia minut!

- Mam to gdzieś. Chcę ci coś pokazać - odezwał się w sposób, który sprawił, że Christine stała się czujna.

Odsunął się, by puścić ją przodem i zamknął drzwi. Na ścianach gabinetu wisiły plakaty wychwalające zasługi radia, stał tu też ekspres do kawy na kapsułki i komputer, który na bieżąco odtwarzał audycje. Guillaumot pochylił się nad ekspresem.

- Chcesz kawy?

- A mamy czas?

- Espresso czy duża?

- Mała, jeden cukier.

Postawił przed nią filiżankę i wrócił na swoje miejsce. Splótł palce obu dłoni. Spojrzał Christine głęboko w oczy.

- Ja, ja... przepraszam za spóźnienie - zaczęła.

Machnięciem ręki zbył jej usprawiedliwienia, uśmiechając się zyczliwie.

- Tym się nie przejmuj. Zawsze byłaś punktualna, Christine. Od jak dawna razem pracujemy? Sześć, siedem lat? I nigdy nie widziałem, żebyś się spóźniła. Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Mam nadzieję, że nie przynosisz nam tu jakiejś grypy? Sporo tego w tym okresie.

- Nie, nie, w żadnym wypadku.

Skinął głową. Wyglądał na uspokojonego.

- Całe szczęście. A jak tam atmosfera?

Przez chwilę zastanawiała się, dokąd Guillaumot zmierza.

- No cóż... Nie jesteś osobą, której trzeba by tłumaczyć, jak to jest w radiu - powiedziała. - W porządku. A dlaczego pytasz?

- A z Beckerem, jak leci?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Znasz Beckera i jego charakter. Nigdy mi to nie przeszkadzało. Dlaczego dzisiaj miałoby zacząć? Słuchaj, dzięki za kawę, ale muszę...

Przerwał jej ruchem ręki i otworzył szufladę, z której wyjął dwa pudełka lekarstw. Podał je Christine.

- Co to jest? - zdziwiła się.

Spojrzał na nią badawczo.

- Ty mi powiedz.

Rzuciła okiem na etykiety. Xanax, mocny środek przeciwłękowy. Floxyfral, lek stosowany w przypadku silnej depresji oraz zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych. Ciężka chemia na poważne choroby. Niczego nie rozumiejąc, znowu zerknęła na opakowania, a następnie na dyrektora programowego.

- Nie rozumiem - powiedziała, marszcząc brwi.

- Christine, jesteś pewna, że wszystko w porządku? Jesteś ostatnio jakaś dziwna. Nie chcesz mi o czymś powiedzieć?

Pomyślała o tym, co wydarzyło się poprzedniego dnia, o telefonie od tamtego mężczyzny. Miała ochotę się tym z kimś podzielić. Ale na pewno nie z nim. Ani trochę mu nie ufała. Gérald - to z nim trzeba porozmawiać o tym, co się stało.

- Wybacz - ciągnął - nie powinienem grzebać w twoich szufladach. Ale szukałem listy następnych gości i trafiłem na to. Jesteś pewna, że nie chcesz o tym pogadać?

- Mówisz, że znalazłeś to w mojej szufladzie?

Spojrzał na nią z taką miną, z jaką gliny w serialach patrzą na podejrzanego, który zaprzecza oczywistym faktom.

- Daj spokój, Christine. Jestem twoim przyjacielem. Możesz...

Poczuła, że się czerwieni.

- Nie wiem, jak to się znalazło w mojej szufladzie! Ktoś musiał pomylić biurko. To nie moje!

Guillaumot nie potrafił powstrzymać westchnienia.

- Posłuchaj. Wszyscy mamy górki i dołki...

- To nie jest moje, do cholery! W jaki sposób mam ci to powiedzieć?

Podniosła głos. Dyrektor patrzył na nią z uniesionymi brwiami. Zanim zdążył cokolwiek dodać, trzasnęła drzwiami i pod ogniem spojrzeń ruszyła przez *open space* do swojego biurka.

- Kurwa, Chris, gdzieś ty była? - zawołał Ilan. - Wiesz, która... - Przerwał, widząc jej spojrzenie.

- Zamknij się, okay?

\*

- Christine, debriefing za pięć minut.

Tym razem nawet się nie pofatygował, by na nią spojrzeć. Zniknął za swoim biurkiem. Zaciśnęła zęby i wpatrywała się w e-maile na ekranie swojego maca. Kolejny raz zawaliła. Ale jak miała się skupić, kiedy słowa tego szaleńca dosłownie pożerały jej mózg? I w jaki sposób te prochy wylądowały w jej szufladzie? Westchnęła i na chwilę zamknęła oczy. Otworzyła je i rozejrzała się dookoła.

Ilan, który siedział przy sąsiednim biurku, był tak czerwony, jakby zaraz miał eksplodować. On też nie miał odwagi na nią patrzeć. Udawał, że jest pochłonięty lekturą czasopism i dzienników do przeglądu prasy, ale długopis w jego dłoni wściekle drgał.

- Kurwa, widziałaś to? - odezwał się nagle.

Christine spojrzała na niego. Długopis wciąż drżał, podobnie jak jego głos.

- Matka dała imię Dżihad synowi urodzonemu jedenastego września! I posłała go do przedszkola w T-shircie z napisem: „Urodziłem się jedenastego września, jestem bombą”! Podobno takie koszulki są w sprzedaży i mają duże wzięcie... Trzyletni dzieciak, cholera. Dostał T-shirt od wujka. I wiesz, jak adwokat ich bronił? „Gdyby moja klientka chciała wykorzystać swojego trzyletniego syna w celu głoszenia pochwały zbrodni, nie ubrałaby go w tę koszulkę do przedszkola, gdzie przebywa wśród dzieci, które nie umieją czytać, ale poszłyby z nim do miasta”. Dasz wiarę? A nauczyciele i rodzice dzieci? Co, może oni też nie potrafią czytać?

Pokręcił głową z obrzydzeniem. W tej samej chwili Christine poczuła w kieszeni wibracje telefonu i przeszedł ją dreszcz. Na ekranie wyświetliła się informacja: numer nieznan.

- Tak?

- Christine Steinmeyer? - zapytał męski głos, ale nie ten z wczoraj - ten był bez akcentu, wyższy i nie tak poufały.

- To ja - odpowiedziała ostrożnie.

- Tutaj komenda policji. Dzwonię do pani w związku z listem, który pani nam wczoraj

przyniosła.

To był jej wielbiciel. Nie leni się.

- Czy mogłaby pani do nas wpaść?

- To znaczy... Pracuję.

- W takim razie proszę podejść, kiedy pani skończy. Niech pani pyta w recepcji o porucznika Beaulieu.

Podziękowała i rozłączyła się. Zauważyła, że do jej skrzynki wpadł nowy mail. Kliknęła. Wiadomość nosiła tytuł: GRA. Adres nadawcy, malebolge@hell.com, był jej nieznany i zamierzała przenieść e-mail do kosza, ale w ostatniej chwili zwróciła uwagę na jego treść:

*Rzuć na to okiem*

Gérald

Zmarszczyła brwi. Dlaczego Gérald pisze do niej z nieznanego adresu? To jakiś żart? Jeśli tak, to nietrafiony.

Kliknęła w podany link.

Zdjęcia w formacie jpeg.

Ściągnęła je i wkrótce uruchomił się program do przeglądania multimediiów. Pierwsze zdjęcie przedstawiało kawiarniany ogródek. Przy okrągłych stolikach na chodniku, plecami do witryny, siedzieli klienci: para studentów, starsza pani i jej chihuahua, którego smycz przywiązana była do nogi stolika, pan w prochowcu czytający gazetę - żadnej znajomej twarzy. Włączył się pokaz slajdów i po dwóch sekundach pojawiła się druga fotografia. Christine przelknęła ślinę. W jej głowie odezwała się syrena jak sonar w łodzi podwodnej. Gotowi do bitwy, wszyscy na stanowiska! Na drugim zdjęciu byli Gérald i Denise za witryną tej samej kawiarni, siedzący naprzeciw siebie. Torpeda na kursie! - wrzeszczał histerycznie operator sonaru w jej czaszce. Fotograf zrobił zdjęcie z zoomem, zza ramienia mężczyzny z gazetą. Pochylali się jedno ku drugiemu i śmiali się, patrząc sobie w oczy. Alarm wciąż wyl w jej umyśle. Ledwie szok wywołany zdjęciem ustąpił, ukazało się kolejne. Dwójka przy stoliku prawie nie zmieniła pozycji, wciąż byli blisko siebie, choć odległość między nimi mogła jeszcze budzić pewne wątpliwości - a zatem i nadzieję - co do ich wzajemnego stosunku i zamiarów. Tyle że teraz odziana w rękawiczkę dłoń Denise głaskała policzek Géralda...

Nie był to gest, jakiego można by oczekiwać od doktorantki wobec jej promotora. Na czwartym zdjęciu Denise spoglądała przez szybę na ulicę, jakby się obawiała, by ktoś nie

zauważył jej zachowania.

Christine poczuła przyływ czystej nienawiści. Nawet z tej odległości i w teleobiektywie piękno i młodość Denise były olśniewające. A Gérald wyglądał na absolutnie zauroczonego. Dosłownie pożerał ją oczami.

Jej ukochany narzeczony. Przyszły mąż.

Potarła twarz, powstrzymując łzy, które napływały jej do oczu. Kto? Kto i dlaczego zrobił te zdjęcia? Kto je wysłał? W jakim celu?

- Christine! Christine!

Uświadomiła sobie, że Ilan pochyla się w jej stronę z szeroko otwartymi oczami i już od jakiegoś czasu ją woła.

- Czekają na ciebie! Debriefing!

Na szczęście z miejsca, w którym siedział, nie mógł dostrzec jej monitora. Na ostatnim zdjęciu Gérald i Denise wychodzili z kawiarni. Denise trzymała Géralda pod ramię, jakby był narzeczonym tej suki, a nie jej, Christine! I śmiała się, szepcząc mu coś do ucha. Gérald uśmiechał się z zadowoloną i próżną miną faceta, który idzie pod rękę z najpiękniejszą dziewczyną w okolicy.

Pieprzony dupek.

Energicznie odsunęła fotel i ruszyła do toalety, odprowadzana ogłupiałym wzrokiem swojego asystenta. Pchnęła wspólne drzwi, a następnie drzwi do damskiej - tak gwałtownie, że odbiły się od suszarki do rąk wiszącej na ścianie działowej. W środku nikogo nie było. Rzuciła się do jednej z kabin o czerwono-beżowych ścianach. Schyliła się nad muszlą klozetową. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje, ale nic się nie wydarzyło. Tylko czkawka i spazmy. Miała ochotę się rozplakać, ale coś w środku jej tego zabraniało. Była przerażona. Co się dzieje? Kto wysłał jej te zdjęcia, kto do niej dzwonił? Nic z tego nie rozumiała.

W kieszeni jej dzinsów zawibrował telefon. Esemes. Wyciągnęła urządzenie i zobaczyła na górze wyświetlacza małą kopertę. Przesunęła po niej palcem.

*Nadal chętna do gry, Christine?*

O mało nie rzuciła smartfonem o ścianę.

- Pierdol się, czubku! - zawołała. Jej głos odbił się echem w pustej przestrzeni.

Oczywiście jej pogram pocztowy wysłał automatyczne potwierdzenie przeczytania e-maila. To znowu on. Facet od telefonu. Ten, który nasikał na jej drzwi. Przypomniał jej się napis na przedniej szybie samochodu: „Wesołych świąt, pieprzona kurwo”. To też on? Czego

on chce? Dlaczego się na nią uwziął? Dlatego, że nie zareagowała dostatecznie szybko na list? Ale skąd on to właściwie wiedział?

- Christine! Christine! Co z tobą?

Głos Cordélii. Drgnęła. Odwróciła się. Wysoka stażystka stała przed nią, przyglądając jej się z niepokojem oczami lśniącymi na dnie dwóch czarnych kałuż tuszu do powiek. Christine nie słyszała, kiedy dziewczyna weszła. Cordélia położyła jedną dłoń na jej ramieniu, a drugą musnęła jej policzek. Jej spojrzenie było zaciekawione, czułe, troskliwe.

- Coś nie tak? Co się dzieje? - Młoda kobieta przyciągnęła ją do siebie. Christine zawahała się przez chwilę, a potem pozwoliła się przytulić. - Co z tobą, Christine?

Łagodny, kojący głos sprawił, że wstrząsnął nią szloch i po jej policzkach wreszcie popłynęły łzy.

- Powiedz mi, co się dzieje.

Czuła perfumy Cordélii, włosy pachnące tytoniem muskały jej skroń.

- Wiesz, że możesz mi zaufać.

Mogę? Zawahała się. Tak bardzo chciała komuś zaufać, zwierzyć się. Ramiona Cordélii otaczały ją i kołysały. Mimo wszystko dobrze by jej zrobiło, gdyby to z siebie wyrzuciła. A potem dziewczyna schyliła się i złożyła na jej policzku pocałunek.

- Jestem tutaj. Jestem...

I drugi - bardziej czuły - w kąciку jej ust. A potem stażystka przechyliła głowę w bok, szukając ustami warg Christine. Znalazła je. Prezenterka zeszywniała, jakby włożyła palce do kontaktu.

- Puść mnie!

Gwałtownie odepchnęła wysoką, kanciastą sylwetkę. Dziewczyna uderzyła plecami o ścianę kabiny. W żółtawym blasku oświetlającym toalety na jej twarzy ukazał się drapieżny uśmiech. Wszelkie ślady czułości zniknęły.

Czyżby to ona...?

Ale kim w takim razie jest ten mężczyzna? Christine wyskoczyła z kabiny i rzuciła się ku drzwiom. Zanim się zamknęły, usłyszała za plecami śmiech Cordélii.

\*

Kiedy przekroczyła próg komendy policji, poczuła się tak, jakby trafiła na mur. Mur gniewu i frustracji. Mur smutku. Rezygnacji. Przypomniawszy jej się oglądany dawno temu film *Niebo nad Berlinem*, w którym niewidzialne anioły gromadziły wewnętrzne monologi prowadzone przez ludzi, szukając w nich śladów piękna i sensu. Jaki sens i jakie piękno znalazłyby tutaj? Jaki obraz poza obrazem beznadziei?



Kolejka ciągnęła się od bramki do lady. Wszystkie krzesła w pobliżu były zajęte, ludzi było więcej niż w holu dworcowym. Jedne spojrzenia były twarde jak kamień, inne zagubione, ukradkowe, jeszcze inne - zmęczone bardziej niż zużyte chusteczki. Pracownica ochrony w recepcji usiłowała stawić im czoło. Przy windach kuczał chudy gość, który najwyraźniej właśnie opuścił areszt, i wciągał sznurówki do butów. Kiedy podniósł oczy i Christine napotkała jego spojrzenie, zmroziło ją od środka. Zauważyła tego samego kota, którego widziała poprzednim razem na ladzie - czarno-szarego dachowca; drzemał zwinięty w kłębek w plastikowym koszyku.

- Jestem umówiona z porucznikiem Beaulieu - powiedziała, kiedy jej kolej nadeszła.

Pracownica ochrony, nie patrząc na nią, podniosła słuchawkę i przez chwilę z kimś rozmawiała. Podbródkiem wskazała na lewo. Ich spojrzenia nie spotkały się ani na chwilę. Christine poczuła się jak insekt.

Przeszła przez obrotową bramkę i dołączyła do wychudzonego faceta przy windach, który skończył sznurować buty. Naciągnął dżinsy na martensy, wyprostował się i spojrzał na nią oczami wyblakłymi jak jego spodnie, wielkimi jak guziki i lśnącymi jak monety. Mrugnął kilka razy, lustrując ją od stóp do głów. On przynajmniej zwracał na nią uwagę, choć był to ten rodzaj uwagi, bez którego chętnie by się obyła. Jego usta rozciągnęły się w groźnym uśmiechu. Miał ranki na brodzie i przy uszach, jakby za bardzo śpieszył się przy goleniu albo używał tępej maszynki. Pochylił się w jej stronę.

- Hej, kotku, chcesz w miesiąc polec cichcem? - zasyczał jej do ucha.

Zapach wody kolońskiej zmieszanej z potem buchnął w nozdrza Christine, tak że prawie się zachwiała.

- He? - wybełkotała, nic nie rozumiejąc. - Co pan mówi?

- Chcesz mieć mój palec w cipce? - powtórzył wyraźniej.

Zadrżała na całym ciele.

- Na zewnątrz stoi mój wóz - nalegał odrażającym szeptem. - Mam sto euro i największego wacka, jakiego kiedykolwiek widziałas.

Przynajmniej nie kaleczy języka, pomyślała. Poczwała, że kręci jej się w głowie. Sprawdziła, czy jej bluzka jest zapięta pod samą szyję, i oparła się dłonią o ścianę. Spod kołnierzyka jak z otworu wentylacyjnego buchała jej na twarz fala ciepła.

- Niech się pan odczepi.

Jego błądy wzrok lizał ją niczym wyuzdany język.

- Maleńka, wyluzuj... Nie mów mi, że nie lubisz robić brzydkich rzeczy. Takich naprawdę zбочzonych.

- Niech mi pan da spokój.

Nie wierzyła własnym uszom: facet z pewnością siedział za napaść seksualną i ledwie wyszedł, jeszcze w holu policji, w odległości kilku metrów od glin, bez mrugnięcia okiem zabiera się do nowej ofiary! Drzwi się otworzyły i z windy wyszedł mężczyzna w cywilu.

- Hector, zostaw panią w spokoju, zrozumiano? Christine Steinmeyer?

Policjant około trzydziestki, o brązowych oczach, gęstych, kręconych włosach i odrobinę zwiotczalym podbródkiem - nie ten, którego spotkała za pierwszym razem. Jediną wspólną cechą obu funkcjonariuszy był brzydki krawat.

- Porucznik Beaulieu - przedstawił się. - Proszę za mną.

Odwrócił się, wyjął kartę magnetyczną i weszli do windy.

Christine wcisnęła się w jak najdalszy kąt kabiny. Podczas jazdy czuła spoczywający na sobie wzrok policjanta i w końcu odwzajemniła spojrzenie, ale ten wcale nie przestał się jej przyglądać. Jakby uznał, że gapienie się na ludzi należy do jego obowiązków służbowych. Miał wory pod oczami. I wygląd człowieka, który stracił już dużą część fascynacji swoim zawodem. Wjechali na drugie piętro.

Gdy znaleźli się w jego zawałonym teczkami gabinecie, porucznik Beaulieu zdjął z krzesła plik dokumentów i poprosił Christine, by usiadła. Zadzwoił telefon. Policjant odpowiedział monosylabami i z irytacją się rozłączył.

- Przepraszam panią - powiedział. Jednak w jego tonie można było usłyszeć wszystko, tylko nie skruchę. Znowu wpatrywał się w nią bez mrugnięcia szeroko otwartymi, okrągłymi oczami. - Czy ma pani w ostatnim czasie jakieś problemy osobiste? - zapytał prosto z mostu.

Zbaraniała.

- To znaczy?

- No cóż, pani Steinmeyer... Czy ma pani ostatnio jakieś kłopoty?

- A co to za pytanie?

- Pytam, czy wszystko w porządku.

- Zrozumiałam. Chwileczkę: jestem tutaj w związku z listem, który u was zostawiłam, tak?

- Jak najbardziej.

- W takim razie jaki związek z nim ma pańskie pytanie?

Spojrzał na nią posepnie i podejrzliwie.

- Co pani robiła w Boże Narodzenie? Spędzała je pani sama? Czy z rodziną?

- Słucham? Z narzeczonym. - A ponieważ porucznik milczał, dodała: - Byliśmy na świątecznej kolacji u moich rodziców.

Wierciła się na krześle, zastanawiając się, czy powinna mu powiedzieć o telefonach od tamtego typu. I o moczu na drzwiach. Ale wewnętrzny głos podpowiadał jej, że w tej chwili to nie jest najlepszy pomysł. Porucznik Beaulieu nie wyglądał na szczególnie zainteresowanego. Zastanawiała się, czy kolega poinformował go o jej profesji, ale wątpiła, czy ta wiadomość lepiej by go do niej usposobiła.

- Świetnie - powiedział. - Pomówmy o liście. Znalazła go pani dwudziestego czwartego grudnia przed wigilią w swojej skrzynce. Zgadza się?

- Tak. Wybieraliśmy się na wieczerzę do rodziców Géralda.

- Czy list był w kopercie?

- Tak. Oddałam ją przecież pańskiemu...

- Wiem. Nie ma pani żadnych podejrzeń, kto mógłby go napisać?

- Nie. Dlatego pytałam sąsiadów. Bo pomyśleliśmy, że ktoś musiał pomylić skrzynki... I że może ten list był przeznaczony dla kogoś innego z tej kamienicy.

- Tak, tak. A pani narzeczonej? Co o tym myśli?

Zawahała się.

- Nie był zbyt zachwycony pomysłem przepytывania mieszkańców w wigilijny wieczór.

Porucznik Beaulieu uniósł brwi.

- Nie chciał, żebyśmy się jeszcze bardziej spóźnili - uściśliła.

- Aha. A poza tym u was wszystko w porządku?

- Tak, dlaczego pan pyta?

- Żadnych... napięć? Awantur?

- A jaki to ma związek z listem?

- Proszę odpowiedzieć.

- Już panu powiedziałam. Wszystko w porządku. Niedługo bierzemy ślub.

- O! - Uśmiechnął się bez większego przekonania. - Moje gratulacje! A kiedy?

Zawahała się. Miała coraz bardziej nieprzyjemne uczucie, że policjant próbuje zastawić na nią pułapkę. Ale dlaczego to robi?

- Cóż... Nie dogadaliśmy się jeszcze całkiem... w kwestii daty - wyznała.

Oczy porucznika lekko się rozszerzyły. Pokiwał głową z nieobecna miną, jakby w jego mózgu toczyła się dyskusja dwóch osób o zupełnie odmiennych opiniach. Christine natychmiast pożałowała swojej otwartości wobec obcego człowieka, który mógł błędnie zinterpretować jej słowa.

- Proszę pani - odezwał się, palcem wskazującym i kciukiem masując powieki. - Proszę

tego źle nie zrozumieć, ale ani dwudziestego czwartego, ani następnego dnia, ani, odpukać, dzisiaj, nie było żadnego samobójstwa. Z czego oczywiście pozostaje nam się tylko cieszyć, i co, skądinąd, samo w sobie jest dużym wydarzeniem, proszę mi wierzyć. W tym okresie ludzie w depresji mają jeszcze większą skłonność niż zwykle do czarnych myśli, rozumie pani? A desperaci często przechodzą do działania. To nie jest łatwy czas dla samotnych osób.

- (Christine miała ochotę powiedzieć mu, że jest poinformowana, że nawet prowadziła audycję na ten temat, ale uznała, że to także nie byłby dobry pomysł. Lepiej zrobi, jeśli pozwoli mu dokończyć). - Ale w tym roku, alleluja, nic, *niente* - podsumował. - A niech mi pani wierzy, samobójstwa to nic miłego.

Poczuła głęboką ulgę. Nie było samobójstw... Przynajmniej jeden ciężar mniej na jej barkach. Bo ostatecznie, skoro nic się nie stało, nie jest niczemu winna. Mężczyzna, który ją nęka, nie ma już żadnych powodów, by ją oskarżać.

- Ale chyba wie pan, w jaki sposób dotrzeć do tej osoby? - nalegała mimo wszystko. - Nawet jeśli jeszcze nie przeszła do działania, to... no, zagrożenie wydaje mi się jednak poważne, nie?

- Hmm. Tak pani myśli?

- Tak. A pan nie? Zresztą nie wiem, nie jestem psychologiem - poprawiła się, czerwieniąc się pod wpływem intensywności jego spojrzenia. - Ale... ten list jest napisany w taki sposób, że nie sędzę, żeby to była konfabulacja.

Policjant spojrzał na nią uważniej. Jakby obudził się z apatii.

- Naprawdę? A co panią skłoniło do takich przypuszczeń?

- Jak to?

- Co panią skłoniło, by pomyśleć, że to może być konfabulacja? Fakt, że dopuściła pani do siebie takie przypuszczenie, już coś mówi, prawda? Dlaczego taka hipoteza przyszła pani do głowy?

Dotknęła kołnierza bluzki i zasepiła się.

- No, nie wiem. Nigdy nic nie wiadomo.

- Uważa pani, że ktoś mógł napisać fałszywkę i wrzucić ją do pani skrzynki na listy, tak? - Rozłożył ręce. - A dlaczego według pani ktoś miałby zrobić coś takiego? Czy to nie jest trochę... dziwne?

Christine nieznacznie zmarszczyła brwi. Wyczuła w jego głosie jakąś nową nutę.

- Tak, być może. Nie wiem. Próbowałam wziąć pod uwagę wszystkie możliwości.

- Czy w takim razie nie byłoby logiczniej przyjąć, że list napisała osoba, która chce zwrócić na siebie uwagę?

- Tak, oczywiście. Ale jedno drugiego nie wyklucza.

- Ktoś, kto podświadomie lub świadomie pragnie sprawić, by o nim... albo o niej... mówiono, by zauważono jej sytuację, jej rozpacz...

Christine była coraz bardziej zdezorientowana. Ten glina nie mówił tego ot tak, teraz to rozumiała. Zataczał coraz ciaśniejsze kręgi wokół prawdziwego celu tej rozmowy, celu, który miał ustalony od samego początku.

- Bardzo mi przykro - powiedział, pochylając się do przodu oparty na przedramionach - ale na tym liście są tylko odciski pani linii papilarnych. Jakiej drukarki pani używa?

- Co?! Jak to? Ale pan chyba nie myśli, że...

- Czy to pani narzeczony chce odłożyć datę ślubu, pani Steinmeyer? Czy powiedział pani, że ma ochotę na przerwę w związku? Że ma wątpliwości? Czy może mówił o zerwaniu?

Nie wierzyła własnym uszom.

- Ależ skąd!

Policjant podniósł głos.

- Czy pani już się leczyła z powodu problemów psychicznych? Proszę nie kłamać, bardzo łatwo mogę to sprawdzić.

Miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod nóg. To do tego zmierzał od samego początku. Ten kretyn sądzi, że to ona jest autorką listu! Bierze ją za mitomankę, za wariatkę!

- Czy pan insynuuje, że sama napisałam ten list, a potem go tutaj przyniosłam? - zapytała z niedowierzaniem.

Pochylił się. Jego oczy lśniły.

- A zrobiła to pani? Chce mi pani coś powiedzieć na ten temat?

- Wal się - odpowiedziała i wstała, gwałtownie odsuwając krzesło.

- Co? Co pani powiedziała? - (Zobaczyła, jak mężczyzna się podnosi, a jego twarz staje się purpurowa). - Mogę kazać panią ścigać za zniewagę i stawianie opo...

- Proszę mnie odprowadzić - przerwała mu. - Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

- Jak pani chce.

## 8.

### MELODRAMAT

Servaz przeszedł przez ozdobione herbami drzwi Grand Hôtel Thomas Wilson o trzynastej. Po rozłożonych w holu dywanach - skóry, boazerie, boazerie, skóry - ruszył do recepcji. Położył na ladzie klucz magnetyczny i wyjął odznakę.

- To klucz stąd? - zadał retoryczne pytanie.

Młoda recepcjonistka spojrzała badawczo na klucz i jego właściciela. Servaz rzucił okiem na dekolt białej bluzki, w którym widać było koronkę stanika. Następnie kobieta sprawdziła coś w stojącym przed nią komputerze.

- Tak. Ale ten klucz musi być nieaktywny, widzę, że pokój 117 był dziś rano zajęty. Gdzie go pan znalazł?

- Często znikają?

Skrzywiła się i wydeła wargi.

- To się zdarza. Bywają gubione, kradzione. Czasem jakiś klient zapomni oddać klucz i odlatuje z nim do Chin.

- Czy pokój 117 jest dzisiaj zarezerwowany?

Znowu spojrzała na ekran.

- Tak.

- Na jakie nazwisko?

- Nie wiem, czy mogę...

- Servaz, tak?

Skinęła głową. Tak na marginesie, prześliczną.

- Kiedy dokonano rezerwacji?

- Trzy dni temu. Przez stronę internetową hotelu.

Popatrzył na nią jak ćpun na dealera.

- Ma pani adres mailowy? Numer karty kredytowej?

- Jedno i drugie. Oraz numer telefonu.

- Może mi pani to wydrukować? Od razu?

- Hmm, chyba wcześniej powinnam zapytać o to dyrektora.

Patrzył, jak odkłada słuchawkę. Czekali. Dyrektor hotelu pojawił się po dwóch minutach. Wysoki, w okrągłych okularach, w których odbijały się światła holu. Jego włosy, poza siwiejącymi skroniami, ufarbowane były na dziwny kolor - między kasztanowym a

mahoniowym. Ceremonialnie uściskał dłoń policjanta.

- O co chodzi?

Servaz musiał się zastanowić. Jest na zwolnieniu lekarskim. Nie ma żadnego prawa być tutaj i zadawać pytań. A już na pewno nie ma nakazu.

- O śledztwo prowadzone przez policję kryminalną - skłamał. - Uzurpacja tożsamości. Ktoś zarezerwował pokój w tym hotelu na nazwisko innej osoby, nie informując jej o tym. I popełnił kilka przestępstw, posługując się jej dowodem. Poprosiłem pańską pracownicę o wydrukowanie kopii formularza rezerwacji.

- Mhm, rozumiem. Nie ma problemu. Damy to panu. - Zwrócił się do recepcjonistki: - Marjorie...

Marjorie uruchomiła małą drukarkę stojącą pod ladą, schyliła się, by wyjąć kartkę, i podała ją mężczyznom. Rzuciwszy okiem na kopię, dyrektor pokazał wydruk Servazowi. Nieznacznie zmrużył oczy, czego policjant nie omieszkał zauważyć.

- Proszę.

- Dziękuję. Czy ten pokój numer 117 - powiedział nagle Servaz - jest w jakiś sposób szczególny?

Młoda recepcjonistka i dyrektor wymienili spojrzenia. Ta milcząca scena uruchomiła w nim sygnał alarmowy.

- Cóż - zaczął dyrektor, odchrząknawszy - rzeczywiście, rok temu w tym pokoju doszło do pewnego zdarzenia... - Przeciągnął dłonią po twarzy, a następnie po swojej fryzurze. - Młoda kobieta popełniła tam samobójstwo - powiedział dziwnie piskliwym głosem. - To było straszne, przerażające... Ona... ona... cóż, najpierw porozbijała lustro w łazience... i w pokoju... A potem... a potem otworzyła sobie żyły i... ehe, ehe... na próżno próbowała rozciąć sobie brzuch kawałkiem lustra, a kiedy jej się to nie udało, poderznęła sobie gardło.

Rozejrzał się dookoła, by się upewnić, czy biznesmeni siedzący w fotelach kawałek dalej nie słyszeli tych obrzydliwości. Servaz miał wrażenie, jakby pod jego skrońmi pulsowały dwie potężne żyły. Oczami wyobraźni zobaczył swój sen: naga Marianne z rozprutym brzuchem w tamtej chacie. Zakręciło mu się w głowie. To strach pulsował mu pod skórą: znajomy, lodowaty głos przerażenia.

- Mógłbym zobaczyć pokój?

Miał wrażenie, że jego głos wcale nie brzmi już twardo ani zdecydowanie. Dyrektor skinął głową. Wyciągnął dłoń, na której recepcjonistka położyła plastikową kartę, taką samą jak ta, którą otrzymał Servaz.

- Proszę za mną.

W windzie lustrzane odbicia śledziły ich jak złowrogie klony. W świetle plafoniery Servaz zauważył odrobinę wilgoci u nasady mahoniowych włosów. Słysząc było tylko zduszony oddech dyrektora. Drzwi windy się otworzyły.

- To pokój *platinum* - odezwał się dyrektor, podążając cichym korytarzem. - Trzydzieści dwa metry kwadratowe, łóżko sto osiemdziesiątka, ekran LCD, pięćdziesiąt kanałów, barek, sejf, ekspres do kawy, szlafrok, pantofle, ADSL i Wi-Fi gratis, dwuosobowa wanna.

Servaz pomyślał, że facet zachwala towar, bo potrzebuje oparcia w czymś pewnym, dobrze znanym. Najwyraźniej rzadko wraca do pokoju 117. Pewnie przysyła tu sprzątaczkę i boyów hotelowych. Czyżby to on znalazł ciało?

- Przypomina pan sobie, jak się nazywała?

- Takich rzeczy się niestety nie zapomina. Célia Jablonka. Artystka...

Servaz już słyszał to nazwisko. A może gdzieś o nim czytał. Wróciły urywki wspomnień. Artykuły w gazetach rok wcześniej. Samobójstwami nie zajmuje się policja kryminalna, lecz prewencyjna. Jednak ze względu na sposób, w jaki młoda kobieta popełniła samobójstwo, oraz jej zawód sprawa była w tamtym czasie głośna.

Dyrektor się zatrzymał.

Kiedy przyłożył kartę magnetyczną do dużego połączanego zamka, rozległo się kliknięcie. W hotelu unosił się zapach kwiatowego odświeżacza, środków czystości i bielizny pościelowej - taki sam jak we wszystkich luksusowych hotelach. Niewielki przedpokój ze stojakiem na bagaż i dwoma białymi szlafrokami na wieszakach. Drzwi do łazienki były uchylone. Pokój... Wezłowie łóżka w formie dwóch wielkich wyściełanych rombów w złotym kolorze, wznoszących się do samego sufitu. Jaskrawoczerwone poduszki, podłoga z szarego laminatu, ściany w hebanie. Półmrok rozświetlały chromowane lampki.

Słowem - kicz. Servaz miał wrażenie, jakby znalazł się w środku bombonierki z dwiema warstwami czekoladek oddzielonych od siebie połączonym papierem.

Cisza. Jedyne ciężki oddech dyrektora za jego plecami. Podwójny witraż wygłuszał odgłosy dochodzące z okrągłego placu na dole. Mury były grube - z pewnością wprost proporcjonalnie przekładało się to na cenę pokoi. Servaz patrzył na tanię białych płatków za oknem, między ciemnymi zasłonami. Nigdy nie widział takiego śniegu nad Tuluzą.

- Proszę mi pokazać, które lustro zostały rozbite. Gdzie ją znaleźli. W jaki sposób to zorganizowała. Co zrobiła...

Świszczący oddech dyrektora.

- Tak - rzucił na wydechu.

Servaz czuł rosnące napięcie. Nerwowość dyrektora była zaraźliwa. W szklach jego



okularów odbijały się światła lampek i policjantowi trudno było dostrzec oczy mężczyzny. Zrobił dwa kroki w kierunku drzwi wejściowych, nacisnął włącznik i w łazience zrobiło się jasno. Servaz wszedł do środka. Wypełniona blaskiem bańka. Podwójna umywalka, kaskadowe baterie, koszyk pełen mydełek i szamponów, starannie poskładane czyste ręczniki oraz duże lustro - a w nim oni: oślepieni, osłupiali i głupi, skąpani w strugach światła.

- To. - Dyrektor wskazał na lustro. - Wszędzie były kawałki szkła... i krew... To było... przerażające... Umywalka, podłoga, ściany: wszystko było zbryzgane krwią. Widok nie do zniesienia. Ale to nie tutaj została znaleziona.

Wszedł do pokoju.

- I to.

Lustro naprzeciw łóżka, nad biurkiem, na którym znajdowała się taca z dzbankiem elektrycznym, lampka i papier listowy. Pod spodem umieszczono barek.

- Znaleziono ją leżącą na łóżku, z rozkrzyżowanymi ramionami...

Dyrektor oddychał jak nurek, który przygotowuje się do zejścia pod wodę na bezdechu.

- Była naga - uściślił.

Servaz nic nie powiedział. Poczuł pod czaszką powiew wiatru z Polski. Wycie wilków. Krew na śniegu. Szałas. Noc. Przełknął ślinę. Jego kolana drżały. Jeszcze nie jest gotowy... Jeszcze za wcześnie.

- Kto ją znalazł? Pan?

Dyrektor musiał wyczuć niepokój w jego głosie. Rzucił mu zdziwione spojrzenie. Z pewnością zaskoczyło go, że glina z policji kryminalnej może być tak uczuciowy. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Na zewnątrz rozległ się dźwięk klaksonu.

- Nie. Boy. Drzwi pokoju były uchylone, a w środku grała muzyka. Było ją słyszeć aż na korytarzu. Wydało mu się to dziwne, więc pchnął drzwi, zawołał. Nie było odpowiedzi. I ta muzyka na cały regulator... O p e r o w a... - Ostatnie słowo wymówił z takim naciskiem, jakby chodziło o coś nienormalnego.

- Operowa?

- Tak. Na łóżku obok niej znaleziono okładkę płyty. Wie pan, co to było? *Latający Holender* Richarda Wagnera. Ta opera, w której Senta, młoda kobieta, rzuca się z klifu... Samobójstwo - doprecyzował, na wypadek gdyby policjant nie załapał. Zapewne w jego wyobrażeniach wszystkie gliny to tępaki, jak w filmach.

W głowie Servaza pojawiła się pewna myśl. Muzyka tutaj. I muzyka w instytucie psychiatrycznym, wysoko w górach, przed czterema laty. Poczuł, jakby na jego udręczonym sercu zaciskały się kleszcze. Było ciężkie i nabrziałe. Biło z całych sił.

- Biedny chłopak podszedł bliżej. Najpierw zobaczył jej stopy. - Dyrektor mówił z coraz większym trudem, jakby jego dykcja dopasowywała się do przeżyć boya. - Potem nogi, miednicę... Najpierw jego uwagę przykuła rana na brzuchu... To wyglądało jak tatar, kroila się, cięła wiele razy, ale nie udało jej się uszkodzić żadnego ważnego narządu. Potem, kiedy się zbliżył, zobaczył przecięte nadgarstki, a na końcu gardło... Ze środka sterczał kawałek szkła... Krew opryskała wszystko: łóżko, ściany, podłogę. Trzeba było zmienić wezglowie, było nie do odzyskania. Według policji dziewczyna najpierw usiłowała popełnić seppuku, wbijając sobie trójkąt szkła w brzuch, ale jej się to nie udało i ostatecznie poderżnęła sobie gardło.

Servaz wpatrywał się w puste łóżko. Próbował odtworzyć scenę, obraz, który zobaczył boy. Paskudne rany na brzuchu, nadgarstkach, szyi. Ostry odłamek lustra wbity w gardło. Głośną muzykę operową rozbrzmiewającą w jego uszach. Martwe spojrzenie, otwarte usta. Czy chłopakowi do tej pory śnią się koszmary? Oczywiście, że mu się śnią.

- Ten boy dalej tu pracuje?

- Nie, zwolnił się. A właściwie nie przyszedł już na drugi dzień. Nigdy więcej go nie widzieliśmy. Ale oczywiście nie mieliśmy zamiaru go wyrzucać, zważywszy na okoliczności. Kilka tygodni później przysłał e-mailem wypowiedzenie.

- A pan, czy pan ją widział?

Wahanie.

- Tak... tak. Widziałem. Boy zadzwonił do mnie.

Nie miał ochoty więcej mówić. Servaz to rozumiał. Zresztą szczegółowe informacje mógł uzyskać gdzie indziej.

- Nie widzę tu żadnego odtwarzacza CD ani MP3 - powiedział.

- Miała swój. W telewizorze są kanały muzyczne i radiowe, ale nie ma odtwarzacza.

- Chce pan powiedzieć, że przyszła z własnym? Po to, by włączyć tę muzykę, gdy będzie sobie odbierać życie?

- Sądzę, że zależało jej na tym, by umrzeć właśnie w ten sposób - powiedział dyrektor tonem, jakiego używają policjanci. - I że wiedziała, że w hotelu czegoś takiego nie znajdzie. Kto wie, co się dzieje w ludzkiej głowie w takiej chwili.

- Dlaczego w takim razie nie popełniła samobójstwa u siebie?

Dyrektor spojrział na niego z miną, która oznaczała: To pan jest z policji, nie ja.

- Nie mam pojęcia.

- Przypomina sobie pan, jak długo tu była?

- Przyszła tamtego dnia.

Przemyślany wybór. Ten hotel musiał mieć znaczenie. Był istotny w spektaklu wyreżyserowanym przez Célię Jablonkę. Podobnie jak opera. Czy ludzie z prewencji zwrócili uwagę na te szczegóły? Czy raz-dwa umorzyli sprawę? I kto zajmował się sekcją zwłok? Servaz miał nadzieję, że robił ją Délémas: choleryk, ale prawdziwy profesjonalista. Tak jak on kiedyś...

I dwa najważniejsze pytania: Kto rok po zdarzeniu wysłał mu ten klucz? I dlaczego?

## 9.

### ANTRAKT

Liść, który spadł z drzewa, tańczył przed nim przez chwilę, kreśląc niewidzialne arabeski, aż wreszcie wylądował na brudnym śniegu tuż przed czubkami jego butów. W jaki sposób wytrzymał aż do tej pory, zupełnie sam na całym drzewie, skoro wszystkie pozostałe już dawno poopadały? Servaz stał z papierosem drżącym między jego wargami jak liść. Nagle uderzyła go wizja własnej słabości i walki, którą toczy. Czy jego dusza zazna wiosny?

Wyjął niedopałek, zgniótł go obcasem obok karmazynowego liścia i wzruszył ramionami. Minirytuał skruszonego palacza. Osiem miesięcy... Zanim z powrotem ruszył po bruku i schronił się w ciepłym holu, wyjął telefon i zadzwonił do Délmasa.

- Niejaka Célia Jablonka, artystka, która w ubiegłym roku popełniła samobójstwo w Grand Hôtel Thomas Wilson, mówi ci to coś?

- Mhm.

- To znaczy tak czy nie?

- To znaczy tak. Przeprowadzałem sekcję.

Servaz się uśmiechnął.

- I?

- Co: i?

- Samobójstwo czy nie samobójstwo?

- Samobójstwo.

- Jesteś pewien?

- A czy ja mam zwyczaj rzucać słowa na wiatr? - obruszył się lekarz.

Servaz uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nie.

- Nie było najmniejszych wątpliwości.

- Ale przyznaj, że ta historia z operą i gardło podejrzięte kawałkiem lustra... - nalegał Servaz.

- Słuchaj. Ta dziewczyna zrobiła to sama, jakkolwiek wydawałoby się to niewiarygodne. I nikt jej nie pomógł. Kropka. Nie wyobrazasz sobie, jak człowiek potrafi się skatować. Typ rany, brak śladów na nadgarstkach: gdyby ktoś chciał ją zmusić, żeby sobie podcięła gardło, wyrzywałaby się, wierz mi. Wyniki badań toksykologicznych, analiza śladów krwi, ran *ante mortem* na prawej ręce... Nie pamiętam już szczegółów, ale wszystko się

zgadzało, nie było żadnej strefy cienia. Sprawa klarowna, jasna i dokładna.

- Co wyszło z toksykologii, pamiętasz?

- Taaa... Około piętnastu godzin przed zdarzeniem wzięła tabletkę nasenną, miała też we krwi ilość antydepresantów i środków nasennych, która rozłożyłaby słonia. Ale żadnych narkotyków. Zapamiętałem to, bo widząc tak gwałtowną autoagresję, z początku myślałem, że wzięła jakiś psychodelik, a potem podejrzewałem, że to dekompensacja po benzodiazepinach. Bez wątpienia wcześniej miała myśli samobójcze. Wróciłeś do roboty?

- Eee...

- To znaczy nie, jeśli dobrze rozumiem. Zatem z całym szacunkiem pragnę zwrócić twoją uwagę na fakt, że po pierwsze, sprawa została umorzona dawno temu, a po drugie, jesteś na chorobowym, a zatem nie jestem upoważniony do przekazywania ci takich szczegółów. Dlaczego interesujesz się tą biedną dziewczyną? Znałeś ją?

- Godzinę temu jeszcze nie.

- Cóż, dobrze. Jeśli nie masz ochoty o tym gadać, to nie gadaj. Ale kiedy przyjdzie czas, chciałbym się dowiedzieć, skąd to nagłe zainteresowanie. I co ty właściwie wyprawiasz, Martin.

- Później. Dzięki.

- Uważaj na siebie. Naprawdę myślisz, że jesteś gotowy?

Gotowy? Gotowy na co? - pomyślał. Przecież chciałem się tylko dowiedzieć paru rzeczy.

- Słuchaj - powiedział. - Tej rozmowy nigdy nie było.

Cisza.

- Jakiej rozmowy?

Rozłączył się. Dziewczyna naprawdę popełniła samobójstwo.

Żaden spryciarz nie mógłby wykiwać Délmasa. Skoro tak, to dlaczego ktoś wysłał ten klucz jemu, glinie z brygady kryminalnej? Samobójstwa to nie jego działka. I dlaczego ktoś wybrał akurat jego, funkcjonariusza niebędącego na służbie, leczącego ból istnienia w ośrodku rehabilitacyjnym, odsuniętego na boczny tor? Nieskutecznego jak bokser, który od miesięcy nie trenował. Wyjął prostokątny klucz z kieszeni i spojrzał na niego. Popatrzył na logo i litery „T” i „W”, a następnie na kartonik, na którym napisano niebieskim tuszem:

*Spotkanie jutro, pokój 117*

Wszystko to nie miało więcej sensu niż tamten liść, który został na drzewie, choć

wszystkie inne już poopadały, a w końcu i tak zrobił to samo; nie więcej niż sen o śniegu i wilkach; nie więcej niż nic nieznacząca tragedia człowieka zmiażdżonego przez siły, które go przerosły. Jak miliardy innych. A jednak ktoś zwrócił się do niego. Przede wszystkim należało się dowiedzieć, kto to taki.

## 10.

### SOPRAN

Christine patrzyła na młodego mężczyznę uwijającego się przy jej drzwiach. Obok niego stała otwarta skrzynka z narzędziami. Wymienił już stary zamek bębenny na trzyryglowy i zamontował łańcuch, a teraz atakował drzwi wiertarką, by wstawić wizjer. Dał jej do zrozumienia, że ideałem byłoby zastąpienie starych drzwi skrzydłem antywłamaniowym ze stali z wbudowanymi połączeniami z futryną i przyspawanymi osłonami zawiasów. Nie zamierzała jednak bawić się w Fort Alamo. Dlaczego w takim razie nie zbudować *panic room*?

Ślusarz był młody, ale jego okrągłutka twarz i okazały tyłek w niebieskich ogrodniczkach zdradzały dietę opartą na frytkach smażonych w głębokim oleju, hamburgerach i *sundaes*. Na nos opadał mu długi kosmyk tłustych, ciemnych włosów, a jego szyja i policzki usiane były jeszcze trądzikiem.

- Sześćdziesiąt procent włamywaczy rezygnuje, jeśli nie uda im się wejść po dwóch minutach, a dziewięćdziesiąt pięć po trzech. Sześćdziesiąt trzy procent dostaje się do środka przez drzwi. A wie pani, że do sześćdziesięciu pięciu procent gwałtów dochodzi w mieszkaniu ofiary?

Zadrzała.

- Gwałtów? Dlaczego mówi pan o gwałtach?

Odgarnął kosmyk. Jego brązowe oczy wyrażały uprzejmą pobłażliwość.

- Włamywacze często są gwałtocielami. Zdarza się to częściej, niż myślimy.

Skąd u niego ta potrzeba, żeby mnie bajerować? W końcu sprzedał mi już swoją robotę. A może chce mi wcisnąć coś jeszcze?

- Ma pan jeszcze coś do sprzedania? - zapytała.

Przerwał pracę, sięgnął do przedniej kieszeni ogrodniczek i podał jej prospekt.

- Dzięki temu będzie pani bezpieczna.

Otworzyła. Kompletny system alarmowy. Pięć czujników ruchu, trzy czujniki magnetyczne, syrena sto dwadzieścia decybeli z sygnałem świetlnym, wszystko połączone z centrum telemonitoringu. Prospekt zapewniał, że w razie uruchomienia alarmu policja, z którą firma ściśle współpracuje, będzie na miejscu w ciągu piętnastu minut. Czujniki ruchu zrobią nawet intruzowi zdjęcie, które wyślą na jej telefon komórkowy i do centrali. Prospekt był bardzo ładny, wydany na papierze kredowym, budził zaufanie dobrej jakości zdjęciami i

czytelnymi schematami. Niewątpliwa oznaka poważnej, dobrze prosperującej firmy, mającej wyrobioną pozycję na rynku.

- Dziękuję - powiedziała, zwracając mu prospekt - ale jeszcze nie jestem gotowa, by zamienić moje mieszkanie w fortecę.

- Pani wybór. Może go pani zachować. Na wypadek gdyby pani zmieniła zdanie. Widziała pani już *Mechaniczną pomarańczę*?

Zastanawiała się, czy mężczyzna żartuje. Najwyraźniej jednak nie żartował.

- Weryfikacja - odparowała.

- He?

- Przed zawiadomieniem sił porządkowych pańska firma musi zastosować procedurę weryfikacji alarmu. To obowiązkowe. Musi zadzwonić do domu, jeśli ktoś odbierze, zapytać o hasło, albo też stwierdzić wtargnięcie na podstawie zdjęć cyfrowych lub obrazu z kamery, pod warunkiem że połączenie nie zostało przerwane, że zdjęcia są odpowiedniej jakości, że intruz nie jest członkiem rodziny, który po prostu pomachał do kamery. A zatem w większości wypadków firma wysyła pracownika, który może się akurat znajdować bliżej lub dalej, bo z tego, co widzę, pana firma działa w całym regionie, ponieważ pod żadnym pozorem nie jest upoważniona do wzywania sił porządkowych, jeśli zdarzenie nie jest w odpowiedni sposób potwierdzone. W najlepszym wypadku minie dobre pół godziny, a bardziej prawdopodobne, że od godziny do dwóch, w zależności od dyspozycyjności policjantów czy żandarmów. Reklamy, które gwarantują przybycie policji w ciągu piętnastu minut, są kłamstwem. A zgodnie z prawem to także jest karalne. Poza tym wystarczy nabyć za sto euro nadajnik zakłócający, żeby rozbroić całe to ustrojstwo, bo jeśli dobrze widzę, działa ono bezprzewodowo - powiedziała, puszczając do niego oko. - Miałam audycję na ten temat.

Rzucił jej złe, posępne spojrzenie. Wiedziała, co sobie pomyślał: Dobrze, że zakładasz zabezpieczenia, ty dziuro, albo coś w tym stylu... Za jej plecami zadzwonił telefon. Christine natychmiast zeszywniała. Poczula, jak na jej ciało występuje gęsia skórka. Wszystkie logiczne myśli wyparowały z jej głowy. Młody ślusarz jej się przyglądał. Musiał coś zauważyć w jej spojrzeniu. Z ciężkim sercem, nie śpiesząc się, ruszyła do aparatu, który stał na kuchennej ladzie. Telefon nie dawał za wygraną, rozdzierając panującą w mieszkaniu ciszę. Sięgnęła po słuchawkę z takim samym entuzjazmem, z jakim brałaby do ręki jadowitego węża.

- Halo?

- Christine? - Znajomy kobiecy głos. - Tu Denise.



Kamień spadł jej z serca. Ale już chwilę później w jej głowie pojawiło się pytanie: Dlaczego Denise tutaj dzwoni? Nagle przypomniały jej się zdjęcia w komputerze - tête-à-tête za kawiarnianą szybą - i mieszanka gniewu z niepokojem ścisnęła jej żołądek.

- Denise? Co się stało?

- Christine, musimy się spotkać.

Głos Denise przywiódł jej na myśl gumę, którą bawiła się jako dziecko, rozciągając ją między palcami do maksymalnego napięcia.

- W związku z czym? To naprawdę pilne?

- Tak. Myślę, że tak. - W jej tonie pobrzmiewała jakaś władcza nuta. I wrogość.

Christine natychmiast stała się czujna. Coś się wydarzyło. Miała wrażenie, jakby po jej synapsach rozszedł się prąd.

- Co się dzieje? Nie możesz mi powiedzieć?

- Doskonale wiesz, o co chodzi.

Teraz w jej głosie było jeszcze więcej pewności siebie. I jakieś oskarżenie. Gniew, prowokacja. Czyżby chciała jej powiedzieć o sobie i Géraldzie?

- Chcę się z tobą spotkać. Teraz.

Christine poczuła, że spina się wewnątrz. Za kogo ta suka się uważa?

- Słuchaj, naprawdę nie wiem, o czym mówisz. Ale ani trochę nie podoba mi się twój ton. Pozwól więc, że coś ci powiem: miałam trudny dzień i... Zamierzam porozmawiać z Géraldem o tobie, o nim i o mnie.

Powiedziała to. Czekwała na reakcję.

- Za pół godziny u Wallace'a, na placu Saint-Georges. Radzę ci przyjść.

Wielki Boże! Ta laska nie tylko wydaje jej rozkazy, ale jeszcze rzuciła słuchawkę!

\*

Christine weszła do zatłoczonej i gwarnej kawiarni Wallace. Wystrój w stylu lounge: ściany ze sztucznych, wypukłych kamieni, podświetlone od dołu, małe kwadratowe fotele, nad barem niebieskie światło jak w akwarium. Klientela w osiemdziesięciu procentach w wieku studenckim. Muzyka jak ze składanki Inrocks.TV: Asaf Avidan, Local Natives, Wave Machines... Ten lokal mógł równie dobrze znajdować się w Sydney, Hongkongu czy Helsinkach i właśnie na tym polegał zapewne jego urok w oczach młodych ludzi, którzy spędzali życie przed ekranem telewizora.

- Cześć - powiedziała, mrużąc oczy, i zajęła miejsce.

Denise siedziała z nosem w szklance i wyglądała na jeszcze bardziej zdenerwowaną niż podczas rozmowy przez telefon. Udała, że miesza swojego drinka odblaskowym patyczkiem,

a potem wolno podniosła na nią piękne zielone oczy. Caipirinha... Trochę wcześniej na alkohol, pomyślała Christine. Może młoda doktorantka musiała dodać sobie odwagi. Ale odwagi do czego?

- Jestem, tak jak prosiłaś. A więc o co chodzi z tym spotkaniem? Dlaczego rozmawiałaś ze mną takim tonem? I po co te wszystkie tajemnice?

Denise omiotła wzrokiem salę, a potem, jakby z żalem, zatrzymała spojrzenie na Christine.

- Wczoraj... zastałaś nas, mnie i Géralda w jego gabinecie, w Instytucie...

Żołądek Christine ścisnął się jeszcze bardziej.

- O mało nie powiedziałaś: p r z y ł a p a ł a ś - zauważyła chłodno.

- Przylapałaś, zastałaś, nieważne... - Znowu nuta wrogości w jej tonie. - To nie było tak, jak myślisz. Zupełnie nie tak. Byliśmy tam ze względu na pracę. On i ja. Tak się składa, że jest moim promotorem i...

- Dziękuję, jestem na bieżąco.

- ...i nie chodzi tylko o mój doktorat, ale o coś więcej. Musisz zrozumieć, pracujemy nad bardzo ambitnym projektem: zamierzamy przedstawić nowy sposób odbioru sygnałów GNSS, to znaczy tych używanych w nawigacji satelitarnej. - Rzuciła okiem na Christine, by sprawdzić, czy jej rozmówczyni nadąza. - Na przykład GPS, który jest amerykański, rosyjski GLONASS i chiński Beidou. W 2005 roku Unia Europejska umieściła w przestrzeni własne satelity, a jej system, Galileo, powinien wkrótce zacząć działać. Metoda, którą stosujemy, pozwala na zwiększenie rozdzielczości częstotliwościowej transformaty Fouriera bez zbytniego obciążania przeliczeniami odbiornika pozycji. - Wykonała przeproszający gest - Wiem, wiem... to brzmi jak bełkot i nie zamierzam cię zalewać naukowym żargonem, ale właśnie piszemy bardzo ważny artykuł, tak ważny, że możemy za niego dostać nagrodę na konferencji ION GNSS, największej i najbardziej prestiżowej konferencji na temat nawigacji satelitarnej. - Jej głos zaczynał zdradzać pewną nerwowość. - Wiem, że z zewnątrz wygląda to na straszliwie nudne. Ale w rzeczywistości to jest pasjonująca dziedzina i obydwójce z Géraldem uwielbiamy to, co robimy, badania, które prowadzimy. To Gérald wpadł na pomysł tego projektu, i jest wspaniałym promotorem... - Zrobiła chwilę przerwy. - Dlatego mamy gdzieś, czy akurat są święta czy nie. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł, i kiedy powiedziałam mu o tym przez telefon, był bardzo podekscytowany i od razu mi powiedział, żebym przyjechała do niego do Instytutu.

- Mhm.

Christine rozumiała ukryty sens tego słowotoku. Przestań sobie wyobrazać nie wiadomo

co, ślicznotko. Nie możesz tego zrozumieć, bo nie jesteś dość inteligentna, dość bystra, za krótko studiowałaś. To jest nasz wspólny teren, twojego przysłego męża i mój, do którego ty nigdy nie będziesz miała dostępu. Lepiej jeśli się z tym od razu pogodzisz, moja piękna.

Rozejrzała się dookoła. Ilu spośród obecnych tutaj młodych ludzi studiuje nauki ścisłe? Wiedziała, że przemysł aeronautyczny w regionie zatrudnia dziesiątki tysięcy osób, a w kampusie Ranguel, podobnie jak w okolicznych laboratoriach naukowych, przebywają tysiące studentów zdobywających specjalizację z matematyki, informatyki, aeronautyki i nauki o przestrzeni kosmicznej na najwyższym poziomie. Znowu spoczął na niej wzrok Denise. Nie było już w nim żadnego zdenerwowania ani niepokoju: tylko oskarżenie.

- A ty sobie wyobrażasz nie wiadomo co, Christine. Bo jestem ładna, bo Gérald mnie docenia, bo dobrze się rozumiemy? Nie wiem, co sobie wbiłaś do głowy, ale...

Ton, jakim doktorantka wypowiedziała ostatnie zdanie, ani trochę jej się nie spodobał. I ta aluzja do zgodności na poziomie intelektualnym i chemii, jaka prawdopodobnie istnieje między jej przysłym mężem i Denise. Zastanawiała się, czy Géraldowi zdarza się je porównywać.

Ale było coś jeszcze. Tylko co? I nagle na to wpadła: Denise przypominała jej Madeleine. Podobieństwo między nimi było niezaprzeczalne. Madeleine, która dojrzała. Która stała się dorosłą kobietą. Której twarz nie była już pucołowata, ale wysubtelniała.

Ta myśl w niejasny sposób ją poruszyła.

Jednocześnie Christine poczuła ulgę. Kiedy tu szła, obawiała się czegoś gorszego. Czego właściwie? Przykrej niespodzianki w stylu lekarstw znalezionych w szufladzie jej biurka? Informacji, że Gérald i Denise mają romans? Nie miała pojęcia, lecz słysząc głos Denise w telefonie, miała straszne przecucia.

- Denise - odparła. - Wszystko w porządku. Niczego sobie nie wyobrażam, zapewniam cię. Wiem, jak bardzo Gérald kocha swoją pracę i jak bardzo cię ceni. To naprawdę nie jest problem.

Naprawdę? Jesteś tego pewna?

- A więc wyjaśnij mi to - zażądał lodowaty głos z drugiej strony stolika.

Christine zeszywniała. Palce wystające z mitenki podsunęły jej przed nos zadrukowaną kartkę.

- Dzień dobry - powitał ją kelner z zawodowym entuzjazmem. - Życzy sobie pani coś do picia?

- Co to jest? - zapytała.

- Naprawdę nie wiesz? - szeptał Denise drżał z wściekłości.

Kelner pośpiesznie się wycofał. Christine się pochyliła. E-mail. Prześlizgnęła się wzrokiem po nagłówku, by skupić się na tekście.

*Droga Denise, jeśli sądzisz, że nie widzę twoich sztuczek... trzymaj się z daleka od mojego faceta. Taka jest moja rada.*

*Chris wysuwa pazury*

Miała wrażenie, że stół i cała sala zaczynają wirować. To niemożliwe. To się nie dzieje naprawdę...

Przeczytała tekst po raz drugi. Zamknęła oczy. Otworzyła je. Jak piorun uderzyła ją myśl, że wszystko, co się wydarza, jest nierzeczywiste.

- Ja tego nie napisałam.

- Christine, proszę cię, daj spokój! Kto oprócz ciebie i mnie mógł wiedzieć, jak Gérald cię nazywa, kiedy się złości?

- Co? - Pokręciła głową. - Mówisz, że Gérald tak mnie nazywa?

Denise patrzyła na nią z miną wyrażającą zniecierpliwienie i pogardę.

- Jakbyś nie wiedziała.

- Ja... Nie rozumiem, co się dzieje.

Młoda kobieta odpowiedziała jej wrogim milczeniem.

- Denise, przysięgam ci, nic z tego nie rozumiem! Nie wysłałam ci tego! Kiedy to dostałaś?

Cisza.

- Wczoraj wieczorem.

To on. Któż by inny? Ale skąd on to wszystko o niej wie?

- Christine - przemówiła Denise tonem, w jaki nauczyciel zwraca się do wyjątkowo tępego ucznia - w nagłówku jest twój adres. Ten e-mail został wysłany z twojego komputera. I ten podpis... To chyba wystarczające dowody, nie?

- Mówiłaś o tym Géraldowi?

Ostrożne spojrzenie z obozu przeciwnika.

- Jeszcze nie.

- Proszę cię, nic mu nie mów.

- A więc przyznajesz się do napisania tego e-maila?

Zawahała się. Mogła zaprzeczyć. Powinna zaprzeczyć. Mogła opowiedzieć o moczu na wycieracze, o wydarzeniu w radiu, o wizycie na policji, o słowach na szybie samochodu... I

co wtedy? Dobrze wiedziała, jak to wygląda: na galopujący zespół paranoidalny. Wyobraziła sobie, jak Denise plotkuje z koleżankami: „Ta biedna dziewczyna jest kompletnie stuknięta, należałoby ją zamknąć, jeśli chcecie znać moje zdanie. Nie rozumiem, co Gérald w niej widzi...”.

- Tak - potwierdziła.

Denise popatrzyła na nią z wyrazem konsternacji na twarzy. Christine poczuła się obnażona, osądzona i skazana, a wszystko to stało się w okamgnieniu. Młoda doktorantka pokiwała głową z niedowierzaniem. Miała zaciętą minę.

A potem się otrząsnęła i Christine odgadła, co dziewczyna sobie pomyślała: O kurwa, ale mam pecha, trafiłam na wariatkę...

- Lubię Géralda - zaczęła łagodnie.

Powiedziała to z tak wielkim przekonaniem, że Christine zastanawiała się, czy słowa „lubię” nie powinna zastąpić słowem „kocham”.

- Nie, naprawdę bardzo go lubię. - Spojrzała Christine prosto w oczy, jakby rzucała jej wyzwanie. - To prawda, cóż, to dobry człowiek i wspaniały promotor. Ale podkreślam, między Géraldem i mną niczego nie ma. Choć bardzo go lubię, tak, to prawda... - (W porządku, już to powiedziałaś, zrozumiałam, przejdźmy do czego innego). - I zastanawiam się, czy...

- Czy co?

- Czy jesteś dla niego odpowiednią osobą.

Christine poczuła się, jakby ją spoliczkowano.

- Mogłabyś powtórzyć?

- W każdym razie - ciągnęła Denise jednym tchem, nie zauważając, że jej rozmówczyni zmieniła ton - nawet jeśli coś było, tak się nie robi. Powinnaś iść do psychiatry.

Christine wpatrywała się teraz w Denise bez mrugnięcia okiem, jakby ktoś zrobił stopklatkę. Upłynęło kilkanaście sekund, zanim znowu się odezwała:

- Jak śmiesz?

Podniosła głos. Studenci płci męskiej siedzący przy sąsiednim stoliku odwrócili się, zauważywszy, że między dwiema laskami za ich plecami dzieje się coś ciekawego.

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób?

Jej głos - wibracje o niskiej częstotliwości, uderzające prosto w splot słoneczny i rozbiegające się po sali - wyraźny, doskonale słyszalny i skrajnie agresywny. Kolejne głowy odwracały się w ich stronę. Denise się wycofała.

- Przepraszam, ostatecznie co mnie to obchodzi. Masz rację, to nie moja sprawa. -

Młoda kobieta podniosła ręce na znak kapitulacji. - Gérald jest duży i wie, co robi ze swoim życiem.

Za późno, ślicznotko. Christine poczuła, że jej stary dobry gniew powrócił. I bynajmniej nie zamierzała go już uciszać. O nie!

- Faktycznie, to stanowczo nie twoja sprawa. I powiem ci, skoro nadeszła pora, żeby wyłożyć karty na stół, że uważam, że jesteś zbyt gorliwa jak na zwykłą d o k t o r a n t k ę.  
- Ostatnie słowo wymówiła ze szczególnym naciskiem. - Odrobinę zbyt, jak by to powiedzieć, namolna, rozumiesz?

Patrzyła na nią przez chwilę. Denise najwyraźniej tak zamurowało, że nie była w stanie odpowiedzieć.

- A więc tak, dam ci pewną radę: Zajmij się swoimi sprawami. I skup się na swoim pieprzonym doktoracie. Na niczym więcej. Zanim poproszę go, żeby zrezygnował z bycia twoim promotorem. Wstała. - Zabieraj łapy od mojego faceta!

\*

Wychodząc, Christine minęła w odległości metra niewysokiego mężczyznę, siedzącego przy stoliku z tyłu sali. Patrzył za nią pozbawionymi wyrazu oczami, przypominającymi dwa czarne kamienie.

Był niski, zaskakująco niski, a nawet śmiesznie niski. Metr sześćdziesiąt pięć. Taki wzrost u mężczyzny może być przyczyną docinków, uśmieszków i pobłażliwych spojrzeń. Był co prawda proporcjonalnie zbudowany, miał umięśnione ciało i szczupłą talię, efekt psuła jednak głowa. Była niemal kobieca. Delikatny nos, wydatne wargi, wysokie kości policzkowe i zniewieściałe rysy całej twarzy. Poza tym prawie nie miał brwi, za to jego rzęsy były długie i niemal białe. Nawet ogolona na zero czaszka przypominała swym doskonałym kształtem czaszkę młodej kobiety. Jedynym niekobiecym elementem był jego wzrok: duże oczy, płaskie i puste jak dwa okna otwarte na nicłość. Ani szczególnie wrogie, ani zbyt przeszywające: puste...

Miał na sobie parkę w kolorze khaki, czarną bluzę z kapturem oraz szary T-shirt i - jeśli nie liczyć drobnego wzrostu i niewieścich rysów - niczym się nie wyróżniał spośród otaczających go studentów, chyba że wiekiem: był od nich o kilka lat starszy.

Odprowadził Christine wzrokiem aż do drzwi, lustrując jej biodra, plecy, pośladki, każdą wypukłość i wklęsłość jej kobiecego ciała. Zadowolony ze swoich obserwacji, zanurzył wargi w zimnym piwie. Zauważył, że żaden spośród mężczyzn obecnych w kawiarni nie zachował się tak jak on: nie mieszała się w sprawy innych. Pomyślał, że większość ludzi w tym kraju cechuje zaskakująca naiwność, jakby byli eunuchami albo aniołami: nie mają

pojęcia, kim są ludzie, których mijają każdego dnia, nic nie wiedzą o cierpieniu, o torturach, o agonii, o wielkich i małych piekłach istniejących na tym świecie, o łzach niemożliwych do zatamowania jak soki płynące po korze drzew - i jego kobiece usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Nie wiedzą nic o chwili, gdy zmiażdżony cierpieniem mózg pęka i rozpada się w kawałki.

O czasie, który kapie w czeluściach lochu śmierdzącego moczem, gównem i potem. O tych, którzy w koszuli uwalanej wymiocinami i krwią uświadamiają sobie nagle - zbyt późno - że piekło istnieje już tutaj, że każdego dnia ocieramy się o jego drzwi i mijamy jego sługi na ulicy czy w metrze, nie widząc ich.

Przypomniał sobie słowa poety ze swojego kraju:

*Woda bardziej jest czarna i niema,  
Czystsza śmierć, ostrzejszy smak niedoli,  
I prawdziwsza i straszniejsza ziemia<sup>3</sup>.*

Zainteresował się drugą kobietą.

Tą, która była diabelnie ładna, a w tej chwili - śmiertelnie blada. Przygryzała dolną wargę, jej oczy były nieobecne.

Wstała. Wyglądała na wściekłą.

Znakomicie. Wszystko rozegrało się zgodnie z planem. Według niego prawie wszystko da się przewidzieć. Pozwolił jej odejść - nie była jego celem.

Celem była ta, która wyszła jako pierwsza. Ta, która podniosła głos, ściągając uwagę klientów. Christine Steinmeyer. Takie nazwisko mu podano. Wraz z adresem i mnóstwem szczegółów. Przez sztruksowe spodnie przelotnie ścisnął dłonią twardy członek. Myślenie o Christine Steinmeyer - o tym, co niebawem każe jej znieść - rozpałało go do czerwoności. Nie miała pojęcia, co ją czeka.

I pomyśleć, że mu za to płacą: w każdym czasie, pod wszystkimi rządami była praca dla takich jak on. Dla zdolnych i sumiennych fachowców. Ekspertów od wyznań. Potrafił wyciągać zeznania od każdego, używając wszelkich środków, niezależnie od okoliczności. Pewnego razu, dawno temu, torturował jednego gościa w kuchni jego maleńkiego nowoczesnego mieszkania w Amsterdamie, bez żadnych narzędzi przydatnych w jego fachu: przyszedł z pustymi rękami. Kiedy wysoki, jasnowłosy Holender - prawie metr

---

<sup>3</sup> Osip Mandelsztam, *Obudziłem się rano na dworze* (1921), przeł. Artur Międzyrzecki.

dziewięćdziesiąt wzrostu - otworzył mu drzwi, zobaczył na jego ustach znajomy pobłażliwy uśmiezek. Dwadzieścia sekund później olbrzym leżał na ziemi z pozrywanymi więzadłami krzyżowymi obu kolan. Po dwóch minutach siedział na krześle z kostkami tak powykręcany, by odczuwać bolesne skurcze i ustami zaklejonymi superwytrzymałą taśmą klejącą. Jego gość podkreślił wtedy wieżę hi-fi i Ian Gillan śpiewający *Child in Time* zaczął się wydzierać jeszcze głośniej. Najpierw sięgnął po pełną kawiarę - była pora śniadania - i wylał gorącą kawę na głowę, włosy i twarz Holendra. Pora, kiedy kuchenka elektryczna była gorąca... Położył jego dłonie na płycie, najpierw jedną, potem drugą. Następnie znalazł spray do czyszczenia piekarnika (głównie soda kaustyczna), rozszerzył jego powieki i obficie spryskał rogówkę. Pobłażliwy uśmiezek już dawno zniknął z ust jasnowłosego dryblasza. Mężczyzna usiłował krzyczeć, wytrzeszczając zażawione oczy. Facet zemdlał ze sześć razy, a on budził go, oblewając wiadrami lodowatej wody Ale był wytrzymały, twardziel. Holenderski paser pracujący dla *kanonieri kurdi*, tych pieprzonych Gruzinów. A także dobry ojciec, czuły i kochający, który zostawił rodzinę w Delft. Na koniec na podłodze pod mężczyzną wiszącym za nogi na drążku do ćwiczeń przymocowanym nad drzwiami łazienki widniała wielka plama potu, krwi i moczu. Poświęciłby własną żonę i dzieci, żeby to się skończyło, Ian Gillan śpiewał właśnie *Speed King* - całkiem możliwe, że serce blondasa biło w tym samym rytmie...

Drobny mężczyzna o kobiecej twarzy i gładkiej czaszce dopił piwo. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Ludzie w tym kraju nie są ciekawscy. Wpatrując się w ekrany tabletów i smartfonów i unikając spojrzeń innych, zachowują się jak zombi. A tymczasem było kilka szczegółów, które mogłyby wzbudzić zainteresowanie. Po pierwsze blizna, która biegła bladą bruzdą przez jego podbródek. Następnie - tatuaże. Pierwszy, wystający z prawej strony dekoltu, był widoczny tylko częściowo, ale można było dostrzec twarz smutnej Madonny, takiej jak na rosyjskich ikonach. Gdyby się rozebrał, odsłoniłby - w części od szyi do klatki piersiowej, na której zamiast sutka widniała blizna - tatuaż przedstawiający Maryję z Dzieciątkiem i wiele innych motywów: prawosławne kopuły, gwiazdy, czaszki... Każdy z nich miał precyzyjne znaczenie. Na przykład Maryja z Dzieciątkiem. Dzieciątko oznaczało, że trafił do więzienia w bardzo wczesnym wieku, Madonna symbolizowała lojalność wobec swojego klanu, wierzchołki gwiazd liczbę pobytów w więzieniu, gwiazdki na kolanach zaś - że nigdy przed nikim nie klęka.

Pamiętał swój pobyt w marynarce handlowej. Miał osiemnaście lat. Jego statek, *Aleksander Łużyn*, transportowiec zapewniający połączenie między Murmańskiem a leżącą u ujścia Jeniseju Dudinką, utknął w lodzie z powodu nagłej zmiany warunków



atmosferycznych. Zła pogoda opóźniła moment ich uwolnienia przez lodołamacze i spędzili trzy dodatkowe dni - i noc - na pokładzie. Pamiętał historie o duchach opowiadane przez marynarzy w czasie posiłków - gdy tymczasem statek stał uwięziony przez arktyczną noc i lodowo-śnieżny chaos - o duchach, które według nich błądziły po lodowej ławicy i doprowadzały matrosów do szaleństwa, nawiedzając ich we śnie. Według tych legend zdarzało się, że rano łóżka niektórych marynarzy zastawano puste: były to łóżka tych, którzy posłuchali głosu duchów - jakby to był głos syren - i wyruszyli za nimi po lodzie i zginęli. Wiedział oczywiście, że starym wilkom morskim chodziło o to, by go przestraszyć, wyglądał przecież na tak młodego, drobnego i delikatnego. Pamiętał grubego, brodatego mechanika o potężnych barach, który złapał go w maszynowni, dokąd wysłali go inni. Pamiętał jego jadowity uśmiech, szczękający, niepokojący hałas dookoła, górę tłuszczu, która kazała mu się rozebrać i uklęknąć, a także zaskoczenie oprawcy na widok tatuaży na jego szczupłym ciele, które opowiadały całkiem inną historię: głosiła ona, że ich właściciel nie tylko w bardzo młodym wieku poznał więzienny żywot, ale także, że już zabił, choć miał dopiero osiemnaście lat. „Prawdziwe?” - zapytał nieco zaniepokojony olbrzym. Mężczyzna nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął. „Dobra, wracaj na górę” - powiedział wtedy kolos i to były jego ostatnie słowa. Sztylet o krótkim, trójkątnym ostrzu trafił w jego szyję na wysokości jabłka Adama, otwierając tchawicę i przecinając struny głosowe. Mechanik przeżył, ale podczas policyjnego przesłuchania w porcie Dudinka nie mógł oczywiście nic powiedzieć. Odmówił też zapisania nazwiska napastnika. Wystarczyło mu, że przypomniał sobie te płaskie, lśniące, czarne oczy, które spoglądały na niego w maszynowni, i natychmiast przechodziła mu wszelka ochota do mówienia.

Grzbiety obu dłoni, śródrezcze i dwa pierwsze palce drobnego młodzieńca także pokrywały tatuaże. Chwycił złoty długopis leżący obok gazety. Otworzył ją, znalazł wolne miejsce i wykonał szybki szkic. W miarę wierny portret kobiety około trzydziestki. Następnie wokół jej czoła narysował ząbkowaną koronę i podpisał

*Chris wysuwa pazury*

Zamknął gazetę i zostawiwszy ją na stoliku, opuścił lokal.

## 11.

### CRESCENDO

Nazajutrz Servaz wstał pierwszy. Była siódma rano i wszyscy jeszcze smacznie spali. Zszedł do jadalni, mijając pustą salę na parterze. Większość pensjonariuszy cierpiała z powodu zaburzeń snu i rano nadrabiała zaległości.

Servaz nalał kawy do kubka, wziął śmietankę i poszedł usiąść przy stoliku. Lubił być sam. Lubił ciszę, miał dość biadolenia. Poranieni gliniarze, pokiereszowani na wyboistych drogach życia pośród traumatycznych doświadczeń: wszyscy albo prawie wszyscy wylewali swoje żale, wspominając przeszłość. Od samego początku pobytu tutaj Servaz miał wrażenie, jakby nieustannie zanurzał się w letniej kąpieli nostalgii.

- Croissant na ciepło, może być?

Odwrócił głowę. Élise stała w drzwiach kuchni. Servaz uśmiechnął się do niej. Czasami wydawało mu się, że to jedyna normalna osoba w tym miejscu. Mały ciemnowłosy chłopiec siedzący obok otworzył tornister. Wyjął zeszyt i mazaki i rozłożył wszystko na stoliku. Élise dołączyła do nich i Servazowi ślina napłynęła do ust, gdy kobieta położyła przed nim ciepłego croissanta. Usiadła po drugiej stronie stolika.

- Już na nogach?

- Mam coś do załatwienia w mieście - odpowiedział i wgrzył się w smaczne maślane pieczywo.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Niech pan to powtórzy. Bo chyba źle usłyszałam.

\*

Oskrobał przednią szybę, polał ją ciepłą wodą, włączył ogrzewanie na cały regulator. Usiadł za kierownicą i ostrożnie wyjechał z parkingu. Nie przejechała wtedy żadna solarka. Wiatr gwałtownymi porywami nawiewał na drogę tańczący śnieg. Servaz przejechał przez białą równinę i dotarł do autostrady A 66, a następnie A 61 wjechał od wschodu do Tuluzy.

Po drodze rozmyślał o Hirtmannie, prokuratorze z Genewy. Człowieku, który nawiedzał go w snach. Który odebrał mu Marianne. W momentach trzeźwego myślenia mówił sobie, że nigdy już o nim nie usłyszy, że Hirtmann z pewnością zginął gdzieś na podejrzanych drogach Ameryki Południowej lub Azji. Że najlepsza rzecz, jaką może zrobić, to o nim zapomnieć. Albo przynajmniej udawać, że to zrobił. Był w stanie sprostać temu wyzwaniu za dnia. Jednak kiedy nadchodził wieczór, a do najgłębszych zakątków jego mózgu docierało coraz

mniej światła, czuł się uwięziony w posepnym imadle swoich myśli, a jego dusza jęczała, przejęta trwogą. Dawniej, kiedy prowadził śledztwo w związku z jakąś szczególnie drastyczną zbrodnią, po powrocie do domu włączał Mahlera - jedyne antidotum na ciemności, dzięki któremu wszystko wracało na swoje miejsce. Ale Hirtmann ukradł mu nawet to sanktuarium: Szwajcar podobnie jak on był wielbicielem austriackiego geniusza. To dziwne wspólne upodobanie, które - skoro tylko w celi Instytutu Wagniera rozległa się muzyka - uwydatniło ich niebezpieczne duchowe pokrewieństwo. Oczami wyobraźni znowu zobaczył wysokiego, wychudzonego mężczyznę o przezroczystej skórze, ubranego w kombinezon z rozpiętym kołnierzykiem. Szczególnie jednak pamiętał szok wywołany elektryzującym spojrzeniem jego oczu, które nigdy nie mrugały, jakby porażono go taserem. A także sposób, w jaki - w ciągu zaledwie sekundy - Julian Hirtmann go przejrzał. Rozgryził. Servaz rzadko doświadczał w kontakcie z drugim człowiekiem takiego poczucia obnażenia.

Dostał pocztówkę od Irène Ziegler, wysłaną z New Delhi, gdzie kobieta teraz pracowała. Zatrudniona w żandarmerii Ziegler została funkcjonariuszką bezpieczeństwa wewnętrznego w ramach Dyrekcji Współpracy Międzynarodowej - sieci złożonej z dwustu pięćdziesięciu policjantów i żandarmów rozmieszczonych w dziewięćdziesięciu trzech ambasadach, zajmujących się prowadzeniem śledztw w zakresie rozmaitych zagrożeń - terroryzmu, cyberprzestępczości, przemytu narkotyków - których źródła znajdowały się poza granicami kraju. Na kartce napisała tylko dwa zdania:

*Myślisz o nim jeszcze? Bo ja tak.*

Czasem zastanawiał się, czy Ziegler nie aplikowała na to stanowisko z cichą nadzieją, że któregoś dnia trafi na ślad Szwajcara. Był pewien, że wykorzystuje w tym celu potencjał informatyczny i logistyczny, do którego ma dostęp - tak jak wtedy, gdy dyscyplinarnie przeniesiono ją do brygady w prowincjonalnym miasteczku. Ale to tak, jakby chcieć wypić ocean łyżeczką...

Znalazłszy się w mieście, ruszył w stronę Grand-Rond, a następnie w kierunku place du Capitole. Ulice były przysypane śniegiem: ledwie dało się odróżnić chodnik od jezdni, a na dachach samochodów leżały grube białe czapy. Zostawił wóz na parkingu podziemnym i przeciął plac. Potrzebował jeszcze jednej kawy. Wypił dwie, czekając w knajpce naprzeciwko ratusza. Sięgnął po gazetę leżącą na sąsiednim stoliku. Ktoś zakreślił długopisem jakiś artykuł. Machinalnie przebiegł go wzrokiem: satelita Pléiades-1B z powodzeniem przesłał

pierwsze zrobione przez siebie zdjęcia do Ośrodka Kosmicznego<sup>4</sup> w Tuluzie. Artykuł wyjaśniał, że satelita został wystrzelony z Kourou w Gujanie za pośrednictwem rakiety Sojuz drugiego grudnia o godzinie drugiej zero dwie UTC. Pierwsze zdjęcia zrobione przez satelitę przedstawiały Paryż, wyspę Bora-Bora, bazę Tucson w Arizonie oraz piramidy w Gizie. Servaz pomyślał, że osoba, która obrysowała artykuł długopisem, to na pewno jeden z tysięcy pracowników branży aeronautycznej i kosmicznej zatrudnionych w tym regionie.

Ruszył w drogę o dziewiątej trzydziści, brodząc w mieszaninie błota i lodu, za sprawą której plac zmienił się w ślizgawkę. Gwałtowny wiatr odrywał chmury śnieżnego pyłu od zasp usypanych pod fasadami budynków i miotał nimi na różowe cegły. Servaz nigdy nie widział w Tuluzie pogody tak sprzyjającej uprawianiu sportów zimowych. W tym śniegu wirującym na ulicach, w ich ciszy, było coś, co rozkosznie przenosiło go w czasy dzieciństwa. Można by pomyśleć, że to Québec. Na szczęście galeria sztuki Charlène Espérandieu znajdowała się dwa kroki stamtąd na rogu rue de la Pomme i rue Saint-Pantaléon. Przeszklone drzwi otworzyły się przed nim z sykiem. Jego buty zostawiały mokre ślady na jasnym parkiecie. W środku nikogo nie było. Oświetlone punktowymi reflektorami ściany były puste, a na podłodze leżały kartony, które niechybnie kryły eksponaty na najbliższą wystawę.

Servaz skierował się w głąb, ku wąskim metalowym schodom prowadzącym na antresolę.

Stukanie obcasów na piętze.

Metalowe stopnie zadrżały pod jego ciężarem. Jako pierwsza na poziomie podłogi pojawiła się jego głowa i policjant zobaczył najpierw wysokie bordowe botki na obcasie i szczupłe nogi w dżinsach, następnie szarą parkę, której kobieta nie zdążyła jeszcze zdjąć, i wreszcie kaskadę rudych włosów asymetrycznie przerzuconych na jedną stronę twarzy.

- Martin? - Zbliżała się do czterdziestki, ale wyglądała o dziesięć lat młodziej. - Co ty tu robisz?

- Widzisz, zaczynam się interesować sztuką współczesną.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała, kiedy skończył wspinaczkę i cały wychynał z dziury.

- O wiele lepiej, niż kiedy cię widziałam ostatnim razem w tym ponurym miejscu. Wyglądałeś jak zombi.

- Wracam z krainy umarłych - potwierdził.

---

<sup>4</sup> Centre Spatiale de Toulouse (CST).

- Naprawdę dobrze - powtórzyła, jakby próbowała przekonać samą siebie.

- *Non venit ad duros palida Cura toros.* „Błada Troska nie wchodzi do twardych łóżek”.

- Ty i ci twoi starożytni. To... - Charlène ucałowała go, mocno ściskając jego ramię palcami - ...bardzo dobra wiadomość.

Odrobinę za długo dotykała jego twarzy jeszcze zimnym policzkiem. Otuliła go woń lekkich perfum i zapach jej włosów. Odsunęła się. Od chłodu miała różowe policzki i lśniąco oczy. Wciąż była nieziemsko piękna.

- Wróciłeś do siebie czy ciągle jesteś tam? - zapytała.

- Wikt, spanie, opierunek, nie jest tak źle - odparł.

- Cieszę się. Cieszę się, że cię widzę, Martin. W takiej kondycji. Ale nie wpadłeś tylko w odwiedzinę, dobrze myślę?

- Bardzo dobrze.

Powiesiła parkę na wieszaku, odwróciła się na pięcie i ruszyła do biurka stojącego na drugim końcu długiego pomieszczenia, przed łukowato sklepionym otworem, który służył także jako wejście do znajdującej się na dole galerii.

- Célia Jablonka. Mówi ci to coś?

Odwróciła głowę w jego stronę. Wciąż stała plecami do niego, dzięki czemu miał też okazję podziwiać jej profil i delikatny kark, niezastłony przez obfitość rudych loków.

- Ta artystka, która się zabiła w ubiegłym roku? Tak. Krótco przedtem zrobiłam jej wystawę. - Teraz odwróciła się do niego i oparła o biurko. Przeszyła go wzrokiem. - Nie masz dość zajmowania się tylko trupami?

Postanowił założyć, że dwuznaczność tego pytania nie była zamierzona. Że chciała mówić tylko o jego zawodzie - i o niczym więcej. Na chwilę jednak obudził się w nim ból.

Nie był gotowy...

Sądził, że opuszczając ośrodek, zostawi swoje lęki za sobą, jednak zmęczenie, wątpliwości i zniechęcenie szły za nim krok w krok.

- Opowiedz mi o niej - poprosił. - Jaką była osobą? Czy wyglądała na... depresyjną?

Posłała mu zaciekawione spojrzenie.

- To była zabawna kobieta, odważna... I miała duży talent.

Charlène odwróciła się w stronę niewielkiej biblioteczki - praktycznie jedynej mebla poza małym narożnikiem i jej biurkiem - i wzięła do ręki okazały elegancki katalog.

- Masz, zobacz.

Podszedł i przeczytał: „Célia Jablonka albo sztuka nieobecna”. Otworzyła tom i zaczęła przewracać kredowe kartki. Zdjęcia bezdomnych. Afrykańskich rodzin mieszkających w

piątkę na dziesięciu metrach kwadratowych. Człowiek zmarły z wychłodzenia zabierany przez pogotowie. Zabłąkany pies. Umorusane dziecko przeszukujące wysypisko śmieci. Inne żebrzące w metrze... Wszystko to poprzeplatane fotografiami przedstawiającymi półki hipermarketów uginające się od żywności, przedmiotów high-tech i zabawek, wyprzedaże ciuchów, błyszczące nowe samochody, kolejki do kin, zatłoczone sieciowe fast foody, stopy gier komputerowych na wystawach, rzędy dystrybutorów benzyny, przepełnionych koszy na śmieci, wysypiska, piece do spalania odpadów... Przesłanie było klarowne, bezpośrednie i zdecydowane, nie wymagało zastanowienia.

- Odrzucała fałsz, podstęp w każdej formie. Kategorycznie sprzeciwiała się przyznawaniu swojej sztuce wartości estetycznej albo oczyszczającej. Szukała czegoś wręcz przeciwnego. Chodziło jej o przekaz. Bez filtrów.

Servaz się skrzywił. Nie przyszedł tu wysłuchiwać artystycznych wywodów. A jego ulubionym stylem był gotyk międzynarodowy.

- Gdzie zostały zrobione te zdjęcia?

- Na ulicy. I w squacie. Tam znajdowała się część ekspozycji. Célia chciała, żeby zwiedzający nie poprzestali na oglądaniu, chciała ich wprowadzić do środka tych zdjęć, jak to nazywała. Podkład dźwiękowy zapraszał ich więc, by kontynuowali zwiedzanie w squacie, gdzie znajdowało się zakończenie wystawy. Ponaklejała małe plakaty wzdłuż całej drogi, żeby im ułatwić zadanie.

- Działo?

Teraz Charlène się skrzywiła.

- Nie bardzo. Kilkoro śmiałków doszło do końca, ale cóż, goście mojej galerii nie są z tych, którzy bawią się w pomoc ubogim.

Servaz skinął głową. Wiedział, że Charlène nie ma złudzeń ani co do osób, które przychodziły do jej galerii, ani do całej współczesnej sztuki. Nieraz opowiadała mu o panującej w tym świecie dwulicowości, o bańce spekulacyjnej utrzymywanej przy użyciu milionów dolarów i euro, o ustawionych wyprzedażach, o pieniądzach podatnika trwonionych na kupowanie przez muzea i publiczne galerie po zawyżonych cenach prac artystów, których notowania zostały sztucznie nadmuchane dzięki zмовie marszandów, kierowników galerii i salonów sprzedaży dzieł sztuki: nielegalne praktyki, których autorzy, gdyby chodziło o każdą inną dziedzinę, trafiliby do więzienia.

- Nie wiem, czy jestem najwłaściwszą osobą do mówienia o tym... - usprawiedliwiała się. - Nie znałam jej za dobrze. Ale w czasie wystawy sporo rozmawiałyśmy i... wydawało mi się, że była w coraz gorszym nastroju, że cała radość i entuzjazm, które miała na początku,

stopniowo znikwały. Pod koniec w ogóle straciła radość życia i dlatego, cóż, jej samobójstwo nie było dla mnie wielkim zaskoczeniem.

Servaz natychmiast stał się czujny. Ta informacja sama w sobie powinna uwiarygodnić tezę o samobójstwie. Wyczuwał jednak jakiś dysonans. A może mu się zdawało? Może za wszelką cenę szukał jakiegoś punktu zaczepienia - a czy może być lepsza okazja dla detektywa niż śledztwo, w którym przeoczono najistotniejszy wątek? Nie miał nic na poparcie swojej hipotezy. Poza hotelowym kluczem...

- Mówisz, że wyczułaś, że się zmieniła w trakcie waszej znajomości?

- Tak.

- Jak długo to trwało?

- Pierwszy raz spotkałyśmy się jakieś dziewięć miesięcy przed jej samobójstwem, kiedy chciała zorganizować wystawę w galerii.

- Jaka wtedy była?

Na czole Charlène pojawiła się zmarszczka.

- W zupełnie innym stanie ducha. Była pełna energii, entuzjazmu, miała mnóstwo planów i dziesięć pomysłów na minutę! A pod koniec było jej wszystko jedno. Ledwie się snuła. Wciąż trzeba jej było o czymś przypominać. Wyglądała jak duch.

Co się wydarzyło w tym okresie? - zastanawiał się. Célia Jablonka wpadła w depresję w ciągu kilku miesięcy. Czy to był pierwszy raz? A może nawrót?

- Masz adres tego squatu? - zapytał.

- Po co chcesz to wszystko wiedzieć?

Sam powinien sobie zadać to pytanie. Czego on właściwie szuka? Samobójstwo Célie to nie była jego działka. A sprawa już dawno została zamknięta.

- Przedwczoraj wyjąłem to ze skrzynki na listy - powiedział, wyciągając z kieszeni plastikowy prostokąt.

- Co to jest?

- Klucz do pokoju, w którym Célia Jablonka ze sobą skończyła.

Charlène patrzyła na niego, niczego nie rozumiejąc.

- Wiesz, skąd się tam wziął?

- Nie mam zielonego pojęcia.

W oczach żony swojego zastępcy dostrzegł rosnące zakłopotanie.

- Przeróżające, nie sądzisz?

\*

Zatrzymał się przed bramą, nad którą wisiał baner: „Samodzielny ośrodek pomocy

socjalnej. Świadczenia, wzajemna pomoc, samorząd”. Okna na parterze były zamurowane. Na fasadzie, która dni świetności miała już dawno za sobą, widniał wymowny mural: statek przepelniony uchodźcami podczas sztormu, ogrodzenie z siatki zwieńczone drutem kolczastym, oślepiające reflektory strażników z psami, sędziowie w togach uzbrojeni w rewolwery, funkcjonariusze bezpieczeństwa publicznego z podniesionymi pałkami, dzieci grające w piłkę wśród ruin...

Servaz wszedł na podwórze wyłożone płytami chodnikowymi, spomiędzy których wyrastały chwasty. Ruszył ku znajdującemu się w głębi gankowi, obok którego stały zaparkowane samochody i rowery. Skoro tylko znalazł się za szklanymi drzwiami, uświadomił sobie, że miejsce jest pełne życia: krzyki dzieci i upominających je matek, proste rysunki i plakaty na ścianach, płaszcze na ściennych wieszakach, wszędzie głosy, śmiechy, kroki. Afisze na żółtych ścianach głosiły: „Policja kontroluje, sądy zamykają”, „Przeciwko wszelkim eksmisjom społeczna samoobrona: przygotowania do walki w toku”, „Nie zamkną nam ust”, „Pieprzyć mera”. W kraju panowały przedpowstańcze nastroje; pracowały nad tym podziemne organizacje, równoważąc obojętność części społeczeństwa.

Za plecami usłyszał kobiecy głos.

- Czym mogę służyć?

Odwrócił się. Spodziewał się, że zobaczy nastolatkę w dredach, w rastafariańskiej czapce i z jointem w ustach, a tymczasem stała przed nim kobieta w dżinsach, swetrze i okularach intelektualistki, uczesana w poważny kok.

- Chciałbym rozmawiać z dyrektorem ośrodka.

- Z... dyrektorem? A pan kim jest?

Servaz wyjął odznakę i młoda kobieta skrzywiła się, jakby poczuła smród.

- Czego pan chce? Nie wystarczy wam, że...

- Prowadzę śledztwo w sprawie Célie Jablonki, artystki, która miała tu wystawę. Chciałbym tylko obejrzeć wasz squat.

- To nie jest squat, to hostel dla potrzebujących.

- Aha.

- Samodzielny ośrodek socjalny, który nadrabia braki zaangażowania administracji państwowej.

- Aha.

- Gościmy tu dwadzieścia pięć rodzin, które nie mają gdzie mieszkać. Zapewniamy im dach nad głową, wsparcie finansowe, kontakt z adwokatami; otrzymują lekcje francuskiego i czytania, jest też pomieszczenie multimedialne, pracownie, stołówka, prowadzony wspólnymi



siłami żłobek...

- Aha.

- Wyciągamy ich z izolacji, uczymy stawiać czoło tej wrogiej instytucji, jaką jest francuski wymiar sprawiedliwości, nie bać się glin - położyła nacisk na ostatnie słowo - klawiszy i sędziów. To nie jest squat...

- To nie jest squat, załapałem.

- Proszę tu zaczekać.

Zniknęła na schodach. Skądś wyjechało czarne dziecko na trójkołowym rowerku i zatrzymało się, by mu się przyjrzeć. „Dzień dobry”, przywitał się Servaz, ale nie otrzymał odpowiedzi. Maluch przeciął hol i odjechał, naciskając na pedały. Po pięciu minutach czekania policjant usłyszał kroki na schodach. Podniósł wzrok. Mężczyzna, który się pojawił, miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był niewyobrażalnie chudy. Servaza najbardziej uderzyła jego twarz - zapadnięta i pobrużdżona, a jednak wciąż pełna młodzieńczego ognia. Płonał on w olbrzymich, głęboko osadzonych jasnych oczach wyrażających jakąś poruszającą prawość, i w uśmiechu okolonych zmarszczkami ust. Ptasi nos, zabarwione melancholią piękno...

- Chce pan rzucić okiem?

Iskierka rozbawienia w spojrzeniu. Widać było, że jest dumny z tego, co robi w tym miejscu. Servaz poczuł przypływ spontanicznej sympatii do wesołego olbrzyma, pewnego, że walczy o słuszną sprawę. Gość nie był ani zrezygnowany, ani cyniczny, ani apatyczny.

- Tak jest - odpowiedział.

Po godzinie mieli już za sobą zwiedzanie pracowni - jedna z nich okazała się warsztatem rowerowym, a inna drukarnią. Servaz spodziewał się rodzin nielegalnych uchodźców z Afryki, tymczasem spotkał też Gruzinów, Irakijczyków, ubogich robotników, bezrobotnych, studentów i parę młodych ludzi ze Sri Lanki mówiących płynnym angielskim, a także dzieci ubrane w porządną zimową odzież, gotowe, by wyjść do szkoły.

- I to wszystko, co pan widział, może się skończyć z dnia na dzień - powiedział na koniec dyrektor ośrodka, opadając na stary fotel z wytartej skóry w pobliżu okna wychodzącego na podwórze.

Servaz usiadł w wolnym fotelu. Wiedział, że w eksmisjach nielegalnych lokatorów nie robiono zimowej przerwy.

- A zatem przyszedł pan w związku z Célią?

Wysoki jegomość o wyglądzie nastolatka przyglądał mu się bez szczególnej wrogości, za to z takim opanowaniem, że Servaz poczuł dyskomfort. Nadzwyczajna przenikliwość.

- Tak.

- Co chce pan wiedzieć? Sądziłem, że ta sprawa została zamknięta.

- I tak jest.

Gość rzucił mu pytające spojrzenie.

- Chcę zrozumieć, w jakich warunkach Célia Jablonka wpadła na pomysł odebrania sobie życia.

- Dlaczego? Od kiedy policja zadaje sobie takie pytania?

Nieglupie.

- Powiedzmy, że są pewne niejasności...

Oczywiście nie zamierzał tłumaczyć nieznanemu, że interesuje się tą historią tylko dlatego, że dostał pocztą klucz magnetyczny i akurat nie ma nic innego do roboty.

- Co pan przez to rozumie?

- Niech mi pan o niej opowie - poprosił, by powstrzymać pytania. - Czy pod koniec życia się zmieniła?

Dryblas znowu utkwiał w nim spojrzenie szarych oczu, a potem zaczął zbierać wspomnienia.

- Teraz, kiedy pan o tym mówi... - Z kieszeni spodni wyjął pudełko cygaretek i wetknął sobie jedną między wargi. - Chce pan? Nie? Ma pan rację. Ja uwielbiam to paskudztwo.

Potał zapałkę o draskę, pochylił cygaretkę i przybliżył płomień. Następnie długimi, sękatymi palcami zaczął obracać cygaretkę wokół własnej osi, by równomiernie się paliła. Pociągnął kilka razy, upewnił się, że wszystko w porządku, i z powrotem włożył ją do ust.

- Mmm...

Otworzył okno. Do pomieszczenia wpadł powiew lodowatego powietrza i kilka płatków śniegu. Servaz zadrżał. Jego rozmówca najwyraźniej nie odczuł żadnego dyskomfortu z powodu spadku temperatury. Servazowi przeszkadzało i zimno, i zapach.

- Pod koniec Célia straciła głowę. - Mężczyzna wypuścił dym, nie połykając go, i nie przestawał wpatrywać się w siedzącego naprzeciw policjanta.

Servaz zapomniał o zimnie.

- Zwariowała - uściślił olbrzym, spoglądając na samo dno jego duszy.

Jego oczy przypominały kapsułki wypełnione intensywnym koncentratem.

- Myślała, że jest prześladowana, zachowywała się coraz bardziej paranoicznie. Była przekonana, że ktoś ją śledzi, szpieguje, że ktoś się na nią wziął. Stała się nieufna nawet wobec tutejszych ludzi. Ze mną włącznie - dodał z autentycznym smutkiem w głosie. - Na początku nie zwracałem na tę zmianę zachowania szczególnej uwagi. Zauważyłem, że czasem

jest dziwna, nerwowa, niespokojna, ale zrzucąłem to na karb obaw związanych z nową wystawą. Ale z biegiem dni objawy się zaostrzały. Zachowywała się coraz bardziej wrogo, nieufnie. Powątpiewała w moją lojalność i oskarżała mnie, że knuję przeciwko niej, najmniejsze odstępstwo od codziennej rutyny ją przerażało. Jakby cały świat sprzysiągł się przeciwko niej.

Servaz spiął słowa z ust rozmówcy. Nie pamiętał już o zimnie, ale i tak dreszcz przebiegł mu po plecach.

- Któregoś dnia coś się wydarzyło. Spędziła popołudnie w pracowni rysunku i malarstwa z dziećmi, robiła zdjęcia. Wyglądała na zadowoloną z rezultatów i zrelaksowaną, kiedy nagle przy wejściu na podwórze zobaczyła jakąś postać. Pod bramą. Faceta z aparatem fotograficznym. Jej zachowanie momentalnie całkowicie się zmieniło. Zaczęła wypowiadać zdania bez ładu i składu, była bliska płaczu. Ponieważ wyglądało na to, że gość fotografuje podwórko, zawołała na pomoc dwóch wolontariuszy i we trójkę ruszyli do niego przez podwórze. Kiedy podeszli blisko, dosłownie się na niego rzuciła, zaatakowała go, zaczęła bić i próbowała mu wyrwać aparat.

Z góry do ich uszu dobiegła muzyka, pizzicato na cygańskich skrzypcach.

- Okazało się, że to dziennikarz z lokalnej gazety, który robił reportaż o naszym domu. Bardzo trudno nam było potem naprawić szkody... I tak jest problem z przekonaniem mediów, żeby mówiły o tym, co naprawdę tutaj robimy z tymi rodzinami.

Poprosiłem ją więc, żeby się wyniosła i więcej się nie pojawiała. Oczywiście po czasie często żałowałem, że to zrobiłem i że nie nawiązałem z nią dialogu.

- Wie pan, czego się bała? - zapytał Servaz.

Znowu zobaczył dwie wycelowane w siebie ołowiane kule. Na ulicy rozległ się klakson.

- Nie czego, a k o g o. Na krótko przed samobójstwem twierdziła, że ktoś chce jej zrobić krzywdę, zniszczyć jej życie... - Na chwilę umilkł. - Panie... jak pan się właściwie nazywa? Servaz. Panie Servaz, teraz ja chciałbym panu zadać pytanie.

Znowu ten błysk w szarych oczach.

- Śmiało - zachęcił go.

Mężczyzna zmrużył oczy.

- Co się stało, że przychodzi pan po roku i wypytuje mnie o Célię? Otworzyliście sprawę? Bo pana postępowanie wydaje mi się, szczerze mówiąc, dziwne. - Strzepnął popiół z cygaretki przez otwarte okno. - Mam poczucie, że to, co pan robi, jest, by tak rzec, ździebko nieoficjalne, myślę się?

- Nie.

- W takim razie co pan ma wspólnego z przypadkiem Célie Jablonki? Znał ją pan?
- Ani trochę.
- Był pan przyjacielem jej przyjaciół? Rodziny? Kto pana prosił, żeby pan tutaj przyszedł, panie Servaz?
- Przykro mi, ale na to pytanie nie mogę odpowiedzieć.
- Do jakiego wydziału pan należy? Nie przypominam sobie, żeby widział pana w ekipie śledczych rok temu.
- Wydział kryminalny.
- Mężczyzna zmarszczył brwi.
- Chyba pan rozumie moje zakłopotanie. Od kiedy to brygada kryminalna zajmuje się samobójstwami? Chyba że to samobójstwo nie jest tak naprawdę samobójstwem...
- Célie Jablonka popełniła samobójstwo. W tej kwestii nie ma najmniejszych wątpliwości.
- Okay, okay. Załóżmy. W takim razie dziwna sprawa - podsumował chudy dryblas. - A pan zresztą też nie wygląda mi najlepiej, z całym szacunkiem.

\*

Kiedy Servaz wracał do ośrodka, zapadał mroźny i ponury wieczór. A była dopiero siedemnasta. Przeklęty grudzień. W oknach paliły się światła i dom emanował ciepłem i spokojem, choć wielu jego mieszkańców wcale tego nie czuło.

Servaz wyłączył stacyjkę i spojrzał na swoją drżącą dłoń. Rozmowa z facetem z cygaretką wprawiła go w straszną nerwowość. Wsiadł z samochodu i ruszył do wejścia po żwirku chrupiącym pod warstwą śniegu. Powitało go echo głosów dobiegające z dużego salonu. Tutaj także były pracownie. Pracownia teatralna, pracownia gry w belotę, pracownia plotek, pracownia biadolenia, pracownia wspomnień...

Ruszył do swojego pokoju na poddaszu, pokonując schody po dwa stopnie. Małe pomieszczenie wypełniały ciemności i chłód. Zapalił lampkę na biurku zamiast górnej, która dawała skąpe i nieskończenie smutne światło.

Następnie włączył komputer i kliknął w ikonkę w rogu ekranu, przedstawiającą twarz Gustava Mahlera. Natychmiast rozległy się dźwięki - potoczyste, klarowne, czyste, które opadały w ciszę jak lodowate krople wody. Emanujący z nich spokój był zaraźliwy. Pieśń. *Ich ging mit Lust*. Wykonywana na fortepianie przez samego Mahlera. Muzyka została nagrana na bębnach w okolicach roku 1890. Znacznie później urządzenie odczytujące dźwięk połączono ze steinwayem, a całkiem niedawno nagranie zapisano w wersji cyfrowej. Choć w chwili, gdy palce mistrza uwalniały nuty z instrumentu, były one delikatne i ulotne jak

motyle, to jednak przetrwały dziesiątki lat, by dotrzeć do jego uszu.

Czasem technika potrafi czynić cuda, pomyślał, ale często bywa diabelstwem. Choć w gruncie rzeczy jest doskonale agnostyczna. Servaz spojrzął na zegarek. Siedemnasta szesnaście. Wyjął telefon.

- Czołem, Martin - odezwał się głos po drugiej stronie.

To był Desgranges z Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego, z którym Servaz pracował w jednym zespole, zanim wylądował u kryminalnych. Desgranges był stanowczym, metodycznym policjantem i miał węż bernardyna. Był też dyskretny i Servaz miał do niego pełne zaufanie.

- Kopę lat - powiedział.

Na pewno był na bieżąco z sytuacją Servaza. Wieść o zdarzeniu z pudełkiem wysłanym z Polski obiegła wszystkie wydziały. Był jednak zbyt taktowny, by o tym wspomnieć.

- Jestem na chorobowym - odpowiedział Servaz.

Żadnych komentarzy. Z czystej uprzejmości Martin zapytał kolegę o córki. Desgranges miał dwie prześliczne pociechy, które rosły w błyskawicznym tempie i wzbudzały zachwyt wszystkich, którzy je znali.

- Ale nie dzwonisz tylko po to, żeby zapytać, co słyhać u moich córek, prawda, Martin? - zainteresował się Desgranges, kiedy skończyli temat dzieci.

Servaz przystąpił do rzeczy.

- Célia Jablonka, mówi ci to coś?

- Dziewczyna, która poderżnęła sobie gardło w hotelu Thomas Wilson? Oczywiście.

- Chciałbym rzucić okiem na akta...

- Po co?

Prosto i bez ogródek. Servaz wiedział, że dawny kolega czeka na odpowiedź, jakakolwiek by była. Postanowił powiedzieć prawdę.

- Ktoś wysłał mi klucz do pokoju, w którym się zabiła.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Domyślasz się, kto to mógł być?

- Ani trochę.

Znowu cisza.

- Klucz, powiadasz?

- Tak.

- Mówiłeś o tym górze?

- Nie.

- Kurwa, Martin! Nie możesz tego zostawić dla siebie. Nie zamierzasz chyba z tego powodu zacząć śledztwa od nowa?

- Chcę tylko wyjaśnić parę szczegółów. Jeśli okażą się tego warte, przekażę informacje Vincentowi i Samirze. Tymczasem potrzebuję sprawdzić kilka faktów.

- Jakich?

- Co?

- Jakich faktów?

Servaz się zawahał.

- Cóż, przede wszystkim chcę się dowiedzieć, kto wysłał mi ten klucz. I pomyślałem, że być może odpowiedź znajduje się w aktach.

Desgranges nic nie odpowiedział i Servaz zrozumiał, że kolega się zastanawia.

- Hmm. Logiczne. Do pewnego stopnia... A nie zastanawiałeś się nad czymś innym?

- Nad czym?

- Dlaczego ty? To znaczy, nie brałeś udziału w tym śledztwie. To są sprawy, którymi zazwyczaj się nie zajmujesz, i ta... ta osoba najwyraźniej dokładnie wiedziała, gdzie cię szukać, nie? Depresja gliny to nie jest news, który można znaleźć w gazecie. Nie uważasz, że to... dziwne?

Desgranges wiedział więc o jego depresji. Jak prawdopodobnie znakomita większość funkcjonariuszy tuluskiej policji. Miał świadomość, że to utrudni mu powrót: ludzkie spojrzenia. Oczywiście, że sprawa była dziwna.

- Właśnie dlatego chcę zajrzeć do akt - powiedział. - Wygląda na to, że osoba, która mi to wysłała, wie i o mnie, i o tej sprawie.

- A jednocześnie w ostatnich latach nieraz byłeś na pierwszych stronach gazet, w związku ze śledztwami w Saint-Martin i Marsac<sup>5</sup>. Gdybym był mieszkańcem tego miasta poszukującym kompetentnego gliny, prawdopodobnie twoje nazwisko byłoby jednym z pierwszych na liście. Zobaczą, co mogę zrobić. Wpadnij jutro. Pójdziemy na lunch. I powspominamy stare dobre czasy. Pamiętasz? Jak przyjechałeś jako młody porucznik z wszystkimi rzeczami? Zostawiłeś wóz na parkingu i poszedłeś coś zjeść, a kiedy wróciłeś, okazało się, że cię okradli? Zwinęli ci wszystko, nawet slipki! To był twój pierwszy przydział, a pierwszą rzeczą, jaką zrobiłeś, było wniesienie skargi!

Na twarzy Servaza pojawił się wąski jak zmarszczka uśmiech.

\*

---

<sup>5</sup> Zob. *Bielszy odcień śmierci*, REBIS 2012, i *Krag*, REBIS 2013.

Była prawie osiemnasta, kiedy Christine wystukała kod do swojego mieszkania, pchnęła ciężkie przeszklone drzwi i czym prędzej zapaliła światło w pełnym cieni holu. Stukając obcasami po kamiennych płytkach, podeszła do rzędu skrzynek na listy.

Jak poprzedniego dnia wstrzymała oddech, otwierając swoją.

Pusto - odetchnęła z ulgą. Zamknęła skrzynkę. Skierowała się do windy. Małeńka kabina zjechała, skrzypiąc i huśtając się w okratowanej klatce, a kable rozłożyły się na podłodze jak zwisające z gałęzi węże. Mocno szarpnęła kratę, weszła do ciasnej przestrzeni i wcisnęła guzik trzeciego piętra. Kabina ruszyła. Christine patrzyła na przesuwające się pasma cienia, między którymi widać było biegnącą wokół szybu windy klatkę schodową - jasno-ciemną siatkę, która na chwilę przywiodła jej na myśl wnętrze więzienia. Jej serce, w którym i tak już czuła ucisk, zaczęło bić szybciej. A przecież dzień był spokojny. Wreszcie. Od zdarzenia z Denise poprzedniego dnia życie jakby wróciło na zwykłe tory. Christine próbowała wierzyć, że tamten typ dostał, czego chciał - czyli sterroryzował ją - i że o nic więcej mu nie chodziło. Oczywiście wiedziała, że się oszukuje, że facet wie o niej rzeczy, których wiedzieć nie powinien, a ona ulega magicznemu myśleniu, ale pragnęła tylko jednego: żeby to się skończyło. I - bardzo egoistycznie - żeby jej dręczyciel przyczepił się do kogoś innego.

Kabina podskoczyła ostatni raz i zatrzymała się. Christine pchnęła kratę. Gdy znalazła się na klatce schodowej, nadstawiła uszu. Cisza. Jedynie z wnętrza budynku dobiegał przygłuszony dźwięk muzyki poważnej. Przetrzęsła torebkę w poszukiwaniu nowych kluczy, które dostała od młodego ślusarza, a następnie ruszyła do drzwi.

Znieruchomiała z dłonią przy zamku.

Opera...

Odgłosy dochodziły z jej mieszkania...

Było je słycać przez drzwi. Przez chwilę miała ochotę zawrócić. Włożyła nowy klucz do zamka, otworzyła drzwi i stanęła na progu: muzyka dochodziła z salonu, z jej wieży. Mocny kobiecy głos z towarzyszeniem skrzypiec niósł się po mieszkaniu. Sopran...

Włączyła światło i weszła do środka, zostawiając za sobą otwarte drzwi, gotowa do ucieczki. Salon był pusty, ale dostrzegła je od razu: pudełko od płyty CD na ławie. Rano go tu nie było, wiedziała to na pewno. Schowałaby je przed wyjściem. Poza tym nie znosiła opery. Nie miała ani jednej w swojej kolekcji płyt.

Powoli odetchnęła. Zrobiła krok i zatrzymała się. *Tosca* Pucciniego. Pomyślała o płycie, którą dostała w radiu. Więc to nie była pomyłka.

To była część planu.

Koszmar znów się zaczął.

Gdy szła do otwartej kuchni, przyszło jej do głowy, że mężczyzna ciągle jest w mieszkaniu. Jej tętno przyspieszyło tak, że prawie zemdląca. Jednym ruchem otworzyła górną szufladę i głośno szcękając sztućcami, wyjęła największy nóż, jaki znalazła.

- Pokaż się, dupku - zawołała. - No już! Pokaż się!

Krzyczała, żeby dodać sobie odwagi i przstraszyć intruza. Odpowiedział jej tylko sopran. Głos wchodził na coraz wyższe rejestry i Christine rzuciła się do wieży, by ją wyłączyć. Gdy zrobiło się cicho, uświadomiła sobie, że serce wali jej tak, jakby w jej klatce piersiowej zagnieździła się orkiestra perkusistów. Przeszła do drugiego pomieszczenia, trzymając przed sobą nóż, który drżał w jej dłoni jak czarodziejska różdżka.

Mieszkanie spowijał zimowy półmrok. Blask śniegu za oknami ledwie go rozjaśniał. Za każdym razem po włączeniu światła Christine zamierała w bezruchu, spodziewając się, że zaraz ktoś się na nią rzuci.

Kim ty, kurwa, jesteś? Kim jesteś?

Skąd przyszedłeś, żeby mi zatruwać życie?

I skąd wiesz o mnie te wszystkie rzeczy?

Wydawało się, że gość doskonale ją zna. A co jeszcze bardziej niepokojące, zdołał wejść do jej mieszkania mimo nowych zamków. Pomyślała o młodym ślusarzu. Czyżby był w to zamieszany?

Zaczynasz mieć paranoję, staruszko!

Potem przypomniała sobie, że kiedy szła na spotkanie z Denise, powiedziała ślusarzowi, żeby zostawił nowe klucze w skrzynce na listy, kiedy skończy. Ale z niej idiotka! Wróciła do drzwi, spojrzała na wewnętrzny rygiel i zasunęła go. Oczywiście wychodząc, nie mogła tego zrobić. Przypomniała sobie gadkę młodego ślusarza: „Może pani sobie zamontować zamki, jakie pani tylko zechce, dobry włamywacz zawsze sobie z nimi poradzi, to wyłącznie kwestia czasu. Jedynym rozwiązaniem jest rygiel. Kiedy jest pani w środku, działa bez dwóch zdań...”.

W końcu kopniakiem otworzyła drzwi toalety. Przeszedł ją dreszcz obrzydzenia i trwogi, kiedy zobaczyła, że nasikał do muszli i nie spuścił wody, o czym ona nigdy nie zapominała: w żółtej kałuży prowokująco pływał samotny pet. Z furią pociągnęła za spłuczkę. Pochyliła się nad muszlą, gdy poniżej słychać było jeszcze szum spuszczonej wody. Czknęła kilka razy, ale podobnie jak w radiowej toalecie nie zdołała zwymiotować.

Podniosła się. Jej twarz była mokra od potu.

Nikogo. Mieszkanie było puste.



A potem, jak cios pięścią w brzuch, uderzyła ją pewna myśl: Iggy... Nie ma go w domu...

\*

- Iggy? Iggy! Proszę, odezwij się! IGGGYYYYYY!!!

Cisza, drżąca jeszcze od jej głosu, odbiła jak piłkę do squasha echo jej własnego strachu. Christine bezmyślnie otwierała drzwi kredensu i wyrzucała na zewnątrz szuflady, jakby jej dręczyciel mógł uwięzić Iggy'ego w środku,

Ty zaszra kanałio, zabiję cię, jeśli zrobiłeś krzywdę mojemu psu.

Zawory puściły i Christine poczuła na wargach słony smak łez.

- Świnio - łkała. - Pieprz się. Jeśli tknąłeś mojego psa, zdechniesz, ty ścierwo...

Uderzyła pięścią w drzwi. Obróciła się wokół własnej osi. Była zdezorientowana. Wszystko przetrząsnęła. Zajrzała nawet do pudełek z butami w szafie. I pod zlew. I do pojemnika na puste opakowania. Wszędzie szukała. Albo prawie wszędzie... Lodówka. Zamyślona spojrzała na dużą srebrną lodówko-zamrażarkę. Wyświetlacz na jej drzwiach pokazywał temperaturę: 2°C/-20°C.

O nie, nie, nie, wszystko, tylko nie to. Boże, przysięgam, że będę wychodzić z Iggy'm co wieczór, że nie będę mu więcej kazała załatwiać się do kuwety. Ale proszę, nie to... Nie w lodówce, błagam!

Wzięła głęboki wdech. Obeszła kuchenną wyspę, uzbroiła się w odwagę i pociągnęła za uchwyt. Magnetyczna blokada stawiała lekki opór. Zamknęła oczy. Otworzyła je. Jej płuca wypełnił oddech ulgi. W środku były tylko zgrzewki jogurtów, desery owocowe bez cukru, dwie butelki częściowo odtłuszczonego mleka, masło light, sery od Xaviera, butelka białego wina, cola zero, risotto z borowikami kupione we włoskich delikatesach, dania do odgrzania w mikrofalówce, a w szufladzie na warzywa pomidory, rzodkiewki, jabłka, mango i kiwi.

Jej wzrok ześlizgnął się w dół: drzwi zamrażarki. Pociągnęła delikatnie.

Szuflady były pełne produktów, które kupiła ostatnio w internetowym supermarkecie. I więcej nic.

Iggy zniknął. Musiała przyjąć to do wiadomości. Jej psa nie było w mieszkaniu. Christine pobiegła ku drzwiom wejściowym, otworzyła je, zawołała Iggy'ego kilka razy, ale odpowiedział jej tylko odległy i obojętny dzwonek telefonu. Zatrzasnęła drzwi. Jej wzrok padł na kuwetę wyłożoną nietkniętym gazetowym papierem. Coś w jej wnętrzu pękło jak rozciągnięta sprężyna. Christine bez sił osunęła się plecami po ścianie i usiadła na podłodze.

Wykrzywiła twarz i nie była w stanie już powstrzymać łez, które trysnęły z wielką siłą po raz pierwszy od dnia, kiedy wróciła z gimnazjum w La Teste, krótko po feriach

wielkanocnych. Christine miała wtedy trzynaście lat. Mieszkali wówczas nad morzem, w pobliżu wydmy, i jej ojciec dojeżdżał jeszcze trzy razy w tygodniu do Paryża, gdzie nagrywał swój ostatni program z prawdziwego zdarzenia (później wygłaszał już tylko wykłady na wydziałach kształcących pracowników mediów). Dom wznosił się pośród sosen, w delikatnym królestwie piasku i wiatru, gdzie wydmy wciąż wygrywały z lasem i ogródkami, a las - z wyboistymi ścieżkami rowerowymi, gdzie ocean wciąż na nowo kształtował plażę i łąchy piasku i gdzie nie było nic stałego, lecz przeciwnie - wszystko było ulotne, zmienne i tymczasowe. Tamtego popołudnia nad morzem słychać było grzmoty: nadciągała burza i Christine śpieszyła się do domu, pedałując jak szalona, ponieważ nauczono ją, że w czasie burzy nie należy przebywać pod drzewami, ale także dlatego, że dostała najlepszą ocenę za wypracowanie. Nie rozumiała więc, dlaczego ojciec i matka, którzy czekali na nią w kuchni, mają takie smutne miny, dlaczego ojciec przytula ją tak mocno, że omal jej nie udusi, dlaczego matka ma taką zdruzgotaną, zmienioną nie do poznania twarz, twarz, która wiele lat później skojarzyła jej się z maską teatru nō. Nie rozumiała, dopóki ojciec nie powiedział jej, powstrzymując łzy, że Madeleine miała tragiczny wypadek. Christine zauważyła w jego oczach dziwny błysk szaleństwa i instynktownie dotarło do niej, że już więcej nie zobaczy siostry. Wydawało jej się, że nigdy nie wydobędzie się z tego smutku. Smutku, który rozrywa na dwoje, który przyprawia człowieka o pragnienie śmierci.

Albo jak wtedy, gdy...

Ale nie, o tym nie chciała teraz myśleć.

Płakała. Przycisnęła podbródek do klatki piersiowej, otoczyła kolana ramionami i płakała.

\*

Jej umysł majaczył. Czterdzieści minut po połknięciu podwójnej dawki leków usypiających substancja zaczynała działać: cząsteczki rozpuszczały się we krwi i podjęły podróż do mózgu. Christine poczuła, jak jej powieki robią się ciężkie, głowa zaczyna się kiwać, a strach wreszcie ustępuje. Może także dlatego, że była nerwowo wyczerpana, smutek i trwoga wymiotły jej umysł do samego dna i zostało w nim już tylko otumanienie i apatia.

W chemicznym otępieniu między wydarzeniami dnia a snem do jej głowy niczym różnokolorowe ryby napłynęły dziwaczne obrazy. Obrzeża jej umysłu obmywało całe mnóstwo migocących myśli i niewyraźnych obrazów jak z narkotycznych wizji. W pewnym momencie, kiedy straciła poczucie czasu i przestrzeni, zobaczyła nawet przed sobą Iggy'ego, który lizał ją po twarzy, wpatrując się w nią swoimi czułymi ślepkami. Jego pysk, wielki jak u krowy, był tak blisko, że zasłaniał jej całe pole widzenia. Będąc na granicy utraty

świadomości, po raz ostatni wcisnęła klawisz telefonu.

Ten, pod którym zakodowany był numer Géralda.

Znowu poczta głosowa.

Na krótką chwilę przerażenie zniwelowało działanie tabletek. Dlaczego Gérald nie odbiera? Bo jest z Denise, odpowiedział złośliwy głos w jej wnętrzu, jednak dzięki chemicznej hipnozie wywierającej kojący wpływ na jej neurony dobiegał on z coraz większej odległości. Bo właśnie pieprzy tę dziwkę. I w związku z tym nie może odebrać, moja kochana. Poczła, jak jej żołądek skręca się w supeł. Jednak Stilnox nie powiedział jeszcze swojego ostatniego słowa i supeł bez oporu ustąpił pod kosmatymi palcami snu.

Policja.

Powinna zawiadomić policję. Była w niebezpieczeństwie. Ale co miała im powiedzieć? Że zniknął jej pies? Po zdarzeniu z listem wiedziała, co pomyśla. Że jest szalona, że trzeba ją zamknąć. Po raz ostatni zanosła się spazmatycznym płaczem i zstąpił na nią ogromny spokój. Pieprzony chemiczny spokój, ale mimo wszystko spokój...

Ostatnia myśl: Czy zamknęłam drzwi? Zmarszczyła brwi. Jej głowa była coraz cięższa. Tak. Na pewno to zrobiła. Wydawało jej się nawet, że pamięta, jak zastawiła je komodą. Rzeczywiście to zrobiła czy tylko miała taki zamiar? Nie była już taka pewna. Obojętność brała górę. Christine odłożyła telefon na szafkę nocną. Ziewnęła. Położyła głowę na poduszce.

Zamknęła oczy.

Nareszcie.

## 12.

### LEKCJA CIEMNOŚCI

W otchłani nocy i snu rozlegają się głosy, których wolelibyśmy nigdy nie usłyszeć. Są one jak wspomnienie lęków z czasu dzieciństwa, kiedy to natychmiast po zamknięciu drzwi i zgaszeniu światła każdy przedmiot w pokoju, każdy kształt mógł się zmienić w potwora; kiedy leżąc w łóżku - tej szalupie ratunkowej płynącej po niespokojnych wodach nocy - mieliśmy straszliwą świadomość naszej małości i kruchości. Te głosy przypominają nam, że śmierć jest częścią życia, a nicość zawsze jest tuż-tuż. Że wszystkie mury, które wnosimy wokół siebie, nie są trwalsze od domku ze słomy i domku z drewna z bajki *Trzy małe świnki*.

Tej nocy Christine miała koszmary, w których słyszała jego głos. Przewracała się z boku na bok w mokrej od potu pościeli, jęcząc i błagając przez sen. W pewnym momencie szeroko otworzyła oczy. Coś ją obudziło. Spojrzała na sufit, na którym migotał odbłask lampki i odbicie świetlistych cyfr radiobudzika. Było pięć po trzeciej. W pokoju panował chłód, czuła go na twarzy jak czyjąś zimną dłoń.

Co ją wyrwało ze snu?

Jakiś hałas. Wydawało jej się, że słyszała dźwięk przebijający się jak szpilka przez kolejne warstwy jej uśpionego umysłu. Wciąż leżąc w absolutnym bezruchu, ze wzrokiem wlepionym w sufit, zaczęła nasłuchiwać, postawiwszy wszystkie zmysły w stan pogotowia. Kamienica jednak pogrążona była w ciszy. Czyżby jej się śniło? Potem przypomniała sobie o Iggy i znowu wstrząsnął nią szloch. Iggy, o Boże, piesku, gdzie jesteś? Łzy kapały na poduszkę. Wtem jej serce zaczęło walić. Znowu usłyszała dźwięk, który wyrwał ją ze snu. I wiedziała, co to jest... Szczekanie! Christine odrzuciła kołdrę. Zebrała wszystkie siły, by się skoncentrować, i po raz kolejny usłyszała szczekanie - pochodziło z oddali, ale było wyraźne, bezdyskusyjne.

- Iggy! - zawołała. - Iggy, tutaj jestem! - Pobiegnęła do salonu, skąd zdawał się dochodzić hałas, i zapaliła wszystkie światła. - Iggy! Gdzie jesteś? - Okręciła się wokół własnej osi jak bąk, usiłując namierzyć miejsce, z którego dochodziły odgłosy, ale szczekanie umilkło. - Iggyyyyy!

Cholera, zwariuję od tego!

Wiedziała, że jej się to nie przyśniło; zresztą po chwili szczekanie rozległo się na nowo. Dźwięk był zduszony, odległy, ale jak najbardziej rzeczywisty. Jakby przenikał przez ściany, Tak, to było to. Usiłowała się zorientować. Kuchnia... Iggy wciąż ją wołał. Tak, to tam.

Wczołgała się pod blat. Dźwięk dochodził... zza ściany! Sąsiadka: Iggy woła ją od sąsiadki, tej, która nie cierpi zwierząt! Na tę myśl Christine wpadła w panikę.

- Iggy! - zawołała z twarzą przy ścianie. - Tutaj jestem! Jestem tutaj, mój śliczny!

Uświadomiła sobie jednak całą absurdalność tej sytuacji. Było parę minut po trzeciej nad ranem, a Iggy czekał w sąsiednim mieszkaniu. I najwyraźniej nikogo oprócz niej to nie niepokoiło. Czy sąsiedzi nie powinni się już dawno obudzić? Christine uchwyciła przelotną myśl: Po prostu wyjechali na ferie? A może... są martwi? Ten pomysł sprawił, że mimo woli się roześmiała. Trzecia nad ranem, a ja panikuję! To po prostu nie miało sensu. W jaki sposób Iggy mógł się przedostać do mieszkania sąsiadki? Znowu przyłożyła ucho do ściany i usłyszała go bardzo wyraźnie. Nie było najmniejszych wątpliwości. To był Iggy. Tam - za ścianą. Musi go stamtąd wyciągnąć, natychmiast! Nie zniesie czekania do rana. Wiedziała, że wywoła skandal, ale nie było mowy o zostawieniu pieska u sąsiadki choćby minutę dłużej. Kto wie, do czego ta stara baba jest zdolna? Wróciła do pokoju, wcisnęła się w sweter i dzinsy i bosy ruszyła do wyjścia.

Kiedy znalazła się na klatce schodowej, zawahała się przez chwilę, ponieważ szczekanie ustało.

Podeszła do drzwi sąsiadów, zrobiła głęboki wdech i zdecydowanie zadzwoniła. Raz. Drugi. Kiedy jej kciuk po raz trzeci zawzięcie wciskał guzik dzwonka, na tle piskliwego echa rozlegającego się w cichym mieszkaniu usłyszała konspiracyjne szepty. Czyjeś kroki cichaczem zbliżały się do drzwi. Potem nastąpiła cisza. Ktoś obserwował ją przez wizjer.

- To ja, sąsiadka! - zawołała, stanąwszy twarzą na wprost drzwi.

Rozległ się brzęk otwieranego łańcucha, trzask zamka, drzwi uchylły się na szerokość kilku centymetrów i w szparze ukazał się fragment zaspanej i zaniepokojonej twarzy otoczonej koroną szarych włosów.

- Christine? To pani? Co się dzieje?

To jest, kurwa, dobre pytanie, pomyślała. Co się dzieje? Może ty możesz mi to powiedzieć?

- Eee... przepraszam, że panią budzę o tej porze. - Christine uświadomiła sobie, że jej wymowa po zażyciu środka nasennego jest: bełkotliwa, a to, co zamierza powiedzieć, szalone, dziwaczne bezsensowne. - Ale, eee... u państwa jest mój pies...

- Co?

Drzwi otworzyły się na oścież. Christine wyczytała w oczach sąsiadki zaskoczenie i niezrozumienie.

- Iggy... Nie ma go w domu. Słyszałam, jak szczeka, wzywa pomocy. Te odgłosy

dochodzą z państwa mieszkania, jestem tego pewna.

Michèle groźnie zmrużyła oczy.

- Christine, pani bredzi. Nie wygląda pani normalnie, coś się pani stało? Pani piła?  
Bierze pani... narkotyki?

- Skąd, wzięłam proszek nasenny, to wszystko. Iggy jest u państwa, słyszę go.

- No nie, moja droga, to absurdalne!

Starucha była coraz bardziej rozbudzona i coraz mniej zaniepokojona. Odzyskała typową dla siebie kąśliwość.

- Mówię pani, że go słyszałam.

- A ja pani mówię, że tutaj go nie ma. Niech pani wraca do siebie.

- Proszę posłuchać! - położyła palec na ustach.

Iggy znowu szczekał.

- To słyhać z pani mieszkania! Nie wiem, jak on to zrobił. Musiał... Musiał wejść bez pani wiedzy!

- To bez sensu, tutaj nie ma żadnego psa!

- Niech mnie pani wypuści...

Christine pchnęła drzwi, a przy okazji drobną kobietę.

- Jestem pewna, że on tu jest.

Zanim sąsiadka zdążyła zareagować, była w środku i szła w stronę źródła hałasu.

- Niech pani przestanie! - zawołała za nią sąsiadka. - Nie ma pani prawa ot tak wchodzić do czyjegoś mieszkania!

- Chcę tylko zabrać mojego psa!

- Co tu się dzieje? - zapytał mąż Michèle, pulchny, łysiejący mężczyzna, mrugając jak puszczyk.

Kosmyk białych włosów, który zazwyczaj maskował łysinę, zwisał teraz z jego czaszki jak wodorost. Szeroka bluza pizamy była rozpięta. Poniżej pępka miał plamę w kolorze burgunda, która kształtem przypominała zarys jakiegoś kontynentu.

- To kompletna wariatka! - zaskrzeczała Michèle za jej plecami. - Twierdzi, że u nas jest jej pies. Charles, wyrzuć ją stąd, albo wzywam policję!

Szczekanie... Christine znowu je słyszała.

- Proszę posłuchać! Nie słyszycie?

Wszyscy zamilkli.

- To słyhać od pani - oświadczył z powagą niewysoki jegomość. - Ten przekłety kundel jest u pani. Pani zupełnie zwariowała, moja mała!

- Nie, jest tutaj!

Na miękkich nogach ruszyła w kierunku, skąd dochodziło szczekanie.

Sypialnia małżeńska. Rozgrzebane łóżko. Na dywaniku przed łóżkiem pantofle, staroświeckie meble i ubrania rzucone byle jak na krzesła. Pachniało starymi ludźmi. Umeblowanie, podobnie jak reszta mieszkania, przypominało lata sześćdziesiąte dwudziestego wieku, kiedy w telewizji były tylko dwa kanały, w każdym domu najwyżej jeden telefon, a dzieci piły do śniadania mleko z rozpuszczalną czekoladą marki Banania.

- Wezwę policję! - zawołała Michèle. - Niech się pani stąd wynosi!

Christine pomyślała, że to jednak szczyt wszystkiego, żeby Michèle mówiła o wzywaniu policji - ona, która ciągle opluwa siły porządkowe i w ogóle wszystko, co ma związek z państwem.

Znowu ogarnęło ją przygnębienie, które odebrało jej nadzieję. Iggy'ego nigdzie nie było.

- No widzi pani - powiedziała sąsiadka, kiedy Christine obeszała pokój.

Prezenterka pokiwała głową. Czowała się zagubiona, zbierało jej się na mdłości.

- Niech pani wraca do siebie - poradziła jej Michèle bez wrogości, głosem prawie współczującym.

To współczucie nappełniło Christine obrzydzeniem bardziej niż wszystko inne.

Kręciło jej się w głowie. Miała wrażenie, że zemdleje.

Wstrzymując oddech, wycofała się ku drzwiom. Szczekanie ucichło. Zaczyna popadać w obłąd. Przeszła przez próg. Chciała przeprosić, ale nie miała na to siły. Odwróciła się na pięcie.

- Niech pani idzie do psychiatry - powiedziała łagodnie Michèle. - Chce pani, żebym zadzwoniła po lekarza?

Pokręciła głową. Drzwi się zamknęły. Usłyszała trzask zamka. Obiema rękami oparła się o poręcz i stała tak w ciemności, czując ucisk w piersi. Serce biło jej tak szybko, że miała wrażenie, iż zaraz dostanie zawału. Oparłszy czoło o kratę windy, zalała się łzami. Wariuje... Drzwi od jej mieszkania były otwarte i na klatkę schodową padała wiązka światła z przedpokoju. Idąc za światłem, powlokła się do środka i przekręciła zamek.

Cisza.

Christine weszła do salonu i osunęła się na sofę. Czowała, że miażdży ją jakaś niewidzialna, niepokonana siła. Zastanawiała się, w którym momencie ją uruchomiła. Dlaczego? Kto wziął się na nią aż do tego stopnia?

Wściekłość i determinacja, które ogarnęły ją, gdy odkryła, że ktoś skrzywdził Iggy'ego,

ustąpiły jak odpływ, pozostawiając na brzegu tylko muł rozpaczy. Christine czuła się pusta, przerażona i zagubiona. Wiedziała, że mimo ogromnego zmęczenia nie zmruży już oka. Pragnęła tylko jednego: wcisnąć się w jakiś kąt i doczekać poranka jak zranione zwierzę, które chowa się w norze.

Zwinęła się w kłębek na sofie, ściskając poduszkę między podkulonymi pod brodę kolanami. W kącie paliła się tylko jedna lampa. Christine zaczęła ogarniać apatia. Była prawie czwarta nad ranem. Za niespełna trzy godziny powinna się zbierać do radia. Ale teraz było jej wszystko jedno, czy będzie do tego zdolna.

Nagle się podniosła.

Szczeknięcie.

Po chwili następne.

Iggy!

Ciągle gdzieś tu jest! Żywy! I wzywa ją na pomoc. Otrząsnęła się. Dźwięk dochodził wciąż z tego samego miejsca. Kuchnia... Ściana, za którą znajdowało się mieszkanie sąsiadów. Przez chwilę miała ochotę tam wrócić. A może... Rzuciła się za kuchenną ladę, ominęła blat roboczy i zlew i jednym ruchem pociągnęła metalową zasuwę zsypu na śmieci. Usłyszała głos Iggy'ego: czysty, przenikliwy, rozdzierający, odbijający się echem w szybie.

Iggy był na dole, w pomieszczeniu ze śmieciami, w piwnicy...

O mało nie wybuchnęła śmiechem, dziękując niebiosom. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Szybko, trzeba go stamtąd wyciągnąć! Jak bardzo musi się bać, sam w ciemności, zamknięty w obcym miejscu! Pośpiech dodawał jej sił. Ale nagle bieg jej myśli przerwał fałszywie brzmiący głos - pies nie zszedł tam o własnych siłach, nie otworzył sobie łapkami klapy zsypu i nie wskoczył do niego jak wesoły frajer, którym skądinąd jest, a schodzenie do piwnic o tej porze po tym, co się stało, byłoby jak spacerowanie zbyt blisko brzegu rzeki pełnej krokodyli. Christine nie jest szalona. Oto dowód. A jeśli nie jest szalona, jeśli przyjmuje to założenie, to wypływa stąd następujący wniosek: jest w niebezpieczeństwie. A tam na dole nikt nie usłyszy jej krzyku...

Naprawdę chcesz to zrobić?

A potem w szybie znowu rozległ się rozpaczliwy głosik Iggy'ego wzywający ją na pomoc. Wiedziała, że nie może być mowy o tym, by zostawić go na resztę nocy w tym miejscu. Pochyliła się nad otworem zsypu.

- Iggy, Iggy, słyszysz mnie? To ja, kochany! Nie ruszaj się, już idę!



Jej głos spotęgowało echo. Kundelek na chwilę ucichł, ale potem zaczął ujadać na dobre. Głośne szczekanie odbijało się od ściany, a po nim nastąpiło pełne żalu skomlenie, które rozdzierało jej serce.

\*

Otworzyła górną szufladę. Wybrała najdłuższy i najsolidniejszy nóż. Wróciła do drzwi wyjściowych i otworzyła skrzynkę, w której wisiały pęki kluczy. Chwyciła kółko z dwoma kluczami - do piwnicy i zapasowym do skrzynki na listy. Włożyła na nogi odblaskowe trampki, które wyjęła z szafki na buty. Trochę trzęsła jej się ręka, gdy po raz drugi tej nocy otwierała drzwi. Brak światła na klatce schodowej obudził jej lęk przed ciemnością, który rozlał się po jej mózgu jak plama atramentu. Jej puls stał się niebezpiecznie nierówny.

Nigdy ci się nie uda. To ponad twoje siły.

Po omacku znalazła włącznik. Powoli uspokoiła oddech.

Pięć minut... Za pięć minut będziesz z powrotem, staruszko. Oczywiście pod warunkiem, że tam na dole ktoś na ciebie nie czeka. Powiedz, aż tak kochasz swojego pieska?

Machinalnie wcisnęła guzik windy, która natychmiast przyjechała. Zawahała się przez ułamek sekundy, po czym pociągnęła za kratę i weszła do środka. Szczęk zjeżdżającej kabiny trochę dodał jej otuchy, ale kiedy wysiadła na parterze i stanęła przed znajdującymi się pod schodami niskimi drzwiami do piwnic, o mało się nie cofnęła. Stała na samym dole schodów, w części klatki schodowej oddzielonej od właściwego holu podwójnymi drewnianymi drzwiami z szybą, i szarawe światło, jakie rozsiewała zakurzona szklana kula, było tak słabe, że zacierało wszystkie szczegóły, tak że miało się wrażenie patrzenia przez przydymione okulary. Wielu lokatorów kamienicy skarżyło się zarządcy podczas spotkań wspólnoty mieszkaniowej: „Kiedy wracam wieczorami, czuję się, jakbym wchodził do zakładu pogrzebowego”; „Každy mógłby się tu zacząć”; „Kiedys ktoś zostanie napadnięty i to pan będzie za to odpowiedzialny”. Ale mimo skandalicznie wygórowanych czynszów zarządca nic nie zrobił.

Znowu zapadła cisza i uderzył w nią strach twardy jak mur. Była w piwnicach tylko raz: podczas wstępnych oględzin. O ile dobrze pamiętała, pomieszczenie z kontenerami na śmieci znajdowało się po prawej stronie na dole schodów. Nagle jej pęcherz dał o sobie znać i Christine pożałowała, że się nie wysikała przed tą ekspedycją. Przekręciła klucz w zamku i pociągnęła za klamkę. Drzwi otworzyły się z jękiem, a z mrocznych czeluści buchnął jej w nozdrza ostry zapach stęchlizny.

Dwa biegi schodów - przypomniała sobie. Przekręciła włącznik i odrapane ściany oświetlił żółtawy blask.

Jestem sama, wszyscy śpią.

Albo nie jestem sama i śpią wszyscy, tylko nie on...

Oddychaj... oddychaj... oddychaj...

Niewiele brakowało, a zaczęłyby krzyczeć, wzywać pomocy, gotowa obudzić całą kamienicę. A potem przypomniała sobie o sąsiadce. Gdyby ktokolwiek zobaczył ją o czwartej nad ranem wałęsającą się z nożem w dłoni po wspólnej części kamienicy i gdyby znaleziono Iggy'ego w pomieszczeniu ze śmieciami po zdarzeniu z listem, antydepresantami w pracy i skandalem u sąsiadów, nie ma wątpliwości: natychmiast z urzędu zostałaby skierowana do domu „naprawimy-twój-mózg-albo-za-darmo-wyślemy-go-na-złom-a-tymczasem-prędko-stąd-nie-wyjdiesz”. Odwagi, staruszko, trzeba tylko przetrwać tę ciężką chwilę. Pokonała pierwsze stopnie, zatrzymała się, nastawiła uszu. Nic. Ściany były tak czarne od sadzy i pleśni, że miejscami wyglądały jak pokryte futrem. Ale przynajmniej żółte światło żarówki było wystarczająco jasne, w przeciwieństwie do lampy w holu. Doszła do pierwszego półpiętra. Spojrzała w dół i poczuła, że ulatuje z niej cała odwaga. Korytarz piwnic u stóp schodów był mroczną studnią, czarną i nieprzeniknioną. Panika znowu rozkwitła w jej piersi jak bukiet trujących kwiatów. Iggy, wybacz mi, nie mam siły. To zbyt trudne... Wybacz... Już odwróciła się plecami do ciemności i miała wracać, kiedy do jej uszu dobiegł jakiś słaby dźwięk.

- Iggy!

Żadnej odpowiedzi.

- Iggy!

Tym razem wyraźnie usłyszała szczekanie. Całkiem blisko... Pędem, bez namysłu, pokonała ostatnie stopnie. Podeszwy trampek dotknęły klepiska. Było zimno. Wiedziała jednak, że mrozi ją nie tylko niska temperatura. Miała nad głową pięć starych pięter pełnych ludzi, ale nie było najmniejszych szans, by ktokolwiek usłyszał jej krzyk. Rozejrzała się dookoła: po lewej okratowane drzwi piwnic - czarnych dziur pełnych niepotrzebnych rzeczy, pajęczyn, pamiątek i szczurów, po prawej, za pomalowanymi na zielono metalowymi drzwiami - pomieszczenie z kontenerami na śmieci.

Chwyciła za klamkę i pociągnęła ciężkie drzwi.

- Iggy, tutaj jestem!

Pies znów zaszczekał. Gdzie ten przeklęty włącznik? Ciemności za drzwiami były przerażające jak szpara w lodowcu. Miała wrażenie, jakby wkładała rękę do paszczy rekina.

Jej palce błądziły po kamieniach i cementowej spoinie, aż napotkały na plastikową skrzynkę. Rozbłysło światło ciemne jak zimowy zmierzch. Żarówka na suficie zamiast rozjaśniać pomieszczenie, rozsiewała cień i Christine dostrzegła masywne ciemne kształty ustawione rzędem pod prawą ścianą. Kontenery... Szczekanie Iggy'ego dochodziło z ostatniego. Nie z tego, który stał u wylotu zsypu, ale z innego, którego pokrywa także była uchylona. Podeszła bliżej. Zadrżała, gdy usłyszała trzaśnięcie zamykających się za jej plecami drzwi. Jeszcze dwa kroki... Widziała już częściowo wewnątrz wysokiego kontenera, ale jeszcze nie dostrzegła psa. Za to go słyszała, głęboki pojemnik działał jak wzmacniacz. Między pozostałymi kontenerami zalegał gęsty cień i Christine pomyślała przelotnie, że ktoś mógłby się tam ukryć.

Nie myśl o tym. Prawie dałaś radę.

Zrobiła jeszcze jeden krok.

Pojawiła się mordka Iggy'ego. Pies wyciągnął do niej pyszczek, jego pełne nadziei oczy lśniły w ciemności i Christine po raz kolejny pohamowała łzy. Iggy szczechnął, zamierzał ogonem. Kiedy się poruszył, zaskomlał żałośnie i wydał z siebie nosowy świst. Jego pazurki stuknęły o plastikowe dno kontenera, ale kiedy chciał się podnieść, znowu zapiszczał tak, że serce omal jej nie pękło. Boże, co ten drań ci zrobił? Zastanawiała się, jak go stamtąd wyjąć. Pojemnik sięgał jej do klatki piersiowej, miała za krótkie ręce, by dosięgnąć Iggy'ego, nie mogła jednak zanurkować głową w dół. Jedynym sposobem było położenie kontenera na ziemi i wczołganie się na czworakach do środka. Odłożyła nóż i złapała za pojemnik.

Z powodu tylnych kółek manewr okazał się znacznie trudniejszy, niż się spodziewała, i Christine musiała się naszarpać, zanim udało jej się przechylić kontener, a potem powoli opuścić go na ziemię. Wśliznęła się do środka. Poczowała cytrynową woń detergentu. I kału. To Iggy załatwił się w pojemniku. Pies zaszczeakał radośnie. Zaskomlał. I znowu zaszczeakał. W pudle rezonansowym, jakim stał się kontener, jego ostre poszczekiwanie sprawiało, że Christine o mało nie pękły bębny w uszach. Miała wrażenie, że słyszy, jak metalowe drzwi się otwierają, i po jej plecach przeszedł zimny dreszcz strachu. Znieruchomiała. Serce tłukło jej się w piersi jak szalone. Zostawiła nóż na zewnątrz, poza zasięgiem. Ale teraz słyszała już tylko pulsowanie krwi w uszach. Wczołgała się jeszcze głębiej, aż wreszcie jej palce dotknęły nieco szorstkiej sierści Iggy'ego. Przysunęła się bliżej i chciała wziąć go na ręce, ale kiedy dotknęła jego prawej tylnej łapy pies odsunął się i warknął obronnie.

Co ten drań ci zrobił?

Christine zaczęła ostrożnie obmacywać łapkę. Wyczuła zakrzywione pazurki, szorstkie opuszki, a potem, wyżej, pod futrem, twarde mięśnie i cienkie kostki. Kiedy doszła do kości piszczelowej, Iggy znowu zaczął warczeć.

Natychmiast przestała.

- Iggy, spokój, to ja. Nic ci się już nie stanie.

Z trudem się podniosła, klęknięta we wnętrzu kontenera i zgięta w pół, dotykając szyją plastikowej ściany, delikatnie, by nie urazić uszkodzonej łapy, podniosła psa i przytuliła go do siebie, a on w podzięcie polizał ją po policzku ciepłym, szorstkim językiem. Ze łzami w oczach ukryła twarz w gęstym, kręconym futerku o piżmowo-psim zapachu i wyczołgała się tyłem, trąc kolanami o plastik, aż wreszcie mogła się podnieść.

Kiedy w słabym świetle żarówki obejrzała tylną łapę Iggy'ego, o mało nie zemdłała. Nie dość, że kończyzna była złamana, to jeszcze ze zlepionego krwią futra wystawał koniec kości. Reszta łapy wisiała bezwładnie jak złamana noga lalki trzymająca się tylko na gumie. Iggy musiał przejść męki... Zastanawiała się, czy łapa złamała się w chwili, gdy mężczyzna wrzucił psa do kontenera, czy też potwór złamał ją rozmyślnie.

Przyszła jej też do głowy inna myśl: Kto wie, do czego może się posunąć ktoś, kto jest zdolny do takiego okrucieństwa wobec zwierzęcia? Żarty się skończyły. Kolejna nadzieja prysnęła, kochana. Wygląda na to, że twój kumpel pan-od-straszenia-kobiet ma znacznie bardziej nierówno pod sufitem, niż myślałaś, a przecież zazwyczaj masz bujną wyobraźnię.

Rozejrzała się dookoła. Zadrzała. Pośpiesznie podniosła nóż.

Potem, trzymając Iggy'ego w ramionach, wróciła do drzwi, odepchnęła łokciem metalową sztabę i czym prędzej ruszyła po schodach w górę. Odzyskała oddech dopiero, gdy znalazła się w mieszkaniu zamkniętym na wszystkie spusty. Uświadomiła sobie, jak bardzo trzęsą jej się ręce, i przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu na sofie. Iggy leżał na jej kolanach, straszliwie ranny, ale spokojny, ufny, wtulony w swoją panią. Swoją wybawicielkę. Swoją opiekunkę.

A ja? - pomyślała nagle. A mnie kto uratuje? Kto ochroni?

I dlaczego, do cholery, ktoś jej to robi? Na pewno był jakiś powód: nie została wybrana przypadkiem, jej prześladowca ją znał. Znał jej adres, zawód, prywatny numer telefonu, a co jeszcze bardziej zaskakujące, jedno z przezwisk, którymi nazywał ją Gérald. Tak, należało szukać w tym kierunku. Kto w środowisku Géralda mógł się do tego stopnia na nią uwziąć? Widziała tylko jedną odpowiedź: Denise. Ale Denise dostała sfałszowanego e-maila od jej dręczyciela. Czy to możliwe, żeby wysłała go sobie sama, żeby zmylić trop? Denise wchodząca do jej mieszkania? Torturująca jej psa? Oddająca mocz na jej wycieraczkę? Absurd. I kim w takim razie jest mężczyzna, który do niej wydzwaniał? Christine zaczynała popadać w paranoję.

Spojrzała na Iggy'ego: nie może go zostawić w tym stanie; trzeba czym prędzej złożyć

tę łapę. Zanim szkody będą nie do naprawienia.

Gérald... Gérald ma przyjaciela weterynarza.

Spotkała go raz na przyjęciu. Niestrawny gość, który uprawiał wspinaczkę, freeride i uganiał się za spódniczkami, pod warunkiem że miały mniej niż dwadzieścia lat. Opowiadał też wszystkim, którzy chcieli go słuchać, że wybrał ten zawód nie z powołania, lecz wyłącznie z chęci szybkiego wzbogacenia się.

Christine zaczęła szukać telefonu, ale kiedy już go znalazła, zamarła. A jeśli Gérald nie odbierze? Albo, co gorsza, jeśli jest z inną? Kątem oka spojrzała na Iggy'ego, który żałośnie, ze spuszczoną głową, powłócząc tylną łapą, włókł się na swoje posłanie, i wcisnęła klawisz.

- Christine? Co się dzieje?

Przez ułamek sekundy nic nie mówiła, tylko nasłuchiwała, usiłując wychwycić jakiś głos, jakiś oddech czy ruch w pobliżu Géralda.

- Chodzi o Iggy'ego - wyszeptwała.

- Co?

Już zamierzała powiedzieć mu, co się stało - że do jej mieszkania wszedł ktoś, kto porwał Iggy'ego, a następnie zostawił go w pomieszczeniu z kontenerami na śmieci - kiedy zrozumiała, co Gérald może sobie pomyśleć. Że zaczyna popadać w obłęd... A o to właśnie chodziło jej dręczycielowi - chciał ją odizolować, chciał, by przyjaciele i bliscy uznali ją za szaloną, depresyjną. Lepiej nie ułatwiać mu zadania.

- Iggy złamał łapę - oznajmiła. - Cierpi... Ma otwartą ranę, bardzo źle to wygląda, kość sterczy na wierzchu. Nie można go tak zostawić. A żaden weterynarz o tej porze nie odbierze. Być może twój przyjaciel mi pomoże, jeśli to ty do niego zadzwonisz.

- Psiakrew, Christine, jest czwarta nad ranem!

- Gérald, proszę cię. On strasznie cierpi.

Przeciągłe westchnienie po drugiej stronie.

- Christine, Christine...

Co: Christine? Powiedz wreszcie, co naprawdę myślisz, hipokryto. Zaskoczyła ją własna wrogość. Przypomniała sobie, jak poprzedniego dnia zachowała się w stosunku do Denise. Czy to przeżycia z ostatnich dni sprawiły, że stała się tak agresywna?

- Denise mi o wszystkim powiedziała - wyrzucił z siebie. - O waszym wczorajszym... spotkaniu. Na Boga, Christine!

Jakaś niewidzialna ręka otworzyła słuzę w jej żołądku, uwalniając resztkę odwagi, która jeszcze w niej została.

A to zdzira!

- Christine - powiedział Gérald świszczącym głosem - nie potrafię uwierzyć, że mogłaś napisać tego e-maila. Co ci, do cholery, odbiło? Zwariowałaś czy co? Naprawdę jej groziłaś? Naprawdę powiedziałaś: „Trzymaj się z daleka od mojego faceta”? Proszę, odpowiedz mi. Powiedziałaś to? Tak czy nie?

To dlatego nie odbierał wcześniej, gdy dzwoniła wieczorem. Był na nią zły. Miał do niej pretensje. Paradoksalnie to ją uspokoiło. Potrafiła sobie radzić ze złością Géralda.

- Później o tym porozmawiamy - zasugerowała skruszonym tonem. - Proszę cię. Wszystko ci wyjaśnię. Uwierz mi, to jest bardziej skomplikowane, niż myślisz. Dzieją się rzeczy, które trudno zrozumieć...

- A więc to prawda? Naprawdę to powiedziałaś? Kurwa, nie wierzę! - wybuchnął. - I naprawdę napisałaś tego przekłętą e-maila!

- Nie, e-maila nie. Później, proszę cię. Zadzwoń do twojego przyjaciela, zrób to dla mnie. Potem porozmawiamy, proszę cię, kochanie.

Nienaturalnie przedłużająca się cisza. Christine zamknęła oczy. Proszę, no proszę...

- Przykro mi, Christine. Nie tym razem. Muszę się zastanowić. Nie możemy tak dalej... Zamarła.

- Lepiej jeśli przez jakiś czas nie będziemy się widywać, Christine, aż będziemy pewni, na czym stoimy - ciągnął - wszystko przeanalizujemy. Chcę zrobić przerwę w naszym związku.

Słyszała jego słowa, ale jej umysł odmawiał uchwycenia ich sensu. Czy Gérald naprawdę powiedział to, co ona usłyszała?

- A co do Iggy'ego, to smutne, ale z pewnością może poczekać jeszcze kilka godzin. Będę ci wdzięczny, jeśli nie będziesz się ze mną kontaktować w najbliższych dniach. Ja zadzwonię.

Z niedowierzaniem wpatrywała się w telefon.

Gérald się rozłączył.

## 13.

### OPERA BUFFA

Spała, gdy zaczęło świtać. Obudził ją język Iggy'ego liżący ją po twarzy. Przespała nie więcej niż godzinę. Wyczerpanie wzięło w końcu górę nad złością i płaczem. Kiedy zdezorientowana otwierała oczy, powieki miała jeszcze posklejane od łez, a jej język był jak wygotowana tektura.

Już miała objąć Iggy'ego, który tulił się do jej klatki piersiowej, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie o złamanej tylnej łapie. Spojrzała na nią i zauważyła kilka plamek na kołdrze - pies jeszcze krwawił, ale już niezbyt mocno. Wywnioskowała stąd, że on także spał. Mimo bólu. Weterynarz.... Sprawa nie mogła dłużej czekać.

Ostrożnie wysunęła się łóżka. Tym razem psiak nie pobiegł za nią. Z nieszczęśliwą miną patrzył, jak wychodzi z pokoju. Gdy zobaczyła, jak zwierzak smutno liże ranę, ścisnęło jej się serce. Było za wcześnie, żeby zadzwonić, więc Christine poszła do kuchni. Po drodze minęła szafkę na buty. Przed pójściem spać przysunęła ją do drzwi wejściowych, a na niej ustawiła chybotliwy wazon, który z pewnością roztrzaskałby się z hukiem, gdyby ktoś usiłował odsunąć całą konstrukcję. W salonie było chłodno. Podkręciła grzejnik i dygocąc z zimna, zawiązała szczelniej szlafrok, następnie przy blacie z szarego laminatu wypila czarną kawę, zagryzając szwedzkim pieczywem. Co dziwne, była głodna. Wyczerpana, ale głodna. W trakcie jedzenia, siedząc na wysokim barowym stołku ze stopami opartymi o podnózek, uruchomiła proces myślowy, który zaskoczył ją samą. Smutek i przerażenie, których doświadczyła minionej nocy, wyczerpały do końca jej zapasy żalu nad sobą. W przeciwieństwie do Iggy'ego ona przestała liżać rany. Czuła się tak, jakby wracał dobrze jej znany stan. Na razie był to tylko delikatny szmer, ale wiedziała, o co chodzi: Wielkie Powstanie Christine. Wielkie Powstanie Christine następowało zazwyczaj po jakimś trudnym doświadczeniu - a tych już trochę zdążyła w życiu zaznać (wiem, do czego pijesz - powiedział głos w jej wnętrzu - nawet o tym nie myśl, ślicznotko). Przychodziło wtedy, kiedy rzeczywiście znalazła się już na dnie. Za każdym razem objawiało się wzrostem determinacji, dzikiej chęci nieulegania przygnębieniu, przypiływem energii. Jakby w tych chwilach jej mózg produkował jakieś specjalne przeciwciała.

Teraz pomimo znużenia, pomimo krańcowego zmęczenia, wszystkie jej myśli skupiły się na prześladowcy. Jeśli istnieje jakaś nitka, która doprowadziła go do niej - a musiała istnieć, zważywszy na wszystko, co wiedział na jej temat - to z pewnością istnieje sposób, by

po niej w przeciwną stronę dotrzeć do niego.

Tak, to jest to! Do tej pory nie poświęciła czasu, by poważnie przeanalizować sytuację. Wszystko stało się tak szybko, psia krew. Była rzucona z jednego zdarzenia w drugie, bez możliwości zareagowania ani nawet zastanowienia się, jak zająć na szosie, który wpadł w snop światła reflektorów nie jednego samochodu, ale całej kohorty tirów, pędzących jeden za drugim na długich światłach w jego stronę. Próbowwała tylko się przed nimi uchylać. Nieporadnie. Bez przekonania. Ale teraz - mimo że czuła się tak, jakby jej głowę ścisnęła żelazna obręcz - jej myśli nagle stały się znacznie bardziej klarowne.

Ponieważ to, co przydarzyło się Iggy'emu, zadziało na nią jak wstrząs elektryczny.

Nie powinien był robić ci krzywdy, mój maleńki, to z jego strony poważny błąd...

Co wiem?

Zastanów się.

Co najmniej dwie rzeczy: 1) Dotarł do mojego biurka - albo też ma współnika w radiu; 2) Jest na tyle blisko Géralda i Denise, że wie, o czym rozmawiają - albo ich śledził. Jeszcze raz przejrzała zdjęcia w komputerze. Tak, z pewnością to zrobił. Musiał podsłuchać ich rozmowy tamtego lub innego dnia. Pozostawało wciąż to samo pytanie: motyw. Dlaczego? I dlaczego ona? Jeśli tylko pozna motyw, będzie go miała.

Podniosła kubek z kawą do ust.

I jeszcze jedna myśl:

Facet mnie izoluje...

Tak. To właśnie robił tej nocy - oddzielił ją od Géralda i sąsiadów. W ten sam sposób - teraz zdała sobie z tego sprawę - odizolował ją od policji, a także częściowo od szefa po zdarzeniu z antydepresantami. Nie wiedziała, dlaczego jej prześladowca to robi, ale była to część jego planu. Musisz przerwać tę izolację. Za wszelką cenę. Powinna znaleźć sprzymierzeńca. Ale kogo? Matkę? Ha, ha, ha - parsknął jej wewnętrzny głos - mam nadzieję, że to żart? Nie, oczywiście, że nie. Matka zmarszczyłaby swój śliczny nosek, spojrzałaby na nią szafirowymi oczami i zaczęłaby się zastanawiać, czy jej córka zwariowała nagle czy też zawsze była szalona. A ojciec? Tym bardziej nie. A więc kto? Ilan? Dlaczego by nie? Jej asystent był człowiekiem godnym zaufania, pracowitym, dyskretnym. Ale czy mógł stać się kim innym niż tylko dobrym asystentem? Nie miała wyboru. Nie widziała nikogo innego. Właśnie wtedy po raz kolejny odezwał się w niej niezwykle klarowny wewnętrzny głos:

Nikogo innego? Naprawdę? Jesteś pewna, że nie masz ani jednej przyjaciółki? Kogoś



poza twoim ukochanym narzeczoną, komu mogłabyś się zwierzyć? Nie uważasz, że to wiele mówi o niektórych aspektach twojego życia, moja droga?

Powinna zrobić coś jeszcze...

Sięgnęła po laptop. Zaczęła od usunięcia wszystkich ciasteczek i zmiany haseł dostępu, następnie włączyła instalację nowej, kompletnej wersji pakietu antywirusowego, zapory sieciowej, oprogramowania antyszpiegowskiego, antyphishingowego i całej reszty, po czym poszła pod prysznic. Kiedy wróciła z łazienki, usunęła stary system i włączyła szybkie skanowanie. W pracy zainstaluje nowsze. Rzuciła okiem na zegarek. Z szuflady w komodzie wyjęła segregatory, w których trzymała faktury, rachunki, wyciągi z kart bankowych i książeczki czekowe, i włożyła je do płóciennej torby w kolorze khaki, którą miała od czasu studiów. Zamierzała przechować je w bankowym sejfie do czasu, aż znajdzie lepsze rozwiązanie. Pod jej nieobecność nie można było uważać tego mieszkania za bezpieczne miejsce. Na koniec zadzwoniła do weterynarza. Jego sekretarka na chwilę odeszła od słuchawki, po czym zaszczębiotała, że jej szef zgadza się pilnie przyjąć Iggy'ego. „Dziękujemy za skorzystanie z naszych usług. Nie wykryto żadnego potencjalnie niebezpiecznego oprogramowania”, oświadczył syntetyczny głos w komputerze. Skanowanie zostało zakończone. Wepchnęła urządzenie do i tak już ciężkiej torby, poszła po transporter i wróciła do pokoju, gdzie Iggy patrzył na nią z rozbijającą mieszanką czułości i ufności w oczach.

\*

Ósma dwadzieścia. Znowu się spóźniła. Ale to było nic w porównaniu z poprzednimi dniami. Poza tym przez tyle lat przychodziła przed czasem. Przecież kilka spóźnień nie mogło tego skreślić, prawda?

Kiedy wysiadła z windy, ruszyła do automatu z kawą. Mimo wszystko czuła ulgę. Iggy był bezpieczny, dostał środek na uspokojenie, a w jej mieszkaniu nie było już niczego, czego jej prześladowca mógł użyć przeciwko niej. Nie zdążyła zostawić segregatorów w bankowym sejfie, miała je wciąż przy sobie, ale tymczasem postanowiła schować torbę i laptopa w zamkniętym na klucz biurku. Szuflady także nie są już bezpieczne - podpowiedział jej wewnętrzny głos. Tak, ale do tej pory nie zamykała swoich szuflad na klucz. Teraz będzie tylko musiała zadbać o to, by klucz nie opuścił kieszeni jej dzinsów.

Jeśli sąsiedzi z pracy zauważą jej zachowanie i będą nim zdziwieni, to trudno.

Powstrzymała ziewanie i zaczęła rozmyślać o gościu dnia: dyrektorze Ośrodka Kosmicznego w Tuluzie. Gérald dobrze go znał. Nie po raz pierwszy zapraszała do swojego programu przedstawiciela francuskich zdobywców kosmosu: badania aeronautyczne i

kosmiczne od dawna były głównym czynnikiem rozwoju przemysłowego i ekonomicznego miasta. Poza tym, bądźmy szczerzy, z kosmosem łączyła ją szczególna więź ze względu na mężczyzn jej życia, a także... - jednak tę myśl powstrzymała.

Nie pora teraz, by o tym myśleć.

Wyszła z przeszklonego pomieszczenia z parującym kubkiem w dłoni i torbą przewieszoną przez ramię i ruszyła przez *open space* w stronę swojego biurka. Poprosi Ilana o rozmowę po programie. Tymczasem najpilniejszy był przegląd prasy. Widok pustego biurka Ilana wyrwał ją z zamyślenia.

Ilana nie było.

Gdzie się podział?

Ilan nigdy się nie spóźniał. Ani razu w ciągu trzech lat.

Zauważyła karteczkę samoprzylepną na swoim telefonie. Pochyliła się i przeczytała ją.

*Przyjdź do mojego gabinetu. Natychmiast.*

Pismo Guillaumota.

W tonie wiadomości wyczuła lekką groźbę, ale znając dyrektora programowego, nie zauważyła w tym nic nadzwyczajnego. Christine omiotła wzrokiem salę. Wyglądało na to, że wszyscy są pochłonięci pracą. Nawet jakby zbyt pochłonięci.

Coś się dzieje.

Nagle zaczęła mieć trudności z oddychaniem, jakby ktoś zacisnął jej palce na gardle. Ostrożnie spojrzała w stronę gabinetu Guillaumota: drzwi były otwarte, a żaluzje opuszczone - zły znak. Potem uświadomiła sobie, że nie ma także Cordélii. Między listwami żaluzji zauważyła trzy sylwetki.

Okay, naprzód.

Doszła do drzwi niewielkiego biura i stanęła w progu. Guillaumot stał zwrócony twarzą do Ilana i Cordélii, którzy słuchali go z uwagą. Zauważył ją, przerwał i skinął, by weszła. Dwoje pozostałych odwróciło się w jej stronę jak jeden mąż.

- Zamknij drzwi - powiedział dyrektor programowy. Ostrożna neutralność jego głosu nie wróżyła niczego dobrego.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Najpierw usiądźmy - polecił.

- Ale my chyba mamy program do przygotowania - odpowiedziała, wskazując na asystentów.

- Tak, tak, wiem, usiądźmy - powtórzył tym samym tonem.

Uniosła brwi. Dyrektor, który już siedział, spojrział na nią wymownie znad okularów. Miał przed sobą otwarty notes. Trzymając w ręku długopis, pośpiesznie przeczytał to, co sobie zanotował, a następnie, kiedy wszyscy usiedli, znowu podniósł wzrok.

- No cóż, nie bardzo wiem, od czego zacząć. To dość nietypowa sytuacja. Chciałbym porozmawiać z waszą trójką. Jak wiecie, jako dyrektor programowy jestem odpowiedzialny za właściwe funkcjonowanie tej audycji. I muszę mieć pewność, że nikt z zespołu nie cierpi z powodu, eee... zachowania innych.

Christine popatrywała to na Cordélię, to na Ilana. Twarz dziewczyny była nieprzenikniona, a Ilan starał się unikać jej spojrzenia. Po karku przebiegł jej lodowaty dreszcz. Guillaumot wpatrywał się w nią bez mrugnięcia okiem.

- Dziś rano przysłała do mnie Cordélia - zaczął.

Christine szybko rzuciła okiem na stażystkę. Obie kobiety w milczeniu mierzyły się wzrokiem. Poczowała pulsującą w skroniach krew. Zrozumiała: to z tej strony miało nadejść kolejne uderzenie.

- Skarzyła się na ciebie. - Wziął głęboki oddech. - Na twoje... zachowanie. Cóż, powiedzmy raczej, na twoje m o l e s t o w a n i e. Takiego słowa użyła. Cordélia twierdzi, że od wielu tygodni molestujesz ją seksualnie: narzucasz się, zachowujesz się niestosownie, a nawet grozisz zwolnieniem, jeśli nie weźmie udziału w twojej grze. Nie chce wnosić skargi, ale chce, żeby to się skończyło. Ten staż jest dla niej bardzo ważny, a przede wszystkim chciałaby uniknąć problemów. Tak właśnie powiedziała. Zależy jej, żebyśmy załatwili tę sprawę we własnym gronie.

Christine zachichotała sarkastycznie.

- Uważasz, że to zabawne? - oburzył się dyrektor programowy. - Naprawdę sądzisz, że to jest powód do śmiechu?

Powstrzymała się od dania wyrazu swojej wściekłości.

- Nie mów mi, że wierzysz w te bzdury? - odparowała, pochylając się w jego stronę. - Przyjrzałeś jej się?

Wszyscy popatrzyli na Cordélię. Szczupła, długonoga stażystka miała na sobie tego ranka ultrakrótką spódniczkę w szkocką kratę i czarne rajstopy, bluzę z napisem ALCHEMY na piersi i wysokie czarne trampki ponabijane srebrnymi ćwiekami. Jej paznokcie, podobnie jak usta, były krwistoczerwone. W wargach lśniły kolczyki. Jak można wierzyć dziewczynie ubranej tak jak Cordélia bardziej niż jej?

- Mówi, że kilka razy... eee... obmacywałaś ją w toalecie - ciągnął dyrektor, lekko się

czerwieniąc. - Że... próbowałaś ją pocałować. Że zaprosiłaś ją do siebie na lampkę wina, że...

- Bzdury.

- Że bez przerwy ją nagabujesz.

- Bzdury!

- Że zasypujesz jej skrzynkę e-mailową wiadomościami o charakterze... eee... seksualnym, a nawet... pornograficznym.

- Ależ ta biedna dziewczyna wygaduje głupoty. Cholera, popatrz na nią!

- No właśnie.

- No właśnie co?

- No właśnie, mogłaś sądzić, że nikt jej nie uwierzy.

Spojrzała na niego jak na szaleńca.

- To jest jakiś żart - odparowała. - Wyście wszyscy powariowali! - A ponieważ dyrektor wpatrywał się w nią w milczeniu, dodała: - Czy ty wiesz, z kim rozmawiasz? To ja, Christine, która pracuje w tej firmie od siedmiu lat. Czy ja wyglądam na kogoś niespełna rozumu?

- Mówi, że z tego powodu bardzo niekomfortowo się przy tobie czuje.

- Ach tak? Cóż, niech pokaże te e-maile. Gdzie one są?

Guillaumot spojrzał na nią, po czym przesunął w jej stronę kupkę zadrukowanych kartek.

Na dłuższą chwilę zapanowało milczenie. Kątem oka Christine dostrzegła, że Ilan trochę głębiej zapada się w fotelu. Poczula na sobie wzrok Cordélii. Serce zaczęło jej walić.

- To absurd...

Spojrzała na wydruki.

*Cordélio, wybacz mi. Nie chciałam ci grozić. Dobrze wiesz, że nie zależy mi na Twojej krzywdzie. Przez cały czas o Tobie myślę, nie mogę przestać. Kiedy czuję Twój zapach, słyszę Twój głos, kiedy jesteś blisko mnie, wariuję. Pierwszy raz czuję coś takiego do kobiety.*

*Christine*

*Cordélio, proszę, odpisz mi. Nie zostawiaj mnie tak. Nie zniosę tego dłużej. Nie zgadniesz, co teraz robię. Wypiłam pół butelki wina i leżę na łóżku. Nago. Myślę o Tobie... O Twoim ciele, o Twoich piercingach, o Twoich piersiach... I się... jestem taka podniecona... Wiem, nie powinnam tego pisać. Nie powinnam pisać do Ciebie wieczorem, to, mmm, niebezpieczne.*

*Twoja Christine*

*Cordélio, co byś powiedziała na wspólną kolację w sobotę wieczorem? Proszę, powiedz tak. Tylko jedna kolacja, jak to między koleżankami. Obiecuję, że nikt się o tym nie dowie. Proszę, zadzwoń do mnie.*

*Christine*

*Cordélio, nie odpisujesz na moje e-maile, rozumiem, że nie podoba Ci się moje zachowanie. Że jesteś wrogo nastawiona. Cordélio, wiesz, że w moich rękach jest Twoja przyszłość.*

*C.*

*Cordélio, daję Ci dwadzieścia cztery godziny na odpowiedź.*

Dziesiątki wiadomości w tym stylu. Christine czuła, jak czarne ptaki w jej głowie podrywają się do lotu. Była oszołomiona, jej dłonie były gorące i mokre.

- Nieprawdopodobne - wyjąkała, przebiegając wydruki pełnym niedowierzania wzrokiem. - To absurd. Nie wysłałam tych e-maili. Zresztą wyobrażasz sobie, żebym ja mogła napisać takie rzeczy? I jeszcze się pod nimi podpisać!

Guillaumot zrobił znudzoną minę.

- Christine, sprawdzaliśmy. Zostały wysłane z twojego adresu IP, z twojego komputera.

- Ale przecież, do cholery, każdy może mieć dostęp do mojego komputera, doskonale o tym wiesz! Wystarczy podejrzeć, jak wpisuję hasło. Założę się, że ta mała zdzira sama je sobie wysłała.

Dyrektor powoli skinął głową. Wpatrywał się w nią zimnym wzrokiem. Nigdy do tej pory nie widziała tego spojrzenia, nawet przy okazji jego najgorszych wybuchów.

Zwrócił się do Ilana.

- Ilan, jesteś gotowy powtórzyć to, co mi powiedziałeś?

Christine poczuła, jak po jej kręgosłupie spływa lodowaty strumień. Spojrzała na asystenta. Jego twarz zrobiła się czerwona jak burak.

- Pragnę zaznaczyć, że Christine to doskonały fachowiec - zaczął ledwie słyszalnym głosem. - Wykonujemy dobrą robotę i... zawsze się dobrze dogadywaliśmy. Jestem bardzo zadowolony, że z nią pracuję, mam do niej szacunek. I chcę powiedzieć, że wierzę jej, kiedy mówi, że to nie ona napisała te... te świństwa.

- Doskonale, Ilan - powiedział Guillaumot. - Zanotowałem twoje obiekcje. Ale nie o to

pytałem. Czy ty też otrzymywałeś niestosowne e-maile?

- Tak.

- Słucham? Mógłbyś mówić trochę głośniej?

- Tak - powtórzył Ilan przez ściśnięte gardło.

- Wysłane z tego samego adresu IP, zgadza się?

- Tak.

- Były podpisane?

- Eee... tak.

- A możesz mi powiedzieć, jak były podpisane? „Christine”, zgadza się?

Christine pochyliła się i uderzyła pięścią w stół.

- Cholera, wystarczy tych bzdur! Mam tego dosyć!

- Christine, proszę, żebyś się zamknęła i siedziała spokojnie, okay? Ilan?

Christine zauważyła, że Cordélia wpatruje się w nią z lubością. W jej oczach dostrzegła błysk jadowitego triumfu.

- Tak - odpowiedział Ilan. - Ale to nie znaczy...

- Kiedy je dostałeś?

- No... w ubiegłym miesiącu. Ale to się bardzo szybko skończyło. I powtarzam: bardzo lubię pracować z Christine, nie mam jej absolutnie nic do zarzucenia. Jestem pewien, że jest ofiarą jakiejś intrygi. Nie widzę innego wyjaśnienia. - Rzucił w stronę Cordélii podejrzliwe spojrzenie.

- Jakiego rodzaju były te e-maile? - ciągnął niewzruszenie dyrektor programowy.

- No... przecież pan wie... niestosowne, tak jak pan powiedział.

- Czy mógłbyś mówić troszkę bardziej precyzyjnie?

- No... takie tam...

- Zaloty?

- Tak.

- Treści seksualne?

- Tak, coś w tym stylu. Ale powtarzam, to nie trwało długo.

- Ile ich było, przypominasz sobie?

- Parę.

- Ile?

- Może dziesięć.- Blżej dziesięciu czy bliżej dwudziestu?

- No nie wiem... tak, może bliżej dwudziestu.

- Więcej?

- Nie pamiętam.

- Świetnie, Ilan. Znakomicie. Niech będzie. A powiedz, jak długo to trwało.

- Tydzień, może dziesięć dni, nie więcej, tego jestem pewien. Już panu mówiłem, to się bardzo szybko skończyło.

- W takim razie dostawałeś kilka e-maili dziennie, zgadza się? Christine miała wrażenie, że podłoga rusza się pod nią jak w trakcie trzęsienia ziemi. Uszy Ilana zrobiły się fioletowe.

- Tak.

- Ile w ciągu dnia, pamiętasz?

- Nie, nie liczyłem.

- Codziennie?

- No... tak.

- Przez dziesięć dni?

- Trochę ponad tydzień, tak.

To było więcej, niż Christine mogła znieść. Zerwała się z miejsca i pochyliła nad biurkiem.

- Wystarczy! Dość tych bzdur! To absolutnie niczego nie dowodzi: równie dobrze ktoś mógł użyć mojego programu pocztowego, kiedy był otwarty na moim biurku! Nie będę tolerować oczerniania mnie ani minuty dłużej, rozumiesz? Ta historia jest groteskowa i zajęła już wystarczająco dużo czasu! I nie rozumiem, jak możesz choćby w minimalnym stopniu jej ufać!

Guillaumot zignorował jej występ.

- Ilan - zapytał - dostawałeś te e-maile w dzień czy w nocy? Milczenie.

- Jedno i drugie - odpowiedział młody człowiek zakłopotany. Znowu na dłuższą chwilę zapadła cisza. Christine wciąż stała, czuła się wycieńczona, mdliło ją i ledwie trzymała się na nogach. Guillaumot rzucił okiem na zegarek.

- Dziękuję za twoją szczerłość. Ty i Cordélia możecie wracać do pracy. Dziękuję wam obojgu, w sprawie audycji zwróćcie się do Arnauda. Ma dzisiaj zastępstwo. Pośpieszcie się.

Cordélia i Ilan wyszli. Na odchodnym dziewczyna rzuciła Christine wyzywające spojrzenie. Oszołomiona prezenterka patrzyła na Guillaumota.

- Naprawdę nie rozumiem, jak możesz dawać tym oskarżeniom choćby odrobinę wiary - powtórzyła zniechęcona.

- Christine...

- Daj mi dokończyć! Kazałeś mi słuchać tych bzdur, to teraz ty mnie wysłuchaj. Od jak dawna razem pracujemy? Zawsze wykonywałam swoją robotę, wiesz o tym. Nigdy do tej

pory nie miałam problemów w relacjach z kolegami. Nie jestem histeryczką jak Becker, nie jestem apodyktyczna jak ty ani leniwa jak kupa ludzi tutaj. Jestem profesjonalistką, jestem niezawodna i wszyscy mnie tutaj lubią...

Guillaumot natychmiast uchwycił się wątku, który mu podsunęła.

- Wszyscy cię lubią? Do diabła, Steinmeyer, otwórz oczy! Wszyscy tutaj mają cię za upierdliwą, arogancką i irytującą diwę! Wszyscy uważają, że od jakiegoś czasu zadzieraszą nosa! Nie zliczę, ile razy przychodziłaś do mnie i zadreślałaś mnie pierdołami! - Rzucił jej pełne urazy spojrzenie. - Mam ci przypomnieć, co znalazłem w twojej szufladzie? Nie mówiąc już o tych wszystkich spóźnieniach i bardzo mało profesjonalnym zachowaniu w ostatnim czasie...

Natychmiast zrozumiała. Guillaumot też jej nie lubi. I właśnie nadarzyła mu się wymarzona okazja.

- Naprawdę sądzisz, że ludzie leżą u twoich stóp? - ciągnął tym samym, mściwym tonem. - Że nie możemy się bez ciebie obejść? Że jesteś niezbędna? - Wzniósł oczy ku niebu. - Oczywiście, że tak sądzisz. I to jest właśnie twój problem, Steinmeyer, odkleiłaś się od rzeczywistości! A teraz jeszcze to. Do cholery, za kogo ty się uważasz?

Nie wierzyła własnym uszom. Zawsze sądziła, że jej praca jest doceniana, szanowana, podobnie jak jej profesjonalizm, i że poza kilkoma różnicami zdań i paru wrogami - których posiadanie jest rzeczą normalną w środowisku opanowanym przez ducha współzawodnictwa, gdzie wielu zazdrości innym ich pozycji - jest dobrze zintegrowana z redakcją.

Guillaumot ostentacyjnie zerknął na zegarek.

- Za godzinę mam zebranie z udziałowcami i dyrekcją. Wracaj do domu. Zastanowię się, co dalej. Jutro nie przychodź: Arnaud zastąpi cię jako prowadzący.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Była na skraju wyczerpania, bliska omdlenia. Ostrożnie położyła rękę na oparciu krzesła, żeby się nie przewrócić.

Głos Guillaumota złagodniał, jakby mężczyzna uświadomił sobie, że posunął się za daleko.

- Wracaj do siebie, Christine. Będę cię informował na bieżąco. Jakakolwiek będzie moja decyzja, dowiesz się o niej jako pierwsza.

Wycofała się. Po wyjściu Ilana i Cordélii drzwi gabinetu zostały otwarte i cały *open space* słyszał atak dyrektora. Ze spuszczoną głową ruszyła do swojego biurka. Dookoła było cicho jak makiem zasiał. Czowała, że wszystkie spojrzenia kierują się w jej stronę.

- Christine, ja... - zaczął Ilan.

Podniosła dłoń i chłopak umilkł. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że nie mogła trafić



kluczem do zamka szuflady. Wyjęła torbę, przełożyła pas przez ramię i pośpiesznie ruszyła ku window.

- Co za ulga - powiedział ktoś, gdy przechodziła.

## 14.

### KOLORATURA

Z tyłu, w pewnej odległości, lasy. A przed nimi, na równinie, ciągnące się kilometrami rzędy topoli, wyprostowanych jak halabardy na obrazie Paola Ucella. Sadowiąc się za kierownicą, zdał sobie sprawę, że zaczyna lubić to miejsce. Nie lubił jego mieszkańców, z kilkoma wyjątkami, ale sam ośrodek nie był pozbawiony uroku.

I panował w nim spokój. Uświadomił sobie, że wcale mu się nie śpieszy, by stąd wyjeżdżać, że obawia się powrotu do prawdziwego życia. Czyżby to oznaczało, że jest daleki od wyzdrowienia?

Słowo „wyzdrowienie” miało dla Servaza podejrzany posmak. To język psychologów i lekarzy. Nie ufał ani jednemu, ani drugiemu. Spojrzał na białą równinę, zastanawiając się, kiedy skończy się ten śnieżny czas. Nagle zrozumiał, że ta skuta lodem przestrzeń przypomina mu jego mózg: od śmierci Marianne coś w nim zamarzło. Jego dusza czekała na wiosenne roztopy.

\*

Le Cactus nie był typem baru, o jakich pisano w przewodnikach. Nie miał za sobą stu lat istnienia, jak Chez Authie, nie znajdował się na którymś z ruchliwych placów miasta, jak le Bar Basque, ani nie był ulubionym lokalem celebrytów, jak l'Ubu Club. Nie miał też w sobie nic z krzykliwej dumy kafejek, które rozgłaszają wszem i wobec, że pretendują do miana najmodniejszego miejsca w mieście. Ani sztywnej atmosfery historycznych kawiarni z placu Wilsona. Z pozoru był dokładnie taki sam jak setki innych lokali - ale pozory często mylą, i prawda ta dotyczy zarówno ludzi, jak i barów. Le Cactus miał coś więcej niż wszystkie wymienione miejsca: miał grono wiernych klientów przychodzących tu z wyboru, na podobieństwo kotów, które wybierają sobie miejsce zamieszkania. Miał też legendę... Stworzoną przez poprzedniego właściciela, nieustraszonego człowieka, który wpuszczał do swojego lokalu - i wyrzucał z niego - o każdej porze dnia i nocy każdego, kogo chciał: dziwki, transwestytów, drani - i gliniarzy. W dzielnicy, w której niekoniecznie kochano „niebieskich”.

Zgodnie z wolą właściciela po jego śmierci bar i legenda znalazły się w rękach jego pracownicy i od tamtej pory szefowa - która w wolnym czasie pisała wiersze - prowadziła lokal zdecydowaną, ale i łagodną ręką, świadoma, że ci, którzy tu przychodzą, robią to także ze względu na nią.

Desgranges siedział tam gdzie zwykle. Przed nim stał kufel piwa. Siadając, Servaz pochwycił kilka spojrzeń ciepłych jak wzrok polarnego niedźwiedzia. Wiedział, że policja także potrafi dyskryminować swoich ludzi, tych, którzy się posypali, traktować jak pariasów, zamiast przyznać, że istnieje jakiś problem. Zauważył też, że nic się nie zmieniło: te same facjaty w tych samych miejscach.

- Chyba jesteś w formie - powiedział powściągliwie policjant.

- Jedyne moje zajęcia to zamiatanie suchych liści, sport i odpoczynek.

Kolega po drugiej stronie stolika zarechotał.

- Czyli można powiedzieć, że sprawa z kluczem spadła ci z nieba. Cieszę się, że cię widzę, Martin.

Servaz nie odpowiedział na ten poryw serdeczności. Nie było to potrzebne.

- A u ciebie w porządku? - zapytał.

- W porządku, w porządku. Zostałem przydzielony do hazardu. Wiesz, jaka była moja ostatnia afera? Gallodrom...

- Co?

- Stadion do walk kogutów, stary. W Ginestous, u Romów. Ring, ławki dla widzów, sala zabiegowa dla rannych kogutów i inna, klimatyzowana, w której drób przygotowuje się do wyjścia na arenę. Były tam nawet cholerne bieżnie, takie jak w klubie fitness, napędzane silnikiem z pralki, żeby czempiony miały umięśnione łapki! Ale czempiony były w bardzo kiepskim stanie, kiedy je znaleźliśmy. Wyglądało to dość obrzydliwie. Banda łajdaków...

Servaz przypomniał sobie, że czytał o tym w gazecie.

- Zdrowie psów, które ratują koguty - wznosił toast.

- I dobierają się do skóry ich katom - dodał Desgranges.

- Zawsze zostawiasz sobie kopie akt? - zapytał Servaz.

Desgranges ostrożnie przytaknął. Wziął do ręki tekturową teczkę, która leżała obok.

- Masz szczęście. Mógł ją dostać kto inny. Rzuciłem na to okiem, zanim tu przyszedłem. Martin, chcesz zobaczyć listę mniej lub bardziej podejrzanych samobójstw z ostatnich lat w samej Tuluzie? Wiesz równie dobrze jak ja, że w tym mieście granica między samobójstwem a morderstwem może być bardzo cienka - powiedział ściszym głosem.

Servaz skinął głową. Wiedział, o czym mówi jego dawny kolega. Lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte... Najmroczniejsze karty w historii miasta: wciąż unosiły się jak zatłuszczony papier na stojących wodach przeszłości. Wydzielał się z nich zapach siarki, którego policjanci będący w tamtych czasach na służbie - większość z nich przeszła już na emeryturę - woleliby nie wdychać. Morderstwa z niewyjaśnionych powodów

zaklasyfikowane jako samobójstwa. Jak śmierć tego dwudziestoletniego chłopaka, którego ciało znaleziono związane w Kanale Południowym ze śladami uderzeń, w sprawozdaniu lekarza sądowego zakwalifikowaną jako samobójstwo. Albo tej młodej kobiety, która przecież została pobita z wielką brutalnością: samobójstwo. Czy tej matki znalezionej w kałuży krwi na podłodze jadalni ze sznureczkiem na szyi i pieluszką wciśniętą do gardła: samobójstwo. I tego dwudziestoosmioletniego mężczyzny, który zginął od strzału w głowę i którego ciało po śmierci zostało przeniesione w inne miejsce: samobójstwo, samobójstwo, samobójstwo. W raportach z sekcji zwłok z niezrozumiałych przyczyn powracały dwa słowa „impuls samobójczy”. Lista była długa jak dzień ramadanu: młode kobiety, które znikwały w drodze z pracy do domu, prostytutki, których zgony w pokojach podejrzanych tuluskich hoteli nigdy nie zostały wyjaśnione; fałszywe sekcje zwłok, byle jak odwalane śledztwa, zatręśnienie umorzeń, sprawy zamknięte bez dochodzenia, szalone pogłoski o skorumpowanych sędziach i policjantach, o osobach z najwyższego szczebla powiązanych z siatkami zorganizowanej prostytucji i handlu narkotykami, o pełnych przemocy przyjęciach sado-maso, o pornografii, przemocy, zabójstwach... Razem prawie sto niewyjaśnionych spraw w latach 1986-1998 w kompetencji samego tylko sądu rejonowego w Tuluzie. Absolutny rekord. A do tego jako wisienka na torcie sprawa seryjnego mordercy Patrice’a Alegre’a, w którą zamieszany był sam mer. Różowe Miasto stało się dla francuskiej prasy krwawą Gomorą, przedsionkiem piekieł: wszędzie podejrzenia, wszędzie szaleństwo, legenda miejska zbudowana przez żądnych reklamy mitomanów w oparciu o litanię niepokojących zdarzeń, nieprawidłowości, zaniedbań i niekompetencji.

Za każdym razem, kiedy poruszano tym kotłem, podnosił się smród; odór tamtych lat wciąż zalegał w ciemnych kątach, na dnie szaf z archiwami, w piwnicach, gdzie pokrywały się kurzem akta, których nikt nie miał ochoty otwierać. Osoby oskarżone zostały oczyszczone z zarzutów, ale podejrzenia pozostały na zawsze - odrażające i niemożliwe do zatarcia. Tak jakby za każdą różową cegłą tego miasta, za każdymi drzwiami prowadzącymi na pełne słońce istniała druga, mroczna ściana i drugie, mroczne drzwi.

- Spotkałem się nawet z czymś odwrotnym - ciągnął Desgranges - z samobójstwem, które udawało morderstwo. Facet miał nadzieję, że uda mu się pogrążyć żonę i jej kochanka.

- Chcesz mi powiedzieć, że niczego tam nie znajdę?

- Może tak, może nie...

Servaz uniósł brew.

- Po przybyciu na miejsce, w trakcie oględzin, zanim orzeciono, że chodzi o samobójstwo, z uwagi na niezwykle okoliczności gliny myślały, że to morderstwo. W

związku z tym zabezpieczono wiele przedmiotów, między innymi ten...

Desgranges sięgnął do papierowej teczki i wyjął z niej różowy notes.

- Co to jest?

- Kalendarz.

- Jak to się stało, że cały czas masz go u siebie? - zdziwił się Servaz.

- Kiedy chciałem zwrócić rzeczy rodzinie, zadzwoniłem do rodziców Célie. Przyjechali po nie. Oddałem im wszystko oprócz tego.

- Dlaczego?

- Na wszelki wypadek. Miałem zamiar trochę w tym pogrzebać, ale ponieważ okazało się, że to samobójstwo, dałem spokój.

- A jednak zachowałeś ten kalendarz.

- Tak. Chciałem sprawdzić jedną rzecz, ale później nie miałem czasu.

- Jaką rzecz?

- Mówiłem ci, że zdążyłem tylko trochę poszperać, zanim orzeczono, że to samobójstwo. Zabrakło mi kilku godzin, żeby zidentyfikować wszystkie imiona i nazwiska, które są w środku. Sprawdziłem wszystkie oprócz jednego: nazywa się Moki...

- Moki?

- Taaa. Wszyscy oprócz niego to przyjaciele, koledzy i krewni Célie.

Skrzyżowali spojrzenia. Servaz stał się czujny. Ile spraw takich jak ta, śpiących w kartonach, na zawsze zachowa swoją tajemnicę zamkniętą między kartkami zapomnianych akt? Poczul na języku smak frustracji.

- No proszę! Kopę lat - odezwała się szefowa nad jego głową. - Powrót z krainy umarłych?

Zastanawiał się, czy ona także wie. Czy może ma na czole wytatuowane haniebne znamię gliny w depresji. Ale sympatyczny uśmiech szefowej podniósł go na duchu. Uświadomił sobie, że stęsknił się za wieloma rzeczami związanymi z tym miejscem. Zamówił befsztyk i sałatkę.

Grube palce Desgranges'a przerzucały kartki notesu.

- Tutaj. Patrz.

Odrzucił kalendarz przodem do Servaza, który przeczytał:

- Moki 16.30, Moki 15.00, Moki 17.00, Moki 18.00... Jesteś pewien, że chodzi o jakąś osobę?

Desgranges uniósł brwi.

- A o cóż by innego? W każdym razie nikt ze znajomych Célie nie był w stanie mi

powiedzieć, kto to jest.

- To wszystko?

Desgranges się uśmiechnął.

- A czego się spodziewałeś?

- Masz jakąś hipotezę?

- Żonaty mężczyzna - odpowiedział natychmiast Desgranges. - Godziny pokrywają się z *happy hours*. Moki. Pewnie tak go nazywała. Jedno jest pewne. Facet nigdy się nie ujawnił. To by przemawiało za hipotezą, że jest żonaty...

- To mogłoby być cokolwiek - zauważył Servaz. - Jakies miejsce, knajpa, jakiś nowy, modny sport...

- Jest coś jeszcze.

Przez głowę Servaza przemknęła pewna myśl; dawno tak bardzo nie czuł, że żyje. Desgranges wyjął z teczki jakiś kwit i podsunął mu go pod nos.

- Niedługo przed popełnieniem samobójstwa Célia zrobiła dość osobliwe zakupy.

Servaz pochylił się do przodu. Miał przed sobą fakturę: ręczny miotacz gazu Guardian Angel, gaz obronny, naboje pieprzowe... Najwyraźniej kobieta szukała sposobu, by się obronić - a nie, żeby się zabić.

- Dziwne jak na kogoś, kto chce ze sobą skończyć, prawda? - powiedział.

- Mhm - odpowiedział Desgranges z powątpiewaniem. - A bo to wiesz, co się dzieje w ludzkiej głowie? Gdyby desperaci działali zgodnie z logiką, wiedzielibyśmy...

- A jednak sprawiała wrażenie, jakby się czegoś bała.

- Rzeczywiście, takie to sprawia wrażenie. - Desgranges nadział na widelec liść sałaty. - Ale to w dalszym ciągu tylko wrażenie...

Servaz zrozumiał komunikat. W każdym śledztwie są elementy z pozoru znaczące, które ostatecznie okazują się nie mieć żadnego związku ze sprawą. Nowe, długie śledztwo jest jak nieznaną alfabet, który trzeba odcyfrować: niektóre litery są ważniejsze od innych, ale na początku nie ma żadnych wskazówek, jak je odróżnić. Nagle Desgranges zmarszczył brwi.

- Niepokoi mnie sprawa tego klucza. Myślisz, że osoba, która ci go wysłała, coś wie?

- Może po prostu chce ponownego otwarcia śledztwa, w ten czy inny sposób. Ale jest też inne pytanie: W jaki sposób zdobyła klucz?

- Przebywając w hotelu - odpowiedział Desgranges.

- Właśnie. Myślisz, że oni przechowują listę gości, którzy zgubili klucz albo zapomnieli go oddać?

- Zdziwiłbym się, gdyby tak było. Ale może warto spróbować.

Kiedy wyszedł z Le Cactus, zadzwonił do innego działu w swoim dawnym zakładzie pracy (który - dopóki nie dowiedziono inaczej - wciąż pozostawał jego miejscem zatrudnienia). Jednostka dokumentacji operacyjnej była czteroosobowym zespołem, który gromadził „kartoteki żywych”, to znaczy wszystkich osób pojawiających się nawet na marginesie prowadzonych spraw - świadków, podejrzanych itp. - nie czekając, aż zostaną postawieni w stan oskarżenia. Konfrontowała i zestawiała te kartoteki z kartotekami brygad wyspecjalizowanych (czego detektywi oczywiście nie robili z braku czasu lub umiejętności). Działem dokumentacji operacyjnej kierował Leveque, brygadier, który kiedyś pracował u kryminalnych; kiedy interweniował podczas próby ucieczki, zbieg połamiał mu zderzakiem obie nogi. Od tego czasu kulał na lewą nogę, co dokuczało mu bardziej w deszczowe dni, i nie mógł pełnić czynnej służby. Po odbyciu stażu w Europolu Leveque został analitykiem kryminalnym, dzięki czemu mógł wykorzystać swoją intuicję i doświadczenie. Nie miał już prawa do prowadzenia śledztw, ale nadrabiał to, grzebiąc w śledztwach innych, i nic nie sprawiało mu większej satysfakcji niż wychwycenie jakiegoś szczegółu, który umknął jego kolegom: jakiegoś nazwiska czy numeru telefonu powracającego w kilku niezwiązanych ze sobą sprawach albo zielonego clio widzianego na miejscu wyrównania rachunków i na miejscu napadu...

- Tu Servaz. Jak się miewają twoje kulasy?

- Mam mrowienie w nogach. I to nie tylko przy takiej pogodzie. Co się z tobą dzieje?

Myślałem, że jesteś na zwolnieniu?

- Bo tak jest. Ale ja chyba też mam mrowienie.

- Ale nie dzwonisz do mnie tylko po to, żeby pogadać o mrowieniu?

- Chciałbym, żebyś wrzucił do swojej maszyny jedną nazwę.

- Dopiero co mówiłeś, że jesteś na chorobowym... - Chwila ciszy po drugiej stronie. -

Jaką nazwę? - zapytał w końcu Leveque.

- Moki. M-O-K-I.

- Moki? A co to ma być? Jakaś osoba? Marka? Złota rybka?

- Nie mam zielonego pojęcia. Ale jeśli nic nie znajdziesz, spróbuj w połączeniu ze słowami „gwałt”, „przemoc w małżeństwie”, „nękanie”, „pogróżki”...

- Oddzwonię.

\*

Godzinę później nadeszła odpowiedź.

- Nic.

- Jesteś tego pewien?

- Chcesz mnie obrazić? Twój Moki nigdzie się nie pojawia. Szukałem wszędzie, próbowałem wszystkich kombinacji, jakie przysły mi do głowy. Martin, nic nie ma. I coś mi się przypomniało: ktoś już mnie o to pytał rok temu...

- Wiem. Dzięki.

\*

Niepewnie odstawiła szklanę na stół - jak kapitan, który w czasie burzy zalewa swój smutek, a jego marynarze przerażeni biegną ku szalupom ratunkowym po zmywanym zwałami morskiej piany pokładzie, wiatr wyje, a dno ładowni między kolejnymi przechyłami wypełnia się słoną wodą. Christine była pijana. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, było już za późno: alkohol zdążył przejść z żołądka do jelit, a stamtąd do układu krążenia.

Spojrzała na zaparowaną szybę. Kiedy na chwilę przestawało sypać, zrywał się ostry północny wiatr, wymiatając śnieg z chodników przy alées Jean-Jaures, po których w zwolnionym tempie, wytyczonymi koleinami, przesuwały się samochody. Budynek Radio 5 wznosił się po drugiej stronie alei jak ceglany Tomcio Paluch wśród piętnastopiętrowych gmachów. Ilekroć Christine spoglądała w tamtym kierunku, żołądek podchodził jej do gardła. Sądziła, że alkohol ją znieczuli, ale nic takiego się nie wydarzyło: czuła tylko większe znużenie i zniechęcenie.

- Jest pani pewna, że wszystko w porządku? - zapytał kelner.

Skinęła głową i słabym głosem zamówiła kawę. Jej umysł błędził, niezdolny do skupienia. W ciągu mniej niż czterech dni straciła narzeczonego i pracę. Zastanawiała się, czy te straty są nieodwracalne.

Jak sądzisz? - zapytał wewnętrzny głos, który bardzo lubił grzebać ostrzem w ranie. - A może uważasz, że Gérald ma ochotę spędzić życie z wariatką?

Do jej oczu napłynęły łzy goryczy. Poczwała się tak, jakby wisiała na klifie, wczepiona weń jeszcze tylko czubkami paznokci. Mieszając kawę w filizance, zastanawiała się, czy punktem wyjścia tego koszmaru nie był ten przeklęty list. To było absurdalne. Irracjonalne. A jednak miała poczucie, że to właśnie wtedy zaczął się kataklizm. Jakby list był czymś w rodzaju złowróżbnego talizmanu. Jakby ktoś rzucił na nią urok: przed listem była szczęśliwą kobietą - podczas świąt miała przedstawić swoim rodzicom narzeczonego, który wykonuje ciekawy zawód i mieszka w pięknym mieszkaniu; wtedy zaczęła się równia pochyła niemająca końca...

Magiczne myślenie - powtórzył głos. - I wcale nie byłaś taka szczęśliwa...

I właśnie wtedy ją zobaczyła. Cordélię. Dziewczyna opuściła budynek radia i dużymi krokami weszła z rue Arnaud-Vidal w alées Jean-Jaures. Christine machinalnie spojrzała na



zegarek: czternasta trzydzieści sześć. Zobaczyła, jak idzie chodnikiem w stronę boulevard de Strasbourg do metra, które znajdowało się czterysta metrów dalej. Wpatrywała się w niewielką postać. Poczowała nienawiść palącą jak zgaga. Zachowaj trzeźwość umysłu; przede wszystkim nie daj się ponieść emocjom. Ale kiedy mała opatulona sylwetka miała jej zniknąć z pola widzenia, Christine chwyciła leżącą na sąsiednim krześle torbę i wstała.

- Ile płacę za te trzy piwa, dwa koniaki i kawę?

Barman spojrzął na nią znad okularowych szkieł i dokonał szybkiego podliczenia.

- Dwadzieścia jeden euro.

Drżącą ręką wyjęła banknoty o nominałach dwudziestu i pięciu euro i położyła je na ladzie.

- Proszę, bez reszty.

Kiedy wyszła na mróz, uderzył ją wyjący wiatr, ale alkohol sprawiał, że nie czuła zimna. Było bardzo niewiele pieszych. Sto metrów przed sobą zobaczyła niewielką postać, poprawiła torbę na ramieniu i z wawym krokiem ruszyła naprzód. Szła szybko drugą stroną ulicy, nie spuszczać celu z oczu. Musiała uważać, żeby się nie przewrócić na zamrzniętym pośniegowym błocie.

Kiedy Cordélia dotarła do metra przy dawnym Hôtel de Paris przekręconym na Citiz Hotel, Christine przecinała już centralny pas zieleni przy przestronnym atrium pod gołym niebem. Znalazła się na górze w chwili, gdy Cordélia weszła na ruchome schody prowadzące do peronów linii A. Prezenterka zeszła po śliskich betonowych stopniach i ruchomymi schodami zjechała na niższy poziom. Cordélia przechodziła przez bramki. Ze swojego stanowiska obserwacyjnego Christine widziała różowe od zimna policzki, bezczelny profil tej dziwki i jej smukłą sylwetkę. Zawrzało w niej od nienawiści i gniewu. Doszedłszy do bramek, zerknęła na położone niżej perony i zauważyła, że dziewczyna zamierza jechać w kierunku Basso-Cambo. W tej chwili sprawa stawała się skomplikowana: gdyby od razu zeszła na peron, Cordélia mogłaby ją zauważyć. Przepuściła falę pasażerów. Kiedy po dwóch minutach nadjechał skład, przeszła przez bramkę i zbiegła na peron. Tak jak przewidywała, Cordélia weszła do wagonu, nie oglądając się za siebie. Christine wsiadła dwoje drzwi dalej. Przykleiła nos do szyby. Stała schowana za młodym mężczyzną, z którego słuchawek dobiegała zbyt głośno odtwarzana muzyka Zebdy, i drugim, około czterdziestki, który miał do wyboru albo szybkie zrzucenie zbędnych kilogramów, albo znalezienie się wkrótce na oddziale kardiochirurgii. Miała jednak świadomość, że jeśli Cordélia ma zwyczaj przyglądać się pasażerom, w końcu ją zauważy.

Bądź naturalna, staruszko, wyjmij tablet, zachowuj się jakby nigdy nic. Przecież wiesz,

że wzrok ciekawskich zawsze przyciągają inni ciekawscy, tacy jak ty.

Naturalna, dobre sobie - jej serce waliło jak oszalałe; rola statystki w filmach szpiegowskich nie była tym, do czego przywykła.

Spojrzała na miejsce, w którym stała Cordélia, i uspokoiła się: laska szybko stuknęła kciukami w klawiaturę telefonu. Dwie stacje dalej zobaczyła, jak Cordélia chowa telefon i podchodzi do drzwi: Esquirol. Nie wiedziała, gdzie dziewczyna mieszka, ale była przekonana, że nie w tej dzielnicy. Zbyt drogo. Chyba żeby mieszkała u rodziców. Ale najbardziej prawdopodobne, że się z kimś umówiła. Dzielnica była jednym z punktów spotkań młodzieży w tym mieście.

Nagle zaczęła się zastanawiać, co zamierza osiągnąć tym śledztwem. Uległa impulsowi. Być może teraz przyszedł czas, by przeanalizować sytuację, w której się znalazła, jednak alkohol uniemożliwił jej racjonalne myślenie. Co zamierzasz? Porwać ją, jak w filmach, i torturować, aż napisze na kartce: „Jestem dziwką i szmata, to ja wymyśliłam to wszystko”? A może zapukać do jej drzwi i powiedzieć: „Cześć, to ja, przyszedłam się dogadać, zakopmy topór wojenny, masz może ochotę na białą herbatę jaśminową?”. Prawda była taka, że Christine nie miała zielonego pojęcia, co właściwie robi. Oraz że być może działa wbrew zdrowemu rozsądkowi. Niemniej, gdy dziewczyna wysiadła na place Esquirol, podążyła za nią.

Kiedy Christine wjechała na górę, zobaczyła Cordélię sto metrów przed sobą. Ruszyła jej śladem, utrzymując bezpieczną odległość. Dziewczyna pchnęła drzwi lokalu o nazwie Unie Bar. Przysiadła się do stolika zajętego już przez trzy osoby - jednego chłopaka i dwie dziewczyny. Wszyscy byli mniej więcej tak samo wystrojeni: czarne ubrania, srebrne naszyjniki i bransolety, czerwone albo fioletowe włosy, gotyckie makijaże - nawet chłopak miał oczy obrysowane czarną konturówką.

Christine rozejrzała się dookoła. Naprzeciwko kawiarni znajdowała się piekarnia-ciastkarnia i gabinet depilacji: nie bardzo dało się tam usiąść. Jeśli zostanie na tym chodniku, Cordélia w końcu ją zauważy. Jedynym znośnym punktem obserwacyjnym była niewielka kafejka przylegająca do tej, do której weszła młoda kobieta - jednak ryzyko, że zostanie zauważona, było jeszcze większe, ponieważ oba lokale, których ogródki były na zimę zamknięte, dzieliła tylko szyba. Myśl. Ostrożnie spojrzała w kierunku Cordélii: stażystka powiesiła długi czarny płaszcz na oparciu krzesła, co oznaczało, że z pewnością chwilę tam zabawi.

Christine ruszyła rue d'Alsace-Lorraine, jedną z ulic, na których znajdowało się najwięcej sklepów z odzieżą. Dwieście metrów dalej weszła do jednego z nich, zdjęła z wieszaka tyleż ciepłą i wygodną, co niegrzeszącą urodą parkę, i udała się do kasy. Po upływie

mniej niż czterech minut wyszła - zakapturzona, z talią ściśniętą paskiem. Płaszcz upchnęła do torby. Wybrała dość niepozorny kolor, unikając modnych tej zimy żywych czerwieni i żółci. Brzydszej nie było? - zapytał sarkastyczny głos w jej wnętrzu.

Wróciwszy na place Esquirol, sprawdziła, czy Cordélia wciąż jest w kawiarni, i nie zdejmując kaptura, weszła do sąsiedniego lokalu. Zamówiła czekoladę na gorąco. Ledwie kelner przyniósł jej zamówienie, zobaczyła, jak Cordélia wstaje, wkłada płaszcz i żegna się z sąsiadami. Christine czym prędzej zapłaciła, zanurzyła usta w czekoladzie i poczuła, jak jej pusty żołądek się ściska, ale dziewczyna już przeciskała się między stolikami w kierunku wyjścia.

Pędem zrobiła dwa łyki, parząc się w język, i ruszyła za nią do metra. Jedna linia, pomyślała, to ogranicza możliwość wyboru. Dwa zegary znajdujące się na placu wskazywały piętnastą dwadzieścia sześć.

I wtedy poczuła to coś: zmianę, która się w niej dokonywała pod osłoną ciemnej parki i kaptura. Ze zwierzyny łownej Christine stała się myśliwym. Ta zmiana perspektywy tchnęła w nią energię. W jej żyłach buzowała niecierpliwość; w jej głowie jedno pytanie gonilo drugie. Czyżby to Cordélia była jej prześladowczynią? Jeśli tak, to z jakiego powodu? Christine zawsze dobrze ją traktowała. Przynajmniej tak sądziła. Atak dyrektora programowego uświadomił jej, że nie jest w radiu tak pozytywnie postrzegana, jak jej się zdawało, a niektórzy wręcz jej nie znoszą. To odkrycie nią wstrząsnęło. Ale jeśli to Cordélia jest jej dręczycielką, to kim jest mężczyzna, który do niej wydzwaniał? Jej kumplem? Przynajmniej jedno Christine wiedziała na pewno: Cordélia kłamie. Na tym fakcie mogła się oprzeć. A jeśli stażystka kłamie, to znaczy, że jest co najmniej współniczką - w przeciwieństwie do Ilana, który bez wątpienia mówił prawdę w związku z tymi e-mailami.

Kolejny wniosek zelektryzował ją jak uderzenie pioruna. Nawet jeśli to nie Cordélia, to dziewczyna zna osobę, która ją prześladowuje... Za jej pośrednictwem Christine mogła dotrzeć do dręczyciela.

Ta myśl ją ożywiła.

Doszła korytarzem do schodów prowadzących na peron i jak poprzednio zaczekała na górze, aż skład wjedzie na peron. Cordélia znowu wybrała kierunek Basso-Combo. Znalazszy się w wagonie, Christine, ukryta w cieniu kaptura, przystąpiła do dyskretnej obserwacji celu. Stażystka znowu frenetycznie stukwała w klawisze. Tym razem przejażdżka trwała nieco dłużej. Dokładnie osiem stacji. Za Mirail-Universite młoda kobieta zaczęła się wiercić. Christine podniosła wzrok na tablicę wyświetlającą aktualne stacje. Poczowała napływającą falę strachu, podobną do nieznanego sygnału alarmowego zapalającego się na

desce rozdzielczej: metro Reynerie. Nigdy nie była w tej dzielnicy, ale wiedziała, jaką ma reputację: napady, nielegalny handel, przemoc, bandy... Doniesienia stamtąd były stałym elementem rubryk kryminalnych. Miesiąc wcześniej prasa pisała o dwóch taksówkach zaatakowanych pod jakimś mrówkowcem. Jedna z nich przyjechała po chorych klientów, których miała zawieźć do szpitala. Napad nie nastąpił o północy, lecz w południe. W samym środku dnia. Teraz była prawie szesnasta i na zewnątrz z pewnością zaczęło się już ściemniać.

\*

Christine wyszła na peron w ślad za Cordélią i innymi pasażerami: były wśród nich kobiety, więc poczuła się trochę pewniej. Ale kiedy wszyscy wysypali się na opustoszały deptak, po którym szalał mroźny wiatr, kiedy zobaczyła zmarszczoną czarną powierzchnię niewielkiego stawu i wielkie chmury w kolorze sadzy płynące nad wyblakłymi mrówkowcami, jej odwaga uleciała, a myśliwska ekscytacja nagle wyparowała.

Christine zobaczyła, jak mała postać w czarnym płaszczu pośpiesznym krokiem rusza ośnieżonym chodnikiem, a następnie skręca na wydeptaną ścieżkę prowadzącą do blokowiska. Wiał porywisty wiatr, a temperatura jeszcze spadała.

W ciągu kilku sekund pasażerowie, którzy wyszli z metra, rozplynęli się w ciemności i Christine została sama. Wokół panował wilgotny przenikliwy chłód. Za rozległym pustym błoniem zauważyła tu i tam zakapturzone postaci: beczynne cienie, niepokojące duchy pod blokami i między drzewami, na trawnikach w kolorze bieli wpadającej w szary i niebieski. Za rzędami balkonów jedno po drugim zapalały się światła. Jednak nie dodały one Christine otuchy. Przeciwnie, gdy tak szła wśród wieczornej szarówki, w otoczeniu cieni, te światła wydobywały na powierzchnię dojmującą, narzuconą jej samotność. Wątpiła, czy ktokolwiek przyszedłby jej na ratunek, gdyby zaczęła wzywać pomocy.

I dokąd tak idziesz? Co zamierzasz? Jakies dziesięć metrów za tobą jest wejście do metra. Wracaj do siebie...

A niech tam. Ruszyła chodnikiem. Autobusy zostawiły na jezdni głębokie koleiny. Skręciła na ścieżkę. Kiedy znalazła się na niewielkim pagórku, nie mogła się powstrzymać od policzenia postaci snujących się pod blokami: osiem. Ucieszyła się, że naciągnięty na głowę kaptur nadaje jej - przynajmniej w jej mniemaniu - wygląd miejscowej. Potem pomyślała o tym, co ma w torbie - faktury, rachunki, wyciągi z karty bankowej, książeczki czekowe - i zbladła.

Cordelia minęła rząd samochodów zaparkowanych przed głównym budynkiem. Christine spojrzała w jej kierunku akurat w chwili, gdy dziewczyna zniknęła za przeszkłonymi drzwiami. A co, jeśli przy wejściu jest kod? Trudno jej było sobie wyobrazić, że pyta o kod

któryś z włóczących się pod blokami cieni albo czeka, aż ktoś będzie wchodził. W szarym powietrzu zatańczyły dwa samotne płatki śniegu. Podniósłszy głowę, Christine zobaczyła, że coraz ciemniejsze niebo ponad nagimi koronami drzew pokrywają chmury.

W pewnej odległości od niej rozległo się szczekanie i usłyszała, jak ktoś woła:

- Buba, chodź tu!

Z samochodu, który stał z odsłoniętym dachem, dochodziły dźwięki hip-hopu. Do jej uszu dotarły śmiechy droczących się młodych ludzi, których echo rozchodziło się w ciemności jak odgłosy uderzeń tenisowych piłek.

- Hej, ziom, zamknij, kurwa, to pieprzone pudło, bo jaja odmarzają!

- Chuj mnie to obchodzi. Włóż, szybko.

- Hej, ziom, co ty, kurwa, wyprawiasz, tak się tego nie robi, ziom!

- Tak się nie robi? Nie tak? A co ty o tym wiesz?

- No przecież pracowałem w warsztacie!

- Słyszysz go, kurwa? W warsztacie pracował. Wylali cię po dwóch tygodniach. Wstyd. Mnie by szanowali. Ja bym, kurwa, wieprzowi pokazał! A ty wróciłeś do mamuśki z podkulonym ogonem. Ajajaj... Wiesz, co ci powiem? Oni cię wyruchali, bracie... Wyruchali cię.

- Hej, nie mów tak do mojego brata, kapito? Po pierwsze sam się zwolnił z tej pieprzonej budy, to on ich olał, czaisz?

- Dobra, dobra...

- Co dobra?

- Czaję ziom. Jest cool.

- Nie, nie jest cool. Wszystko, ale nie cool. Jeśli jeszcze raz usłyszę, że gadasz te bzdury i odzywasz się w ten sposób do mojego braciszka, słowo, że rozwalę ci ryj i wrzucę to na YouTube'a.

Śnieg odbijał światła padające z okien bloków, ale drzewa, także te nagie, pogrążone były w ciemności. Christine dotarła do rzędu aut, weszła między zderzaki. Instynkt mówił jej, że jest obserwowana. Przyśpieszyła kroku, brodząc po mocno wydeptanym śniegu. Głosy wokół samochodu ucichły. Jej puls stał się nierówny. Z ulgą zauważyła, że drzwi są otwarte. Wśliznęła się do holu. Poczuła przyływ paniki na myśl, że gówniarze na zewnątrz mogą ją śledzić albo że w środku są inni. Ale na klatce schodowej czekały na nią nie dzieciaki, lecz dziadkowie. Szóstka. Mimo ciasnoty siedzieli na składanych krzesłach. Kiedy przekroczyła próg, z miejsca przerwali pogawędkę.

- Eee... dobry wieczór - powiedziała, przystanąwszy z zaskoczenia.

Rozległy się szepty i kilka twarzy rozjaśniło się uśmiechem, kiedy mężczyźni zorientowali się, że nie mają do czynienia z dealerem. Natychmiast przestali się nią interesować.

Na ścianie po lewej stronie nad rzędem skrzynek na listy baner następującej treści: TO MIEJSCE ZNOWU NALEŻY DO NAS. UŚMIECHNIJ SIĘ, JESTEŚ FILMOWANY. CZUJNI SĄSIEDZL

Znowu rozległy się rozmowy. Christine dyskretnie podeszła do skrzynek na listy. Pochyliła się i pośpiesznie przejrzała nazwiska.

Nie znalazła nazwiska Cordélii. Cholera!

Coraz bardziej zdenerwowana powtórzyła poszukiwania. Jej wzrok przykuło jedno z nazwisk: Corinne Délia. Czwarte piętro, mieszkanie 19 B. Ruszyła ku windzie. Zerknęła na straż obywatelską, ale mężczyźni nie zwracali na nią uwagi. Znalazłszy się w kabinie, zmusiła się do spokojnego oddychania. Każdy nerw w jej ciele mówił jej, że powinna uciekać.

Długi korytarz był pusty. Wcisnęła włącznik światła. Ruszyła wzdłuż drzwi. Z mieszkań dobiegały odgłosy włączonego telewizora, brzęk naczyń, muzyka elektroniczna, płacz niemowlęcia, wrzaski dzieci niesione echem niekończącego się korytarza... Zakręt. Następny. Graffiti na ścianach. Podeszła do ostatnich drzwi.

19 B.

Przystanąła i nasłuchiwała. Zza drzwi słysząc było muzykę pop R'n'B często odtwarzaną w kanałach typu MTV Base. Wzięła głęboki oddech. Nacisnęła na dzwonek. Rozległ się wysoki dźwięk. Spodziewała się, że usłyszy stukanie obcasów Cordélii, ale nie. Nic. Muzyka wciąż grała, więc w środku ktoś był.

Światło zgasło.

Christine stała w ciemności, przez którą przebijał się tylko promień światła z wizjera w drzwiach. A kiedy i on zniknął, zrozumiała, że jest obserwowana. A jeśli ktoś otworzy? Na przykład mężczyzna, który groził jej przez telefon?

Szybko zaczął w niej narastać paniczny lęk przed ciemnością; w żołądku czuła już pierwsze objawy.

A potem drzwi otworzyły się na oścież i Christine zalała fala światła i dźwięku. Kobieta zadrzała.

Podniosła głowę.

Uświadomiła sobie, że stoi z szeroko otwartymi ustami.

Cordélia. Na progu. Naga.

Wysoka sylwetka odcinała się w świetle padającym z mieszkania za jej plecami.

Christine zastanawiała się, skąd bierze się blask w jej tęczęwkach, ponieważ twarz pozostawała w cieniu. Potem jej wzrok ześliznął się niżej i zadrżała: ramiona stażystki, od barku po nadgarstek, były pokryte tatuażami. Wyglądało to, jakby nosiła na ciele przezroczystą koronkę. Na prawym bicepsie zachód słońca oświetlał bordowy drapacz chmur. Na przedramieniu miała rysunek Statuy Wolności i niebieskich fal. Na lewym - uśmiechnięta żółta trupia czaszka z obrysowanymi na czarno oczami, pajęczyna, szkarłatne róże i duży krzyż... Dziewczyna miała tatuaże także na pośladkach i biodrach. Jakies prymitywne litery, które musiały coś oznaczać dla właścicielki tego napisu. Christine pomyślała, że czuje się tak, jakby czytała księgę życia Cordéliei wydrukowaną na jej skórze. Następnie jej spojrzenie spoczęło na skromnie wytatuowanych piersiach dziewczyny, pępku, w którym wbrew temu, czego się spodziewała, nie błyszczał żaden kolczyk, płaskim brzuchu i wąskich, chłopięcych biodrach. I wreszcie zatrzymało się na jej narządach płciowych. Były gładkie jak muszelka.

Znowu poczuła dreszcz przebiegający po plecach.

Przez chwilę nie potrafiła oderwać oczu od małych warg sromowych. W cieniu złączenie wyglądało jak szew na ciele. A potem jej wzrok przyciągnął przyćmiony metaliczny blask: piercing w kształcie półkola zakończony dwoma kolczykami po obu stronach łechtaczki młodej kobiety.

Christine uświadomiła sobie, że jej krew zaczęła krążyć szybciej. Kręciło jej się w głowie.

- Wejdz - zaprosiła ją Cordélia.

## 15.

### DUET

Christine usłyszała płacz niemowlęcia dochodzący z pokoju obok.

Najpierw kwilenie rozdrażnionego, głodnego dziecka, a potem uspokajający głos Cordélii:

- Cicho, mój aniołku, cicho, cukiereczku, kochany, kochany, kochany... - Płacz stał się cichszy i wreszcie umilkł.

Christine rozejrzała się dookoła.

Meble z Ikei, tanie bibeloty, plakaty filmowe: *Zagubiona autostrada*, *Kruk*, *Wschodnie obietnice*. Zbyt głośna muzyka, dudniące basy, dyskotekowe techno na dwa takty, zapach świec, płacz niemowlęcia, alkohol, widok nagiej Cordélii: Christine walczyła z dojmującym bólem głowy.

W mieszkaniu było za gorąco. Po chwili Christine poczuła, że brakuje jej powietrza. Odłożyła torbę i wybiegła na balkon. Ponad blokami, spod welonu niskich, ponurych chmur, prześwitywały ostatnie blaski dogasającego dnia. Cztery piętra niżej zakapturzone cienie wciąż się przekomarzały:

- Hej, ziom, słowo, ale się boję twojego bracholka!

Silnik samochodu z odkrytym dachem ryknął, a z głośników huknął rap. Stereotypy przedmieść w całej krasie, żaden dziennikarz nie przedstawiłby tego lepiej. Christine wyobraziła sobie, że wraca pieszo do metra, i zadrżała.

Weszła do środka.

Wbrew jej oczekiwaniom, to ona była zaskoczona, nie Cordélia. Christine zastanawiała się, czy dziewczyna ma zwyczaj paradować po mieszkaniu na golasa, czy też rozebrała się po to, by wyprowadzić ją z równowagi. Musi się natychmiast ogarnąć. Nigdy sobie nie wyobrażała, że Cordélia może być matką. Ta dziewczyna nie ma jeszcze dwudziestu lat! Bez stałej pracy, na kiepsko płatnym stażu... I gdzie jest ojciec?

Młoda kobieta wyszła z pokoju i zamknęła drzwi. Teraz miała na sobie szlafrok - czarny, podobnie jak reszta jej garderoby. Tylko lamówki rękawów i napis FUCK ME, I'M FAMOUS były czerwone. Szlafrok kończył się na wysokości długich, chudych ud.

- Po co tu przylazłaś?

- Przyszłam zrozumieć, dlaczego skłamałaś - oświadczyła Christine.

Kobiety wymieniły spojrzenia. Christine spokojnie usiadła na zapadniętej sofie.



Skrzyżowała nogi.

- Wynoś się - wysyczała stażystka. - Wypierdalaj. Już.

Christine nie ruszyła się z miejsca, omiatając wzrokiem salon i udając nonszalancję, mimo że jej serce tłukło się w piersi jak oszalałe.

- A więc? - odparła po chwili i podniosła wzrok, jakby się dziwiła, że Cordélia ciągle stoi.

Podkreślone czarną kredką oczy dziewczyny miały teraz badawczy wyraz; najwyraźniej ważyła sytuację. I szukała odpowiedzi.

- Nie masz prawa tu być. Wynoś się stąd. Spadaj.

- Och. - Christine przybrała bezczelny ton. - To wszystko? A co zamierzasz zrobić? Wezwiesz policję?

Miała wrażenie, że w oczach dryblaski pojawiło się przelotne wahanie. Trwało to ułamek sekundy, po czym Cordélia nerwowo się roześmiała.

- No dobra. - Jej ton wskazywał, że nie straciła całego poczucia humoru ani zimnej krwi.

Zniknęła. Christine, która mimo woli była coraz bardziej zdenerwowana, usłyszała odgłos otwieranej i zamykanej lodówki. Młoda kobieta wróciła z dwiema otwartymi butelkami piwa pokrytymi szronem. Postawiła jedną przed Christine i opadła na fotel.

- No i co, moja pani-która-traktuje-siebie-poważnie, co teraz zrobimy?

Jej ton był złośliwy. Christine zauważyła, że szlafrok podwinął się bardzo wysoko i dziewczyna nie zrobiła nic, by zasłonić to, co ma pod spodem. Cordélia chwyciła butelkę i upiła łyk piwa. Christine zrobiła to samo. Czuła pragnienie po wypitym wcześniej alkoholu.

- Kto ci kazał kłamać? - zapytała, odstawiając butelkę.

- A jakie to ma znaczenie? - (Dziewczyna miała rozszerzone źrenice. Christine zastanawiała się, czy Cordélia bierze narkotyki). - Przyszedłeś tutaj, żeby mnie o to zapytać? Do tej dzielnicy? Nie boisz się? Hej, o kurde, a co to za ciuch? Gdzie wygrzebałeś coś tak brzydkiego? I co ty tam taszczysz?

- Kim jest ten człowiek, który do mnie dzwoni, Corinne? Twój chłopak? Twój... alfons? Oczy stażystki zapłonęły gniewem.

- Co??? Coś ty powiedziała? - Jej głos zaczął niebezpiecznie drżeć. - Kurwa, nie odzywaj się do mnie w ten sposób! Za kogo ty się uważasz, pieprzona bufonko!

- A gdzie jest ojciec dziecka? - ciągnęła Christine niewzruszona.

- A co cię to, kurwa, obchodzi?

- Wychowujesz je sama? A kto się nim zajmuje, kiedy cię nie ma? Jak sobie radzisz?

Cordélia spojrziała na nią bykiem. Ale w jej oczach nie było już tej hardości i pewności siebie co przed chwilą.

- Nie muszę odpowiadać na twoje pytania. Co to, kurwa, jest? Przesłuchanie?

- To musi być niełatwe - kontynuowała Christine ugodowo. - A czy... Czy mogłabym je zobaczyć?

Dziewczyna rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie.

- Po co?

- Tak sobie, lubię dzieci.

- To dlaczego jeszcze nie masz swoich? - wyszczała Cordélia przez zęby.

Christine udała, że nie zauważyła ataku, ale odczuła cios. Żołądek zapadł się w niej jak uderzony pięścią.

- Jak ma na imię? - zapytała łagodnie.

Chwila ciszy.

- Anton...

- Ładnie.

- Nie bierz mnie za idiotkę. Jeśli sądzisz, że mnie złapiesz na te słodkie słówka...

- Mogę czy nie?

Młoda kobieta się zawahała. W końcu, nie spuszczać Christine z oczu, wstała. Zniknęła w sąsiednim pokoju. Wróciła ze śpiącym dzieckiem na rękach.

- Ile ma?

- Rok.

Teraz Christine wstała. Podeszła do matki i syna.

- Śliczny.

- Wystarczy - powiedziała Cordélia i odniosła małego do sąsiedniego pokoju. - A teraz won stąd - rzuciła, wracając do salonu. - Wynoś się. Już!

- Kto ci kazał kłamać? - powtórzyła Christine, nie ruszając się z miejsca.

- Wkurwiasz mnie! Powiedziałam ci, wynoś się!

Twarz młodej kobiety znajdowała się w odległości kilku centymetrów od jej twarzy, a jej wściekłość była tak gęsta, że Christine miała wrażenie, iż ma przed sobą ścianę. Schylona nad nią stażystka była od niej wyższa o dobre piętnaście centymetrów.

- Cicho! Obudzisz Antona. Nie wyjdę, dopóki nie otrzymam odpowiedzi. - Usiadła, próbując ukryć drżenie dłoni i kolan. - Znam świetne przedszkole i podstawówkę - powiedziała.

- Co?

- Dla twojego syna. Dyrektor to mój przyjaciel. Jest tam trochę drogo, ale można się dogadać. Czy wolisz, żeby Anton dorastał w tej dzielnicy? Wyobrażasz sobie, co będzie za parę lat? Kiedy nie będziesz mogła być przy nim, żeby go pilnować? I kiedy te typki na dole zaproponują mu pieniądze za stanie na czatach. Albo trawę. Tak się to zacznie. Ile będzie miał wtedy lat? Osiem? Dziewięć?

Zobaczyła w oczach młodej kobiety przelotny błysk przerażenia.

- Proponuję ci rozwiązanie, dzięki któremu twój syn będzie mógł pójść do dobrej szkoły, zyska szansę na lepsze życie, na uniknięcie tego, co czeka go na tym osiedlu.

- To jakiś pieprzony żart, nie? - odparowała Cordélia. - Naprawdę myślisz, że się na coś takiego nabiorę? Nawet gdybym ci dała namiary, zapomnisz o nas, jak tylko stąd wyjdiesz.

Christine zauważyła, że dziewczyna powiedziała „o nas”. Udało się. Wyjęła telefon, włączyła tryb głośnomówiący i wcisnęła klawisz.

- Alain Maynardier, Credit mutuel - odezwał się rozmówca.

Przedstawiła się.

- Dzień dobry, Alain, tu Christine Steinmeyer, chciałabym zrobić przelew - powiedziała. - Jak mam to zrobić? Można przez telefon?

Pracownik banku wyjaśnił jej sposób postępowania. Podziękowała.

- Zadzwoń za piętnaście minut.

Cordélia utkwiała w niej wzrok. W spojrzeniu dziewczyny coś się zmieniło.

- A zatem?

Stażystka nie odpowiedziała. Ale tym razem nie zaczęła też kpić.

- Pomyśl o swoim synu, Cordélio. O jego przyszłości.

- Kto ci powiedział, że ten, kto poprosił mnie, żebym kłamała, nie zaoferował mi większej sumy?

- Obiecał też, że zapewni przyszłość twojemu dziecku?

Trafiony. Cordélia cofnęła się jak oparzona. Zapadła się w fotelu.

- Ty... Aż tak ci zależy, żeby poznać prawdę?

- Właśnie ktoś niszczy całe moje życie. A zatem tak, zależy mi.

Zobaczyła, że Cordélia się zastanawia. Musi dać jej czas. Podniosła do ust butelkę z piwem. Cisza się przedłużała. Dziewczyna w zamyśleniu upiła jeszcze dwa łyki, nie przestając się wpatrywać w Christine. Ta z miną, jakby nic się nie stało, spojrzała na swoją butelkę; wypila już połowę.

Wreszcie stażystka się odezwała:

- Nie chciałam tego robić. Nie chciałam. Ale zmusili mnie.

Kłamstwo, pomyślała Christine. Ale nic nie powiedziała.

- Zmusili mnie. Dali mi pieniądze. Powiedzieli, że jeśli tego nie zrobię, znajdę się na ulicy. Grozi mi eksmisja. Z dzieckiem...

Cordélia skrzyżowała nogi i Christine znowu się zmusiła, by nie patrzeć w dół.

- Dostałam to mieszkanie dzięki przyjacielowi, który mi je podnajmuje. Wyniosłam się od rodziców. Ojciec Antona zwiął, nie zostawił adresu...

- Dlaczego się wyprowadziłaś? - zainteresowała się Christine.

Dziewczyna spojrzała na nią badawczo, a potem puściły jej nerwy i prawie zaczęła płakać.

- Ojciec pił, matka piła, brat pił... Mój ojciec jest na bezrobociu, brat też. Kiedy miałam piętnaście lat, mój ukochany braciszek próbował mnie bzyknąć, a kiedy nie chciałam, wybił mi ząb. Cztery osoby na piętnastu metrach kwadratowych, wszyscy degeneraci. Nie chciałam, żeby moje dziecko wychowywało się w takim środowisku.

To tam zrobiłaś się taka twarda? To przez nich stałaś się taka zimna? Taka wyrachowana? A może to kolejny bluff? Kolejny wymysł? Jej słowa brzmiały tak niewiarygodnie, że może i były prawdą... Klimat biedy materialnej, ubóstwa intelektualnego, patologii i alkoholizmu. Dom, w którym jest niewiele książek albo nie ma ich wcale, za to z pewnością jest konsola do gier i antena satelitarna, żeby mieszkańcy oprócz alkoholu mogli zalewać mózg bananami. Zbyt stereotypowa wizja? Ale wystarczy wyjrzeć za okno - stereotypy biegają po ulicy. Wydobywają się nawet z samochodowych głośników.

- Ten staż - odezwała się nagle Cordélia - ty i Ilan nawet sobie nie wyobrażacie, ile on dla mnie znaczy. Pracować w radiu. Uczyć się. Znaleźć się tam, z takim pochodzeniem. To jest tak, jakbym po raz pierwszy w życiu zobaczyła, że istnieje jakaś przyszłość.

- Jak się na niego dostałaś?

Chwila wahania. Ale skoro już zaczęła, dlaczego nie miałyby dokończyć:

- Zmyśliłam CV. Ale zasługuję na niego. Kiedy moi rodzice leżeli przed telewizorem, a mój durnowaty brat grał w Grand Theft auto IV, ja pożyczalam książki w mediatece i pochłaniałam wszystko, co wpadło mi w ręce. Przez cały okres nauki miałam z francuskiego najlepsze oceny, choć rzuciłam szkołę w wieku szesnastu lat. To prawda, skłamałam. Ale dobrze wykonuję swoją robotę, nie? W każdym razie przynajmniej tak samo dobrze jak inni...

To nie całkiem prawda, pomyślała Christine. Nieraz zaskakiwały ją luki w wiedzy Cordélii i zastanawiała się, jak ta dziewczyna znalazła się w tym miejscu.

- Chcę być coraz lepsza - podkreśliła stażystka. Czyżby zauważyła błysk powątpiewania w oczach Christine? - Wiem, że mogę to osiągnąć. Ciężko pracuję i zależy mi, wiesz o tym.

Christine skinęła głową. To prawda, zależało jej. W ostatniej wypowiedzi było coś prawdziwego, coś, co brzmiało szczerze. I poruszająco. Pomyślała, że nie może dać się złapać, że powinna zachować chłodną głowę. Że smarkula próbuje ją zmiękczyć.

- Nazwisko tego człowieka - powiedziała, odstawiając butelkę.

Cordélia zauważyła ten gest.

- Chcesz jeszcze?

- Nazwisko - powtórzyła.

Dziewczyna siedziała w milczeniu, spuściwszy wzrok.

- Cordélio...

- Jeśli ci powiem, każą mi za to zapłacić. Słono.

- Pomyśl o swoim synu. Masz moje słowo, pomogę ci. Pod warunkiem że ty pomożesz mi.

W zalekzionych oczach dziewczyny dostrzegła rozgrywającą się w jej głowie walkę. Wpadła na pewien pomysł.

- Posłuchaj, oto moja propozycja: opowiesz wszystko Guillaumotowi. Wstawię się za tobą, powiem, że padłaś ofiarą szantażu. Powiem mu, żeby zostawił cię na stanowisku, że wykonujesz dobrą robotę. Nie tylko nie wniosę skargi, ale ci pomogę, także finansowo. Jedyne, co musisz zrobić, to opowiedzieć Guillaumotowi. Nazwisko zdradzisz tylko mnie. To moja sprawa, nikomu o tym nie powiem.

- Oni zrobią krzywdę mojemu dziecku!

Widząc jej rozszerzone źrenice, Christine zrozumiała, że dziewczyna jest przerażona. Nie blefowała.

- Ja... ja... słuchaj, znajdziemy jakieś... miejsce... dla twojego syna i dla ciebie...

Psiakrew, co się z nią dzieje?

Nagle słowa zaczęły jej się lepić do dziąseł jak mordoklejki, nie chcąc opuścić ust. W straszliwie zwolnionym tempie sięgnęła dłonią w stronę stolika. Mózg odmawiał jej posłuszeństwa. A może przeciwnie, to ciało się buntowało. Jej palce uderzyły w butelkę po piwie, która przewróciła się i potoczyła po stoliku z dziwnym, zniekształconym stukotem, po czym bezgłośnie spadła na wykładzinę.

- Co się... Co się ze mną dzieje?

Cordélia wpatrywała się w nią z zaciśniętymi wargami.

Christine próbowała się skupić. Ogarnij się, dziewczyno.

*Christiiinnneeee... jesteś peeeeeewnaaa, że się dobrze czuuujeesz?*

Co to za głos? Dziewczyna musiała coś wziąć, że mówi w ten sposób. Jaka śmieszna intonacja...

Christine powstrzymała nerwowy śmiech. Obie były tak samo zalane. Nagle poczuła, jak krew ścina jej się w żyłach. Pokój i sofa tańczyły jak pokład statku. Oczy Cordélii. Znowu były takie jak wcześniej - zimne i wyrachowane.

Christine miała wrażenie, że policzki - niczym podkład pod makijaż - oblepia jej warstwa zimnego potu. O cholera, naprawdę nie czuję się dobrze. Jej serce biło w szalonym tempie. Czowała się chora, to już przestawało być śmieszne.

Nie podobało jej się to.

Spojrzała na Cordélię i doznała szoku. Dziewczyna zdejmowała szlafrok. Znowu zobaczyła jej nagie, smukłe ciało całe pokryte tatuażami, przypominające zapisany hieroglifami papirus.

*Cordélieaaaaa... co robisz?*

*Źle się czuuuuuję... baaaardzo złeeeee...*

Zobaczyła, jak dziewczyna wstaje i idzie w jej stronę. Mija stolik. Jej wagina zasłoniła całe pole widzenia Christine. Oszołomiona i zafascynowana kobieta wpatrywała się w połyskujący piercing na łechtaczce, a potem w jego miejscu pojawiła się jeszcze dziecinna twarz i jej wargi przygniotły wilgotne usta Cordélii.

*Nie ruuuuuszaaj się...*

Christine chciała się wyrwać. Mrugała. Drżała na całym ciele. Twarz miała mokrą od potu. Chciała się wyswobodzić, wstać, odejść, ale nawet się nie poruszyła.

Skoncentrowała się na tym, co robi Cordelia. Stażystka odwróciła się do niej plecami i postawiła na stoliku otwarty laptop.

Wystukała coś na klawiaturze.

Christine widziała jej okrągłe pośladki, napięte plecy, wystające łopatki. Tatuaże, które robiły się coraz mniej wyraźne...

*Gotooooweee...*

Cordélia się odwróciła. Christine poczuła, że traci świadomość.

*Black-out..*

## 16.

### RECYTATYW

Jakiś hałas wbił jej się w mózg jak ostrze. Obudziła się w jednej chwili. Dźwięk szarpiący jej nerwy jak tarka rozległ się znowu i Christine zrozumiała, że to klakson.

Odgłosy rozmowy dochodzące z ulicy na dole. Warkot silnika. I znowu zapadła cisza. Christine się podniosła.

Było prawie całkiem ciemno, tylko spomiędzy zasłon przebijało szarawe światło. Poczula, że znowu ogarnia ją lęk przed ciemnością. Owinęła się w kołdrę, która była równie ciemna jak pokój dookoła niej. Pomieszczenie wydawało jej się obce, dopóki sobie nie uświadomiła, że to jej sypialnia. Dotyk jedwabiu na skórze: jak dotyk całunu. Była naga... Przez jej głowę w krótkim jak wyładowanie elektryczne przebłysku przemknął jakiś obraz: Cordélia, także naga, całująca ją, wkładająca język do jej ust.

Drżącą ręką po omacku szukała włącznika lampki nocnej, ale kiedy go znalazła i nacisnęła, nic się nie wydarzyło.

W ciemności, w nogach łóżka, coś lśniło. Prostokąt w szarym kolorze, lekko bledszym niż panujące wokół ciemności... Ekran.

Słabe światło monitora oznaczało, że komputer jest w trybie czuwania. Christine zastanawiała się - w straszliwym poczuciu własnej kruchości - w jaki sposób znalazła się tutaj, kto ją rozebrał i kto włączył jej laptop? I co z nią zrobiono, kiedy spała. To pytanie jednak prowadziło ją w zbyt mroczne rejony, od których na razie wołała trzymać się z daleka. Bolał ją kręgosłup, pachy i jeden łokieć. Czyżby ciągnięto ją po ziemi, niesiono? Zapewne - ale kto to zrobił? Na pewno nie Cordélia w pojedynkę... Zastanawiała się, w jaki sposób przeszli przez zaporę straży sąsiedzkiej w holu budynku.

Instynktownie ruszyła w stronę ekranu, by go włączyć - wszystko było lepsze od tego gęstego półmroku. Przerażona doczołgała się do niego i wsparta na łokciu kliknęła w panel dotykowy. Urządzenie przełączyło się na tryb roboczy. Nagła jasność monitora oślepiła ją, przyniosła jej ulgę i wypełniła cały pokój cieniami. Nagranie wideo było gotowe do odtworzenia. Duża strzałka na środku ekranu tylko na nią czekała, ale Christine coś powstrzymało: pewność, że to, co zobaczy, jeszcze głębiej pogrąży ją w jej koszmarze.

Przesunęła palcem po panelu dotykowym, zawahała się i w końcu uruchomiła nagranie, Od razu rozpoznała to miejsce.

Drzwi pod numerem 19 B.



Widziane ze środka mieszkania... Kamera... Zainstalowana naprzeciwko wejścia. Przenikliwy dźwięk dzwonka. To ona go wywołała, naciskając guzik. Wysoka postać stażystki wchodząca w obszar zasięgu kamery. Od tyłu. Naga. Okrągłe, blade pośladki rozdzielone głęboką bruzdą. Przekręca zamek. Otwiera drzwi, w których pojawia się Christine. *En face*. Dziwnie znajoma i dziwnie odległa od jej wyobrażeń na własny temat.

Na ekranie swojego MacBooka zobaczyła, jak patrzy na Cordélię, a potem jej spojrzenie ześlizguje się po ciele dziewczyny i zatrzymuje na dłużej na jej wzniesieniu łonowym. Poczwała, że się czerwieni. Christine na nagraniu ma szeroko otwarte, lśniąco oczy. Nie ma najmniejszych wątpliwości co do obiektu jej fascynacji. Potem Cordélia mówi spokojnym głosem „Wejdz” i Christine rusza w ślad za nią do mieszkania.

Jakby tu na ciebie czekano, pomyślała. Jakbyś bywała tu już wcześniej.

Jakby to wszystko było zaplanowane i naturalne.

Następny obraz.

Christine siedząca na sofie plecami do kamery.

Widać tylko jej kark i ramiona. Cordélia stoi przed nią. W pozie w najwyższym stopniu jednoznacznej, na szeroko rozstawionych nogach. Palcami o odblaskowo żółtych paznokciach rozchyła wargi sromowe w geście szokującej lubieżności i wstrząsającej zażyłości. Mówi, jakby w transie, z pożądliwością w oczach: „To się nazywa triangle piercing, nie każda kobieta może to nosić: kapturek łechtaczki musi mocno wystawać. Poza efektem estetycznym kolczyk stymuluje łechtaczkę od tyłu; nie wyobrażasz sobie, jakie to daje przeżycia. Nie masz pojęcia, jakie to...”. Christine nie rusza się, jest nieruchoma jak posąg.

Wciąż jest odwrócona plecami do kamery, jej postawa sugeruje, że wpatruje się we wzniesienie łonowe młodej kobiety tak jak wcześniej, gdy stała w drzwiach.

Następny obraz. Christine aż podskoczyła: Christine i Cordélia siedzą nago na sofie, tym razem twarzą do kamery. Całują się. Christine ma zamknięte oczy, usta kobiet są złączone, dłoń Christine wsunięta między uda stażystki. Dziewczyna jęczy. Christine nie rusza się - i nic dziwnego!

Ostatni obraz: Christine widzi siebie na sofie, znowu zwróconą plecami do kamery. Stażystka stoi twarzą do niej: przelicza plik banknotów: „Tysiąc sześćset, tysiąc siedemset, tysiąc osiemset, tysiąc dziewięćset, dwa tysiące... Okay, wycofam skargę. Nie tylko ze względu na pieniądze, również dlatego, że zrobiłaś mi tak dobrze”.

Śnieg na ekranie. Koniec krótkiego pornosu do prywatnego użytku.

Christine przełknęła ślinę. Krew pulsowała w jej skroniach. Miała już część odpowiedzi na pytanie, co się z nią działo od chwili, gdy straciła świadomość.

Film był zmontowany. Gdyby został puszczony w obieg, nikt by nie zaprzeczył, że niektóre części zostały wycięte. Ale też nikt nie miałby najmniejszych wątpliwości, że Christine stała w drzwiach i gapiła się na cipkę tej dziwki z własnej i nieprzymuszonej woli.

Była w potrzasku. Gdyby Guillaumot albo ktokolwiek z radia zobaczył to wideo, zeznania Cordélii by się potwierdziły. A jej kariera zostałaby bezpowrotnie pogrzebana. Kariera Cordélii przy okazji też, ale po pierwsze, w przeciwieństwie do kariery Christine rozwój zawodowy dziewczyny był dopiero w stadium embrionalnym, a po drugie presenterka podejrzewała, że Cordélii wcale tak bardzo nie zależy na pracy w radiu i ma inne plany na życie. Na przykład wyłudzenie pieniędzy i znajdowanie kolejnych ofiar do oskubania.

Szantaż? Czyżby to był kolejny etap? Zamierzają ja szantażować? Taki jest cel? Ale przecież straciła już narzeczonego i robotę. Co jeszcze ma do stracenia?

Poczuła się otumaniona, bezsilna. Niezdolna do myślenia. Tym razem nie będzie Wielkiego Powstania Christine. Narkotyki, który jej podano, najwyraźniej wciąż krążył w jej żyłach, bo jej kończyny były ciężkie, a mózg zasnuwała mgła.

Ekspresjonistyczne światło przesączało się między listwami żaluzji, podkreślając cieniem gzymsy na suficie. Lubiła to mieszkanie, ale nagle miała wrażenie, że to wrogie miejsce, które może ją uwięzić i zmiążdżyć.

Wtem przypomniała sobie o torbie, rozejrzała się wokół siebie i ujrawszy ją w rogu łóżka, doznała głębokiej ulgi. Obok, na czarnym prześcieradle leżał biały prostokąt. Jakiś bilet, a może wiadomość...

Chwyliła karteczkę i przysunęła ją do światła padającego z ekranu.

Potwierdzenie wypłaty z bankomatu. Ogarnęła ją panika.

Rozpoznała pierwsze i ostatnie cyfry numeru swojego konta. Na wydruku było napisane: *Wypłata, data 28/12/12, godzina 09.03, bankomat 392081*. Z samego rana wypłacono z jej konta sumę dwóch tysięcy euro! O tej porze Christine była w gabinecie Guillaumota i wysłuchiwała absurdalnych oskarżeń Cordélii. Z niedowierzania zaparło jej dech, gdy skojarzyła karteczkę ze sceną z filmu, podczas której smarkula przelicza plik banknotów.

Pułapka miała podwójny spust.

Na prześcieradle obok MacBooka leżało coś jeszcze. Pudełko z płytą CD. Wzięła je do ręki.

*Madame Butterfly*. Oczywiście opera.

Zadrżała, przypomniawszy sobie, że jej bohaterka na koniec popełnia samobójstwo. Było to niemal wszystko, co Christine wiedziała na temat opery.

Strach wpełzł do jej klatki piersiowej i wszystkich zakątków mózgu. Czy to właśnie w tym kierunku ją pchają? Potworne wspomnienie: ojciec, który przytula ją tak mocno, że prawie robi jej krzywdę, i jego dziwnie wysoki, przerywany głos, powtarzający bez przerwy: „Och, moja najdroższa, wydarzył się straszny, straszny, straszny wypadek...”.

Dopiero później poznała prawdę: Madeleine się powiesiła.

W wieku szesnastu lat.

Dlaczego to się przydarza akurat mnie? - zastanawiała się po raz kolejny. Czyżby to było Lotto na opak? Zamiast nieoczekiwanego szczęścia, jednego trafienia na kilka milionów, nieoczekiwane nieszczęście?

Zamknęła odtwarzacz wideo i zauważyła, że program pocztowy jest otwarty. Albo raczej, że ktoś go otworzył, kiedy spała. Cholera, przecież zainstalowała kompletny pakiet bezpieczeństwa, wykasowała wszystkie ciasteczka, zmieniła hasło. Jak to się mogło stać? Machinalnie przebiegła wzrokiem e-maile, które przyszły od czasu, gdy ostatni raz sprawdzała skrzynkę. Zauważyła pocztę od weterynarza zatytułowaną „Iggy”, kilka wiadomości ze sklepów internetowych, a następnie jej wzrok zatrzymał się na adresie malebolge@hell.com. Wiadomość nosiła tytuł „OPERA”. Christine wstrzymała oddech i kliknęła w panel dotykowy.

*Mam nadzieję, że lubisz operę, Christine.*

I więcej nic.

Pieprzony świr!

Chwyciła MacBooka oburącz i - w geście wyzwolenia i zemsty - ze wszystkich sił rzuciła nim o ścianę. Zobaczyła i usłyszała, jak urządzenie uderza w mur i spada na podłogę, zepsute, ale prawie nietknięte: MacBooki są solidne.

\*

W małych głośnikach rozległy się pierwsze takty IX Symfonii - lekkie skrzypce, ciemne brzmienie rogów, migocąca harfa. Były one niczym elegijny powiew w lesie w jesienny poranek. Nagle, po potężnym grzmocie tarabanu, rozpętała się burza instrumentów dętych i smyczkowych. Pokoik na poddaszu znowu wypełniał tumult dźwięków. Servaz podniósł oczy znad lektury - nie po to, by na coś popatrzeć, ale żeby lepiej słuchać - ze wzrokiem utkwionym w ścianie - fragmentu, w którym perkusista głuchymi, rytmicznymi uderzeniami zwiastował nadchodzącą tragedię. Mimo że słuchał tego utworu setki razy, nadal czuł we krwi te wybijane młotem uderzenia losu.

Jeśli pewnego dnia jakaś istota pozaziemska wysiądzie ze statku kosmicznego i zapyta, co pięknego stworzyła ludzkość, dam jej posłuchać Mahlera, pomyślał i uśmiechnął się. Miał jednak świadomość, że wobec bezkonkurencyjnej miernoty i banalności obecnych czasów z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że ten argument nie wystarczy i mały zielony ludzik czym prędzej wróci do swojego międzygalaktycznego pojazdu, wcześniej obróciwszy całą ludzkość w pył jednym profilaktycznym i niszczycielskim promieniem. Odesławszy muzykę na drugi plan, znowu skupił się na wydrukowanym tekście. Zawsze było mu trochę trudno czytać na ekranie. Przed powrotem odwiedził mediatekę. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, czego tam szukać, ale ostatecznie znalazł kilka pozycji. I teraz siedział pogrążony w książkach o tytułach w stylu *Manipulatorzy są wśród nas* czy *Molestowanie moralne. Perwersyjna przemoc w życiu codziennym*.

Wynikało z nich, że niektóre spotkania zmieniają życie człowieka na lepsze, a inne mogą go wciągnąć w przepaść, a nawet stanowić śmiertelne zagrożenie. Że są w społeczeństwie jednostki perwersyjne i manipulanci, którzy co dzień łapią w swoje sieci słabych, wrażliwych ludzi, kobiety i mężczyzn, a następnie przejmują nad nimi kontrolę, poniżają ich i niszczą. Czy właśnie to spotkało Célię Jablonkę? Czy kobieta zawarła taką pechową znajomość? Po powrocie Servaz wstukał w wyszukiwarkę internetową słowo Moki i dowiedział się, że blue moki to ryba okoniokształtna żyjąca w Nowej Zelandii, Moki Bar to kawiarnia ze sceną muzyczną w dwudziestej dzielnicy Paryża oraz że terminu „moki” używa się na określenie jednej z form japońskiego haiku. Nie znalazł go jednak ani w książce telefonicznej, ani w internetowym spisie firm. Nie było żadnego Mokiego poza tym jednym w kalendarzu Célii Jablonki...

Podczas lektury Servaz odkrył, że w pierwszym etapie zwanym „wtargnięciem” dręczyciel dąży do przeniknięcia na psychiczne terytorium drugiego, by zachwiać jego punktami odniesienia, relegować jego myśli i zastąpić je swoimi. Potem następuje kontrola i izolacja: od rodziny, od bliskich, od przyjaciół. Jak w sekcie, pomyślał. I jednocześnie oczernianie, upokorzenia, zawstydzanie, mające na celu zachwianie poczuciem tożsamości ofiary, uderzenie w jej samoocenę. Od czasu do czasu każdy może się okazać manipulatorem - Servaz przypomniał sobie kilka sytuacji, kiedy sam zachował się w taki sposób. Jednak jednostka naprawdę zaburzona manipuluje bez przerwy, metodycznie. Apodyktyczny szef usiłujący ukryć własną niekompetencję, toksyczny współmałżonek, nadopiekuńcza matka... Servaz przypomniał sobie zdanie Orwella z książki *Rok 1984*: „Władza oznacza rozrywanie umysłów na strzępy”.

Jeśli ofiara stawia opór, sprzeciwia się, nie reaguje zgodnie z przewidywaniami,

pojawiają się pogroźki, przemoc fizyczna, a kiedy obiektem przemocy jest kobieta - przemoc seksualna, a nawet gwałt, a w najgorszym wypadku morderstwo. Servaz znowu zadał sobie pytanie, czy Célie spotkało właśnie coś takiego. Czy powinien bardziej zagłębić się w tę sprawę, czy traci czas? Kobieta nie była zamężna, ale być może w czasie, gdy to wszystko się działo, miała jakiegoś chłopaka, przyjaciela. Czy został przesłuchany? Akta, które powierzył mu Desgranges, nie zawierały prawie żadnych informacji. Bardzo szybko umorzono sprawę.

Policjant wrócił do lektury.

Według autorów przemoc psychiczna jest zjawiskiem do głębi egalitarnym, wykraczającym ponad podziały społeczne. Sprawcy przemocy w domach i miejscach pracy chodzą po ulicy, ukryci za niegroźnymi maskami ról społecznych. W środowisku pracy molestowanie moralne jest przestępstwem, ale zanim kontrolerzy z inspekcji pracy przystąpią do jakiegokolwiek badania sprawy, każą ofierze udowodnić, że do niego doszło - poprzez zeznania własne i świadków. Otwiera to pole do najbardziej wyrachowanych perwersji, podczas których ofiara przez długi czas jest poniżana, znieważana, poddawana nieustannym napaściom słownym i psychicznym, upokorzeniom w obecności osób trzecich, każe się jej wykonywać sprzeczne ze sobą polecenia. Takie ataki nie są śmiertelne (chyba że ofiara sama postanawia ze sobą skończyć), ale jednostka, która wraca do domu zniszczona, upokorzona i wyczerpana, na zawsze traci szacunek do siebie i energię życiową. Jeśli chodzi o otoczenie zawodowe, to zazwyczaj - z powodu tchórzostwa lub egoizmu - umywa ono ręce. Ale bywa też, że daje się manipulantowi wciągnąć do gry, stygmatyzując brak kompetencji, obniżony nastrój i oczywistą złą wolę ofiary.

W środowisku rodzinnym przemoc psychiczna często skrywa się za maską wychowania. Pewna szwajcarska psycholożka i filozofka mówi o „czarnej pedagogice”, której celem jest złamanie woli dziecka. Międzynarodowa Konwencja Praw Dziecka do maltretowania psychicznego zalicza przemoc słowną, zachowania sadystyczne, poniżanie, odrzucenie emocjonalne, stawianie nadmiernych wymagań, wydawanie poleceń wzajemnie ze sobą sprzecznych lub niemożliwych do spełnienia... Jeśli chodzi o przemoc w związku, sprawca doskonale zna swoją ofiarę, jej słabości i niedociągnięcia: daje mu to znaczną przewagę. Przemoc psychiczna polega w tym wypadku na upokarzaniu, deprecjonowaniu, wzbudzaniu u ofiary poczucia wstydu i utraty zaufania do siebie. „Co się z tobą stanie beze mnie?” Partnerka jest zastraszana poprzez ataki nie wprost: na jej zwierzęta lub dzieci; jest izolowana od dawnych przyjaciół, od rodziców; wszystkie jej linie obrony są metodycznie naruszane przez drobne ataki, aż traci ona wszelki zmysł krytyczny, pograża się w stanie umysłowej konfuzji, traci punkty odniesienia, staje się niezdolna do odróżnienia tego, co

normalne, od tego, co nienormalne. Zaczyna tolerować rzeczy niedopuszczalne... Jest utrzymywana w klimacie nieustannego napięcia i lęku; nigdy nie wie, kiedy ani skąd nadejdzie następny atak. Dręczyciel ma dwa oblicza: dla osób z zewnątrz uśmiechnięte, życzliwe i sympatyczne, a w domowym zaciszu niestałe, groźne i pełne pogardy - tak że ostatecznie to ofiara zostaje przez innych uznana za zaburzoną i aspołeczną, kiedy tylko zdarzy jej się źle zareagować.

Rozwój Internetu umożliwił stalkerom - angielskie określenie neurotycznych dręczycieli - wynajdywanie swoich celów poza środowiskiem rodzinnym i zawodowym. Sieć zdemokratyzowała i tę dziedzinę; nękanie są już nie tylko osoby ze świecznika, takie jak Madonna czy Jodie Foster; każdy może stać się celem każdego. Nękanie uprawiają nawet nastolatki w ramach sieci społecznościowych. Servaz pomyślał o Élise, która przez lata była ofiarą swojego męża. Może powinien jej opowiedzieć o przypadku Célie? Kto wie, może potrafiłaby rozpoznać znajome wątki w skąpym materiale, który otrzymał?

Wstał i podszedł do okna.

Wieczór zapadał nad bezkresem śniegu i drzew pogrążonym w szarówce, która stopniowo przechodziła w nocny granat. Za plecami Servaza rozległo się adagio i ostatnie takty IX Symfonii, w którym skrzypce kończyły swoją partię z poruszającą powolnością, prostotą i ubóstwem. Co za odwaga, co za czułość, co za smutek! Servaz poczuł, jak włosy na jego przedramionach i karku stają dęba. Było tak za każdym razem, gdy zatracił się w tej boskiej muzyce. Czyżby był kompletnie nieprzystosowany do współczesnego świata? Ilekroć włączał któryś z kanałów telewizyjnych w ośrodku, miał poczucie, jakby zanurzał się w kąpieli dzieciństwa, kosztował czegoś obrzydliwego i lepkiego jak cukrowa wata. Ale co tam, ma tyle książek i płyt, że wystarczy mu do końca życia. Pomyślał, co powiedziałby na to Vincent Espérandieu, jego zastępca. Vincent był geekiem. Czytał japońskich autorów, o których Servaz nigdy nie słyszał, grał w gry komputerowe, był oblatany w najnowszych serialach telewizyjnych, słuchał zupełnie innej muzyki i robił wrażenie doskonale kompatybilnego ze współczesnym światem. A przecież było między nimi zaledwie dziesięć lat różnicy.

Myśl o Vincencie doprowadziła go do Charlène. Do tego ciepła i energii, które poczuł na jej widok. Miał świadomość, że ta kobieta działa na niego jak opium, które mogłoby mu przynieść upragnione wyzwolenie i ulgę. Jednak Charlène była także żoną jego zastępcy i przyjaciela oraz matką jego chrześniaka: *Epericoloso sporgersi*.

Wrócił do Célie.

Jeśli w grę wchodziło pchnięcie jej do samobójstwa, Servaz nie sądził, by dręczyciel

zrobił to bezinteresownie. Coś takiego jak morderstwo za darmo nie istnieje. Seryjni zabójcy mordują z powodu impulsów seksualnych, zbrodnie w afekcie są wynikiem zazdrości, morderstwa dla łupu wynikiem chęci zysku; nawet stalker staje się stalkerem dlatego, że w którymś momencie ofiara przyciągnęła jego wzrok: zawsze jest jakiś motyw. A motyw - jeśli Célia Jablonka nie cierpiała po prostu na depresję lub paranoję - był ukryty gdzieś w zakamarkach jej życia.

Symfonia za plecami Servaza cichła, zmierzając ku kodzie - powolnej i tajemniczej jak daniel w lesie, lekkiej i delikatnej jak dym - i wszystko umilkło. Wszystko oprócz ciszy.

## 17.

### STATYSTA

Xanax, Prozac, Stilnox. Dlaczego wszystkie te prochy mają nazwy jak z filmu science fiction? Nazwy, które same w sobie brzmią niebezpiecznie? To pytanie powstało w głowie Christine poprzedniego dnia, kiedy zamglonym wzrokiem spoglądała na nieprawdopodobne nagromadzenie legalnych leków w swojej apteczce, baterię pudełek z czerwonymi paskami, symbolami i ostrzeżeniami, budzącymi równie wielkie zaufanie jak oznaczenia w pobliżu centrali atomowej.

Kochana, ktoś, kto stale musi mieć pod ręką tego typu rzeczy w takich ilościach, koniecznie powinien zastanowić się nad stanem swojej psychiki.

Spojrzała na spoczywającą w zagłębieniu jej dłoni dwukolorową kapsułkę, dużą, jajowatą niebieską tabletkę z podziałką, i małą pigułkę w owalnym kształcie, również z podziałką (żadnej z nich jednak nie podzieliła): antydepresant, lek przeciwlękowy i nasenny, pamiętki z czasów, kiedy demony zajmowały w jej życiu tyle miejsca, że mogła je powstrzymać tylko chemiczna zapora. Christine zastanawiała się, czy nie byłoby dobrze od razu dziesięcio- albo i dwudziestokrotnie zwiększyć dawkę. Potem włożyła wszystkie trzy pigułki do ust i popiła wodą z kubka do mycia zębów. Ręka drżała jej tak bardzo, że połowę wody wylała sobie na brodę. Następnie zwinęła się w kłębek pod kołdrą. Miała wrażenie, jakby jej mózg był pasem startowym dla myśli samobójczych.

Teraz, gdy poranek przyszedł jej z pomocą, Christine nie pamiętała już dokładnie treści tych myśli (pamiętała za to stan półśpiączki, który poprzedził przerażające zanurzenie w sen przypominający czarną otchłań bez życia), ale wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie. Większym niż kiedykolwiek. Po prostu śmiertelnym. Obudziwszy się tego ranka w stanie przygnębienia i z silną migreną, wiedziała, że jeśli nie znajdzie sposobu, by szybko powstrzymać tę rozsypkę, nie dożyje Nowego Roku. Jakie to proste, kochanieńka. Ta myśl zmroziła ją do tego stopnia, że Christine zaczęła szczerkać zębami. A przecież była owinięta w kołdrę i prześcieradło, które zdarła z materaca. Wstała i z kołdrą na ramionach, jak bezdomny na jej ulicy, chwiejnym krokiem ruszyła do salonu. Nie wydawało jej się: w mieszkaniu rzeczywiście było zimno. Musiała nieświadomie zakręcić ogrzewanie.

Włączyła grzejniki na cały regulator i weszła do kuchni. Jej wzrok padł na zegar ścienny i w chwili zaćmienia pomyślała, że powinna się szykować do radia, ale potem w jej pamięci powróciły słowa wypowiedziane przez Guillaumota i ścięło ją z nóg, tak że się



zachwiała. By nie stracić równowagi, oparła się o kuchenny blat.

Zobaczyła pustą miskę Iggy'ego i znowu poczuła cios w brzuch. Rzuciła się do łazienki. Szybko, kapsułka i tabletki...

Czepiając się umywalki, stanęła przed lustrem i zobaczyła przerażenie we własnych oczach. I co teraz? Co teraz będzie? W dłoni trzymała już jajowatą tabletkę i dwukolorową kapsułek. Jednak głos w jej głowie nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Właśnie reagujesz dokładnie tak, jak tego oczekują - zauważył cierpko. - Zachowujesz się zgodnie z ich przewidywaniami.

No i co z tego? - odparowałyby najchętniej. - Co za pieprzona różnica? Masz jakieś rozwiązanie? Nie? To się zamknij!

Spojrzała na tabletki i na razie odłożyła je na brzeg umywalki.

Wróciła do salonu z rozpuszczającą się musującą aspiryną, usiadła na sofie i przez dłuższą chwilę siedziała w bezruchu. Usłyszała odgłosy budzącej się kamienicy, tego starego, słabo wygłuszonego budynku: szum wody w rurach, kroki, odległy dźwięk radia, dudniące głosy rozmów, i uświadomiła sobie, że jest sama. Sama w obliczu niewidzialnego przeciwnika, przebiegłego i znacznie silniejszego niż ona. Kiedy znowu spojrzała na zegar, było ponad godzinę później. Otrząsnęła się, ale nie wiedziała, co robić, dokąd iść ani do kogo się zwrócić. Każda próba reakcji zderzała się z ogromnym zmęczeniem, które odbierało jej siły, a na myśl o kolejnym ataku paraliżował ją lęk. Nie miała już punktów odniesienia, była jak statek, któremu odcięto cumy, dryfujący, nieustannie zagrożony rozbiciem się o skały. O ileż łatwiej byłoby się poddać... Prawda jest taka, że nie mam już żadnego wyboru; straciłam robotę, faceta - i pewnie na tym nie koniec.

Poczuła się zmiażdżona tą prawdą. Ale tymczasem nic ci nie szkodzi się zastanowić - nalegał jednak głos, który przed chwilą odtrąciła.

Posłuchała go. Po pierwsze uświadomiła sobie, że porusza się teraz w świecie diametralnie różnym od tego, który znała do tej pory. Wszystko, co dotąd stanowiło jej życie, było wymiecione jak po przejściu tornada. W tym nowym zdewastowanym i zmienionym nie do poznania świecie obowiązywały inne zasady. Jeżeli chce przetrwać, musi się dostosować. Tylko że ten nowy świat przypomina bagno pozbawione solidnego gruntu, na którym można by się oprzeć. A ona nie ma ani kompasu, ani mapy, które umożliwiłyby jej orientację. Uświadomiła sobie jednak, że istnieje niewielki, wciąż ten sam skrawek twardej ziemi: Cordélia. Myśl, na którą wpadła, zanim zaczęła ją śledzić, ani trochę nie straciła na aktualności: Cordélia musi znać tego lub tych, którzy za tym wszystkim stoją. Christine nie wierzyła bowiem, by to ona była inicjatorką intrygi. To było zbyt dopracowane. Zbyt złożone.

W jaki sposób stażystka mogłaby uknuć taki plan i wcielić go w życie, mając pracę na pół etatu i dziecko na wychowaniu? Motywem działania dziewczyny była bez wątpienia wyłącznie chęć zysku. Ktoś obiecał jej - a może już wypłacił - jakąś okrągłą sumkę.

Druga myśl przeszła jej mózg niczym błyskawica: w jaki sposób zdobyć informacje o Cordélii bez zwrócenia na siebie uwagi tego lub tych, którzy bez przerwy mają ją na oku? Odpowiedź: sama nie zdoła tego zrobić. Jakiś mroczny instynkt podpowiadał jej, że w obozie przeciwnika są przynajmniej dwie osoby - Cordélia i mężczyzna od telefonów - ale mogło ich być więcej. Sama nie da im rady. Zwrócić się o pomoc do kogoś, kto będzie działał zamiast niej. Ale do kogo? Gérald nie wchodził w grę. Ilan - po tym, co się stało - również. To samo dotyczyło jej ojca i matki...

A potem w jej głowie zakiełkował pewien pomysł - pomyślała o dwóch zupełnie nieoczekiwanych kandydaturach, których jej prześladowcy nie mogli znać. Pierwsza z nich znajdowała się wprost pod jej oknami.

Christine poczuła się podniesiona na duchu nieoczekiwaną i paradoksalną radością. Pomysł był tak absurdalny, że tamci nie mogli wziąć go pod uwagę. Pozostawał spory problem: jak przekonać tego człowieka?

Podeszła do okna i spojrzała na mężczyznę siedzącego na skraju chodnika pośród kartonów i worków na śmieci, w których mieścił się cały jego dobytek.

Odwracał głowę to na prawo, to na lewo, lustrując ulicę przenikliwym spojrzeniem. Idealny kandydat. Przypomniała sobie rozmowy, które toczyli. Zawsze wydawał jej się bystrym, spokojnym i rozsądnym człowiekiem o umyśle wyjątkowo żywym jak na jego sytuację.

Możesz mi w takim razie powiedzieć, co taki gość robi na ulicy? - zapytał przekorny głos w jej wnętrzu.

Zamknij się!

Christine zobaczyła, jak mężczyzna uśmiechem dziękuje przechodzącej kobiecie, która wrzuciła monetę do jego koszyka, i jak odprowadza ją oczami. Odwróciła się od okna. Najpierw musi się obudzić. Słaby roztwór podanych środków krążył jeszcze w jej żyłach: miała wrażenie, jakby armia mrówek zmieniła jej mózg w mrowisko.

Prawie lodowaty prysznic dodał jej energii. Wypiła ekstra- mocną kawę i szybko się ubrała. Kiedy wyszła na ulicę, czuła się dziwnie pełna życia. Pozdrowiła mężczyznę siedzącego na chodniku naprzeciwko, a on się jej odkłonił. Ruszyła do najbliższego bankomatu przy place des Carmes. Zbliżając się do urządzenia, dokonała w głowie pośpiesznego rachunku. Maksymalna kwota, jaką mogła wypłacić z karty kredytowej,

wynosiła trzy tysiące euro na trzydzieści dni. Dwa tysiące wybrali poprzedniego dnia jej prześladowcy i Christine przeżyła chwilę strachu, wsuwając kartę do szpary bankomatu. A może wyjęli więcej? Czy urządzenie zatrzyma jej kartę? Nic takiego się nie stało i kobieta z ulgą powitała plik banknotów wypluty przez maszynę. Wstąpiła do piekarni po dwa croissanty; gdy płaciła za nie banknotem o nominale pięćdziesięciu euro, ekspedientka, posłała jej piorunujące spojrzenie. Po powrocie do mieszkania chwyciła notes i długopis i napisała kilka słów na kartce, którą następnie złożyła i wsunęła do kieszeni. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy całkiem jej nie odbiło. Uznała, że nie, napełniła czarną kawą kubek Tupperware i włożyła croissanty do mikrofalówki. Zamknęła kubek pokrywką, przełożyła gorące croissanty do plastikowej torebki i ruszyła z powrotem do windy.

- Proszę, to dla pana - oświadczyła dwie minuty później, podając mężczyźnie jedzenie.

Zobaczyła, jak jego usta przysłonięte szpakowatą brodą rozciągają się w uśmiechu. Odsłonił żółte, krzywe zęby i kilka metalowych pniaków.

- No proszę, jestem rozpieszczany! Prawdziwe śniadanie... - Ton jego głosu zdradzał jednak zdziwienie.

- Jak pan ma na imię? - zapytała.

Rzucił jej zaskoczone i ostrożne spojrzenie.

- Max...

- Max - powiedziała, wsuwając do kieszeni jego płaszcza karteczkę zawiniętą w banknot o nominale dwudziestu euro. - Mogę panu pomóc.... Włożyłam do pana kieszeni karteczkę. Niech pan ją przeczyta tak, żeby nikt nie widział. To bardzo ważne.

Tym razem w oczach mężczyzny malowało się już nie zdziwienie, ale podejrzliwość. Skinął głową bez uśmiechu. Gdy z powrotem przechodziła przez ulicę, czuła na plecach ciężar jego wzroku. Skoro tylko znalazła się w mieszkaniu, podeszła do okna. Mężczyzna spoglądał w tę stronę. Doskonale wiedział, gdzie Christine mieszka. Nawet z tej odległości dostrzegła przenikliwość jego spojrzenia. Wolno uniósł kubek, jakby wznosił toast. Nie spuszczał jej z oczu. I nie uśmiechał się. Po chwili, dopiwszy kawę i połknąwszy ostatni kęs croissanta, położył się i zniknął pod kartonem i kołdrą. Christine pamiętała każde z zapisanych słów:

*Kod wejściowy to 1945. Od ulicy na tyłach budynku są drugie drzwi. Niech pan odczeka godzinę. Potem niech pan wejdzie tamtędy i wjedzie na trzecie piętro. Drzwi po lewej. Mam dla pana robotę. Niech się pan nie obawia, wbrew pozorom to nie jest nic nielegalnego.*

Dopiero wychodząc z pokoju, uświadomiła sobie, że się boi. Czy to rozsądne zapraszać kogoś takiego do siebie? Co właściwie o nim wie? Absolutnie nic. Może być recydywistą, narkomanem na głodzie, złodziejem, gwałcicielem...

Za późno. Podała mu kod.

Zawsze jeszcze może mu nie otworzyć. Podeszła do drzwi i sprawdziła, czy zasunęła rygiel. Wróciła do pokoju. Mężczyzna znowu siedział i spoglądał na jej okno. I na nią. Nie dał żadnego znaku, po którym mogłaby się domyślać jego zgody lub odmowy. Po prostu trwał, obserwując ją z dołu nieprzeniknionym spojrzeniem. Nagle poczuła się bardzo niekomfortowo: musiał ją wziąć za wariatkę.

A co będzie, kiedy mu powiesz, czego od niego oczekujesz... Wracała do okna co pięć minut, coraz bardziej się niecierpliwiając, ale mężczyzna się nie ruszał. Kiedy wyjrzała po raz kolejny po mniej więcej godzinie, zamarła. Chodnik był pusty: mężczyzna opuścił stanowisko. Zesztywniała, gdy ciszę mieszkania rozdarł dźwięk dzwonka. A przecież mężczyzna działał zgodnie z jej wskazówkami,

O mój Boże, jesteś kompletnie szalona!

Zrobiła głęboki wdech. Biegiem pokonała odległość dzielącą ją od drzwi, odciągnęła rygiel i otworzyła.

## 18.

### WERYZM

Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, to że jest bardzo wysoki. Dobry metr dziewięćdziesiąt. I bardzo chudy. Wypełniał całą przestrzeń w progu, stojąc lekko przygarbiony, jak dobry olbrzym w bajkach dla dzieci - a Christine zastanawiała się, czy nie popełnia głupstwa.

A co, myślisz, że mały byłby mniej niebezpieczny?

- Jeśli pani chce, zostanę tutaj - powiedział z szerokim ironicznym uśmiechem na widok jej wahania. - Mogę też zdjąć buty, ale to bym pani odradzał.

Spokojny, kojący głos. Christine poczuła, że jest śmieszna.

- Nie, nie, proszę wejść.

Odsunęła się i mężczyzna ruszył przodem. Poczowała jego zapach: mieszankę kwaśnego potu, brudu, niemytych stóp, a w tle słodkawą, ale intensywną woń alkoholu, która wydobywa się przez wszystkie pory w skórze, nawet jeśli człowiek nie pił od wielu godzin. Być może tam, na ulicy, śmierdział mniej niż jego współtowarzysze, ale w zamkniętej przestrzeni mieszkania jego odór otoczył ją jak chmura acetonu. Christine nie potrafiła powstrzymać radości, że nie ma pięć razy czulszego węchu, jak na przykład mrówka. Zmarszczyła nos i wskazała mu drogę do salonu, idąc w pewnej odległości za nim. Gdy on spokojnie wchodził do pokoju, zwróciła uwagę na grube, zużyte i ubłocone podeszwy jego butów deptające jej podłogę.

- Kawy? - zapytała.

- A ma pani sok owocowy? Fermentowany i destylowany? - zapytał złośliwie głos w jej głowie, ale Christine nic nie powiedziała.

Sięgnęła do lodówki po butelkę i wskazała mu sofę.

- Nie boi się pani bakterii? - zapytał ironicznie, sadowiąc się z wypełnioną w trzech czwartych szklanką. Jego wielka dłoń była niemal równie czarna jak mitenka, a białe paznokcie przypominały jasne kamyki ułożone na bryle węgla.

Patrzyła na jego jabłko Adama przesuwające się tam i z powrotem, gdy mężczyzna pił dużymi łykami, jakby umierał z pragnienia. Nie przejmując się odgłosami, jakie przy tym wydawał, łapczywie wlewał płyn do gardła, a następnie oblizał spierzchnięte wargi zwinnym językiem i zakończył całą operację żartobliwym mlaśnięciem. Kilka kropel soku z mango potoczyło się po jego siwej brodzie. Stał je wierzchem mitenki. Po czym podniósł na nią

blade, lekko zamglone oczy i Christine pomyślała, że kiedyś musiał być przystojny. Pod ciemną skórą i siatką głębokich zmarszczek widać było regularne rysy, prosty nos, dobrze zarysowane usta. Gęste, czarne brwi podkreślały intensywność jego spojrzenia, a siwe włosy opadały na ramiona długimi, brudnymi i skołtunionymi kosmykami, ale całość robiła wrażenie jak obraz przez przypadek znaleziony na strychu, którego piękna można się od razu domyślać po szczegółach ukrytych pod grubymi warstwami sadzy.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Dziękuję za drinka - powiedział. - Ale dla pieniędzy nie zrobię wszystkiego. - Sięgnął do kieszeni wypłamionego płaszcza, wyjął banknot i położył go na ławie przed sobą, obok kładąc bilecik, który napisała. - Jeśli to nic nielegalnego, to po co te wszystkie tajemnice? - W jego głosie nie było wrogości, raczej zaciekawienie i rozbawienie sytuacją. - Czy pani jest wariatką? - zapytał, ponieważ Christine nie odpowiadała.

Kobieta drgnęła. Ton, jakim zostało zadane pytanie, choć swobodny, wskazywał, że mężczyzna oczekuje odpowiedzi.

- Nie, nie sędzę.

- Jak pani na imię?

- Christine.

- No już, Christine. Niech mi pani wyjaśni.

Wypowiedziawszy te słowa, rozsiadł się na sofie i skrzyżował nogi. Christine o mało się nie uśmiechnęła, gdy pomyślała, że mimo brudnych ubrań i długich włosów, które całe wieki nie widziały nożyczek, mężczyzna przypomina jej psychologa.

- Jak pan się tu znalazł? - zapytała, zamiast odpowiedzieć. - Co pan robił wcześniej?

Na chwilę zapadła cisza. Mężczyzna przez moment patrzył na nią badawczo, a potem wzruszył ramionami.

- Nie sędzę, żeby po to mnie pani tu ściągnęła...

- Max, nalegam. Jeśli mam panu opowiedzieć o sobie, muszę najpierw dowiedzieć się więcej o panu.

Znowu wzruszył ramionami.

- To pani problem. Nie mój. Uważa pani, że jestem gotów opowiadać o swoim życiu za dwadzieścia euro? Że na to mi przyszło? Naprawdę myśli pani o mnie w ten sposób? - Po drzeniu jego głosu można było poznać, że czuje się urażony. Że jeszcze chwila, a wstanie i wyjdzie.

- A pan sądzi, że zapraszam do siebie wszystkich bezdomnych? - obiła piłeczkę. - Jak pan myśli, dlaczego otworzyłam panu drzwi, jeśli nie dlatego, że uważam pana za człowieka

godnego zaufania. Nie musi mi pan wszystkiego opowiadać, jeśli się pan krępuje. A zresztą, do cholery, niech pan nic nie mówi, jeżeli pan nie chce. Ja i tak powiem panu, dlaczego pan tutaj jest.

Zobaczyła, że się zawahał, potem jego twarz zastygła.

- Byłem nauczycielem francuskiego - zaczął. - W prywatnej szkole. - Zmarszczył brwi, a z jego płuc wydobyło się westchnienie. - Towarzyszyłem też dzieciom podczas wycieczek weekendowych, z okazji Wszystkich Świętych czy Wielkanocy. W tamtych czasach byłem wierzący. W każdą niedzielę chodziłem na mszę z żoną i dziećmi. Byłem ważnym członkiem wspólnoty, człowiekiem szanowanym, lubianym, miałem dużo przyjaciół. Wiedziała pani, że według niektórych naukowców wiara i zachowania religijne są cechami specyficznie ludzkimi, które nie mają odpowiedników w świecie zwierząt? Ponoć w mózgu istnieją specjalne układy odpowiedzialne za wierzenia religijne.

- Co się stało?

- Świat nauki jest w tej sprawie głęboko podzielony - ciągnął, nie zwracając uwagi na jej pytanie. - Dla niektórych wiara ma podstawy biologiczne. Zwolennicy teorii Darwina uważają, że być może jednostki wierzące zostały uprzywilejowane w drodze doboru naturalnego, ponieważ miały większe szanse na przetrwanie. W ten sposób ludzki mózg na drodze ewolucji stał się bardziej wrażliwy na wszelkie formy religijności, co tłumaczyłoby fakt, że religia i wiara są czymś tak powszechnym. - Zrobił długą pauzę i spojrzał na Christine. - Ja moją wiarę straciłem tego dnia, gdy rodzice pewnego chłopca wnieśli na mnie skargę o niewłaściwe zachowanie wobec ich dziecka. Twierdzili, że pokazałem mu fiuta. Plotka bardzo szybko się rozeszła. To było małe miasteczko. Ludzie gadali. Inni rodzice odpytali swoje dzieci i zaczęli rozpowiadać jeszcze gorsze historie. Na pewno mieli dobre intencje. Z pewnością ich pytania były tak zawile, a ich nacisk i pragnienie dzieci, by zaspokoić ciekawość rodziców, tak wielkie, że odpowiedź nie mogła być inna niż ta, której oczekiwali albo się obawiali. Zostałem zatrzymany. Skonfrontowany z zeznaniami chłopca. Szczegóły nie trzymały się kupy. Wiele szczegółów. Stanowczo zbyt wiele. Przyznał się, że wszystko wymyślił, a ja wróciłem do siebie. Ale to wcale nie był koniec. Zaczęły krążyć tajemnicze e-maile. Ludzie pisali, że w moim komputerze znaleziono dziecięcą pornografię, że podczas wyjść weekendowych masturbowałem się w najlepsze, gapiąc się na dzieci, że starałem się zawsze być blisko, kiedy szły do toalety albo pod prysznic, że zachowywałem się niestosownie nawet wobec własnych dzieci...

Ostatnie słowa uwięzły mu w gardle. Kiedy Christine podniosła głowę, zobaczyła, że oczy mężczyzny zwilgotniały. Pod skórą prawego policzka drgał mięsień. Odwróciła wzrok.

- Według tych, którzy rozpowszechniali i przekazywali sobie te e-maile, fakt, że żandarmeria nie znalazła dowodów, nie oznaczał oczywiście, że niczego nie zrobiłem: chłopiec wycofał zeznania, żeby nie mieć problemów, zachowanie sędziego wobec niego było więcej niż podejrzane, na biednego dzieciaka i jego rodziców wywierano presję, postępowanie zostało zamknięte wyłącznie z przyczyn technicznych... I tak dalej...

Pocił się. Christine pomyślała, że mężczyzna odzwyczaił się już od przebywania w pomieszczeniach.

- To było coś więcej niż podejrzenie. Byłem winien. Zawsze ktoś musi być winien, prawda? Było za dużo plotek, za dużo poszlak, rozumie pani? A więc niedzielni Stróże prawa, zwykli dranie przekonani o swojej racji, ci, którzy tylko czekają na okazję, żeby się na kimś wyżyc, postanowili sami wymierzyć sprawiedliwość. Mieszkaliśmy z żoną i dziećmi w ładnym domu kawałek drogi za miastem, blisko lasu. Nawet to świadczyło przeciwko mnie: uznano, że chcę żyć w izolacji, daleko od ludzkich spojrzeń, z powodu wszystkich tych świństw, które lubię robić. Któregoś dnia, gdy oglądaliśmy telewizję, ktoś rozbił kamieniami szyby w salonie. Dwa dni później wybili inne okna. Raz, drugi, trzeci. Oczywiście ci, którzy rzucali, nigdy się nie ujawniali, słyszeliśmy tylko w środku nocy głosy wykrzykujące moje imię i obrzydliwe epitety. W końcu zaczęliśmy zamykać okiennice, kiedy tylko zapadał wieczór, ale deszcz kamieni nie ustał, słuchaliśmy więc piekielnego dudnienia o metal. Czasem przez kilka nocy z rzędu nic się nie działo, myśleliśmy, że to już koniec, a potem, nagle, o trzeciej nad ranem, wszystko zaczynało się od nowa. Bang, bang, bang, bang! Walenie jak w środku burzy, obelgi, potworne wrzaski... Dzieci oczywiście były przerażone. - Wskazał na swoją szklanę. Christine dołała mu soku. Wypił tak samo łąpczywie jak poprzednio, ale tym razem nie mlasnął. Nie miał nastroju. - Tych zdarzeń było coraz więcej. Otruli nam kota, regularnie przebijali opony, mojej żony nie chciano obsłużyć w aptece, kiedy przyszła po syrop od kaszlu dla małego, i poproszono, żeby więcej nie przychodziła. Przyjaciele zamykali przed nami drzwi. Coraz więcej przyjaciół... Inni przestali odbierać telefony od mojej żony. Albo zawsze znajdowali powód, by się wykręcić od naszych zaproszeń. Niektórzy wprost rzucali słuchawką. Były dni, kiedy wracała z pracy zapłakana i nie chciała mi powiedzieć dlaczego. Zamykała się w swoim pokoju i słyszałem jej płacz, ale zachowywałem się, jakby nic się nie stało, nie pytałem o nic. Za bardzo bałem się odpowiedzi. Moje dzieci zostały wyklęte. Traktowano je jak pariasów. Nie miały już kolegów do zabaw. Bawiły się więc ze sobą, bliźniaki, córka i syn. Tamtej jesieni, kiedy to się stało, miały siedem lat. Siedem lat, wyobraża sobie pani? Czasem z kolei traktowano je, jakby były dotknięte jakąś rzadką chorobą. Kiedy wychodziły ze szkoły, osoby o szlachetnych intencjach



zasypywały je serią pełnych współczucia pytań o zdrowie. Dzieci nie rozumiały, co się dzieje. Moja żona nie miała już odwagi odbierać ich spod bramy szkoły. Czekala na nie w samochodzie na końcu ulicy. - Posłał jej smutny uśmiech. - A potem któregoś dnia spojrzala mi w twarz i powiedziala: „Zrobiles to, prawda?”. Nawet ona w koncu dalas sie przekonac. Rozumie pani: to niemozliwe, zeby tyle osob sie mylilo. Cos musialo sie stac, nie ma dymu bez ognia... Zostawila mnie. Wyjechala z dziecmi. Zaczalem pic. Dyrektor szkoly czekal na jakiegokolwiek potkniecie z mojej strony, zeby mnie zwolnic, on takze byl przekonany, ze nie ma dymu bez ognia. Dom nie byl splacony. Stracilem go. Mieszkalam u ostatniego przyjaciela, jaki mi zostal, a potem nawet on powiedzial: „Musisz sie wyprowadzic”. Nie mam mu za zle, zona powiedziala mu, ze albo ona, albo ja. Obiecal, ze bedziemy w kontakcie, dal mi pieniadze, nalegal: „Dzwon do mnie, kiedy bedziesz chcial”. Nigdy wiecej go nie widzialem, nie szukalem z nim kontaktu. On ze mna tez nie. To byl bardzo dobry przyjaciel, najlepszy, jakiego kiedykolwiek mialam. - Mocno zacisnal powieki, wszystkie zmarszczki zbiegly sie ku ich katickom. Kiedy je otworzyl, znowu byly suche i przenikliwe. - Dobra - odezwal sie zdecydowanym tonem, jakby wlasnie opowiedzial cos zabawnego albo rozrywkowego - dosc gadania o mnie. Czego pani ode mnie chce, Christine?

Ile mogl miec lat? Wygladal mniej wiecej na szescdziesiatke, ale jako czlowiek, ktory spedzil jakis czas na ulicy, mogl miec dziesiec, a nawet dwadziescia lat mniej. Mimo tej przerazajacej historii emanowala z niego jakaś spokojna, zaraзлиwa sila. Christine zastanawiala sie, czy powiedzial prawde, czy rzeczywiscie jest niewinny. Czy tez popelnil chocby czesc czynow, ktore mu zarzucano, i wymyslil te opowiesc. Jak sie tego dowiedziec? Postanowila pojsc na calosc.

- Czy wedlug pana wygladam na osobę niezrównoważoną, niestabilną psychicznie albo znerwicowaną?

- Nie.

- Wiem, że jest pan świetnym obserwatorem. I że nie umyka panu nic, co się dzieje na tej ulicy. Czy kiedyś miał pan wrażenie, że jestem histeryczką albo paranoiczką?

- Nie. W każdym razie nie taką jak niektórzy z pani sąsiadów.

Uśmiechnęła się na te słowa.

- A jeśli panu powiem, że mam powody, żeby sądzić, że ktoś mnie śledzi albo każe mnie śledzić...

- Uwierzę pani.

- Że ktoś obserwuje tę kamienicę...

- To rzeczywiście wygląda poważnie.

- Bo takie jest. Spędza pan czas na ulicy, przed moją bramą - uderzyła. - Chcę, żeby mnie pan informował o każdej osobie, która za często pojawia się na ulicy i interesuje się tą kamienicą. Zrozumiał pan?

- Nie jestem idiotą - odpowiedział dobrotliwym tonem. - Dlaczego sądzi pani, że ktoś kazał panią śledzić?

- To pana nie musi obchodzić.

- Ależ tak, obchodzi mnie. Powiedziałem pani: nie jestem gotów zrobić wszystkiego, byle tylko dostać pieniądze.

Zawahała się. W pewien sposób to wyznanie ją uspokoiło. Jeśli głównym motorem jego działania nie jest chciwość, prawdopodobnie oznacza to, że nie sprzeda swoich usług pierwszej lepszej osobie.

- Świetnie - powiedziała. - Wszystko zaczęło się od anonimu, który sześć dni temu znalazłam w skrzynce na listy.

Wysłuchał jej, nie wtrącając się, od czasu do czasu kiwał tylko głową, nieprzenikniony i cierpliwy. O tak, cierpliwości oczywiście mu nie brakowało: całe dni spędzał na ulicy, czekając na jakiś grosz. Im bardziej jednak zagłębiała się w opowieść, tym częściej widziała, jak mruży oczy z ciekawości i zdziwienia. Chwilami, gdy przytaczała pewne szczegóły, pojawiał się w nich błysk niedowierzania, który jednak prawie od razu znikał. Mężczyzna wiele już w życiu widział.

- Ciekawe - podsumował krótko, kiedy skończyła.

- Pan mi nie wierzy, prawda, Max?

- Jeszcze nie... Ale nie sądzę, żeby pani była wariatką. Ile? - zapytał.

- Na początek sto euro. A potem zobaczymy

- Co zobaczymy?

- Jakie będą efekty.

Uśmiechnął się.

- Sto euro plus coś do jedzenia i jeszcze jedna gorąca kawa: tutaj, od razu.

Christine roześmiała się po raz pierwszy od wielu dni.

- Umowa stoi.

Zmierzył ją uważnym spojrzeniem. Pokręcił głową.

- Christine, nie zna mnie pani, a jednak bez wahania otworzyła mi pani drzwi: mogłem to wykorzystać i okraść panią, zrobić pani krzywdę. Jest pani ładną kobietą. I najwyraźniej bardzo samotną. Dlaczego pani tak zaryzykowała?

Odparła zmęczonym głosem:

- Limit mojego pecha już się wyczerpał, nie sędzę, żeby miało się stać coś jeszcze gorszego. Poza tym znam pana: od tygodni ucinamy sobie pogawędki. Z wieloma znajomymi tyle nie rozmawiam.

Znowu pokręcił głową.

- A gazety? Nie czyta pani o tych samotnych osobach, które wpuszczają do domu ludzi takich jak ja i które nie wiadomo dlaczego kończą życie z gardłem poderżniętym we śnie?

- Jeśli to pana uspokoi, po pana wyjściu zamknę drzwi na klucz - zażartowała. - Nie wierzy pan w to, co mówiłam, prawda?

Szczerą odpowiedź mężczyzny zaskoczyła Christine:

- Na razie widzę przede wszystkim okazję na dość łatwy zarobek. Wywiążę się z mojej części umowy. Potem ocenię, czy powinienem pani wierzyć. I nie będę miał nic przeciwko jakiejś zupie, gorącej kawie czy przekąsce od czasu do czasu. Zgoda?

Przytaknęła. Uśmiechnęli się równocześnie. Christine miała uczucie nagłego porozumienia, jakby przeszedł między nimi delikatny, ciepły prąd. Dobrze jej zrobiło zwierzenie się komuś, kto jej nie osądzał, kto interpretował wątpliwości na jej korzyść. Po raz pierwszy od wielu dni złapała się na tym, że znowu zaczyna mieć nadzieję, i zastanawiała się, czy los wreszcie się odwrócił.

- Zgoda - powiedziała. - Jeśli zobaczy pan kogoś podejrzanego, przyjdzie pan mnie o tym poinformować i opisz go. W międzyczasie jeśli uzna pan, że droga jest wolna i nikt nie obserwuje bramy, postawi pan kubek na monety po swojej lewej stronie. Jeśli natomiast zobaczy pan coś podejrzanego, postawi pan kubek po prawej. Zgoda?

Przytaknął i uśmiechnął się nieznacznie.

- Kubek po lewej: droga wolna; kubek po prawej: niebezpieczeństwo. Mhm, podoba mi się.

Christine nagle pomyślała o czymś i wstała.

- Max, zna się pan trochę na operze?

- Trochę się znam - powiedział, czym znowu ją zaskoczył.

Podala mu płytę, którą znalazła na łóżku.

- Jaki jest związek między *Trubadurem*, *Toscą* i *Madame Butterfly*?

Obejrzał pudełko.

- Samobójstwo - odpowiedział po chwili namysłu. - W *Trubadurze* Léonora wypija truciznę po tym, jak pragnąc uratować Manricę, obiecała swoją rękę Lunie. Madame Butterfly popełnia seppuku, gdy zostaje porzucona przez Pinkertona. A Tosca rzuca się do Tybru z wieży zamku Świętego Anioła.

Zamilkła, uderzona jego znajomością tematu, ale jeszcze bardziej tym, co właśnie usłyszała. Oczywiście. Powinna była się tego domyślić. Komunikat był jednoznaczny

- Max - wyszeptała cicho - widział pan jeszcze kiedyś swoje dzieci?

Milczenie.

- Nie.

## 19.

### TENOR

Wyjęła telefon. Zamierzała zadzwonić do jeszcze jednej osoby. Rzuciła okiem na Iggy'ego i w jej oczach znowu stanęły łzy wzruszenia.

Odebrała psa. Miał teraz wokół głowy śmieszny kołnierz w kształcie lejka, który uniemożliwiał mu zerwanie opatrunku. Tylna łapa, unieruchomiona za pomocą szyny i szerokiego bandaża, była sztywna jak drewniana noga pirata. Wyglądał jak postać zrodzona z wyobraźni rysowników wytwórni Pixar.

Biedne, zdezorientowane i oszołomione zwierzę wciąż się otrzępywało, usiłując pozbyć się narzędzi tortur, a chodząc po mieszkaniu, obijało się o drzwi i narożniki mebli.

- Wiesz, że cię kocham, piesku - powiedziała.

Kundel odpowiedział szczeknięciem, od którego rozplynęło jej się serce. Patrzył na nią błagalnie, jakby myślał: Jak możesz mi robić coś takiego? A gdyby tak poprosić Maksa, żeby go trochę wyprowadzał? Spokojnie, kochana. Nie zapędzaj się. Przecież nie zostawisz mu kluczy, prawie go nie znasz.

Weterynarz zapytał, dlaczego nie odebrała psa wcześniej. Christine wyłgała się problemami rodzinnymi, czuła jednak, że jej tłumaczenia go nie przekonują. Lekarz patrzył na nią podejrzliwie: „Mówi pani, że jak on sobie to zrobił?”. Wcześniej, głosem bladym jak jesienny poranek, powiedziała, że Iggy został potrącony przez samochód po tym, jak zerwał się ze smyczy. W oku weterynarza pojawił się nieprzyjemny, sceptyczny błysk i Christine poczuła, że jej policzki płoną ze wstydu.

Po raz kolejny zastanowiła się nad planem, który dojrzewał w jej głowie. Niczego nie zostawiać przypadkowi. Przewidywać. Obejrzała swój telefon, popatrzyła na klawisz, który zamierzała wcisnąć. A jeśli jest na podsłuchu? Jasne, to wszystko sprawka CIA, staruszko, do spółki z KGB, ach nie, dziś mówi się FSB...

Poczuła się śmieszna, ale od razu w jej głowie pojawiła się myśl, że bycie śmieszną nie zabija - a w każdym razie, że w tego rodzaju sytuacjach jest mniej niebezpieczne niż naiwność. Była w pełni świadoma, że nadaje na coraz bardziej paranoicznych falach, ale cóż, przynajmniej była świadoma, prawda?

Podeszła do okna. Max wrócił na stanowisko. Kubek stał z lewej strony jej nowego sprzymierzeńca: droga wolna. Tym razem nie spojrział na okno. Dokładnie dopasował się do nowej roli. Z pewnością był też rozbawiony obrotem sprawy i zadowolony, że tak łatwo

znalazł źródło dochodów i codziennie ciepły posiłek.

Wskoczyła w dzinsy, trampki, sweter oraz czarną bluzę, której kaptur naciągnęła na głowę, i założyła okulary słoneczne.

Wyszędłszy na ulicę, nie spoglądając w kierunku bezdomnego, ruszyła do najbliższej stacji metra. Już nie sypało, ale poza miejscami regularnie rozjeżdżanymi przez samochody śnieg nie topniał: temperatura była zbyt niska.

Na widok blasku świateł, żywych kolorów i twarzy w metrze trochę zakreśliło jej się w głowie. Usiadła i po kolei przyglądała się wszystkim pasażerom. Młode i stare twarze, w większości nieobecne... Jej uwagę przyciągnął mężczyzna około trzydziestki: spojrzał na nią, kiedy wsiadła do wagonu, a gdy ona popatrzyła na niego, odwrócił wzrok.

Na stacji Palais de Justice Christine wysiadła. Jadąc długimi ruchomymi schodami na powierzchnię, stanęła, odwróciła się i zza zasłony okularów słonecznych patrzyła na tych, którzy znaleźli się za nią. Młodego mężczyzny nie było wśród nich. Kiedy znalazła się na górze, od razu przeszła na schody prowadzące w dół, oglądając się, by sprawdzić, czy nikt nie idzie w jej ślady. Zadowolona chwilę podziwiała gobelin z jednorożcem i wypisanym wielkimi literami hasłem LIBERTÉ, ÉGALITÉ, FRATERNITÉ, po czym pokonała ostatnie stopnie prowadzące na peron i wskoczyła do pierwszego składu odjeżdżającego w przeciwnym kierunku. Wysiadła trzy stacje dalej, na Jean-Jaurès.

Kiedy znalazła się na powietrzu, wmieszała się w tłum między kioskami a słupem reklamowym, minęła karuzelę z drewnianymi konikami i fontannę, przecięła plac Wilsona i ruszyła rue Saint-Antoine-du-T. Weszła do sklepu z telefonami komórkowymi, zdjęła kaptur i okulary i zaczęła, aż jakiś sprzedawca raczy się nią zainteresować. Pięć minut później opuściła sklep z telefonem na kartę prepaid i weszła do najbliższej kafejki.

Wykonawszy slalom między stolikami, usadowiła się w głębi i upewniła, że nikt nie wszedł do lokalu za nią. Numer, pod który zamierzała zadzwonić, znajdował się w książce telefonicznej starego telefonu. Wystukała go na kupionym przed chwilą aparacie i czekała, aż zgłosi się ktoś, do kogo miała się już nigdy nie odezwać.

\*

Po ciele Servaza spływały strumienie potu. Wszystkie mięśnie paliły go tak bardzo, iż sądził, że zaraz dostanie ataku tężyczki. W wyobraźni zobaczył własne zwłoki leżące na bieżni i usłyszał głos elektronicznego trenera: „Wstawaj! Wstawaj! Nie czas na odpoczynek, leniuchu!”.

Przerwał program i sięgnął po ręcznik. Mokry T-shirt kleił mu się do pleców i klatki piersiowej. Płuca wydawały odgłos kowalskiego miecha. Mimo to poczuł przyływ dobrego

samopoczucia. Zaczął się zastanawiać, dlaczego tak długo zwlekał z uprawianiem sportu. Tak naprawdę czekał, aż zostanie do tego zmuszony. Tutaj ćwiczenia były obowiązkowe, podobnie jak codzienna praca: jedno i drugie stanowiło część terapii. Servaz początkowo z dużym oporem nagiął się do tych wymagań, jednak teraz lubił ich rutynowy charakter i korzyści, jakie z nich czerpał.

Na wioślarzu katował się inny pensjonariusz - facet, który za sprawą wieloletniego alkoholizmu miał czerwoną twarz, głos chropowaty jak papier ścierny i wiecznie załzawione oczy. Servaz pomachał mu i zniknął pod prysznicem. Kiedy wychodził ze starego garażu przerobionego na siłownię, zobaczył, jak Élise daje mu znaki z jednego z okien w głównym budynku. Z wilgotnymi włosami, w spodniach od dresu i bluzie z kapturem pośpiesznie przeszedł przez zaśnieżony trawnik.

- Jest do pana paczka - powiedziała, dołączywszy do niego w holu.

Jego wzrok padł na pakunek, który trzymała w ręku. Na chwilę znalazł się z powrotem w Puszczy Białowieskiej. Potem coś w jego głowie przeskoczyło i przypomniał sobie o hotelowym kluczu.

- Martin, wszystko w porządku?

Drgnął. Stał jak słup soli na środku holu.

- Przepraszam.

- Chce pan, żebym otworzyła?

- Nie, w porządku. Zrobię to.

Odebrał od niej paczkę. Spojrzał na pieczętkę poczty. Przesyłkę nadano w Tuluzie, jak poprzednio.

- Dziękuję - powiedział.

Zrozumiała, że woli zostać sam. Skinęła głową, rzuciła mu ostatnie spojrzenie i oddaliła się.

Servaz zaczekał, aż kobieta zniknie, i rozerwał papier. Takie samo sztywne pudełko o wymiarach mniej więcej jednaście na dziewięć centymetrów. Nabrał powietrza. Podniósł wieczko. Zajrzał do środka. Zdjęcie. Najpierw nie rozumiał, co ma przed oczami. Coś jak gigantyczna konstrukcja z klocków meccano, unosząca się na orbicie Ziemi otoczonej aurą w kolorze zimnego błękitu. Duże skrzydła z paneli słonecznych. Białe cylindry, poprzeczki, bulaje. Servaz miał przed oczami fotografię Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Tak, to było to. Podniósł zdjęcie. Pod spodem znalazł coś jeszcze: kawałeczek papieru w kratkę, wyrwanego z notatnika na spirali, i kilka słów napisanych długopisem:

*Jeszcze jedna wskazówka, komendancie. Czas działać.*

Znowu skierował uwagę na zdjęcie. Przypomnił sobie gazetę, którą przeglądał w tamtej kafejce, zanim odwiedził Charlène - artykuł zakreślony długopisem. Tuluza jako ośrodek badań kosmicznych: czy od tej strony powinien szukać? Ale czego szukać? Zastanawiał się chwilę. Najpierw skierowano jego uwagę na pokój 117, w którym popełniła samobójstwo artystka Célia Jablonka, a teraz, w sposób bardzo jasny, na kosmos... Jaki był związek między jednym a drugim?

Wsunął zdjęcie do kieszeni i wyjął telefon.

- Charlène? - odezwał się, gdy odebrała. - Tu Martin...

Cisza.

- Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie w związku z tą artystką, o której rozmawialiśmy.

- Słucham cię.

- Czy przed tą wystawą Célia Jablonka interesowała się kosmosem?

Znowu cisza.

- Tak. To był temat jej poprzedniej wystawy. Dlaczego pytasz? Trafiłeś na coś?

Servaz poczuł znajome mrowienie.

- Czy w trakcie przygotowań mogła kogoś spotkać?

- Jak to: spotkać? Célia w związku ze swoją pracą spotykała się z wieloma osobami, uważała się jednocześnie za artystkę i kogoś w stylu dziennikarki.

- A nie wiesz o kimś szczególnym, o kim by opowiadała?

- Nie. Nie zajmowałam się tą wystawą.

Podziękował jej.

- Martin, jesteś pewien, że wszystko w porządku? Masz... masz dziwny głos.

- W porządku - powiedział. - Ale dzięki, że zapytałaś.

- Dbaj o siebie - odparła. - Całuję cię.

Znowu wyjął zdjęcie i przyjrzał mu się. Podbój kosmosu... Delikatne zagadnienie, na skrzyżowaniu nauki i polityki. Ile osób pracujących w Tuluzie i okolicach ma bliższe lub dalsze związki z tą dziedziną? Pewnie tysiące. A on nawet nie wie, czego szuka.

- No nie, znowu sypie! - odezwał się znajomy głos za jego plecami.

Servaz odwrócił się z uśmiechem. Młody mężczyzna w wymiętej kurtce Burberry, który otrzepywał się w holu, miał lekko pyzată buzię chłopca, który za bardzo lubi słodcyce, kasztanowe włosy opadające na czoło i swobodną minę nastolatka spędzającego czas na siedzeniu przy komputerze, grach i oglądaniu kreskówek. A przecież trzydziestodwuletni



porucznik Vincent Espérandieu był ojcem dwójki dzieci - z których jedno było chrześniakiem Servaza - i mężem jednej z najpiękniejszych kobiet w Tuluzie. Tej samej, do której Servaz przed chwilą dzwonił której niedawno złożył wizytę.

- Cześć - powitał go Vincent.

Ze słuchawek dyndających na jego klatce piersiowej dobywała się szeleszcząca muzyka przypominająca cykanie świerszcza. Espérandieu wyjął z kieszeni kurtki iPhone'a, przejechał palcem z obgryzionym paznokciem po ekranie i wyłączył głos Killersom, którzy właśnie śpiewali *All These Things That I've Done*.

- Charlène mi mówiła, że u niej byłeś i pytałeś o jakąś artystkę, która popełniła samobójstwo. Co to za historia? Masz coś nowego?

Servaz spojrział na niego. Włożył dłoń do kieszeni i wyjął z niej szaroperłowy kartonik, który przed chwilą otworzył. Podał go zastępcy.

- Trzymaj. Mógłbyś rzucić na to okiem? Sprawdzić, gdzie to zostało zrobione i gdzie to sprzedają? W środku jest nazwa producenta.

Mężczyzna zmarszczył brwi i przejął pudełko, nawet na nie nie spojrzawszy.

- Co to ma być, Martin? Polecenie służbowe? Prowadzisz śledztwo? Wracasz do nas?

- Jeszcze nie.

- Dowiadywałem się. Martin, ta sprawa jest umorzona. Orzekli samobójstwo.

- Wiem. Podobnie jak w aferze Alègre'a.

- Ale w przypadku tej dziewczyny sekcję zwłok prowadził Délmas.

- To także wiem. Délmas mówi jasno: według niego to było samobójstwo.

- Rozmawiałeś z Délmasem? - Espérandieu nie krył zaskoczenia - Kiedy?

- Nieważne. A co, jeśli ktoś ją pchnął do samobójstwa?

- Rozmawiałeś z Délmasem? - powtórzył zdezorientowany zastępca. - Co ty tu właściwie robisz?

- A co, jeśli ktoś za tym wszystkim stoi?

- Jak to?

- Nękanie, manipulacja, prześladowanie...

- Masz dowody na to, co opowiadasz?

- Jeszcze nie.

- Co to ma być, do cholery? Śledztwo? Czy ty wiesz, że jesteś na chorobowym? Że nie wolno ci prowadzić śledztwa w żadnej sprawie?

- Przyszedłeś tu, żeby mnie o tym poinformować? Mogłeś to zrobić przez telefon. Nie prowadzę śledztwa. Sprawdzam tylko to i owo.

Espérandieu pokręcił głową.

- Dzięki za powitanie. Jak się masz?

Servaz już żałował, że dał się ponieść. Vincent był jedyną osobą, która wiernie go tu odwiedzała.

- Charlène ci nie mówiła?

- Tak. Powiedziała, że raczej jesteś w formie.

Servaz wolno skinął głową.

- Przepraszam cię, jesteś chyba jedyną osobą, która przychodzi do mnie co tydzień.

- To miejsce nie ma zbyt dobrej opinii wśród glin.

- Ach tak? No popatrz! A to dlaczego? - zapytał ironicznie. - Żarcie jest paskudne, ale poza tym jest tu dość przyjemnie: uprawiamy sport, oddychamy świeżym powietrzem, mamy różne zajęcia, na przykład zamiatanie suchych liści albo gra we współczesnych przedstawieniach. Boją się, że się zarażą, co?

Espérandieu przytaknął.

- Czterdzieści samobójstw policjantów na rok, to uspokaja.

Wskazał na pudełko.

- Co to jest?

- Przyszło dziś pocztą. W środku było to zdjęcie. - Podał Vincentowi fotografię stacji kosmicznej. - A cztery dni temu dostałem magnetyczny klucz hotelowy. W identycznym pudełku. Klucz do pokoju, w którym Célia Jablonka popełniła samobójstwo.

Zauważył, że oczy Vincenta zapłonęły, jakby zapalono w nich tysiącwatową żarówkę.

- A więc dlatego zacząłeś to śledztwo?

Servaz przytaknął.

- Masz jakieś podejrzenia, kto mógł ci to wysłać?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Martin, jeśli to się rozniesie...

- Chcesz mi pomóc czy nie?

- No mów, mów.

- Potrzebuję informacji, czy Célia Jablonka wniosła skargę o nękanie albo czy czuła się zagrożona, czy mówiła o tym bliskim. W aktach nie ma nic na ten temat. A także czy ta dziewczyna miała skłonność do depresji, czy podejmowała wcześniej próby samobójcze. Chcę też wiedzieć, czy takie pudełka są produkowane na szeroką skalę czy sprzedawane w mniejszych ilościach i gdzie.

Espérandieu skinął głową.

- Załóżmy, że się zgadzam, ale nie możesz pojawiać się wszędzie, mówiąc, że jesteś gliną i prowadzisz śledztwo, bo góra w końcu się o tym dowie.

- Góra? - Servaz zrobił posępną minę. - Myślisz, że góra często się tu pojawia? A z tego, co wiem, jeszcze jesteśmy glinami. Podobno jesteśmy jedną wielką rodziną - ostatnie słowo wymówił z sarkazmem. - Jaka jest twoim zdaniem ta rodzina: spójna czy dysfunkcyjna? Chcesz, to ci powiem. Większość przebywających tu glin co najmniej raz włożyła sobie lufę pistoletu do ust. Powiedz, gdzie była góra, kiedy to się działo...

Zobaczył, że Vincent spochmurniał.

- Mimo wszystko nie możesz się tak bezmyślnie w to rzucać.

- On ma rację, szefie.

Servaz odwrócił się w kierunku wyjątkowo brzydkiej twarzy widocznej pod kapturem obszytym sztucznym futrem, która właśnie się pojawiła. Samira Cheung jako jedyna w jego brygadzie śledczej nazywała go szefem. Córka Hongkończyka i Francuzko-Marokanki była także najmłodszą osobą w zespole i z pewnością jedną z najzdolniejszych.

- Przeszłam się po tym ośrodku. Milusio tu, jak w domu pogodnej jesieni...

Servaz nie widział Samiry od kilku miesięcy. Zdał sobie sprawę, że wcześniej musiał przywyknąć do jej brzydoty, bo teraz znowu był w szoku, tak jak pierwszego dnia, kiedy pojawiła się na służbie. Choć, jak większości brzydkich osób, nie brakowało jej pewnego paradoksalnego uroku. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i głośno wysmarkała nos.

- Samira, dlaczego nie wpadłaś do mnie wcześniej?

Wykrzywiła twarz w uśmiechu, który przypominał grymas, i Servaz zobaczył, że się zaczerwieniła.

- Z tego, co mi mówiono, szefie, był pan raczej nie w formie - odpowiedziała przez nos, przy którym ciągle trzymała chusteczkę. - Nie bardzo miałam ochotę oglądać pana w tym stanie. Jest pan dla mnie trochę figurą ojca, za pozwoleniem. Widzi pan, jeszcze nie całkiem rozwiązałam mój kompleks Edypa.

Powiedziała to z humorem i Servaz się uśmiechnął.

- Nie jestem taki stary... czym jestem? Figurą ojca... naprawdę?

- No, w każdym razie coś w tym stylu. Coś jak Mistrz Yoda.

Jej zakatarzony nos miał kolor bakłazana, miała załzawione oczy. Znowu zatrąbiła w chusteczkę.

- Mistrz co?

- To z *Gwiezdnych wojen* - wyjaśnił Vincent.

Servaz spojrział najpierw na zastępcę, potem na Samirę i ostatecznie uznał, że nie musi

rozumieć.

- A to co? - zapytała kobieta, wskazując na zdjęcie w dłoni Vincenta.

Espérandieu powtórzył jej to, co przed chwilą usłyszał. Servaz przyglądał się dwójce współpracowników. Kiedy zaczynali służbę, obydwójce byli obiektami bardziej lub mniej zawołowanych ataków: Samira - rasizmu antyarabskiego lub antychińskiego, Vincent - homofobii, gdyż niektórzy starzy policjanci podejrzewali, że choć ma piękną żonę, pociągają go nie tylko kobiety. Pewnie dlatego, że sposób ubierania się i maniery Espérandieu były mało samcze. Jeśli zaś chodzi o Samirę, to niektórym członkom brygady trudno było przyznać, że dziewczyna wywodząca się z imigracji może być lepszym gliną niż oni.

- Masz jakiś pomysł, co to może znaczyć? - zapytał Vincent, machając zdjęciem, jakby właśnie wyjął je z kuwety z wywoływaczem.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Nie wiesz, czy Célia Jablonka była w jakiś sposób związana ze środowiskiem badaczy kosmosu?

- Według Charfène jej przedostatnia wystawa była na ten temat.

Espérandieu popatrzył na niego. Servaz znał to spojrzenie kolekcjonera, który właśnie zobaczył ciekawy okaz.

- Nie rozumiem, szefie - przyznała Samira, chowając chusteczkę. - Ta dziewczyna popełniła samobójstwo czy nie?

- To niezaprzeczalne, tak samo jak twoje przeziębienie.

\*

Koniec 2010 roku. To przyjęcie było obowiązkowe. Kapitol, Salle des Illustres. Długa galeria przeładowana złoceniami, obrazami i stiukami, modnymi w napuszonym mieszczańskim dziewiętnastym wieku, w której goście tłoczyli się, pozdrawiali i wieszowali sobie, że znaleźli się w tym miejscu. Że wzniesli się odpowiednio wysoko, że mają właściwe koneksje, że są wystarczająco ważni, żeby ich tu zaproszono. Krótko mówiąc, że należą do śmietanki regionu. Oczywiście wszystko to był fałsz. Albo raczej była w tym odrobina prawdy i dużo fałszu. Na przykład te marmurowe kolumny: Christine dowiedziała się któregoś dnia, że tylko cztery spośród nich są autentyczne, reszta to puste słupy pomalowane w taki sposób, by udawały marmur. Trochę jak to zgromadzenie, pomyślała wtedy. Kilka prawdziwych klejnotów, kilka sukien od wielkich projektantów, a reszta to fałszywa elegancja udająca prawdziwy szyk. Podobnie było w wypadku obecnych osobistości. Tak jak wśród popiersi, od których pochodziła nazwa tej galerii, były wśród nich prawdziwe sławy i chwilowe gwiazdki: politycy i prawnicy, architekci i dziennikarze, artyści i sportowcy, ludzie

wpływowi i pasożyty. Christine wiedziała, że ona sama przesadza w swojej roli prezenterki popularnego lokalnego radia. Przeskakuje z tematu na temat, od jednego gościa do drugiego, w razie potrzeby poważna, ale z umiarem, przez większość czasu swobodna i wesoła. Jak motyl...

I, ma się rozumieć - zgodnie z założeniem przyjęcia - w głębi sali zgromadziła się wokół mera cała europejska śmietanka zdobywców kosmosu. Inżynierowie, dyrektorzy, naukowcy... A w roli głównych gwiazd wieczoru kowboje przestworzy. Najlepsi z najlepszych. Uhonorowani większą liczbą dyplomów niż ich sąsiedzi, a jednocześnie męscy jak hollywoodzcy aktorzy. Damskie mierniki atrakcyjności szalały. Christine zauważyła, że część kobiet już patrzy w stronę astronautów, podczas gdy ona zadowalała się oglądaniem malowanego sufitu. Początkowo zwierali szeregi w pobliżu baru, ale wiedziała, że kiedy się rozpięchną, wolne panie (zajęte zresztą też) rzucą się na nich jak chmara szarańczy na pole. To jednak zrozumią: faceci, którzy są w stanie bez mrugnięcia okiem katapultować się w eter uderzeniem w tyłek z siłą czterystu ton, muszą być warcu zachodu. Osobnicy, którzy bez przerwy trenują, są osłuchiwani, badani, oglądani, mierzeni, odbywają setki testów i wizyt lekarskich. Prawdziwi czempioni... Zdolni wytrzymać każde ciśnienie i nawet pod wyrzutnią raketową uśmiech nie schodzi im z twarzy. Takie refleksje snuła z kieliszkiem szampana w dłoni, gdy nagle z zamyślenia wyrwał ją czyjś głos:

- Niech pani nie mówi, że pani też zwraca uwagę tylko na nich.

Odwróciła się i zobaczyła okularnika, którego wygląd rzeczywiście odbiegał od jej wyobrażeń na temat astronauty.

- A pan to kto?

- Gérald Larchet, profesor i badacz z Instytutu Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej.

- W takim razie, Géraldzie, jest pan taki jak ja: zadowala się pan obserwowaniem gwiazd od dołu.

Zostawiła okularnika. Poszła ścisnąć dłonie, całować policzki, prowadzić pogawędkę bez znaczenia, aż znowu usłyszała jego głos.

- Ale za kogo pani się uważa, na Boga!

- Słucham?

- To dla pani normalne, tak zostawiać ludzi?

Robił wrażenie bardzo wzburzonego. Jego oczy miały błyskawice zza szkieł. Swoją drogą oczy miał niczego sobie. Jego złość prawie ją rozśmieszyła. A kiedy przyjrzała mu się bliżej, okazało się, że okulary ją zmyliły. Wyglądało na to, że pod popielatą marynarką i niebieską koszulą kryją się mięśnie. Mężczyzna był wysoki. Miał przyjemne, a nawet prawie

piękne rysy.

- Powinien pan zmienić okulary.
- To kolejna złośliwość?
- Nie, wręcz przeciwnie, komplement.

I tak to się zaczęło. Godzinę później wiedziała już prawie wszystko, co trzeba było wiedzieć na jego temat, na przykład to, że jest kawalerem, a przede wszystkim, że ma prawdziwe poczucie humoru (podczas gdy i w tej dziedzinie na sali, na której raz po raz rozlegały się salwy śmiechu na zawołanie, nie brakowało fałszu). Wiedziała też z całą pewnością, że mu się podoba.

Ale na tym historia się nie skończyła...

Podczas tego samego przyjęcia Christine poznała Léonarda Fontaine'a. Ten był naprawdę piękny jak gwiazdor filmowy. Kowboj przestworzy. A właściwie najsłynniejszy z kowbojów: gwóźdź programu, wizytówka Europejskiej Agencji Kosmicznej. To ona go zahaczyła. By zaprosić go do swojej audycji. Musiała w tym celu przebić się przez horde wielbicieli (których siedemdziesiąt pięć procent stanowiły kobiety). Spodziewała się, że spotka niestrawnego, zadufanego w sobie gościa, ale on był najzwyczajniej w świecie... swobodny. Figura atlety, przyjemna twarz, której uroku dodawały zmarszczki, z całą pewnością sztuczne uzębienie. Pięćdziesiąt pięć lat. Archetyp świetnego faceta. Żonaty, dwójka małych dzieci - dodał głos w jej wnętrzu. A jednak kiedy zaczął ją podrywać, poczuła się mile połączona, a nawet coś więcej.

- Zastanawiała się już pani, dlaczego noc jest czarna, mademoiselle Steinmeyer? - zapytał po chwili. - Gdyby, jak mówią, wszechświat był nieskończony, a co za tym idzie, nieskończona byłaby liczba gwiazd, noc powinna być pełna światła, prawda? Wzrok powinien wszędzie napotykać gwiazdę, gdziekolwiek byśmy spojrzeli... Widzi pani - pociągnął ją w stronę wysokich okien wychodzących na duży plac i wskazał na panującą na zewnątrz grudniową noc - nie powinno tu być ani jednego atomu nocy, ale nieprzerwany dywan gwiazd, czyli światel. To jest paradoks Olbersa. W rzeczywistości, jak pani wie, wszechświat jest skończony: blask większości gwiazd nie zdążył do nas dotrzeć, ponieważ światło porusza się z określoną prędkością, a te gwiazdy nie istnieją jeszcze wystarczająco długo. Drugie wytłumaczenie jest odwrotne: życie gwiazdy jest krótsze niż życie wszechświata, gwiazda także umiera. Christine, wierzy pani w przypadek?

- A pan?

- Przypadek rządzi niepodzielnie na poziomie atomów. Tam wszystko jest możliwe. Ale w skali makro znika.

- A w jakiej skali my się znajdujemy?

- Wybór należy do pani...

Krótki przypływ poczucia winy: ku jej ogromnemu zaskoczeniu zadzwonił następnego dnia, informując, że przyjmuje zaproszenie do audycji, i za jednym zamachem zaprosił ją na kolację. Przespali się ze sobą tego samego wieczoru. Był bardzo śmiały, bezpośredni - i to jej się spodobało. Dobry w łóżku. Pełen wyobraźni. W tym czasie pozwalała Gérałdowi na klasyczne zaloty, bez pośpiechu. Léo miał rodzinę i rzadko był wolny wieczorami. Ich figle odbywały się więc zasadniczo popołudniami w hotelu. Już na wstępie uprzedził ją, że nie zamierza zostawić żony. Był więc wobec niej uczciwy. Przynajmniej wtedy tak sądziła. Teraz uważała, że chodziło raczej o szczyt nieuczciwości: usprawiedliwiał samego siebie, doskonale wiedząc, że jego partnerka cierpi, nawet jeśli akceptuje jego warunki. W ten sposób był wobec siebie w porządku i prowadził grę według własnych zasad. Żadnych niedotrzymanych obietnic, żadnej odpowiedzialności. Na początku czuła się bardziej zakochana w nim niż w Gérałdzie, ale stopniowo szala przeważała na korzyść tego drugiego. Dlaczego więc nie zakończyła tego związku wcześniej? Dlaczego tak długo zwlekała? Prawie dwa lata! Zerwała z Léo dopiero przed miesiącem: kiedy Gérałd dał jej pierścionek zaręczynowy. Zresztą nawet wtedy źle jej było z myślą, że już nigdy nie znajdzie się w jego ramionach, że nie poczuje na swym ciele jego silnych i delikatnych dłoni. Léo to była przygoda, niepewność, uniesienie, ktoś, kto odczuwał nieustanną potrzebę życia na ostrzu brzytwy. Gérałd nie był astronautą, był Ziemianinem. Człowiekiem posiadającym zmysł praktyczny i mniej wygórowane ambicje. Ale ostatecznie właśnie to w nim pokochała: poczucie, że ich miłość nie zagraża wszystkiemu innemu, że nie jest rozszalałą burzą, ale solidnym gruntem, na którym można budować.

Czy Léo mógł stać za tym wszystkim? Oczywiście, że nie. Zadała już sobie to pytanie, ale natychmiast odpowiedziała przecząco. Léo był jednocześnie skrajnym egoistą i człowiekiem nieskończenie zrównoważonym. Poza tym w ciągu tych dwóch lat ani przez chwilę nie czuła, by był w niej naprawdę zakochany. Może właśnie to był ukryty powód, dla którego tak długo zwlekała z zerwaniem. Bo miała nadzieję, podszytą potajemnym apetytem na zemstę, że taki moment nadejdzie: moment, w którym przebije jego skorupę, trafi w jego serce i sprawi, by krwawiło.

Ale ten moment nigdy nie nastąpił.

Co by się stało, gdyby Gérałd się dowiedział, że przez dwa pierwsze lata ich związku Christine spotykała się z innym mężczyzną? Że ciągle go okłamywała i ukrywała przed nim prawdę? Że tuliła się do niego zaraz po tym, jak opuściła ramiona kochanka? Gdy o tym

pomyślała, przeszedł ją dreszcz. Na chwilę ogarnęła ją panika. Przecież Gérald już się od niej odsunął. Na jak długo? - zastanawiała się. To w Géraldzie jest zakochana. To z nim chce spędzić życie. Nawet jeśli na wspomnienie popołudni spędzanych z Léo ciągle jeszcze czuje ciepło w brzuchu.

A jednak - podczas gdy sygnał oczekiwania rozlegał się w jej telefonie - właśnie zamierzała nawiązać kontakt z mężczyzną, którego zaledwie miesiąc wcześniej wyrzuciła ze swego życia.

\*

- Christine? Zmieniłaś zdanie?

W jego tonie nie było rozgoryczenia. Ani zaskoczenia. Pytanie zabrzmiało po prostu jak dobry dowcip. Poczowała ukłucie w sercu na myśl, że Léo może tak swobodnie żartować ze związku, który trwał dwa lata i skończył się zaledwie przed miesiącem, mimo że robił to głosem ciepłym i głębokim. Potem pomyślała, że to jego sposób na poradzenie sobie z rozstaniem. Na przetrwanie go. Że fakt, iż nie okazuje uczuć, nie oznacza, że ich nie posiada.

- Przepraszam - powiedział poważniej. - Ale ze mnie dupek. Co się dzieje, wiewióreczko? Jak się masz?

Przez moment się zawahała. Wiewióreczko. Jedno z przezwisk, jakimi ją kiedyś nazywał. Choć upłynął miesiąc, nie straciło nic ze swojej mocy.

- Léo, muszę się z tobą spotkać. To ważne.

- Masz dziwny głos. Co się dzieje?

Odpowiedziała, że woli o tym porozmawiać sam na sam. Po jego milczeniu odgadła, że jest zaskoczony. Zamknęła oczy. Zmusiła się też, by zamknąć umysł na wątpliwości. Jak zdoła mu wyjaśnić, co przeżyła w ciągu ostatnich dni? W jaki sposób uświadomi mu rozmiar swojego nieszczęścia? Jednak jeśli ktoś mógł jej pomóc, to właśnie on, mężczyzna silniejszy i pewniejszy niż ktokolwiek inny.

- Proszę cię - wyszeptała ledwie słyszalnym głosem.

- Oczywiście - powiedział. - To aż tak poważne?

- Jestem w niebezpieczeństwie, Léo. W śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Zapanowało długie milczenie.

- Gdzie? - zapytał oficjalnym głosem.

- W tym hotelu i pokoju co zwykle, ty zrób rezerwację. Za godzinę.

- Okay. Będę. Christine?

- Tak?



- Nie wiem, co się dzieje, ale zaufaj mi: załatwimy to.

Rozłączyła się. Odczuła ogromną ulgę. Ostatnie zdanie napełniło ją nadzieją. Tak, dobrze zrobiła, że do niego zadzwoniła. Miły dotyk grubej flanelowej koszuli... Zapach cytrynowej wody toaletowej... Poczowała supeł w żołądku i uderzenie krwi właśnie w tamtym miejscu, wzdłuż linii biegnącej do newralgicznego punktu między brzuchem a wzgórkiem łonowym - Léonard Fontaine był lekiem prawie tak samo groźnym jak choroba.

\*

Wychodząc z kawiarni, ponownie założyła kaptur na głowę. Spojrzała w prawo i w lewo. Znowu zaczęło sypać. Z nieba spadały miękkie, lekkie jak puch płatki śniegu. Weszła do znajomego kina i wybrała film, który najprawdopodobniej miał niewielkie szanse na zgromadzenie pełnej sali publiczności, ponieważ nigdy o nim nie słyszała.

- Seans trwa już od pół godziny - zauważyła kasjerka.

- Nie szkodzi - odpowiedziała. - Już to widziałam.

Kobieta wzruszyła ramionami, wzięła pieniądze i podała jej bilet. Christine ruszyła do sali wyściełanym wykładziną korytarzem podświetlonym rzędem świateł umieszczonych nad samą podłogą. Przeszła przez podwójne drzwi i znalazła się w ciemności. Na ekranie całowali się kobieta i mężczyzna. Usiadła z tyłu. Na widowni było jakieś sześć osób. Zajęło jej chwilę, zanim zrozumiała, że film mówi o końcu świata, albo raczej o ostatnim dniu na Ziemi. Nazajutrz dokładnie o czwartej czterdzieści cztery świat miał zniknąć pod wpływem śmiertelnej dawki promieniowania słonecznego. Tymczasem ludzie rzucali się z okien, upijali się na śmierć, palili świece, kochali się... Chico i Skye - mężczyzna około pięćdziesiątki oraz dużo młodsza kobieta - Willem Dafoe i młoda aktorka, której Christine nie знаła - przygotowywali się do wspólnego spędzenia ostatniego popołudnia: chcieli skorzystać z ostatniej okazji na seks. Ironia losu, pomyślała gorzko, co rusz zerkając na drzwi, którymi weszła. Po kwadransie, kiedy była pewna, że nikt jej nie śledzi, wstała i skierowała się do drugich drzwi na dole po prawej stronie ekranu, nad którymi świecił napis: WYJŚCIE. Film był dołujący.

Zgodnie z przewidywaniami korytarz i kilka schodów wyprowadziły ją na prostopadłą uliczkę. Na pustym horyzoncie stał tylko rząd kontenerów na śmieci przysypanych śniegiem.

\*

Zatrzymała się u wylotu uliczki. Wnikliwym spojrzeniem omiotła plac. Potem, z głową w kapturze i rękami w kieszeniach, szybko przecięła skwer i minęła zamrzniętą fontannę, aż dotarła do Grand Hôtel Thomas Wilson.

Przechodząc przez obrotowe drzwi, zdjęła kaptur. Gdy szła w kierunku wind, czuła na

sobie ciężar spojrzeń pracowników obsługi i recepcji. Drzwi otworzyły się na pierwszym piętrze. Ruszyła korytarzem po wykładzinie, która tłumiała odgłos jej kroków.

Stała przed ciemnymi drzwiami z dużym złotym zamkiem magnetycznym. Zapukała dyskretnie. Drzwi pokoju numer 117 otworzyły się niemal natychmiast i Christine weszła do środka.

\*

Znajomy przedpokoik o ścianach wyłożonych boazerią, stojak na bagaż, dwa białe szlafroki na wieszakach, uchylone drzwi do łazienki po lewej stronie. Od razu wszystko rozpoznała. Podobnie jak unoszący się w pokoju zapach czystości i kwiatowego dezodorantu. Léo zamknął za nią drzwi i przyciągnął ją do siebie. Pozwoliła się pocałować, ale szybko wyswobodziła się z jego objęć.

- Léo, proszę...

Trzymała się prosto i sztywno. Odwróciła się i weszła do pokoju. Wielkie łóżko szerokie na sto osiemdziesiąt centymetrów, telewizor LCD, biurko obite czarną skórą, ekspres do kawy, barek, wezglowie łóżka w kształcie złotych rombów, czerwone poduszki, małe chromowane lampki w hebanowych ścianach...

Ile razy tu byli? Trzydzieści? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Co najmniej raz w tygodniu przez dwa lata, oprócz wakacji - to oznaczałoby raczej... około stu randek.

Sto!

Zalała ją fala poczucia winy, gdy pomyślała o tych wszystkich razach, kiedy wśród arcykiczowatych dekoracji leżała w miękkiej pościeli, o wszystkich tych razach, kiedy zdierał z niej dzinsy, gdy tylko przekroczyła próg pokoju, i kiedy pieprzyli się na biurku, na podłodze, na fotelu, na stojąco przy ścianie, w łazience, w drzwiach... I o tych wszystkich razach, kiedy kończyli łóżkowe igraszki, a potem siedzieli przytuleni i pijąc szampana, godzinami opowiadali sobie o swoich małych tajemnicach. Jak zareagowałby Gérald, gdyby się dowiedział? Na tę myśl ścisnął jej się żołądek.

Mężczyzna podszedł do biurka i Christine zauważyła, że zamówił szampana.

- Nie, dziękuję - powiedziała.

- Jesteś pewna? Psiakrew, dziwnie się tu czuję.

Była zdziwiona czułością i nutką skruchy w jego głosie. Przecież Léo nie jest z tych, co oglądają się za siebie. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, dostrzegła nawet w jego oczach błysk czułości. Wyjął butelkę z wiaderka. Zobaczyła, że nalał sobie już wcześniej.

- Nie po to przyszedłam, Léo.

- Christine, rozluźnij się. Porozmawiamy, opowiesz mi, co się dzieje. Tutaj nic ci nie

grozi, okay?

Usiadł na brzegu łóżka z pełnym kieliszkiem. Miał na sobie spraną dżinsową koszulę, rozpiętą na opalonym torsie, z podwiniętymi rękawami, jakby było lato. Na jego szyi wisiał ząb rekina. Léo opowiadał jej, jak kiedyś podczas surfowania na morzu u wybrzeży Afryki Północnej został zaatakowany przez kolenia. Zwierzę rzuciło się na niego, gdy był na szczycie fali. Uderzenie było tak silne, jakby zderzył się z autobusem, szczęki rekina zacisnęły się na jego lewej nodze i ryba usiłowała zaciągnąć go na głębiny. Léo zdołał uczeplić się skał i odegnąć ją kopniakami. Helikopter przetransportował go do szpitala. Christine pamiętała dużą bliznę na jego lewej łydce. Lubiła przesuwając opuszkami palców po wypukłościach zszytego ciała, dostarczało jej to intrygujących odczuć. Ząb na szyi mężczyzny był tym samym, który lekarze znaleźli w jego nodze. Léo był trochę niższy od Géralda, był jednak silniejszy. Mięśnie jego klatki piersiowej i przedramion były dobrze zarysowane. Na tym samym łóżku pokazywał jej zdjęcia, na których siedział z gołym torsem, z klatką piersiową oklejoną elektrodami w otoczeniu armii lekarzy i maszynarii; inne, na których leżał przywiązany do huśtającego się stołu podczas kontroli przepływu krwi do mózgu, czy wreszcie siedział na obracającym się z wielką prędkością fotelu - wszystko to były „tortury”, jakie przechodził w Gwiezdnym Miasteczku w pobliżu Moskwy. To ciało było doskonale działającą maszyną. Podobnie jak jego mózg, który nie wiedział, co to strach. Może dlatego był niezdolny do przeżywania podstawowych emocji. Ale właśnie tego dzisiaj potrzebowała. Rycerza. Nieustraszonego bohatera. Takiego jak z czytań, które pochłaniała jako nastolatka. Postawiła krzesło naprzeciw niego i usiadła. Patrzył na nią, marszcząc brwi.

- Słucham cię - powiedział. - Przez telefon wydawałaś się wstrząśnięta. Wygląda na to, że dalej jesteś... Spokojnie, mam czas.

- Jednak wypiłabym pół kieliszka.

Wstał, by jej nalać. Kiedy był odwrócony plecami, zaczęła mówić - powoli, opanowanym głosem. Zdała sprawozdanie z wszystkiego, co się wydarzyło, tak szczerze i obiektywnie, jak tylko była w stanie. Przez całą opowieść mężczyzna nie reagował. Kiedy po dziesięciu minutach skończyła, gwizdnął. Jego oczy były zasnuwane mgłą, jakby zanurzał się w głąb siebie i wśród swoich licznych doświadczeń szukał czegoś podobnego.

- To mi wygląda poważnie - powiedział w końcu, patrząc na nią z troską.

Wiedziała, że słowo „poważnie” oznacza w jego ustach „groźnie”, „niepokojąco”, a nawet „dramatycznie”. Zapewne tego właśnie słowa użył, kiedy na stacji Mir, na której przebywał z dwoma rosyjskimi kosmonautami, wybuchł pożar spowodowany uszkodzeniem generatora tlenu. Oficjalnie pożar trwał dziewięćdziesiąt sekund. W rzeczywistości walczyli z

ogniem dobre czternaście minut i kabina była pełna toksycznego dymu. Albo kiedy na starzejącej się stacji kosmicznej zdarzyła się pierwsza całkowita awaria zasilania, która pograżyła ich w ciemności, co pociągnęło za sobą niekontrolowane ruchy całej struktury. „Tym razem to mi wygląda poważnie, chłopaki”. Świetnie potrafiła go sobie wyobrazić, jak wypowiada te słowa do rosyjskich towarzyszy bez odrobiny niepokoju w głosie, w momencie gdy groziło im, że zdryfują, na zawsze tracąc zasięg, w ciemną otchłań kosmosu.

- Naprawdę jesteś pewna, że wszystko to wydarzyło się dokładnie tak, jak to opowiedziałaś?

W jego głosie była nuta sceptycyzmu, która nie spodobała się Christine.

- Co sugerujesz? Że jestem mitomanką?

- I jesteś pewna, że nie masz żadnych podejrzeń, kto za tym wszystkim stoi? - zapytał, nie zważając na jej reakcję.

Zawahała się.

- Przez chwilę myślałam, że może ty.

Uniósł brew.

- Ja?

- Mhm. Porzuciłam cię ledwie miesiąc temu, powiedziałam ci, że między nami wszystko skończone, i nagle ktoś próbuje zniszczyć mi życie...

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Christine, chyba tak nie myślisz?

No proszę, jednak udało jej się przebić skorupę: jego głos drżał ze złości.

- Nie, oczywiście, że nie. Léo, nie mam pojęcia. Nie wydaje mi się, żeby Cordélia działała sama, sądzę, że robi to dla kasy, nic więcej.

Wyglądał na zmartwionego.

- W każdym razie to się już posunęło za daleko, zdajesz sobie z tego sprawę? Musisz zawiadomić policję.

- Po tej akcji z listem?

- Tak. Nawet po czymś takim. Nie ma wyboru. Jeśli chcesz, pójdę z tobą.

Zastanowiła się. Co pomyślałyby o niej gliny, gdyby stawiała się u nich w towarzystwie żonatego mężczyzny, który nie jest jej narzeczonym, w dodatku mężczyzny, którego wszyscy od razu by rozpoznali?

- Nie, lepiej, żebyś ze mną nie szedł.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Christine, musisz iść na policję. I tak za długo już zwlekałaś. Prawie straciłaś pracę! I

to, co się stało z twoim psem: ani trochę mi się to nie podoba. To coś o wiele więcej niż zwykle molestowanie. Gdzieś tam na zewnątrz spaceruje ktoś, kto chce twojej śmierci. Kto był już u ciebie w mieszkaniu. Ktoś, kto zrobił krzywdę Iggy'emu.

Zmarszczyła brwi, zmrużyła oczy. Jakby tego nie wiedziała. Nagle żołądek ścisnął jej się ze strachu: ona rozpaczliwie szuka wyjścia z sytuacji, a wszystko, co Léo ma jej do zaproponowania, to wizyta na policji? Jeśli ktoś taki jak on nie widzi innego wyjścia, to jaka nadzieja jej pozostaje?

Musiał wyczuć jej przerażenie, bo położył dłoń na jej dłoni.

- Nie martw się. Znajdziemy wyjście. Trzeba działać metodycznie - ciągnął. - Najpierw przenieś się na jakiś czas do hotelu.

- A Iggy?

- Zabierz go ze sobą. Albo zostaw u kogoś... u rodziców, przyjaciół.

Jakich przyjaciół? - miała ochotę zapytać.

- A może wprowadziłbyś się do mnie na parę dni? - zasugerowała. - Wystarczy, żebyś powiedział żonie, że wyjeżdżasz w interesach.

Wiedziała, że po zakończeniu kariery astronauty Léo ma wypełniony czas. W trakcie występu w Radio 5 sporo opowiadał o tym, jak się przekwalifikował. Przez pewien czas kierował ośrodkiem szkolenia astronautów w Kolonii, w Niemczech. Pracował jako doradca przy projekcie ATV, bezzałogowego statku transportowego, który miał dostarczać zaopatrzenie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Założył własną firmę GoSpace, filię Państwowego Ośrodka Badań Kosmicznych<sup>6</sup>, która organizowała loty paraboliczne na pokładzie Airbusa A300 ZERO-G i której siedziba znajdowała się w strefie przemysłowej portu lotniczego Toulouse-Blagnac. Był też jednym z głównych przedstawicieli ESA, Europejskiej Agencji Kosmicznej - występował przed szeroką publicznością, władzami i na uniwersytetach w obronie lotów załogowych i humanitarnej eksploracji kosmosu.

Rzucił jej ostre spojrzenie.

- Nie, tego nie mogę zrobić. Ale musimy działać. Dobrze, że do mnie przyszedłeś. Komu jeszcze o tym mówiłeś?

Oczami wyobraźni ujrzała swój salon, a w nim Maksa, jego brudne ubrania, niechlujną brodę i tłuste włosy.

- Nikomu. Na obecnym etapie naszego związku Gérald by mi nie uwierzył.

Znowu spojrzał na nią wnikliwie.

---

<sup>6</sup> Centre Nationale d'Études Spatiales (CNES).

- Nigdy się o nas nie dowiedział, prawda?

Pokręciła głową.

- Zrobimy tak - powiedział. - Ty pójdziesz na policję; a ja się zorientuję...

- Zorientujesz się?

- Mam parę kontaktów w policji. Dowiem się, czy inne kobiety w Tuluzie albo okolicach przechodziły przez to co ty, czy potraktowano je poważnie, czy byli jacyś podejrzani... - Wstał, podszedł do biurka, wyrwał kartkę z bloku listowego z logo hotelu i wziął do ręki długopis wsunięty w małe skórzane etui. Wrócił i znowu usiadł na miejscu. - Zaczniemy od wypisania osób, które spotkałeś w ostatnich miesiącach i z którymi miałeś jakieś zatargi. Także tych, wobec których masz choćby cień wątpliwości. Zobaczę, co uda mi się wskórać.

- Jak zamierzasz to zrobić?

Zobaczyła na jego twarzy tajemniczy, marzycielski uśmiech.

- No wiesz, mam sporo znajomości.

Pomyślała chwilę i spontanicznie przyszło jej do głowy kilka nazwisk: Becker, maczystowski dupek kierujący redakcją informacyjną Radio 5, Denise, sąsiadka... Inne osoby... Uświadomienie sobie, że ma więcej wrogów niż przyjaciół wcale nie było przyjemne. Paradoksalnie im lista była dłuższa, tym większej Christine nabierała nadziei: winny musiał na niej być.

- No cóż - podsumował, kiedy skończyli - wygląda na to, że masz dar zjednywania sobie ludzi. Spójrz na te nazwiska. Dam sobie rękę uciąć, jeśli twojego prześladowcy nie ma na tej liście.

Miał rację. Od tego powinna była zacząć! Wystarczyło działać i myśleć logicznie.

- Ale powiedz, jak zdobędziesz informacje o tych ludziach. Chcę wiedzieć.

Znowu ten tajemniczy uśmiech.

- Znam jednego prywatnego detektywa. Jest mi winien pewną przysługę; kilka lat temu wpadł, gdy prowadził nielegalne śledztwo w mojej firmie, ni mniej, ni więcej, tylko wywiad przemysłowy. Został zatrudniony przez konkurencyjną firmę z innego kraju. Przyłapałem go i zamiast posłać do więzienia, zaproponowałem mu deal: on przestanie mnie szpiegować, a ja nie wniosę skargi, ale być może któregoś dnia poproszę go o pomoc. Myślałem, że skorzystam z jego usług w związku ze śledztwem w sprawach, powiedzmy... handlowych, a nie prywatnych. Ale trudno.

Detektyw, zaprzyjaźnieni gliniarze... Tak, dobrze, że do niego zadzwoniła. On zawsze widzi tyle możliwości, nie jest z tych, co załamują ręce. Przez chwilę zastanawiała się, jak na

jego miejscu postąpiłby Gérald, ale przegnała tę myśl. Poczuła, jak zalewa ją fala wdzięczności.

- Rozluźnij się - powtórzył łagodnie. - Będzie dobrze.

Wstał i wziął z jej ręki pusty kieliszek. Nalał szampana i podał jej. Potem stanął za oparciem krzesła i położył dłonie na jej ramionach.

- Odpreż się.

- Léo...

- Co?

- Dziękuję.

Silne i delikatne dłonie mężczyzny zaczęły ugniatać mięśnie jej ramion, tak jak dawniej robiły to często, gdy była zestresowana. Pewnie i precyzyjnie rozluźniały, kawałek po kawałku, spięte mięśnie czworoboczne i mięśnie szyi. Zamknęła oczy. Chciała się zatracić. Poczuła, jak jej mięśnie się rozgrzewają i stopniowo odzyskują elastyczność, jak rozluźnia się jej kark. Podniosła szampana do ust. Był smaczny. Bąbelki uderzały jej do głowy.

- Pamiętasz ten hotel w Neuchâtel, nad jeziorem, apartament na palach? - zapytał. - Rano widać było tylko żagle, ptaki i góry w oddali.

O, pamięta, jeszcze jak... Jeden z niewielu weekendów, które spędzili razem. Promienie słońca odbijające się od jeziora jak blaszki miki, biel żagli i mew, stół ze śniadaniem zastawiony nad samą wodą, która z bryzgiem rozbijała się o pale - a na horyzoncie góry. Chętnie zostałaby tam miesiąc, rok, a nie tylko dwa dni.

- Nalej mi jeszcze - poprosiła.

Nagle naszła ją ochota, by się upić. Wypiła duży łyk, poczuła łaskotanie bąbelków na podniebieniu i języku.

- Brakowało mi ciebie - powiedział Léo.

Złożył pocałunek na jej szyi, co przyprawiło Christine o gęsią skórę. Potem drugi, tuż obok ust. Odwróciła się, lekko rozwarła wargi, a on wsunął między nie język. Poddała się. Ich oddech przyspieszył. Zanim zdali sobie z tego sprawę, stali, a ona miała dżinsy spuszczone do kolan. Wsunął dłoń do jej majtek, a jej cipka natychmiast stała się wilgotna. Rozsunęła uda. Jęknęła, gdy zaczął pieścić ją intensywniej. Miała ochotę poczuć go w sobie, tu i teraz. Zdarła z niego majtki i z miłością chwyciła twarde przyrodzenie. Rozdzielili się, by szybciej się rozebrać, a gdy już byli nadzy, przesuwiała dłońmi po jego bokach, żebrach, plecach, pośladkach, a potem znowu zaczęła pieścić gruby, sztywny i delikatny penis. Kochali się na łóżku, wpuściła go, poruszając się rytmicznie, ich miednice uderzały o siebie. Czy to z powodu siły ich pożądania, sytuacji czy po prostu pośpiechu, było to zbliżenie pozbawione

czułości, zwierzęce i instynktowne. W chwili spełnienia rozpoznała zapach jego skóry, włosów, precyzyjną linię ciała, dokładnie zarysowane mięśnie pleców i kręgosłup pod palcami. Terytorium, które przez długi czas uważała za swoje królestwo. Dzielili je z inną kobietą, ale ona się nie liczyła: jak w czasach królów oficjalna małżonka nie mogła rywalizować z faworytą. Dysząc, przesunęła dłonie z jego boków i łopatek na pośladki i biodra. Przez podwójne okno usłyszała dźwięki dochodzące z placu, głosy i trąbienie klaksonów, a nawet gruchanie gołębia - kontrpunkt dla jej westchnień. Zobaczyła światła lampek w suficie - jak blask małych tajemniczych księżyców - i zamknęła oczy, jeszcze mocniej wyprężając miednicę. Wplotła palce w jego włosy, a on przygwoździł ją do materaca i wytrysnął.

Nagle opadły ją wyrzuty sumienia. Kiedy mężczyzna położył się obok niej, poczuła się zdradzona. Nie przez niego, ale przez samą siebie: przez własne ciało. Christine wstała i weszła do łazienki. Kiedy stamtąd wyszła i sięgnęła po rzeczy, zapytał:

- Dokąd to?

- Idę, nie powinniśmy byli tego robić.

- Co?!

Skończyła się ubierać. Wahala się przez chwilę, nie wiedząc, czy go pocałować, czy coś powiedzieć, ale zrezygnowała z tego i ruszyła do wyjścia.

- Idź na policję! - zawołał za jej plecami. - Christine, słyszysz mnie? Idź na policję!

Zatrzasnęła drzwi. Znalazła się sama na korytarzu. Szumiało jej w głowie.

Wokół niej panowała cisza. Przeszła przez korytarz, przecinając pasma światła i cienia: małe kinkiety na ścianach rozjaśniały panujący półmrok teatralnym blaskiem. Ciąg jednakowych drzwi. Przez głowę przemknęła jej myśl: ile par cudzołóży w tych pokojach? Czy ona też dopuściła się zdrady? Gérald się od niej odsunął, ale czy to zwalnia ją z wszelkiej lojalności? Wyobraziła sobie, jak mężczyzna dowiaduje się, że pieprzyła się z innym zaledwie kilkanaście godzin po ich kłótni. A on?

Może właśnie bzyka Denise.

W windzie poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Zalała ją fala paskudnego, czystego strachu. Strachu przed utratą wszystkiego. Czowała się do głębi nieszczęśliwa. Powinna była wziąć prysznic, ciągle miała w sobie spermę kochanka. Kiedy tylko drzwi kabiny się otworzyły, z krwią pulsującą w skroniach wybiegła na zewnątrz.

Przed windą stał jakiś facet. Wpadła na niego z całym impetem. Jak na mężczyznę był zaskakująco niski, niższy od niej. Miał ogoloną głowę i dziwną twarz - zniewieściałą, pomyślała przez ułamek sekundy - ale kiedy się z nim zderzyła, prawie nie drgnął, a ona o



mało nie przewróciła się do tyłu.

- Prze... Przepraszam - wyjąkała głosem, w którym słyhać było przede wszystkim złość. - Bardzo mi przykro!

Facecik odszedł, uśmiechając się. Zdążyła jeszcze zobaczyć tatuaż, który wystawał mu nad kołnierzem. Matka Boska w aureoli, jak na rosyjskich ikonach. Dziwne, pomyślała, ruszając w stronę wyjścia. Kiedy przemierzała hol i przez obrotowe drzwi wychodziła na zewnątrz, prosto w śnieg, który znowu zaczął sypać, niezwykle widok osiadał w jej pamięci jak obraz ze snu w chwili przebudzenia.

## 20.

### OPERETKA

Policjantka zerknęła na ekran komputera, na ścianę za jej plecami - Christine pamiętała, że wisiał tam plakat z filmu *Chinatown* - na długopis, na swoje paznokcie i na Christine.

- Mówi pani, że znalazła pani mocz na wycieracze. A czy to nie mógł być mocz pani psa?

Jej ton był tak jawnie i bezczelnie sceptyczny, że Christine się najeżyła.

- Nie wierzy mi pani?

- Pytam.

- Nie - odpowiedziała stanowczo.

Kobieta zmierzyła ją wzrokiem i Christine miała wrażenie, jakby od stóp do głów skanowała ją wiązka promieni X.

- Skąd ta pewność?

- Tamtego dnia nie wyprowadzałam psa. A zatem nie wiem, w jaki sposób mógłby...

- Nie wyprowadzała go pani? To gdzie się załatwiał?

- Ma kuwetę na wszelki wypadek, gdyby... gdybym nie miała czasu z nim wyjść. - (Policjantka rzuciła jej surowe spojrzenie).

- Proszę pani, chyba nie będziemy godzinami się nad tym rozwodzić, nie? Wydarzyło się coś znacznie gorszego.

Kobieta zajrzała do notatek na monitorze.

- Tak. Ktoś wszedł do pani mieszkania i zostawił... płytę z muzyką operową. A w dodatku niczego nie ukradł. Ta sama osoba, która zadzwoniła do radia, w którym pani pracuje, oraz na pani telefon domowy. A potem podano pani narkotyk i rozebrano panią u tej młodej kobiety, Corinne Délii, która jest stażystką w Radio 5, a następnie odwieziono panią nieświadomą do pani mieszkania, gdzie obudziła się pani naga. Aha, zapomniałabym: ci ludzie wyciągnęli dwa tysiące euro z pani konta, nie ukradli jednak pani karty bankowej... i, ach tak, podrzucili leki antydepresyjne do pani biurka w pracy, żeby panią skompromitować. - Z ekranu przeniosła wzrok na Christine. Jej spojrzenie było wrogie. Przebijał zeń nie tylko sceptycyzm, ale i złość. Była w wieku między trzydziestką a czterdziestką, na palcu miała obrączkę, a na jej biurku stało zdjęcie jasnowłosego dziecka. - Wygląda pani na wyczerpaną - dodała. - Była pani u lekarza?

Christine westchnęła głęboko. Żałowała, że tu przyszła. Uspokój się. Jeśli teraz

dostaniesz ataku, tylko potwierdzisz to, co i tak już myślą.

- Wydrukowałam e-maile, które do mnie wysłał - powiedziała, kładąc dłoń na papierowej teczce, którą zabrała z mieszkania, kiedy wpadła, by wziąć prysznic. - Chce pani zobaczyć?

Kobieta nie odpowiedziała ani tak, ani nie.

- „On”? Więc jednak chodzi o mężczyznę? Przed chwilą sądziła pani, że stoi za tym stażystka.

- To znaczy... Myślę, że jest ich co najmniej dwoje.

- No, no, prawdziwa konspiracja.

To słowo ją uderzyło. Wiedziała, do czego policjantka zmierza.

- Uważa pani, że jestem stuknięta, tak?

Kobieta znowu nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Wpatrywała się tylko w Christine tajemniczym wzrokiem.

- Niech się pani postawi na moim miejscu.

- A nie powinno być odwrotnie?

- Słucham?

- No, czy nie powinno raczej być tak, że to policja stawia się na m o i m miejscu?

Temperatura spojrzenia policjantki spadła jeszcze o kilka stopni.

- Odradzam pani ten ton.

Christine oparła dłonie na podłokietnikach.

- No cóż. Myślę, że znowu tracę tutaj czas.

- Proszę siedzieć.

To był bez wątpienia rozkaz. Christine nie wstała.

- Kilka dni temu przyniosła pani list rzekomo napisany przez osobę, która informowała, że zamierza popełnić samobójstwo. Okazało się, że poza odciskami pani linii papilarnych na liście nie ma żadnych innych śladów ani pieczętki poczty.

- Tak, myślałam zresztą, że będę przesłuchi... że będę rozmawiać z tą samą osobą, która przyjęła mnie w sprawie listu.

- A dziś mówi pani, że poszła pani do pani Délii i że ona podała pani narkotyk, tak? I że nakręciła kompromitujący filmik, na którym obie jesteście nagie, z oczywistym zamiarem szantażowania pani?

Christine bez przekonania skinęła głową. Co najmniej po raz trzeci odpowiadała na te same pytania.

- List, telefon, pani pies w pomieszczeniu z kontenerami na śmieci, mocz na

wycieracze, ten film... Gdzie tu logika? - zapytała policjantka. - Po co ktoś miałby robić coś takiego? To nie ma sensu.

Kobieta wyjęła z kieszeni kluczyk i pozamykała szuflady biurka. Potem wstała.

- Proszę za mną.

- Dokąd idziemy?

Żadnej odpowiedzi. Policjantka była już przy drzwiach, wyszła, nie odwracając się za siebie. Christine pośpiesznie ruszyła za nią. Uznała, że Léo grubo się pomylił: przyjscie tutaj było błędem.

Ściany z cegły na korytarzu, zakręt. Christine zauważyła mężczyznę siedzącego na betonowej ławce we wnęce oświetlonej blaskiem słońca wpadającym przez przezroczyte luksfery. Następny korytarz. Policjantka szła szybko, pozdrawiając mijanych kolegów.

Minęła kserokopiarkę, zatrzymała się, otworzyła drzwi.

- Proszę.

Niewielkie pomieszczenie bez okna, ściany z cegły, stół i trzy krzesła. Ostre światło jarzeniówki. Serce Christine zaczęło bić szybciej. Kobieta wskazała jej samotne krzesło przy stole.

- Proszę usiąść.

Wyszła, zostawiając ją samą. Pomieszczenie pachniało przemysłowym detergentem. Czuła pulsującą w tętnicach krew. Opuściła ją wszelka odwaga i cała nadzieja, jaką tchnął w nią Léo. Minuty mijały i zachciało je) się sikać. Wierciła się na krześle. Nie było tu lustra fenickiego jak w filmach, ale Christine podejrzewała, że znajduje się w pokoju przesłuchań. Wisząc pośladkami na skraju krzesła, tak by trzymać plecy jak najdalej od metalowego oparcia, zastanawiała się, jacy ludzie przewinęli się przez to pomieszczenie. Do jakich zbrodni mógł się przyznać. Czy zostanie skonfrontowana z Cordélią? Z kimś innym?

Po dłuższym czasie drzwi wreszcie się otworzyły i znowu pojawiła się policjantka w towarzystwie jeszcze jednej osoby: gliniarza poznanego przy poprzedniej wizycie - o okrągłych, wylupiastych oczach, gęstych kręconych włosach, z brzydkim krawatem na szyi. Miał nieprzeniknioną minę i nawet się z nią nie przywitał. Christine uznała to za bardzo zły znak i przełknęła ślinę. Położył na stole jakąś teczkę i zajął miejsce naprzeciwko, na wolnym krześle, po prawej stronie policjantki. Nie spuszczał Christine z oczu.

Zapadła druga, ogromnie krępująca cisza, po czym pan Pudel (Beaulieu, porucznik Beaulieu - przypomniała sobie) wyjął z teczki zdjęcia i podsunął jej pod nos.

- Poznaje pani tę osobę?

Pochyliła się. Szeroko otworzyła oczy. Widok tych zdjęć był dla niej jak policzek. Na

chwilę zapomniała o wszystkim, co znajdowało się dookoła: o ostrym świetle, o glinach, o ścianach z cegły, o zapachu detergentu.

O nie...

Zrobiło jej się niedobrze. Odetchnęła głęboko.

Cordélia.

Zdjęcia zrobione z lampą błyskową i najwyraźniej z bardzo bliska, ponieważ na policzkach i czole widać było blady odbłask. Nie dało się nie zauważyć ponurych szczegółów: lewego oka, które było tak opuchnięte, że prawie zamknięte, obrzmiałego łuku brwiowego i rozległej wybroczyny wokół oka, w kolorze przechodzącym od musztardowego do zielonego i czarnego. Ani nosa, który był dwa razy większy niż zazwyczaj, ani pokaźnego siniaka na prawym policzku, ani rozciętej dolnej wargi... Ani grudek zaschniętej krwi we włosach i lewym uchu. Ani podbródka, który był dosłownie obdarty ze skóry, jakby potraktowano go tarką.

Cordélia została sfotografowana en face i z profilu. Christine przełknęła ślinę. Nie była w stanie oderwać wzroku od zdjęć. Zadrzała. Jeszcze nigdy nie miała przed oczami obrazu tak oczywistej, nieokiełznanej przemocy. Powstrzymała ogarniające ją nudności. Plany, które zaledwie przed dwiema godzinami snuła z Léo, nagle wydały jej się czymś bardzo odległym.

- O Boże! Co... Co jej się stało?

Kiedy podniosła wzrok, trafiła wprost na spojrzenie policjanta.

Mężczyzna pochylił się nad stołem i patrzył na nią intensywnie z odległości zaledwie kilku centymetrów brązowymi wylupiastymi oczami przypominającymi ślepią samogłowa.

- Powinna pani wiedzieć. Przecież to pani to zrobiła, mademoiselle Steinmeyer.

\*

Światłówka zamrugła i krótko zabrzęczała. Nagle Christine zobaczyła nieruchome twarze dwójki policjantów poruszane za sprawą efektu stroboskopowego. Bzzzz-bzzz... Utkwione w niej spojrzenia zniknęły, by po upływie ułamka sekundy znowu się pojawić. Raz, drugi, trzeci. To samo działo się ze zdjęciami Cordélii na stole. Każde mrugnięcie, każda chwila ciemności były jak gwóźdź wbijany w jej ciało. Christine walczyła z ogarniającą ją paniką. Czuła, że na czoło występują jej kropelki potu.

- Cholerna jarzeniówka - powiedział Beaulieu, wstając, a efekt stroboskopowy poszatkował jego ruch.

Podszedł do włącznika. Postukał w plastik. Oczy policjantki na chwilę zniknęły i znowu się pojawiły, wpatrzone w nią bez wyrazu. Mężczyzna wrócił i usiadł. Bynajmniej nie wyglądał już na znużonego wykonywanym zawodem, jak było poprzednim razem. Spojrzał

na koleżankę, a potem znowu zwrócił się do Christine:

- No dobrze. Do rzeczy. Twierdzi, że zapłaciła jej pani, żeby się z nią kochać, bardzo okazałą sumę dwóch tysięcy euro, przyznaje, że się zgodziła, ponieważ strasznie potrzebowała pieniędzy dla siebie i swojego dziecka, a pani, jakkolwiek by było, jest atrakcyjną kobietą, ona zaś bardzo lubi robić to z kobietami. Tak powiedziała. Potem chciała jej pani odebrać pieniądze, mówiąc, że swoje już dostała i że nie ma pani zwyczaju za to płacić. A ponieważ nie chciała oddać i złościła się, pani zaczęła ją bić. Zgadza się?

Słowa rozbrzmiewały w cichym pomieszczeniu, w którym słychać było tylko jarzeniówkę - co prawda już nie mrugała, ale wydawała z siebie słabe pomruki. Absurdalne, nieprawdopodobne słowa...

- To śmieszne. Nic z tego nie jest prawdą.

- Nie udała się pani do pani Délii z własnej inicjatywy?

- Tak, ale...

- Czy kiedy otworzyła drzwi, była naga?

- Tak.

- A pani mimo to weszła?

- Tak.

- Dlaczego?

- Mówiłam już, ja...

- A ten list? Sama go pani napisała, prawda? - włączyła się policjantka.

- Nie!

- A więc jak pani tłumaczy fakt, że znalazł się w pani skrzynce na listy?

- Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Przesłuchaliśmy mieszkańców pani kamienicy. Żaden z nich nie ma pojęcia, kto mógłby być autorem tego listu.

- Wiem, przecież sama...

- Pani sąsiadka - przerwał jej mężczyzna - uważa, że pani jest wariatką. Przyszła pani do niej o trzeciej w nocy, twierdząc, że w jej mieszkaniu jest pani pies. Wtargnęła pani siłą do domu starszych osób. Bez ich zgody przeszukała pani mieszkanie. Przestraszyła ich pani.

Od wibracji jarzeniówki rozboleła ją głowa. A może to ten zapach.

- Ja...

- W rzeczywistości pani pies znajdował się na dnie zsypu ze złamaną łapą, prawda?

- Tak.

- Czy to pani go tam wrzuciła, mademoiselle Steinmeyer? - zapytała policjantka, bardzo

dokładnie wymawiając każde słowo.

Spojrzała na nią zrozpaczona. Że facet traktuje ją jak kryminalistkę, to jeszcze przełknie, ale ona... Czyż kobiety od wieków nie były ofiarami mężczyzn? Czy nie powinny okazywać sobie trochę więcej... solidarności?

- Nie! Był w kontenerze obok szybu.

- Obok czego?

- Obok zsypu.

- Ale przecież powiedziała pani...

- Chwileczkę, ja...

- Nie po raz pierwszy próbuje pani kogoś zawstydzić. Grozi pani...

Podsunał jej zadrukowaną kartkę. E-maile. Christine od razu je rozpoznała:

*Cordélio, nie odpisujesz na moje e-maile, rozumiem, że nie podoba Ci się moje zachowanie. Że jesteś wrogo nastawiona. Cordélio, wiesz, że w moich rękach jest Twoja przyszłość.*

C.

*Cordélio, daję Ci dwadzieścia cztery godziny na odpowiedź.*

- Mademoiselle Steinmeyer, czy to pani jest autorką tych e-maili? - zapytała policjantka.

- Nie!

- Ale przecież zostały wysłane z pani komputera? - zniecierpliwił się mężczyzna.

- Tak, ale to już wyjaśniałam.

- Czy ostatnio została pani zawieszona w pracy z powodu swojego zachowania? - naciskała kobieta.

Nie odpowiedziała. Miała wrażenie, że pod jej stopami otwiera się przepaść.

- Rozmawialiśmy z pani szefem, który jest także szefem Corinne Délii - powiedział mężczyzna.

- ...

- Czy pani nas słyszy? - zapytała kobieta.

- ...

- Jest osiemnasta czterdzieści - powiedział mężczyzna, pocierając powieki. - Począwszy od tej godziny, jest pani zatrzymana.

## 21.

### ANSAMBL

Poza godziną drzemki nad ranem Christine nie zmrużyła oka. Tej nocy zrozumiała, że miasta kryją w sobie rozmaite rodzaje piekieł; ich rozmiary i oblicza są różne, ale główną ich torturą są, jak w zdaniu Sartre'a, ci, którzy je zaludniają. Tej nocy pojęła, że Sartre miał rację, choć na pewno nie miał zielonego pojęcia, co naprawdę oznacza to zdanie.

Jakkolwiek jeden szczegół zgadzał się z tradycją: piekło znajdowało się na dole.

Poprzedniego wieczoru drgnęła, kiedy porucznik Beaulieu wypowiedział rytualne zdanie:

- Jest osiemnasta czterdzieści. Poczawszy od tej godziny, jest pani zatrzymana.

Słuchała, jak przedstawia wniesione przeciwko niej oskarżenia, odczytuje jej prawa, patrzyła, jak wykonuje pierwsze gesty policyjnej liturgii, a następnie dzwoni do prokuratora, gdy tymczasem policjantka opuściła pokój. Mężczyzna zapytał ją między innymi, czy życzy sobie skontaktować się z adwokatem. Pomyślała, że im mniej osób będzie poinformowanych, tym mniejsze ryzyko przecieku do prasy (już sobie wyobrażała nagłówek artykułu: „Prezenterka Radio 5 zatrzymana pod zarzutem użycia przemocy”): wytrzyma jedną noc w celi. Odpowiedziała, że sobie nie życzy, ponieważ nie ma sobie nic do zarzucenia. Wzruszył ramionami i około dziewiętnastej zaprosił, by zechciała mu towarzyszyć, choć w rzeczywistości wcale nie było to zaproszenie. Skierowali się do innej windy, znajdującej się dokładnie naprzeciwko tej, którą przyjechała. Głina przyłożył kartę magnetyczną do czytnika i drzwi kabiny rozsunęły się. Kiedy znaleźli się w środku, powtórzył czynność i winda, wibrując, ruszyła w dół.

Gdy drzwi znów się otworzyły, Christine zadrżała na widok zimnego, szpitalnego wyglądu wnętrza. Skręcili w prawo i od razu znaleźli się w holu z licznymi drzwiami po obu stronach. Przestronna, akustyczna przestrzeń była dość słabo oświetlona. W niektórych celach paliło się światło, inne pogrążone były w ciemności. Zobaczyła ludzi leżących przy samej podłodze z twarzami przy szybie jak szczeniaki w zwierzętarni - i znowu zadrżała. Z całkowicie oświetlonego pomieszczenia po drugiej stronie holu obserwowało ją kilku strażników w mundurach; dwaj z nich wstali, wyszli z akwarium i dołączyli do nich w małym, przylegającym do dyżurki pomieszczeniu, w którym znajdowała się bramka bezpieczeństwa. Nigdzie nie było okien. Podziemie. Christine przełknęła ślinę.

- Cześć - przywitał się Beaulieu. - Przyprowadziłem wam mademoiselle Steinmeyer.



Jak mija wieczór?

- Spokojnie - odpowiedział klawisz. - Ale jest wczesna godzina. Nie przywieźli jeszcze IPM<sup>7</sup>-ów.

Beaulieu dostrzegł niepokój w jej oczach.

- Osób złapanych na pijaństwie w miejscach publicznych - wyjaśnił. - Przypilnujcie, żeby w miarę możliwości miała osobną celę.

Mężczyzna skinął głową, mierząc ją wzrokiem. Pozostali też się gapili, aż Christine się skuliła.

- Zostawiam wam ją - oświadczył Beaulieu. - Do jutra. Dobranoc, chłopaki.

Ostatnie zdanie ścisnęło jej serce. Oparła się chęci, by go zawołać, błagać, żeby zabrał ją na górę, na piętro, nie zostawiał w tej suterenie śmierdzącej brakiem nadziei i administracyjną bezduszością. Miała ochotę krzyczeć, że nie jest jakąś kryminalistką, ale po prostu kobietą, która się boi. Że przyzna się do wszystkiego, byle tylko nie zostawiał jej w tym miejscu.

Kiedy zobaczyła, jak mężczyzna znika w drzwiach windy, zrozumiała, że koszmar dopiero się zaczyna i nikt nie przyjdzie jej z pomocą. Była sama.

- Proszę przejść przez bramkę - odezwał się uprzejmie jeden ze strażników.

Wykonała polecenie. Po chwili podeszła do nich kobieta w mundurze. Przywitała się z mężczyznami i przystąpiła do rewizji osobistej. Przeszukanie było powierzchowne, ale dłonie strażniczki obmacywały ją z tak odrażającym brakiem dyskrecji, że Christine dostała gęsiej skórki.

- Proszę za mną.

Otworzyła drzwi prowadzące do niewielkiego pomieszczenia, w którym znajdował się regał z około czterdziestoma przegródkami. Christine zauważyła, że na górze leżą kaski motocyklowe. Niewysoka, przysadzista funkcjonariuszka sięgnęła po głęboką drewnianą skrzynkę i posuwistym ruchem umieściła ją na stole.

- Proszę zdjąć całą biżuterię, zegarek, pierścionki, bransoletki, kolczyki i pasek i włożyć do pudełka - powiedziała. - A także pieniądze, dokumenty, klucze, komórkę...

Christine robiła, co jej kazano; z każdym odkładanym przedmiotem miała wrażenie, że stopniowo coraz bardziej pozbywa się własnej tożsamości.

Strażniczka zrobiła na głos podsumowanie inwentarza, wpisując wszystko do grubego rejestru, który leżał otwarty na stole. Następnie wzięła do ręki kartkę, otworzyła jej paszport i

---

<sup>7</sup> *Ivresse publique et manifeste.*

napisała: *Christine Steinmeyer, 31/4817*. Wsunęła skrzynkę do jednej z przegródek, zamknęła ją na klucz i przykleiła na wierzchu karteczkę z nazwiskiem.

- Gdzie mam ją umieścić?

Kiedy otrzymała odpowiedź, przeszły przez szklane drzwi i kobieta poprowadziła Christine skąpo oświetlonym długim korytarzem. Cele z fasadami z pleksiglasu w metalowych ramach pomalowanych na szaroniebieski kolor. W środku mężczyźni leżący pod brązowymi kołdrami na niebieskich materacach obciążonych ceratą. Agresywne światło. Christine zmuszała się, by nie patrzeć w ich stronę.

- Hej! Która godzina? - zawołał jeden z mężczyzn, gdy przechodziły. - Cześć laluniu, to twój pierwszy raz, co? Uważaj na tę świntuchę: ona lubi cipki!

Na niektórych spośród wygaszonych cel znajdowały się litery „H.S.”. Cele te miały potężne zamki, a na wysokości pryczy coś w rodzaju szklanego okienka, które prawie wszędzie wyrwane było z zawiasów - jakby trzymano tam rozwścieczone bestie.

Kobieta zatrzymała się dwoje drzwi dalej, przekręciła klucz i szybkim ruchem pociągnęła krótką poprzeczną sztabę. W całym korytarzu rozległ się straszliwy szczęk metalu - więzienny odgłos, jak w kinie. Christine wstrząsnął dreszcz.

- Proszę zdjąć obuwie.

Wykonała polecenie. Kobieta otworzyła szufladę znajdującą się tuż pod pryczą w przedniej ścianie wykonanej z metalu i szkła i umieściła w niej buty.

- Proszę wejść.

Christine weszła do środka w samych skarpetkach, drżąc z zimna na betonowej posadzce. Rozejrzała się po celi: pomieszczenie w kolorze złamanej bieli o powierzchni dwa na trzy metry, betonowa ławka ze ścianką najwyraźniej udająca toaletę. Wszędzie zaokrąglone krawędzie. W głębi, we wnęce, kran. To było wszystko.

- Za chwilę dwójka ludzi przyjdzie po panią, żeby pobrać odciski palców. A na razie niech pani spróbuje odpocząć.

- Zimno tu - zauważyła Christine.

- Przyniosę pani kołdrę. Chce pani coś zjeść?

- Nie, dziękuję.

Nie czuła głodu. Czuła zimno. Strach. Przerazenie. Zobaczyła, jak umundurowana kobieta za szybą podnosi rękę i z góry spadła płócienna stora, całkowicie zasłaniając jej widok. Żadna z cel, które widziała - tych, w których znajdowali się mężczyźni - nie była zakamuflowana w ten sposób. Christine wywnioskowała stąd, że strażniczka wołała nie ryzykować, że jej obecność zakłóci delikatną równowagę podziemia. Kiedy kroki kobiety się

oddaliły, weszła za ściankę. Spuściwszy dżinsy i majtki do kostek, wypróżniła się do dziury. Uświadomiła sobie, że szczeka zębami. Miała ochotę się rozplakać, ale coś w środku jej nie pozwalało. Wróciła na pryczę, otuliwszy się kołdrą. Zamknęła oczy, próbując zamknąć swój umysł na to miejsce, zapomnieć, gdzie jest i w jaki sposób się tu znalazła. Ostatecznie to nie takie straszne. Tu przynajmniej nikt nie może na ciebie napaść. Zobaczysz: za godzinę, dwie będzie lepiej, nawet jeśli nie będzie łatwo zasnąć na tym czymś... Przez następną godzinę wierciła się na twardym, cienkim materacu obszytym ceratą, owinięta w kołdrę, która śmierdziała stęchlizną. Czuła, jak jej żołądek kurczy się z głodu, i żałowała, że odmówiła posiłku.

Po godzinie przyszły po nią dwie osoby, kobieta i mężczyzna, obydwój młodszy od niej, i zaprowadziły ją do pomieszczenia bez okna, oświetlonego jarzeniówką (znajdowało się obok windy; Christine poczuła wielką nadzieję, która w jednej chwili uleciała). Stół, komputer, przeszklona lada i duże urządzenie przypominające biletomat. Za szybą czekał na nią mężczyzna w niebieskich rękawiczkach i maseczce chirurgicznej na twarzy. Kazał jej usiąść, poprosił, by otworzyła usta, i wacikiem zrobił coś, co jak sądziła, było pobraniem próbki DNA; następnie kobieta poprosiła ją o podejście do maszyny i pobrała od niej odciski - najpierw całej dłoni, a następnie każdego z palców z osobna. Mówiła do niej przyjaźnie, jakby chodziło o zwykłą formalność administracyjną. Na zakończenie Christine zrobiono tradycyjną fotkę antropometryczną w kącie pomieszczenia. Kiedy młodzi funkcjonariusze odprowadzili ją do celi, poczuła, że właśnie się stało „to coś”: przeszła na drugą stronę. Nie potrafiła pokonać zniechęcenia i rozpacz, które rozpełzły się po jej wnętrzu. Jej mózg, który do tej pory nie ogarniał rozmiaru sytuacji, wył ze wstydu, zamętu i strachu.

A potem zaczęło się piekło.

Christine miała wrażenie, jakby w podziemiu umówili się dealerzy, sutenerzy, złodzieje, dziwki, pijacy i ćpuni z całego miasta. Jak internauci, którzy spotykają się dzięki zaproszeniu na Facebooku. *Projekt X* na komendzie policji. Napływali nieprzerwanym strumieniem od dwudziestej drugiej do drugiej nad ranem. Panowało wielkie zamieszanie. Christine ucieszyła się, że nikt nie może jej zobaczyć za płócienną zasłoną, bo obłęd narastał z minuty na minutę. I gniew - z jednej strony korytarza na drugą przelatywało przerażające napięcie, jak wiązka cząstek elementarnych w zderzaczach hadronów. Nie mogła zmrużyć oka. Umieszczono ją w przedostatniej jednoosobowej celi; dwoje drzwi dalej znajdowały się większe cele, w których zamykano od czterech do dziesięciu osób. Wrzawa, wściekłość, rozrób: frenetyczny sabat... Około drugiej w nocy pełny jak dworcowa poczekalnia korytarz przerodził się w hałaśliwą, nerwową i podnieconą menażerię: „E, pieprzone psy, wasze matki liżą kutasy w piekle!”

„Hej, lesbo, tu jest zimno jak w psiarni! Nie masz jeszcze jednej kołdry, kochana?“, „Lekarza, wezwać lekarza! Mam ataaaaaak!“, „Proszę pani, proszę pani, tutaj, szybko: źle z nim!“, „Zamknij się, kurwa! Czy ten burdel się wreszcie skończy?“ Tej nocy Christine słuchała przenikliwych, dzikich wrzasków, obłądnych charkotów, potwornych odgłosów walenia pięścią i kopania w pleksi i metal, ponurego śmiechu pijaków, rozpaczliwego szlochu ćpunów, zacepek, kłótni i wyzwisk kurew, języków, akcentów, zatraskujących się zamków, otwieranych i zamykanych drzwi, kroków, nawoływań, dzwonek, krzyków. Z mokrymi dłońmi i płonącym czołem mrugała jak sowa pod niekończącym się prysznicem światła, które bombardowało ją mimo zamkniętych powiek. Miała poczucie absolutnej samotności, smutku, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła. Usiłowała odciąć się od panującej dookoła anarchii, zezwierżenia i wściekłości. Nie potrafiła. W końcu około trzeciej jej organizm zareagował; ogarnęły ją nudności i wymiotowała do dziury, klęcząc za ścianką na podłodze pokrytej przemysłową wykładziną, podczas gdy przybysze z innych cel znowu podnieśli zgiełk. Wstała, otarła spocone czoło i nacisnęła na spust wody, która ochlapała jej ubranie. Tym razem się rozpląkała - najpierw cicho, z obawy, żeby jej nie usłyszeli - a potem coraz głośniej, wstrząsana spazmatycznym szlochem. Wszystkie jej psychiczne bariery puściły.

- Płacz, dziecko, to ci dobrze zrobi - odezwał się łagodny kobiecy głos z sąsiedniej celi.

\*

Obudził ją chłód. W końcu zasnęła na twardym materacu, owinięta w brązową kołdrę, i kiedy usiadła, poczuła mrowienie, jakby tysiące drobnych igiełek wbijało jej się w poobijane plecy i krzyż. Język zeszywniał jej jak kołek i potwornie chciało jej się pić. Zauważyła, że wreszcie zapanowała cisza. W korytarzu znowu było spokojnie. Z cel dobiegało donośne chrapanie i cichy szmer rozmów. A potem znowu szczęknęły zamki i rozległy się odgłosy kroków. Drzwi się otwierały, ludzie budzili się, odchrząkiwali, kaszleli. Trzy minuty później kobieta w mundurze podniosła zasłonę, otworzyła drzwi i podała jej tacę.

- Proszę.

Dwa ciasteczka Speculoos i kartonik soku pomarańczowego.

- Dziękuję - powiedziała mimo wszystko.

Funkcjonariuszka spuściła zasłonę i przeszła do następnej celi. Christine patrzyła na śniadanie, które w innych okolicznościach odsunęłaby od siebie z obrzydzeniem. Teraz jednak żołądek skręcał jej się z głodu. Od poprzedniego dnia nic nie jadła. Rzuciła się na kartonik. Jej szczęki były tak zeszywniałe, że przy pierwszych łykach miała wrażenie, jakby wbijały się w nie igły. Kiedy skończyła, jej pragnienie i głód zamiast się uspokoić, wzmożyły się dziesięciokrotnie.

Godzinę później, kiedy znowu drzemała, jeszcze raz podniosła się zasłona i zgrzytnął zamek.

- Proszę za mną.

Kobieta poprowadziła ją korytarzem. Beaulieu czekał przy przeszklonej dyżurce strażników.

- Dzień dobry - powiedział, wchodząc za nią do pokoju z depozytem. - Niech pani zabierze swoje rzeczy, mademoiselle Steinmeyer. Proszę sprawdzić, czy wszystko jest, i napisać: „Depozyt odebrałam w całości”, o, tutaj.

Umundurowana kobieta otworzyła przegródkę, wyjęła skrzynkę i postawiła ją przed Christine na stoliku. Christine poczuła, że jej serce na powrót napełnia się nadzieją jak dętka, w którą pompuje się powietrze. Zapięła zegarek wokół nadgarstka, włożyła pasek, wyjęła swoje papiery i resztę rzeczy. Jedną po drugiej. Drżącą ręką. Kiedy ruchem przerywanym jak zapis sejsmografu nagryzmoła na kartce krzywe litery, nie poznała własnego pisma.

- Proszę za mną - powiedział Beaulieu.

Kiedy wszedł przed nią do windy, znowu poczuła nadzieję. Jadąc na górę, czuła się jak nurek, który zerwał więzy trzymające go na dnie i który jednym odbiciem, z prawie pustą butlą tlenową, w ostatniej chwili dopływa do powierzchni. Nigdy wcześniej nie sądziła, że zwykła winda może do tego stopnia uosabiać wolność. Nagle zmroziło ją na myśl, że policjant ją przesłucha i odwiezie z powrotem na dół. O nie, litości. Uświadomiła sobie, że jest gotowa przyznać się do czegokolwiek, byle tylko nie wracać do tego piekła. Nie była jednak naiwna. Gdyby się przyznała, byłoby jeszcze gorzej. Znacznie gorzej.

Wyszli z windy i Beaulieu poprowadził ją nie do sali przesłuchań, lecz do swojego gabinetu. Wskazał jej krzesło. Usiadła z taką błogością, jakby zapadała się w mięciutki fotel w jakimś luksusowym hotelu.

- Ma pani szczęście, mademoiselle Steinmeyer - powiedział, także siadając.

Nie odpowiedziała. Wszystkie zmysły trzymała w pogotowiu.

- Wychodzi pani. Koniec zatrzymania.

O mało nie poprosiła, żeby powtórzył.

- Corrine Délia wycofała skargę.

Najwyraźniej był tym zmartwiony. Christine się zastanawiała, czy mężczyzna żartuje, czy jest to jakiś rodzaj tortur psychicznych, podobnie jak symulowane egzekucje zakładników, którym wcześniej zawiązuje się oczy. Nie wierzyła własnym uszom. Serce trzepotało jej w piersi.

- Próbowałem ją od tego odwieść, ale nie chciała o niczym słyszeć - powiedział

policjant surowym tonem. - Uważa, że ponosi część odpowiedzialności za powstałą sytuację i że ta lekcja jest dla pani wystarczająca. Naprawdę ma pani szczęście. Ale niech pani nie zapomina, że mamy panią na oku.

Jego wylupiaste oczy wciąż były tak samo niezyczliwe. Wziął z biurka jakąś kartkę i podał jej.

- Proszę, to jest lista psychiatrów, którzy mogą pani pomóc. A teraz wybaczy pani, ale mam robotę.

Wstał, by odprowadzić ją do windy, którą uruchomił swoją kartą. Kiedy drzwi miały się zamknąć, pochylił się, a gdy znalazł się całkiem blisko niej, powiedział cicho:

- Jedna rada. Mam cię na oku. Więc mnie nie drażnij, ślicznotko. I zniknij.

To skrócenie dystansu i groźba były dla niej jak policzek. Na miękkich nogach cofnęła się w głąb kabiny. Miała w głowie tylko jedną myśl: wyjść stąd.

\*

I tak w mroźny poranek pod koniec grudnia - gdy wokół panował mróz, jakiego Tuluza nie pamiętała od wieków - Christine powlokła się do najbliższej stacji metra. Była zawstydzona, winna, nieszczęśliwa i przerażona. Pies zamknięty w schronisku, porzucony przez właścicieli z powodu przeprowadzki po latach wygód, smacznych posiłków, głaskania i pieszczot dzieci, nie miałby smutniejszej miny. Zaczekała na metro i kiedy tylko znalazła się w środku, usiadła, nie rozglądając się dookoła. Był typowy wczesny niedzielny poranek i w wagonie nie było dużo ludzi. Utkwiwszy wzrok w szybę naprzeciwko, Christine próbowała przywołać jakieś miłe wspomnienie, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Sądziła, że zdoła stawić opór, walczyć, ale musiała ulec wobec oczywistej prawdy, że to daremny trud. Rozpacz zaczynała właśnie przejmować kontrolę nad jej umysłem, bezlitośnie zwyciężać w tej bitwie, której finał - teraz zdawała sobie z tego sprawę - mógł być dla niej fatalny.

Kiedy wyszła na powierzchnię, pośliznęła się na oblodzonym chodniku i boleśnie skręciła kostkę, ale nawet nie zakłęła. Wyczerpanie odbierało jej wszelką chęć buntu. Zauważyła swojego anioła stróża śpiącego z dłońmi zaciśniętymi w pięści na kartonach i aż ją zatkało z wściekłości. Ładny mi ochroniarz! Na tę myśl zachichotała ponuro, bez poczucia humoru, a potem uświadomiła sobie, że przecież nie mógł czuwać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Przeszła przez ulicę, ujęła go za ramię i lekko potrząsnęła. Miała potrzebę porozmawiać z kimś o tym, co się wydarzyło, a on świetnie się do tego nadawał. Ostatecznie okazał się przecież bardziej uważny i przenikliwy niż wszyscy inni. Ale mężczyzna się nie poruszył. Jeszcze raz nim potrząsnęła. W odpowiedzi usłyszała donośne chrapnięcie, a kiedy otworzył

usta i odsłonił żółte zęby, buchnął na nią alkoholowy smród, jakby ktoś odkorkował beczkę z winem, tak że się odsunęła. Pił... Był pijany! Ten drań wziął jej pieniądze i od razu je upłynnił! Wcale nie miał zamiaru wywiązać się ze swojej części umowy. Ukąszenie zdrady było bolesne. Zataczając się, Christine ruszyła do kamienicy.

W mieszkaniu zastała taki chłód, że zastanawiała się, czy ktoś nie wszedł do środka i nie zakręcił ogrzewania. Na odpowiedź nie musiała długo czekać: z salonu dochodziła muzyka, dwa kobiece głosy splecione jak liany, owijające się wokół siebie, przejmujące... Odsunęła Iggy'ego, który człapał żałośnie z głową w plastikowym lejku, ale ujrawszy ją, radośnie zamerdał ogonem. Znała ten kawałek. To była *Lakmé*, „duet kwiatów”.

Sięgnęła po pudełko leżące na ławie. Znowu opera.

Był tutaj...

Wstrząsnęło ją przerażenie. Zdezorientowana, zachwiała się i zrobiła krok w tył. Muzyka wzbierała, wypełniając mieszkanie aż po najmniejsze zakamarki.

W Christine natomiast dochodziło do głosu nowe uczucie.

Niszczycielski gniew. Jakby w wyniku reakcji łańcuchowej reaktor jądrowy w jej wnętrzu osiągnął masę krytyczną. Jej oczy zasnuły się mgłą i wściekłość zapłonęła równie błyskawicznie jak warstwa suchych sosnowych igieł pod wpływem odrobiny żaru. Ruszyła do przodu, chwyciła oburącz miniwieżę i uniosła ją z gniewem, jednym szarpnięciem wyrwijąc przewody z gniazd i przerywając dwugłosowy lament. Dając upust swojej wściekłości, zamachnęła się i rzuciła urządzeniem przez pokój, tak że eksplodowało z hukiem i błyskiem oślepiającej bieli, roztrzaskując się o przeciwległą ścianę. Wrzeszczała przy tym:

**CZEGO WY CHCECIE ODE MNIE? WALCIE SIĘ! PIEPRZONE DRANIE!  
WAAAAAALCIEEEE SIĘ!**

\*

Servaz żałował, że jest niedziela. Chciał zadzwonić w kilka miejsc, spotkać się z paroma osobami. Może zresztą wcale nie miał aż tak dużo do roboty. Ale od zawsze nie znosił niedziel.

Szedł przez ośnieżony las aleją wśród powyginanych dębów i grabów. Żółte i czerwone liście pod jego nogami mieszały się ze śniegiem. Kiedy był dzieciakiem, zimowe niedziele były najgorsze. W domu nie mieli telewizora: ojcowski zakaz. A komputerów jeszcze nie było. Jeśli akurat nie odwiedzili go koledzy, wahał się żałośnie od pokoju do pokoju - szaro na zewnątrz, szaro w środku - gdy tymczasem jego ojciec, nauczyciel literatury, zamykał się ze swoimi książkami, a matka przygotowywała lekcje na następny dzień. Te ponure zimowe

niedzielne popołudnia na zawsze pozostawiły w nim posmak samotności i nudy - dwóch największych wrogów człowieka.

Chodząc po lesie, zastanawiał się nad znaczeniem wskazówek, jakie przesłał mu tajemniczy nadawca. Pokój 117 i stacja kosmiczna... Célia Jablonka, zanim się zabiła, przez pewien czas miała kontakty ze środowiskiem zajmującym się badaniem i eksploracją kosmosu. Niech będzie. Ale co te dwa fakty mają ze sobą wspólnego? Najwyraźniej jego anonimowy informator wie o kilku rzeczach. Dlaczego w takim razie po prostu nie przekazuje swojej wiedzy Servazowi? Dlaczego się nie ujawnia? Boi się o siebie? Nie może tego zrobić bez łamania tajemnicy zawodowej? Zastanowił się nad tą myślą. Adwokat? Lekarz? Jakiś inny glina?

Nic nie przychodziło mu do głowy. Czyżby wyszedł z wprawy? Dedukcja, konstrukcja, sporządzanie planu, ekstrapolacja - to podstawowe operacje, ale rzecz polega na tym, by zawsze posunąć się odrobinę dalej, o jeden maleńki krok... Wiedział, że jego zainteresowanie tą sprawą zrodziło się z nudy, która była efektem braku aktywności. To jego wewnętrzne dziecko pragnęło tego śledztwa. Podobnie jak wtedy, gdy z kolegami wymyślali jakieś tajemnicze opowieści na temat mieszkańców okolicy, swoiste ozdobniki, w które ostatecznie zaczynali wierzyć na podstawie istniejących bądź nieistniejących przesłanek. Czyżby teraz znowu to robił? Czyżby się oszukiwał?

Jeden maleńki krok dalej...

Stacja kosmiczna: przestrzeń, gwiazdy, astronauty (czy w tym kraju nie nazywa się ich *spationautes*)... Artystka samobójczyni, chora na paranoję... albo nie. Odrobinę dalej... Wiedział, od czego powinien zacząć - i w jaki sposób: tak, jakby prowadził śledztwo w sprawie morderstwa, a nie w sprawie samobójstwa. Od tego należało wyjść. Etap pierwszy: rodzice...



## 22.

### LAKME

Potrząsała nim tak długo, aż się obudził. Rozejrzał się nieufnie dookoła, a rozpoznawszy ją, szeroko otworzył oczy.

- Christine? Co pani tu robi? Która godzina?

Połowę twarzy miał zasłoniętą kołdrą, jak Beduin, a resztę ciała zagrzebaną w kartonach. Wzrok Christine padł następnie na chodnik i kobieta się wzdrygnęła: kubek stał po prawej stronie.

- Najwyższy czas, żeby się trochę ruszyć - odpowiedziała, a z jej ust uniósł się obłoczek pary. Czekam na pana u siebie. Za pięć minut. Będzie kawa.

- Naprawdę kiepsko pani wygląda - zauważył, kiedy mu otworzyła. - Ale zimnica! Nie miałbym nic przeciwko misce gorącej zupy.

Ruszył do salonu, jakby był tu stałym gościem, i Christine powstrzymała się, żeby się nie skrzywić. Patrzyła, jak siada na sofie w płaszczu uwalanym u dołu błotem i śniegiem. Z jednej kieszeni wystawał mu kawałek brudnej szmaty, która być może służyła za chusteczkę do nosa, a z drugiej książka z pozaginanymi rogami; Christine dostrzegła nazwisko autora: Tołstoj.

- Zasnął pan - powiedziała. - I ktoś wszedł.

Max podniósł na nią zaskoczony wzrok, podrapał się po szpakowatej brodzie, jakby go swędziało, a zresztą być może rzeczywiście tak było.

- W nocy śpię, jak wszyscy - odpowiedział. - Jeśli chce pani mieć obstawę dwadzieścia cztery godziny na dobę, niech się pani zwróci do agencji ochrony.

Przez chwilę miała ochotę wyrzucić go za drzwi, ale się powstrzymała.

- Postawił pan kubek z prawej strony. Dlaczego?

Skinął głową, marszcząc brwi. Nagle wyraźnie się zmartwił. Spomiędzy jego spierzchniętych warg wystawało mieszadełko do kawy, które w zamyśleniu obracał zepsutymi zębami.

- Jakiś facet przechodził kilka razy, przez dłuższy czas obserwował kamienicę. W końcu wszedł. Wygląda na to, że zna kod.

- Może to był ktoś stąd?

Zdecydowanie pokręcił głową.

- Znam wszystkich mieszkańców ulicy. Nie jest tutejszy. To był on. Facet, którego pani

szuka...

Poczuła, że robi się blada.

- Na jakiej podstawie pan tak uważa?

Spojrzał na nią intensywnie, nie przestając żuć mieszadełka.

- Miała pani rację. Ma pani poważne problemy. Nie wiem, kto to jest, ale ten gość... to ktoś... naprawdę twardy. Brutalny.

- Skąd pan wie?

- Złapałem go za nogawkę, prosząc o pieniądze. Nie oczekiwałem, że mi coś da. Kiedy widzę dawcę, potrafię go rozpoznać. Chciałem się po prostu dowiedzieć, z kim mamy do czynienia, jaki to typ człowieka... Więc złapałem go, ot tak. A on się zatrzymał i popatrzył na mnie. - Max wyjął mieszadełko z ust. - Musiałaby pani zobaczyć ten wzrok... Schylił się i złapał mnie za kołnierz. I powiedział, że jeśli jeszcze raz go tknę, zaknebluje mnie, kiedy wszyscy będą spali, i w jakimś ciemnym zaułku poobcina mi palce, jeden po drugim, zardzewiałymi nożyczkami. I wie pani co? On nie blefował. Ani przez chwilę. Stał z twarzą kilka centymetrów nad moją i patrzył mi prosto w oczy. Naprawdę wiedział, co mówi. O tak. Nawet chętnie by to zrobił. Na ulicach nie brakuje brutalnych ludzi, widziałem już wielu. Ale ten był o wiele gorszy niż wszyscy, których spotkałem, niech mi pani wierzy. Nie wiem, co pani mu zrobiła, ale jeśli on coś do pani ma, niech pani lepiej zadzwoni na policję.

Miała wrażenie, jakby jakiś kwas trawił jej żołądek, a jej nogi stały się jak z waty. Spojrzała na niego zrozpaczona. Max nie wiedział, że policja w niczym jej nie pomoże.

- A poza informowaniem glin - powiedziała bezbarwnym głosem - co mogę zrobić?

W jego szarych oczach znowu dostrzegła błysk zaskoczenia.

- Dlaczego nie chce pani zadzwonić na policję?

- To moja sprawa.

Pokręcił sceptycznie głową.

- Niewiele... Zniknąć na jakiś czas. Zrobić to tak, żeby się nie dowiedział, gdzie pani się ukrywa. Pani wie, kto to jest?

- Nie. Jak wygląda?

Max wyglądał na zdezorientowanego.

- Jest pani pewna, że nie wie pani, kto to jest? Gość koło trzydziestki, niski, bardzo niski, ma nie więcej niż metr sześćdziesiąt osiem. Jeśli chce pani znać moje zdanie, ma oczy cholernego świra. A, tak... i dziwny tatuaż na szyi.

Christine się wzdygnęła. Coś jej się przypomniało. Pomyślała o tatuażach na ciele Cordélii. Nie, to nie to. Widziała jeszcze jakiegoś - ostatnio. Niski, bardzo niski, powtórzyła w

myśli, zastanawiając się, dlaczego taki olbrzym jak Max przestraszył się o głowę niższego faceta.

- Tatuaż? Jaki?

- Dość niezwykły. Coś jakby Matka Boska w aureoli. Słyszała pani o Andrieju Rublowie?

Pokręciła głową.

- Najśłynniejszy rosyjski malarz ikon. Tatuaż tego faceta przypominał mi cholerną Madonnę Rublowa.

Zna go! Widziała już gdzieś ten tatuaż! Gdzie? Gdzie? I nagle jej się przypomniało: Grand Hôtel Thomas Wilson! Wtedy, gdy wychodziła z windy po spotkaniu z Léo... Wpadła na tego śmiesznie małego jegomościa z Matką Boską wytatuowaną na szyi. A więc ją śledził. Sądziła, że go zmyliła, ale nie.

Ta myśl wprawiła ją w rozpacz. Czy facet namierzył także Léo?

- Co to jest? - zapytał Max.

Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Mężczyzna wpatrywał się w pudełko po płycie CD.

- Zna pan to?

- Taaa. Znowu opera.

Posłała mu intensywne spojrzenie.

- I znowu o samobójstwie, prawda?

- Mhm. Lakmé to młoda Hinduska, która truje się bieluniem, gdy dowiaduje się, że jej ukochany, Gérald, zamierza wrócić w swoje strony.

Wpatrywała się w niego blada jak ściana.

- Co się dzieje? - zapytał. - Co takiego powiedziałem?

- Powiedział pan: G é r a l d?

- Tak, a o co chodzi? Zna pani kogoś o takim imieniu? Na Boga, Christine, jest pani pewna, że nic pani nie jest? Jest pani strasznie blada...

\*

- Proszę. Niech pani pije - powiedział. - Zemdlała pani. Powinniśmy wezwać lekarza.

- Nie, dziękuję, już mi lepiej.

Wzięła od niego szklankę.

- A zatem zna pani jakiegoś Géralda?

Skinęła głową.

- To ten człowiek z tatuażem?

Pokręciła głową.

- Nie chce pani o tym mówić?

Zawahała się.

- Jeszcze nie. Max, dziękuję za wszystko, co pan robi. I przepraszam za moje uwagi przed chwilą. Ale nie jestem jeszcze gotowa.

Spojrzał na nią zatroskany.

- Christine, do tej pory nie bardzo wiedziałem, co myśleć o pani sprawie. Ale zobaczyłem tego człowieka. Zobaczyłem jego oczy. Znam ten typ ludzi: on pani nie odpuści. Zastanawiała się pani, co zrobi następnym razem? Jak daleko jest gotów się posunąć? Bo prędzej czy później znowu zaatakuje. Tacy psychopaci są konsekwentni. Christine, niech mi pani wierzy: uważam, że powinna pani zadzwonić na policję. Potrzebuje pani pomocy.

- Mam już pana pomoc. I jest ktoś jeszcze, silny, przynajmniej tak silny jak ten człowiek. - Podniosła głos, jakby chciała przekonać samą siebie do tego, co mówi. Przez chwilę wydawało jej się, że widzi błysk niezadowolenia w jego szarych oczach. Ale to musiało być złudzenie. - A teraz, jeśli to panu nie przeszkadza, chciałabym zostać sama - dodała.

Skinął głową, zaciskając wargi. Podniósł się powoli. Gdy był na progu, przystanął i się odwrócił.

- Gdyby pani mnie potrzebowała, wie pani, gdzie mnie znaleźć.

Kiedy wyszedł, odczekała dłuższą chwilę, aż poziom adrenaliny opadnie. Nie rozumiała tego, co się działo, to nie miało żadnego sensu. Max najwyraźniej uważał, że ten człowiek to profesjonalny kryminalista. Jakiego rodzaju? Mafioso? Złodziej? Płatny morderca? Sprawa tego tatuażu przywiodła jej na myśl informacje o rosyjskich albo południowoamerykańskich gangach, które znała z telewizji.

Wróciła myślą do Géralda. Co ten facet wie o jej relacji z narzeczoną? Czy to on zrobił zdjęcia Géraldowi i Denise? I skąd ta aluzja do Géralda w podrzuconej operze? To nie może być przypadek. Gérald jest częścią tej układanki... Poczwała, że znowu ogarnia ją paranoja, i pomyślała o Denise. Czyżby Denise zatrudniła bandziora, kryminalistę, żeby ją nastraszyć i skłonić do odejścia od Géralda? To absurdalne. Śmieszne. Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach. I w programach typu *Faites entrer l'accusé*<sup>8</sup> - odezwał się zniecierpliwiony głos w jej głowie. - To znaczy w rzeczywistości, moja droga... Próbowwała go odegnąć, ale głos się nie poddawał: zazdrość, pożądanie, zemsta - to najczęstsze motywy...

---

<sup>8</sup> Serial dokumentalny o największych francuskich aferach kryminalnych.

Przypomnij, co opowiadali ci prawnicy, których zapraszałaś do audycji. Zdziwiłabyś się, staruszeko, do czego niektórzy ludzie są zdolni w przyływie zazdrości albo gniewu.

Jakie ma wyjście, jaki wybór jej pozostaje? Wyjęła telefon i spojrzała na niego. Czy Léo nie powinien do niej zadzwonić? Powiedział, że się orientuje, uruchomi swoje kontakty. Na jakim jest etapie? Chciałaby go usłyszeć, już, teraz...

Nie zamierzała pozwolić temu zasranemu świrowi, żeby wiecznie zatruwał jej życie.

Ta myśl ją zelektryzowała. Christine postanowiła reagować. Ale nie tak, jak tego oczekiwał ten typ. Do tej pory była o jeden, dwa kroki spóźniona. Ale dzięki Maksowi otrzymała cenną informację. Tak. Przekaze ją Léo, przecież mówił jej, że zna prywatnego detektywa. On będzie wiedział, jak z niej skorzystać. Po drugie musi opuścić to miejsce. Max miał rację: nie może tu zostać. Patrząc na ściany mieszkania, poczuła się jak Rosemary Woodhouse w *Dziecku Rosemary*. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak ten typ wchodzi tu pod jej nieobecność, sika na jej wycieraczkę, zabiera Iggy'ego i łamie mu łapę, zakręca ogrzewanie i wkłada płytę z muzyką operową do jej odtwarzacza... Wyobraziła sobie, że mógłby wejść w nocy, podczas gdy ona by spała, mimo zaryglowanych drzwi zastawionych komodą.

Ale dokąd miałyby pójść? Pierwsza myśl: a może by spakować walizkę i poprosić rodziców o kilkudniowy azyl? Sceptyczny głos w jej wnętrzu natychmiast zareagował: No nie, staruszeko, mam nadzieję, że żartujesz! Fakt, że w ogóle bierzesz to pod uwagę, dowodzi, na jakim jesteś dnie. Twoi... rodzice? Serio? Co im powiesz? Że musiałaś zmienić klimat?

Głos miał rację. Dlaczego akurat teraz? - zapytałby rodzice, nie próbując ukryć faktu, że powrót córki do ich codziennego życia nie był częścią ich planów na emeryturę. Nie mogła jednak opowiedzieć im, co się stało (już sobie wyobrażała reakcję ojca, gdyby powiedziała, że zaprosiła do siebie bezdomnego). A gdyby coś wymyśliła, ojciec miałby potwierdzenie, że jest tak, jak zawsze myślał, a mianowicie, że jego córka jest słaba, że nigdy nie będzie w stanie znaleźć sobie miejsca w życiu, że w gruncie rzeczy byłoby lepiej, gdyby żyła jej siostra, a nie ona (bo z pewnością tak właśnie myślał, skoro mając wystarczająco w czubie, odważył się przyznać do swojej... preferencji). A co do mamy... Cóż, spojrzałaby na nią i zaczęłaby się zastanawiać, w którym momencie zawiodła jako matka, uznając porażkę córki za osobistą klęskę.

Wszystko, tylko nie to.

Wróciła do salonu. Znowu naląła sobie pełen kubek kawy. Wpadła na inny pomysł. Oznaczał on skontaktowanie się z kimś, kto prawdopodobnie wcale nie chciał z nią rozmawiać ani dowiadywać się, co u niej słychać, ale nie miała wyboru. Odszukała w spisie

kontaktów numer Ilana. Wiedziała, że o tej porze jeszcze nie wyszedł do radia. Zresztą kiedy odebrał, w tle usłyszała gwar i głosy dzieci.

- Christine?

Próbowała doszukać się w jego głosie nuty wrogości albo podejrzliwości, ale brzmiało w nim tylko zdziwienie.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - powiedziała - ale potrzebuję przysługi. Wiem, że miałeś już przeze mnie sporo problemów i zrozumiem, jeśli mi odmówisz, ale jesteś jedyną osobą, na której mogę polegać, Ilan.

Nie zostawiając mu czasu na reakcję, wyjaśniła, o co chodzi. I czekała. Przez dłuższą chwilę Ilan milczał.

- Niczego ci nie obiecuję - powiedział. - Ale zobaczę, co mogę zrobić.

- Tato, kto to? - odezwał się dziewczęcy głos w pobliżu.

Jednocześnie usłyszała w telefonie sygnał przychodzącej rozmowy.

- Nikt, skarbie.

Po tych słowach się rozłączył.

\*

Odebrała drugie połączenie.

- Halo?

- Christine? Mówi Guillaumot.

Poczuła, że uginają się pod nią nogi: jego głos był lodowaty jak zima w Jukonie.

- Wczoraj dzwoniła do mnie policja. Wypytywali o ciebie, powiedzieli, co zrobiłaś. Zadzwoniłem potem do Cordélii. Wyjaśniła mi, co się wydarzyło w trakcie weekendu, i że wniosła na ciebie skargę, a potem ją wycofała. - Westchnienie po drugiej stronie. - Kurwa, jak mogłaś coś takiego zrobić? To... to... Wszyscy tu wiedzieliśmy, że masz cholerny charakter, ale to... to jest... nie mogę w to uwierzyć. - Usłyszała zgrzytanie, jakby Guillaumota nagle rozboleły zęby. - Nie masz po co przychodzić jutro rano do radia. Ani pojutrze. Ani w żaden inny dzień. Uruchomię procedurę zwolnienia cię z powodów dyscyplinarnych i wdrożę śledztwo w twojej sprawie. - Chwila milczenia. - Może ta mała uważa, że już dostałaś za swoje, ale ja nie. Twoje zachowanie przynosi wielką ujmę rozgłośni. Radzę ci poszukać dobrego adwokata... Ty pieprzona, stuknięta suko.

## 23.

### LEITMOTIV

Servaz rzadko miał okazję oglądać tyle śniegu na równinie. Jakiś człowiek w radiu właśnie tłumaczył, że tej zimy opady są wyjątkowe. Jak zwykle wszyscy się zastanawiali, czy ma to związek ze zmianami klimatu. Zimno, upały, powódzie, susze. Dziennikarze uwielbiają globalne ocieplenie - podobnie jak kryzysy gospodarcze, arabską wiosnę, upadki banków, napady na sklepy jubilerskie...

Przemierzał nieskalane białe przestrzenie, jadąc wzdłuż огоłoconych z liści drzew, za jedyne towarzystwo mając muzykę starego dobrego Gustava. Szare niebo nad jego głową wyglądało jak druga, odwrócona do góry nogami równina, na której wznosiły się chmurne pagórki. Centralna część regionu nie była tak malownicza jak południe, gdzie zapora Pirenejów wznosiła się jak naturalny Wielki Mur Chiński, ani jak bardziej pofałdowane i lesiste okolice Albi czy wreszcie obszar na wschód od Tuluzy, przeciętany dzikimi dolinami opadającymi ku przyjaznym brzegom Morza Śródziemnego. Była zwyczajnie... monotonna. Skręcił z długiej i prostej szosy krajowej w gorzej utrzymaną i węższą drogę, i po trzech kilometrach po swojej prawej ręce zobaczył gospodarstwo. Servaz ostrożnie ruszył po śniegu, mówiąc sobie, że w razie gdyby się zakopał, traktor, który zauważył na terenie farmy, wyciągnie go z tarapatów.

Zaparkował przed długim budynkiem mieszkalnym z nigdy niemalowanego szarego cementu i wysiadł.

Poczuł dotkliwą wilgoć i chłód. Postawił kołnierz kurtki.

Zanim wszedł, oczami wyobraźni zobaczył młodzież Célie Jablonki w tym miejscu pozbawionym wszystkiego, co mogłoby rozweselić nastolatkę w długie, wlokące się dni. Poczuł spontaniczne zrozumienie dla natury jej ambicji, dla marzeń dziewczyny o wyobraźni zbyt bujnej jak na ten ubogi kontekst.

Na progu stała kobieta o włosach ufarbowanych na blond. Patrzyła na niego przymrużonymi, nieufnymi oczami, mniej więcej tak samo przyjaznymi jak chrapliwe szczekanie psa, który rzucał się na łańcuchu.

- Dzień dobry. Jestem komendant Servaz z policji w Tuluzie. Jestem umówiony z panem Jablonką.

Nie przestając zaciskać zębów, krótkim ruchem podbródka wskazała mu dużą oborę wznoszącą się jakieś trzydzieści metrów dalej. Servaz ruszył przez głębokie koleiny

wyżłobione w śniegu i błocie kołami ciągników, mijając składy kiszonki przykryte ośnieżonymi plandekami i ciężkimi wałkami, rząd silosów i urzędzeń rolniczych. Kiedy przez otwarte na oścież podwójne metalowe drzwi wszedł do środka, uderzył go smród parującej brunatnej cieczy wypełniającej kanały.

- Tutaj - rozległ się jakiś głos.

Odwrócił głowę w lewo i zobaczył siwego mężczyznę siedzącego w niewielkim biurze przed monitorem komputera. Przed nim piętrzył się stos papierów i notatek. Na dłoni, którą trzymał myszkę, miał niebieską rękawiczkę - jak chirurg albo technik kryminalistyki. Servaz wszedł do pomieszczenia. Na ekranie widać było kolumny cyfr. Na ścianie wisiała biała tablica, na której Servaz zauważył szereg wypisanych markerem zaleceń. Poczł się jak w biurze policji kryminalnej.

- Za pozwoleniem - odezwał się mężczyzna. - Muszę ustawić robota. Sprawdzić, czy w nocy wszystko dobrze poszło.

- Robota?

- Robota udojowego. - Mężczyzna po raz pierwszy odwrócił się w jego stronę i spojrzał na niego przenikliwie. Miał w oczach taką samą podejrzliwość jak jego żona. - Miastowy glina, to widać... Ma pan legitymację?

Servaz spodziewał się tego pytania. Sięgnął do kieszeni kurtki. Sześćdziesięcioletek marszcząc brwi, porównał fotografię na karcie, którą trzymał dłonią w rękawicze, z twarzą swojego gościa. Następnie odwrócił się w stronę ekranu.

- Przepraszam pana, ale muszę sprawdzić, czy w nocy wszystko działało prawidłowo, i podgonić spóźnione krowy.

- Niech pan zrobi, co pan ma do zrobienia, mnie się nie śpieszy.

- Tym lepiej.

- Powiedział pan robot - zainteresował się Servaz. - To znaczy, że krowy doi robot?

W końcu mężczyzna wstał.

- Pan pójdzie za mną.

Opuścili niewielkie pomieszczenie i ruszyli główną alejką. Przez metalowe barierki Servaz zobaczył dziesiątki ściśniętych ciasno krów stojących w chmurze parujących oddechów, z pyskami zanurzonymi w sianie. Ojciec Célli wskazał na zwierzęta ustawione w kolejce do wielkiej maszyny, jak samochody przed myjnią. Jedna z nich sama stanęła przy urządzeniu i zanurzyła pysk w żłobie. Servaz zobaczył, jak długie, zginające się ramię wsuwa się pod nabrzmiałe od mleka wymiona. Najpierw okrągłe szczotki umyły dójki, następnie na moment oświetliło je czerwone światełko, po czym każdy z sutków otoczyła plastikowa



tulejka. Zwierzę się nie ruszało. Wyglądało na to, że jest całkowicie przyzwyczajone do tego kieratu.

- Laser rozpoznaje wymiona każdej krowy i ustawia robota do udoju - wyjaśnił ojciec Célie.

- Ile ma pan zwierząt?

- Sto dwanaście.

- A ile kosztuje taka instalacja?

- Zależy jaka. Od stu dwudziestu tysięcy do ośmiuset tysięcy euro.

Servaz pomyślał o historiach wszystkich tych zadłużonych rolników, którzy popełnili samobójstwo.

- A kiedy one stąd wychodzą?

Odpowiedź spadła jak ostrze gilotyny:

- Nigdy.

Servaz pomyślał o zdrowiu psychicznym krów i cieląt, które nigdy nie widzą dziennego światła. Każdego lata widywał krowy mięsne rasy blonde d'Aquitaine i limousine pasące się na łąkach. Przyszło mu do głowy, że krowy też nie rodzą się równe. Gospodarze radzą sobie z informatyką, zajmują się robotami, zarządzają rezerwami i bez wątpienia są biegli w wielu innych dziedzinach; komputery, ekrany dotykowe, laser, kamery - dalekie to wszystko od wyobrażeń o typowej wsi.

- Ale nie przyjechał pan tutaj, żeby rozmawiać ze mną o krowach.

Servaz przyjrzał się mężczyźnie. Gospodarz miał niebieskie oczy oraz ogorzałą i pooraną zmarszczkami, ale jędrną skórę twarzy.

- Wznawiacie śledztwo? Dlaczego?

- Nie, panie Jablonka. Śledztwo nie zostało wznowione. Moje zadanie polega po prostu na przebadaniu niektórych umorzonych spraw.

- Dlaczego?

- Tak to jest: wymogi administracyjne.

- Dlaczego akurat ta sprawa?

Servaz nie odpowiedział.

- Wychowywała się tutaj, prawda?

Mężczyzna uśmiechnął się do niego krzywo.

- Wiem, co pan myśli - powiedział.

- Naprawdę?

- Panie władzo... To, czym się tutaj zajmujemy, to się nazywa konkret. Nie spekulujemy

na temat nieistniejących pieniędzy; nie sprzedajemy bezużytecznych rzeczy ludziom, którym się wydaje, że ich potrzebują; pracujemy dzień i noc; jesteśmy być może ostatnimi, którzy wiedzą, że realny świat istnieje, i dlatego wielu chce, żebyśmy zniknęli. Ale jeśli chodzi o Célię, to musi pan wiedzieć, że wychowywała się wśród książek. Gdybym zaprosił pana do domu, który widzi pan o, tam, ale tego nie zrobię, wszędzie zobaczyłby pan książki: wyczytane, z pozaginаныmi rogami, pokreślone notatkami... Célia uwielbiała książki. A my zawsze zachęcaliśmy ją do czytania. Miała takie ambicje nie po to, żeby się stąd wyrwać, nie po to, żeby być lepsza od rodziców, ale przeciwnie, żeby rodzice byli z niej dumni. Zawsze gdy potrzebowała zaczerpnąć sił, odetchnąć, wracała tutaj. Ta wieś, musiałby ją pan zobaczyć na wiosnę, to było jej ulubione miejsce na Ziemi.

Servaz spojrział na krowę, która zastąpiła poprzednią przy urządzeniu. Ilekroć maszyna próbowała złapać jej wymiona w tulejki, zwierzę wykonywało drobny ruch do przodu lub do tyłu i tulejki zamykały się z suchym trzaskiem, a lasery zaczynały namierzanie celu od nowa. Maszyna się nie śpieszyła. Ostatnie słowo nie należało do zwierzęcia.

- Często tutaj wchodziła? - zapytał. - Czy trzymała się na dystans?

- Célia była przeciwna zainstalowaniu tej maszynierii - odezwał się kobiecy głos za jego plecami. - Mówiła, że to niehumanitarne, żeby krowy przez cały czas były w zamknięciu. Może i miała rację... - Kobieta obdarzyła męża niezbyt miłym spojrzeniem. - Célia była bardzo inteligentną młodą kobietą. I zrównoważoną. Przynajmniej do czasu, jak poznała tego faceta.

Servaz się odwrócił. Blondynka wpatrywała się w niego.

- Jakiego faceta?

- Nie wiem. Nigdy go nie widzieliśmy. Myślę, że był żonaty. I że to był ktoś ważny. Dlatego nie chciała o nim opowiadać. Mówiła, że kogoś poznała. Podobno to był ktoś wyjątkowy. Przynajmniej na początku. A potem jej nastrój zaczął się zmieniać...

Servaz przypomniał sobie słowa dyrektora samodzielnego ośrodka pomocy socjalnej.

- Célia nigdy nie robiła takich głupot jak dorastająca młodzież - powiedział jej ojciec. - Była pilną, nieśmiałą dziewczyną. Może dlatego zaczęła popełniać głupstwa, gdy dorosła, spotykać się z podejrzanymi typkami. Przywiozła tu jednego czy dwóch, wszyscy byli podobni: żałośni goście udający twardzieli.

Jego oczy lśniły i Servaz rozumiał, że mężczyznę niczym rak pożera gniew; tłumiony gniew, który być może mieszkał w nim już wcześniej, ale który od czasu śmierci córki zatruwał jego krew bardziej niż arsenik.

- Poza tym ona się zmieniła. Stała się radosną, szczęśliwą młodą kobietą. Przynajmniej o ile nam wiadomo. Jeśli dobrze zrozumiałem, zaczęła odnosić sukcesy jako artystka i to

dodawało jej pewności siebie. Dobrze się dogadywaliśmy we dwójkę. Ja... Miałem tylko tę jedną córkę, rozumie pan. Więc zawsze ją rozpieszczałem.

Spojrzał na swoje silne, opalone dłonie pokryte z wierzchu siecią grubych żył.

- Nie opowiadała nam, z kim się spotyka - podjęła kobieta. - A my jej nie wypytywaliśmy. Ale pewnego dnia wreszcie się wygadała. Poznała kogoś. Dobrego człowieka. Powiedziała, że nam się spodoba, ale jest jeszcze za wcześnie. Mówiła, że są jakieś przeszkody: takiego słowa użyła. Szybko zrozumieliśmy, że facet pewnie jest żonaty. Pomyśleliśmy... pomyśleliśmy, że nasza córeczka dorosła, ale w tych sprawach się nie zmieniła, że wciąż daje się nabierać. - Przerwała. - Myślę, że pod koniec była w depresji. Ale nie chciała o tym mówić. W ostatnim czasie bała się własnego cienia. Coś ją przerażało. Coś albo ktoś. Ale nigdy bym nie pomyślała, że ona... że ona...

Servaz miał wrażenie, że czas zwolnił i płynie teraz nieskończenie wolniej niż mleko w łąpczywych węzłach robota.

- Jesteście państwo pewni, że nic wam nie powiedziała na temat tego mężczyzny?

- Raz powiedziała coś dziwnego. Jeden jedyny raz. Powiedziała, że to prawdziwy kowboj. Kowboj przestworzy. Czy coś w tym stylu. Nie rozumiałem, co miała na myśli. Ale Célia taka była: często mówiła zagadkami.

Servaz spojrział na ojca Célie, jednocześnie rozmyślając o zdjęciu z pudełka - zdjęciu przedstawiającym stację kosmiczną - i wzdrygnął się. Ojciec Célie miał spuszczone oczy. Kiedy je podniósł, Servaza uderzyła intensywność ognia, który w nich płonął.

- Jeśli rzeczywiście popełniła samobójstwo, co pan tu robi rok później? - zapytał.

- Już panu powiedziałem: rutynowa weryfikacja.

- Niech pan sobie ze mnie nie kpi. Po co te wszystkie pytania? Wznowiliście śledztwo czy nie?

- Nie proszę pana. Ta sprawa została umorzona.

- Umorzona?

- Tak.

- Świetnie. W takim razie w tej chwili się pan stąd wynosi, inspektorze, poruczniku, komisarzu, czy jaki tam pan ma ten swój pieprzony stopień. Won mi stąd, ale już.

\*

Servaz zwolnił przed bramą Ośrodka Kosmicznego. Przypominała punkt opłat na autostradzie i była zwieńczona dużym herbem, który najwyraźniej miał przedstawiać planetę i raketę.

Ośrodek znajdował się w sercu dużego kompleksu badawczego i uniwersyteckiego

składającego się z laboratoriów, uczelni inżynierskich oraz firm aeronautycznych, na wschód od Uniwersytetu Paula Sabatiera, na południe od aglomeracji. Miejsce przypominało wyobrażenie Servaza o amerykańskim kampusie: młodzi ludzie na rowerach - studenci, inżynierowie albo informatycy - szerokie aleje obsadzone drzewami, wysokie anteny, funkcjonalne budynki; zauważył też jeden czy dwa samoloty stojące na trawnikach w charakterze dekoracji. Przy wejściu dwaj strażnicy w niebieskich uniformach obrzucali się wyzwiskami. Wyglądali równie przekonująco jak statyści w telewizyjnym reality show. Opuścił szybę. Wyjaśnił, że jest umówiony z dyrektorem. Strażnik zabrał mu dowód osobisty i w zamian wręczył plakietkę gościa z wpisanym nazwiskiem osoby, z którą miał się spotkać (na wypadek gdyby miał pokusę zawieruszyć się gdzieś na terenie ośrodka), po czym poprosił go o zostawienie samochodu na parkingu po lewej stronie, tuż za bramą.

Servaz spełnił jego polecenie, zgasił silnik, wysiadł i zaczął się rozglądać dookoła. W zimnym powietrzu tańczyły rzadkie płatki śniegu. Zobaczył potężne jodły, reflektory na wysokich słupach, raketę oraz ogromnych rozmiarów antenę paraboliczną przed jednym z budynków. Wszystkie fasady zbudowane były z wysokich betonowych płyt przedzielonych wąskimi oknami.

Nie zauważył na miejscu szczególnych środków bezpieczeństwa, ale przecież musiały tam być. Ruszył w kierunku wskazanego „budyńku dyrektorów”. Naprzeciw niego wznosił się budynek „Fermat”, w którym znajdowały się sale kontroli lotów satelitów wyniesionych na orbitę przez Ariane. Tuż obok znajdował się budynek CADMOS<sup>9</sup> - Ośrodka Wspomagania i Rozwoju Działań Przeprowadzanych w Stanie Nieważkości i Operacji Kosmicznych. Servaz przedstawił się przez telefon jako detektyw z policji kryminalnej i poprosił o rozmowę z dyrektorem ośrodka, zastrzegając, by ten ostatni nie kontaktował się z wydziałem kryminalnym. Wyjaśnił, że prowadzi śledztwo w sprawie śmierci artystki Célie Jablonki, która poświęciła jedną ze swoich wystaw badaniom kosmicznym. W rozmowie telefonicznej dyrektor potwierdził, że mademoiselle Jablonka rzeczywiście odwiedziła ośrodek. Oświadczył, że nie bardzo wie, co mógłby wnieść do śledztwa, ale nie uznał też za niestosowne poświęcenia Servazowi odrobiny swojego czasu, który, jak podkreślił, ma skądinąd obficie wypełniony. Ależ nie, wydział kryminalny nie kontaktował się z nim tego dnia, dlaczego miałby to robić: czy Célie Jablonka nie popełniła samobójstwa? Na podstawie tej niespełna trzyminutowej rozmowy Servaz nabrał podejrzeń, że dyrektor nie grzeszy skromnością. Szybki rzut oka na jego CV i już wiedział, że mężczyzna posiada dyplom

---

<sup>9</sup> Le Centre d'Aide au Développement des Activités en Micropesanteur et des Opérations Spatiales.

politechniki (1977), doktorat z filozofii oraz magisterium Stanford University.

Pięć minut później tłusty mężczyzna o małych, tryskających humorem oczkach powitał go w swoim gabinecie przyjacielskim uściskiem wilgotnej dłoni.

- Zapraszam, niech pan siada!

Sam usiadł z powrotem za biurkiem - na którym nie było nic poza komputerem Mac, lampą kreślarską, jakimiś papierami i makietą rakiety - poprawiając muchę w groszki. Spojrzał na Servaza życzliwie, po czym rozłożył ręce.

- Nie wiem dokładnie, czego pan ode mnie oczekuje, komendancie, ale słucham pana, proszę pytać. Postaram się odpowiedzieć.

Servaz postanowił trochę poowijać w bawełnę.

•- Może na początek powiedziałby mi pan, czym się tu zajmujecie.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Ośrodek Kosmiczny jest centrum operacyjnym CNES, Państwowego Ośrodka Badań Kosmicznych. To tutaj są projektowane, konstruowane, umieszczane na orbicie, kontrolowane i eksploatowane statki i systemy kosmiczne, za które odpowiada CNES. Na pewno słyszał pan o programach Ariane, Spot, Helios, a zwłaszcza o robocie Curiosity, którego Amerykanie wysłali na Marsa.

Servaz uczynił to, czego od niego oczekiwano: przytaknął.

- Otóż ChemCam, detektor złożony z kamery i lasera umieszczony na maszcie łazika, który wykonał już osiemdziesiąt tysięcy uderzeń lasera celem analizy składu skał, dowodzony jest stąd i został zbudowany tutaj przez CNES i IRAP<sup>10</sup>, Instytut Badań Astrofizycznych i Planetologicznych.

Tuluza i kosmos, Tuluza i lotnictwo... Stara historia sięgająca korzeniami początków ubiegłego wieku, samolotów Latécoère, legendarnych pilotów linii Aéropostale, Mermoza, Saint-Exupéry'ego: *Ziemi, planety ludzi, Poczty na Południe*, wydmi Sahary, świateł Casablanki, Dakaru, Saint-Louis w Senegal, opowiadań pełnych słów takich jak Patagonia, TSF, Croix du Sud, dzięki którym Martin jako nastolatek w wyobraźni wymykał się z czterech ścian swojego pokoju.

- Ale nie przyszedł pan tutaj, żeby rozmawiać o łazikach i badaniach, myślę się?

- Przypomina pan sobie, czy było coś, czym Célia Jablonka interesowała się szczególnie?

Dyrektor splótł palce i oparł na nich podbródek.

---

<sup>10</sup> Institut de Recherche en Astrophysique et Planétologie.

- Wszystko ją interesowało. To była inteligentna i dociekliwa młoda kobieta. A przy tym bardzo ładna - dodał po chwili. - Wszystko chciała wiedzieć, wszystko zobaczyć, wszystko sfotografować. Oczywiście to ostatnie życzenie było niemożliwe do spełnienia.

- Powiedziałby pan, że była depresyjna?

- Nie jestem psychiatrą - odpowiedział mężczyzna. - Zresztą widziałem ją wszystkiego ze dwa razy. Dlaczego pan pyta?

Servazowi przyszła do głowy pewna myśl.

- A czy ona tu kogoś poznała? - zainteresował się, nie zwracając uwagi na pytanie rozmówcy. - Swojemu ojcu wspominała o jakimś „kowboju przestworzy”.

Dyrektor zmarszczył brwi.

- Jeśli interesuje się pan astronautami, trafił pan pod niewłaściwy adres. Tutaj ich pan nie znajdzie. Ośrodek szkolenia europejskich astronautów mieści się w Kolonii, a siedziby Europejskiej Agencji Kosmicznej i Narodowego Ośrodka Badań Kosmicznych znajdują się w Paryżu. Ale mogła kontaktować się z innymi ludźmi bez mojego pośrednictwa. Dlaczego oni pana interesują?

- Przykro mi, ale nie jestem upoważniony, by o tym mówić - wypowiedziawszy te słowa, Servaz z satysfakcją dostrzegł w oczach rozmówcy maleńki błysk irytacji.

- Proszę pana, co prawda nie wiem, czego pan szuka albo co pan sobie wyobraża, ale ci faceci są świetnie przygotowani i doskonale wytrenowani fizycznie i psychicznie: wirówki, fotele obrotowe, podnoszone stoły... Brzmi to jak nazwy narzędzi tortur, bo to są narzędzia tortur. Ci goście wszystko wytrzymają. Z uśmiechem. Są niesamowici. Przechodzą też całą baterię testów, z psychologicznymi włącznie.

- A nie mogła spotkać któregoś z nich tutaj, w ten czy inny sposób? - nalegał Servaz, ignorując jego uwagę.

- Już panu powiedziałem... - W tonie dyrektora słychać było coraz większą irytację. Zamyślił się jednak na chwilę. - Teraz, kiedy pan to mówi... Była na gali organizowanej przez CNES w Kapitolu. Była tam cała śmietanka francuskich zdobywców kosmosu. Zaproponowałem jej, by poszła ze mną. Kiedy zobaczyła wszystkich tych samców alfa w smokingach, kompletnie zapomniała o moim istnieniu. - Grubas prychnął z oburzenia.

- Chce pan powiedzieć, że...

- Tak, byli tam wszyscy francuscy astronauty: kowboje przestworzy, jak ich pan nazwał.

Servaz patrzył na dyrektora. Wyobraził sobie upokorzenie otyłego mężczyzny, kiedy zobaczył, jak ta snobka porzuca jego błyskotliwy intelekt dla mięśni i perlistego śmiechu owych panów. Jego puls przyśpieszył.

- Pamięta pan datę tej gali?

Dyrektor wziął do ręki słuchawkę telefonu, wymienił kilka zdań z sekretarką i zaczął na odpowiedź.

- 28 grudnia 2010 - odpowiedział, rozłączywszy się. - Jeśli szuka pan astronauty, to proszę, zostanie pan obsłużony. Tamtego wieczoru wszyscy byli na miejscu. Będzie pan miał tylko problem z wyborem.

\*

Nad Tuluzą zapadał wieczór, choć minęły dopiero dwie trzecie popołudnia. 31 grudnia. Miasto było obwieszane lampkami jak bożonarodzeniowe drzewko. Na zachodzie pod sufitem z chmur słońce krwawiło jak zranione serce - i Servaz poczuł podmuch lodowatego wiatru z polskich równin.

Dlaczego wróciłeś do mojego życia? - pomyślał. Przecież o tobie zapomniałem.

Ty o mnie nie zapomniłaś.

Ale nie żyjesz.

Tak.

Powoli zapominam rysy twojej twarzy.

Tak jak zapomnisz wszystko inne.

A więc to tak? Wszystkie wypowiedziane słowa. Wszystkie obietnice. Wszystkie pocałunki, wszystkie chwile spędzone razem, wszystkie gesty, wszystkie oczekiwania. Cała ta miłość. Nic z tego nie pozostanie?

Nic.

W takim razie po co żyć?

Po co umierać?

Mnie o to pytasz?

Nie.

Patrzył na białych i śpieszących się pieszych, na girlandy, na świąteczne dekoracje, na roześmiane ładne dziewczyny siedzące opatulone na tarasach kawiarni: ich śmiechy ucichną, girlandy zniszczą, ładne dziewczyny się zestarzeją, ich skóra pokryje się zmarszczkami i umrą. Wystukał numer merostwa.

- Halo?

Kobięcy głos. Servaz się przedstawił, wyjaśnił, kim jest, i wspomniał o gali z 28 grudnia 2010.

- No i? - zapytała kobieta z nutką biurokratycznej zarozumiałości w głosie.

- Czy to możliwe, żeby zachował się gdzieś u pani ślad listy gości?

- Żartuje pan?

- A takie robię wrażenie?

- Przykro mi, to nie leży w mojej gestii. Przełączę pana do kogoś, kto być może będzie mógł panu pomóc.

- Dziękuję - odpowiedział, zauważając jej „być może”.

Czekał. W słuchawce rozbrzmiewała muzyka Mozarta.

- Kto pana tu przełączył? - napadła na niego na powitanie druga osoba, jakby coś przeskrobał.

- Pani koleżanka. Powiedziała, że pani być może...

- Nie, no, naprawdę! Czasem się zastanawiam, czy ludzie w ogóle sobie zdają sprawę...  
Ja pracuję, proszę pana.

A ja nie, pomyślał. Ja poza tą sprawą nie mam nic do roboty. Ale nic nie powiedział. Potrzebował tej informacji.

- No dobrze, mimo wszystko z kimś pana połączę. Ale nie wiem, czy ta osoba jest w pracy. W końcu mamy 31 grudnia, nie?

Super. Dzięki. Udanego sylwestra.

Znowu melodyjka, znowu czekanie.

- Tak? - odezwał się trzeci głos.

Servaz już bez iluzji wyjaśnił, po co dzwoni.

- Proszę się nie rozłączać. Poszukam.

Wyprostował się. Głos był stanowczy i zdecydowany. Usłyszał, jak jego rozmówczyni się przemieszcza, autorytarnym tonem woła kogoś jeszcze. Znowu nabrał nadziei. Ostatecznie w policji jest tak samo, też są w niej kompetentni i gorliwi funkcjonariusze. Po kilku minutach usłyszał odgłos zbliżających się kroków.

- Przykro mi, u nas tego nie ma. Przekieruję pana do kogoś.

Już miał się rozłączyć, kiedy w słuchawce odezwał się cienki głosik.

- Tak? Halo? Halo!

Zawahał się. Po co mu to? Jednak głosik nie odpuszczał:

- Halo!

Beznamiętnym tonem wygłosił swoją mowę.

- Eee... Lista gości z 28 grudnia 2010? - powtórzył głosik niezbyt pewnie.

- Tak. Wie pani, o jakim przyjęciu mówię czy nie?

- Oczywiście. Byłam tam. O przyjęciu astronautów.

Iskierka nadziei.



- Właśnie.

- Sprawdź, czy mogę to dla pana znaleźć. Zaczeka pan na linii czy woli pan zadzwonić później?

Pomyślał o tym, jak trudno było mu się dodzwonić. Oraz że jeśli się rozłączy, nie będzie miał odwagi zadzwonić ponownie.

- Zaczekam.

- Jak pan sobie życzy.

Po około dziesięciu minutach zaczął się zastanawiać, czy kobieta o nim nie zapomniała i nie poszła świętować sylwestra, zostawiwszy słuchawkę na biurku, kiedy usłyszał triumfalny głosik:

- Mam!

- Naprawdę?

- Tak. Wszystko mamy zarchiwizowane. Nawet zdjęcia.

- Zdjęcia? Jakie zdjęcia? - Zastanawiał się pośpiesznie. - Niech się pani nie rusza... Zaraz będę. - Postanowił nagle.

- Co? Teraz? Ale ja za pół godziny kończę, i... dzisiaj jest sylwester!

- Jestem sto metrów od pani. Nie zabiorę pani dużo czasu. To bardzo ważne.

- Skoro tak... - odpowiedział głosik jeszcze mniej zdecydowanie.

## 24.

### GŁOS

Był 31 grudnia, godzina dziewiętnasta czterdzieści sześć. Temperatura na zewnątrz wynosiła minus dwa stopnie, Christine otworzyła jednak drzwi balkonowe i do hotelowego pokoju zaczęły docierać odgłosy z placu. Z łóżka, ponad balustradą, miała widok na iluminację na fasadzie ratusza, prostopadłej do frontu hotelu. Grand Hôtel de l'Opera, przy place du Capitole pod numerem 1. Pięćdziesiąt pokoi, dwie restauracje, spa, sauna, łaźnia i salon masażu w samym centrum miasta. Jej pokój był czerwony: czerwone ściany, czerwony fotel, czerwona podłoga - tylko sufit, łóżko i drzwi były białe.

Iggy obwąchał miejsce aż po ostatni zakamarek - drzwi wejściowe, łazienkę - obijając się o futryny, bo ciągle zapominał o swoim kołnierzu. Potem, kiedy miał już dość, zasnął na narzucie łóżka.

Christine opróżniła dwie walizki, i kiedy poczuła się bezpieczna, a napięcie ostatnich godzin opadło, ona także przysnęła. Miejsce znalazła jej matka: „Weź pokój w Grand Hôtel de l'Opera, dyrektor to mój przyjaciel”. Kazała jej obiecać, że nic nie powie ojcu. Musiała jednak przedstawić jej wytłumaczenie możliwe do przyjęcia - jej matka nie dałaby się zbyć wykrętami. Wymówka była następująca: kiedy spała, do jej mieszkania wszedł włamywacz i nie czuje się tam bezpiecznie. „Mam nadzieję, że zawiadomiłaś policję?” Skłamała. Potem dodała, że to kwestia kilku dni, do czasu, aż zmienią zamki. Odkąd tam mieszkała, rodzice odwiedzili ją zaledwie dwa razy, było więc niewielkie ryzyko, że matka zechce to sprawdzić.

Rozdzwoniły się dzwony na wieży bazyliki Saint-Sernin i innych kościołów; pod oknami trwał monotonny koncert odgłosów ruchu samochodowego, przecinany solowymi partiami okrzyków i śmiechów oraz, od czasu do czasu, fałszywą nutą zniecierpliwionego klaksonu. Utkwiła wzrok w wentylatorze pod sufitem. Dzwony biły donośnie i żarliwie. Jej ucho wyłapywało też urywki bardziej pogańskiej muzyki, fruwające jak strzępki radości wśród odgłosów wieczoru. Słuchała, jak bije serce miasta. Wsłuchiwała się w pulsującą w nim energię. W całe to życie i radość, które teraz były dla niej niedostępne.

Dlaczego Léo nie dzwoni?

Nie mogąc już wytrzymać, wyjęła telefon i odszukała jego numer w spisie kontaktów. W słuchawce czterokrotnie rozległ się sygnał oczekiwania, po czym włączyła się poczta głosowa. Do cholery! Wściekła rozłączyła się i od razu ponownie wybrała numer. Tym razem odebrał przy drugim dzwonku.

- Christine...

- Tak. To ja. Przepraszam, że ci przeszkadzam, pewnie jesteś u siebie, ale zastanawiałam się, czy nie próbowałaś do mnie dzwonić, bo miałam rozładowany telefon - skłamała.

- Nie, nie próbowałam.

Poczuła, jak zapada jej się żołądek. Jego głos był chłodny, zdystansowany, mało zaangażowany - a może tylko jej się zdawało?

- I to wszystko? - zapytała. - Nie masz żadnych wiadomości?

- Christine, wiesz, że tutaj nie mogę z tobą rozmawiać - powiedział ciszej.

- Kto to? - rzucił z oddali kobiecy głos.

Christine rozpoznała żonę Léo. Spotkała ją raz na jakimś przyjęciu i nawet się zakumplowały.

- Nic, nic. To w związku z tym wyjazdem, o którym ci mówiłem.

- Dzieci! - rzucił ten sam głos. - Idźcie się przygotować.

- Kiedy się zobaczymy? - zapytała. - Udało ci się skontaktować z tym detektywem?

Cisza.

- Słuchaj, to nie jest dobry moment. Jak poszło z policją?

Czy powinna powiedzieć mu prawdę? Później. Nie chciała teraz opowiadać mu o rzekomym pobiciu Cordélie, nie była pewna, co on o tym pomyśli.

- Nic - skłamała. - Miałam wrażenie, że mi nie wierzą.

Znowu na dłuższą chwilę zapanowało milczenie.

- Muszę się z tobą spotkać - dodała, drżąc z powodu zimnego wiatru unoszącego zasłony, ale nie tylko dlatego.

- Christine, muszę się zastanowić. Rozmawiałem z tym detektywem, który jest mi winien przysługę. Znalazł coś na ciebie.

- Co? Powiedziałeś mi, żeby prowadził śledztwo przeciwko mnie?

- Że jako nastolatka byłaś leczona psychiatrycznie. Że zaatakowałaś lekarza rodzinnego.

- Miałam dwanaście lat!

- Uruchomił też swoje kontakty w policji. Pobiłaś również tamtą dziewczynę... Jestem na bieżąco.

- To nie ja!

- Muszę się zastanowić - powtórzył. - To ja do ciebie zadzwonię. Uważaj na siebie.

Rozłączył się. Poczuła, że ogarnia ją gniew, i znowu wcisnęła klawisz połączenia. Nie pozwoli mu wycofać się w ten sposób! Przecież ma prawo do wyjaśnień. Boże, jakie to

niesprawiedliwe: przecież każdy ma prawo do obrony! Przecież on ją zna! Spali ze sobą ze sto razy!

Odezwała się poczta głosowa.

\*

Miała wtedy dwanaście lat, był wieczór 23 lipca 1993. Tamtego lata - pełnego koszmarów i duchów - zachorowała na mononukleozę. Była tak wyczerpana, że leżała w łóżku przez większość czasu z wyższą lub niższą gorączką, gotując się w ciepłych potach, z powiększonymi węzłami chłonnościami szyi i pach, z migreną raz po raz ściskającą jej głowę jak imadło. Z powodu zwiększonej liczby białych krwinek, a zwłaszcza ze względu na powikłania oskrzelowe, lekarz rodzinny każdego wieczoru przed snem robił jej zastrzyk. A potem matka gasiła światło. Podczas tych trawionych gorączką nocy nawiedzały ją dziwaczne koszmary, tak że w pewnym momencie zaczęła się bać chwili, kiedy matka przekręcała włącznik i robiło się ciemno. Wmówiła sobie też, że przyczyną jej koszmarów są tajemnicze zastrzyki doktora Harela.

Ale 23 lipca osobą, która zgasiła światło, nie była mama, która wyjechała do własnej chorej matki. Zrobił to jej ojciec. „Śpij dobrze, małpeczko”, powiedział, jakby nie wiedział o jej gorączce i koszmarach, a następnie zgasił światło i zamknął drzwi.

W ciemności poczuła, że jej serce bije jak szalone i ogarnia ją absolutna trwoga.

A potem usłyszała głosy dochodzące z okolic basenu, który znajdował się pod jej oknem. To były szepty. Ponieważ w nocy temperatura wzrosła do ponad trzydziestu stopni, okno było uchylone. A może po prostu jej się śniło. Może był to sen o śnie - bo w tych głosach i niemal tęsknym nonszalanckim szeleście liści palmowych na lekkim wietrze było coś nierzeczywistego.

Uświadomiła sobie, że nie jest całkiem ciemno. Ktoś zapalił światło przy basenie. Wyteżyła słuch i wtedy usłyszała plusk wody, jaki powoduje pływająca osoba. Odwróciła głowę, rozgorączkowaną twarz i spojrzała na budzik. Północ. Leżała wtulona policzkiem w wilgotną od nocnych potów poduszkę. W jej głowie płonął ogień. I znowu je usłyszała: tajemnicze szepty. Te głosy ją przyciągały. Ale w nocy basen był inny niż za dnia: był miejscem niedostępnym i niebezpiecznym - zakazanym. Przez okna salonu jego głęboka woda lśniła w ciemności trochę niepokojącym blaskiem, jak błyszczący prostokąt w kolorach od bladego błękitu poprzez gęstszą czerwień do pastelowej zieleni. Odrzuciła jednak kołdrę i wyszła na półpiętro: w salonie na dole nikogo nie było, choć paliło się światło. Zeszła po schodach.

Basen ją przyciągał. Przyciągały ją głosy. W jej młodym, płonącym gorączką mózgu

rodziły się wolne skojarzenia: woda, ogień, ryby, lęk, mdłości, pożądanie. Basen był fantazmatem wyjątkowo kuszącym, ale jednocześnie niemożliwym do przyjęcia i tłumionym. Przeszła bosą przez salon do rozsuwanych drzwi prowadzących na patio. Bardzo cicho je otworzyła. Weszła w ciepłą, rozgwieżdżoną noc. Po jej skórze przebiegł dreszcz wywołany mieszanką przyjemności i niepokoju. Przed oczami rozciągała się oświetlona i pofalowana tafła wody. Ktoś się kąpał. W blasku lamp zainstalowanych na dnie basenu odcinała się jakaś postać. Rozpoznała ją od razu: to była Madeleine, jej siostra. Maddie pływała na plecach wśród opalizujących drobnych fal, jej włosy unosiły się na wodzie jak algi. Była zupełnie naga... Przez ułamek sekundy Christine widziała jedwabisty trójkąt między jej nogami.- Maddie?

Jej siostra odwróciła się i podплыnęła do niej, machając rękami.

- Christine, co ty tu robisz? Wiesz, która jest godzina?

- Maddie, co ty robisz?

Powietrze nad powierzchnią wody drżało. Zapach chloru łaskotał ją w nosie, nad basenem unosiły się lśniąca światliki. Patrząc na ich migotliwy taniec, dwunastoletnia Christine odczuła czarodziejską moc tego widoku: naga Madeleine w basenie i światliki tańczące dookoła niej.

- Idź stąd, Christine. Idź stąd. Wracaj do łóżka!

- Maddie, co robisz?

- Słyszałaś? Powiedziałam, że masz iść się położyć.

Gwałtowność i smutek w głosie siostry uderzyły Christine, ale zachwyty - a może sen - sprawił, że wmurowało ją w podłogę.

- Maddie...

Miała ochotę się rozplakać. W tej dziwnie zaczarowanej letniej nocy było coś dogłębnie mrocznego i odrażającego. Wyczuwała jakieś zachwianie równowagi, zamieszanie, które wprowadzało ją w stan oszołomienia. To musiał być sen, bo jej uwagę przyciągnęło coś po prawej stronie, na drugim końcu basenu. Jakiś cień... Wił się i unosił zwinnie na powierzchni wody. Do akcji znowu wkroczyły skojarzenia. Wąż, jad, niebezpieczeństwo... Dziewczynkę zmroziło. Wąż płynął po wodzie w stronę jej siostry. Chciała ją ostrzec przed niebezpieczeństwem, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Była zbyt przerażona, jakby oniemiała ze strachu. Czarny wąż unosił się na powierzchni, ale, co ciekawe, nie przemieszczał się, jego ogon nie odrywał się od brzegu basenu.

I nagle pojęła, że to tylko cień. Cień cienia: na brzegu, po drugiej stronie basenu, stała nieruchomo jakaś postać. Christine nie widziała jej twarzy, ale rozpoznała tę sylwetkę, tors...

- Tata? - powiedziała.

Cień się nie poruszył. Nic nie odpowiedział.

Ale to przecież nie mógł być tata: tata spał na górze, w swoim pokoju. To był ktoś podobny. W jego wieku. I ten ktoś także był nagi. To odkrycie dziwnie ją przytłoczyło, poczuła się bardzo źle.

Co robiła naga Maddie w basenie z nagim mężczyzną w wieku taty? Christine miała wrażenie, że ciśnienie rozsadza od środka jej czaszkę. Uświadomiła sobie, że nie chce tego wiedzieć. Przecież leży na łóżku, śni. Chora ze strachu. Z gorączki. Z trwogi. Ale sen nie chciał się skończyć. Przeciągał się. Był jak te filmy, które trwają zbyt długo, jak karuzela, z której chciałoby się już zejść, podczas gdy zostały jeszcze dwa okrążenia.

- Chris, proszę cię, wracaj do łóżka. Zaraz przyjdę.

To był głos Madeleine: błagalny, przeniknięty niezmiernym smutkiem. Christine odwróciła się, weszła do salonu i powolnym, lunatycznym krokiem wróciła na górę do swojego pokoju. Za jej plecami znowu rozległy się szepty i usłyszała głośne pluśnięcie. Basen jest w nocy miejscem niebezpiecznym i zakazanym - przecież tata tyle razy jej to powtarzał.

\*

Nazajutrz miała jeszcze wyższą gorączkę: trzydzieści dziewięć i pięć kresiek. Leżała z włosami klejącymi się do czoła, płonącymi policzkami, bez sił, niezdolna do myślenia, w mokrej pościeli owiniętej wokół nóg. Doktor Harel otworzył pudełko ze strzykawkami. Powiedziała, że nie, nie chce zastrzyku. Uśmiechnął się: „No już, już, jesteś przecież dużą dziewczynką”. „Nie”, powtórzyła. Miała wrażenie, że z powodu gorączki oczy wychodzą jej z orbit. „Nie”. „Bądź rozsądna”, powiedział jej ojciec, po czym wyszedł. Kilka sekund później ojciec i matka z impetem otworzyli drzwi, kiedy usłyszeli krzyk lekarza, który stał z igłą wbitą w udo.

Potem Christine rzeczywiście oszalała. Zaczęła wyć, pluć, drapać. A kiedy ojciec chciał ją uspokoić, ugryzła go. To doktor Harel poradził im kontakt z psychiatrą.

\*

Jak Léo może się zadowalać wersją glin? - zastanawiała się. Jak może bazować na faktach sprzed dwudziestu lat? Przez dwa lata byli kochankami. Czy to się nie liczy? Czy nie powinien przynajmniej wysłuchać jej wersji wydarzeń? Kim są ci wszyscy ludzie, którzy pojawiają się w naszym życiu, domagając się naszej uwagi, miłości, a potem nagle odchodzą? Jakby likwidowali sklep. (Przypominam ci, że to ty go zostawiłaś, uściślił wewnętrzny głos). Jeśli nie może liczyć na Léo, kto jej pozostaje? Max, ten pijak na głodzie? Litości!

Dzwony umilkły. Wstała, by zamknąć okno, bo w pokoju zrobiło się przeraźliwie

zimno. W blasku bożonarodzeniowych iluminacji po placu na dole przemieszczali się opatuleni ludzie. W tłumie zauważyła mężczyznę około czterdziestki, który szedł sam z butelką szampana w ręku. Samotny - tak jak ona...

Kto jeszcze? Nikt. Jest sama. Tak bardzo sama, jak to tylko możliwe. Tym razem to pewne.

## 25.

### KONTRAPUNKT

Wieczorem 31 grudnia Servaz wszedł przez drewnianą bramę od strony place du Capitole na dziedziniec Henryka IV należący do tuluskiego ratusza. Idąc po bruku wśród turystów i świętującego tłumu i spoglądając na różnokolorowe girlandy zdobiące budynek, pomyślał, że wytworny i rozmiłowany w biesiadach król z pewnością nie pogardziłby tym przepychem. Pod jego pomnikiem w czasie rewolucji dodano napis: „Za życia kochał go cały lud. Kiedy go zabrakło, cały lud płakał”. Servaz nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ci, którzy *a posteriori* piszą historię, zazwyczaj robią to bardzo powierzchownie. Za życia Henryk IV był jednym z najbardziej znienawidzonych monarchów, jego wizerunek spalono, a jego imię kojarzono z antychrystem. I choć ostatecznie ukatrupił go Ravailac, wcześniej próbowano go zabić dobre dziesięć razy. Ale kłamstwo jak zwykle ma długi żywot. Servaz przeszedł przez dziedziniec i za podwójnymi rozsuwanymi drzwiami skręcił w prawo. Doszedł do pięknej kraty z kutego żelaza, za którą znajdowały się wysokie drewniane drzwi zwieńczone wyraźnym złotym napisem: OBSŁUGA WYBORÓW I SPRAW ADMINISTRACYJNYCH. Za drzwiami czekała jego przewodniczka: mała kobietka o jednakowych wymiarach wzdłuż, jak i wszerz, odziana w intrygujący fioletowy dres. Szybkim krokiem poprowadziła go przez labirynt korytarzy i znacznie mniej reprezentacyjnych biur, pchnęła jakieś drzwi i weszła do małego pomieszczenia, w którym królował komputer. Pokazała Servazowi monitor.

- Wszystko jest tutaj - powiedziała. - Zdjęcia z gali, która odbyła się 28 grudnia 2010. A lista gości jest w środku - dodała, wskazując tekturową teczkę.

Dotknął palcem rzędu fotografii na monitorze.

- Ile ich jest?

- Jakies pięćset.

- Pięćset? - powtórzył i wskazał na fotel. - Mogę usiąść?

Kobieta niespokojnie zerknęła na zegarek.

- Ile czasu to panu zajmie?

- Nie mam pojęcia.

Jego odpowiedź najwyraźniej niezbyt jej się spodobała.

- Widzi pan... Nie chciałabym się spóźnić na kolację.

Na zewnątrz od dawna było już ciemno, a w pokoiku z narastającym półmrokiem walczyła jedna jedyna lampa.



- Zamknę, jeśli pani chce - zasugerował.

- Nie, nie mogę tego zrobić. To naprawdę ważne?

Poważnie skinął głową, patrząc kobiecie prosto w oczy.

- I pilne?

To samo surowe spojrzenie. Pokonana, pokręciła głową. Jej sylwetka w fioletowym welurze odwróciła się na drobnych stopach obutych w odblaskowe żółto-pomarańczowe trampki.

- Świetnie, niech pan robi, co ma do zrobienia. Napije się pan kawy?

- Czarnej, bez cukru, dziękuję pani.

\*

Pół godziny później Servaz miał dość. Ponad dwustu gości, nie wspominając o obsłudze. A fotograf był gorliwy: pstrykał jak leci. Najwyraźniej nikt nie zadał sobie trudu, by posortować zdjęcia - chyba że wybrano jedno czy dwa dla miejscowej prasy, a reszta została zapomniana we wnętrznościach komputera.

Niektóre twarze powtarzały się bardzo często, inne tylko raz czy dwa, w dodatku niewyraźne i odległe, jakby poza planem. Jeśli wierzyć liście, była tu cała śmietanka związana z podbojem kosmosu, zaczynając od dyrektora Ośrodka Kosmicznego, którego Servaz zauważył na wielu zdjęciach, i szefa CNES. Byli też lokalni i krajowi dziennikarze, goście z rozmaitych bajek, mer, jeden deputowany i nawet jeden minister. Oczywiście bez najmniejszego trudu rozpoznał Célię Jablonkę. Uroczą młodą kobietą w wieczorowej sukni bez pleców uczesana była w uwydatniający szyć kok przetykany różowymi perełkami, z którego zręcznie wypuszczono kilka luźnych kosmyków: wystudiowana fryzura musiała ją kosztować sporo czasu spędzonego w salonie. Niewiele kobiet mogło się z nią równać i fotograf najwyraźniej stwierdził, że kobieta dobrze łapie światło albo że jest świetną reklamą tego przyjęcia, ponieważ zrobił jej mnóstwo zdjęć.

Problem polegał na tym, że rozmawiała z wieloma osobami.

Drugim kątem natarcia Servaza byli sławetni kowboje przestworzy; galaktyczny big-band. Myślał, że dzięki liście przed oczami i zdjęciom na ekranie udało mu się wyłowić trzynastu astronautów, nie potrafił jednak dopasować wszystkich nazwisk do twarzy. Uśmiechnięci goście o kwadratowych szczękach, bystrych spojrzeniach i wyglądem zdrowym jak kalifornijscy surferzy. Wszyscy w takich samych garniturach, trochę jak członkowie drużyny sportowej na oficjalnym tournée. Kiedy twarze astronautów zakodowały się w jego pamięci, wrócił do zdjęć z Célią. Rozmawiała z trójką spośród tych mężczyzn. Przynajmniej na zdjęciach. Nic nie gwarantowało, że tak ładnej dziewczyny pod nieobecność fotografa nie

zaczepili inni. Z pierwszym pojawiła się tylko raz. Rozmowa z drugim musiała trwać nieco dłużej, ponieważ były dwa zdjęcia. Rozmówca około czterdziestki roztaczał przed kobietą wszystkie swoje uroki. Célia odwzajemniała jego zainteresowanie, ale bez przesady. Z trzecim została sfotografowana w trzech różnych miejscach sali, a na ostatnim zdjęciu ich twarze były blisko siebie. Servaz poczuł, jak jego puls przyśpiesza. Na tym zdjęciu coś się działo. Fotograf zrobił zbliżenie Célie pod takim kątem, że widać było jej rozszerzone źrenice i absolutne skupienie na rozmówcy. Poza tym była na tyle blisko, by ich rozmowa wyglądała na bardziej zażyłą. To sprawa proksemii, fizycznego dystansu, który dzieli uczestników komunikacji. Każda przestrzeń jest podzielona, nie ma terytoriów neutralnych. Niezależnie od tego, które z nich - Célia czy astronauta - zrobiło pierwszy krok, ostatecznie obydwójce zgodzili się na dystans graniczny pomiędzy sferą osobistą a sferą intymną, w każdym razie z pewnością nie zachowali odległości charakterystycznej dla sfery społecznej.

Odchylił się na oparciu, splótłszy dłonie na karku. No i co z tego? Czego to dowodzi?

Pracownica ratusza wybrała akurat ten moment, by wetknąć głowę przez uchylone drzwi.

- Skończył pan?

Pożałował, że zastała go w tak rozluźnionej pozycji, i natychmiast wrócił do pozycji roboczej, z nosem w odległości kilku centymetrów od monitora.

- Jeszcze nie. Proszę mi dać jeszcze trochę czasu.

- Nie idzie pan na sylwestra, komendancie?

- Eee... idę... To już tak późno?

- Dziewiętnasta.

- Ach tak. Ale mimo wszystko.

Zawołał ją.

- Cécile, tak?

Okręła twarz w koronie kręconych włosów znowu się pojawiła.

- Słucham?

Wskazał palcem na ekran.

- Ta twarz, skądś ją znam. Wie pani, kto to jest?

Przemierzywszy niewielką powierzchnię z taką samą precyzją jak poprzednio, jakby miała wbudowany radar albo sonar, pochyliła się w kierunku monitora.

- Nie ogląda pan telewizji? - zapytała.

- Nie lubię telewizji.

Spojrzała na niego z taką miną, jakby chciała sprawdzić, czy Servaz nie żartuje.

- To Léonard Fontaine.

A ponieważ uniósł brew, dodała:

- Astronauta.

Policjant posłał jej skruszony uśmiech.

- Ach tak, oczywiście.

Zapisał sobie nazwisko.

- Jest pan żonaty, komendancie?

- Rozwiedziony. Serce do wzięcia.

Wybuchnęła śmiechem i znowu spojrzała na zegarek.

- Przyniosę pendrive'a i zgram panu wszystkie zdjęcia. Będzie pan mógł sobie je oglądać do woli. I może pan zabrać tę listę. Zdziwiłabym się, gdyby ktoś jeszcze o nią pytał. Przykro mi, ale muszę zamknąć biura.

Świąteczny nastrój w całym mieście. Nie chciało mu się wracać do ośrodka. Nie miał też ochoty dołączać do jakiejś imprezy, podczas której miałby stać ściśnięty w tłumie nieznanym poklepujących go po plecach, podczas gdy ich żony namolnie zapraszałyby go do tańca, a na wszystkich spadałby deszcz confetti i serpentyn.

Miał jednak świadomość, że jeśli wróci do ośrodka, będzie jeszcze gorzej. Nikt go tam nie lubił. Wiedział, że będzie siedział sam w kącie, z dala od wszystkich, traktowany jak zadumiony, podczas gdy pozostali będą się bawić w gąsienicę, tańczyć lub kiwać się w rytm muzyki. Z pewnością znajdzie się jakiś baran, który w pewnym momencie zacznie go wyzywać, mając go za gardzącego innymi dupka, i namówi resztę do wspólnych żartów jego kosztem, po czym Servaz nie wytrzyma i wstanie, by dać mu w mordę, i na tym impreza się skończy. Lepiej pić samemu niż w złym towarzystwie. Kupił butelkę szampana i paczkę jednorazowych kieliszków, z której wyjął jeden, a resztę wyrzucił do kosza na śmieci, i nalewał sobie, spacerując po placu pełnym przechodniów. Wokół niego pośród mroźnej nocy szybkim krokiem przemieszczały się pary w zimowych płaszczach narzuconych na wieczorowe stroje, jedne z butelką, inne z prezentami. Kobiety spoglądały na niego zaskoczone, najwyraźniej zastanawiając się, jak taki mężczyzna może pić samotnie w taką noc; panowie ciągnęli je za ręce, wzruszając ramionami, zadowoleni, że nie są na jego miejscu.

Usiadł na ławce pod basztą na skwerze Charles'a-de-Gaulle'a, kiedy w jego kieszeni rozległy się wibracje telefonu. Odebrał, nie sprawdzając, kto dzwoni - najlepszy dowód na to, że choć nie był jeszcze całkiem pijany, to jednak nie był również zupełnie trzeźwy.

- Gdzie jesteś, Martin?

Głos Vincenta. Przez twarz Servaza przemknął ślad uśmiechu.

- Wychodzę z ratusza - powiedział, obliczając jednocześnie, że od czasu pożegnania z urzędniczką miejską w fioletowym dresie i odblaskowych trampkach upłynęło już półtorej godziny.

- Z ratusza? O tej porze? Co tam robiłeś?

Nie odpowiedział, ponieważ jego uwagę zwrócił kloszard, który zerkał ukradkiem na jego do połowy opróżniony kieliszek. Servaz mrugnął do niego i podał mu naczynie.

- Szczęśliwego Nowego Roku, przyjacielu! - rzucił mu wólczega.

- Z kim jesteś?

- Z nikim. Nie świętujesz?

Co za idiotyczne pytanie.

- Właśnie w związku z tym do ciebie dzwonię. Na usilną prośbę Charlène. Ale mnie też byłoby miło. Organizujemy małą imprezę dla przyjaciół, lada moment mają się pojawić. Może byś się do nas przyłączył?

- To miłe, ale...

- Czekaj, Charlène tu do mnie macha, daję ci ją. Mam nadzieję, że przyjdiesz - dodał jego zastępca. - Chyba nie zamierzasz spędzić sylwestra w tym ponurym miejscu, Martin? A może jesteś na randce...

W tle usłyszał muzykę, jeden z tych zespołów rockowych, za którymi Vincent przepadał. A nie - to było coś bardziej ekliwego, jakaś panienka, która miauczała jak kot, któremu nadepnięto na ogon: z pewnością był to muzyczny wybór Megan, ich dziesięcioletniej córki.

- Martin? - odezwał się głos ciepły i aksamitny jak łyk baileysa.

- Cześć - powiedział.

- Jak się masz?

- Wyśmienicie.

- Może byś do nas wpadł? - zapytała głośno. - Bylibyśmy zachwyceni: wiesz, twój chrześniak się za tobą stęsknił. - Musiała się trochę odsunąć od słuchawki, bo nagle ściszyła głos. - Przyjdź. Proszę.

- Charlène...

- Proszę cię. Nie mieliśmy w ostatnich miesiącach czasu, by wiele pogadać. Chętnie bym cię... Mam ochotę cię zobaczyć, Martin. Potrzebuję tego. Obiecuję, że będę grzeczna - parsknęła.

Poznał, że piła. Rozłączył się i wyłączył telefon. Ze ściśniętym żołądkiem uniósł do ust

butelkę szampana, ale jego ręka zatrzymała się, gdy pomyślał o policjantach-alkoholikach masowo trafiających do ośrodka. Jeszcze raz spojrzął na butelkę. Zdążył już zapomnieć, w jak podły nastrój potrafi wprowadzić go alkohol. Powoli się podniósł. Popatrzył na grupę bezdomnych siedzących na ziemi po drugiej stronie alejki. Mężczyzna, z którym się podzielił, wciąż trzymał w dłoni opróżniony kieliszek. Uśmiechając się do niego, podniósł butelkę. Kloszardzi spojrzeli na Servaza i pokiwali głowami, odwzajemniając jego pozdrowienie. Mniej lub bardziej intensywnie wpatrywali się w butelkę: nie umknęło im, że jest w dwóch trzecich pełna.

Servaz podszedł do nich i podał im trunek.

- Udanego sylwestra - powiedział.

Jego gest został przyjęty oklaskami i radosnymi okrzykami.

- Hej, gościu, skoro tu jesteś, nie miałbyś fajki? - rzucił na poły zaczepnie, na poły wrogo chłopak o wychudzonej, bladej twarzy i gniewnie lśniących oczach, który najwyraźniej był nadwornym rozrabiaką bandy.

Miał kółko w prawym łuku brwiowym i drugie w dolnej wardze, trzy inne piercingi w lewym łuku brwiowym, nosie i policzku oraz z pół tuzina kótek w uszach. Servaz wyjął paczkę papierosów, którą zawsze nosił w wewnętrznej kieszeni kurtki, choć nigdy nie palił, i podał chłopakowi.

- Dzięki - rzucił młodzieniec półgębkiem.

- Nie ma za co - odpowiedział tym samym tonem, wytrzymując jego spojrzenie.

Młody człowiek w końcu spuścił wzrok. Servaz ruszył w kierunku podziemnego parkingu, gdzie zostawił samochód.

\*

Zgasił reflektory, podjeżdżając pod ośrodek. Nie chciał zostać zauważony przez Élise lub któregoś z asystentów i zmuszony do przyłączenia się do imprezy. Zamknął drzwi samochodu najciszej, jak tylko mógł, ale nic mu nie groziło, ponieważ z budynku dochodziła włączona na cały regulator muzyka. We wszystkich oknach na parterze paliły się światła i Servaz zobaczył poruszające się za nimi sylwetki.

Choć śnieg wygłuszał jego kroki, na czubkach palców wszedł do holu, który przemierzył, przemykając pod ścianami. W tym miejscu muzyka była ogłuszająca. Śmiechy, oklaski, okrzyki. Cicho, bez zapalania światła, wszedł schodami na górę. Nawet gdy zamknął drzwi pokoju, przez ściany słyhać było dudnienie basów. Servaz zerknął na zegarek. Siedem minut do północy. No cóż, i tak nie zdoła zasnąć. Włączył więc komputer i otworzył program pocztowy. Od razu zobaczył wiadomość wysłaną przez niejakiego malebolge@hell.com.

Oczywiste nawiązanie. Dante, *Boska komedia*. Mogłeś się wykazać większą wyobraźnią, pomyślał. Kiedy otworzył e-maila, owłosienie na jego ciele najeżyło się jak opiłki żelaza pod wpływem magnesu:

*I jak, komendancie, robisz postępy? Przecież dałem Ci całkiem sporo wskazówek. Ramolejesz, komendancie.*

Blask monitora oświetlał jego twarz. Waliło mu serce. Servaza uderzyło zwracanie się na „ty” i zażyły, a jednocześnie dyrektywny ton. Wpatrywał się w ekran. To był ton kogoś apodyktycznego, niecierpliwego, wręcz tyrana. Kogoś, kto wie, ale bawi się z nim w kotka i myszkę. Dlaczego? - zastanawiał się Servaz. Jeśli ta osoba, kimkolwiek jest, ma interes w tym, by sprawa została wyjaśniona (zakładając, że jest co wyjaśniać), dlaczego nie przekazał mu za jednym zamachem wszystkich informacji, jakimi dysponuje, zamiast bawić się z nim w ten sposób? Jeszcze raz pomyślał, że może to być ktoś, kogo obowiązuje tajemnica zawodowa: lekarz, glina, adwokat. Ale w tonie wiadomości było coś jeszcze: jakieś nieodparte wrażenie...

A może...

Tak, oczywiście. To on. To on popchnął Célię do samobójstwa. A teraz rzuca mu wyzwanie, by go znalazł. Zaschło mu w gardle. Miał wrażenie, że ta myśl wwierca mu się w czaszkę jak jakiś świder. Czy hipoteza jest prawdopodobna, czy znowu snuje dziwaczne fantazje, by zapełnić czymś nudę?

Oddychając coraz szybciej, wstał i w półmroku sięgnął do kieszeni wiszącej na kołku kurtki po pendrive'a, którego dostał od Cécile. Włożył go do gniazda laptopa, który w nieskończoność ładował pięćset zdjęć. Nagle głośniki na dole huknęły jeszcze mocniej i Servaz usłyszał dalekie echo krzyków i podsycanych oklasków. W blasku monitora zerknął na zegarek. Północ. Nowy rok... Zastanawiał się, czy przed jego zakończeniem wróci na służbę i czy wyzdrowieje. Wtem przypomniał sobie, że po rozmowie z Charlène wyłączył komórkę. Pomyślał o Margot. Rzucił się do kurtki i czym prędzej włączył telefon: jedna wiadomość na poczcie głosowej i jeden esemes. Najpierw głos Margot: *Szczęśliwego Nowego Roku, tato. Mam nadzieję, że masz się dobrze. Spróbuję do ciebie wpaść w tym tygodniu. Dbaj o siebie, mój tatusiu. Kocham cię!* W tle słychać było muzykę i jakieś głosy i Servaz zastanawiał się, czy Margot jest z matką, czy też w towarzystwie przyjaciół. Esemes był od Charlène. *Szczęśliwego Nowego Roku, Martin. Miałeś przyjść... Mam nadzieję, że przynajmniej dobrze się bawisz. Na razie.* Przeczytał go dwukrotnie, ale słowa Charlène

spływały po nim jak woda po kaczcze. Myślami był już gdzie indziej.

Wrócił do stołu. Włączył pokaz slajdów. Przed jego oczami znów zaczęły się przesuwać twarze. Dziesiątki twarzy. Wśród nich twarze astronautów i twarz Célie, a także dyrektora Ośrodka Kosmicznego i mera. Wszyscy pochłonięci rozmową. Mnóstwo twarzy. W jaki sposób przeprowadzić selekcję? Jak znaleźć tego, o którego chodzi? Zatrzymał się na zdjęciu, które wcześniej zwróciło jego uwagę: Célie Jablonka i ten astronauta Léonard Fontaine. Bardzo blisko siebie. Tak blisko, że każde z nich musiało czuć na twarzy oddech drugiego. Czy to jakiś trop? Nic mniej pewnego. Wstukał nazwisko mężczyzny w wyszukiwarce i zrozumiał, dlaczego urzędniczka ratusza była zaskoczona jego ignorancją. Wszystko wskazywało na to, że Léonard Fontaine to emblematyczna figura francuskiego podboju kosmosu: drugi Francuz w kosmosie, pierwszy Francuz, który postawił nogę na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, był też na stacji Mir, latał na pokładzie Sojuza i promu Atlantis, spędził na orbicie ponad dwieście dni (wyglądało na to, że to francuski rekord, daleki jednak od wyniku ośmiuset dni osiągniętego przez Rosjanina Siergieja Kriakowa, jeśli wierzyć artykułowi); komandor Legii Honorowej, kawaler Narodowego Orderu Zasługi, rosyjskiego Medalu za Odwagę. Przez NASA trzykrotnie odznaczony Space Flight Medal i dwukrotnie Exceptional Service Medal, członek rady Akademii Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej, członek American Institute of Aeronautics and Astronautics, członek Międzynarodowej Akademii Astronautycznej i Space Explorers Association, cokolwiek to oznaczało. W jego rodzinnym mieście było nawet gimnazjum jego imienia... Był też często zapraszany do telewizji i Servaz potrzebowałby całej nocy, żeby przeczytać wszystkie artykuły, w których wymieniano jego imię.

Pogrążony w myślach policjant przypomniał sobie zdjęcie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, które dał Vincentowi i Samirze.

Jak zawsze, gdy na coś wpadał, poczuł stan oszołomienia, odurzenia - było ono jednak łagodne, ponieważ w tym stadium zbiór domniemań był mizerny. Léonard Fontaine. Jednocześnie Servaza dręczyło inne, niemal przeciwne uczucie - że coś przeoczył. Coś, co jego podświadomość uchwyciła, gdy obrazy przesuwały się przed jego oczami, a on nie zareagował, być może dlatego, że trochę wyszedł z wprawy, albo dlatego, że jest stary i zmęczony, czy wreszcie dlatego, że rozpraszała go muzyka - a może wszystko naraz.

A jednak coś zobaczył i to coś wryło mu się w mózg. Tylko co to było? I w którym momencie? Nie będzie przecież kolejny raz przeglądał pięciuset zdjęć!

Jednakże to właśnie uczynił. I to nie raz, ale dwa, ponieważ pierwszy przegląd nie wniósł nic nowego. Muzyka ucichła. Pensjonariusze poszli spać. Była pierwsza dwadzieścia

trzy, kiedy wreszcie zatrzymał się na szczególe, który nieświadomie zwrócił jego uwagę. Odbicie w lustrze. Duże lustro nad bufetem, za niewielką grupą osób. W lustrze widać było Celię Jablonkę. Kobieta nie była sama.

Rozmawiała z jakimś mężczyzną. A raczej on mówił jej do ucha, wręczając jej wizytówkę, którą już trzymała palcem wskazującym i kciukiem. Uśmiechała się. Była w siódmym niebie. To był twój bankiet, hę? Dwie zdobycze jednego wieczoru. Skupił się na mężczyźnie. Trzydziestolatek, krótkie włosy. Ubrany w szarą marynarkę i niebieską koszulę. I okulary... W tym stroju i okularach ani trochę nie wyglądał na astronautę, raczej na ciacho. Aparycja mózgowca. Kim ty jesteś? - zapytał Servaz. W opalonej dłoni nieznajomego spoczywała szklanka wypełniona zielonym napojem i kawałkami lodu - Caipirinha.



## 26.

### STRESZCZENIE

Poniedziałek, 1 stycznia. Nowy rok, nowe nadzieje. Poranek. Servaz postawił stopy na podłodze. Było mu spieszno, by kontynuować podjęte śledztwo, ale jego niecierpliwość od razu zderzyła się z niepodważalnym, oczywistym faktem: był pierwszy stycznia. Wielce wątpliwe, by tego dnia ktokolwiek miał ochotę odpowiadać na pytania detektywa, niezależnie od tego, jak bardzo był on zmotywowany. Z drugiej strony Servaz nie wiedział, co miałby robić, gdyby zdecydował czekać do jutra, więc mimo wszystko postanowił spróbować.

Zastanawiał się, gdzie podział wizytówkę dyrektora Ośrodka Kosmicznego. Kiedy ją znalazł i przyjrzał jej się, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Na kartoniku widniał numer telefonu komórkowego dyrektora. Spojrzał na zegarek: minuta po ósmej. Trochę za wcześnie na wyciąganie człowieka z łóżka dzień po sylwestrze.

Czekając na bardziej przyzwoitą porę, zszedł do wspólnej sali, by nalać sobie pół filiżanki kawy. Pomieszczenie nie zostało jeszcze posprzątane i kroki Servaza zamortyzował gruby dywan serpentyn i confetti. Na stolikach piętrzyły się jednorazowe kubki, plastikowe kieliszki po szampanie, wszędzie walały się puste butelki i kartony z resztkami soku winogronowego. Nikogo na horyzoncie. Servaz podszedł bliżej, by przyjrzeć się butelkom. Czarne etykiety ze złotymi literami, pozostałości złotka na szyjce: szampan. Czyżby wolno im było pić alkohol? Pochylił się nad jedną z butelek. Nie znał tej marki, jednak w oczu rzuciła mu się cyfra w lewym dolnym rogu etykiety: 0%. By uciec od winogronowego zapachu, postanowił wypić kawę w saloniku leżącym po północnej stronie, było dalej od pola bitwy. Włączył telewizor, ale kiedy tylko zobaczył, że kanały informacyjne wyświetlają migawki z obchodów sylwestra, od razu go wyłączył. Kiedy odwrócił głowę, zobaczył, że zza szyby patrzy na niego bałwan. Wczoraj go tu nie było... Miał smutną minę i usta w kształcie odwróconej litery V. Na jego piersi ktoś napisał „MARTIN”. Servaz wrócił do pokoju.

Kiedy tylko wybiła dziewiąta, chwycił za komórkę. Dyrektor Ośrodka Kosmicznego wydawał się nieco zdziwiony jego telefonem.

- Na Boga, czy pan wie, jaki mamy dzień?

- Nie, a jaki?

Westchnienie po drugiej stronie.

- Tylko szybko. Czego pan chce?

- Léonard Fontaine.

- Znowu? Łatwo pan nie odpuszcza, co, komendancie? Co z tym Fontaine'em?

- Zna pan jakieś pikantne szczegóły? Jakiś skandal? Oskarżenia o molestowanie? Coś negatywnego na jego temat? Jakies oszczerstwa, do diabła! Ostatnim razem wyrażał się pan dość nieprecyzyjnie...

Po drugiej stronie zapadło nienaturalnie długie milczenie.

- Komendancie, w co pan gra? Mówi pan poważnie? No nie, będę musiał się zwrócić do pana przełożonych. Poza tym, że ludzie latający w kosmos nie są w gestii Ośrodka, to ja jestem ostatnią osobą, która rozpowszechniałaby plotki na czyjkolwiek temat. Słyszysz pan?

- Bardzo wyraźnie. Chce pan więc powiedzieć, że były jakieś plotki?

Urywany sygnał w słuchawce. Dyrektor się rozłączył. Cóż, najwyraźniej Servaz niewłaściwie podszedł do sprawy. Od kogo mógłby wyciągnąć plotki na temat mrocznych stron astronautów? Problem polegał na tym, że nie wiedział, od czego zacząć, a nie mógł pójść do kolegów ze służb technicznych - którzy byli pasjonatami nauk ścisłych i technologii - i poprosić ich o pomoc. Poszukiwanie w Internecie po wpisaniu trzynastu nazwisk astronautów obecnych na przyjęciu dostarczyło mu mnóstwa wiadomości podobnych do tych, które już posiadał, ale nie dało dostępu do żadnego informatora. Sprawdzał też wyniki dla par słów takich jak „astronauta” i „skandal” lub „astronauta” i „molestowanie”, ale jedyne, co uzyskał, to artykuł pod tytułem *Plotki na temat programu Apollo*, przytaczający opowieść, wedle której amerykańscy astronauta nigdy nie postawili stopy na Księżycu, a cała misja była jedną wielką inscenizacją sfilmowaną na Ziemi. Trzeba przyznać, że rzecz działa się w czasach Nixona, afery Watergate i wojny w Wietnamie, i NASA, podobnie jak pozostałe instytucje należące do amerykańskiego rządu, nie wzbudzała zaufania. Artykuł wyjaśniał, że ta plotka była tylko kolejną teorią spiskową, a następnie metodycznie zbijał argumenty tych, którzy ją rozpowszechniali. Na przykład argument złośliwców, którzy zauważyli, że flaga unosi się na wietrze, podczas gdy na jedynym satelicie Ziemi nie ma atmosfery, a zatem nie mogło być mowy o najdrobniejszym podmuchu (ach, ach, brawa za spostrzegawczość, chłopaki!). Pomijając fakt, że trzeba by być kompletnym debilem, by podczas sceny filmowanej w hangarze pozwolić na to, by dostał się tam prąd powietrza i poruszał flagą, kolejne szybko następujące po sobie ujęcia zrobione przez astronautów ukazywały, że jej kształt i sposób marszczenia się nie zmieniał. W rzeczywistości sztandar nie był wykonany z samego płótna, ale wzmocniono go zbrojeniem z nici stalowych, i to właśnie one nadawały mu taki wygląd, jakby powiewał na wietrze. Bez nich zwiślałby bezwładnie z masztu, a to byłoby mało eleganckie... Tak więc sztuczki wymyślone przez techników z NASA, by nadać wydarzeniu bardziej spektakularny wygląd, obróciły się przeciwko nim i podsyciły paranoję

zwolenników teorii spiskowych na całym świecie.

Przeglądając strony Google i dziesiątki linków niemających związku z przedmiotem jego poszukiwań, Servaz natrafił jednak - na jedenastej stronie - na rubrykę, która wzbudziła jego zainteresowanie. W linku była mowa o książce zatytułowanej *Czarna księga podboju kosmosu*, napisanej przez niejakiego J.B. Henningera. Servaz zanotował nazwisko i potrzebował jeszcze dziesięciu minut, by znaleźć jego numer telefonu i adres. Dziennikarz ten, choć był Francuzem, mieszkał w Pirenejach hiszpańskich, to znaczy mniej niż trzysta kilometrów od Tuluzy. Wreszcie wyczekiwana pomoc od losu... Pozostawało sprawdzić, co rzeczony Henninger robi w Nowy Rok. Telefon dzwonił długo, ale nie przełączał się na żadną pocztę głosową, i Servaz już się zaczynał obawiać, że numer jest nieaktualny, gdy wtem w słuchawce odezwał się donośny głos.

- Halo?

Servaz odsunął komórkę od ucha. Gość musiał być przygłuchy.

- Pan Henninger? - zapytał, nieświadomie podnosząc głos.

- Tak! To ja!

- Nazywam się Servaz! Komendant Servaz z policji kryminalnej w Tuluzie! Chciałbym z panem porozmawiać!

- Na jaki temat?

- Na temat tej książki, którą pan napisał: *Czarnej księgi podboju kosmosu*.

- Czytał pan?

- Nie, przed chwilą się dowiedziałem o jej istnieniu.

- A! Tak myślałem. Krąg moich czytelników jest niemal tak wąski jak grono astronautów, o którym piszę. W czym mogę panu pomóc, komendancie?

- Chciałbym panu zadać kilka pytań.

- Na jaki temat?

- Cóż, jest pan kimś w stylu... historyka, specjalisty od podboju kosmosu, zgadza się?

- Tak. Myślę, że można tak powiedzieć.

- Chciałbym się dowiedzieć, czy były jakieś skandale dotyczące pewnych, hm... francuskich astronautów?

- Pan wybaczy, jakiego rodzaju skandale ma pan na myśli?

- Nie wiem... przemoc, molestowanie, rozumie pan, coś, co zdarza się właściwie wszędzie, ale wśród nich jakby nie występuje...

Wybuch śmiechu po drugiej stronie.

- Naganne zachowania, wyciszone afery, brzydkie tajemnice... O tym chce pan

porozmawiać?

- Tak.

Cisza.

- Chodzi panu o kogoś konkretnego?

Servaz podał mu nazwisko. Długo czekał na odpowiedź.

- Podam panu adres, nie możemy rozmawiać o tym przez telefon - powiedział nagle mężczyzna. - I będę musiał sprawdzić pańską tożsamość.

Servaz poczuł, że jego serce zaczyna bić żywiej. Może i pan Henninger był głuchy, ale nie wydawał się szczególnie zaskoczony jego osobliwym pytaniem.

- Kiedy możemy się spotkać?

- A co się właściwie dzieje, komendancie?

- Powiem panu, jak się zobaczymy.

- W porządku. Znakomicie. Czekam na pana.

- Chce pan powiedzieć: dzisiaj?

- To panu się śpieszy, prawda? Dlaczego nie? Ma pan inne plany? Wygląda na to, że nie.

\*

Servaz wziął prysznic i wyruszył na południe. Nie sprawdził prognozy pogody i nagle nabrał obaw, że droga do Pas de la Case przez tunel Envalira będzie zamknięta z powodu opadów śniegu. Najwyższa przełęcz Europy ma wysokość 2409 metrów, a podjazd zaczyna się trzydzieści kilometrów wcześniej, w Ax-les-Thermes, tuż poniżej drogi krajowej numer 20, prowadzącej z Paryża do granicy Andory z Hiszpanią w Pirenejach. Niedawno ostatni odcinek drogi przez przełęcz zastąpiono tunelem o długości trzech kilometrów, ale jako że zaczynał się on na wysokości dwóch tysięcy metrów, on także zimą bywał zamknięty.

Od czasu, gdy opuścił Ax-les-Thermes, droga coraz bardziej pięła się w górę, a ściany śniegu po obu jej stronach były coraz wyższe. Po niespełna trzech godzinach jazdy Servaz odetchnął więc z ulgą na widok wiaduktu oznaczającego granicę między Francją a Andorą, za którym zaczynał się tunel. Przez następne dwadzieścia kilometrów droga biegła wśród pięknego górskiego krajobrazu, po czym Servaz wjechał w ludne uliczki Andorra la Vella - pirenejskiego Monte Carlo z nowoczesnymi (wbrew temu, czego można by się spodziewać na podstawie nazwy)<sup>11</sup> zabudowaniami, sklepami z nieopodatkowanym sprzętem high-tech, niedawno zbudowanymi hotelami, systemem fiskalnym jak w raju i gęstym ruchem ulicznym.

---

<sup>11</sup> Andorra la Vella to w polskim tłumaczeniu „Stara Andora”.

Kierując się przez cały czas na południe, Servaz przeciął granicę i ruszył w stronę Seo de'Urgel, gminy liczącej trzynaście tysięcy mieszkańców, u spływu rzek Valira i Segre.

Miejsce, którego adres podał mu Henninger, znajdowało się nieco dalej, na terenie Cadi-Moixeró - największego parku krajobrazowego Katalonii. Dom, którego szukał, położony był wśród dzikiej przyrody, między sosnami, brzoza, klonami i topolami, i wysiadając z samochodu, Servaz poczuł się jak w Kanadzie. Oddychał czystym, orzeźwiającym powietrzem i wsłuchiwał się w ciszę, gotów na spotkanie tamy bobrowej albo niedźwiedzia ostrzającego sobie pazury o drzewo. Okolica była niesłychanie urokliwa. Chętnie zatrzymałby się w takim miejscu na kilka dni albo tygodni. A może i lat?

Spojrzał w kierunku domu. Budynek był w całości z drewna, od południa miał taras wychodzący na dolinę.

Mężczyzna, który wyszedł mu na powitanie, w żadnym calu nie przypominał jednak kanadyjskiego drwala. Miał nie więcej niż metr trzydzieści wzrostu i podpierał się laską, która z każdym krokiem zapadała się w śniegu. Był brodaty i mocno umięśniony. Przywitał Servaza żelaznym uściskiem dłoni.

- Dzień dobry! Nie miał pan zbyt dużych problemów z trafieniem tutaj? Szczęście, że wczoraj odśnieżyli drogę!

Mówił tak samo głośno jak przez telefon. Jednym z częstych objawów przy achondroplazji - najpowszechniejszej formie karłowatości - są nawracające zapalenia uszu, w efekcie prowadzące do tympanosklerozy, która powoduje mniejszy lub większy niedosłuch. Szczęście, że gość nie ma sąsiadów - pomyślał Servaz. Henninger przyjrzał mu się badawczo.

- Głina, he? Nie powiedział mi pan, skąd pan jest.

- Brygada śledcza, wydział kryminalny w Tuluzie.

- Aha, a zatem brygada śledcza zainteresowała się astronautami? - Oczy Henningera płonęły.

- Chyba nie ma pan zamiaru mnie tu zamrozić? - zapytał Servaz.

Człowieczek wybuchnął śmiechem.

- Nie! Ale pana sprawa ogromnie mnie zaintrygowała. Nie ukrywam, że od pańskiego telefonu z niecierpliwością przebieram nogami.

- Brakuje panu towarzystwa?

Kiedy Servaz zobaczył wnętrze domu, nabrał jeszcze większej ochoty, by tu zostać. Ściany z bali, podłoga z desek kasztanowca, stare, głębokie, wygodne fotele, kominek, w którym trzaskały trzy duże polana lizane płomieniami, barek z miedzianymi naczyniami, piętrzące się wszędzie książki i duże okno wychodzące na las.

Servaz rozejrzał się dookoła.

- Dlaczego pan się tu osiedlił?

- Pyta pan, dlaczego po tej stronie Pirenejów? Z bardzo prostego powodu. Kiedy polecę pan rejsowym samolotem z Francji do Hiszpanii, zobaczy pan, że pokrywa chmur uderza w te szczyty jak armia Sarumana na fortecę króla Theodena.

- Czyja armia?

- Nieważne. Dwie minuty wcześniej przelatuje pan nad nieprzeniknioną warstwą chmur, a minąwszy góry, nagle widzi pan rzeki, drogi, miasta, jeziora, aż po horyzont, i ani jednej chmurki. Tak samo kiedy pokonuje pan drogę z północy na południe przez tunel Envalira i księstwo. W dwóch trzecich przypadków z pochmurnej pogody wjeżdża pan w bezchmurną i słoneczną. Dlatego tutaj zamieszkałem. Aby móc jak najczęściej patrzeć na gwiazdy.

Servaz zdążył już zauważyć wielki teleskop oczekujący na statywie na bardziej sprzyjające noce. A także czarno-białe zdjęcia z 21 lipca 1969 roku, uproszczone modele rakiet Apollo 11 i Sojuz oraz miniaturkę sputnika na półkach biblioteczki. Henninger zaprosił go, by usiadł w fotelu, a sam opadł na drugi. Wyglądał w nim jak dziecko na siedzeniu przeznaczonym dla dorosłego.

- Czasem się zastanawiam, skąd u mnie ta miłość do kosmosu. Faktem jest, że w wieku siedmiu czy ośmiu lat chciałem być astronautą. Rysowałem rakiety, skafandry, planety, przez okno pokoju wpatrywałem się w Księżyc, marząc o dniu, kiedy na nim stanę... Jak się pan domyśla, dorastając, że tak powiem, zrozumiałem, że nigdy nie zostanę astronautą. - Uśmiechnął się. - Ale to tylko podsyciło moje zainteresowanie tym zawodem i przestrzenią kosmiczną jako taką. Świadomość, że nigdy nie będę mógł opuścić atmosfery ziemskiej, że będę skazany, by marzyć o tym z dołu, na próżno próbując sobie wyobrazić, co czują ci ludzie tam na górze. Jako nastolatek pożerałem powieści science fiction i książki popularnonaukowe. W ubiegłym roku po raz pierwszy odbyłem lot paraboliczny na pokładzie airbusa A300 ZERO-G. Kosztowało mnie to bagatela pięć tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt euro, ale jakaż to była frajda! Oczywiście mam świadomość, że to jest nic w porównaniu z przeżyciami astronautów. To największa, niezrównana przygoda dostępna człowiekowi. Dalej nie ma już nic. Opuścić Ziemię... Ale kto wie? Może dożyjemy czasów, kiedy loty kosmiczne będą w naszym zasięgu. Coraz więcej prywatnych agencji się do tego przymierza.

Servaz zauważył, że mężczyzna przeniósł się wzrokiem w odległe przestrzenie. Nie minęła jednak sekunda, a był z powrotem.

- Ale pan, jak sędzę, przyjechał tu z o wiele bardziej przyziemnych powodów - powiedział.

- Chcę się dowiedzieć, czy niektórzy astronauta mogli być zamieszani w jakieś skandale.

- Skandale? No tak. A co pan przez to rozumie?

- Przemoc, molestowanie seksualne, niestosowne zachowania. Właściwie to najbardziej interesuje mnie Léonard Fontaine. Kiedy wymieniłem to nazwisko przez telefon, miałem wrażenie, że pan zareagował.

- A dlaczego akurat on?

Tak, dlaczego on? - zapytał samego siebie. Ostatecznie Célia mogła na tym przyjęciu spotkać też innego astronautę.

- On albo kto inny - poprawił się. - Czy wie pan o tego rodzaju incydentach z ich udziałem?

Henninger spojrzał na niego spod na wpół przymkniętych powiek. Przez chwilę się zastanawiał.

- Musi pan wiedzieć, że astronauta to na ogół faceci z kilkoma dyplomami, niezawodni i świetnie wytrenowani - zaczął. - Przechodzą baterie testów psychologicznych i przez cały rok poddawani są wszelkim możliwym badaniom lekarskim, ale to także silne osobowości, twardziele. Żeby wytrzymać tam na górze, w tych ciemnościach, hałasie i ciągłej bliskości, trzeba mieć niesamowicie mocną psychikę. Poza oficjalną fasadą historia podboju kosmosu jest jednak usłana różnymi incydentami. Które są pieczołowicie wyciszane. Bardzo mało wiadomości przedostaje się na zewnątrz, czy to z Gwiezdnego Miasteczka, czy z Houston, czy stąd... - Rozłożył dłonie, a potem włożył jedną w drugą, jakby trzymał w nich jakąś puszkę. - Agencje kosmiczne są niemal równie dyskretne jak agencje wywiadowcze, niemniej jednak od czasu do czasu jakieś fakty przedostają się do prasy: wiemy o pewnym małżeństwie radzieckich kosmonautów, które w ostatnich dekadach doświadczało poważnych problemów psychicznych, o amerykańskich astronautach, którzy przyznali się do cierpienia, a nawet do lekkiej depresji z powodu izolacji podczas pobytu w Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Wiemy też, że zdarzały się incydenty, napięcia i kryzysy na pokładzie stacji Mir i stacji międzynarodowej, ale fakty są ukryte w poufnych raportach i rzadko wychodzą na światło dzienne. Jednak dwa najbardziej znaczące incydenty, afery Judith Lapierre w 1999 i afery Nowak w 2007, wydarzyły się na Ziemi. - Pochylił się do przodu. - W latach 1999-2000 rosyjski instytut badający problemy medyczne i biologiczne przeprowadził serię eksperymentów, by sprawdzić reakcję człowieka na warunki izolacji panujące w kosmosie. Jeden z tych eksperymentów polegał na umieszczeniu na sto dni kilku królików doświadczalnych w replice stacji Mir na Ziemi. Ich interakcje i zachowania były filmowane,

szczegółowo oglądane i analizowane dwadzieścia cztery godziny na dobę przez zespół psychologów. 3 grudnia 1999 roku troje cudzoziemców i jeden Rosjanin zostali dołączeni do czwórki Rosjan, którzy przebywali w zamkniętej przestrzeni stacji od początku lata. Wśród przybyłych znajdowali się Austriak, Japończyk oraz doktor Judith Lapierre, piękna trzydziestodwulatka z doktoratem z medycyny, przysłana przez Kanadyjską Agencję Kosmiczną. - Henninger wstał, podszedł do barku i wrócił z małym jointem. - Chce pan? - zapytał.

- Nie, dziękuję, zapomina pan, że jestem z policji.

- A pan zapomina, że jesteśmy w Hiszpanii i że tutaj to jest legalne. - Sięgnął po zapalniczkę marki Zippo, podniósł wieczko, przekręcił kółko trące i zbliżył płomień do skręta. - Krócej niż miesiąc po ich przybyciu, przy okazji imprezy sylwestrowej, pijany rosyjski dowódca dwukrotnie usiłował siłą pocałować Judith Lapierre, obmacywał ją i próbował zaciągnąć poza zasięg kamery, by odbyć z nią stosunek. Wskutek czego między dwójką rosyjskich kosmonautów wywiązała się bójka, na tyle poważna, że krew bryzgała na ściany. Judith Lapierre zrobiła zdjęcia plam swoim aparatem i pocztą elektroniczną wysłała je do domu. Austriak i Japończyk zwrócili się natomiast do swoich krajów z prośbą o interwencję w celu przywołania Rosjanina do porządku. Odpowiedziano im, że takie zachowania są wśród Rosjan normalne i albo je zaakceptują, albo wycofają się z eksperymentu. Nazajutrz doszło do kolejnego incydentu. Jeden z kosmonautów musiał ukryć noże w kuchni, ponieważ uczestnicy bójki z poprzedniego dnia grozili, że się nawzajem pozabijają. Z powodu panujących napięć oraz przemocy słownej i fizycznej Japończyk uznał, że nie jest w stanie kontynuować misji i wycofał się z projektu. Lapierre wahała się, czy tak szybko dać za wygraną. Kiedy otrzymała zamki do swojego pokoju, zdecydowała się zostać. W następstwie tych zdarzeń doktor Walerij Guszin, koordynator projektu, oskarżył Lapierre o to, że odmawiając pocałunku (a także stosunku z rosyjskim dowódcą, jeśli kierować się tą logiką), zepsuła atmosferę misji. Po powrocie do kraju Judith Lapierre wytoczyła proces Kanadyjskiej Agencji Kosmicznej o nieudzielenie jej pomocy, i po pięciu latach wygrała. - Człowieczek jeszcze bardziej pochylił się do przodu. Jego oczy lśniły jak diamenty. - Drugi incydent dotyczył doświadczonej amerykańskiej astronautki Lisy Marie Nowak, która uczestniczyła w misji promu Discovery. 5 lutego 2007 Lisa Nowak została zatrzymana przez policję i przesłuchana w sprawie usiłowania porwania z lotniska w Orlando kapitan Colleen Shipman, oficera Air Force, która miała związek z innym astronautą, Williamem Oefeleinem, z którym Nowak właśnie zerwała. W samochodzie Nowak znaleziono lateksowe rękawiczki, perukę i okulary przeciwsłoneczne, a także naładowany pistolet BB, gaz pieprzowy, nóż z



ostrzem długości dziesięciu centymetrów, duże worki na śmieci i gumową linę. Nowak napadła na Colleen Shipman tuż po jej przylocie z Houston. Zaatakowała ją gazem pieprzowym na parkingu, ale ofiara zdołała uciec i wezwać policję. Kamery monitoringu nagrały Nowak przebraną w perukę, trencz i ciemne okulary. Aż do tego dnia praca i zachowanie Lisy Nowak jako astronautki były bez zarzutu. - Gospodarz jeszcze bardziej się pochylił. - Nie widziałem akt, ale przecież biorąc pod uwagę sprzęt znaleziony w jej samochodzie, wygląda to na usiłowanie zabójstwa, prawda? Prokurator jednak uznał inaczej. Zmniejszył początkowy ciężar oskarżeń, zapominając nawet o próbie porwania, i wszyscy zaczęli myśleć, choć sama Colleen Shipman utrzymywała, iż Nowak zamierzała ją zabić, że zdarzenie nie było takie poważne, na jakie wyglądało. Akurat. Jest pan błyskotliwą, inteligentną kobietą, której wszystko się udaje, poza, najwyraźniej, życiem prywatnym, i jedzie pan dziewięćset kilometrów przez pięć stanów przebrany w perukę, trencz i ciemne okulary, z lateksowymi rękawiczkami, dziesięciocentymetrowym nożem, repliką pistoletu automatycznego na sprężone powietrze, gumową liną i workami na śmieci w bagażniku tylko po to, by psiknąć rywalce w twarz odrobiną gazu pieprzowego? Ostatecznie Lisa Nowak zarobiła dwa dni więzienia i rok policyjnego dozoru.

Henninger nieśpiesznie zaciągnął się jointem, wpatrując się w Servaza spod zmrużonych powiek. Wizerunek nadludzi został poważnie nadszarpnięty. Policjant zauważył, że w dwie główne afery zaangażowani byli mężczyźni i kobiety. W obu sytuacjach chodziło o zazdrość, nękanie i pożądanie.

- Po tym incydencie NASA zrewidowała wszystkie procedury opieki psychologicznej nad astronautami - ciągnął dziennikarz. - I przeprowadziła badania ich poziomu stresu, a także w kwestii sposobu leczenia astronauty z tendencjami samobójczymi albo psychotycznymi podczas pobytu w kosmosie. W roku 2009 specjaliści posunęli się jeszcze dalej: zadali sobie pytanie, jakiej jurysdykcji podlegałby winien lub winni zbrodni popełnionej na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, skoro przebywający tam astronauta zawsze są kilku narodowości. Ta kwestia jest przedmiotem intensywnej dyskusji prowadzonych na arenie międzynarodowej. O ile mi wiadomo, Francuzi nigdy nie brali tego rodzaju sytuacji pod uwagę. To dla nich kłopotliwy temat.

Servaz uniósł brew.

- A czy... czy w tym incydencie z Fontaine'em także chodziło o kobietę?

- O kobietę? - Człowieczek spojrział na Servaza i skinął głową. - A tak, rzeczywiście...

- Kiedy to było?

- W 2008. W Rosji. - Przed jego współprzymkniętymi oczami przesunął się obłoczek

dymu. - W Gwiezdnym Miasteczku.

Servaz poczuł dreszcz przebiegający po plecach.

- Co się wydarzyło?

Henninger zaszczycił go kolejnym spojrzeniem.

- Pozwoli pan, że najpierw opowiem panu pewną historię. Historię stosunków panujących między kobietami i mężczyznami przez cały czas podboju kosmosu. Historię długiej walki kobiet o własne miejsce w przestworzach. Szybko odgadnie pan, do czego zmierzam. Od roku 1960, jeszcze zanim Gagarin odbył swój pierwszy lot, doktor William Randolph Lovelace przeprowadził badania nad możliwością włączenia kobiet do programów kosmicznych. Pewna liczba kobiet-pilotów została poddana bardzo surowym testom fizycznym i psychologicznym, takim samym, jakie przechodzą mężczyźni, i trzynastie z nich osiągnęło fantastyczne wyniki, wyższe nawet od tych, które uzyskiwali panowie. Zostały zatem poddane kolejnej porcji testów w Pensacoli na Florydzie, w Szkole Medycyny Morskiej. Jednak na dwa dni przed ich wylotem US Navy i NASA nagle zamknęły projekt, twierdząc, że jest on prywatną inicjatywą, a owe panie nie są pilotami wojskowymi. Jak pan wie, pierwszym Amerykaninem, który w 1962 roku znalazł się na orbicie, dziesięć miesięcy po Gagarinie, był John Glenn, ten sam John Glenn, który w owym czasie oświadczył: „Rola mężczyzn jest walczyć na wojnie i latać w kosmos, kobiety nie biorą udziału w tych zajęciach”. No cóż, inne czasy, inne obyczaje... Na pierwszą Amerykankę w kosmosie trzeba było czekać do roku 1983. Była to Sally Ride, która odbyła lot na pokładzie wahadłowca Challenger. Zmarła w 2012 roku na raka trzustki. Przy tej okazji szef NASA podkreślił, że, cytuję, Sally „z wdziękiem i profesjonalizmem przełamała bariery i dosłownie zmieniała amerykański program kosmiczny”. - Spojrzał na Servaza. - Dziwny dobór słów, prawda? „Bariery, wdzięk, profesjonalizm...” A przecież Sally Ride nie była pierwszą kobietą w kosmosie. Podobnie jak pierwszy mężczyzna, pierwsza kobieta była Rosjanką. Czy raczej Sowietką. Walentyna Tierieszkowa, dwadzieścia lat wcześniej. Bo po olbrzymim sukcesie propagandowym, jakim był lot Gagarina, Chruszczów postanowił wysłać w kosmos kobietę. Tierieszkowa została wybrana spośród kilkudziesięciu kandydatek. Tak naprawdę, lot orbitalny kobiety o pseudonimie „Mewa” wcale nie przebiegł pomyślnie. Trzeba powiedzieć, że warunki lotu były straszne, Walentyna w trakcie lotu z pewnością chorowała, podobnie jak rok wcześniej Titow, a drugiego dnia nie udało jej się przejąć ręcznej kontroli nad statkiem. Dostrzeżono także pewne niepokojące zmiany w jej zachowaniu. Niemniej jednak po wylądowaniu została powitana jako bohaterka Związku Radzieckiego i odbyła triumfalne tournée po świecie. Jednak jej koledzy płci męskiej z Gwiezdnego Miasteczka, a także uczeni

odpowiedzialni za program uznali, że kobiety nie są jeszcze gotowe, i być może nigdy nie będą, do podróży kosmicznych. I choć Związek Radziecki wciąż kształcił więcej kobiet-inżynierów, kobiet-oficerów i kobiet-pilotów niż którykolwiek inny kraj, a panie niezmiennie przygotowywały się do lotów kosmicznych, te zawsze były w ostatniej chwili odwoływane. Kolejna kobieta poleciała w kosmos dopiero w roku 1982. To posunięcie ze strony Sowietów miało służyć tylko zadaniu bobu Amerykanom, którzy przygotowywali się do wysłania w kosmos Sally Ride. Proszę, chce pan jeszcze? W roku 1979 prezydent Giscard d'Estaing przebywał z oficjalną wizytą w Związku Radzieckim. Z tej okazji Breżniew zaproponował mu wysłanie w kosmos francuskiego astronauty. To był pierwszy raz, kiedy ZSRR zapraszał do swoich lotów kosmicznych niekomunistyczny kraj. Spośród czterystu kandydatów wybrano ostatecznie pięcioro: czterech mężczyzn i jedną kobietę, ale ponieważ na kobietę Sowietci nie wyrazili zgody, polecili tylko panowie. - Dziennikarz pochylił się w jego stronę i westchnął. - Dziś sprawy wcale nie mają się lepiej, wręcz przeciwnie: w ciągu pięćdziesięciu lat wśród w sumie pięćdziesięciu siedmiu kobiet, które poleciały w kosmos, były tylko trzy Rosjanki, za to aż czterdzieści trzy Amerykanki. Kiedy w roku 2010 na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej przebywały po raz pierwszy cztery kobiety jednocześnie, nie było wśród nich ani jednej Rosjanki. W aktualnym rosyjskim programie załogowym wśród czterdziestu kosmonautów nie ma ani jednej kobiety. Ostatnia, Nadieżda Kuźelnaja, opuściła korpus kosmonautów w 2004 roku, po dziesięciu latach przygotowań. Jej loty na pokładzie Sojuza wielokrotnie były anulowane i przekazywane astronautom z Europejskiej Agencji Kosmicznej czy nawet miliarderni pokroju Dennisa Tito. Oczywiście lotów jej kolegów nie odwoływano... - Mężczyzna odchylił się do tyłu. - Jest tylko jeden kraj, w którym dysproporcja w liczbie mężczyzn i kobiet jest równie duża jak w Rosji - dokończył, wpatrując się w Servaza. - To Francja.

- A zatem większość kosmonautów to maczo, fallokraci. A stąd już tylko krok do zostania sprawcą przemocy, zgadza się?

Henninger energicznie pokręcił głową.

- Nie, nie, nie, niech mi pan nie wkłada w usta rzeczy, których nie powiedziałem. Znakomita większość naszych astronautów to dżentelmeni, świetni goście, którzy dzięki swojemu wykształceniu nauczyli się szanować kobiety oraz ich kompetencje, zresztą, jak panu powiedziałem, sytuacja powoli się poprawia. Ale Fontaine należy do starej gwardii. Dużo się spotykał z kosmonautami z Rosji i astronautami amerykańskimi dawnej szkoły. To wśród nich mniej lub bardziej się wychowywał w czasach, kiedy był *rookie*, nowicjuszem. Ci goście, a przynajmniej część z nich, mieli poglądy na kobietę prawie... średniowieczne, niech

mi pan wierzy. Mieszanka rycerskości i dyskryminacji.

- W dalszym ciągu nie powiedział mi pan, co się wydarzyło.

- Bo tutaj sprawa się komplikuje - przyznał Henninger. - Wie pan, jak to działa w tym kraju: jesteśmy świetni w nagłaśnianiu dysfunkcji innych, ale jeśli u nas coś nie działa, konsekwentnie zamiatamy to pod dywan. ESA, Europejska Agencja Kosmiczna, oraz CNES nigdy nie komunikowały się w tej sprawie. Garść informacji, którą posiadamy, pochodzi z przecieków, nie doszło też do wniesienia skargi. Czym prędzej więc wszystko wyciszono.

- Co wyciszono? - zapytał Servaz.

- Powtarzam: sprawa nie jest jasna. Wiemy tylko, że rzecz działa się w 2008 roku. ESA wysłała Fontaine'a i młodą astronautkę francusko-rosyjskiego pochodzenia na treningi w Gwiezdnym Miasteczku, po których mieli odbyć lot na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Misja została odwołana w ostatniej chwili. Po powrocie Fontaine był już nie ten sam. Sądzę, że na miejscu rosyjska policja mniej lub bardziej oskarżyła go o molestowanie i przemoc wobec młodej astronautki. Coś w tym stylu. Nie znam całej historii. ESA wyciszyła sprawę, by nie zszargać opinii jednego z najświetniejszych bohaterów, a Rosjanie zrobili to samo, żeby nie psuć wizerunku Gwiezdnego Miasteczka. Jakkolwiek było, po tym zdarzeniu Fontaine nie brał już udziału w żadnym projekcie. Od tamtego czasu Agencja Kosmiczna używa go tylko do wydarzeń medialnych, kampanii reklamowych. Został VIP-em numer jeden, Tomem Cruise'em Agencji. Ale jako astronauta jest spalony.

- Wie pan, jak się nazywa ta młoda kobieta?

Henninger przytaknął.

- Oczywiście. Nawet się z nią spotkałem. Ale odmówiła wchodzenia w szczegóły. To było... - przez chwilę szukał słowa - dziwne... Czułem, że z jednej strony obawia się, że powie za dużo, a z drugiej aż się w niej gotuje, żeby się uwolnić od tego ciężaru. Pamiętam, jak zapytałem ją, czy to prawda, że doszło do przemocy, a ona twierdząco pokiwała głową. Ale kiedy spytałem, jakiego rodzaju to była przemoc, odmówiła odpowiedzi.

Servaz zadrżał. Być może ma właściwego człowieka.

- Jest pan pewien tego, co pan mówi? - zapytał. - Trudno uwierzyć, że gość taki jak on może być perwersyjnym manipulantem.

- Nie jest to aż tak niewiarygodne, jeśli człowiek zastanowi się nad tym, co się zdarzyło w 1999. Judith Lapierre o mało nie została zgwałcona, a dwaj kosmonauci prawie się pozabijali. Albo przypomni sobie sprawę Nowak z 2007. Krąży też historia kosmonauty ze stacji Mir, który ześwirował i chciał otworzyć luk. Podobno pozostałym udało się go powstrzymać tylko z wielkim trudem. Dlaczego astronauta miałby się różnić od innych ludzi,

komendancie? Dlaczego mieliby nie mieć swoich słabości, dlaczego miałyby wśród nich nie być parszywych owiec? Chcemy mieć określony wizerunek astronauty. Ale rzeczywistość taka nie jest.

\*

Servaz przez chwilę trawił słowa Henningera. Miał wrażenie, że zajrzał za zasłonę, za którą dalej czeka na niego rozgwieżdżona noc. Noc, której głębin jeszcze nie przeniknął.

- Czy mógłbym od pana dostać adres i numer telefonu tej kobiety? - zapytał.

Henninger wstał.

- Tak. Nie ma problemu, już szukam.

Dziennikarz wyszedł z pokoju. Wykorzystując tę chwilę, Servaz zaczął się gorączkowo zastanawiać. Czy Célia oprócz tego, że była nękana, była też bita i gwałcona? Najwyraźniej ma do czynienia z recydywistą: a w takim razie być może istnieją inne ofiary... Henninger wrócił z karteczką. Servaz przeczytał:

*Mila Bolsanski*

*Route de la Métairie Neuve*

- Mila to słowiańskie imię - zauważył.

- Tak. Mówiłem panu, ma podwójne pochodzenie, francusko-rosyjskie. I to jest właśnie problem.

- Jak to?

- No cóż, zasadniczo w Gwiezdnym Miasteczku rosyjscy kosmonauci nie zachowują się tak samo wobec swoich koleżanek jak wobec astronautek z innych krajów. Niech pan spojrzy na Claudie Haignere: zawsze pozdrawiała rosyjskich partnerów, „tak wesołych i uprzejmych”, i zawsze mówiła, że wszyscy się tam o nią troszczyli, nawet stary dobry generał Aleksiej Leonow, który był jej „kiciusiem”. Ten sam Leonow, który w 1975 jako komendant Sojuza 19 podczas pierwszej amerykańsko-radzieckiej misji tłumaczył dziennikarzom, że radziecki program kosmiczny nie potrzebuje kobiet. Podobnie Shannon Lucid. Była w Międzynarodowej Stacji Kosmicznej w towarzystwie dwóch rosyjskich kosmonautów, o których pieszczotliwie mówiła: „moich dwóch Jurijów”. Słyszała o macyzmie i mizoginizmie rosyjskich kosmonautów, ale nic takiego jej nie spotkało, a porozumienie z Jurijami w układzie jedna kobieta i dwóch mężczyzn na bardzo ograniczonej powierzchni było absolutnie doskonałe. Tymczasem Rosjanki często skarżyły się na sposób, w jaki są traktowane: jak jednostki zupełnie zbędne, kosmonauci drugiego gatunku... Wygląda na to, że

w Gwiezdnym Miasteczku z powodu podwójnej narodowości Mila traktowana była bardziej jak Rosjanka niż jak Francuzka. - Odchylił się w fotelu. - Ale jeśli chce się pan dowiedzieć więcej, radzę panu zwrócić się bezpośrednio do niej. - Spojrzał na Servaza. - A teraz moja kolej na zadawanie pytań. Dlaczego policjant z brygady kryminalnej nagle się zainteresował Léonardem Fontaine'em?

Servaz wahał się odrobinę za długo.

- Hej, ja powiedziałem panu wszystko, co wiem!

- To nie jest oficjalne śledztwo.

- Jak to?

- Powiedzmy... no cóż, prowadzę śledztwo na własny rachunek.

Przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu.

- Hmm. I to śledztwo dotyczy Léonarda Fontaine'a?

Servaz skinął głową twierdząco.

- Znowu jakiś gwałt?

Pokręcił głową.

- Nękanie?

Przytaknął.

- Boże, dlaczego mnie to nie dziwi! Taki typ zawsze zrobi to kolejny raz. Nie może pan powiedzieć nic więcej?

- Na razie nie...

- Cholera, niech mi pan da słowo, że jak pan skończy to śledztwo, zostanę poinformowany jako pierwszy

- Słowo.

- A ta kobieta - zapytał - spotkało ją to samo, co Milę Bolsanski, tak? Została zgwałcona?

- Nie, ona nie żyje.

Oczy jego rozmówcy zapłonęły ciekawością.

- Jak to nie żyje? Morderstwo?

- Samobójstwo.

## 27.

### DIWA

O piętnastej czterdzieści pięć ruszył w drogę powrotną. Niebo robiło się coraz ciemniejsze i znowu zaczęło delikatnie prószyć. Szczyty gór zasnuwały się chmurami. Znalezienie się po drugiej stronie przed nocą było dla Servaza wyzwaniem. Nagle zapragnął jak najprędzej mieć to już za sobą.

Jadąc - mimo że właściwie było jeszcze dość jasno - z zapalonymi światłami mijania i włączonymi wycieraczkami, zastanawiał się, w jaki sposób Fontaine dobiera sobie ofiary. Mila Bolsanski stanęła na jego drodze za sprawą przypadku i Agencji Kosmicznej, spotkanie z Célią także było skutkiem splotu okoliczności, podobnie jak tyle innych znajomości, które wcale nie kończą się nękaniami i przemocą, pomyślał. Czy są inne ofiary? Czy Fontaine je obserwuje? Czy uczy się poznawać ich zwyczaje? Czy zanim je zaczepi, zbiera na ich temat jak najwięcej informacji? A może przeciwnie, zawsze są to osoby, które los, ta wielka niebieska loteria, stawia na jego drodze? Servaz utknął za autobusem na długim podejździe do Andory. Ilekroć próbował go wyprzedzić, znajdował się nos w nos z samochodami pędzącymi z naprzeciwka. W końcu, tuż za punktem opłat straży granicznej, zaparkował i wyjął telefon, by zadzwonić do Mili.

Odebrała po drugim sygnale. Mówiła ostrożnie, nieśmiało. Servaz zrozumiał, że u takich kobiet, choć wspomnienie przemocy fizycznej w końcu się zaciera, długo znoszone upokorzenia i krzywdy pozostawiają niezatarty ślad.

- Dzień dobry - powiedział. - Nazywam się Martin Servaz, jestem komendantem policji. Chciałbym się z panią spotkać i porozmawiać. Dostałem pani numer od pana Henningera, dziennikarza.

- Czego pan chce ode mnie?

- To dotyczy Léonarda Fontaine'a.

Kobieta przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. W tym czasie Servaza zdążyły minąć cztery samochody osobowe i trzy ciężarówki.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać - odpowiedziała w końcu.

- Wiem, że wtedy wycofała pani skargę, pan Henninger mówił mi o pani niechęci do wspomniania tego... zdarzenia. Ale pojawiły się nowe okoliczności.

- Co pan ma na myśli?

- Wolałbym to pani powiedzieć w cztery oczy, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Trąbienie klaksonu rozdarło powietrze.

- Proszę pana, nie wiem, czy mogę panu pomóc. Jeśli o mnie chodzi, sprawa jest zakończona. Nie mam ochoty znowu się w to zagłębiać. Przykro mi.

- Rozumiem, madame Bolsanski...

- Mademoiselle...

- Mademoiselle Bolsanski, a gdybym pani powiedział, że inne osoby przeszły to co pani i że Léonard Fontaine ma krew na rękach?

Znowu milczenie.

- Może pan to udowodnić?

- Myślę, że tak.

- Zamkniecie go?

- Niestety, jeszcze nie jesteśmy na tym etapie.

- Rozumiem. Dziękuję, komendancie, ale wolałabym trzymać się od tego z daleka.

- Rozumiem.

- W tamtym czasie zmusili mnie do wycofania skargi. Zostałam poddana ogromnym naciskom. Dlaczego dzisiaj coś miałyby się zmienić?

- Dlatego, że ja to nie oni.

- No cóż. Nie wątpię w pańską uczciwość ani dobrą wolę, ale...

- Proszę tylko o pięć minut pani czasu. Jak pani mówiłem, wydaje mi się, że inne osoby przeszły przez to samo co pani. Jeśli w taki czy inny sposób uda mi się powiązać ze sobą ich przypadki, to być może zdołam go przyskrzynić...

Zanim znowu się odezwała, doliczył się jeszcze czterech samochodów osobowych i dwóch ciężarówek.

- W porządku. Czekam na pana.

\*

Kiedy wjechał w długą, prostą aleję obsadzoną platanami, było już ciemno. Na samym końcu, na równinie, stał duży dom, prawie sześcian, z dwoma piętrami identycznych okien. Być może kiedyś było tu gospodarstwo. Po oborach i zabudowaniach została duża, odsłonięta powierzchnia okolona delikatną linią topoli. Poza zapaloną lampą nad progiem dom tonął w ciemnościach. Trzasnął drzwiami samochodu. Dookoła panowała cisza. Rozejrzał się. Nie licząc słabego światełka, w promieniu kilometra rozciągało się absolutne pustkowie.

Pomyślał, że taka lokalizacja to odważny wybór jak na kobietę, która przeszła tyle co Mila Bolsanski. Czytał jednak, że ofiary powtarzającej się przemocy mogą zamknąć się w sobie w przekonaniu, że świat jest wobec nich wrogo nastawiony. Nawet po latach obawiają



się najdrobniejszego zdarzenia, które przypominałoby im o przeszłości. Wiedział, że przychodząc tu, obudzi bolesne sprawy, jeśli Mila wcześniej nie wyrzuci go za drzwi.

Nie widział samochodu, ale dziesięć metrów dalej zauważył blaszany garaż. Gdy wchodził na ganek, drzwi się otworzyły. W progu stała wysoka, szczupła kobieta. Ponieważ światło padało z tyłu, z wnętrza domu, rysy jej twarzy były niewidoczne. Milczała, dopóki Servaz nie pokonał wszystkich trzech schodków.

- Proszę wejść - odezwała się głosem, który wydał mu się bardziej zdecydowany niż ten, który słyszał w telefonie.

Ruszyła przed nim pogrążonym w ciemnościach korytarzem, długim jak kopalniany chodnik. Jedyne światło dochodziło z pokoju w głębi i cień idącej przed nim kobiety kładł się na podłodze jak czarny tren ni to panny młodej, ni to wdowy. Przyjrzał jej się. Figura utrzymana z pewnością dzięki treningom, szerokie ramiona i długa, pełna wdzięku szyja. W półmroku dostrzegł stare kaloryfery żeberkowe i jeszcze starsze obrazy. Pomieszczenie w głębi okazało się dużą, nowoczesną kuchnią, oświetloną agresywnym blaskiem dwóch reflektorów zamontowanych w suficie.

Choć Servaz wyteżał słuch, nie słyszał żadnych dźwięków. Jeśli wziąć pod uwagę odległość, jaką pokonali, by dotrzeć do kuchni, oraz dwa piętra nad nimi, w domu musiało być jakieś trzydzieści pomieszczeń.

- Mieszka pani sama?

- Nie. Jest jeszcze Thomas. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Mój syn.

Światło padało teraz na jej twarz: Servaz dałby jej jakieś trzydzieści pięć, trzydzieści sześć lat. Brunetka, oczy piwne, wysokie kości policzkowe i kilka zmarszczek przy kąciach oczu. Piękna twarz o pełnych, zdecydowanie zarysowanych ustach, matowej cerze i kwadratowej zuchwie. Twarz wyrażająca mocny charakter. Ale najbardziej zwracało uwagę jej spojrzenie. Przenikliwe i rozumiejące oczy, w których lśnił jednocześnie blask powagi i wyrozumiałości, jakby kobieta poznała całą ludzką podłość i małostkowość i raz na zawsze wybrała drogę przebaczenia. Servaz nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z inteligentną osobą. Miła miała na sobie obszerny wełniany golf i dzinsy.

- Kawy? Przykro mi, ale alkoholu tutaj nie ma.

- Dziękuję, kawa to świetny pomysł.

Odwróciła się do niego plecami i sięgnęła do szafki nad blatem. Postawiła filiżankę na dużym stole, przy którym swobodnie zmieściłoby się sześć osób, i usiadła po drugiej stronie, w odległości dobrego metra. Servaz zadał sobie pytanie, czy Mila zachowuje taki dystans wobec wszystkich mężczyzn spotkanych od czasu tamtych wydarzeń, i pomyślał o znacznie

mniejszej odległości, jaka dzieliła Célię i Léonarda Fontaine'a na zdjęciu z gali.

- Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać - zaczął.

- Wysłucham, co ma pan do powiedzenia. Ale to nie znaczy, że odpowiem na pańskie pytania.

- Rozumiem.

- No to już, komendancie. Niech mi pan opowie, co to za nowość.

Zanim wypowiedziała te słowa, wzięła głęboki wdech, jakby miała zanurkować w próżni. A więc zapamiętała to, co powiedział jej przez telefon.

- Czy słyszała pani coś na temat Célii Jablonki?

- Nie.

- Célia Jablonka to młoda kobieta, która w ubiegłym roku popełniła samobójstwo. Wcześniej miała romans z Léonardem Fontaine'em. Podejrzewam, że Fontaine ma jakiś związek z tym samobójstwem.

- Dlaczego?

- Może pani mi to powie...

Nie spuszczała go z oczu. Nie wyglądała na onieśmioną ani bojaźliwą. Jej spojrzenie stało się odrobinę surowsze.

- I to wszystko? To mają być te pana rewelacje? Jakieś niejasne podejrzenia? I z tego powodu pan tu przyjechał? - zapytała ostro.

Servaz domyślił się, że jeśli nie okaże się bardziej przekonujący, kobieta się zablokuje. Wyjął z kieszeni klucz magnetyczny i zdjęcie, i pochyliwszy się do przodu, przesunął je na drugą stronę stołu.

- Co to jest?

- Pani mi to przysłała?

Spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem.

- Ktoś przysłał mi pocztą ten klucz i zdjęcie... Czy te przedmioty coś pani mówią?

Przez dłuższy czas przyglądała się kluczowi, po czym dotknęła palcem zdjęcia.

- Oczywiście, to mi coś mówi. To ISS, Międzynarodowa Stacja Kosmiczna. A to? - zapytała, wskazując na klucz.

- Klucz do pokoju hotelowego, w którym Célia Jablonka odebrała sobie życie. Nigdy nie była pani w tym hotelu z Léonardem Fontaine'em?

Jeszcze raz spojrzała na plastikowy prostokąt i zaprzeczyła ruchem głowy.

- Ani z nim, ani z nikim innym.

- Ktoś, komu najwyraźniej zależy, żeby się nie ujawnić, wysłał mi najpierw ten klucz, a

potem to zdjęcie, a także e-maile, w których zachęca mnie do wznowienia śledztwa w sprawie samobójstwa Célie Jablonki. Jedynym elementem łączącym te dwie rzeczy jest Léonard Fontaine.

- Proszę mi to wyjaśnić.

- Léonard Fontaine był kochankiem Célie. Był też w Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Zapadła cisza. To był ten moment, w którym kobieta mogła wszystko zatrzymać, odmawiając otwarcia wrót prowadzących do jej przeszłości. A tymczasem otworzyły się inne drzwi. Servaz usłyszał lekkie skrzypnięcie po swojej prawej stronie i odwrócił głowę. Zobaczył światło w korytarzu, którego wcześniej nie zauważył. Na podłodze pojawił się cień, a potem na progu stanął chłopiec w niebiesko-czerwonej welurowej piżamie. Wyraz twarzy Mili natychmiast się zmienił. Dała małemu znak, by podszedł bliżej. Chłopiec wdrapał się na kolana matki i oparł głowę na jej piersi; na jego buzi widać było zmęczenie po wypełnionym zajęciami dniu. Milla pocałowała go w głowę.

- Powiedz dobry wieczór, kochanie.

- Dobry wieczór - przywitał się malec zaspanym głosem, odwracając się w kierunku Servaza z kciukiem w ustach i ciężkimi powiekami.

- Dobry wieczór. Mam na imię Martin, a ty?

- Thomas.

- Bardzo mi miło, Thomas.

Chłopiec musiał mieć około pięciu lat. Na jego piżamie widniał rysunek nieznannej Servazowi postaci. Mały miał blond włosy i piękne piwne oczy odziedziczone po matce oraz - jak większość dzieci w tym wieku - puciołowatą buzię o dość nieokreślonych jeszcze rysach.

- Mamo, połóżysz mnie do łóżka?

- Przepraszam pana, za minutę wrócę.

Zniknęła i Servaz usłyszał, jak matka z synem cicho gwarzą, nie mógł jednak rozróżnić słów.

Coś go nurtowało. W jego pamięci odezwał się jakiś sygnał. Rysy Thomasa, choć jeszcze dziecinne, kogoś mu przypominały. Jakaś twarz widziana niedawno na żywo albo na zdjęciu. Zaczął się zastanawiać i po chwili wiedział. Odkrycie zaczęło pracować w jego głowie: otwierało nieoczekiwane perspektywy, choć na razie Servaz nie był w stanie oszacować jego znaczenia.

- Ile on ma lat? - zapytał, kiedy kobieta wróciła.

- Pięć.

Policzył. Mila wpatrywała się w niego, jakby zgadła, o czym właśnie myśli.

- Naprawdę sądzi pan, że ta kobieta zabiła się z powodu Léo?

- Jestem o tym przekonany. I sądzę, że były też inne kobiety, zważywszy na wiek Fontaine'a. Problem polega na tym, że nie można skazać człowieka za samobójstwo drugiej osoby, nawet jeśli w dużym stopniu przyczynił się on do jej cierpienia. Prawdopodobnie natomiast można skazać go za przestępstwa ścigane z mocy prawa, jeśli nie nastąpiło przedawnienie.

Pokiwała głową.

- To, co się pani przytrafiło, wydarzyło się w 2008 - ciągnął nieśpiesznie. - Przedawnienie wynosi trzy lata dla wykroczeń, to znaczy dla pobic i uszkodzeń ciała, napaści o charakterze seksualnym innych niż gwałt. W przypadku przestępstw wynosi jednak dziesięć lat. Chodzi więc o to, by stwierdzić, czy doszło do przestępstwa.

Popatrzył jej w oczy. Kobieta pokiwała głową, wytrzymując jego spojrzenie. Nie była to odpowiedź, ale znak, że zrozumiała, do czego Servaz zmierza.

- Konkretna wiedza na temat tego, co się pani przytrafiło, pomogłaby mi też ustalić, w jakim kierunku prowadzić poszukiwania dotyczące innych ofiar, z jakimi służbami się skontaktować, jakie akta przejrzeć...

Kobieta milczała. Servaz nie nalegał. Pozwolił jej na przetrwanie tego, co przed chwilą usłyszała.

- Nie będę o tym mówić - rzekła z naciskiem po kilku sekundach. - Nie mogę, już panu powiedziałam. To naprawdę ponad moje siły.

- Rozumiem.

- Naprawdę uważa pan, że może pan go złapać?

- To zależy od tego, co na niego znajdę.

- Ale myśli pan, że się uda?

- Zasadniczo jestem dość dobry w tym, co robię - odpowiedział.

Zmierzyła go wzrokiem, a potem pokiwała głową po raz trzeci, jakby się z nim zgadzała.

- Sądzę, że tak.

- Ale co: że tak?

- Że jest pan dobry. Jeśli panu coś dam, czy da mi pan słowo, że nikomu pan tego nie pokaże?

- Ma pani moje słowo, Mila - zgodził się.

Wstała i wyszła z pomieszczenia. Słyszał szuranie jej trampek po podłodze za swoimi

plecami, a potem otworzyły się jakieś drzwi. Minutę później zobaczył dłoń kładącą przed nim w blasku światła jakiś przedmiot. Spuścił wzrok. Miał przed oczami książkę oprawioną w skórę i przewiazaną wstążką. Rozwiązał wstążkę i zajrzał do środka. Staranne kobiece pismo. Na początku data: dziennik...

- Z jakiego okresu on pochodzi?

- Z czasu tamtych wydarzeń.

- Wszystko jest w środku?

- Tak.

- Potem nie była pani już astronautką, prawda? Odsunęli się od pani.

- Dano mi do zrozumienia, że już nie jestem mile widziana. Tak jakby ujawnienie gwałtu było niemal tak poważnym przestępstwem jak popełnienie go. Klasyka. Czy aby sama się nie prosiłam i tak dalej.

Servaz powoli nabrał powietrza.

- A więc doszło do gwałtu?

- To bardziej skomplikowane... Niech pan przeczyta - powiedziała, wskazując na dziennik. - Daje pan słowo, że nikt oprócz pana nie będzie go oglądał?

- Słowo, powtarzam.

- Teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym pójść poczytać synowi książkę.

Wstał, wziął do ręki dziennik i nagle się uśmiechnął.

- Jaką książkę? - zapytał.

- *Małego Księcia*.

- Moja gwiazda będzie dla ciebie jedną spośród wielu gwiazd... Dlatego przyjemnie ci będzie patrzeć w gwiazdy. Każda z nich będzie twoim przyjacielem<sup>12</sup>.

Spojrzała na niego zmieszana i rozbawiona zarazem.

- Kim jest ojciec Thomasa?

Jej spojrzenie nagle stało się ostre.

- Przecież się pan domyślił, nie? Rzeczywiście jest podobny...

- Nie chciał go uznać?

Przez chwilę się zawahała, po czym skinęła głową.

- Dlaczego?

- Niech pan przeczyta, komendancie... A teraz dobranoc panu.

---

<sup>12</sup> Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Książę*, tłum. J. Szwykowski.

## 28.

### INTERMEZZO

Rozebrała się, wyszczotkowała zęby, włożyła piżamę i wróciła do pokoju. Iggy w dalszym ciągu spał na łóżku, z mordką na dnie swojego kołnierza. Przez balkonowe drzwi wpadało blade światło. Kiedy do nich podeszła, zauważyła, że znad wieży Kapitolu uśmiecha się do niej księżyc. Zastanawiała się, co robi w tej chwili Max, czy śpi na swoim kawałku chodnika, zagrzebany w kartony i swój dobytek.

Jedynе towarzystwo, jakie ci pozostało. Bezdomny. A jeśli się okaże, że to on za tym wszystkim stoi, pomyślałaś o tym? Nie, oczywiście, że nie.

Spojrzała na dwie tabletki spoczywające na jej dłoni. W drugiej trzymała szklanę z wodą. Połknęła je. Zamknęła drzwi na klucz i nasłuchiwała głosów przechodzących korytarzem gości hotelowych. Jej życie coraz bardziej przypominało egzystencję prześladowanych ludzi, którzy kryją się w kolejnych norach jak szczury. Jak długo jeszcze? Jej matka uparła się, że zapłaci rachunek. Christine nie mogła jednak zostać tu w nieskończoność. A Max miał rację: ten typ jej nie zostawi.

Matka odwiedziła ją i poszły na kawę do hotelowego baru. „Wyglądasz przerażająco, jakbyś przez te kilka dni postarzała się o dziesięć lat”. Na szczęście matka jak zwykle miała co robić i była poumawiana: w klubie fitness, na manicure, na pedicure, u kosmetyczki, na masaż gorącymi kamieniami, u fryzjera, u psychoterapeuty, z jakimś dziennikarzem na wywiad w stylu „Kim oni teraz są?”, z przewodniczącą organizacji charytatywnej, z trenerem rozwoju osobistego, w pracowni arteterapii, na wyprzedaży... Resztę dnia Christine spędziła na snuciu się bez celu w poszukiwaniu jakiegoś pomysłu, jakiegoś rozwiązania. Zastanawiała się, czy na pewien czas nie schronić się w ośrodku dla maltretowanych kobiet, z którego dyrektorką przeprowadziła kiedyś wywiad. Problem polegał na tym, że nie została pobita. Jeszcze nie... A jeśli prowadzący ośrodek dowiadują się dyskretnie na policji, czy nie mają do czynienia z mitomankami? Może powinna sama się uderzyć, żeby sprawiać bardziej wiarygodne wrażenie? Poważnie się nad tym zastanawiała... Odwiedziła też sklep, w którym można kupić broń palną i noże (jak również szable i japońskie katany), a także tasery, paralizatory i gazy obronne. Sprzedawca był tłusty i śmierdział potem. Kiedy podszedł do niej trochę zbyt blisko, pomyślała, że jak ułał pasuje do obrazu bandziora, który potrafi wykorzystać bezbronną kobietę. Oczywiście wiedziała, że to dyskryminacja na podstawie wyglądu, ale odkąd odkryła, że świat jest piekłem dla najsłabszych, była znacznie mniej

skłonna do interpretowania wątpliwości na korzyść podejrzanego. Zdawała sobie sprawę, że staje się coraz bardziej wulgarna, agresywna i nietolerancyjna.

Witaj w dżungli, staruszeko.

Pokonana chemią zaczęła zapadać w sen. Nie miała pojęcia, co będzie robić jutro, ani tym bardziej pojutrze czy w przyszłym tygodniu. Podobnie jak dla starego dobrego Richarda Kimble'a nie było dla niej bezpiecznej przystani. Ani odpoczynku.

Oto, kim się stałaś: uciekiniarką z własnego domu, oskarżoną o przestępstwa, których nie popełniłaś, a kto wie, może typ, który cię ściga, też jest spryciarzem?

Zarechotała głupio. Miała ciężkie powieki. Po jej policzku potoczyła się łza. Przykryła się narzutą, podciągnęła kolana do klatki piersiowej i objęła je rękami. Przyłożyła policzek do materaca i pozwoliła, by otulił ją kokon leków nasennych. Jej lęki rozprasały się jeden po drugim jak poranne mgły. Nie podążała jednak w stronę światła, lecz w stronę nocy, ciemności, zapomnienia... Zamknęła oczy, poddała się.

Wytchnienie. Do następnego dnia.

## 29.

### LIBRETTO

Servaz usiadł w głowach wąskiego łóżka, włączył cicho muzykę Mahlera, spojrzął na księżyc w pełni za oknem i sięgnął na nocną szafkę po dziennik Mili.

Otwierając skórzaną okładkę, na której była narysowana róża, znowu pomyślał o pięknej brunetce i jej jasnowłosym dziecku, żyjących samotnie w tym wielkim domu na pustkowiu. O synu Léonarda Fontaine'a. I o znaczeniu tego, co przeczyta, dla zrozumienia, co się przydarzyło nie tylko Mili Bolsanski, ale także Célii Jablonce. Być może te strony zawierają odpowiedź na wszystkie jego pytania. Kim naprawdę jest Léonard Fontaine? W jaki sposób popycha kobiety do samobójstwa albo do samotnego życia z dziećmi z dala od świata? Co to za potwór o dwóch obliczach? Milla i Célia to inteligentne kobiety z charakterem, a jednak zdołał utrzymać je pod swoim wpływem i zniszczyć... Jak on to zrobił?

Zapowiadała się długa noc. Servaz nie był tchórzem, ale myśl o przeczytaniu dziennika napawała go uporczywym niepokojem. Pamiętał jeszcze dziennik Alice Ferrand. Dziennik, który znalazł w pokoju nastolatki w górach, przed pięciu laty. Słowa dziewczyny zapisały się w jego mózgu ognistymi literami. Przewrócił dwie pierwsze białe kartki i zaczął czytać. Opowieść Mili zaczynała się w dniu przyjazdu do Moskwy:

*20 listopada 2007. Przylecieliśmy o 8.30 rano. Nowiutki terminal C portu lotniczego Szeremietiewo, bez porównania ze starym, wielkim i ponurym lotniskiem. Długie oczekiwanie przy odprawie. Trochę się denerwuję. Léo wydaje się całkowicie spokojny. Giennadij Siemionow, szef projektu Andromeda, i Roman Rudin, korespondent Gwiezdnego Miasteczka, czekają na nas przy wyjściu.*

*Bus, który nas zabiera, też jest inny. Nie ma już tego okropnego smrodu spalin, który czuć było w środku, gdy przyjechałam tu sama poprzednim razem. Wzięliśmy kurs na Moskwę, a potem pojechaliśmy drogą na północny wschód, prowadzącą do Gwiezdnego Miasteczka. Stoi przy niej mnóstwo dacz. Są to malownicze chaty przypominające domki dla lalek, pomalowane na niebiesko lub czerwono, albo proste domki. Świadczą one o głębokim przywiązaniu moskwian do ziemi - mimo zanieczyszczenia powietrza, dźwigów, samochodów i setek banerów reklamowych, które psują krajobraz. Wielka kampania uniformizacji działa tu tak samo jak gdzie indziej. Beton to ponad wszelką wątpliwość dzieło szatana.*

*W busie patrzę na Léo. Rozmawia z Romanem i Giennadijem. Nie zwraca na mnie*



uwagi - a raczej mam wrażenie, że s p e c j a l n i e nie zwraca na mnie uwagi. Co się dzieje? Nagle opadają mnie złe przeczucia i przypominam sobie scenę z wczoraj. Ciągle nie rozumiem, co się stało. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Przed wyjazdem do Moskwy mieliśmy iść na małe przyjęcie zorganizowane przez CNES na naszą cześć, siedziałam więc przed lustrem, kończąc się ubierać i robić makijaż, a wtedy on podszedł do mnie od tyłu, spojrzał na mnie i powiedział:

„Naprawdę musisz się malować jak jakaś kurwa?”. W pierwszej chwili pomyślałam, że źle usłyszałam. Nie mógł się tak wyrazić. To było po prostu niemożliwe. Popatrzyłam do lustra. „Co?” „Dobrze słyszałaś”. „O czym ty do mnie mówisz? Léo, cholera, mam nadzieję, że żartujesz!”

Położył dłonie na moich ramionach, ale o jego geście można powiedzieć wszystko tylko nie to, że był przyjacielski.

„Oczywiście, że żartuję. Ale to nie zmienia faktu, że masz trochę ciężką rękę”.

Chciałam się wkurzyć, zaprotestować, ale byłam zbyt zaskoczona, zbyt ogłupiała. Nigdy nie widziałam, żeby się tak zachowywał. I ta jego uwaga: czy ja śnię? Oczywiście, przyznał, że żartował, ale... coś mi mówi, że wcale tak nie było. To nie jest on. To nie jest ten Léo, jakiego znam. Przez te trzy miesiące, odkąd jesteśmy razem, zawsze był taki ujmujący, taki zabawny, taki zakochany. Trzy idylliczne, doskonałe miesiące. Nigdy przedtem nie czułam się tak dobrze z mężczyzną. Kocham go. O, tak. Tego serdecznego, solidnego i silnego faceta.

Wiem, że jest mężczyzną mojego życia, od razu to wiedziałam.

Muszę się skupić na tym, co przed nami - i tylko na tym. To najważniejszy eksperyment w moim życiu. Nie wolno mi o tym zapomnieć. Na przygotowanie zamiast dwóch lat będziemy mieli dziewięć miesięcy. To bardzo krótko! Wiem już, że harmonogram zajęć będzie morderczy, więc to absolutnie nie jest moment, żeby stchórzyć. Ale dziś rano przez całą drogę busem, nawet wtedy, kiedy jechaliśmy długą leśną aleją, i podczas kontroli wojskowej przy wejściu do ośrodka nie mogłam się powstrzymać od myślenia o tej scenie z wczorajszego wieczoru, a szczególnie o tym słowie. Już prawie wątpię, że je wypowiedział.

To niemożliwe. Musiałam źle zrozumieć...

20 listopada wieczorem. Zwjozdnyj Gorodok, Gwiazdne Miasteczko to błędna nazwa. Szare miasto z długimi, pustymi alejami i blokami, jak francuskie przedmieście w środku rosyjskiego lasu! Jest tu jednak centrum handlowe, kino, szkoła, poczta, dyskoteka. I oczywiście wszystkie urządzenia do treningów i przygotowań kosmonautów: planetarium, hydrolaboratorium, sale wykładowe, wirówka, symulatory Sojuza. Mimo brzydoty tego

*miejsca jestem ogromnie podekscytowana nim i wszystkim, co sobą przedstawia. Można tu spotkać astronautów z Japonii, Kanady, Ameryki, Niemiec, Włoch. Dopóki nasz apartament w „Dom 4” nie będzie gotowy, ulokowano nas w „Prophylacticum”, klinice-hotelu dla kosmonautów. Léo jest tutaj gwiazdą. Cieszy się wielkim szacunkiem. Zaanektowałam całą szafę, śmiał się z moich trzech walizek. Jest spokojniej niż poprzednim razem, nie słychać bez przerwy ryku antonowów i iliuszynów startujących do Czeczenii z sąsiedniej bazy wojskowej położonej po drugiej stronie torów. Dziś wieczorem Léo wyszedł spotkać się ze starymi rosyjskimi kumplami. Jestem sama i patrzę na ciemne jezioro u stóp hotelu i wielki zamarznięty las na drugim brzegu. Miliony sosen i brzoź zanurzających się w białych rękawiczkach w rosyjską noc... Czuję, że moją słowiańską duszę zaczyna ogarniać lekka melancholia. Co się dzieje? Co się dzieje? Od wczoraj Léo jest nie ten sam. Wczoraj ta kłótnia, a dziś czułam z jego strony dystans, chłód.*

*Boję się... Bycie tutaj samo w sobie jest trudne. Jeśli teraz mnie zostawi, nie zniosę tego.*

*21 listopada. Od pierwszego dnia maksymalnie wypełniony program: intensywny kurs rosyjskiego z godzinną przerwą na lunch. Tak jak się obawiałam: moja znajomość rosyjskiego jest tragiczna. Léo, który włada nim biegle, twierdzi, że rosyjski to najpiękniejszy język. Pewnie ma rację, jednak po drodze jest gramatyka, deklinacje, poza tym w nadchodzących tygodniach musimy opanować całe słownictwo techniczne, bo szkolenia są prowadzone po rosyjsku. Chwilowe zniechęcenie.*

*A potem nagle bardzo przyjemny moment: w „Stalowej” - stołówce, do której kosmonauci przychodzą na posiłki, Léo uprzejmie mnie wszystkim przedstawił. W dodatku po wykładach pierwszy raz wybraliśmy się do lasu na biegówki. Biegliśmy trasą, która tworzy jakby tunel w pięknym otoczeniu sosen i brzoź, nad nami było szare niebo, a wokół panowała cisza, zakłócana tylko przez szuranie nart, nasze krzyki i szmer gałęzi przygniecionych ciężarem śniegu. Śmiech, pocałunki, bitwa na śnieżki, a zaraz po powrocie seks. Potem, gdy jeszcze leżeliśmy przytuleni, Léo długo opowiadał mi o swoim pierwszym pobycie w kosmosie, o nowych pasażerach, którzy w stanie nieważkości machają rękami i nogami i którzy przemieszczają się po stacji jak pajacyki. I o tym, jak każdemu coś się gubiło - wygląda na to, że to się często zdarza - i jak cała czwórka kosmonautów ciągle na siebie wpadała w poszukiwaniu a to zegarka, a to szczoteczki do zębów, a to słuchawek.*

*Odzyskuję nadzieję. I wiarę w przyszłość. Odnalazłam mojego Léo: zachowuje się, jakby całkiem zapomniał o tamtym zdarzeniu.*

28 listopada. Znowu zaczął. Oskarżył mnie, że podrywam Rosjan. Wyszliśmy na kolację w niewielkim gronie. Wyjątkowo. Wieczorami mamy mnóstwo materiału do powtórzenia i nauki, a jesteśmy tak bardzo zmęczeni. Jak każe tradycja, pierwszy kieliszek wódki wypiliśmy do dna, ale potem prawie nie tknęłam alkoholu, podczas gdy Léo z Rosjanami wlewali w siebie imponującą ilość piwa i wódki. Kiedy rozbierałam się po powrocie, on nagle oświadczył jadowitym tonem: „Myślisz, że nie widziałem?”. Byłam w szoku. Jego oczy płonęły gniewem. Miał twarz czerwoną od alkoholu. „O czym ty mówisz?” - zapytałam. „Nie traktuj mnie jak idioty! Widziałem cię!”

Nie mogłam dojść do siebie, myślę, że nie potrafiłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

„Co widziałeś?” „Widziałem, jak to robisz, kurwo”.

Znowu to słowo. To było gorsze, niż gdyby mnie spoliczkował. Byłam ogłuszona, znokautowana na stojąco.

Nigdy nie sądziłam, że on może być do tego stopnia zazdrosny. Patrzyłam na niego, nic nie rozumiejąc. Niezdolna, by cokolwiek odpowiedzieć. Wzruszył ramionami i poszedł spać.

Zastanawiałam się nad tym przez cały dzień. Może on ma rację. Może - oczywiście nie zdając sobie z tego sprawy - flirtowałam z Rosjanami? Albo zachowywałam się w sposób uznawany tutaj za niestosowny? Jak się tego dowiedzieć? To prawda, że oni lubią ładne kobiety i czasem trochę się kleją... Będę musiała bardzo uważać, żeby nie wysyłać sygnałów, które mogłyby zostać źle odczytane. Wiem, że niektórzy mężczyźni są chorobliwie zazdrośni. I brutalni. Ale nie mogę uwierzyć, żeby Léo był jednym z nich. Nie on. Mężczyzna tak pewny siebie, taki czarujący. To musi być jakieś nieporozumienie. Może jest zestresowany albo chory i nie chce się do tego przyznać. Może boi się, że jest za stary, że tym razem nie da rady. A może to przez tych wszystkich pięknych, młodszych od niego mężczyzn, których tu spotykamy, jest taki nerwowy?

Nie powinien być zazdrosny. Kocham go.

\*

Spojrzał na zegarek: siedem minut przed północą. Potarł powieki. Wyglądający spomiędzy chmur księżyc strzegł nocnego nieba. Servaz postanowił, że dokończy lekturę, choćby miało mu to zająć całą noc. Czuł w związku z dziennikiem Mili narastającą obawę. Z jego stronic emanowało przeczucie nieuchronnej tragedii, łańcucha wydarzeń niemożliwego do powstrzymania. A może ten niepokój wynikał z wiedzy, którą Servaz już posiadał? Podobnie jak w VI Symfonii Mahlera, gdzie chmury zbierają się od pierwszych chwil, tak i tu od początku działała jakaś mroczna siła.

Gdzieś nagle rozległ się wybuch śmiechu i Servaz aż podskoczył. Zaraz potem zapadła cisza. Oparty o poduszki, poczuł, jak przez jego ciało przebiega dreszcz.

Wrócił do lektury.

\*

Iggy uniósł łeb.

Wydawało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk. Pies omiółł wzrokiem łóżko i pokój skąpane w blasku księżyca. Plastikowe dziadostwo na szyi ograniczało mu pole widzenia, przez co uzyskany obraz przypominał perspektywę z dna tunelu.

Jego pani była pogrążona w głębokim śnie i delikatnie chrapała. Po upływie ułamka sekundy psi mózg zapomniał, co go obudziło, skupiając się na pilniejszej potrzebie: był głodny. Szybko przeanalizował dostępne możliwości. Nie jest u siebie. Jest w nieznanym miejscu o znacznie mniejszej powierzchni niż jego terytorium. Obwąchał jednak wszystkie jego kąty (co nie zajęło mu dużo czasu) i wie, że pani zostawiła jego miskę w łazience. A drzwi do łazienki są otwarte. Może w misce zostało coś do jedzenia? Kiedy tylko ta myśl zakiełkowała w jego głowie, zwierzak zamerdzał ogonem, ucieszony potencjalną perspektywą posiłku, i postanowił ją niezwłocznie sprawdzić. Zeskoczywszy z łóżka, podreptał do łazienki, prawie bezgłośnie posuwając się na krótkich łapkach po oświetlonej blaskiem księżyca wykładzinie i ciągnąc za sobą unieruchomioną szyną lewą kończynę. Choć ostrość widzenia miał znacznie gorszą niż ludzie, to w nocy jego wzrok potrzebował pięciokrotnie mniej światła, Iggy poruszał się więc pewnie w ciemnym otoczeniu, wystarczająco oświetlonym księżycową poświatą, która wpadała do pokoju przez szparę między zasłonami.

Gdy wszedł do łazienki - gdzie jego pani zostawiła zapalone światło - jego pazurki głośniejsz zastukały po wyłożonej płytkami podłodze. Zobaczył stojącą obok wanny miskę. Z miejsca, w którym stał, wyglądała na pustą, ale nie widział dna. Podszedł bliżej i zanurzył w niej hiperczuły nos, ale nie było w niej absolutnie nic, co mógłby wrzucić na ząb! Urażony wypił trochę zimnej wody z plastikowego pojemnika i ze spuszczonego ogonem wrócił do pokoju.

Gdy przekraczał jego próg, znowu poczuł to coś, co go obudziło. Co to może być? Zatrzymał się w drzwiach i nadstawił uszu. Sierść na jego grzbiecie się zjeżyła. Rozszerzył chrapy i odsłonił kły, wahając się, czy zrobić krok dalej, rozdarty między dwoma sprzecznymi uczuciami: strachem przed niebezpieczeństwem i wypracowanym na przestrzeni wieków poczuciem odpowiedzialności za bezpieczeństwo właściciela. Jakaś obecność... Jeszcze jej nie zidentyfikował, ale instynkt podpowiadał mu, że w pokoju oprócz niego i jego pani jest ktoś jeszcze. Ten ktoś się nie ruszał, a pies widzi dobrze tylko obiekty będące w

ruchu. Iggy słyszał jednak jego powolny oddech, który potrafił skojarzyć z całą paletą zapachów sto razy lepiej, niż zrobiłby to człowiek, i na tej podstawie stworzyć dokładną mapę okolicy - w tym wypadku pokoju. Wniosek: z całą pewnością tam, przy oknie, z prawej strony, za zasłoną znajduje się ktoś żywy. Jakiś cień. Ukryty w ciemności. Mogło to być złudzenie optyczne spowodowane wpadającym przez okno blaskiem księżyca, jednak złudzenia nie mają zapachu. Pies węszył w powietrzu. Ponad wszelką wątpliwość za zasłoną stał człowiek. Kundelek poczuł też inną, niecodzienną woń: chemiczną, lekarską. Przypomniały mu się nieprzyjemne zapachy kliniki weterynaryjnej i zaczął warczeć; najpierw nieśmiało (ponieważ wciąż się bał), potem nieco głośniej. I wtedy zza zasłony rozległ się szept: miły, czuły, jak najbardziej przyjazny:

- Iggy, dobry pies, dobry pies, dobra psinka. Chcesz jeść?

Na dźwięk ostatniego słowa w jego małym rozumku zapaliła się lampka. Słowo to już od dawna figurowało na liście terminów kluczowych dla przeżycia, znajdującej się w jego korze mózgowej. Przywarł do ziemi i wesoło merdając ogonem, szczeknął.

- Ciiiiii, Iggy, dobry pies! Cicho. Dam ci jeść, zgoda?

Pies zaczął jeszcze zwawiej machać ogonem. Dwukrotnie usłyszał swoje imię. Intruz powoli wyszedł z kryjówki i Iggy miał ochotę profilaktycznie wycofać się do łazienki. Nie był jeszcze całkiem spokojny. Za mężczyznę ciągnął się ten medyczny zapach. I ten sposób, w jaki chował się za zasłoną, nie wróżył nic dobrego. Ale głos powtórzył:

- Chcesz jeść?

Perspektywa posiłku przyćmiła wszystko inne. Kiedy intruz ruszył w jego stronę, Iggy czekał na niego z radością, a jego ogon poruszał się jak metronom.

\*

*1 grudnia. Szósta rano. Jest jeszcze ciemno, ale nie mogę spać, choć jestem wyczerpana. Nie potrafię przestać myśleć o tym, co Léo mi wczoraj powiedział. Osiem godzin zajęć teoretycznych i dwie godziny codziennej gimnastyki plus testy na krześle obrotowym - tak naprawdę to fotel, na którym człowiek zamienia się w bąka. Kręci się z coraz większą prędkością, z czołem oblepionym elektrodami, a w słuchawkach głos facetów w białych kitlach mówi, żeby pochylić się do przodu, do tyłu, w lewo, w prawo... Dopóki nie zaleją go zimne poty i nie zemdleje.*

*Rosyjscy lekarze, zdziwieni moją odpornością, powiedzieli mi, że radzę sobie lepiej niż większość mężczyzn. Chciałam pochwalić się tym Léo, kiedy spotkaliśmy się wieczorem (ponieważ zna rosyjski i już tutaj bywał, mamy różny program szkoleń). Rzucił mi spojrzenie tak zimne, że mnie zmroziło. Najpierw zrobił ponurą minę, a potem się uśmiechnął i*

*odpowiedział: „Wszyscy ruscy to podrywacze. To nie ich wina. Ale ty powinnaś trochę bardziej uważać na swoje zachowanie...”.*

*3 grudnia. Nasypało dużo śniegu. Dodaje to cichemu Miasteczku łagodności, harmonii i spokoju, od których ja jestem daleka. Léo jest coraz dziwniejszy. Coraz bardziej na dystans. Wypowiada wiele raniących słów, nieprzyjemnych uwag. Dzisiaj po raz pierwszy miałam ćwiczenia w wirówce, która mieści się w dużym cylindrycznym budynku. W środku znajduje się olbrzymie osiemnastometrowe ramię przymocowane do osi biegnącej przez środek i zakończone kabiną przypominającą kask. Karuzela ważyła trzysta ton. Zamykają drzwi. Ramię zaczyna się kręcić, wiezie człowieka dookoła dużej sali, coraz szybciej i szybciej. Wirówka może osiągnąć przyspieszenie 30 g, ale nie przekracza się 8 g, to znaczy wartości, do jakiej piloci myśliwców, tacy jak Léo, są przyzwyczajeni. Ale ja nie jestem. Miałam wrażenie, jakbym zamieniła się w plastelinę ugniataną palcami olbrzyma, serce podeszło mi do gardła, a puls oszalał. Ale nawet tam w środku myślałam o Léo.*

*O tym, co się dzieje z naszą miłością...*

\*

Mężczyzna, który wyszedł zza zasłony, spojrzął na śpiącą postać. Stał w drzwiach łazienki nieruchomo jak posąg. Jakby wiedział, że ma przed sobą całą noc. Z twarzą oświetloną blaskiem księżyca wpatrywał się w Christine. Czuł się spokojny, rozluźniony. Spokój rozlewał się w nim jak mroźny strumień na dnie usłanym otoczkami.

To był moment jego triumfu. Słyszał szum krwi w żyłach, czuł narastające emocje. Aż po apogeum. Miał na sobie tylko slipki, zegarek i lateksowe rękawiczki. Resztę ubrań zostawił w wannie.

Wszedł do pokoju bez żadnego trudu. Zgodnie z wyjaśnieniami gościa, który sprzedał mu sprzęt, zamek elektroniczny kodowany w trzydziestu dwóch bitach to bardzo niski poziom zabezpieczenia. Wystarczyło mieć programowalny mikrokontroler typu Arduino i złączkę sektorową dopasowaną do zamka - wszystko dostępne w sprzedaży. Po podłączeniu urządzenia drzwi z łatwością ustąpiły. W recepcji pojawił się z małą walizką i poprosił o pokój.

Snopem światła latarki omiółł unoszące się rytmicznie nagie ramiona i plecy Christine. Przesunął latarkę na wysokość pośladków, które tworzyły ładną wypukłość pod nocną koszulą.

I dalej, wzdłuż nóg, aż po zawinięte w kołdrę stopy. Już zaczynał czuć podniecenie. Z żalem odwrócił się od tego widowiska i skierował się boso do barku. Otworzył lodówkę,

której oświetlone wewnątrz odbijało się w jego źrenicach. Wyjął małąkę wódki, otworzył ją i przyłożył do ust. Zrobił trzy duże, orzeźwiająco i przepyszne łyki, opróżniając ją do dna. Postawił buteleczkę na biurku nad lodówką. Żeby jej tylko nie zapomnieć... na wszelki wypadek wytarł szyjkę.

Była za piętnaście druga.

Mężczyzna sięgnął po torebkę Christine i wysypał jej zawartość, którą zaczął metodycznie przeglądać: karta do bankomatu, karty lojalnościowe, portmonetka, paczka gumy do żucia, klucze, długopisy, komórka... Jego pozbawione wyrazu i energii spojrzenie zatrzymało się na fotografii z pozaginanymi rogami. Uśmiechnięta Christine siedząca na murach obronnych. Poniżej niewielki port. Kto zrobił to zdjęcie? Gdzie? Schował wszystko na miejsce. Wziął do ręki przezroczystą kosmetyczkę zapinaną na zamek błyskawiczny. Wyjął z niej kolejno: strzykawkę, skalpel, dwie pięćdziesięciomililitrowe ampułki ketaminy i ohydny gumową maskę.

Otworzywszy ampułkę, włożył do środka igłę i napełnił strzykawkę bezbarwnym, nieco kleistym płynem o lekkim zapachu chloru.

Postukał w strzykawkę, lekko nacisnął tłoczek i wypuścił odrobinę cieczy.

Zadowolony, odłożył strzykawkę, uniósł ręce i przeciągnął się, stojąc na szeroko rozstawionych nogach. Otworzył lodówkę i wyjął z niej kolejną małąkę. Czknął. Poszedł do łazienki i wysikał się. Był uśmiechnięty. Czuł się silny, bystry, wytrenowany. Postanowił spuścić wodę, gdy będzie wychodził. Wciąż się uśmiechając, przystanął obok zwłok pieska leżących przy muszli.

Iggy nadal miał na szyi plastikowy kołnierz, ale tuż poniżej jego gardło zostało głęboko przecięte ostrzem skalpela. W otwartej ranie pod sierścią nasiąkniętą krwią widać było chrząstkę tchawicy. Jego głowa była ułożona w taki sposób, że krew ciekła do wnętrza kołnierza, zdobiąc przezroczysty plastik kształtami przypominającymi koralowce. Zwierzę miało zamknięte oczy i wystawiony język. Leżało w kałuży krwi gęstej jak farba epoksydowa.

Mężczyzna spojrział na zegarek. Nadeszła pora, by przejść do działania. Chwycił maskę (ohydnie wykrzywiony, czerwony pysk demona z długim nosem, ostrymi zębami i rogami) i założył ją sobie na twarz, tak by jego oczy trafiły na wycięte w gumie dziury. Szeroko otworzył oczy. Maskę była zimna w dotyku i śmierdziała gumą, krępując jego podbródek, ale jako tako ją dopasował i przez wąskie szpary skierował na Christine swój zacięty wzrok.

\*

*7 grudnia. Dacza. Jest przepiękna: rzeźbione, pomalowane na czerwono drewniane*

*elementy, białe framugi okien, mansardowy dach jak w amerykańskiej stodole. Stoi na samotnej, białej polanie w środku lasu. Jak domek z bajki.*

*Zaskoczona i zaniepokojona patrzyłam na Léo. Sądzę, że to widowisko miało mnie zachwycić, ale przede wszystkim pomyślałam o tym, że chciał nas odciąć od innych, umieścić jak najdalej od Miasteczka, choć domek znajdował się zaledwie w odległości kilkuset metrów drogą przez las.*

*Nie jestem szczególnie zdziwiona, że zamiast czteropokojowego apartamentu dostałam dachę: Léo jest jedną z najsztywniejszych postaci francuskich lotów kosmicznych i ma tu mnóstwo znajomości. Poza tym jeszcze we Francji zapłacił za nasz pobyt. Rosjanie zaczęli budować dachy wokół Gwiezdnego Miasteczka już kilka lat temu: pierwsze były przeznaczone dla astronautów z USA.*

*Léo nie zapytał mnie, czy mi się podoba. Ten etap mamy już za sobą. Nasze rozmowy ograniczyły się prawie do zera. Może nie pokazałam mu wystarczająco, że go kocham, może nie mówiłam mu tego dość często... A może uważa, że chcę go wykorzystać dla własnej kariery. Już nie wiem, co myśleć.*

*Przez te powtarzające się sceny czuję się coraz bardziej wyizolowana, wykończona, wyczerpana psychicznie. Komu mogłabym się tutaj zwierzyć? Nikogo nie znam i Léo robi, co tylko może, żeby tak zostało. Dowodem jest ta dachza. Tysiąc razy bardziej wołałabym mieć osobne mieszkanie - ja, która tak się cieszyła na tę wspólną przygodę. Czy ośmielę się to powiedzieć? Léo budzi we mnie strach.*

*„Wiesz, na co mam ochotę, i to natychmiast?” - powiedział, kiedy znaleźliśmy się w środku.*

*Gapił się na mnie pożądliwie. To jego nowe spojrzenie, którym patrzy na mnie jak na jakiś przedmiot. Zabawkę. Chwyta mnie za rękę i wykręca je do tyłu. Mówię:*

*„Léo, nie, proszę cię, przestań”, ale on nie słucha, całkowicie skupiony na swoim przeklętym pożądaniu. Sprawia mi ból, popycha mnie na parapet, rozpina mi dżinsy i ściąga je razem z majtkami. Nie ruszam się, ulegam. Wiem, że byłoby to bezcelowe, a przede wszystkim wiem, że potem nie miałabym spokoju.*

*Wchodzi we mnie szybko bez żadnych pieszczot, liże mi policzek i ucho, poruszając biodrami tam i z powrotem, ściska boleśnie sutek przez materiał stanika. Dochodzi szybko.*

*Kiedy zostaję sama, łzy ciekną mi po policzkach i patrzę na lodowe stalaktyty, które płaczą zimnymi łzami za szybą zaparowaną od mojego oddechu.*

*9 grudnia. Nareszcie zaczyna się drugi etap.*



*Ćwiczenia na symulatorze, obejmujące wszystkie możliwe operacje: weryfikację systemów statku po opuszczeniu atmosfery, kontrolę radiową, kontrolę termiczną, pomiary zawartości tlenu i dwutlenku węgla, ustalanie wysokości w orbitalnym układzie współrzędnych. Przez cztery godziny powtarzaliśmy w nieskończoność procedury standardowe, ale także wszystkie możliwe sytuacje problemowe. Teraz jako pełnoprawna astronautka pracuję z dublerem, młodym rosyjskim pilotem o imieniu Siergiej. Zauważyłam, że od początku tego etapu Léo systematycznie mnie przepytuje. Chce dokładnie wiedzieć, co robiłam, o czym rozmawialiśmy. Ciągłe i ciągłe. To wyczerpujące. Coraz trudniej mi zapamiętać cały materiał do przyswojenia - a jest to tym ważniejsze, że nie dostajemy pisemnych materiałów z wykładów i wciąż pojawia się mnóstwo nowych rosyjskich słówek.*

*Ale Léo ma to gdzieś. Którejś nocy zobaczyłam go stojącego w nogach łóżka. Po ciemku. Nie wiem, jak długo tak stał. Kiedy go zapytałam, co robi, nie odpowiedział mi.*

*Innej nocy wrócił koło drugiej przesiąknięty mieszaniną zapachów: wódki, piwa, tytoniu, kobiet. Zamiast iść spać albo dobierać się do mnie, kazał mi usiąść na krześle na środku pokoju i zaczął mnie przepytować. Trwało to całą noc. Pytał o mój rozkład dnia, o treningi z Siergiejem, o wykładowców, o spotykanych mężczyzn - tak naprawdę chciał wiedzieć, czy puszczam się z wszystkimi, czy jestem, tak jak podejrzewał, stukniętą nimfomanką, dziwką rozkładającą nogi przed każdym samcem... - ale tym razem nie wypowiedział tego słowa. Tamtej nocy kilka razy chciał się kochać. Jestem pewna, że coś wziął, to nie było jego normalne zachowanie. A potem kazał mi słuchać niekończących się usprawiedliwień: dlaczego zachowuje się wobec mnie w ten sposób, że jego też to nie bawi, że jeśli nie rozumiem, co mi zarzuca, to powinnam sobie zrobić rachunek sumienia, że zwykle taki nie jest, że to ja (szczyt wszystkiego!) własnym zachowaniem sprawiam, że on się staje zły, ale że on się zmieni, że on też musi się postarać: takie pierdoły, bez końca... Wydawało mi się nawet, że się rozplacze; wyglądał jak rozhisteryzowane dziecko, które żali się mamusi.*

*I tak przez całą noc. A następnego dnia miałam test, od którego zależał cały dalszy ciąg.*

*Źle sypiam. Podskakuję na każdy dźwięk. Śnią mi się koszmary, których nie jestem w stanie zapamiętać, ale przez które rano czuję się strasznie słaba. Zaczynam nienawidzić tego miejsca. Zaczynam nienawidzić Léo...*

*13 grudnia. Jakie wspaniałe doświadczenie! Mój pierwszy trening z wyjścia poza obręb statku. Miejsce, w którym to się dzieje - Hydrolab - to okrągły basen zawierający pięć tysięcy*

ton wody. Oświetlenie jest tak mocne, że woda jest prawie niewidoczna. Na głębokości dwunastu metrów znajduje się rzeczywistych rozmiarów makietę jednego z modułów Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Zapakowana w kombinezon zostałam opuszczona do basenu na dźwigu; wisiałam na linach jak marionetka, najpierw w otoczeniu nurków, a potem w ciemności. I tam, nagle, po otwarciu luku, przeżyłam ten wyjątkowy moment znany astronautom, którzy wychodzą w przestrzeń: oślepią białym światłem słońca, unosząc się niezdarnie w ciężkim skafandrze, popychana przez nurków, których zadaniem jest odtwarzanie ruchów charakterystycznych dla siły bezwładności działającej w przestrzeni kosmicznej, miałam wkręcić śruby w nadbudowę - w wielkich rękawicach, na dnie oświetlonego basenu. Mimo wyczerpania, mimo wszystkich moich wątpliwości, udało mi się świetnie wykonać ćwiczenie. Trochę mnie to uspokoiło: dam radę. Wytrzymam. Spełnię swoje marzenie, za wszelką cenę...

18 grudnia. Ciągle nie potrafię w to uwierzyć: Léo mnie uderzył. Raz po raz powtarzam sobie te słowa: Léo mnie uderzył.

To niemożliwe.

To jakiś koszmar.

Wczoraj wieczorem, kiedy wróciłam, Siergiej zadzwonił do mnie w związku z programem na dziś. Zobaczyłam, jak Léo zmienia się na twarzy. Kiedy się rozłączyłam, chciał mi wyrwać komórkę z ręki, żeby przeczytać moje esemesy. Postawiłam się. Powiedział wtedy: „Potrzebujesz ich wszystkich, tak? Wszystkich tych młodych napalonych rosyjskich samców. Nudzisz się tu ze mną? Chciałabyś być tam, żeby mieć wszystkich w zasięgu ręki... w zasięgu cipki!”.

Nie wierzyłam własnym uszom. Spoliczkowałam go. Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami i urażony dotknął policzka. Chwilę później dostałam cios pięścią w brzuch - z taką siłą, że straciłam dech w płucach. Schyliłam się i dostałam następny cios, w kark. Upadłam na podłogę, a kiedy leżałam, wymierzył mi jeszcze kopniaka. „Ty szmato! Kurwo jebana! Nadajesz się tylko do ssania chujów! Jeśli zrobisz to jeszcze raz, zabiję cię!”

Rzucił moim telefonem przez pokój. Komórka rozpadła się na tysiąc kawałków. A potem wyszedł, trzaskając drzwiami.

Przez dłuższy czas leżałam na podłodze i płakałam. Nie wiem, gdzie spędził noc. Dziś rano jego połówka łóżka jest pusta. Okropnie bolą mnie zębra, brzuch, szyja. Mam dziś ważny trening. Nie wiem, jak przeżyję ten dzień...

\*

Ciemno. Coś ją obudziło. Nagle. Christine siedzi w głowach łóżka. W ciemności! W kompletnej ciemności! Lodowaty zawrót głowy, uczucie spadania... Sięga ręką w stronę lampki nocnej. Gorączkowo, po omacku. Naciska na guzik. Nic się nie dzieje. Awaria prądu...

Ciemno. Ktoś zaciągnął zasłony i zgasił światło w łazience. Trudno jej złapać powietrze. Jej usta, nozdrza, oczy wypełniają się ciemnością - jak u topielca. Christine dławi się mrokiem, oddycha nim, połyka go. Jednak pomimo przerażenia wszystkie jej zmysły są w pogotowiu, jakby jej podświadomość wykryła coś jeszcze, co na razie jej się wymyka.

Ciemno. Jej serce wali jak werbel. Christine woła: „Jest tu kto?”. Idiotyczne pytanie, jakby ktoś miał jej odpowiedzieć! I wtedy ku jej wielkiemu zdziwieniu z drugiego końca pokoju strzela w nią snop oślepiającego światła, od którego kobieta jak szalona zaczyna mrugać. Nie widzi nic poza tym jasnym punktem - gwiazdą załamane światła, które przebija się przez mrok i drażni jej nerwy wzrokowe. Christine zasłania oczy dłonią.

- To... to pan? - pyta Christine głosem tak słabym, że zastanawia się, czy ją słyszać.

Dobrze wie, że to on. A któż by inny? Nagle światło zaczyna się poruszać. Bardzo powoli obchodzi łóżko i zbliża się do niej, nie przestając jej oślepiać. Kobieta mruga jak sowa, chciałaby wrzeszczeć, ale krzyk więźnie jej w gardle. Zamyka oczy, zaciska powieki, nie przyjmując do wiadomości tego, co zobaczyła: w pokoju jest mężczyzna. Ten sam, który prześladowa ją od tylu dni. Jest tutaj, z nią. Nie, nie, nie - Christine nie chce się na to zgodzić.

To tylko zły sen.

Siedzi z zamkniętymi oczami, ściągając brwi i mocno zaciskając powieki.

- Otwórz oczy - mówi głos.

- Nie!

- Otwórz oczy albo zabiję twojego psa.

Iggy! Gdzie on jest? Nie słyszy go... Otwiera oczy i o mało nie mdleje. Przerażenie napiera na jej klatkę piersiową i Christine czka z trwogi. W odległości kilku centymetrów od swojej twarzy widzi pochyloną nad sobą ohydną, groteskową maskę. Z czerwonej gumy. Długi, bulwiasty, zakrzywiony nos prawie jej dotyka. I ten uśmiech! Wydęte usta, żółte, ostre zęby! Zawzięcie przebiera nogami w pościeli, by odsunąć się jak najdalej od tego czegoś, przykleja się plecami do wezgłowia, jakby chciała się w nim zapaść.

Odwraca głowę od maski, z całej siły przywiera skronią do ściany, z wykrzywionymi ustami i twarzą zniekształconą strachem.

- Proszę pana... błagam pana... niech mi pan nie robi krzywdy... proszę...

Uświadamia sobie, że jest złana potem, ma wrażenie, jakby miała dostać zawału, trzęsie

się od stop do głów. Ponieważ mężczyzna nic nie mówi i nic nie robi, Christine czuje przypływ odwagi.

- Dlaczego pan to robi? - pyta, nie śmiać jednak spojrzeć w jego stronę. - Czego pan chce? Czego pan ode mnie oczekuje? Dlaczego próbuje pan mnie doprowadzić do szaleństwa?

- Dlatego, że zostałem o to poproszony.

Tym zdaniem zamyka jej usta. Christine oddycha z coraz większym trudem. Jakby ktoś wypompował z pokoju cały tlen.

- Dlatego, że mi za to płacą. I dlatego, że muszę dokończyć swoją robotę.

Spokojny, neutralny głos. Dokończyć robotę... To stwierdzenie wrywa z jej gardła kolejne czknięcie. Chciałaby walczyć, kopać go, walić w niego pięściami, wierzgać jak rozwścieczony koń, wydrapać mu oczy i rzucić się do drzwi - ale jej kończyny stały się jak z waty i uleciały z niej wszystkie siły. Ma wrażenie, jakby była przymocowana do łóżka i ściany klejem superglue i tylko jej mózg się zapętlił, jakby zawładnęło nim jakieś złośliwe oprogramowanie. Słowa „dokończyć robotę”... „dokończyć robotę”... „dokończyć robotę”... robią kolejne okrążenia w pudle rezonansowym jej czaszki.

- O nie, nie, nie, nie. - To wszystko, co jest w stanie powiedzieć.

- Ależ tak.

- Proszę pana... nie...

Nagle spogląda na niego, ponieważ mężczyzna położył dłoń w lateksowej rękawiczce na jej udzie. Unika jednak patrzenia na maskę, to zbyt przerażające. Kieruje wzrok niżej. Widzi szczupłe, blade ciało. Całe w tatuażach. Myśli o Cordélii. Patrzy na jego bokserki. Mężczyzna ma erekcję. Twardy penis wystaje nad gumką, jego żołądź jest prawie tak samo czerwona jak maska. Christine czuje gwałtowny przypływ mdłości. Dłoń w rękawiczce przesuwana się po jej udzie. Przez prześwitujący lateks na jego nadgarstku widzi kolejne tatuaże, ale nie jest w stanie ich rozpoznać: oplatają jego dłoń i palce jak bluszcz. Wirus w jej mózgu wciąż powtarza: nie nie nie nie. Ale z jej szeroko otwartych ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Oddycha krótkimi, szybkimi haustami.

Mężczyzna chwyta oburącz brzeg jej nocnej koszuli.

Przekłada ją przez jej ramiona, przez głowę i zostawia z tyłu - tak, że koszula naciąga się na jej karku jak gruba guma przełożona pod pachami. Przesuwa dłonią w rękawiczce po każdej z piersi Christine. Mówi rzeczy w stylu: „Podobają mi się twoje piersi, twoje sutki; masz zajebiste ciało, zrobię sobie dobrze...” Dotyka jej brzucha, wsuwa palec do suchej pochwy. Kobieta, poruszona ostatnim przypływem energii, ścisną kolana z całej siły, jęcząc i

blagajac:

- Nie, nie, nie... Niech pan tego nie robi. Proszę, niech pan tego nie robi...

Przez szpary w masce widzi jego oczy. Puste. Potem mężczyzna wyjmując palec, odchyła się do tyłu, kładzie latarkę na nocnym stoliku, sięga po jakiś przedmiot.

Strzykawka!

Tym razem już ma zacząć krzyczeć, ale napastnik zatyka jej usta pachnącą gumą dłonią i podnosi lśniąca w świetle strzykawkę z igłą, którą zamierza wkuć w jej ramię.

- Zobaczysz, małeńka. To polecą prosto do mózgu. To jest super K, oryginalna keta. Będziesz miała kopa jak nigdy. Zaraz odleciysz, kochanie: to będzie długa jazda.

Bardzo delikatnie naciska na tłoczek i Christine - która ma paniczny lęk przed strzykawkami - czuje, że cieniutka igła wbija się w mięsień, w jej ciało. Na pewno zemdleje.

- Na początek pięćdziesiąt miligramów Kit-Kata domięśniowo. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. A potem jeszcze pięćdziesiąt. Założę się, że to twój pierwszy haj...

## 30.

### OPERA SERIA

*Boże Narodzenie. Bez przerwy sypie. Wielkie, wilgotne płatki spadają na las, kładąc się na nim warstwa po warstwie, milczenie po milczeniu; w przeciwieństwie do Gwiezdnego Miasteczka, w którym panuje świąteczna atmosfera, w naszej ciemnej, zimnej daczynie nie ma żadnej choinki, żadnej girlandy - a ja czuję się pusta, zmęczona, bez sił...*

*W ostatnich dniach częstotliwość i intensywność ataków ze strony Léo wzrosła. Nie waham się już nazywać tego atakami. To zły człowiek, chce mnie zniszczyć. Jest przepętlony jadem, wrogością, żądzą szkodenia. Jak on może tak udawać, być do tego stopnia dwulicowy?*

*Powinam na niego donieść. To nie może tak daleko trwać. To się musi skończyć. Ale jeśli to zrobię, cała misja Andromeda legnie w gruzach. Wiem też, że po czymś takim nie dadzą mi już drugiej szansy. Cholera, ta podróż w kosmos to całe moje Życie. Nie powinam z niej zrezygnować z powodu Léo. W taki czy inny sposób muszę wytrzymać...*

*27 stycznia. Zaczął się trzeci etap. Ten, na którym każda załoga pracuje razem. Spędzamy dni w różnych symulatorach. Komendantem, który siedzi w środku i kieruje zespołem, jest Paweł Korowiew, doświadczony kosmonauta, były pilot oblatywacz. Inżynierem lotu, który siedzi po jego lewej stronie i który jest odpowiedzialny za nadzór wszystkich układów jest zazwyczaj inny Rosjanin, ale ponieważ po raz pierwszy na pokładzie Sojuza ma lecieć jednocześnie dwoje Francuzów, ta rola przypadła Léo. I wreszcie ja jestem eksperymentatorem, siedzę po lewej i mam nadzorować jakość powietrza, radio itd. Korowiew to człowiek o ogromnym doświadczeniu - solidny, poważny i dokładny - i czuję się lepiej, gdy siedzi między nami. Tym bardziej że w kapsule jesteśmy ściśnięci jak sardynki w puszcze: siedzimy z kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej, mamy bardzo ograniczoną możliwość ruchu. Ponieważ nie jesteśmy już sami, Léo jest nerwowy, ale pod spodem (jak dobrze zdążyłam go już poznać): na powierzchni udaje, jest wesoły, jowialny, on i Paweł dobrze się dogadują. Ale kiedy mówi o mnie, zawsze musi mnie jakoś oczernić, poniżyć, za każdym razem jednak robi to pod przykrywką dowcipu: „Mila jest lepsza w łóżku niż w kapsule” - powiedział dzisiaj. Zaczzerwieniłam się ze wstydu. Poczułam się zniestawiona, upokorzona. Wiem, że Léo usiłuje mnie zdenerwować, ukazać jako osobę, której brakuje zimnej krwi, jakąś histeryczkę. Nie zrobię mu tej przyjemności. Tym razem, ośmielona*

obecnością Pawła, odważyłam się jednak odpowiedzieć: „W przeciwieństwie do ciebie, kochanie”. Léo się nie odezwał, a Paweł zachichotał, zażenowany.

28 stycznia. Nie powinnam była go prowokować, nie powinnam była odpowiadać, nie wiedziałam, do czego jest zdolny.

Ten człowiek jest szalony...

Wieczorem po treningu powiedział Pawłowi, że ma coś do zrobienia, i zniknął. Wypiłam szklaneczkę z Siergiejem, który mnie lubi, wiem o tym, i pieszo ruszyłam do daczy. Była ciemna noc, oświetlałam sobie latarką zaśnieżoną ścieżkę przez las. Dacza na polance wyglądała ponuro i przygnębiająco. W żadnym z okien nie paliło się światło. Dom rzucał niepokojący cień na śnieg dookoła. O mało nie zawróciłam. Weszłam po skrzypiących schodkach i otworzyłam drzwi. Kiedy miałam zapalić światło, poczułam na gardle zimną stal ostrza.

„Nie zapalaj” - rozległ się w ciemności głos Léo. Lepki, złowrogi. Posepny głos, którym mówi, kiedy wpada w obłęd. Głos, który oznacza: „Jestem zdolny do wszystkiego. Oboje wiemy, że moje szaleństwo nie ma granic”. Oblał mnie lodowaty strach. Byłam sama z jego mrocznym wcieleniem w tej starej, ponurej budowli w środku lasu. Daleko, bardzo daleko od ludzi... Zaciągnął mnie w zakurzony kąt i zapalił małą lampkę. Drgnęłam. Był nagi. Tors miał umazany krwią albo farbą, nie wiem, co to było, ale był tym uwalany od klatki piersiowej aż do krocza. Złapał mnie za włosy i zmusił, żebym przed nim uklękła. Jeździł ostrzem po moich policzkach.

„Jesteś zerem, jesteś brzydka, a w dodatku upokarzasz mnie przed Pawłem, robisz ze mnie idiotę i impotentą. Źle mi życzysz, nie znosisz mnie, wiem o tym. Jesteś jak kula u nogi. Zapłacisz mi za to, kurwo jebana. Wiesz, co bym teraz najchętniej zrobił? Zabiłbym cię. Zabiję cię; zabiję cię, kurwo, przysięgam, że cię zabiję!”

„Nie, Léo, proszę! Błagam cię. Masz rację: nie powinnam była tego robić. To się już nigdy nie powtórzy. Przysięgam. Nigdy więcej. Nigdy więcej. Nigdy...”

Szarpnął mnie za włosy, tak że o mało mnie nie oskalpował, potrząsnął mną brutalnie, uderzył z całej siły w twarz, aż moje górne zęby uderzyły o dolne i zaczęło mi szumieć w uszach.

„Jesteś szalona - powiedział. - Szalona i niebezpieczna, czy ty w ogóle zdajesz sobie z tego sprawę?” I nagle, zanim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, wetknął mi do ręki nóż, zacisnął moją pięść wokół trzonka i uderzył się ostrzem w biodro. Zachwiał się. Wrzasnął: „Skaleczyłaś mnie, kurwa! Ty stuknięta szmato, skaleczyłaś mnie!”

*Byłam oszołomiona, ogłupiała. Sięgnął po telefon i zrobił mi zdjęcie z zakrwawionym nożem w dłoni, a potem sfotografował swoją ranę na biodrze.*

*„I nie waż się więcej upokarzać mnie przed kimkolwiek” - powiedział. Po czym poszedł do łazienki, żeby się opatrzyć.*

*Kazał mi spać na sofie. Powiedział, że nie chce już dzielić łóżka z kurwą. W salonie było zimno i przez większą część nocy dygotałam pod cienką kołdrą, którą mi zostawił. Dziś rano, odkąd się obudziłam, czuję, że mam gorączkę. Ogarnia mnie panika: wszyscy kosmonauci boją się bakterii, przeziębienia, choroby. Dopóki skład załóg nie jest ostateczny, wystarczy grypa, jakiś wirus, a można zostać wycofanym z projektu. Rosyjscy lekarze nie będą ryzykowali, żeby jedno ogniwo zaraziło cały łańcuch. O nie: wszystko, tylko nie to...*

\*

[Christine podnosi oczy. Patrzy na mężczyznę. Leży pod nim bez ruchu. Słyszy jego oddech. Od jak dawna on tu jest? Miała *black-out*, chwilową utratę świadomości. Mężczyzna nie wydaje z siebie żadnych odgłosów, pieprzy ją w milczeniu. Za każdym razem, gdy w nią wchodzi, Christine czuje, jak jej lędźwie zapadają się w przesiąknięte potem prześcieradła. Później dostrzega, że pokój wokół niej mieni się różnymi barwami: pomarańczowo-czerwony, odbłaskowozielony, kobaltowy, fuksjowy róż, fiolet, cytrynowy... Jeden kolor przechodzi w drugi jak na akwareli, na którą spadło kilka kropel deszczu].

\*

*15 lutego. Zastanawiam się, czy Léo nie obgadał mnie przed rosyjskimi kolegami. Ich zachowanie w stosunku do mnie się zmieniło. Koniec z rycerskością i uprzejmością. Coraz częściej słyszę od nich otwarcie seksualne aluzje i jestem obiektem coraz bardziej maczystowskich zachowań. Któregoś dnia w symulatorze Paweł położył mi rękę na udzie. Cała zesztywniałam, jakby kopnął mnie prąd, i facet odpuścił. Ale jestem coraz mniej szanowana, napotykam spojrzenia pełne pożądania, znaczące uśmiešky i kiwanie głową albo pogardliwe strzelanie oczami.*

*Wczoraj Léo wrócił około północy. Spałam. Był ewidentnie pijany. Zapalił światło, zdjął spodnie i rzucił się na mnie. Czulałam na nim zapach innej kobiety - niemal tak silny jak smród wódki i piwa z jego ust. Wyszeptał mi do ucha: „Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek... właśnie pieprzyłem się z prostytutką. To była prawdziwa kobieta... w przeciwieństwie do ciebie”.*

\*

[Christine czuje dziwne, ciepłe upojenie. Nagle obraz przed jej oczami się zamazuje. Wpatruje się w gumową maskę tuż przy swojej twarzy, ale teraz nie widzi w niej nic



przeróżającego. Wydaje jej się po prostu zabawna. Parska śmiechem, nie wiedząc dlaczego. Z zamazanego obrazu wystaje haczykowaty nos, zaskakująco wyraźny, podczas gdy reszta paskudnej, szyderczej twarzy ginie we mgle... Przypomina to kiepskiej jakości zapis wideo, ze zniekształconym tu i ówdzie obrazem. Efekt jest uderzający. Christine zupełnie traci poczucie czasu. Zauważa, że nic nie czuje, całe jej ciało jest jakby odrętwiałe, znieczulone. Spogląda w dół i widzi wyraźnie swoje sutki, a w miejscu wzgórka łonowego dostrzega już tylko rozmyty trójkątny cień],

\*

*17 maja. Mijają tygodnie. Jak mogłam tak długo to znosić? Wczoraj wieczorem surfując po Internecie, odkryłam prawdziwe znaczenie imienia Andromeda - oficjalnej nazwy naszej misji.*

*Ci, którzy je wybrali, nieświadomie trafili w samo sedno. W mitologii greckiej i babilońskiej gwiazdozbiór Andromedy uosabia boginię płodności, ale w mitologii rzymskiej to Mulier Catenata - „kobieta zakuta w łańcuchy”. Według pewnego specjalisty Andromeda została przykuta do skały pośrodku morza jako ofiara złożona miejscowemu potworowi, który miał ją pożreć. Uwolnił ją Perseusz. A ja? Kto mnie uwolni?*

*30 maja. Przyszł czas niekończących się badań lekarskich, drobiazgowych medyków. Léo nie śmie już mnie dotykać. Wie, że jeśli ja zostanę odsunięta z powodów zdrowotnych, on również nie polecą. Rosjanie mają inne podejście niż Amerykanie. W Stanach, kiedy któryś z członków załogi jest kontuzjowany czy chory, zastępuje go inny w obrębie tej samej załogi. Rosjanie cierpliwie budują zgrane zespoły w oparciu o podobieństwo, wzajemne dopełnianie się członków. Po ustaleniu składu załogi są nierozzerwalne: jeśli jedna z osób zostaje odsunięta, wymienia się cały zespół.*

\*

[Nagle ma wrażenie, że jej ciało rozpuszcza się jak gorący wosk. Kołysze się i płynie w łóżku, włączając się w falowanie całego pokoju. Słyszy własny śmiech - dziwny i głęboki. Czuje, że jej mózg płonie, podczas gdy ręce i nogi są lodowate. Ma poczucie, że opuściła ciało, unosi się nad łóżkiem. Potem łączy się z nim, odwraca głowę i widzi siedzącą obok niej Madeleine, która mówi: „No cóż, teraz wiesz, jak to jest, siostrzyczko. Do zobaczenia za dziewięć miesięcy...”. Na widok siostry chce jej się płakać. Pociąga nosem i spogląda na sufit, który oddala się z zawrotną prędkością, ściany rozciągają się, wydłużają, ich końce odsuwają się na odległość wielu kilometrów, gdy tymczasem ona się cofa, staje się małą, maleńką dziewczynką, jak wtedy, gdy leżała w łóżku z gorączką].

\*

10 czerwca. Siergiej szaleje z wściekłości. Mówił, że pójdzie do Léo i roztrzaska mu głowę. Wreszcie znalazłam w sobie odwagę, by mu się zwierzyć. Powiedział mi, że od dawna coś podejrzewał i przyglądał mi się uważnie, zanim mu o wszystkim opowiedziałam. Myślę, że jest we mnie zakochany. Powiedział też, że to nie może tak dłużej trwać, że wszyscy w Gwiezdnym Miasteczku widzą, że jestem na skraju załamania nerwowego, że trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie. Powiedział mi, że kogoś zna: „wora” - tak go nazwał. Zapytałam, kto to jest wor, a on wyjaśnił, że „wor w zakonie” to w rosyjskiej mafii ktoś w stylu ojca chrzestnego. Jeden z jego kuzynów dla niej pracuje. Siergiej powiedział mi, że z nim porozmawia. Zaniepokoiło mnie to: jeśli Léo stanie się coś poważnego, cała nasza załoga zostanie odsunięta od misji. Siergiej odgadł mój niepokój: „Nie martw się, powiem im, żeby za bardzo nie uszkodzili tego drania Mokiego...”. Moki to ksywka, którą nazywają Léo. Sądzę, że pochodzi ona od „moqueur”<sup>13</sup>, ponieważ Léo lubi robić i opowiadać kawały.

\*

Servaz się poderwał. Przeczytał ostatnie zdania. Odłożył otwarty dziennik na kółdę i wstał z łóżka. Podeszedł do niewielkiego biurka, do kalendarza, który przekazał mu Desgranges. Otworzył i zaczął go szybko wertować. Zatrzymał się. Jest. „Moki 16.30”, Moki 15.00”, „Moki 18.00”...

- Mam cię, Moki - powiedział.

\*

25 czerwca. Léo jest w szpitalu. Został pobity przez skinów. Zazwyczaj napadają na Cyganów, studentów z Afryki i homoseksualistów. Zdarzyło się to, kiedy wychodził z jednego z licznych moskiewskich striptizów, w którym można skorzystać z seksu z dziewczynami. Léo ma liczne złamania. Stracił trzy zęby, ale nie poniósł żadnych nieodwracalnych szkód. Jestem pewna, że Siergiej poinstruował kuzyna, by jego chuligani nie mieli zbyt ciężkiej ręki. I choć Siergiej nic mi nie powiedział, wiem, że to on za tym stoi.

Poszłam odwiedzić Léo w szpitalu. Nie powiedział ani słowa, nie otworzył ust. Tylko na mnie patrzył w milczeniu. Zmroziło mnie to spojrzenie: jego oczy płonęły taką nienawiścią, że poczułam się, jakby mnie spoliczkował.

\*

[Nie od razu zauważyła, że zerwał się wiatr, że suche liście zaczęły wirować w powietrzu, a zwierzęta poderwały się do ucieczki przed niewidzialnym niebezpieczeństwem.

---

<sup>13</sup> *Un moqueur* to po francusku dowcipniś, kpiarz, szyderca.

Nagle pokój zaczął przypominać polaną omiataną mroźnym wichrem i Christine zobaczyła złowróżbne cienie na niebie i na ziemi. Poczwała lęk. Pewność zbliżającego się niebezpieczeństwa zmroziła ją do kości. Chciała uciekać, tak jak te zwierzęta. Nie była jednak w stanie. Jej ciało było sparaliżowane, przygwożdżone do tego przeklętego łóżka na środku polany. Próbuje się pozbyć przygniatającego ją ciężaru, odepchnąć go ramionami. Męczyzna jednak policzkuje ją. Zmrużywszy oczy, Christine z przerażeniem odkrywa, że siedzi na niej karzeł, mały, odrażający człowieczek, zniewieściały i straszny, który wydaje się nie odczuwać żadnej przyjemności w tym, co robi, jakby pieprzył ją dla jakichś całkiem odmiennych racji, kompletnie nie zwracając na nią uwagi, wlepiając wzrok w ścianę przed sobą].

*1 lipca. W Moskwie jest bardzo gorąco. Pojechaliśmy z Siergiejem do parku Gorkiego. Było aż czarno od ludzi: młodzieży grającej na piasku w siatkówkę plażową, studentów jeżdżących na rowerach albo rozłożonych na trawnikach, sprzedawców hot dogów, rolkarzy i ludzi stojących w kolejce do atrakcji. Podobno park wkrótce ma zostać przeprojektowany i urządzony od nowa. Ma się zmienić na lepsze, na podobieństwo Central Parku. Siergiej chciał, żebyśmy popływali łódką po rzece, ale odmówiłam: bałam się, że ktoś z Miasteczka mógłby nas zobaczyć. Léo jest w szpitalu... Co by o mnie pomyśleli? W pewnym momencie, kiedy siedzieliśmy na ławce, Siergiej spojrzał na mnie i wziął mnie za rękę. Tym razem go nie odepchnęłam.*

*3 lipca. Léo wczoraj wyszedł ze szpitala, o kulach. Rosjanie zapewnili go, że niedługo będzie mógł wrócić do treningów. Nasza misja została przesunięta o dwa tygodnie, żeby Léo mógł w niej uczestniczyć. Rosyjska medycyna czyni cuda.*

*Cóż za zaskoczenie: zachowywał się wobec mnie prawie normalnie. Czyżby to pobicie czegoś go nauczyło? Czy usłyszał pogroźki od tych, którzy na niego napadli? Czy kazali mu zostawić mnie w spokoju? Zapytał, jak przebiegały treningi, odpowiedziałam, że w symulatorze posadziliśmy zmiennika, żeby nie tracić czasu. Pochwalił to. „Tak, misja jest najważniejsza”. Nawet nie próbował mnie dotknąć. Nie wypowiedział też żadnych raniących słów. Zachowywałam się, jakby nigdy nic się między nami nie wydarzyło. Poszedł spać na sofę, bez słowa, zostawiając mi łóżko, które zajmuję, odkąd trafił do szpitala. Następnego ranka życzył mi nawet dobrego dnia. Nienawidzę go, gardzę nim. Jeśli myśli, że z powrotem wkradnie się w moje łaski, to grubo się myli. Ale gdybyśmy mogli zostać na takiej stopie do końca naszego pobytu w tym miejscu - i skupić się na misji - byłabym zadowolona.*

[Wreszcie orientuje się, co się dzieje, gdy mężczyzna wytryska do jej pochwy i pochyla się do jej ucha, mówiąc skrzeczącym głosem:

„Jestem zerem pozytywnym”.

„Co?” - skrzypi Christine, a on powtarza:

„Jestem seropozytywny”.

W tej samej chwili kobieta ma wrażenie, jakby wpadała do niekończącego się tunelu, w którym jej serce zaczyna bić coraz wolniej i wooolniej... jakby zamieeerzaaało... się zatrzyyyyyyyymać...]

\*

*4 lipca. Stało się coś straszego. Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Mam wrażenie, że wszystko dookoła mnie się wali, że obłęd depta mi po piętach. Siergiej został potrącony przez samochód. Zginął na miejscu, uderzywszy głową o jezdnię. Kierowcy nie odnaleziono... Jestem pewna, że stoi za tym Léo. W jaki sposób dowiedział się, że został pobity na zamówienie Siergieja? Czy potrącił go sam, czy kogoś wynajął? I gdzie jest w tej chwili? Już po północy. Nie mogę zasnąć. Słucham szumu drzew wokół daczy kołysanych nocnym wiatrem, przyklejam nos do szyby, próbując przeniknąć wzrokiem ciemności, wpatrując się w cienie.*

*I nagle w lesie zapala się jakieś światełko. Podskakuję. Przywieram czołem do zimnej szyby, usiłuję coś dostrzec.*

*Chyba mi się zdawało, bo nic nie widzę. Tylko ciemność, wiatr i śnieg... Ale potem znowu zauważam światełko. W oddali. Ruchome, drżące: nie ma wątpliwości, to zbliżające się światło latarki. Tam, na ścieżce. Czuję, jakby wszystkie moje wnętrzości skupiły się w żołądku, jestem spięta, krew pulsuje mi w skroniach. Rzucam się do głównego pokoju, zamykam drzwi. Wracam do okna. Światło jest bliżej, teraz widzę sylwetkę. To on. Idzie dużymi krokami przez polanę. Nagle w ciemności rozlega się jego donośny głos: „Milaaaaaaaaaaaaa!” Jestem przerażona. Serce podchodzi mi do gardła. Szukam jakiegoś wyjścia, ale nic nie przychodzi mi do głowy.*

*Słyszę skrzypienie drewnianych schodów pod jego ciężarem, odgłos szarpanej wściekle klamki. Popycha drzwi, uświadamia sobie, że zamknęłam je na klucz, szarpie nimi gwałtownie, wali pięściami.*

*„Mila, otwieraj te drzwi! Otwieraj te drzwi, żalosa debilko! Ty podła idiotko! Otwieraj!”*

*Z wielką siłą uderza barkiem, ale drzwi nie ustępują. A potem nic... Cisza. Serce tak mi wali, że mam wrażenie, jakby miało wyskoczyć ustami. Dookoła daczy gwiżdże wiatr, gałęzie*

*ocierają się o dach. Co on robi? Gdzie jest? W tym momencie okno z tyłu domu się roztrzaskuje. Rzucam się do drzwi wyjściowych, próbuję trafić kluczem do zamka, ale ręka tak mi się trzęsie, że upuszczam go na podłogę. Cholera! Schylam się, by go podnieść, wstaję, wkładam go do zamka. Przekręcam klucz i ciągnę drzwi do siebie, ale czuję opór. Szarpie mocniej. W końcu drzwi ustępują... Już mam przejść przez próg, kiedy nagle on obejmuje mnie ramionami, przyciskając policzek do mojej twarzy.*

*„Dokąd się wybierasz? Jesteś moja, Mila. Czy tego chcesz, czy nie, teraz jesteśmy ze sobą połączeni na zawsze. Na całą wieczność”. Drzę ze strachu. Chwyta mnie za twarz, ściska tak mocno, że przez chwilę wydaje mi się, że zęby wypadną mi z dziąseł. „Nic nie zdoła nas rozdzielić, jeszcze tego nie rozumiałaś?”*

*Nagle nocnym niebem wstrząsa warkot, potężny huk silnika. Nad naszymi głowami przelatuje stalowy kolos: jeden z itów z sąsiedniej bazy wojskowej. Léo podnosi głos, by przekrzyczeć hałas, wciąż przywierając policzkiem do mojej twarzy:*

*„NIGDY NIE ZDOŁASZ MI UCIEC, MILA. NAWET GDYBYŚ WSIADŁA W SAMOLOT I POLECIAŁA NA DRUGI KONIEC ŚWIATA. PÓJDĘ ZA TOBĄ AŻ DO PIEKŁA. A JEŚLI BĘDZIE TRZEBA, ZABIJĘ I CIEBIE, I SIEBIE”.*

\*

Około czwartej nad ranem Servaz zrobił sobie przerwę. Czuł się złapany w pułapkę słów, wciągany coraz głębiej w koszmar Mili. W końcu sam poczuł się skalany tą fizyczną i psychiczną przemocą. Wzbierał w nim też gniew na tego mężczyznę używającego zawstydzania, pogroźek, bicia i upokarzania jako broni masowego rażenia. Servaz czuł, że ta historia może się skończyć tylko tragicznie. Włączył czajnik elektryczny i nasypał neski do filiżanki. Za szybą znowu sypało. Na stronach opisujących kolejne tygodnie po śmierci Siergieja Mila jakby zaakceptowała sytuację. Servaz pomijał, że - nawet jeśli nie zostało to wprost wyrażone w dzienniku - kobieta musiała odliczać dni dzielące ją od pierwszego lotu kosmicznego, jak więzień liczy dni, które pozostają mu do wyjścia na wolność. Zrozumiał też, że Fontaine nie mógł już sobie pozwolić na bicie jej, ponieważ wraz ze zbliżaniem się „Dnia D” kontrole lekarskie były coraz częstsze. Zamiast tego mnożył pogroźki, szcekał jak wściekły pies, ale to było wszystko. Obydwoje wiedzieli o istnieniu nieprzekraczalnej granicy

Jednak pod koniec lipca, cztery tygodnie przed planowanym startem, wydarzyło się coś, co nieoczekiwanie zmieniło sytuację.

## 31.

### OPERA HEROICZNA

*22 lipca. Mija czwarty dzień, a ja ciągle nie mam okresu. Zdarzały mi się już spóźnienia, ale nigdy nie były dłuższe niż czterdzieści osiem godzin. Boże, spraw, żeby to nie było to!*

Servaz przerwał lekturę. Odłożył dziennik na blat i spojrzał na sufit, przypominając sobie małego Thomasa na kolanach matki. Jego blond włosy, zaspaną pyzată buzię. Nagle pojawiło się w nim pytanie: Dlaczego Mila zachowała to dziecko?

*To moja wina, jestem tak odklejona, wyczerpana, skołowana i wkurzona, że przez dwa dni z rzędu zapomniałam o tabletkach. Boże, spraw, żeby to była zwykła nieregularność! Jeśli nie, poddam się aborcji: nie ma opcji, żebym zostawiła dziecko tego psa...*

*25 lipca. Jestem w ciąży! Mam jeszcze w kieszeni test kupiony w moskiewskiej aptece. Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Jeśli Rosjanie się dowiedzą, moje miejsce na pokładzie ISS przypadło. A wraz z nim cała misja. Nie wiem, co robić. Zaczynam mieć objawy, które - gdyby wyniki testu były niewystarczające - nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości co do mojego stanu. I nigdy nie czułam się tak zmęczona. 26 lipca. Léo znalazł test. Ależ ze mnie idiotka. Powinnam była go wyrzucić. Nie wiedziałam, że systematycznie grzebie w moich rzeczach. Na pewno w poszukiwaniu dowodów na moją niemoralność. Co za pojebus... Stanął przede mną z testem w ręku i powiedział: „Co to jest?”. A jak sądzisz, dupku? Test na pH wody w basenie... Tyle że jego pytaniu towarzyszył policzek, który o mało nie urwał mi głowy. Jego oczy prawie wychodziły z orbit, „jestem w ciąży” - oświadczyłam. „Co?!” „Dobrze usłyszałeś. Muszę iść na za...” Drugi policzek, niewiarygodne, jeszcze mocniejszy od poprzedniego. „Jak mogłaś?” - oburzył się. Pieczęta mnie twarz, pocierałam ją, ale ból nie chciał przejść. „Kto jest ojcem?” „Ty, Léo”. „Kłamiesz!” Złapał mnie za włosy i podniósł z fotela. „Kłamiesz, pierdolona zepsuta dziwko!” Nie chciałam się rozplakać, ale ból był zbyt mocny i łzy napłynęły mi do oczu. „Léo, przysięgam! To twoje dziecko! Ja... Przepraszam!” Znowu chwycił mnie za włosy. „Nie rozumiesz tego, idiotko? Przez ciebie misja jest spalona! Naprawdę sądzisz, że oni niczego nie zauważą? Zrobiłaś to specjalnie, tak? Kurwa, zapłacisz mi za to. Zabiję to dziecko, jak Boga kocham. Zabiję je w twoim brzuchu”. „Poradzę sobie z*

tym. Léo. I ty też. Obydwoje sobie z tym poradzimy” - powiedziałam stanowczo. „Ach tak?” „Nie masz wyboru. Jeśli komukolwiek powiesz, masz rację, załoga zostanie odsunięta, a na nasze miejsce wejdą dublerzy. A przy naszym rozkładzie zajęć i lekarzach, których ciągle mamy na karku, nie ma mowy, żebym zrobiła zabieg przed lotem”. Zobaczyłam, jak mruży powieki. „A więc co proponujesz?” „Zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Dam radę”. „Przypominam ci, że mamy spędzić na górze miesiąc, żalosna kretyńko!” „Znane są przypadki kobiet, które ukrywały ciążę do ostatniej chwili. Nawet jeśli się zorientują, będzie już za późno. To mogłaby nawet być astronautyczna nowinka: ciężarna w kosmosie...” - dodałam, ale Léo chyba nie wyczuł sarkazmu w moim głosie. „Nie ma mowy, żebyś urodziła to dziecko - oświadczył kategorycznie. - Po powrocie na Ziemię znajdę kogoś, kto przeprowadzi aborcję, nawet po trzech miesiącach...”

D-10,15 sierpnia. Przybyliśmy do miasta Bajkonur. Hotel „Cosmonaut”. Udało mi się wykręcić od ostatnich testów na podnoszonym stole i fotelu obrotowym: udałam, że od kilku dni mam migrenę. Już za późno, by się cofnąć, więc zwolnili mnie z tych ćwiczeń. Nie uniknęłam jednak łóżka o nachyleniu 10 stopni, w którym śpi się z nogami w górze, żeby zacząć przyzwyczajać organizm. Przyjazd załóg kosmicznych dwa razy do roku jest dla tego miasta dużym wydarzeniem. Od czasu rozpadu Związku Radzieckiego ma ono poważne problemy z utrzymaniem bezpieczeństwa i odpływem kadr, więc personel bardzo się o nas troszczy. Ani na chwilę nie jestem z Léo sam na sam.

D-1. Ostatni wieczór. Jak kaže tradycja, uczestniczymy w projekcji starego filmu Białe słońce pustyni, w stylu westernu à la John Wayne ku czci wielkiego radzieckiego bohatera. Dzień minął z prędkością światła. Przygotowałam ostatnie rzeczy: karteczki-przypominajki, krem nawilżający na sztuczną atmosferę stacji, słuchawki, muzykę operową na mp3. Wszyscy wokół nas - technicy, lekarze, personel - są w kompletnej euforii.

Rzucam okiem na Léo: ma nieprzenikniony wyraz twarzy, ignoruje mnie. Boi się, że pękne. Ale ja czuję się silniejsza, mam więcej energii niż kiedykolwiek. W moim brzuchu jest MOJE dziecko, które poleci razem ze mną w kosmos...

Wracam do pokoju. Na jego drzwiach znajdują się podpisy wszystkich tych, którzy byli tu przede mną. Ogarnia mnie wzruszenie.

Dzień D - 26 sierpnia. Pobudka o siódmej trzydzieści. Kontrola lekarska, dezynfekcja, mycie: nagle zaczynam się bać o dziecko i oblewam się zimnym potem. Lekarz pyta, czy

*wszystko w porządku; kiwam głową, że tak, i uśmiecham się do niego, zaciskając zęby. Potem udajemy się na legendarny kosmodrom Bajkonur, który znajduje się trzydzieści kilometrów stąd.*

*Na trzy godziny przed startem w pomieszczeniu o brązowych ścianach odbywa się rytuał wkładania skafandrów. Każdy waży trzydzieści pięć kilogramów. Jesteśmy otoczeni, filmowani, sprawdzani. Potem podróż busem, ostatnie rady, technicy, którzy bez końca majstrują przy skafandrze, bańka strachu w żołądku. Kiedy wysiadamy z busa, u stop wyrzutni, w pełnym słońcu czeka na nas tłumek ludzi. Kolejne uściski, wyrazy serdeczności. Czuję się dziwnie samotna: nie mam rodziców, żadnej rodziny, która by mnie uściskała, w przeciwieństwie do Léo i Pawła, którzy mają liczne towarzystwo. Sami rosyjscy oficerowie. To zabawne, że w tej chwili wszystko wychodzi na wierzch: małomówne dziecko, niespokojny okres dojrzewania, rodziny zastępcze, koledzy, z którymi nigdy tak naprawdę nie byłam blisko i którzy patrzyli na mnie tak, jakbym była chora na jakąś wstydliwą chorobę - wszyscy poza tą biedną pulchną i brzydką dziewczynką, której imienia już nie pamiętam i która za wszelką cenę chciała zostać moją przyjaciółką, podczas gdy ja ciągle ją odtrącałam. Potem związki bez przyszłości, sztuczne sny... - aż do Léo... Tym razem, po pożegnaniu z rodziną, patrzy na mnie: twarde, nienawistne spojrzenie. Ale mam to gdzieś. Nie może mi nic zrobić: jestem już gdzie indziej. W górze. Wygrałam.*

*Ostatnie metry: wolno zbliżamy się do rakiety, kiwając się jak pingwiny, taszcząc nasze wentylatory jak małe walizki. Ściskamy jeszcze kilka dłoni, wchodzimy po schodach do starej windy, zatrzymujemy się w połowie. Jest bardzo gorąco, pocę się i mam wrażenie, że zemdleję. Odwracamy się, machamy do krzyczącej i gestykulującej gromadki. Znajdująca się kilka metrów od nas bestia bucha kłębami pary, ryczy, sapie i dyszy, gotowa, by wyskoczyć w niebo.*

*I wreszcie doświadczam tego, czego zawsze chciałam, pożądałam i wyczekiwałam z nadzieją - poczucia, że jestem na swoim miejscu.*

Servaz przerwał, sięgnął po swój notatnik i zanotował coś. Pojawiło się w nim pewne uczucie, wrażenie... niejasne, niekonkretne... Uczucie, które jednak nie chciało minąć. Postawił przy nim trzy znaki zapytania.



4

3

2

1...

*JESTEM PTAKIEM. Jestem aniołem.*

*Ale przede wszystkim jestem owadem skulonym w poczwarcie. Próbuję się rozluźnić z nogami podkurczonymi na fotelu. Przycupnięta w tej stalowej trumience.*

*6-5-4-3-2-1...*

*Rakieta się odrywa i odrzuca rakiety nośne pośród buchającego ognia i wściekłego huku. Zderzenia, wibracje, iskry, zgrzyty. Olbrzymie parcie na pośladki. Po 118 sekundach oddziela się od bocznych rakiet dodatkowych. Prędkość: 1670 metrów na sekundę. 286 sekund później kolejny gwałtowny wstrząs: odczepienie drugiego poziomu. Prędkość: 3680 metrów na sekundę. Ciągłe trzęsienie... Coraz mocniej... ale jazda... 300 sekund: odczepienie trzeciego poziomu. Prędkość: 3809 metrów na sekundę.*

*I nagle Sojuz wchodzi na orbitę.*

*Prędkość: 7700 metrów na sekundę.*

*Ostatni kopniak w tyłek pośród trzasku metalicznych wstrząsów, a potem niebiański spokój. Cisza, nieważkość... Przedtem iskry, a teraz rozbłyskające gwiazdy. Nie słyszę nic poza odgłosem cyrkulacji powietrza w moim skafandrze „Sokol”. Różne przedmioty bez przeszkód unoszą się w kabinie. Odwracam głowę i widzę JĄ: tę, z której wystartowaliśmy. Ziemię. Majestatyczną w oślepiającej, zimnej niebieskiej poświacie. Widzę kontynenty, oceany, spirale chmur. A wokół mnie kosmos: czerni, wszędzie dużo czerni.*

*Królestwo pustki...*

*„Pięknie, co?” - odzywa się siedzący obok mnie Paweł ze swoim kazachskim akcentem. Ledwie go słyszę. Jego głos i dźwięk powietrza w przewodach. Czuję, że to powietrze mnie ogarnia. Porywające uczucie. Niekończąca się krzywizna horyzontu, oślepiające słońce, noc jak gwiazdne pole, olbrzymie masy kontynentów, oceanów, chmur, górskich łańcuchów, rzek, miast...*

*Nagle nic już nie ma znaczenia, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu nie czuję już nienawiści, gniewu ani strachu, nic. Tylko jakiś dziwny rodzaj miłości.*

*28 sierpnia. Przybicie do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej przebiegło dobrze. Zgodnie z rosyjską tradycją podzieliliśmy się chlebem i solą z załogą, która już tam była:*

*jednym Rosjaninem i dwoma Amerykanami. Stacja ma dziewięćset metrów kwadratowych powierzchni, z czego czterysta to przestrzeń mieszkalna, niezastłonięty widok na Ziemię oraz tysiące metrów paneli słonecznych. Jest ściśle podzielona na dwie części: pierwszą tworzą moduły amerykańskie o podwyższonym ciśnieniu, zbudowane według reguł architektonicznych NASA oraz europejski moduł Columbus. Druga część, połączona z pierwszą łącznikiem Unity, składa się z modułów rosyjskich, inspirowanych architekturą stacji Mir. Amerykański moduł Harmony i Columbus znajdują się w przedniej części stacji, są zatem bardziej narażone na zderzenia z kosmicznymi śmieciami, natomiast rosyjskie moduły Zarja i Zwiezda umieszczone są na rufie. Paweł, Léo i ja jesteśmy w części rosyjskiej.*

*4 września. Jesteśmy na Stacji od tygodnia. Większość czasu spędzam w module Zwiezda, a dokładniej w jego części roboczej - niewyobrażalnie zagraconym pomieszczeniu o powierzchni studenckiej kawalerki. W innej części Stacji byłam tylko raz (po drodze przechodząc przez Zarję, która ma trzynaście metrów długości i służy jako skład magazynowy, a potem PMA-1 Pressurized Miting Adapter - oraz moduł łącznikowy Unity, gdzie jemy większość posiłków), podczas gdy Léo i Paweł byli tam już czterokrotnie. Mam wrażenie, jakby chcieli mnie odizolować, trzymać na dystans od reszty załogi. Wydaje mi się też, że Léo i Paweł knują za moimi plecami, że Léo zachęca Pawła do coraz bardziej niestosownych słów i zachowań w stosunku do mnie.*

*11 września. Podoba mi się dziwny obraz kosmosu przez bulaj. Wielka jasność wokół nas, niezmierna, bezdenna przestrzeń i głęboka czerń rozgwieżdżonej nocy. Lubię wpatrywać się w wypukłość Ziemi, która zamyka horyzont, z kłębiącymi się chmurami, niebieską tam, gdzie widać oceany, i brązową tam, gdzie odłania się kontynent afrykański. W części pogrążonej w ciemności widzę miliardy światła wielkich miast, a nawet - maleńkie i cudownie delikatne światła miasteczek Archipelagu Sundajskiego.*

*Jeśli patrzy się z tego miejsca, krzywdy, jakie człowiek wyrządza swojej planecie, widać jak na dłoni: powiększające się obszary pustynne, masowe wylesianie, zanieczyszczenia atmosferyczne nad Chinami, widoczne z kosmosu ślady po odgazowaniu tankowców...*

*12 września. Jak co ranka tkwię przyklejona do bulaja i zafascynowana, że łzami w oczach wyglądam na zewnątrz, kiedy nagle czuję, że ktoś, mimo panującej nieważkości, niezdarnie próbuje się do mnie dobierać. Z początku myślę, że to Léo, i mówię mu, żeby przestał, ale słyszę głos Pawła:*

*„Léo poszedł do Amerykanów. Jesteśmy sami”. Przez koszulkę czuję na piersiach jego dłonie. „Moglibyśmy spróbować czegoś nowego: nie masz ochoty się dowiedzieć, jak to jest bzykać się w stanie nieważkości? Bo ja tak”.*

*Wyrywam się, ale on się nie poddaje. Unosimy się wewnątrz modułu do góry nogami, co chwilę o coś się obijając, i widzę przez bulaj, jak Ziemia obraca się w odwrotnym kierunku, podczas gdy Paweł próbuje mnie obmacywać i całować. Wymierzam mu brutalny policzek. Patrzy na mnie zaskoczony i puszcza mnie. Potem z wściekłą miną przemieszcza się w stronę Zarii.*

*13 września. Wciąż po kryjomu prowadzę ten dziennik, zagrzebana w śpiwór, przycumowana do ściany. Paweł i Léo śpią. Nie mam już choroby kosmicznej, którą odczuwałam na początku - wszystkich tych nudności i zawrotów głowy, co do których nie wiedziałam, czy mają związek z ciążą, ale które na pewno wynikały z dezorientacji otolitów - kryształków znajdujących się w uchu środkowym. Przyzwyczyłam się też do ciągłego hałasu, do braku prysznic, do podmywania się chusteczkami do higieny intymnej, do połykania pasty do zębów i do muszli klozetowej, do której trzeba się przypinać. A nawet do panującego wszędzie bałaganu. Najgorsze jest jednak to, co dzieje się między nami, kiedy jesteśmy sami we trójkę - Paweł, Léo i ja - w rosyjskiej części stacji. Sądziłam, że tutaj wszystko się skończy, że to ciągłe przebywanie razem ich uspokoi. Ale odkąd spoliczkowałam Pawła, stał się niemal równie ponury i niebezpieczny jak Léo. Czuję pogardę i podejrzliwość w każdym jego słowie i spojrzeniu. Dzisiaj kazali mi zdemontować uszkodzony destylator moczu. Potem żartowali sobie ze mnie po rosyjsku. Za każdym razem, kiedy chcę potrenować na bieżni w module Zwięzda albo odpocząć w swojej kabinie, znajdują dla mnie nowe zajęcia. Zauważyłam też, że trzymają się coraz bardziej na dystans wobec pozostałych członków załogi. Zresztą oni też przychodzą tu coraz rzadziej. Nie wiem, co tam się wydarzyło, ale mam wrażenie, że stosunki między starymi i nowymi nie są najlepsze.*

*14 września. Wydaje mi się, że panowie zaczynają popadać w obłąd. Léo zdołał przekonać Pawła, że trzeba uważać na pozostałych mieszkańców stacji. Oficjalnie misją kieruje Paweł, ale w rzeczywistości Léo całkowicie go sobie podporządkował. Usłyszałam strzępki ich rozmowy: Léo sądzi - albo udaje, że tak sądzi - że Amerykanie mają za zadanie prowadzić na nich jakieś eksperymenty psychologiczne. Wiem też, że po drugiej stronie o mało nie doszło do bójki, ale nie było mnie przy tym. Nie wiem, co tu się dzieje.*

15 września. Dziś wieczorem chciałam spotkać się z resztą załogi po drugiej stronie stacji, ale Léo złapał mnie za nadgarstek. „A ty dokąd?” Odpowiedziałam, że idę się spotkać z resztą. Nie puszczając mnie, popatrzył na Pawła i przetłumaczył mu moje słowa. Paweł rzucił mi puste, pozbawione wyrazu spojrzenie, które mnie zmroziło, i pokręcił głową. Wtedy Léo powiedział: „Nie ma mowy, zostajesz tutaj”.

19 września. Sytuacja jest coraz gorsza. Kilka razy dziennie jestem obiektem przelotnych macanek, lubieżnych dowcipów, niedwuznacznych propozycji. Wkurzyłam się na Pawła, a on wydarł się na mnie, tak jak zrobiłby to Léo. Nie wierzyłam własnym uszom. Zaczęłam się trząść. W końcu z niestęchaną brutalnością krzyknął mi prosto w twarz: „Myślisz, że nie widzę, w co ty sobie pogrywasz?”

Jeśli kiedykolwiek powiesz innym, co się tutaj dzieje, przydarzy ci się nieszczęśliwy wypadek”.

21 września. Patrzę przez bulaj, jak znad zagiętego horyzontu podnosi się słońce. Wygląda jak ognisty rozbłysk z kulą w środku: coś jakby eksplozja atomowa. Kolory nieba przechodzą od ciemnego fioletu w blady róż. W pobliżu ogniska światła Ziemia jest pomarańczowa, a dalej jej kolor wpada w coraz głębszy brąz. Promienie słońca wpadają przez bulaj i zalewają wnętrze modułu. Łzy przestaniają mi wzrok.

23 września. To już koniec. Po tym, co się wydarzyło, nie ma już odwrotu. Game over. Dziś wieczorem Léo i Paweł byli kompletnie pijani. Wyjęli kilka małych wódek pochowanych w różnych miejscach modułu. To nic dziwnego: kosmonauci często przemycają alkohol, mimo że ich bagaże są drobiazgowo kontrolowane. Opróżnili je przez słomki. Tutaj wszystko pije się przez słomkę.

W pewnym momencie zaczęli mi się dziwnie przyglądać. Przypomniałam sobie, że przez cały dzień mieli konspiracyjne miny, i zadrżałam. Ich oczy były szkliste. Kazali mi się napić. Odmówiłam, ale ponieważ nalegali, wypitałam w końcu odrobinę wódki z okazji czterdziestych trzecich urodzin Pawła. Po pewnym czasie ich kawały zaczęły być coraz bardziej niestosowne, a ich spojrzenia coraz bardziej natarczywe. Kiedy chciałam iść się położyć, Léo powiedział:

„Masz rację, to kurwa. Połowa Gwiezdnego Miasteczka ją przeleciała. Ty też, Paweł?” Paweł zaprzeczył ruchem głowy i spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem. „Widziałeś, jak ona ciągle cię bajeruje, odkąd tu jesteś? - naciskał Léo. - Robi tak z każdym. Jak te łaski, które

wkładają miniówki i stringi, upijają się, flirtują, a potem, gdy znajdują się w pokoju, mówią: *Przestań, nie o to mi chodziło, przykro mi, ale to jakieś nieporozumienie, nie miałam zamiaru iść z tobą do łóżka, nie, nie, nie, za daleko się posunęliśmy. Wszystkie te hipokrytki i manipulantki, które lubią najpierw podjarać faceta, a potem go zostawić, no nie? To je bawi. One mają prawo to robić, a my nie mamy prawa reagować jak mężczyźni. Paweł, chcesz ją zerznąć?”*

*Drgnęłam. Paweł ciągle na mnie patrzył. Chciałam stamtąd iść, ale Léo znowu trzymał mnie za nadgarstki. Powiedziałam mu, żeby przestał, że zacznę krzyczeć tak głośno, że usłyszą mnie na drugim końcu stacji. I wtedy, zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, zasłonili mi usta ręką i obydwaj mnie chwycili. Krzyczałam, wierzgałam jak szalona, chcąc się uwolnić, ale Léo mocno mnie trzymał. Unosiliśmy się swobodnie w atmosferze Zwiezdzy i nagle poczułam, jak Paweł zatyka mi usta wielką, wilgotną łapą śmierdzącą metalem.*

*Przypuszczam, że to, co potem nastąpiło, mogłoby być krokiem naprzód w dziedzinie tych przeklętych badań kosmicznych: bo czyż te dwie pijane świny w przebraniu kosmonautów nie udowodniły, że gwałt w stanie nieważkości jest możliwy? Pod warunkiem że napastnicy działają we dwójkę?*

*To koniec.*

*Moje marzenie o kosmosie w tym miejscu się kończy... Co zrobiłam? W tamtym momencie nic. Bo co mogłam zrobić? Albo powiedzieć? Na tym etapie nic nie byłoby w stanie ich powstrzymać.*

*Poczekalam, aż zasną głęboko, po czym ruszyłam do Zarii, którą przeszłam, czepiając się wszystkiego, na co natrafiłam, unosząc się i objając w tym cholernym stanie nieważkości, z żołądkiem ściśniętym z przerażenia na myśl, że któryś z nich obudzi się i mnie złapie. Przedostałam się przez służbę, przez PMA-1 i Unity i znalazłam się w części amerykańsko-europejskiej, w miejscu, gdzie drugi z Rosjan, Arkadij, rozłożył się ze śpiworem. Arkadij nie lubi Pawła ani Léo. Wszyscy spali. Obudziłam ich. Widziałam, że ich zamurowało. Wytrzeszczali oczy, widząc mnie w tym stanie, z obrzmiałą twarzą, z rozciętą wargą, w rozdartej koszulce i majtkach. Poprosiłam ich, żeby pilnie skontaktowali się z ośrodkiem kontroli.*

*To już koniec. W dyskusji, która odbyła się tej nocy z ośrodkiem kontroli, padły ostre słowa, między Ziemią a stacją wymieniano nawet pogróżki. Amerykanie i drugi Rosjanin poprosili, żeby mnie jak najszybciej zabrano.*

*Zachowali się wspaniale, kiedy nazajutrz przyszli po mnie Léo i Paweł. Mogło się*

*skończyć rozróbą, ale Paweł i Léo szybko zrozumieli, że nie mają przewagi. Ostatecznie postanowiono, że zostaną w przedniej części, a Rosjanin z Amerykaninem poszli nawet po moje rzeczy bez najmniejszego sprzeciwu ze strony Léo i Pawła.*

*Ci na dole mają śmiertelnego pietra.*

*Działania na pokładzie stacji opierają się na ścisłym i delikatnym podziale obowiązków, a tymczasem wszystko stało się takie chaotyczne. Poza tym muszą umierać ze strachu na myśl, że sprawa mogłaby się roznieść. Ale wreszcie czuję się bezpieczna - po raz pierwszy od długiego czasu.*

## 32.

### GWIZDY

- Obudź się! Obudź się, kurwa!

Wymierzył jej kolejny policzek, jeszcze silniejszy od poprzedniego. Christine uniosła powieki. Miała oczopląs, jej gałki oczne nie mogły się zatrzymać. Mężczyzna znowu uderzył ją w spocony policzek.

- Wracaj! Wracaj do mnie! - rzucił. - Gdzie odleciałaś? Kurwa, mała, ale mi napędziłaś stracha!

Przytrzymał ją w pozycji siedzącej, ale nagle jej się odbiło, przechyliła się w bok i zwymiotowała na podłogę obok łóżka.

- O cholera, mała, ależ ty jesteś obrzydliwa!

Odsunął się, zszedł z łóżka i zniknął w łazience. Wrócił ze szklanką wody w jednej dłoni i tabletką w drugiej.

- Zajebista jazda, co? - powiedział. - Masz, połknij to. To cię uspokoi, a potem zaśniesz jak aniołek. No nie, ale mnie przestraszyłaś, mała! - Podtrzymał jej głowę. Mokre od potu włosy kleiły jej się do szyi. - Otwórz usta.

Wykonała polecenie. Po narkotyku była skłonna do współpracy. Nie na darmo ketaminę nazywają pigułką gwałtu. Posłusznie wyciągnęła język, jak jej kazał. Mężczyzna położył na nim tabletkę i Christine łapczywie wypła wodę.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Pij. Teraz będziesz spała.

Głowa Christine zaczęła się kiwać. Mężczyzna ułożył za jej plecami poduszki, tak że prawie siedziała. Nie chciał, by zadławiła się wymiocinami: nie w ten sposób miała umrzeć. Zaczekał, aż środek nasenny zadziała, po czym wstał, wszedł do łazienki i wrócił z bezwładnym ciałem Iggy'ego. Wykonał kilka kursów między barkiem a łóżkiem. Stanąwszy w progu, spojrzał jeszcze na miejsce rzezi i zamknął za sobą drzwi.

\*

*7 grudnia - Paryż. Na lotnisku Roissy pada. Nikt po mnie nie przyszedł. Oczywiście. Stało się to, czego się obawiałam. Były przesłuchania, potem komisja śledcza. Trwało to kilka tygodni, podczas których umieścili mnie w mieszkaniu w Gwiezdnym Miasteczku, niemal w izolacji. Zadawali mi najróżniejsze pytania; mieli wrogie, surowe miny i ostre spojrzenia. Nie kryli sceptycyzmu. W końcu powiedzieli, że wszystko wymyśliłam i wyreżyserowałam. Psychoza paranoidalna: taką postawili diagnozę. Ich zdaniem śmierć Siergieja to tylko*

*tragiczny wypadek, a moje oskarżenia w związku z tym, co wydarzyło się na górze, są śmieszną konfabulacją albo próbą skompromitowania ich.*

*Rosyjska policja zamknęła sprawę bez dochodzenia. Tamtejszy Instytut Problemów Medyczno-Biologicznych poddał mnie badaniom psychiatrycznym. Durni psychiatrzy patrzyli na mnie tak, jakby z góry mieli wyrobioną opinię. Europejska Agencja Kosmiczna wezwała mnie do Moskwy. Dano mi do zrozumienia, że w branży kosmicznej nie ma już dla mnie przyszłości. Kiedy się o tym dowiedziałam, coś we mnie pękło. Léo zachowa stanowisko, choć - o ile dobrze rozumiałam - Rosjanie w najbliższym czasie nie mają ochoty go oglądać. Jestem załamana.*

*Załamana, bez pracy, bez przyszłości i w ciąży...*

\*

Servaz zamknął dziennik. A więc tak to było. To, co się wydarzyło tam na górze, to był gwałt. Gwałt w kosmosie. To było o wiele gorsze, niż sobie wyobrażał. Po raz kolejny zadał sobie pytanie, dlaczego Mila zachowała dziecko. Wydawało mu się, że się domyśla: kiedy Léo zagroził, że zabije i ją, i dziecko, jeśli nie podda się aborcji, najwyraźniej coś się w niej zbuntowało. W każdym razie dowodem na to, że nie ma paranoi, jest fakt, że Fontaine dopuścił się recydywy: pchnął Célię Jablonkę do samobójstwa. Nikt nie skojarzył ze sobą tych dwóch spraw, ponieważ nie przeprowadzono śledztwa kryminalnego. A nawet gdyby je przeprowadzono, żaden detektyw nie mógłby powiązać tych dwóch historii, gdyby nie pomógł mu los.

Los albo ktoś, kto wiedział...

Czy to Mila wysłała mu klucz magnetyczny i zdjęcie? Kiedy jej o tym powiedział, wyglądała na szczerze zaskoczoną. Poza tym od tamtej historii żyła z synem odcięta od świata. Nawet jeśli słyszała o spektakularnym samobójstwie Célii, były bardzo niewielkie szanse, by miała informacje na temat jej związku z Léonardem Fontaine'em.

A więc kto? W każdym razie znalazł się sprawca. W tej chwili tylko to się liczy. Servaz zamknął dziennik Mili. Był doskonale świadom faktu, że postawienie Fontaine'a przed wymiarem sprawiedliwości będzie trudne, jeśli nie niemożliwe: astronauta został oczyszczony z zarzutów przez Rosjan. Poza tym ktoś taki jak Fontaine nie jest naiwny. I z pewnością nie jest facetem, którego łatwo przestraszyć.

Servaz wiedział, że będzie musiał wykazać się większym sprytem niż on. Diabelskim sprytem. Bo jego przeciwnik był diabłem - najgorszym z możliwych. Położył dziennik na kołdrze i oparł głowę na poduszce. Natłok myśli pobudzał jego umysł. Czuł, że wraca, że żyje. Wreszcie ma przed sobą jakąś walkę do stoczenia. Z niecierpliwością czekał, aż wstanie



dzień i będzie mógł ruszyć do boju. Spojrzał przez okno na uśmiechnięty księżyc i niespokojną noc. Wiedział, że już nie zaśnie.

## AKT DRUGI

*Och, sprawiacie mi taki ból,*

*Taki wielki, taki wielki ból!*

*Nic, nic.*

*Myślałam, że umieram... Ale to minęło tak szybko...*

Madame Butterfly

### 33.

## KRÓLOWA NOCY

Otworzyła oczy. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność.

- Kto to?

- Ciii!

- To ty, Madeleine?

- Tak.

- Przestraszyłaś mnie!

- Nie mów tak głośno, Chris. A kto by to miał być?

- Co robisz w moim łóżku?

- Ciii... Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli dziś będę tu spała?

- Nie.

- Dziękuję, siostrzyczko. Wiesz, że cię kocham. Daj buziaka. Teraz możesz już spać.

- Dlaczego chcesz tutaj spać?

- Dawno nie spałyśmy razem w jednym łóżku, nie uważasz? Brakowało mi tego. A tobie nie?

- To przez tatę?

- Hę?

- To z jego powodu tutaj śpisz?

- Co ty opowiadasz?

- Nie chcesz, żeby cię znalazł, tak?

- Chris...

- Widziałam go.

- Kiedy?

- Tamtej nocy.

- Kogo widziałaś?

- Widziałam, jak wchodzi do twojego pokoju.

- Chris, komu jeszcze o tym mówiłaś?

- Nikomu!

- Chris, posłucha; mnie uważnie: nie wolno ci mówić o tym mamie. Słyszysz? Nigdy.

- Dlaczego?

- Cholera, przestań głupio pytać! I proszę cię, obiecaj mi to.

- Obiecuję, Maddie.
- Tata spał ze mną, bo miałam koszmary, to wszystko.
- Co ci jest?
- Hę?
- Ty płaczesz.
- Ależ skąd!
- To jeśli będę miała koszmary, też będę mogła poprosić tatę, żeby ze mną spał?
- Chris, na miłość boską! Nigdy, słyszysz? On nigdy nie może z tobą spać. Obiecuj mi.
- Ale dlaczego?!
- Obiecuj!
- Dobra, dobra, obiecuję, Maddie...
- Jeśli będziesz miała koszmary, przyjdź do mnie, zgoda?
- Zgoda.
- Dobranoc.
- Dobranoc, Maddie.

\*

Tym razem na dobre otworzyła oczy. Nie miała trzynastu lat, ale trzydzieści dwa. Światło dzienne prześwitywało przez zasłony i wszystkie lampy hotelowego pokoju były pozapalane. Zza okna dochodziły odgłosy ulicznego ruchu. Ziewnęła. Okropnie bolała ją głowa i żołądek. A właściwie wszystko ją bolało. Jakby przeszło po niej stado słoń. Przez chwilę patrzyła na sufit, po czym opuściła wzrok.

## 34.

### DRAMAT LIRYCZNY

???

To... To niemożliwe. Nie, oni nie mogli... tego zrobić.

Co to ma być?

Zaczekaj, Chris, zaczekaj. Nie patrz... nie patrz na to, staruszko. Jeśli spojrzysz, wypali ci siatkówkę i nigdy nie będziesz mogła zapomnieć tego obrazu. Nie patrz. Proszę.

A jednak zrobiła to. Spojrzała. Jej umysł zaczął wyć niczym jakiś zwariowany telefon. Bezpośrednie połączenie z klasycznym obłądem. Obłąd - to jedyne słowo na określenie tego, co zobaczyła. Szaleństwo. Nonsens. Pomieszanie zmysłów.

Kolejny krok w kierunku jej obłądu. Bo o to im właśnie chodziło, prawda? Było jasne, że w dążeniu do celu nie brakuje im wyobraźni. Zbudowali wokół niej piekło, które widzi tylko ona. Wynurzając się z chemicznego snu, czuła się ogłupiała i przypomniało jej się, że miała straszliwy koszmar. Teraz jednak, widząc żółte, stwardniałe plamy na pościeli, uświadomiła sobie, że była to najprawdziwsza rzeczywistość. Spojrzała dalej i doznała uczucia, jakby jej czaszka rozpadała się na dwoje. Dosłownie. Nie krzyknęła, nie rozplakała się. Ale jej umysł wył. Zwłoki Iggy'ego... Leżały między jej nogami. Z zamkniętymi oczami, bez kołnierza, wyglądał, jakby spał, ale rana na jego szyi nie pozostawiała żadnej nadziei.

Na pościeli wokół psa piętrzyły się małe butelki po alkoholu - pootwierane, ich zawartość została wylana na kołdrę - orzeszki, puste puszki po piwie, chipsy i cała zawartość barku, a także kosza na śmieci z łazienki: waciki do demakijażu, patyczki do uszu, chusteczki higieniczne, włosy... Fala nieczystości podchodziła do jej stóp. Gwałtownie je odsunęła, potrząsając nogami, jakby chodziły po nich skorpiony.

Zaczęła się trząść i szcząć zębami, jakby w pokoju było nie wiadomo jak zimno. Po kilku minutach wyskoczyła z łóżka i rzuciła się do łazienki, by zwymiotować. Ale wszystko, co zjadła, zwróciła już w nocy, skurcze pustego żołądka wyrzuciły więc na powierzchnię tylko trochę żółci zmieszanej ze śliną.

Spuściła wodę i kiedy wracała do pokoju, w jej nozdrza buchnął unoszący się w pomieszczeniu smród. Trudna do określenia mieszanka zapachów: alkoholu, zaschniętej krwi,

spermy, wymiocin, potu... a w tle jakby chloru. Zatoczyła się i zrobiła krok w tył.

Najpierw zmyć z siebie ślady tego, który ją zbrukał.

Rzuciła się pod prysznic, nie zwracając uwagi na temperaturę wody, która zmieniała się od lodowatej do gorącej, długo mydliła i szorowała całe ciało, kilka razy powtarzając procedurę w miejscach intymnych, umyła włosy dużą ilością szamponu, spłukała i wyszła spod prysznica, po czym zaczęła wściekle szczotkować zęby, aż z jej dziąseł popłynęła krew, a następnie przez wiele minut płukała usta antyseptycznym płynem.

Chciała zetrzeć najdrobniejszy ślad Tamtego - to, co jej zrobił, to, co na niej zostawił, wiedziała jednak, że nie pozbędzie się tego, co zostawił w n i e j...

„JESTEM SEROPOZYTYWNY”.

To zdanie uderzyło ją jak policzek. Zamarła. Ugięły się pod nią nogi i musiała się przytrzymać umywalki. Naprawdę wypowiedział te słowa, czy była to jedna z narkotykowych fantazji?

To tylko fantazja, staruszek, tak samo jak wznoszący się sufit, pokój, który zmieniał kolory, i polanka.

Nie. To była rzeczywistość. Ciągle jeszcze słyszała ten głos w uchu, jakby rozmawiał z nią przez telefon.

Bzdury! Byłaś solidnie odurzona, przypomnij sobie.

Wiedziała, że musi wykonać test, musi iść do lekarza. Musi.

A Iggy? Co z nim zrobisz?

Na tę myśl poczuła, jak skręcają jej się wnętrzności. Iggy... Nie może spacerować korytarzami z martwym psem na rękach! A jeśli go tu zostawi, w końcu znajdzie go sprzątaczką. Wpakować zwłoki do walizki? I dokąd z nimi pójść? Nie było mowy o wrzuceniu Iggy'ego do pierwszego lepszego kosza, jakby był zwykłym śmieciem. Przez głowę przemknęła jej pewna myśl. Nie trzeba testu, lekarza ani walizki. Pozwoliła, by ten pomysł w niej pracował. Myślenie o tym było jak chodzenie po zbyt słabo zamrażonym stawie, ale Christine już się nie bała. Nie lękajcie się. Czyż to zdanie nie powraca wielokrotnie na kartach Pisma? Nagle sprawa wydała jej się oczywista. Tak, dlaczego nie? Przecież od początku całej tej historii zmierzała właśnie ku temu rozwiązaniu, prawda? Usiadła przy biurku, wyrwała z bloku kartkę z logo hotelu i sporządziła notatkę. Ręka trzęsła jej się tak mocno, że pierwszy rękopis był nieczytelny. Zgniotła kartkę, wrzuciła ją do kosza i zaczęła od nowa. Następnie, powstrzymując łkanie, poszła do łazienki, wzięła dwa poskładane ręczniki pachnące lawendą i rozłożyła je obok umywalki.

A potem poszła po niego. Poczowała mdłości, kiedy wsuwała ręce pod martwe ciało z

posklejaną sierścią. Ostrożnie podtrzymywała głowę z obawy, że mogłaby się oderwać. Delikatnie położyła zwłoki w brodziku prysznic, wzięła do ręki słuchawkę i puściła mocny strumień wody. Długo go spłukiwała, zmywając krew i odchody, namydliła szamponem i znowu spłukała, starając się nie patrzeć na straszną ranę na jego szyi. Ze splątana, mokra sierścią piesek wyglądał, jakby zasnął po kąpieli w morzu. Zakręciła wodę, chwyciła go tak jak poprzednio i położyła na czystych, białych ręcznikach. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale biały wydał jej się najodpowiedniejszym kolorem na tę okoliczność. Włączyła do kontaktu suszarkę i sięgnęła po grzebień, po czym wysuszyła i uczesała sierść kundelka, aż odzyskał normalny wygląd. Iggy znowu miał kręcone, płowe futerko, białą mordkę i czarny nos. Na koniec przyciągnęła jego głowę do klatki piersiowej, by zasłonić ranę, i spojrzała na niego.

I dopiero wtedy zaczęła wyc.

Wyła jak szalona. Wniebogłosy.

Osunęła się na podłogę i oparta plecami o płytki młóciła stopami powietrze, jakby kopała niewidzialnego wroga.

\*

Zerknęła w dół. Trzy wysokie piętra... Kręciło jej się w głowie, nogi się trzęsły. Nie tylko nogi zresztą: także ramiona, dłonie i brzuch, który drżał jak skóra na bębnie. Jeszcze raz się obejrzała i pożałowała. Nieliczne samochody przejeżdżające ulicą wyglądały stąd jak zabawki. Patrząc na pieszych, widziała tylko czubki ich głów, ramiona i poruszające się stopy. Jej stopy natomiast spoczywały na gzymsie nad place du Capitole, pośladki i plecy były przyklejone do fasady, jedna dłoń płasko spoczywała na murze, a druga była jeszcze wczepiona w okienną framugę.

To niewiarygodne, że do tej pory nie zauważyła jej żadna z osób na tym rozległym placu, było jednak pewne, że to niebawem nastąpi.

Zrobiła głęboki wdech. Na co czekasz? Skacz.

Wiatr wył jej w uszach. Wokół niej miasto wibrowało, brzęczało i pulsowało energią i apetytem na życie. Ilu ludzi myśli o niej w tej chwili, poza tymi, którzy chcą, żeby skoczyła? Jakie wspomnienia po sobie zostawi? I komu? Jedyne towarzysz, który na zawsze pozostał jej wierny, leży martwy w łazience, gdzie personel hotelowy i policja znajdą go po jej upadku. Zostawiła na biurku zwięzłą dyspozycję: *Iggy ma zostać pochowany na cmentarzu dla zwierząt w Beaumont-sur-Leze: kontakt w tej sprawie z Claire Dorian.*

Jęknęła. Przygniotło ją totalne i przerażające poczucie osamotnienia - w samym środku siedemsettyśięczonego miasta - i zrozumiała, że skoczy. Że to robi. Że teraz to już jedynie kwestia kilku sekund potrzebnych, by znaleźć tę odrobinę odwagi, której jeszcze jej brakuje.

Znowu rozległ się znajomy głos.

Skacz... Ale jeśli skoczysz, nigdy się nie dowiesz. Ani kto, ani dlaczego. Nie chcesz się dowiedzieć? Umrzeć, nie rozwiązawszy zagadki tej historii: naprawdę tego chcesz?

I nagle, po raz pierwszy w życiu, z nieodpartą pewnością, z nową przenikliwością zrozumiała, że ten głos, który od lat odzywa się w jej wnętrzu, należy do jej siostry. To głos Madeleine. Tej Madeleine, która przez cały czas dorastała w jej sercu. Madeleine dorosłej - czasem przemądrzałej, często denerwującej, zawsze wymagającej uwagi młodszej siostry - dokładnie takiej, jak Madeleine, którą znała w dzieciństwie. Była to jednak Madeleine, która pragnęła jej dobra: być może jedyna osoba, która naprawdę ją kochała. I ta osoba miała dla młodszej siostry inne plany.

\*

Przez dłuższy czas wpatrywała się w pustkę z nieobecną miną. Kiedy doszła do siebie, wynurzyła się z transu, była odmieniona. Nie była już tą Christine z ostatnich dni, która nieporadnie usiłuje odpierać ciosy i zrozumieć, która szuka wsparcia, a znajduje jedynie przyssanego do butelki kloszarda.

Nie potrzebujesz wsparcia. Potrafisz poradzić sobie sama, siostrzyczko. Potrzeba ci tylko jednego: gniewu, który by w tobie płonął.

Tak. Wróciła do okna, czołgając się z wielką ostrożnością, wczepiona paznokciami w chropowatą ścianę. Przeszła przez kamienną balustradę i wśliznęła się do pokoju chwilę po tym, jak któryś z przechodniów wreszcie ją zauważył i wskazał palcem.

Zaczęła odczuwać wsteczny szok, wewnętrzny wstrząs spowodowany czynem, którego przed chwilą o mało nie popełniła. Zarówno lodowaty wiatr, który przenikał przez jej nocną koszulę, jak i myśl, że mogłaby w tej chwili leżeć na chodniku połamana, z wnętrzościami zamienionymi w bezkształtną papkę, zmroziły ją do kości. Jednocześnie jednak poczuła, jak w jej żyłach zaczyna krążyć nowa fala woli. Chcą jej śmierci? Świetnie. Znakomicie. Może i umrze - ale nie mogą już liczyć na jej samobójstwo. Będą musieli ponieść koszty. Ktoś, kto nie boi się śmierci i ma w sercu wystarczająco dużo nienawiści, jest groźniejszym przeciwnikiem. Wystarczy spojrzeć na wszystkich tych głupich kamikadze. Christine miała wrażenie, że nagle widzi wszystko znacznie wyraźniej. Głęboka przemiana... Wiedziała, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale teraz miała to gdzieś. Popełnili błąd. Obudzili coś, co drzemało w niej od dawna. Jej oprawcy nieświadomie ją wzmocnili, przygotowali do tej chwili, kiedy siła i gniew, które czekały w jej wnętrzu, wezmą górę. Z pewnością dopięliby swego, gdyby trafili na kogoś słabszego, bardziej podatnego na manipulacje, bardziej zdesperowanego, ale Christine nie była z tej gliny. I właśnie to rozumiała.



Jesteś silna, o wiele silniejsza, niż myślą, o wiele silniejsza, niż ty sama myślałaś, siostrzyczko. To było bardzo oczyszczające uczucie: dzięki tym ludziom, którzy pozbawili ją wszystkiego, co posiadała, Christine nie miała już nic do stracenia.

Jakby na znak sympatii dla tego nowego stanu ducha spomiędzy ołowianych chmur wyrzwał promień słońca i oświetlił podłogę w pokoju, muskając czerwony dywan złotym pyłem. Padł też na pusty koszyk Iggy'ego w kącie. Łzy napłynęły jej do oczu: niemożliwością było je powstrzymać. Pozwoliła im płynąć, świadoma, że nie są to łzy słabości.

\*

Zapięła walizki i wyszła z pokoju. Przed nią przy recepcji stały dwie osoby. Kiedy nadeszła jej kolej, recepcjonistka zmarszczyła brwi.

- Opuścza nas pani? Sądziłam, że zostanie pani kilka nocy. Coś nie tak?

- Wszystko w najlepszym porządku - odpowiedziała. - Wracam do siebie. Fachowcy dokonali cudu: wszystko naprawione. Koniec z wyciekami.

Kobieta spojrzała na nią podejrzliwie. Przypomniała sobie, że poprzednio klientka mówiła o włamaniu i zamkach do wymiany.

- Świetnie.

- Proszę obciążyć konto pani Dorian.

- Oczywiście. Korzystała pani z barku? - zapytała recepcjonistka.

- Tak. Proszę to doliczyć do rachunku.

Ruszyła ulicami Tuluzy, ciągnąc za sobą walizki. Nie mieszkała daleko i nie chciało jej się jechać metrem. A ciało Iggy'ego wcale nie było ciężkie. Już jej się nie śpieszyło.

Wszystko znakomicie - odezwał się głos Madeleine - ale od czego zaczniemy?

Jasne, że wiedziała od czego. To było wręcz oczywiste. Można było zacząć tylko w jeden sposób...

\*

O świcie był już na stanowisku. Siedział w samochodzie. W jego żyłach krążyła adrenalina. Po zamknięciu dziennika Mili wziął prysznic i ubrał się, po czym zszedł na parter do kuchni, gdzie przygotował sobie termos kawy. A potem cicho opuścił parking ośrodka.

Pora była wczesna. W całym regionie tysiące kawiarek z najwyższej półki bulgotało w przestronnych, wypasionych kuchniach inżynierów, kierowników i techników pracujących w branży aeronautycznej i kosmicznej, podczas gdy zaspani drobni pracownicy punktów opłat na autostradzie przygotowywali się na przyjęcie ich limuzyn, sportowych coupe i terenówek z najnowszego rocznika. W samochodzie zaparkowanym na pagórku, na granicy łąki, Servaz siorbał mocną kawę z niższej półki. Zobaczył, że na dole nowoczesnego domu otulonego

porannymi mgłami zapaliło się światło. Duża budowla wyglądała na projekt samego Miesa van der Rohe: zestaw rozmieszczonych horyzontalnie sześcianów z płaskim dachem i dużymi prostokątnymi oknami oraz przeszkloną ścianą od strony basenu, a nawet z niewielką stajnią. Białe barierki, a dookoła łąka. Nad krajobrazem czuwał księżyc w pełni: okrągły, puciołowaty i odwieczny, niebo na wschodzie rozjaśniało się, zagajniki były jeszcze czarne, a pagórki granatowe.

Za oświetlonym oknem przemknęła jakaś postać. Servaz skierował na nią lornetkę. To on... Jego puls przyśpieszył. Ranny ptaszek. Była szósta trzydzieści. Servaz obserwował, jak mężczyzna w szlafroku, siedząc w pobliżu okna, spokojnie wypija poranną kawę. Najwyraźniej nie podejrzewał, że ktoś może go obserwować. Po chwili zobaczył, jak Fontaine wychodzi z pomieszczenia. Zapaliło się światło w innym prostokątnym oknie. Niebo pojaśniało; z mroku powoli wyłaniał się krajobraz, jak stopniowo oświetlana scena w teatrze. Nie zapalając reflektorów, Servaz odrobinę cofnął samochód, by ukryć go za kępą drzew. Wszedł na ostry ziąb i postawił kołnierz kurtki. Przesadził ogrodzenie pod napięciem i ruszył po topniejącym śniegu i mokrej wysokiej trawie na drugi koniec pagórka. Zabrał z sobą termos z kawą na rozgrzewkę, ale naszła go wielka ochota, by wypalić papierosa i poczuć dym opadający do wyposzczonych płuc. Kiedy doszedł na skraj wzgórza, nogawki u dołu miał zupełnie mokre.

O siódmej dwadzieścia osiem wreszcie pojawiło się słońce. Jego blade promienie muskały zamarznięty krajobraz, zbyt słabe, by ogrzać powietrze. O ósmej przeskoczyły przez pagórek i oświetliły dno dolinki. Rozsuwane balkonowe drzwi z przodu domu się otworzyły. Servaz zobaczył Fontaine'a, w dalszym ciągu w szlafroku, przechadzającego się po drewnianym podeście. Mimo panującego zimna mężczyzna był boso. Popijał kolejną kawę, spoglądając przed siebie. Przez soczewki lornetki Servaz widział parę unoszącą się nad filiżanką i blask małych lampek umieszczonych w podłodze.

Dopiwszy kawę, Fontaine minął basen i ruszył w kierunku *pool-house*. Podłoga była odśnieżona, ale płytki musiały być śliskie, ponieważ astronauta ostrożnie stawiał nogi. Wszedł do niewielkiego pawilonu, zapalił światło i zniknął z pola widzenia. Zaraz potem w dolince rozległ się elektryczny pomruk i plandeka z PCV, którą zasłonięty był basen, zaczęła się odsuwać. Servaz śledził to widowisko z dziwną fascynacją, jak podglądacz, który z ukrycia obserwuje piękną kobietę.

A jednak zamierza popływać...

Kiedy astronauta wyszedł z pawilonu, Servaz doznał szoku: mimo zimna Fontaine był nagi. Kucnął i za pomocą klucza wyłączył alarm, po czym wskoczył do basenu, przesywając

powierzchnię wody.

Skubany.

Kraul, styl grzbietowy, motylek. Servaz obserwował astronautę, który pływał w tę i z powrotem przez dobrą godzinę. Woda parowała: basen musiał być podgrzewany. Słońce oświetlało już cały parów. Był piękny, rześki i przejrzysty zimowy poranek. Servaz był przemarznięty. W końcu Fontaine wyszedł z wody. Pobiegł się wysuszyć do *pool-house* i w szlafroku wrócił do domu. Na chwilę zniknął Servazowi z oczu. Policjant skorzystał z tego, by w świetle dnia rozejrzeć się po okolicy. Najbliższym sąsiedztwem było gospodarstwo znajdujące się w odległości około pięciuset metrów.

Kiedy Fontaine znowu się pojawił, miał na sobie gruby sweter, bryczesy i sztylpy jeździeckie. Przeszedł wzdłuż białego ogrodzenia do stajni i zniknął w środku. Po piętnastu minutach wyszedł stamtąd z pięknym rumakiem. Servaz obserwował, jak mężczyzna siodła i zwinnie dosiada konia, po czym rusza w stronę przeciwległego pagórka. Uświadomił sobie, że gdyby astronauta wybrał to wzniesienie, na którym on się znajduje, wpadłby prosto na niego, zanim Servaz zdążyłby uciec do samochodu. Przebiegł go dreszcz. Wszystko w środku mówiło mu, że dom jest pusty, a przejażdżka Fontaine'a potrwa co najmniej trzydzieści minut.

Wiedział, że astronauta jest żonaty i ma małe dzieci, ale czuł, że tego ranka jest sam - nie było widać najdrobniejszego śladu innej obecności. Pokusa, by zejść na dół i się rozejrzeć, była silna, ale po pierwsze, Servaz nie wiedział, jak długo potrwa nieobecność astronauty, a po drugie, zostawiłby ślady na śniegu.

Chyba że podjechałby pod drzwi samochodem... Fontaine zobaczy, że pod jego nieobecność ktoś przyjechał i odjechał, ale nie będzie miał żadnego sposobu, by się zorientować, kto to był. Jako osoba publiczna z pewnością przyjmował wielu gości.

Wahając się, jeszcze raz spojrzął na pogrążony w ciszy i bezruchu dom. Nie zobaczył niczego, co wyglądałoby na instalację alarmową, nawet reflektora z czujnikiem ruchu na fasadzie pod dachem. Nie dostrzegł też żadnego człowieka. Doskonale wiedział, że jeśli wejdzie do domu bez nakazu i zostanie przyłapany, będzie to oznaczało koniec jego kariery. Od razu może zacząć szukać pracy w ochronie. Na początek może zapukać do drzwi. To nic nie kosztuje. Wrócił do samochodu przez zaśnieżoną łąkę, siadł za kierownicą i ruszył. Powoli zjechał drogą do miejsca, gdzie na wysokości dwóch dębów odchodziła aleja prowadząca na tyły domu. Podjechał pod ganek i zgasił silnik.

I co teraz?

A jeśli żona i dzieci śpią w środku? Co im powie? Że podejrzewa, iż mężczyzna,

którego poślubiła, jest potworem? Niebezpiecznym wariatem? Wysiadł z samochodu. Jeszcze raz spojrzął w stronę pagórków i omiół wzrokiem zamrażającą okolicę. Jego oddech w mroźnym powietrzu zmieniał się w białą parę. Serce zabiło mu szybciej. Pokonał dwa betonowe schodki. Zadzwoił. Żadnej odpowiedzi. Jeszcze raz wcisnął bakelitowy guzik. Nic. Drzwi kpiły sobie z niego, podobnie jak panująca w domu cisza. Na drzewie za jego plecami zakrakał kruk. Servaz drgnął.

No już. Zrób to. Udowodnij, że żyjesz, że jeszcze masz jaja.

Już dawno temu nauczył się od pewnego złodzieja, jak w pół minuty otworzyć zamek. Czujniki ruchu mogły równie dobrze znajdować się wewnątrz werandy. Gdyby Fontaine miał coś do ukrycia, na pewno nie zostawiałby tego w tak łatwo dostępnym miejscu. Co zresztą spodziewa się tu znaleźć? I tak nie będzie czasu na przetrząśnięcie komputera. Ani papierów. Servaz znowu spojrzął na zamek: wyglądał na nowy. Tym lepiej. Utlenianie i brud mogłyby utrudnić działanie zawleczek.

Co ty chcesz udowodnić? Wrócił do samochodu, otworzył drzwi od strony pasażera i sięgnął do schowka. Wyjął pęk dziesięciu kluczy zawiniętych w kawałek materiału. Nie były to zwykłe klucze, ale tak zwane klucze dumpingowe używane przez włamywaczy do otwierania zamków zapadkowych. Teoretycznie do każdej marki potrzebny był osobny wytrych, ale dziesięć wzorów wystarczało, by otworzyć ponad połowę zamków dostępnych na rynku. Servaz przystąpił do pracy. Po wypróbowaniu ośmiu kluczy ciągle jeszcze nie trafił na ten właściwy. Jego dłonie i twarz były mokre od potu. Dziewiąty klucz ślizgał mu się między palcami, ale pasował. Kiedy wprowadził go do zamka w pozycji spoczynkowej, uderzył płaską częścią dłoni i od razu przekreślił. Bingo. Drzwi otworzyły się, a jego oczom ukazał się pusty korytarz.

Zerknął na zegarek. Od chwili, gdy Fontaine dosiadł konia, upłynęło piętnaście minut.

Piękne, całkowicie puste ściany długiego korytarza wykonane z szarego betonu barwionego. Wspaniała podłoga z antracytu. Żadnych mebli. Ani żadnego czujnika ruchu na widoku. Po drodze Servaz zauważył z prawej strony maleńką łazienkę z prysznicem w stylu włoskim między dwiema ściankami z cienkiego szkła, kamienną podłogą i umywalką - jakby żywcem wyjętymi z wnętrzarskiego katalogu. Wszystko tu było surowe, czyste i tchnęło prostotą.

Ruszył dalej w głąb korytarza. Zamarł. Na chwilę przestał oddychać. Miska. Pusta. Duża. Duża miska równa się duży pies, pomyślał. Poczuł, jak po plecach spływa mu zimny pot. Servaz panicznie bał się psów. I koni. Jeszcze może zawrócić. Wszedł do przestronnego, wysoko sklepionego salonu. Wystrój potwierdzał jego pierwsze wrażenie: biel i czerń, duże

abstrakcyjne obrazy na ścianach, nowoczesne biurko przed niewielką biblioteczką, duży ekran plazmowy nad równie dużym kominkiem ściennym na bioetanol, w którym na warstwie otoczków tańczyły płomienie... Za przeszkloną ścianą widać było basen. Drzwi na prawo. Servaz zauważył duże łóżko. Nie było żadnego alarmu. Ale był pies. Tylko gdzie? Policjant przez chwilę stał nieruchomo na środku pokoju. Zauważył ażurowe schody z jasnego drewna prowadzące na antresolę nad otwartą kuchnią. Podążył wzrokiem na górę.

I wtedy go zobaczył.

Molos. Servaz nie rozpoznał rasy, ale masywna czaszka, krótki pysk i grube wargi śpiącego psa nie pozostawiały żadnych wątpliwości: należał do kategorii molosowatych, której nazwa - o czym Servaz wiedział - pochodzi od greckiego plemienia Molosów. Jego przedstawiciele podarowali Aleksandrowi Wielkiemu psa, który potrafił rozszarpać lwa na kawałki. Pitbulle, rottweilery, buldogi i inne potwory o stalowych szczękach oraz bezlitosnych pustych oczkach. Poczuli, jakby w środku zamieniał się w sopel lodu. Pies spał na brzegu antresoli. Jego rozplaszczona na podłodze mordą wystawała nad salon. Gdyby tylko otworzył oczy i spojrzał w dół, zauważyłby intruza. Servazowi zaschło w gardle. Nie miał już w ustach ani kropli śliny.

Spadaj stąd, uciekaj korytarzem... Natychmiast!

Najmniejszy podejrzanym dźwięk, a zwierzę się obudzi. A Fontaine może się pojawić w każdej chwili. Wiele stąd! Biurko. Servaz podszedł do niego na palcach. Obok wyłączonego komputera leżała kupka papierów bez znaczenia. Rzucił okiem na śpiącego na gorze potwora. Najciszej, jak tylko mógł, zaglądał do kolejnych szuflad. Podniósł papiery. Faktury, rachunki, poczta... Nic! Odwrócił się w stronę biblioteczki, wyjął kilka książek i odłożył je na miejsce. Niewiarygodne: zwierzę się nie ruszało! To ma być pies stróżujący! Servaz słyszał nawet ciche pochrapywanie. Jego głowa brzęczała jak głośniki komputera, gdy w pobliżu znajduje się inne urządzenie elektryczne. Servaz poczuł, że cała krew spłynęła mu do nóg. Uciekaj stąd natychmiast; to niczemu nie służy... Szybko zajrzał do kuchni: wysoka metaliczna lodówka, płyta indukcyjna, przezroczyste szafki, kalendarz pocztowy<sup>14</sup>. Wszedł do pokoju. Na ścianie duża erotyczna litografia. Komoda. Gruby pętelkowy dywanik przy łóżku. Szafki ścienne. Zajrzał do nich. Szafa z wieszakami. Rozsuwał marynarki, koszule. Jego dłonie były coraz bardziej wilgotne. Wytrzeł je w spodnie. Nie powinien zostawiać śladów. Trafił na kilka mundurów z naramiennikami. Na półce nad wieszakami zobaczył też czapkę pilota: jak większość astronautów, przed związaniem się z Agencją Kosmiczną Fontaine był pilotem

---

<sup>14</sup> Tradycja francuska, analogia polskiego „kalendarza kominiarskiego”.

myśliwca i dowódcą eskadry.

Odwrócił się w stronę łóżka, spojrzął na nocną szafkę. Książka.

Servaz podszedł bliżej.

Krew w jego żyłach nagle zgęstniała jak ścinający się sos. Książka nosiła tytuł: *Perwersja w działaniu. Molestowanie moralne w firmie i w związku*<sup>15</sup>. Servaz długo wpatrywał się w okładkę, na której przedstawiono sploty drutu kolczastego.

Książka leżała na szafce nocnej, niczym nieprzykryta. Literatura, która mogła być przydatna dla osób szukających sposobu, by się bronić, ale także dla samych stalkerów.

Odczuł dziwny przypływ mocy, typowy dla detektywa, który dociera do celu. Jednocześnie zaczęła go ogarniać panika. Zerknął na zegarek. Dwadzieścia pięć minut: Fontaine wyjechał konno już dwadzieścia minut temu! Spadaj stąd, uciekaj, natychmiast! Nagle ciszę rozdarł ostry dźwięk i Servaz podskoczył, jakby u jego stóp wybuchła petarda. Dzwonek w salonie nie odpuszczał, a potem włączyła się poczta głosowa. Sztuczny głos zaprosił do zostawienia wiadomości po sygnale, po czym rozległ się pełen napięcia kobiecy głos: „Léo, tu Christine. Muszę z tobą porozmawiać. Oddzwon do mnie”.

Kim jest Christine? Kolejną ofiarą?

Pies: dzwonek telefonu na pewno go obudził. Zjeżdżaj stąd. Niepewnym krokiem ruszył do salonu, gdy nagle podłoga zaczęła lekko wibrować pod jego stopami. Jeszcze odległe, ale wyraźne. Co to jest? Piec centralnego ogrzewania albo jakaś maszyna, która włączyła się gdzieś w głębi domu? Nie, to nie to. I nagle, w jednej chwili, zrozumiał. Kopyta. Tętent kopyt galopującego konia. Coraz bliżej...

Uciekaj!

Wreszcie wzięł nogi za pas. Przebiegł przez salon i ruszył niekończącym się korytarzem. W biegu spojrzął w górę i zobaczył, że pies otwiera oko. Jeszcze zaspane, ale nie na długo. Tętent był coraz głośniejszy. Ściany i podłoga rezonowały. Servaz prawie czuł w sobie te chaotyczne wibracje. Był już blisko drzwi, kiedy zobaczył, że aleją nadjeżdża jakiś samochód. Cholera. Zastygł w bezruchu na środku korytarza. Walenie kopyt ustało, ale krew w jego żyłach wciąż pulsowała. Przez okno salonu rzucił okiem na zewnątrz i na skraju łąki, po drugiej stronie basenu, zobaczył sylwetkę Fontaine'a, który zsiadał z konia. Usłyszał, jak samochód parkuje obok jego auta. Znalazł się w pułapce!

Jeszcze raz wyjrzał na zewnątrz przez uchylone drzwi. Z samochodu wysiadała jakaś kobieta. Za mniej niż minutę wejdzie do domu! Żeby to chociaż był strażak albo listonosz z

---

<sup>15</sup> Jean Paul Guedj, *La perversité à l'œuvre. Le harcèlement moral dans l'entreprise et le couple*.

życzeniami... Listonosz. Oczywiście. To jego ostatnia szansa! Wrócił do salonu, rzucił się do pokoju i zdjął z półki czapkę pilota. Następnie wpadł do kuchni i zerwał ze ściany kalendarz. I właśnie wtedy usłyszał stukanie pazurów na schodach prowadzących na antresolę. Minął kuchenną wyspę. Staął. Olbrzymie zwierzę powoli schodziło po stopniach. Nie spuszczało go z oczu. Stało na podłodze salonu i bez wahania ruszyło w jego stronę. Małe ślepia wpatrujące się w Servaza lśniły jak dobrze wypolerowane monety. Jego czarny, masywny pysk był najbardziej przerażającą rzeczą, jaką Servaz miał okazję oglądać z tak bliska - no, może poza lufą pistoletu. Miał wrażenie, jakby jego kręgosłup zmienił się w przewód chłodzący. Czuł też, bardzo wyraźnie, że zaczynają mu się trząść kolana i pomyślał, że pies wyczuje jego strach - co, jeśli wierzyć ludowej mądrości, nie wróżyło niczego dobrego.

Potem bestia zaczęła warczeć i wyszczerzyła kły. Rząd zębów godnych rekina. Dźwięk o niskiej częstotliwości uderzył Servaza prosto w splot słoneczny. Wpatrywało się w niego pięćdziesiąt kilo mięśni gotowych rzucić się na niego i rozszarpać mu gardło, a przy okazji twarz. Servaz cały drżał i pocił się jak Świnia. Był już kompletnie mokry...

- Darkhan!

Zwierzę zareagowało na głos kobiety.

- Darkhan! - zawołała jeszcze raz zza drzwi.

I nagle - Bogu niech będą dzięki - potwór przestał się nim interesować i z radością popędził do drzwi. Mimo pokusy, by uciekać w przeciwną stronę, Servaz, ciągle jeszcze się trzęsąc, ruszył za nim. Po drodze zabrał kupkę papierów z biurka i przykrył je z wierzchu kalendarzem. Znalazł się przy drzwiach w chwili, gdy wchodziła, a pies za nią. Czterdziestolatka w zimowym płaszczu i rękawiczkach, pewna siebie i wyniosła. Ujrzawszy go, zatrzymała się. Rzuciła w jego stronę podejrzliwe spojrzenie. Modlił się, by nie zdążyła rozpoznać czapki ani zauważyć kropel potu na jego skroniach.

Servaz posłał jej uśmiech, lekko podnosząc kalendarz w jej stronę.

- Dzień dobry pani - powiedział. Jak na to, co właśnie przeżył, jego głos był zaskakująco spokojny, profesjonalny i stanowczy.

Minął ją szybko, prześlizgując się pod nieufnym spojrzeniem molosa, który tym razem nie warczał, i zszedł po schodach do samochodu, spodziewając się, że kobieta w każdej chwili może go zawołać. Nie było mowy o tym, by uciekać jak złodziej, ponieważ wtedy istniałoby pięćdziesiąt procent ryzyka, że kobieta zapisze numer rejestracyjny. Jego serce galopowało jak jeszcze przed chwilą koń Fontaine'a. Rzucił czapkę i kalendarz na fotel pasażera, po czym spokojnie okrążył samochód i usiadł za kierownicą. Zawrócił i odjechał aleją. Rzucił okiem we wsteczne lusterko: ani kobieta, ani potwór go nie ścigali. Pewnie właśnie bawi się ze

zwierzęciem albo mówi Fontaine'owi, że spotkała trochę dziwnego listonosza. Za kilka minut albo godzin astronauta zauważy, że ze ściany w kuchni zniknął kalendarz, a z biurka papiery oraz - być może później - że ktoś ukradł jego czapkę. Wynioskuj z tego, że padł ofiarą nieudanej próby włamania. Kobiecie na pewno nie przyszło do głowy spisanie numerów jego samochodu. Dlaczego miałyby to robić? Servaz mógł się uważać za szczęściarza: zostanie w policji, znalazł dowód na to, że Fontaine jest żywotnie zainteresowany tematem nękania, oraz nie umrze rozerwany przez kły maszynki do zabijania...

\*

Wychodząc z windy, zadzwoniła do Ilana.

- Masz to, o co cię prosiłam?

- Tak.

- Świetnie. Możesz mi to wysłać e-mailem?

- Nie ma problemu. Christine...?

- Tak?

- Dawaj znać - powiedział.

- O czym?

Zawahał się.

- Nie wiem. O tym, co się dzieje.

- Mhm.

Rozłączyła się, otworzyła drzwi. Miejsce lęku szybko zajęło dziwne poczucie swojskości. Ponieważ i tak nigdzie nie czuła się bezpieczna, nie widziała żadnego powodu, by dłużej mieszkać poza domem. Zresztą strach opuścił ją tam, na górze, gdy stała nad otchłanią.

Zrobiła szybki obchód mieszkania. Wszystko w porządku. Żadnej płyty z muzyką operową, żadnych śladów, by ktoś wchodził. Otworzyła jedną z walizek, wyjęła Iggy'ego, który owinięty w białe ręczniki wyglądał jak mumia, i położyła go w łazience. Następnie wystukała kolejny numer.

- Halo?

- Gérald?

Odpowiedziało jej milczenie.

- Wiem, że nie masz ochoty ze mną rozmawiać - zaczęła zdecydowanie. - Rozumiem to. To wszystko, co ci powiedziano, wszystko, co, myślisz, że wiesz...

- Co to znaczy: myślę, że wiem? - Mężczyzna od razu się zdenerwował.

Bardzo dobrze. Złość się, jesteś przecież taki doskonały, taki bez zarzutu, prawda? A w dodatku nigdy się nie mylisz. Albo bardzo rzadko. Zachowujesz się tak, jak należy się



zachowywać - rozsądnie. Tak, właśnie: jesteś człowiekiem rozsądnym, strasznie, nad wyraz rozsądnym.

- To, co myślę, że wiem? - powtórzył, jakby Christine powiedziała coś bezsensownego.

- Tak. To, co myślisz, że wiesz, nie jest prawdą. A ja mam na to dowód.

W słuchawce rozległo się westchnienie.

- Christine, na Boga, o czym ty mówisz?

- Zastanów się. Zastanów się nad tym, co dokładnie wiesz, i nad tym, co zakładasz.

Słyszałeś o tym, że ludzie mają skłonność, by chętniej przyjmować te informacje, które zgadzają się z ich wcześniejszymi hipotezami? Nazywa się to rozumowaniem tendencyjnym. Co byś powiedział, gdybym dała ci do posłuchania coś, co radykalnie temu wszystkiemu zaprzecza?

- Christine, ja...

- Gérald, proszę cię, daj mi pięć minut. Tyle trzeba na wysłuchanie czegoś... Potem sam zdecydujesz, czy powinieneś mi wierzyć czy nie. A ja zostawię cię w spokoju. Definitywnie. Masz moje słowo. Proszę cię tylko o pięć minut. Przynajmniej tyle jesteś mi winien.

Znowu westchnął.

- Kiedy?

Odetchnęła. Powiedziała mu, kiedy i gdzie, i rozłączyła się. Uświadomiła sobie, że błagalny ton, jakim mówiła, tym razem był zwykłą zgrywą. Komedią na użytek Géralda. On uwielbia, gdy się go błaga. Christine postanowiła, że od tej chwili już nigdy nikogo o nic nie będzie błagać.

\*

Kiedy weszła do kafejki przy rue Saint-Antoine-du-T, Gérald wyglądał na przestraszonego i wściekłego jednocześnie. Przypominał jej małego chłopca.

- Cześć.

Podniósł głowę, lecz nic nie odpowiedział. Odsunęła krzesło po drugiej stronie stolika i usiadła. Nie była umalowana, nie poczyniła żadnych wysiłków, by być atrakcyjna. Musiała wyglądać okropnie z podkrążonymi oczami o przekrwionych białkach i suchymi włosami, ale nie zrobił żadnej uwagi. Wyglądał tylko, jakby chciał się jak najszybciej zmyć.

- U Denise była policja - odezwał się w końcu. Wyprostowała się.

- W związku z tą stażystką, którą pobiłaś, pokazali jej zdjęcia.

- Nie tknęłam jej - odpowiedziała stanowczo.

- Christine, powinnaś się leczyć, jesteś chora.

- Ani trochę.

Spojrzał na nią niezbyt uprzejmie zza okularowych szkieł. Włączyła smartfona, otworzyła skrzynkę e-mailową i podłączyła słuchawkę.

- Przypominasz sobie ten list, który znalazłam w skrzynce? To od niego wszystko się zaczęło. Pamiętasz?

- Oni twierdzą, że to ty go napisałaś.

- Po co miałabym to robić?

- Nie wiem. Dlatego, że jesteś... chora.

Pochyliła się do przodu.

- Psiakrew, przestań to powtarzać! - warknęła półgłosem. No nie. Cofnął się w głąb krzesła i teraz naprawdę wyglądał, jakby miał stracha. Gérald się jej boi!

- Proszę, włóż to do ucha - poleciła sucho.

Spojrzał na nią, zrezygnowany pokręcił głową, wziął od niej słuchawkę, i zrobił, co kazała. Włączyła nagranie audycji radiowej dostarczone przez Ilana: tej części, w której jakiś mężczyzna zadzwonił do niej w związku z listem. Zaczekała na jego reakcję. Gérald zmarszczył brwi, spuścił wzrok, przez chwilę się zastanawiał, po czym odłożył słuchawkę.

- I co - powiedziała. - Ten telefon też wymyśliłam?

Nic nie odpowiedział.

- Ta audycja była emitowana 25 grudnia, to znaczy dzień po tym, jak znalazłam w skrzynce list, możesz sprawdzić, jest jeszcze w podcastach - skłamała. - Wyjaśnij mi: jeśli napisałam go sama, skąd ten mężczyzna mógł wiedzieć o jego istnieniu?

Gérald milczał. Wyglądał na mniej pewnego siebie.

- A jeśli to nie ja go napisałam, to skąd ten facet wie o jego istnieniu i zawartości, skoro w chwili, gdy dzwonił, list był w twoim posiadaniu?

Zaczerwienił się.

- To może być zbieg okoliczności - zaryzykował. - On nie mówi o liście... Tylko o kimś, kto popełnił samobójstwo.

Christine wzniosła oczy ku niebu.

- Gérald, do cholery! Mówi dokładnie tak: „Nie czujesz się źle z tym, że pozwoliłaś komuś umrzeć... pozwoliłaś, żeby w wigilijny wieczór ktoś popełnił samobójstwo. A przecież ktoś wzywał cię na pomoc...”. To oczywiste, że mówi o liście. A o czym by innym? Powiedział dokładnie tyle, żebym tylko ja zrozumiała jego słowa. To wszystko!

Zamrugnął. Zobaczyła w jego oczach mgiełkę niepewności. Wreszcie sceptycznie pokręcił głową.

- Zgoda - przyznał. - Masz rację, mówi o liście. Ale to, co powiedziałaś Denise...

- A Denise powiedziała mi, że nie jestem dla ciebie odpowiednią osobą! Tak, wkurzyło mnie to! Jak zareagowałeś na moim miejscu?

- Zapomniałeś o e-mailu, którego jej wysłałeś.

- Nie napisałam go. Podobnie jak nie napisałam tego listu - wycodziła sucho. - Cholera, nie rozumiesz? Temu gościowi nie wystarczyło, że zadzwonił do mnie do radia: włamał się też do mojej poczty. I był u mnie w mieszkaniu. To... to jakiś pieprzony stalker.

Tym razem Gérald otworzył usta i zamknął je, nie wypowiedziawszy ani słowa. Zauważyła, że się zastanawia.

- Kiedy? - zapytał w końcu.

- Kiedy co?

- Kiedy u ciebie był?

- Tamtej nocy, gdy zadzwoniłam do ciebie w związku z Iggym - odpowiedziała. - Znalazłam małego ze złamaną łapą w pomieszczeniu z kontenerami na śmieci. Udało mi się go namierzyć, bo czekał. Przez chwilę myślałam nawet, że jest u sąsiadki. Która skwapliwie wyznała policji, że jestem szalona...

- Jak on się ma?

- Nie żyje.

- Co?!

- Został zabity. A przy okazji, nie wiem, co zrobić z ciałem. Jest jeszcze... w mieszkaniu. Jeśli mi nie wierzysz, możesz przyjść i zobaczyć.

Patrzyła, jak Gérald przetrawia informację. A potem wyczytała w jego oczach narastające wzburzenie.

- Christine, cholera jasna, trzeba zawiadomić policję!

Zaśmiała się.

- Policję? Przed chwilą powiedziałeś, że policja uważa mnie za winną! I szaloną! Kurwa, nawet ty myślałeś, że to ja pobiłam tę biedną dziewczynę!

Wpatrywał się w nią oczami wielkimi od strachu.

- Co zamierzasz?

- Dwie rzeczy: dowiedzieć się, kto to robi i dlaczego. A tej informacji może mi udzielić tylko jedna osoba.

Zmrużył powieki.

- Stażystka - powiedział. - Jasne. Co chcesz, żebym zrobił?

- Myślę, że oni mnie śledzą. Idąc tu, zastosowałam wszelkie środki ostrożności. A więc jeszcze nie wiedzą, że znowu jesteśmy w kontakcie.

- Mówisz: „oni”, więc sądzisz...? No tak, oczywiście, stażystka i ten facet.

- Myślę, że jest ktoś jeszcze - dodała. - Oni są tylko drobnymi opryszkami bez wielkiego polotu. Na pewno zostali opłaceni. Nie mieli żadnego powodu, żeby mi szkodzić. A przede wszystkim nie mogliby dotrzeć do tych wszystkich informacji bez niczyjej pomocy...

Rzucił jej pytające spojrzenie zza okularów.

- Masz jakieś podejrzenia, o kogo chodzi?

Popatrzyła na niego zamyślona.

- Może... Chcę, żebyś śledził tę dziewczynę za mnie - powiedziała.

- Cholera, Christine! Nie jestem gliną, nie wiem, czy potrafię!

Popatrzyła na niego. Na tę gładką twarz, grzeczne, proste, eleganckie i modne okulary, dobrze skrojony, ciepły płaszcz, ładny szal z popielatego jedwabiu. Wciągnęła w nozdrza zapach czystości i woń kosztownych perfum... Och, Géraldzie, kiedy ty wreszcie przestaniesz być dobrze wychowanym, małym chłopcem? Zagryzła zęby. Powiedziała zdecydowanym głosem:

- Masz jedynie obserwować ją dzień albo dwa. Mówić mi, czy się z kimś spotkała, i zadzwonić do mnie, kiedy będzie sama w domu.

- Gdzie ona mieszka?

- W Reynerie.

- Super. - Nagle chwycił dłoń Christine i ścisnął ją. - Przepraszam cię. Bardzo mi przykro. Powiniennem być bardziej dociekliwy. Nie poprzestawać na pozorach. Bardzo mi smutno z powodu Iggy'ego. Chcę się zrehabilitować. - Posłał jej pyszałkowaty, autoironiczny uśmiech. - Zgoda, będę śledził tę dziewczynę. A typki z Reynerie niech uważają. Jeszcze nie widzieli, do czego jest zdolny gość wychowany w Pech-David.

Słyszając tę typową dla niego tyradę, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Domyśliła się, że Gérald się boi, ale mimo wszystko chce stanąć u jej boku. Patrzył na nią uśmiechnięty. Możesz na mnie liczyć, mówił ten uśmiech, nie jestem odważny, w każdym razie nie bardziej niż większość ludzi, ale zrobię to dla ciebie.

Odwzajemniła uścisk dłoni. Miała ochotę pochylić się nad stołem i pocałować go, ale nie była jeszcze całkiem gotowa, by mu przebaczyć.

- Jedna rada - powiedziała. - Najpierw się przebierz.

\*

Servaz obserwował samoloty startujące ze strefy przemysłowej lotniska w Blagnac co pięć minut, w różnych kierunkach. Nie cierpiał samolotów.

Jedna rzecz nie dawała mu spokoju. Dziennik Mili leżał obok niego na fotelu pasażera i

Servaz nie przestawał na niego zerkać. Dlaczego urodziła to dziecko? Oczami wyobraźni zobaczył chłopca w piżamie siedzącego na kolanach matki. Przypomnił sobie tę nierozzerwalną więź, jaka ich łączyła, miłość silniejszą od wszystkiego. Była między nimi i Servaz ją wyczuł, podobnie jak usłyszałby ultradźwiękowy gwizdek, gdyby był psem. Dlaczego, u diabła, zmieniła zdanie? Dlaczego nie usunęła ciąży?

Skierował uwagę na budowlę ze szkła i betonu - uniwersalną architekturę, którą można spotkać od Tokio poprzez Dohę aż po Sydney, z napisem GOSPACE na dachu. Léonard Fontaine był jeszcze w środku. Servaz sięgnął po telefon.

- Vincent? Potrzebuję jeszcze jednej rzeczy - powiedział, gdy Espérandieu odebrał. - Poszukaj, czy wśród ostatnich zgłoszeń nie ma skargi złożonej przez niejaką Christine w związku z przemocą albo molestowaniem.

- Christine? A nie masz przypadkiem nazwiska? - Vincent zrobił chwilę przerwy. - Zapomnij o tym pytaniu...

## 35.

### BIS

Internista na pogotowiu wyglądał na młodszego od niej. Był brunetem, a jego rysy i kolor skóry wskazywały na indyjskie lub pakistańskie pochodzenie. Wyglądał na wyczerpanego i zestresowanego. Christine pomyślała, że to on potrzebuje pomocy. Od ilu godzin nie spał?

- Słucham panią - odezwał się, rzuciwszy krótkie spojrzenie w jej kierunku. - Powiedziała pani pielęgniarce, że uważa pani, iż w nocy przeszła zawał serca. - Popatrzył na jej kartę. - Objawy, które tutaj widzę, wskazują, że był to raczej atak tachykardii.

- Skłamałam.

W jego oczach na moment pojawiło się zdziwienie. Ale tylko na moment: lekarz niejedno już widział.

- Jak to?

- To delikatna sprawa.

Zobaczyła, jak mężczyzna odchyła się na oparcie fotela. Stukał w długopis wystający z górnej kieszonki jego fartucha, udając, że wcale mu się nie śpieszy, co ani trochę nie było prawdą - korytarz za plecami Christine pękał w szwach.

- Słucham.

- Miałam... niezbyt bezpieczny kontakt seksualny dziś w nocy. Poza tym... piłam i...

- Narkotyki?

- Tak - odpowiedziała, udając wstyd i poczucie winy.

- Jakie?

- Nieważne. Nie z tego powodu tutaj przyszłam. Chodzi mi o... ewentualne zakażenie.

Skinął głową.

- Rozumiem. Chce pani zrobić test, tak?

Przytaknęła. Lekarz myślał przez chwilę.

- Mogę pani przepisać test ELISA, który może pani wykonać za trzy tygodnie. Wcześniej nic by nie dał. Oraz drugi test potwierdzający po sześciu tygodniach. Ale wcześniej muszę zadać pani kilka pytań, żeby zdecydować, jaką terapię poekspozycyjną powinienem przepisać. Muszę wiedzieć, czy wystarczy zwykła kuracja profilaktyczna, czy od razu należy zastosować leczenie skojarzone, żeby spróbować wyeliminować zakażenie, rozumie pani?

- Myślę, że tak.
- Dobrze. Stosunek był oralny, waginalny czy analny?
- Waginalny.
- Kontakt analnego nie było? - drążył.
- Nie.
- Co pani wie o partnerze? Dobrze go pani zna?
- Wcale. To był... nieznajomy, rozumie pan - odpowiedziała, czerwieniąc się.
- W jaki sposób go pani spotkała?
- W barze... dwie godziny wcześniej.

Przez ułamek sekundy Christine miała nieprzyjemne wrażenie, że lekarz ją osądza.

- Przepraszam. Mówi pani, że spotkała go pani w barze. I uważa pani, że on może być seropozytywny? Że podejmuje ryzykowne zachowania?

- Pieprzył mnie bez prezerwatywy - odpowiedziała oschle. - Nie znał mnie. A więc tak, myślę, że prawdopodobieństwo istnieje.

Gwałcił, zawył głos w jej głowie, nie pieprzył. Usłyszała słowa, które mężczyzna wyszeptał jej do ucha: „Jestem seropozytywny”. Zauważyła, że młody internista nagle się zaczerwienił i spuścił wzrok, po czym sięgnął po receptę.

- Przepiszę pani od razu kombinację kilku leków przeciwretrowirusowych, do stosowania przez cztery tygodnie. Po trzech tygodniach od zakończenia kuracji wykona pani test. Ma pani lekarza rodzinnego?

- Tak, ale...

- Dobra, nieważne. Niech pani zrobi to, co powiedziałem, okay?

Skinęła głową.

- Zażywać w trakcie posiłków - zaznaczył, wypisując receptę. - Proszę ściśle trzymać się godzin przyjmowania i dawek. Może pani mieć biegunki, nudności i zawroty głowy, ale absolutnie proszę nie przerywać kuracji, rozumie pani? Te niedogodności w ciągu kilku dni ustąpią.

- W porządku.

- Gdyby pominęła pani...

- Nie pominę.

- Gdyby pominęła pani dawkę - naciskał (najwyraźniej uważał, że kobieta w jej wieku, która pieprzy się z nieznajomym spotkanym w barze bez gumy, to osoba kompletnie nieodpowiedzialna) - proszę poczekać do pory kolejnej dawki i w żadnym wypadku nie przyjmować podwójnej. Gdyby zwymiotowała pani mniej niż trzydzieści minut po zażyciu

leku, proszę zażyć ponownie. W innym wypadku nie. Wypiszę pani też zlecenie na badania krwi, żeby sprawdzić, czy nie ma powikłań. - Rzucił jej spojrzenie, które w odczuciu Christine wyrażało coś pośredniego między zakłopotaniem a surowością. - Uwaga: to leczenie nie chroni pani przed kolejnym zakażeniem. Nie chroni również pani ewentualnych partnów... ewentualnego partnera. Rozumie pani?

Okay. Bierze ją za nimfomankę. Nagle jego spojrzenie stało się łagodniejsze.

- Proszę pani. Istnieją duże szanse, że nic pani nie jest. To są zwykłe środki ostrożności. Ale na wypadek, gdyby niestety była pani zakażona, lepiej stosować je przez cztery tygodnie, niż musieć się leczyć do końca życia.

Wiedział - i ona również - że ta kuracja nie gwarantuje w stu procentach uniknięcia zakażenia. Ale kiwnęła głową na znak, że rozumie.

\*

Replikant - głosił szyld nad drzwiami. Litera „R” miała kształt pistoletu maszynowego. Sympatyczne... Christine pchnęła szklane drzwi i zamiast dźwięku dzwonka rozległ się ryk policyjnej syreny jak na ulicach Chicago czy Rio.

Znalazła się wśród witryn, regałów, gablot zamykanych na klucz, neonów, odbłasków, szyb z hartowanego szkła. I wszystkich artefaktów zrodzonych z odwiecznej pasji człowieka do zabijania. Była tam broń palna: strzelby myśliwskie, pompki, broń ręczna, pistolety i rewolwery kategorii B<sup>16</sup>, ich lśniące, czarna, błyszcząca, męska stal. Karabinki na śrut, airsoft guns, pistolety na kulki. Naboje wszelkiego kalibru. Przyrządy optyczne: lunety strzeleckie, lornetki, celowniki kolimatorowe, noktowizory. Noże, sztylety, rzutki, maczety, katany, tomahawki, siekiery, gwiazdki ninja: wszystkie lśniące, piękne, delikatne, opływowe, niemal dzieła sztuki. Pomysłowe prezenty: pluszaki, apteczki pierwszej pomocy, długopisy taktyczne... A także kusze, proce, nunczaka, dmuchawki, pałki. Nawet napoje energetyzujące w puszkach nosiły bojowe nazwy: Monster, Grizzly, Dark Dog, Shark, Kałasznikow... Większość tych akcesoriów była w wolnej sprzedaży. Fascynujące.

Wielki, brodaty tłuścioch miał na sobie tę samą bejsbolówkę co ostatnim razem. Christine mogła się poczuć jak w miasteczku na Środkowym Zachodzie albo na stoisku NRA<sup>17</sup>. Facet był chodzącym stereotypem.

- Czy mogę pani pomóc? - zapytał wątlym głósikiem małego chłopca.

W powietrzu wokół niego niczym chmura gazu unosił się znajomy zapach potu i Christine zmarszczyła nos.

---

<sup>16</sup> Broń palna, na którą można otrzymać pozwolenie.

<sup>17</sup> National Rifle Association of America - Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie Ameryki.



- Z pewnością - odparła.

Przyjrzał jej się, najwyraźniej zastanawiając się, czy jej odpowiedź oznacza tak czy nie. Po chwili refleksji wybrał to pierwsze.

- Nie czujemy się bezpiecznie, he? Wszyscy chcielibyśmy większego bezpieczeństwa - wypalił rozstrzygająco. - Chcielibyśmy świata, w którym chuligani i kryminaliści są faktycznie karani, a uczciwi ludzie bronieni przez tych, którzy powinni to robić. Wszyscy chcemy porządku i spokoju. Ale to tak nie działa. Nikt tak naprawdę nas nie broni. Nikt nie przychodzi nam z pomocą. Nikt się o nas nie troszczy. - Christine nagle zaczęła się zastanawiać, czy mówiąc „my”, mężczyzna nie ma na myśli siebie. - Musimy więc robić to sami. Musimy wziąć swój los we własne ręce. Zwłaszcza kiedy jesteśmy kobietą w świecie mężczyzn.

- Dokładnie tak - zażartowała, zastanawiając się jednocześnie, czy aby ten bufon niechęący właśnie nie powiedział prawdy.

Mrugnął do niej, jakby chciał powiedzieć: „Wiedziałem to od chwili, kiedy pani weszła, droga damo. My się rozumiemy”.

- A zatem trafiła pani pod właściwy adres - oświadczył z dumą.

- Widzę - pochlebiła mu. - Tyle broni... Czy to wszystko jest prawnie dozwolone?

- Prawo mamy w dupie. - Uśmiechnął się do niej, jakby przepraszając za to brzydkie słowo; jego okolone kędzierzawą brodą usta były maleńkie, ale wargi mięsiste jak u karpia. - Gdzie jest prawo, kiedy go potrzebujemy, he? Ale niech się pani nie niepokoi: to, co pani pokaże, jest dostępne w wolnej sprzedaży dla każdego, kto ukończył osiemnaście lat. To pani przypadek?

Wreszcie wykazał się poczuciem humoru na swoim poziomie. Wskazał na witrynę. Ogromne pistolety automatyczne, jak te, którymi wymachują zabójcy w filmach Johna Woo i Tarantino.

- Modele alarmowe i modele na gaz - sprecyzował. - Ta broń nie zabija, ale przyzna pani, że może napędzić strachu, prawda?

Z pewnością potrafi przestraszyć jubilerów i drobnych sprzedawców, gdy bandyci, którzy są jej głównymi użytkownikami, podstawiają im ją pod nos.

- Nie - powiedziała, wyjmując kartkę. - Szukam raczej tego.

Przeglądał listę z rozczerowaną miną.

- Trzeba było od razu tak mówić. Proszę tędy.

Po dziesięciu minutach wychodziła z czarną sportową torbą, w której znajdowały się brelok do kluczy z gazem łzawiącym Mace, paralizator o napięciu rażenia pięciuset tysięcy

woltów z ładowarką i zintegrowaną latarką LED, pałka teleskopowa Piranha oraz nóż z pięćdziesięciotrzycentymetrowym ostrzem ze stali nierdzewnej i neoprenowym trzonkiem. Czują się dziwnie, gdy położyła ją sobie obok nogi w jakimś barze, do którego wpadła na kawę, i kiedy potem wsiadała z nią do metra. Kolejnym punktem na trasie była drogeria w pobliżu jej mieszkania, w której nabyła rolkę grubej taśmy samoprzylepnej i nożyk.

Kiedy wyszła ze sklepu, zabrzączał jej telefon. To był Gérald.

- Jest u siebie, sama.

\*

O mało nie parsknęła śmiechem, gdy zobaczyła go przy wyjściu z metra w Reyerie. Miał na sobie coś w rodzaju nieforemnej bluzy z kapturem, ogromne czarne spodnie o kroju baggy i sneakersy Puma z nadrukowanym lampartem - wszystko poza butami było co najmniej o cztery rozmiary za duże. Założył też bejsbolówkę Snabpack z czerwonym daszkiem i okulary przeciwsłoneczne. Wyjątkowym zjawiskiem były spodnie, w których zmieściłoby się trzech takich jak on, opadające falami na buty i wlokące się po śniegu. Gérald wyglądał jak karykatura rapera w jednym z odcinków *South Parku*.

- Gdzie znalazłeś takie ciuchy? - zapytała ze zgrozą.

- Joł - odpowiedział.

- Masz przerabane już za samo ubranie - zażartowała.

- Joł. *Motherfuckers*. Ty też nieźle wyglądasz - dodał.

Christine przestała się uśmiechać, gdy uświadomiła sobie, że w tym stroju Gérald łatwo może zostać zauważony. Spojrzała z niepokojem na bloki za placem i jeziorkiem. Śnieg już nie sypał, ale nad ziemią unosiła się cienka warstwa wilgotnej pary.

- Myślę, że tamci goście mnie zauważyli - powiedział, gdy ruszyli w drogę. - Muszą mnie mieć za glinę w cywilu. Mam pietra.

- Żaden glina w cywilu nie byłby na tyle stuknięty, żeby się tak ubrać. Dalej jest sama?

Kiedy wchodzili na pagórek, Gérald wyciągnął rękę w kierunku budynku. Christine zauważyła we mgle te same niepokojące postaci co ostatnim razem.

- Tak, z dzieciakiem.

- Wracaj do siebie.

- Co zamierzasz zrobić?

- Wracaj do siebie, jeśli nie boisz się wsiąść do metra w tym stroju. Jeśli się stąd nie zmyjesz, skończy się na tym, że zostaniesz w samych kałesonach.

Zrobił minę upartego chłopca. W kapturze naciągniętym na czapkę z daszkiem wyglądał jak Eminem w okularach.

- Nie, idę z tobą.

Christine zatrzymała się i odwróciła w jego stronę.

- Gérald, słuchaj, wiesz, jak my razem wyglądamy? Jak para buraków. Nie minie pół minuty, a zwrócą na nas uwagę, i jeszcze mniej, a się na nas rzuca. Nie, widziałeś swoje ciuchy? Człowiek w garniturze i pod krawatem mniej rzucałby się w oczy.

- Co zamierzasz zrobić? - dopytywał.

- Tym się nie przejmuj, mam plan.

- Plan? O jakim planie mówisz? Czy poza tym przebraniem...

- Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłeś. Ale teraz wracaj do siebie.

- Nie, zostanę tutaj. - Stał pod drzewem i podwinął rękaw o cztery rozmiary za dużej bluzy, by spojrzeć na zegarek. - Piętnaście minut. Potem po ciebie przyjdę.

Christine czuła, że każdy z jej nerwów jest napięty jak struna w fortepianie. Okoliczności stwarzały bardzo poważne zagrożenie i bynajmniej nie skłaniały do śmiechu. A jednak upór Géralda i jego próba okazania odwagi sprawiły, że nieznacznie się uśmiechnęła.

- Zgoda. Ale daj mi dwadzieścia.

Niespokojnie rozejrzył się dookoła.

- Nie jestem pewien, czy tak długo wytrzymam - powiedział, marszcząc brwi.

Christine także omiotła spojrzeniem okolicę, wyczulona na każdy podejrany ruch. Mgła gęstniała z każdą chwilą.

- Ja też nie jestem pewna - przytaknęła. - Mogą cię wziąć za członka konkurencyjnego gangu... - Zmierzyła go wzrokiem z góry na dół i uśmiechnęła się. - Ale zanim się zorientują, co to za gang, będę z powrotem - oświadczyła swobodnym tonem i oddaliła się.

Bynajmniej jednak nie czuła się swobodnie. Miała na sobie tę samą ciemną bluzę, w której była tu ostatnim razem, była jednak prawie pewna, że ich manewry zostały dostrzeżone. Szła z dłońmi w kieszeniach. W jednej trzymała breloczek do kluczy z miotaczem gazu, a w drugiej paralizator, ale wiedziała, że jeśli zostanie otoczona, to z pewnością nie wystarczy. W torbie na pasku miała też taśmę samoprzylepną, nóż i teleskopową pałkę - nawet nie próbowała sobie wyobrazić ich reakcji, gdyby zażyczyli sobie, żeby ją otworzyła.

Bez kłopotu dotarła jednak do holu budynku. Chłopaków, których mijiała poprzednim razem, nie było. Wiatr rozwiewał śnieg i mgłę, układając je w białawe serpentyny. Śnieg topniał. Hol był pusty. Ruszyła do windy, zostawiając na podłodze błotniste ślady. Posłyszała odległe dudnienie i zastanawiała się, czy jego źródłem jest sprzęt hi-fi na którymś z pięter czy też jej krew, w której rozbrzmiewał coraz bardziej znajomy szum adrenaliny.

Gdy drzwi kabiny się zamknęły, wyjęła breloczek i paralizator, którego końcówka przypominała szczękę. Włożyła do środka dwie baterie, założyła sznurek na nadgarstek i zdjęła zawleczkę bezpieczeństwa. W kwestii miotacza gazu sprzedawca doradzał jej żel (wyjaśniając, że w razie przeciwnego wiatru gaz mógłby zawrócić i uderzyć ją w twarz), wybrała jednak spray, jako że wymagał mniejszej precyzji, a poza tym zamierzała użyć go w pomieszczeniu. Profilaktycznie jednak zawiązała sobie na szyi apaszkę. Teraz wszystko było kwestią wyczucia czasu i płynności: zanim spotkała się z Géraldem, powtórzyła wszystkie czynności przed lustrem dobre dziesięć razy. Nie była jednak pewna, czy to wystarczy. Takie rzeczy udają się dobrze tylko w filmach. Przełknęła ślinę, zacisnęła pięści wokół przedmiotów w kieszeniach. Bolał ją brzuch i lędźwie. Kiedy drzwi windy się otworzyły, wzięła głęboki oddech.

Korytarz. Dźwięki telewizorów. Graffiti.

Drzwi 19 B. Starła się oddychać spokojnie. Tak jak poprzednim razem, ze środka słyhać było muzykę. Jej puls walił z częstotliwością stu sześćdziesięciu uderzeń na minutę. Zadzwońska. Ding-dong - stukało jej serce. Kroki za drzwiami. Domyśliła się, że jest obserwowana przez wizjer. Oddychaj.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Co ty tu, kurwa, robisz?

Cordélia mierzyła ją z wysokości swoich stu osiemdziesięciu centymetrów. Tym razem miała na sobie T-shirt i majtki. Na jej twarzy wciąż widać było ślady otrzymanych ciosów: siniaki w kolorach przechodzących od musztardowo-żółtego do czarnego, przekrwione oczy, kartoflasty nos jak u boksera. Christine zastanawiała się, kto ją tak urządził. I czy została pobita wbrew sobie czy nie.

- Głucha jesteś czy co? Pytałam, co tu robisz.

Christine zdjęła kaptur. We wzroku stażystki wyczytała zaskoczenie. Obrysowała sobie oczy czarną kredką i cieniem do powiek, wysmarowała twarz białym podkładem, na usta nałożyła czarną szminkę. Wyglądała jak przedstawicielka kultury gotyckiej albo wariatka. Albo jak osoba przebrana na Halloween.

- Kurwa, nie wiem, w co ty grasz, ale...

W szeroko otwartych oczach młodej kobiety wyczytała niedowierzenie i złość.

- ...jeśli on się dowie, że tu byłaś, to cię...

Christine uniosła rękę i trysnęła jej gazem prosto w twarz.

- Kurwaaaaaaaa! - zawyła stażystka.

Cofnęła się chwiejnie, zgięła w pół i rozkaszała. Christine naciągnęła chustkę na usta i

nos, pchnęła dziewczynę płaską dłonią w głąb mieszkania i zamknęła za sobą drzwi. Schylona Cordélia konwulsyjnie pocierała powieki. Jej oczy były pełne łez. Nie była w stanie spojrzeć w kierunku Christine. Wstrząsały ją ataki kaszlu. Przez cienką tkaninę - tak delikatną, że Christine wyczuwała przez nią zarys jej kręgow - niewielkie elektrody paralizatora dotknęły miejsca między jej łopatkami, u podstawy karku. Pięćset tysięcy woltów: brzęczenie i niebieskie światło łuku elektrycznego. Ciałem młodej kobiety wstrząsnęły drgawki, nogi się pod nią ugięły. Upadła jak marionetka, której odcięto sznurki. Christine podążyła za tym ruchem, wciąż trzymając paralizator między łopatkami Cordélii. Przedłużyła czas wyładowania na ponad pięć sekund. Koniec meczu. *Game over*. Dziewczyna leżała na podłodze. Nie zemdląła, lecz była zdezorientowana i niezdolna, by wstać albo zareagować: porażenie prądem na chwilę odcięło drogę informacjom, które jej mózg wysyłał do mięśni.

Christine zdjęła torbę z ramienia i położyła ją na podłodze. Otworzyła suwak. No, jak to jest być ofiarą, a nie katem? He? Dziwnie, nie? Założę się, że niezbyt ci się podobało. Cóż, pozwól, że powiem jasno: to jest nic w porównaniu z tym, co teraz nastąpi.

\*

Mumia. Kostki, łydki, tułów i ramiona Cordélii owinięte były szeroką srebrną taśmą klejącą. Leżała na podłodze na boku, z podkulonymi kolanami. W pozycji embrionalnej, ze złączonymi nadgarstkami i dłońmi, z ramionami związanymi w kształcie litery L. Spod taśmy widać było tylko kilka części ciała: kolana, łokcie, obojczyki i górną część głowy, ponieważ także szyja, podbródek i usta Cordélii znajdowały się pod grubymi srebrnymi warstwami, które kończyły się dokładnie pod jej nosem. Dziewczyna głośno oddychała.

Christine napotkała jej oczy lśniące wściekłością i niedowierzaniem. Cordélia warknęła gniewnie przez taśmę, wijąc się jak robak na haczyku. Christine obserwowała ją z odległości około metra, usiadłszy na brzegu ławy. Paralizator w jej dłoni zastąpiła teleskopowa pałka.

- Nie boli za bardzo? - zapytała. - A mówią, że to nie zostawia śladów ani ran. Kłamcy.

- Ggrrrrmmmmhh...

- Zamknij się.

Wykonana ze stali nierdzewnej końcówka pałki znalazła się w pobliżu odsłoniętego miejsca, tam, gdzie właśnie pojawiały się powierzchowne oparzenia spowodowane porażeniem elektrycznym. Kiedy Christine ich dotknęła, stażystka zadrzała.

- Tego nie było w programie - oznajmiła obojętnym tonem.

- Ggrrrrmmmmhh...

- Mówiłam ci, żebyś się zamknęła.

- Wa... wal... się... ku... uuu... rrrrrrr...

Christine westchnęła. Spojrzała na jedną z jej rzepek kolanowych, której nie zasłaniała taśma. Gładka, wypukła, trójkątna kość pod delikatną, bladą skórą. Zawahała się. Czuła się rozdarta. Przez chwilę się zastanawiała, czy nie powinna w tym miejscu zakończyć. Choć przed przyjściem tutaj wizualizowała sobie to, co ma się zdarzyć, działanie to było jednak coś zupełnie innego. Nagle poczuła, że jej dłoń i kolana zaczynają drżeć. Wyprostowała się, by nie dać tego po sobie poznać. Spojrzała na pałkę i machnęła nią: w powietrzu rozległ się cichy świst, a zaraz po nim dziwny dźwięk, jakby odgłos kubka, który rozbija się o posadzkę. Oczy stażystki prawie wyszły z orbit. Zawyla, ale jej głos pod taśmą klejącą zabrzmiał jak zduszone rzenie. Po jej policzkach popłynęły łzy. Patrzyła na Christine oczami przepęlnionymi straszliwym cierpieniem i wściekłością. Kobieta zastanawiała się, czy nie zmiażdżyła jej rzepki.

Cordélia rzuciła jej niespokojne, niepewne spojrzenie. Miała łzy w oczach. Christine dała jej czas na dojście do siebie. Obrysowane czarną kredką oczy dziennikarki były jak dwa kawałki lodu.

- Odkleję ci ten plaster. Jeśli spróbujesz wzywać pomocy, krzyczeć, podnosić głos, powybijam ci wszystkie zęby - oświadczyła zimnym, szorstkim, metalicznym głosem, którego sama nie poznawała.

Miejsce dawnej, znajomej Christine zajęła teraz inna osoba. Ale podoba ci się taka Christine, prawda? Dlaczego miałabyś się do tego nie przyznać? Choć jeszcze odrobinka tej ucywilizowanej, konformistycznej i pełnej obłudnie szlachetnych uczuć Christine potępia to, co teraz robisz, nie możesz zaprzeczyć, że fajnie jest własnoręcznie wymierzać sprawiedliwość. Oddawać cios za cios. Jak w Starym Testamencie. Podoba ci się ta nowa Christine, przyznaj to.

Najwyraźniej Cordélia także zrozumiała, że układ sił się zmienił, ponieważ energicznie pokiwała głową na znak, że się zgadza. Christine schyliła się i zerwała taśmę z jej ust. Stażystka skrzywiła się z bólu, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

- Założę się, że czegoś takiego się nie spodziewałaś, co? Tego, że Christine-idealna-ofiara, Christine-cel-doskonały, ta biedna Christine zmieni się w Christine-niebezpieczną-wariatkę. Widzisz, nawet mój sposób mówienia się zmienił. Muszę przyznać, że to, co udało wam się ze mną zrobić w ciągu tych paru dni, jest naprawdę niezwykle. Niezwykłe...

Cordélia nie skomentowała. Obserwowała ją z podłogi czujnym, ostrożnym wzrokiem, który wędrował od Christine do pałki i powrotem.

- Zasadnicze pytanie - dodała Christine cicho - brzmi: Kto się kryje za owym „wy”?

Cordélia spojrzała na nią.

- To było pytanie, Cordélio. Nie słyszałaś znaku zapytania na końcu?

Żadnej odpowiedzi.

- Cordélio...

- Proszę, nie pytaj mnie o to.

- Twoje położenie wyklucza odmowę.

- Możesz mnie uderzyć, nic nie powiem.

- Cordélio, zrobię ci krzywdę.

- Tracisz czas.

- Nie sądzę. Akurat czasu mam pod dostatkiem. - Jej głos był coraz spokojniejszy i coraz bardziej lodowaty.

W oczach młodej kobiety pojawił się błysk paniki. Jakby nabierała pewności, że Christine oszalała.

- Przestań, błagam cię. On jest zdolny do wszystkiego. Wiem, że mnie obserwuje. Najlepiej zrobisz, jak sobie stąd pójdiesz. Nie masz bladego pojęcia, na co go stać. Nie wiesz, z kim masz do czynienia, nie wiesz, jak bardzo ten człowiek jest niebezpieczny.

Christine westchnęła.

- Cordélio, nie o to cię pytałam. Kto to jest? Tylko to mnie interesuje.

- Idź stąd - powiedziała dziewczyna. - Idź stąd, zanim będzie za późno. Przysięgam, nie pisnę ani słowem o tym, co się stało. - A ponieważ Christine nie ruszała się z miejsca, dodała:

- Nie wyobrażasz sobie, do czego on jest zdolny, nie masz pojęcia...

Christine znowu westchnęła, przykleiła z powrotem taśmę, kilkakrotnie ją dociskając, by mieć pewność, że dobrze przylega. Stażystka energicznie pokręciła głową. Jej oczy były wielkie ze strachu.

Christine spojrzała na kościsty bark pod T-shirtem.

Zastanawiała się przez chwilę. Kalkulowała. Uniosła pałkę, starając się opanować drżenie nadgarstka. Kiedy obojczyk pękł pod wpływem uderzenia, w spojrzeniu dziewczyny wyczytała straszliwy ból, a potem rezygnację. Cordélia zamknęła oczy, ale spod jej rzęs wypłynęły ogromne łzy.

Przez moment Christine zastanawiała się, czy stażystka nie zemdląca. Odkleiła taśmę.

- Jesteś pewna, że nie chcesz mi nic powiedzieć?

Oczy natychmiast się otworzyły.

- Wal się.

Zamyśliła się. Mimo że się zmieniła, nie jest katem. Czy to, co zrobiła, mogłoby zostać uznane przez sąd za „pozbawienie wolności ze szczególnym udrczeniem”? Tak, ponad

wszelką wątpliwość. Niemniej jednak, pomyślała, ostatecznie każdy postępuje zgodnie z własnymi zasadami moralnymi. A według jej kryteriów to jeszcze nie były prawdziwe tortury. Te mogły się dopiero zacząć...

- Idź stąd - błagała Cordélia. - Proszę cię. Nie znasz go. Zrobi ci krzywdę. I mnie także.

- Wydaje mi się, że mnie już zrobił - odparowała.

Znowu zakleiła dziewczynie usta. Zaczęło ją jednak ogarniać coraz większe zwątpienie. I znowu pojawił się strach. Cordélia wytrzeszczała oczy i poruszała zeszywniałymi kończynami, by pobudzić krążenie. Wyglądała na naprawdę przerażoną. Kim jest człowiek, którego tak bardzo się boi?

Być może istnieje pewne rozwiązanie. Na myśl o nim Christine się wzdrygnęła. Żołądek podszedł jej do gardła.

Sięgnęła do torby i wyjęła z niej nóż. Stażystka popatrzyła na ostrze wielkimi, przerażonymi oczami.

- Anton śpi?

Spojrzenie Cordélii stało się dzikie, twarde.

- Chcesz, żebym się zajęła twoim dzieckiem? - zapytała nagle Christine.

Odkleiła taśmę.

- Jeśli tkniesz choć jeden jego włos, zabiję cię. - Głos Cordélii wibrował nienawiścią. - Nie zrobisz tego. To blef, zaplanowałaś to. Znam cię. Nie jesteś z tych. Nie jesteś zdolna do czegoś takiego.

- Nie byłam zdolna. Przedtem, Cordelio.

- Nie zrobisz tego - nalegała dziewczyna, ale jej głos trochę drżał.

- Naprawdę? Spójrz. Zobacz, co ze mnie zrobiliście.

Wstała. Ruszyła do sąsiedniego pokoju. Pchnęła uchylone drzwi. Miała wrażenie, jakby jej podeszwy wypełniały się ołowiem. Dziecko było w środku: spało spokojnie w wózku. Nad nim wisiała karuzela - rożek księżycy i planety - a także grzechotka umieszczona w zasięgu jego rączki. Kiedy podeszła bliżej, nóż w jej dłoni zaczął drżeć, a w jej skroniach zaszumiła krew. Oczywiście, Cordélia miała rację, to był blef. Przynajmniej jeśli chodzi o nóż. Wolną ręką sięgnęła do wózka. Cholera! Lekko uszczypnęła gładką, delikatną skórę na drobnej, pulchnej, różowej rączce. Anton od razu otworzył oczy i rozplakał się. Uszczypnęła jeszcze raz, mocniej - dziecko rozwrzeszczało się na dobre.

- Wracaj! - zawołała Cordélia z salonu. - Błagam! Chodź tutaj!

Christine była na skraju omdlenia. Co ona wyprawia?

- Wracaj! Błagam cię! Będę mówić!



Usłyszała niepokonywany szloch matki.

Nie daj się złamać. Skup się na gniewie.

Wróciła do salonu. Dziecko ciągle krzyczało. Cordélia spojrzwała na nią błędnym wzrokiem i zaczęła bardzo szybko mówić.

- Nie wiem, jak się nazywa. Skontaktował się z nami, ze mną i z Marcusem, i zaproponował nam pieniądze. Na początku chodziło tylko o telefon do radia, o zostawienie listu: powiedział nam dokładnie, co zrobić. A potem chciał, żebyśmy cię nastraszyli, żebyśmy... - spod powiek dziewczyny płynęły łzy - żebyśmy... złamali łapę twojemu psu... Nie zgadzałam się... ale było za późno, żeby się wycofać... Chodziło o duże pieniądze... Naprawdę duże. Przepraszam cię. Nie wiedziałam, że to zajdzie aż tak daleko, przysięgam!

- Kto to jest Marcus?

- Mój chłopak.

- To on mnie zgwałcił? To on zabił mojego psa?

Młoda kobieta spojrzwała na nią zdezorientowana. Christine wyczytała w jej oczach straszliwe zważpienie.

- Co?! Miał... Miał ci tylko... podać narkotyki! - Kręciła głową w kompletnym popłochu.

- A ten człowiek, który się z wami skontaktował? Kto to jest?

- Nie mam pojęcia! Nie mam pojęcia! Nie znam jego nazwiska, przysięgam ci!

- Jak wygląda?

Stażystka utkwiała wzrok w jakimś miejscu za Christine.

- Komputer... Tam jest zdjęcie. Widać go, jak wsiada do samochodu. Marcus zrobił je bez jego wiedzy, na wypadek gdyby coś nam się stało, po pierwszym spotkaniu... Katalog nazywa się...

Christine odwróciła się. Laptop stał na ławie. Otwarty i włączony. Kiedy wstała, poczuła się dziwnie i zakręciło jej się w głowie. Czy go rozpozna? Czy to ktoś, kogo zna? Nagle przestało jej się śpieszyć, by poznać prawdę.

- Na pulpicie jest ikonka - rzuciła Cordélia za jej plecami. - Jest podpisana „X”.

Christine obesła urządzenie. Schyliła się nad ekranem. Znalazła ikonę. Dziwne uczucie nadal jej towarzyszyło. Musnęła panel dotykowy palcem wskazującym, przesuwając kursor. Zadrżała. Kliknęła dwukrotnie. Katalog się otworzył. Sześć zdjęć.

Zanim pierwsze wyświetliło się do końca, wiedziała. Rozpoznała go.

Nie czuła już niczego poza pustką, która pochłaniała każdą jej myśl.

Léo...

## 36.

### BALKONY

W tej samej chwili otworzyły się drzwi wejściowe.

- Cordie? Jesteś tam?

Christine odwróciła się i napotkała wzrok stażystki. Cholera! Rzuciła się po brelok z gazem łzawiącym i paralizator.

- Marcuuus! Ratunku! - zawołała Cordélia.

Nie zwracając uwagi na wijącą się na podłodze dziewczynę, Christine przyskoczyła ku postaci, która właśnie się pojawiła, i zaatakowała ją gazem. Drobny mężczyzna zdążył zasłonić się dłonią i tylko część chmury dotarła do jego zniewieściałej twarzy. Mimo to zaczął gwałtownie kaszleć i mrugać, jednocześnie wytrzeszczając oczy. Białka miał tak czerwone, że ledwie dało się odróżnić tęczę. To wystarczyło, by Christine zdążyła przyładować mu w bark napięciem trzystu tysięcy woltów. Zobaczyła, jak mężczyzna sztywnieje, dostaje drgawek i pada na podłogę. Znowu przedłużyła wyładowanie elektryczne powyżej pięciu sekund, ale baterie były już coraz słabsze. Chwyła pałkę i wymierzyła po kilka ciosów w każdą rzepkę, a na koniec jeszcze jeden między nogi. Ostatnie uderzenie było nie całkiem trafione, ponieważ Marcus zdążył się skulić.

Oto cała ty, siostrzyczko: nigdy nie działasz połowicznie. Doskonale rozegrane! Po czymś takim nie da rady biec. A teraz uciekaj.

Złapała torbę, wrzuciła do środka gaz, pałkę i paralizator i zasunęła zamek.

- Ty szmato! - jęknęła Cordélia za jej plecami. - Zapłacisz nam za to! Mój Marcus cię zabije, dziwko!

Zatrzasnęła drzwi i długimi krokami ruszyła do windy. Jej tętno galopowało, jakby przebiegła sto metrów sprintem. W kabinie uświadomiła sobie, że jest mokra od potu, serce podchodzi jej do gardła, a jej ciałem wstrząsają spazmy. Zjazd dłużył jej się w nieskończoność, ale kiedy znalazła się w holu, zmusiła się do spokojnego oddychania i zwolniła. Wyszła wprost w zimną i wilgotną mgłę i aż podskoczyła, gdy ujrzała nieco dalej dwie postaci w kapturach koło rapera Géralda. Na nadgarstku dłoni, którą trzymała w kieszeni, miała pasek paralizatora: sprawdziła palcami, czy urządzenie jest odblokowane, wiedziała jednak, że nie zostało w nim już wiele mocy.

- Oto i ona - oświadczył Gérald na jej widok.

Wyprostowała się, idąc w ich stronę. Kiedy rozmawiali, z ich ust unosiły się obłoczki

pary. Gérald nie wyglądał jednak na niespokojnego ani zdenerwowanego.

- Nie wahajcie się wysłać mi CV, panowie - powiedział. - Zobaczę, co mogę zrobić, okay?

- Super. Dzięki, proszę pana.

- Nie ma za co. Dobrego dnia.

- Dla pana też. Dzień dobry pani.

Odwzajemniła pozdrowienie. Młodzi mężczyźni szybkim krokiem odeszli w stronę metra.

- Przeprowadzasz teraz rozmowy rekrutacyjne na ulicy?

- Ci chłopcy byli moimi studentami - powiedział.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Poznali cię w tym przebraniu?

Zaśmiał się krótko.

- Zapytali, co tu robię, a ja odpowiedziałem, że czekam na przyjaciółkę. Spytali też, czy wybieram się na bal przebierańców. - Odwrócił głowę w jej stronę. - I co? Jak twój plan? Zadziałał?

Puściła do niego oko.

- Na tip-top.

W jego oczach pojawił się błysk zaciekawienia.

- I co odkryłaś?

- Nazwisko drania, który za tym stoi.

Wypowiedziała to zdanie lodowatym głosem. Napotkała pytające spojrzenie Géralda. I w tej chwili telefon w kieszeni dżinsów Christine postanowił zabrzęczeć. Wydobyła go i spojrzała na wyświetlacz. Nic. A potem zrozumiała - to nie oficjalny telefon, ale ten na kartę, którego używała do kontaktów z Léo. Znalazła go w innej kieszeni. Zobaczyła, że dostała wiadomość. Otworzyła ją i przeczytała:

*Spotkaj się ze mną w McDonalddie przy Compans, Léo.*

Wpatrywała się w ekran. Jej mózg usiłował przeanalizować sytuację. Gdzie jest pułapka? Czyżby Marcus i Cordélia już go zawiadomili? Ale jeśli stażystka tak bardzo obawiała się jego reakcji, jak mówiła, to po co miałyby to robić? A jednak to nie może być przypadek. Wizyta u Cordélii, jej rewelacje i od razu ten esemes. Coś tu nie gra. Jeśli to pułapka, to dlaczego Léo wybrał McDonalda, miejsce publiczne, uczęszczane przez młodzież,

studentów, a nawet rodziny z dziećmi, w którym o tej porze na pewno zaczęło być tłoczno?

Coś jej umykało w logice zdarzeń i wcale jej się to nie podobało. Była jak kapitan statku, który w trakcie burzy uświadamia sobie, że zgubił kurs i znajduje się zupełnie gdzie indziej, niż sądził.

- Hej ho! Co się stało? - zapytał Gérald.

Doszli do szerokiej esplanady. Christine spojrzała na niego.

- Muszę iść. Wszystko ci wytłumaczę.

Spojrzał na nią zdezorientowany. Ruszyła truchtem w stronę wejścia do metra.

- Chris! Boże, zaczekaj na mnie!

Puścił się za nią biegiem. Odwróciła się do niego.

- Nie! Muszę iść sama! Wyjaśnię ci to później!

Zatrzymał się pośrodku esplanady z niezadowoloną miną.

A może obrażoną. Mgła otaczała go i otulała. Nieruchoma, groteskowa postać. Kiedy zeszała do tunelu metra, zniknął jej z oczu.

\*

Z poważną miną patrzył, jak się zbliża. Nie spuszczał jej z oczu przez cały czas, gdy szła przez salę o lekko modernistycznym wystroju, przywodzącym na myśl lekcję geometrii przestrzennej. Miał na sobie szary wełniany płaszcz, a pod spodem golf o grubym splocie. Usiadła naprzeciwko niego na krześle, którego oparcie wyglądało jak pionowe wiosło. Wytrzymała jego spojrzenie.

- Cześć, Léo.

Wyglądał na zmartwionego. Bo wiedział, że ona wie? Na chwilę spuścił wzrok, spoglądając na swojego Royal Bacona, z którego kapał roztopiony ser, musztarda i keczup. Znowu na nią popatrzył. Delikatne kurze łapki w kącikach jego oczu jeszcze się zmarszczyły.

- Jestem ci winien przeprosiny - powiedział.

Uniosła brwi.

- Za to, co powiedziałem ci wtedy przez telefon. To było niesłuszne. I okrutne.

Siedziała w milczeniu.

- Ale miałem powód.

Rozejrzał się dookoła, jakby chciał się upewnić, że nikt nie znajduje się na tyle blisko, by ich słyszeć; ściszył głos o kilka decybeli i Christine zrozumiała, że wybrał to niepasujące do niego miejsce, ponieważ panujący tu hałas i tłok do pewnego stopnia zapewniały dyskrecję.

- Musiałem zyskać na czasie i... bałem się, że... ktoś założył mi podsłuch.

Obok nich chłopiec i dziewczynka w wieku około dziesięciu lat głośno walczyli o ostatnie McNuggetsy na dnie pudełka, podczas gdy matka próbowała robić za rozjemcę, nie przestając łapczywie siorbać przez słomkę swojego shake'a o smaku mango i marakui.

- Podłuch?

- Tak.

Przez chwilę patrzyła na niego w zamyśleniu.

- A po co zyskać na czasie? - zapytała, podnosząc głos, by mógł ją dosłyszeć wśród narastającego hałasu.

- Żeby sprawdzić kilka rzeczy...

Pochylił się, wkraczając w jej przestrzeń osobistą. Patrzył Christine prosto w oczy. W jego tęczęwkach odbijały się światła i ekrany znajdujące się na suficie i ścianach, zauważyła też własne odbicie na tle czarnych źrenic.

- Marcus i Corinne Délia, coś ci to mówi? - zapytał.

Skinęła twierdząco głową. Jej spojrzenie stało się ostre i lodowate.

- Właśnie u nich byłam - odpowiedziała.

Wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

- Kiedy?

- Kilkanaście minut temu.

- Jak to?

- Léo, oni mi podali nazwisko.

Wpatrywał się w nią intensywnie. Pod skórą jego policzków widać było drgające mięśnie zuchwy.

- Naprawdę?

- Twoje.

- He?

- Chodzi o to, że cię zostawiłam dla Géralda? O to, że twoja duma i miłość własna tego nie zniosły, tak? A może o coś innego? O jakąś perwersyjną grę, w którą lubisz grać z kobietami, wyłączając swoją żonę?

Léo przez chwilę mrugał. Wyczuła, że mężczyzna szuka odpowiedzi.

- Marcus był w hotelu tego dnia, gdy się spotkaliśmy - ciągnęła - zapamiętałam jego tatuaż. Swoją drogą niezbyt dyskretny. I ten jego niski wzrost... Wpadłam na niego, wychodząc z windy. Jak mógł się tam znaleźć? Zachowałam wszelkie środki ostrożności, żeby mieć pewność, że nie jestem śledzona. - Rzuciła mu wyzywające spojrzenie. - Kto oprócz ciebie wiedział o naszym spotkaniu?

Pokręcił głową.

- Mój Boże, Christine. Nie przyszło ci do głowy, że mógł cię śledzić mimo wszystko, że nie jesteś profesjonalistką albo że twój telefon mógł być na podsłuchu.

- Użyłam nowego telefonu na kartę.

Milczał przez chwilę.

- Mogli włożyć pluskwę do twoich rzeczy. Znaleźć cię po tym, jak na chwilę zniknąłeś im z pola widzenia. Psiakrew, plac Wilsona! Przecież nie umówiliśmy się w lesie!

Spojrzała na niego z zaciśniętymi wargami, świadoma, że z jej twarzy odpłynęły wszelkie kolory.

- Cordélia o wszystkim mi powiedziała. Pękła, kiedy zagroziłam, że zrobię coś jej dziecku.

- Co zrobiłaś?

Wyglądał na osłupiałego. Znowu pokręcił głową.

- To nie tak. Zupełnie nie tak. Ty nic nie rozumiesz.

- Czego nie rozumiem, Léo? Dlaczego tak postępujesz? To prawda, nie rozumiem. A więc wytłumacz mi.

Na jego nagle zwiędłą i starą twarz opadła zasłona smutku. Christine nigdy go takim nie widziała. Wyglądał, jakby w jednej chwili postarzał się o dziesięć lat. Spojrzał jej głęboko w oczy.

- To długa historia - powiedział.

\*

Nie wiedziała już, co myśleć. Wysłuchiwała Léo do końca i teraz, wracając do siebie, przypominała sobie jego wyjaśnienia, próbując znaleźć jakąś lukę. Czuła się zagubiona. Trudno było jej uwierzyć, że ktoś mógł podjąć tak skomplikowane działania z samej nienawiści, zazdrości czy niechęci. Było to tak, jakby odkrywała jakiś nieznany świat, pełen cieni i pułapek, świat, który istniał od zawsze, ale który ona widziała po raz pierwszy, który pozostawał niewidzialny nawet wówczas, gdy wokół niej rozpętały się siły, których istnienia nie podejrzewała.

Léo opowiedział jej o osobie, która go nęka - to ona pociągała za sznurki. Co za dziwaczna historia... Ktoś nęka Léo, pomyślała. Od lat. I ta sama osoba nęka jego bliskich, a raczej kobiety, które się do niego zbliżają. Robi z ich życia piekło. Christine przypominała sobie zaniepokojoną twarz Léo. Czy powinna mu wierzyć? Na razie odmówił podania jej nazwiska.

- Muszę sprawdzić kilka drobiazgów, wiesz... Nie ma oskarżenia bez dowodów. Ale

wiesz, ten detektyw, o którym ci mówiłem, a właściwie ta detektyw, śledziła tę osobę i w ten sposób dotarła do Cordélii i Marcusa... - Jego głos nagle zrobił się ciężki, zatroskany. Przez chwilę wyglądał, jakby zatopił się w swoich myślach. - Mam na koncie trzydzieści tysięcy euro - oświadczył bez zbędnych wstępów. - Masz pieniądze?

- Dwadzieścia tysięcy euro na koncie ubezpieczenia na życie. Dlaczego pytasz?

- Odblokuj je. Od jutra. Jak najszybciej. Mogą nam być potrzebne.

- Po co?

- Żeby wykupić twoją wolność, Christine. Żeby cię uwolnić z jej szponów. Żeby zakończyć tę historię, jeśli jest tak, jak myślę.

Miała wrażenie, że otaczająca ją ciemność jest pełna zasadzek. Padał deszcz i miasto było jedną wielką grą cieni, odbłasków, reflektorów, błysków... Wszystko w nim było nagłe, ostre i zwodnicze. Szła jak w transie, przetrawiając słowa Léo. Opowiadał jej też o tej kobiecie, którą poznał i która popełniła samobójstwo. Wtedy niczego nie podejrzewał. Tym bardziej że, jak powiedział, Célia, bo tak miała na imię, nagle się od niego odsunęła. Teraz sądzi, że te sprawy były ze sobą związane, wręcz jest tego pewien. Na koniec przekazał jej wiadomość, która kiedyś by ją ucieszyła: rozwodzi się. Jego żona odeszła i zabrała dzieci. Już od jakiegoś czasu nie układało się między nimi, ale odwlekali moment przyznania się do tego ze względu na dzieci. Porozumieli się w sprawie opieki, widział się nawet tego dnia z adwokatem.

Z zamyślenia wyrwał ją przejeżdżający autobus. Czy powinna mu wierzyć? Cordélia oskarża Léo, a Léo oskarża inną osobę. Szła rue du Languedoc w stronę Carmes w kapturze naciągniętym na głowę, mijając kafejki, w których grzali się studenci, i duże wille tonące w mroku. Uciekała przed roztopionym śniegiem, który pryskał spod kół samochodów jadących po mokrym asfalcie. Skręciła w swoją ulicę i nagle zwolniła, widząc wirujące światło, które omiatało fasady, balkony z kutego żelaza, gzymsy, krajniki, reliefy, medaliony: wszystkie te zdobienia, które przywodziły jej na myśl piętrowe torty na wystawie cukierni. Większość okien i balkonów była oświetlona. Mieszkańcy, którzy śpieszyli, by stanąć przy balustradach i obserwować, co się dzieje na dole, wyglądali jak widzowie w teatralnych łóżach.

Dwa policyjne radiowozy tarasowały drogę samochodom. To ich kolorowe światła odbijały się od fasad. Christine nagle stała się czujna. Część ulicy była odgrodzona taśmą: ta część, w której znajdowała się jej kamienica. Zdjęła kaptur i podeszła do umundurowanego policjanta. Przy taśmie zrobiło się zbiegowisko.

- Mieszkam tutaj - powiedziała, wskazując na znajdującą się kilka metrów od nich bramę.

- Chwileczkę - odpowiedział policjant.

Odwrócił się do mężczyzny, którego od razu rozpoznała: Beaulieu, porucznik, który zamknął ją w izbie zatrzymań. Beaulieu podszedł bliżej, wpatrując się w nią intensywnie.

- Mademoiselle Steinmeyer - powiedział absolutnie lodowatym tonem.

Deszcz zbierał się w kropelki na jego kręconej grzywce i skapywał na koniec nosa. Krawat, który założył tego dnia, był nie tylko brzydki jak zwykle, ale na dodatek uszyty z tkaniny nasiąkającej wodą równie łatwo jak ścierka. W jego wylupiastych oczach odbijało się pomarańczowo-niebieskie migotanie kogutów.

- Znała go pani?

Wiadomości wypluwane przez krótkofalówki, blaski fleszy, rozpryskujący się w świetle reflektorów deszcz, wrzenie, ruch... Christine próbowała powstrzymać nudności i oddychać spokojnie. Max. Leżał wśród swoich kartonów. Z miejsca, w którym stała, widziała tylko jego twarz - otwarte oczy, które bez mrugnięcia, mimo deszczu, wpatrywały się w niebo albo w chmury, albo w jakieś inne miejsce bardziej gościnne niż ten mały kawałek Ziemi. Ludzie w białych kombinezonach, rękawiczkach i niebieskich ochraniaczach na butach pochylali się nad nim. Robili zdjęcia wielkim, kwadratowym aparatem, chodzili tam i z powrotem między zwłokami a furgonetką z podnoszonym dachem.

- Tak. Nazywał się Max.

- Max...?

- Nie znam jego nazwiska. Czasem z nim rozmawiałam. Kiedyś był nauczycielem. A potem się stoczył i wylądował na ulicy. Co się stało?

- Och. - Beaulieu pokiwał głową z przejętą miną, po czym spojrzał na nią surowo. - On się nie nazywał Max - poprawił ją.

- Co?

- Nazywał się Jorge Do Nascimento i nigdy nie był nauczycielem. Żył na ulicy od prawie trzydziestu lat. Pamiętam go takim chyba od zawsze. Jorge był w tym mieście sławny, o tak, niech mi pani wierzy... Musiał żyć na ulicy już w czasach, kiedy chodziłem do szkoły. A do tego był narkomanem. Gdy byłem posterunkowym, zamykaliśmy go za pijaństwo w miejscach publicznych. Któregoś razu widziałem, jak zdjął buty. Gdyby pani widziała jego stopy, mademoiselle Steinmeyer, jak bardzo były poranione... Wie pani dlaczego? Polinarkomania. Z powodu braku środków bezdomni szprycują się wszystkim, co się nawinie. Przede wszystkim alkoholem i lekami, bo są częściowo refundowane: benzo, depresanty, które przepisują im co mniej oszczędni lekarze. Poza tym oczywiście hasz. I hera. Jest tańsza od koki. Nie muszę pani mówić, że towar, który można dostać na ulicy, rzadko jest dobrej



jakości. Dodaje się do niego wszelki możliwy syf: paracetamol, kofeinę, a nawet krede. Ponieważ towar dostępny jest w małych działkach, dla zwiększenia efektu mieszają go z alkoholem albo z lekami, co jednak sprawia, że zjazdy stają się jeszcze trudniejsze. Dlatego bezdomni narkomani nocą chodzą tam i z powrotem: to im pomaga przetrzymać zjazd. Stąd ich poranione stopy. Ale pocieszę panią, Jorge nie był chory na AIDS. Był jedynie nosicielem HBV i HCV. Z pewnością złapał to, dzieląc się sprzętem z innymi ćpunami. Aha, i wychodził z gruźlicy. Być może zauważyła pani, że był nieco zmęczony i wychudzony. Wiem, że miał zaledwie czterdzieści siedem lat, choć wyglądał na piętnaście więcej.

Policjant robił wrażenie steranego życiem. Ten błysk znużenia, który zauważyła w jego oczach przy pierwszym spotkaniu, spojrzenie człowieka, który przyznaje się do przegranej, do absurdalności toczonych walki.

- Ale to prawda... to prawda, że uwielbiał literaturę. - Podniósł prawą rękę i Christine zauważyła, że trzyma w niej jako dowód winy torebkę z książką. Była to powieść Tołstoja, którą zauważyła w kieszeni Maksa, kiedy mężczyzna u niej był. Zadrzała. Na książce była krew. - Kochał też muzykę poważną. Pamiętam, że mógł bez końca rozprawiać o rosyjskich powieściopisarzach, o muzyce barokowej, o operze. Niektórzy na komendzie kazali mu się zamknąć. A ja zapisywałem tytuły, autorów... Myślę, że zawdzięczam mu sporą część mojej wiedzy ogólnej - podsumował ze smutnym półuśmiechem.

- A czy... czy on był żonaty?

Beaulieu zaprzeczył ruchem głowy. Wytarł zakatarzony nos.

- O ile mi wiadomo, nie.

- Dlaczego mnie okłamał?

Wzruszył mokrymi ramionami.

- Widzi pani, Jorge uwielbiał wymyślać historie, anegdoty, przypisywać sobie fikcyjne tożsamości. Trochę tak jak pani. Może chciał zapełnić pustkę, ubarwić zbyt prozaiczną rzeczywistość. A może, kto wie, wynikało to z jego zamiłowania do beletrystyki? Dzięki tym kłamstwom stawał się w pewien sposób bohaterem powieści: potomkiem Dickensa albo Dumasa. - Mrugnął do niej. - To dzięki niemu odkryłem wszystkich tych autorów... Więc bardzo lubiłem Jorgego. - Rzucił jej spojrzenie, którego nie potrafiła zakwalifikować inaczej niż jako „podejrzliwe”. - A teraz on umarł. Tuż pod pani kamienicą. I jeśli wierzyć pani sąsiadom, pani często z nim rozmawiała. A nawet zaprosiła go pani do siebie.

Sąsiadka. Christine chętnie udusiłaby tę obłudną moralizującą szmatę. Czuła, jak po jej głowie bębnią niezliczone krople deszczu.

- Co się stało? - powtórzyła.

- Został zadżgany ostatniej nocy. Ale nikt się nie zorientował, do czasu aż ktoś zauważył krew na chodniku.

Ostatniej nocy... Tej nocy, kiedy zabito jej psa. Tej nocy, kiedy została otumaniona i zgwałcona. Miała wrażenie, że jej ciało zastyga w lodowy blok.

- Nocowała pani u siebie, mademoiselle Steinmeyer?

- Nie.

- A gdzie pani była?

- W Grand Hôtel de l'Opera. Zostałam tam na noc.

- Dlaczego?

- To moja sprawa.

Znowu ten błysk podejrzliwości w jego spojrzeniu.

- Dlaczego wpuściła pani tego człowieka do siebie? - zapytał. - Śmierzącego kloszarda, pijaka, o którym pani nic nie wiedziała.

Zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Ze... współczucia? - pomógł jej. - Zrobiło się pani go żal, bo było zimno, sypał śnieg, a pani co rano widziała go z okna, o to chodzi? I postanowiła pani dać mu ciepły posiłek i odrobinę ludzkiego ciepła?

- Tak, zgadza się.

- Niech pani sobie ze mnie nie kpi. Nie jest pani dobra w te klocki: kłamie pani, to widać. Spotykam panią na mojej drodze już trzeci raz i zawsze dzieją się dość mocne rzeczy, prawda? Nie wiem, co pani knuje, kim pani właściwie jest ani co pani robi, ale odkryję to. I będę pani zatruwał życie, aż poznam pani brzydki sekret.

Pociągnął nosem. Najwyraźniej właśnie łapał przeziębienie. A może był to wyraz pogardy. Christine potrząsnęła mokrymi włosami i z powrotem założyła kaptur na głowę.

- Skończył pan?

- Na razie tak.

Deszcz zmoczył fasadę i jasny kamień, z którego była zrobiona, stał się ciemny i błyszczący. Christine tak bardzo trzęsła się ze złości i strachu, że udało jej się wystukać kod dopiero za drugim podejściem.

\*

Servaz wyjął chusteczkę i się wysmarkał. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Lodowaty deszcz lał mu się po karku, ściekając za przemoczony kołnierz koszuli. Kim jest ta kobieta? Zauważył, że zazwyczaj obojętny i apatyczny porucznik Beaulieu podczas rozmowy z nią zrobił się purpurowy na twarzy, a jego oczy miały wściekłe blaski. Wcześniej widział, jak ta

sama kobieta spotkała się w McDonalddie z Léonardem Fontaine'em, którego śledził. Obserwował ich napiętą wymianę zdań z bezpiecznej odległości, siedząc przy innym stoliku. Od czasu do czasu tracił ich z oczu, zauważył jednak, że Fontaine był zatroskany, a kobieta w chwili, gdy opuszczała lokal, miała zdeorientowaną i zaniepokojoną minę. Czyżby to była jego następna ofiara? Natychmiast postanowił ją śledzić. Wiedział, gdzie mieszka i pracuje Fontaine; znał też jego przyzwyczajenia i bez trudu mógł go odnaleźć, podczas gdy o niej nie wiedział nic.

A teraz w miejscu, które najwyraźniej było sceną zbrodni, widział, jak ta sama kobieta wkurza porucznika policji kryminalnej. Technicy już działali. Beaulieu... Servaz wolałby trafić na Vincenta albo Samirę. Upewnił się, że w okolicy nie kręci się żaden zastępca prokuratora, zgiął się wpół i podniósł plastikową taśmę. Machnął przed nosem posterunkowego identyfikatorem, który miał przy pasku.

- Martin? - zdziwił się Beaulieu na jego widok. - Co ty tu robisz? Myślałem, że jesteś na chorobowym.

- Zadzwonili do mnie znajomi, którzy mieszkają w tej kamienicy. Chcą się dowiedzieć, co się stało. A ponieważ akurat byłem w pobliżu...

Beaulieu zmierzył go wzrokiem. Nie był naiwny.

- Powiedz im, żeby następnym razem oglądali wiadomości lokalne - odparował, wskazując kamerę stojącą pod wielkim parasolem.

Servaz zauważył gapiów, którzy filmowali scenę zbrodni telefonami komórkowymi. Cholerni podglądacze. Porucznik wyjął paczkę papierosów i zaproponował mu jednego.

- Nie, dziękuję. Rzuciłem.

- Bezdomny. Zasztyletowany tej nocy. Ale ponieważ ludzie nie zwracali na niego uwagi, minęło kilka godzin, zanim ktoś zauważył, że z kartonów płynie krew. Jorge, mówi ci to coś? Swego czasu kręcił się niedaleko komendy, od strony kanału i Compans.

Servaz przytaknął.

- Spał na tej ulicy?

- Ostatnio tak.

Servaz kichnął i znowu wyjął chusteczkę.

- Kiedy tu szedłem, widziałem, że rozmawiasz z jakąś kobietą. Wyglądałaś na... bardzo zdenerwowanego. Kto to był?

Porucznik spojrzał na niego podejrzliwie.

- A dlaczego cię to interesuje?

Servaz wzruszył ramionami, udając pobłażliwość.

- Wiesz, jak to jest. Robota jest jak narkotyk. Odwyk to piekło.

Beaulieu popatrzył na niego, jakby chciał powiedzieć: „Nie, nie wiem i nie chcę wiedzieć”.

- To wariatka - odparł wreszcie; Servaz zauważył, że się zamyślił - dziwne... Niedawno była zamieszana w jedną sprawę, nawet ją zatrzymałem. Trudno mi uwierzyć, żeby to był zbieg okoliczności.

- Ach tak?

- Pewna dziewczyna wniosła skargę o pobicie. Ktoś ją paskudnie urządził... Zeznała, że to ona. Pracowały razem w Radio 5. Wygląda na to, że urządziły sobie seksualną zabawę, w której coś się potoczyło nie tak. Ofiara zażądała pieniędzy za seks, a ta laska chciała jej odebrać swoją forszę. Coś w tym stylu: dwie lesby, które skaczą sobie do gardeł, moim zdaniem obie tak samo stuknięte. - Beaulieu pokręcił głową z obrzydzeniem, jakby kierunek, w którym ewoluował ten świat, przekraczał jego zdolność pojmowania. - Ale to nie wszystko. Wcześniej ta dziwka zjawiała się na komendzie dwukrotnie. Za pierwszym razem twierdziła, że znalazła w swojej skrzynce list od osoby, która zapowiadała, że zamierza popełnić samobójstwo. Chciała, żebyśmy to zbadali. Wszystko wskazuje na to, że napisała go sama. Za drugim razem mówiła prosto z mostu o jakimś spisku: ktoś nasikał jej na wycieraczkę, wszedł do jej mieszkania, zatelefonował do radia, w którym pracowała, i na jej numer domowy. Twierdziła, jakoby została otumaniona i rozebrana przez tę młodą stażystkę, która oskarża ją o pobicie, a potem nieświadoma przewieziona do swojego mieszkania, w którym obudziła się całkiem naga! Kompletnie bezsensowna historia. A teraz znajdujemy pod jej kamienicą trupa tego biednego Jorgego, z którym często rozmawiała i którego, jak twierdzi jej sąsiadka, co najmniej raz zaprosiła do siebie. Kurwa, możesz mi powiedzieć, jaka kobieta wpuszcza do mieszkania kloszarda i funduje sobie za pieniądze seks z dwudziestolatką?

Beaulieu patrzył na wysoką fasadę, na której prawie we wszystkich oknach paliły się światła, a balkony były niemal tak pełne jak w wieczór premiery w weneckiej La Fenice.

- Jak ona się nazywa? - zapytał Servaz po chwili.

- Steinmeyer. Christine Steinmeyer.

Christine...

- Czy wspominała coś o operze?

- Co?

- O operze. Wymieniła to słowo?

Oczy Beaulieu zamieniły się w dwie szparki. Przez chwilę wpatrywał się w swój przemoczony krawat, po czym rzucił Servazowi piorunujące spojrzenie.

- O szlag, a ty skąd o tym wiesz? Powiedziała, że gość, który ją nęka, zostawił u niej płytę CD z muzyką operową. Nie jesteś tu przez przypadek, myślę się?

- Nie.

- Kurwa, Servaz, aleś ty wkurzający! Mogłeś wcześniej powiedzieć. Co konkretnie wiesz o tej sprawie? Bo nie wiem, czy się orientujesz, ale to ja prowadzę śledztwo!

Servaz przez jakiś czas przyglądał się fasadom, małym gargulcom na rogach gzymsów i łzawnikom, z których spływały migocące wodospady deszczówki, a także lampom na sufitach za plecami widzów obserwujących ich z okien.

- Pozwól, że zadam jej kilka pytań - powiedział. - A potem wszystko ci powiem. A jeśli ta kobieta mówiła prawdę?

Zobaczył, jak twarz Beaulieu zmienia kolor. Porucznika замуrowało.

- Jeżeli tak sądzisz, to jesteś tak samo chory albo najarany jak ona! Nie możesz jej przesłuchać ot tak. To należy do mnie!

- Masz kod do wejścia?

- Servaz, do kurwy nędzy! W co ty grasz?

- Zapewniam cię, że nie masz oglądu całości. To zupełnie nie jest tak, jak myślisz. Powiedz mi jedno: czy ja się często myliłem? Czy często zdarzało mi się coś spieprzyć? - Zobaczył wahanie w oczach młodego porucznika. - Nie jestem na służbie, jestem na chorobowym. Więc sukces będzie twój. Ja tylko chcę zadać jej dwa, trzy pytania, to wszystko.

Policjant pokręcił głową.

- 1945.

- Bez jaj?

- Bez jaj.

\*

Włączyła lampę i wsłuchiwała się w ciszę. Był tu... Christine była tego pewna. Był tu pod jej nieobecność. Musiał mieć cholerny tupet, żeby wrócić na miejsce zbrodni, gdy na dole leżał jeszcze trup Maksa... Jorgego. Wstrzymała oddech, poszukała wzrokiem śladów jego obecności i zobaczyła: płyta CD. Na ławie. Podeszła bliżej.

*The Rape of Lucrecia*. Benjamin Britten.

Mogła się założyć, że opera kończy się samobójstwem.

Obok zauważyła coś jeszcze. Kartkę. Zapisaną ręcznie. Chwyliła ją z lekkim drżeniem dłoni, które nasiliło się, gdy przeczytała wiadomość:

*Widzisz, co cię czeka. Lepiej będzie, jeśli zrobisz to sama. Skończmy z tym. Jeśli jeszcze raz się postawisz, zabierzemy się do twojej matki...*

Zakręciło jej się w głowie. Przez chwilę miała pokusę, by podejść do okna i zawołać tego glinę na dole. A potem uderzył ją pewien szczegół. Nogi się pod nią ugięły. To było jej pismo. Doskonale podrobione, przynajmniej dla niewyspecjalizowanego oka. Zastanawiała się, czy grafolog byłby w stanie znaleźć różnicę. Była w potrzasku. Po raz kolejny. Wiedziała, co ten głupi glina pomyśli: że napisała to sama, tak jak poprzednio. Że jest szalona. I niebezpieczna. O tak, cholernie niebezpieczna.

Jej wróg znowu miał przewagę.

Dawniej w takiej sytuacji na pewno miałyby pokusę, by się nad sobą użalać, rozpamiętując to, co się stało. Teraz jednak jej oczy były suche. Pomyślała o zwłokach Iggy'ego w łazience. Powinna znaleźć mu jakiś grób, nie może go tam trzymać w nieskończoność. Co by było, gdyby znalazła go policja? Pomyślała o tym, że jej wróg w ciągu jednej nocy zabił jej psa, zgwałcił ją i zadźgał człowieka; działał na najwyższych obrotach. Jego gniew nie ma już żadnych granic, żadnych hamulców - to walka na śmierć i życie. Christine zachwiała się na tę myśl. Pomyślała o tej kobiecie, która popełniła samobójstwo. O Célii. Poczowała, że jej wściekłość powraca. Ona będzie silniejsza, będzie walczyć, nie ma nic do stracenia. Musi poinformować Léo o tym, co się stało, o tym, że wróg przekroczył kolejną granicę. Léo powinien zostać ostrzeżony o niebezpieczeństwie. Gérald także.

Potem ciszę rozdarło brzęczenie dzwonka i Christine zamarła.

Spojrzała w kierunku drzwi. Czyżby był na tyle szalony, na tyle bezczelny, żeby odwiedzać ją teraz, gdy na ulicy roi się od glin? A dlaczego by nie? To by dopiero była cholerna apoteoza! Przez chwilę wyobrażała sobie, że intruz wypycha ją przez okno i znika. Wszyscy pomyśleliby, że poczuła się złapana w pułapkę i postanowiła się zabić. Iście operowe zakończenie. Może nawet przed przejściem do czynu nastawiłby muzykę.

Nie, odezwał się w niej głos Madeleine. Przestań wymyślać, jest zbyt ostrożny, żeby się teraz pojawić. On próbuje cię przetrzymać, Chris. Nie podejmie żadnego bezsensownego ryzyka.

Dzwonek rozległ się po raz drugi. Ktoś był uparty...

Gliny, pomyślała. Przyszli mnie aresztować.

Na palcach podeszła do drzwi i spojrzała przez judasza. Była pewna, że nigdy nie widziała mężczyzny stojącego po drugiej stronie. Około czterdziestki. Gęste, czarne włosy i sześciodniowy zarost. Podkrążone oczy, zapadnięte policzki, ale twarz przyjemna. Nie

wyglądał na mordercę. Ani na wariata.

A potem widok zasłoniła policyjna blacha. Christine się cofnęła.

Cholera...

Założyła łańcuch i uchyliła drzwi. Mężczyzna zamrugął, jakby dopiero się obudził, i przez szparę wymienili ostrożne spojrzenia.

- Tak?

Znowu zamrugął. Oczekał chwilę w milczeniu, przyglądając jej się i chowając odznakę. W jego spojrzeniu nie było jednak wrogości. Zauważyła nawet nieśmiały uśmiech na jego wargach.

- Nazywam się Martin Servaz - powiedział. - Jestem komendantem policji. I w przeciwieństwie do moich kolegów wierzę pani.

## REKWIZYTY

W pewnym momencie kobieta zasnęła, zwinięta w kłębek na sofie. Spadek adrenaliny, pomyślał Servaz. Od jak dawna nie czuła się bezpieczna? Podciągnęła wełnianą kołdrę pod brodę, a on dalej obserwował ją bez słowa, zatopiony w fotelu.

W porównaniu z nią był prawie w formie. Jej policzki żłobiły czarne cienie, jej włosy były suche i porozdwajane, a kości policzkowe sterczały pod samą skórą jak u zwierząt kopalnych w pracowni paleontologa. Wiele wycierpiała i to było widać. A jednak musiała być silna, skoro przetrwała trzęsienie ziemi, które nagle zniszczyło prawie całe jej życie. Prawdziwy Blitzkrieg... Ten drań doskonale zna się na wojnie błyskawicznej, oj, tak.

Opowiedziała mu także o swoim spotkaniu z Fontaine'em.

O swoich wątpliwościach, o zeznaniach Cordélii. Istniał wszakże jeden element, o którym nie wiedziała: dziennik Mili. Dlaczego jej o nim nie powiedział? Nalał sobie jeszcze jedną lampkę doskonałego Côte-Rôtie, które otworzyła dwie godziny wcześniej. Dlaczego? No cóż, dlatego że nie mógł jej zdradzić, że zamierza przyłapać astronautę na gorącym uczynku, a ona w gruncie rzeczy jest jego... przynętą.

Zabrzączał telefon. Znowu Beaulieu. Przysłał mu już cztery esemesy. Servaz wstał. Przeszedł do pokoju. Przez okna wpadały światła kogutów, malując sufit i narzutę na łóżku żywymi barwami.

- Servaz - odezwał się.

- Do cholery, co ty wyprawiasz? Powiedziałeś trzy pytania! I dlaczego mówisz ściszym głosem?

- Ciii, ona śpi.

- Co?!

- To nie ona. Ona go nie zabiła.

- Ach tak? A skąd ty to wiesz?

- Ponieważ mam swoją teorię na temat tego, kto to zrobił.

Wyraźnie usłyszał westchnienie Beaulieu.

- Martin, ześwirowałeś czy co? Co to ma być? Zjawiasz się nagle znikąd i wiesz o sprawie więcej niż wszyscy? A wizja lokalna? A opinia lekarza sądowego? Psiakrew, nawet nie spojrzaleś na ciało! Kto więc to zrobił według ciebie?

- Nie uwierzysz mi, jeśli ci powiem.



- Co? Mam powyżej uszu twoich zagadek, Servaz! Wyduś to z siebie!

- Léonard Fontaine.

- Ten astronauta?

- Mhm.

- Żartujesz sobie, prawda? Powiedz, że żartujesz.

- Ani trochę.

- Servaz, nie wiem, co się dzieje, ale jeśli robisz mnie w balona...

- Nigdy nie mówiłem równie poważnie. Nie masz pojęcia, w co Fontaine jest zamieszany. On jest zły, pomyłony i stoi za tym wszystkim. To pewne, jak dwa i dwa jest cztery. Przypominasz sobie tę artystkę, która zabiła się w ubiegłym roku w Grand Hôtel Thomas Wilson? Była jego kochanką. Podobnie jak Miła Bolsanski, eksastronautka, która dała mi swój dziennik, gdzie napisała o tym, co przez niego wycierpiała. Oskarża Fontaine'a o to, że wielokrotnie ją bił i gwałcił, kiedy byli razem w Gwiezdnym Miasteczku, ale sprawa została wyciszona przez Rosjan i Europejską Agencję Kosmiczną, ku większej chwale podboju kosmosu, jak sądzę. A Christine Steinmeyer na jego prośbę spotkała się z nim w barze dziś po południu, zanim wracając do domu, wpadła na ciebie.

- Skąd o tym wiesz?

- Byłem tam.

- Dotąd nie miałem żadnego sposobu, by dopaść tego drania - ciągnął Beaulieu po chwili. - Ale gdyby udało nam się udowodnić, że to Fontaine załatwił Jorgego, to by wszystko zmieniło. - Gwizdnął. - Cholera. Jesteś pewien, że mnie nie wkręcasz?

W tle rozmowy Servaz usłyszał cichy dźwięk sygnalizujący, że otrzymał kolejnego esemesa.

- A więc te historie z telefonami, napadniętym psem i nękaniami to nie była ściema?

- To wszystko prawda. Ta kobieta jest ofiarą bardzo inteligentnego i bardzo chorego szaleńca, który już od jakiegoś czasu zatruwa jej życie.

- Przeróżające - skomentował cicho policjant po drugiej stronie.

- Tak.

- Co robimy?

Otóż to, nareszcie, pomyślał Servaz. Beaulieu nie był może orłem, ale był sumiennym i lojalnym policjantem, a przede wszystkim kimś, kto nie zajmuje się wyłącznie własną karierą, nowymi okólnikami i nowymi dyrektywami, i co za tym idzie, dobrze działa w terenie.

- Corinne Délia - powiedział. - Od jutra nie spuszcza jej z oczu. Ani jej faceta, niejakiego Marcusa. Przede wszystkim jego. Prawdopodobnie to on zabił Jorgego. Nie bardzo

sobie wyobrażam, żeby Léonard Fontaine miał osobiście ubrudzić sobie ręce... Ale jeśli są w kontakcie i jeśli uda nam się ich przyskrzynić, pomogą nam go dopaść.

- A ty?

- Ja zobaczę, co mogę wyciągnąć od tej kobiety.

- A co powiemy górze?

- Nic. Jestem na chorobowym, zapomniałeś? Jeśli nazwisko Fontaine'a wypłynie, wszyscy będą próbowali się wykręcać. A my będziemy ugotowani.

- Byłem trochę ostry wobec tej kobiety - powiedział Beaulieu nieco skruszonym głosem.

- No cóż, przeprosisz ją następnym razem.

Rozłączył się. Zobaczył maleńką jedynekę na kopercie symbolizującej skrzynkę odbiorczą w komórce. Dotknął jej opuszką palca. Plum. Margot. Otworzył wiadomość. Plum.

*Wpadnę jutro o ósmej. Buziaki.*

Uśmiechnął się. Margot nie pytała, czy to mu pasuje. Czy nie zamierza dłużej pospać. Czy będzie gotowy o tej porze. Ani nawet o to, czy w ogóle będzie na miejscu. Nie. O nic takiego nie pytała.

Tak naprawdę nie miał wyboru. Ale kiedy córka pozostawiła mu wybór w jakiegokolwiek sprawie? Uśmiechnął się i wystukał „OK”, ponieważ było to krótsze niż słowo „zgoda”, które oczywiście wolał, i wysłał wiadomość. Plum.

Ciągle się uśmiechał.

Diabelne smartfony.

\*

Christine się obudziła. Przez chwilę miała minę, jakby go nie rozpoznawała, i Servaz zauważył w jej oczach błysk trwogi, który jednak bardzo szybko zniknął.

- Spałam - zauważyła. - Długo?

- Mniej niż godzinę.

Zrobiła nieokreśloną minę i w tym momencie Servaz dostrzegł rodzaj dyskretnego piękna, które musiało być widoczne w czasach, gdy Christine nie przypominała Madame Bovary na łożu śmierci.

- Zimno tu. Podkręcę ogrzewanie.

Zrzuciła z siebie kołdrę i przystanęła na widok butelki Côte-Rôtie.

- Wydaje mi się czy ubył?

- Dwie lampki - wytłumaczył się. - Kiedy pani spała. - Wskazał na piętrzące się na sofie pudełka z lekami. - Pani to wszystko bierze?

Zauważył, że kobieta się czerwieni.

- Chwilowo - odpowiedziała. - Potrzebowałam tego... Żeby się trzymać.

- Mhm.

Podszedł do okna, oparł czoło o zimną szybę i spojrzał w rozdzierany rozbłyskami mrok. Na jego tle zobaczył odbicie własnej twarzy, bardzo blisko. Na zewnątrz coś się czało. Coś wrogiego. Przebiegłego. Nie powinien tego lekceważyć. Ofiary tego drania nie były łatwym łupem: każda z nich była silna, inteligentna. Ale kat był jeszcze sprytniejszy. Siła knująca w ciemności czekała na następny ruch, na kolejne sygnały. Jak rekin. Od tej chwili muszą się starać wysyłać ich jak najmniej.

\*

- Znam pewne miejsce - powiedział. - Cudowne. W Górach Czarnych. Powyżej jeziora Saint-Ferréol. Jesienią i wiosną jest tam przepięknie. Zimą też, gdy wszystko pokrywa lekka warstwa śniegu. Właściwie to tam jest pięknie o każdej porze roku. Można by go tam pochować, co pani na to? To niewiele ponad godzinę drogi stąd.

- Pan by pojechał?

- Oczywiście.

Ułożył zwłoki Iggy'ego w szufladzie zamrażarki, którą wcześniej opróżnił z kartonów Domino's Pizza, porcji ryżu po kantońsku, gotowych dań i słonych lodów Philippe'a Faure'a o smaku szczypiorku, oliwy z oliwek i trufli. Choć ciało psa było skulone, musiał włożyć je w poprzek, żeby się zmieściło.

Prowizoryczna kostnica.

- Niech jej pani nie otwiera, dobrze? Do mojego powrotu.

- Dobrze.

- Proszę obiecać.

- Obiecuję.

Zerknął na zegarek.

- Dziś w nocy nie przyjdzie - powiedział. - Na pewno nie przyjdzie, tym bardziej że w okolicy kręci się policja.

Spojrzała na niego.

- Jest pan pewien? A kiedy wszyscy pana koledzy pójda do domu? Kiedy cała kamienica zaśnie i ulica będzie pusta? Kto mi to zagwarantuje? - Zobaczył, że Christine się waha. - Nie mógłby pan zostać? Tylko na tę noc. Aż się jakoś pozbieram...

Pomyślał o tym, że nie może zorganizować jej ochrony, przecież nie jest na służbie.

- Muszę się z kimś spotkać jutro rano - odparł, szukając w spisie kontaktów numeru Beaulieu. - Wcześniej rano.

- Może pan skorzystać z mojego budzika. Proszę...

Zawahał się i przestał przeglądać telefon.

- No dobrze, zgoda. Ale zamawiam łóżko. Nie cierpię spać na sofie.

Christine się uśmiechnęła.

\*

Kobieta zapaliła papierosa. Płomień zapalniczki przez chwilę oświetlał jej twarz. Obserwowała całą scenę z odległości jakichś stu metrów, siedząc w samochodzie zaparkowanym przy krawężniku. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Usłyszawszy w okolicy policyjne syreny, przestała spacerować i wróciła do auta, które zostawiła na trzecim poziomie parkingu przy Carmes.

A potem przyjechała tutaj. Zatrzymała się na tyle daleko, by jej nie zauważono, ale wystarczająco blisko, by widzieć wejście do kamienicy. Kiedy dwaj policjanci prowadzący wizję lokalną po mniej więcej dwóch godzinach podeszli do niej, po prostu wysiadła z samochodu i z obojętną miną zamknęła drzwi. Zapytali ją, czy długo tu stoi, a ona odpowiedziała, że przyjechała przed chwilą. „A dlaczego? - udała zdezorientowaną. - Co się dzieje?” I mężczyźni od razu przestali się interesować jej przypadkiem.

Kobieta cicho zapaliła, ruszyła i wyjechała z rzędu samochodów, by zaparkować nieco bliżej; kryminalni i gapie już się wynieśli i na ulicę wrócił spokój. Była trzecia w nocy. Glina nie wyszedł... Czuwała nieruchomo w ciemności, zaciągając się raz za razem i wydychając dym w kierunku sufitu. Przyznała, że Christine okazała się twardsza, niż sądziła. Nigdy by nie pomyślała, że ta laska przetrwa taki kataklizm. Ani tym bardziej, że będzie odpierać ciosy. W ciągu dnia zadzwoniła do niej Cordélia. Wydała jej się dość wkurzona i zestresowana. Na nią też będzie musiała uważać. Sprawy trochę zaczęły jej się wymykać z rąk. Ale wszystko było tylko kwestią kilku poprawek i retuszy. Najbardziej problematyczne było spotkanie Christine z tym gliną. Ma teraz poważnego sprzymierzeńca. Nie jest już wyalienowana, zdana na samą siebie. Teraz nie ma co liczyć na jej samobójstwo. Cholera. Naprowadzenie tego gliny na trop Célii Jablonki i Léonarda było chyba błędem. Ale bardzo dobrze wiedziała, dlaczego to robi. A jednak teraz uznała, że to nie był dobry pomysł. Choć glina na pewno podejrzewa Léonarda. Teraz Léo tak łatwo się nie wywinie, wysypała wystarczająco dużo kamyczków prowadzących prosto do niego.

Christine się nie zabije. Kobieta poczuła, jak z jej przetyku do gardła podchodzi fala

nienawiści.

Spokojnie.

Najwyższy czas, by z nią skończyć. Bardziej... radykalnie. Tak jej mówił instykt: zabawa trwa już wystarczająco długo. To nic, że nie będzie samobójstwa. Dla realizacji jej precyzyjnego planu samo zniknięcie załatwi sprawę.

Zaciągnęła się ostatni raz, posyłając do płuc smakowitą truciznę; nienawiść, zazdrość i gniew były równie rozkoszne.

**ZEJŚCIA ZE SCENY**

Budzik zadzwonił o siódmej, ale Servaz był już pod prysznicem. Nie chciał się spóźnić na spotkanie z córką. Bo jeśli Margot przyjedzie do ośrodka przed nim, z pewnością będzie chciała wiedzieć, gdzie spędził noc.

Rozwiązanie? Być tam przed nią.

I zachowywać się tak, jakby nocował w swoim nowym „domu”. Wyszedłszy spod prysznica, spojrzął w lustro. Chętnie by się ogolił, ale pod ręką nie było żadnego stosownego narzędzia. Nawet nie miał w co się przebrać. Zrobi to szybko po przyjeździe do ośrodka. Jego ubrania przemokły i nawet po wyschnięciu wyglądały jak zmoknięta i wysuszona tektura. Przeczesał palcami wilgotne włosy i wyszedł. W salonie zwrócił uwagę na zdjęcie w ramce, stojące na jednym z nielicznych mebli. Była na nim Christine w towarzystwie mniej więcej trzydziestoletniego okularnika. Obydwoje mrużyli oczy, patrząc na zachodzące słońce, które odbijało się w okularach mężczyzny. Byli uśmiechnięci.

Kobieta siedziała na wysokim taborecie i oparłszy łokcie na blacie, podnosiła do ust kubek z kawą.

- Kto to jest? - zapytał.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Gérald. Mój... chłopak.

- Dobrze wam się układa?

Znowu się obejrzała. Zawahała się, po czym skinęła głową.

- Cóż, myślę, że tak jak we wszystkich związkach... Raz lepiej, raz gorzej. Ale Gérald to dobry facet.

- Czym się zajmuje?

- Jest naukowcem. Badaczem kosmosu.

Jedna szufladka się otwiera, inna się zamyka. Gérald. Imię do zapisania na twardej dysku pamięci. I migające światełko: kosmos. Servaz poczuł dreszczyk emocji.

- Muszę już iść - powiedział. - Niech pani nie otwiera nikomu poza mną i porucznikiem Beaulieu. Ma pani mój numer. Może pani do mnie zadzwonić w każdej chwili. A tu jest numer Beaulieu. Gdybym był nieosiągalny. A jeśli do drzwi zadzwoni ktokolwiek z legitymacją policyjną, niech mu pani powie, żeby poszedł w cholerę. W obiegu jest mnóstwo fałszywych papierów.

Skinęła głową zatroskana.

- A gdybyśmy tak zastawili na niego pułapkę? - zapytała.

Uniósł brew.

- Gdybym ja wyszła, a kto inny zaczekałby na niego w mieszkaniu?

Servaz pokręcił głową.

- Nie złapie się na to. Będzie wiedział, że jesteśmy w środku. Jest na to zbyt sprytny.

To ostatnie zdanie najwyraźniej ją zaniepokoiło. Nie patrząc na niego i zaciskając szczęki, ruchem podbródka dała znak, że zrozumiała. Następnie, odwróciwszy się do niego plecami, znowu podniosła kubek do ust i spuściła wzrok.

- Wróć, jak tylko skończę. Opracujemy jakąś strategię.

Trochę nadęte to ostatnie słowo, pomyślał. I niezbyt pokrzepiające: oznaczało, że jeszcze jej nie obmyślił.

\*

Był mglisty czwartkowy poranek. Łąki i las tonęły w wilgotnych, gęstych oparach. Krzyki kruków przesywały powietrze jak strzały.

Servaz ekspresowo wdrapał się po schodach do swojego pokoju i zszedł z powrotem dokładnie w momencie, gdy na parking ośrodka wjechał czerwony citroen ds 3 z białym dachem. Wyszedł z holu. Margot zamknęła samochód i posłała mu promienny uśmiech.

Na jej widok poczuł, że ściska mu się serce. Ten ucisk jednak lubił. Oj, tak.

Długie, szczupłe nogi przemierzające parking, smukła sylwetka wciśnięta w dzinsy, sweter o luźnym splocie. Gdyby powiedzieć, że w ciągu ostatnich lat się zmieniła, byłby to skrajny eufemizm. Przed trzema laty, kiedy Margot znalazła się w epicentrum. sprawy, która zakończyła się samobójstwem jednego młodego człowieka z jej klasy i uwięzieniem innego, nosiła piercingi i tatuaże, a na jej głowie buntowniczo sterczały kosmyki włosów ufarbowanych na mniej lub bardziej niezwykle kolory. Dostała się na najbardziej prestiżowe kursy przygotowawcze w regionie (Servaz pamiętał jeszcze tamten cudowny dzień, kiedy po raz pierwszy przywiózł ją do Marsac), na uczelnię o szacownych tradycjach i niemal klasztorным rygorze, co jednak nie przeszkadzało jej wytapetować pokoju plakatami z filmów grozy i słuchać muzyki spod znaku Marilyn Manson.

Policjant nie wiedział, czego Margot słucha obecnie, wiedział jednak, że w czasie niewiele dłuższym niż ten, którego potrzebuje kijanka, by stać się zabłą, jego córka zmieniła się w kobietę.

- Tata - powiedziała po prostu, całując go na powitanie. Nawet głos jej się zmienił: Servaz po raz pierwszy zdał sobie z tego sprawę, gdy w rozmowie telefonicznej pomylił ją z

jej matką.

Jej twarz wciąż jednak była taka sama: minka dzikiego zwierzątka z pewnością podobała się młodym mężczyznom, na których robiły wrażenie jej tupet i przekora. Wyjęła z torebki paczuszkę obwiązaną wstążką ze złotą kokardą. Servaz uśmiechnął się jak dziecko.

- Co to jest?

- Otwórz.

Poczuł przenikliwą wilgoć mgły.

- Chodź, wejdziemy do środka - zaproponował. - Zimno tutaj.

Pociągnął ją do niewielkiego salonu od północy. Zgodnie z jego przypuszczeniami, nie było tu nikogo. Z innych części ośrodka zaczynały jednak dochodzić głosy.

Rozdarł papier. Kuferek. Mahler, *The Complete Works*. Na kolorowym tle - bardzo klimtowskim, a zatem bardzo kiczowatym - profil mistrza. Szesnaście płyt z logo Emi Classics. Słyszał o tej kolekcji wydanej w 2010 roku. O ile dobrze pamiętał, nie było w niej jego ulubionych interpretacji: ani Bernsteina, ani Haitinka, ani Kubelika, ale krótki rzut oka na nazwiska przyniósł mu ulgę. Wśród dyrygentów byli Kathleen Ferrier, Barbirolli, Christa Ludwig, Bruno Walter, Klemperer i Fischer-Dieskau.

- Jesteś jedną z ostatnich osób, które jeszcze słuchają płyt CD - zażartowała z niego, siadając.

- Szesnaście kompaktów. Boisz się, że się nudzę?

- Że się zasklepiasz - poprawiła go. - I jak?

- Co: i jak?

- Podoba ci się?

- Absolutnie cudowne. Nie wymarzyłbym sobie piękniejszego prezentu. Dziękuję.

Jego słowa zabrzmiały trochę przesadnie, ale Margot udała, że tego nie zauważyła. Znowu się przytulili.

- Wyglądasz lepiej niż poprzednim razem.

- I tak się czuję.

- Zamierzam wyjechać, tato.

Podniósł wzrok.

- Ach tak? Dokąd?

- Do Quebecu. Znalazłam tam pracę na jakiś czas.

Do Quebecu? Servaz poczuł skurcz żołądka. Cholernie bał się samolotów.

- A dlaczego nie... tutaj?

Ledwie jednak zadał to pytanie, uświadomił sobie, jak bardzo było naiwne.



- W ciągu roku aplikowałam przez Pôle Emploi na sto czterdzieści stanowisk. Wynik: dziesięć odpowiedzi, wszystkie odmowne. W zeszłym miesiącu wysłałam cztery e-maile do firm w Quebecu. Otrzymałam cztery odpowiedzi, z czego dwie pozytywne. Tato, tutaj wszystko padło. W tym kraju nie ma już przyszłości. Wyjeżdżam za cztery miesiące. Z pozwoleniem na pracę *vacances-travail*.

Wiedział, że jego córka chce pracować w komunikacji. Nie miał zielonego pojęcia, co to oznacza. Piekarz, glina, strażak, inżynier, mechanik, a nawet dealer czy płatny zabójca - to są konkretne zawody. Ale komunikacja? Co się tam robi?

- Na jak długo? - zapytał.

- Rok. Na początek.

Rok! Wyobraził sobie, jak przyciśnięty do okna pokonuje Atlantycką w klasie ekonomicznej rejsowego samolotu. Bezkrzesny ocean, chmury, turbulencje, stewardesy spoglądające na niego z litością albo pobłażliwością.

Jego wzrok spoczął na fotografii Mahlera. Przypomniawszy sobie zdjęcie chłopaka Christine w salonie. Géralda. Miał jakieś dziwne uczucie, kiedy zobaczył tę twarz.

- ...ale jeśli dostanę pozwolenie *jeunes professionnels*, zostanę tam, a potem...

Tam. To słowo zapowiadało koniec ich relacji ojciec-córka.

Twarz... Nagle Servaza uderzyła pewna myśl: ta twarz wydała mu się znajoma. Był pewien, że gdzieś już ją widział. Nie rozpoznał jej od razu, ponieważ... Ponieważ co? Już wiedział. Ponieważ inne zdjęcie przedstawiało ją z profilu, nie en face. Gala w Kapitolu, odbicie w lustrze: mężczyzna w okularach wręczający swoją wizytówkę Célii Jablonce.

- Tato, słuchasz mnie?

- Tak, kochanie.

Czyżby to miało jakieś znaczenie? Jeszcze jakie! Ten Gérald znał zarówno Célię, jak i Christine, jest kolejnym łącznikiem między nimi, obok Fontaine'a... Tak, ale nic nie wskazuje na to, żeby spotkał na swojej drodze także Milę. W jej dzienniku nie było o nim mowy. A jednak ten szczegół nie dawał mu spokoju. Jest gliną, nie wierzy w zbiegi okoliczności.

- Wiesz - ciągnęła Margot - tam, jeśli człowiek jest aktywny, szybko powierzają mu odpowiedzialność. Można szybko iść do przodu. Można...

W jego kieszeni zadzwonił telefon.

- Przepraszam cię.

Rzuciła mu posępne spojrzenie. To był Beaulieu. Servaz poczuł mrowienie w karku.

- Tak?

- Mamy poważny problem. - Głos w słuchawce był napięty. - Marcus. Zgubiłem go.

Rano poszedł do metra. Śledziłem go. Przejechaliśmy całą linię. Tylko że na parkingu w Balmie miał samochód, swój albo jakiś inny. Zwiął. Zdążyłem tylko spisać numery.

- Cholera!

- Co się dzieje? - zapytała córka Servaza. - Coś nie tak? Wróciłeś do pracy? Myślałam, że jesteś na zwolnieniu.

W jej głosie usłyszał jednak raczej naganę niż zainteresowanie. Rozczarowanie. Znowu nie może jej poświęcić chwili, podczas gdy ona oznajmia mu, że właśnie podjęła jedną z najważniejszych decyzji w swoim życiu. Decyzję dotyczącą przyszłości, brzemienną w konsekwencje dla nich obojga.

- Nic - powiedział. - Kontynuuj.

Ale to nie było nic. Czuł, jak w jego żołądku zbiera się chmura.

\*

Poszła do łazienki i stanęła pod prysznicem, czekając, aż strumienie gorącej wody wymyją z jej ciała napięcia i bóle mięśni - efekt nocy spędzonej na sofie. Zasunęła rygiel w drzwiach wyjściowych. Zamknęła się w łazience i położyła w pobliżu umywalki pałkę, breloczek do kluczy z gazem łzawiącym i paralizator.

Zdołała się trochę odprężyć, ale tylko do chwili, gdy wydało jej się, że poprzez szum wody dochodzi do niej jakiś dźwięk. Zaalarmowana zakręciła kurek, najwyraźniej jednak odgłos dobiegał z innej części kamienicy albo z rur, ponieważ przestała go słyszeć. Wyszła, sięgnęła po suchy ręcznik wiszący na haczyku, wytarła się i miała się zabrać do mycia zębów, kiedy zadzwonił telefon. Ale nie ten oficjalny. Telefon na kartę.

Léo...

- Christine, gdzie jesteś? U siebie? Musimy się spotkać.

- Co się dzieje?

- Wy tłumaczę ci. Dzisiaj ma się coś wydarzyć. Słuchaj uważnie, zrobimy tak...

Zanotowała miejsce i godzinę. O co mu chodzi? Zastanawiała się, czy powinna poinformować tego glinę, ale Léo poprosił ją, żeby na razie nikomu nic nie mówiła. Zadzwonił drugi telefon i już miała odebrać, ale kiedy zobaczyła, że to jej matka, pozwoliła, by dzwonił dalej. Usłyszała sygnał oznajmiający, że matka nagrała wiadomość. Na wszelki wypadek odsłuchiwała: „Christine, mówi mama. Widziałam w telewizji reportaż o tej strasznej zbrodni przed twoją kamienicą. Wszystko w porządku? Oddzwoń do mnie...”. Nacisnęła na klawisz [3], by skasować nagranie. Wyszła z łazienki i skierowała się do salonu. Jej laptop stał otwarty na blacie. Zawahała się przez moment. Czy ona go rano włączała? Poszła po paralizator i pałkę i wróciła do kuchni. W skrzynce e-mailowej była nowa wiadomość. Jej

puls przyśpieszył.

Wspięła się na wysoki taboret. E-mail przyszedł od Denise. Kiedy go otworzyła, poczuła gulę w gardle:

*Przepraszam Cię. Nie uwierzyłam Ci, miałam Cię za wariatkę. Musimy się spotkać. Chodzi o Géralda. Nie mów nikomu. Oto mój adres. Będę na Ciebie czekać przez cały dzień,  
Denise*

\*

- Przyjedziesz do mnie?

Samolot: turbulencje, chmury rozdierane dziobem maszyny, wibracje w fotelu i kości ogonowej przypominające, że ma pod sobą jedenaście tysięcy metrów pustki i że jest zamknięty w gigantycznej cygarniczy wyposaźonej w potężnej mocy silniki odrzutowe i załadowanej kilkuset tysiącami litrów łatwopalnej kerozyny. Poczul dławienie w krtani.

- Oczywiście, moja pchełko.

Burza śnieżna nad lotniskiem w Montrealu: minus pięć stopni przy gruncie, minus pięćdziesiąt na górze, zakaz lądowania, paliwo na wyczerpaniu, coraz bardziej nerwowe stewardesy, napięcie w kabinie, wiatr świszczący za bulajami, coraz mocniejsze wstrząsy... i tylko oni, jako jedyni na całym świecie mogą opisać to nocne kołowanie...

- Naprawdę już podjęłaś decyzję?

- Tak, tato.

Znał swoją córkę. Wiedział, że przekonywanie jej do zmiany zdania to daremny trud. Zresztą jakie miał argumenty? Zimno? Śnieg? Niekończące się zimy? Własny strach przed lataniem? Różnice językowe? Jakość życia tutaj? Jaka jakość? Jako glina dostrzegwał tylko ciemną stronę tutejszej egzystencji - to, czego inni woleli nie widzieć.

Pomyślał o Christine. Co ona teraz robi?

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Margot znowu się odezwała:

- Dbaj o siebie, tato.

Nacisnęła na pilota i czerwono-biały samochód wydał z siebie piskliwe: „bip”.

- Zobaczymy się jeszcze przed twoim wyjazdem?

- Oczywiście.

Przyglądał się jej manewrom na parkingu. Kiwnęła mu ręką na pożegnanie, a on jej odmachał, po czym dziewczyna wjechała w uliczkę prowadzącą do parkingu i zniknęła. Servaz miał świadomość, że to, co się przed chwilą wydarzyło, było ważne, jednak jego umysł był całkowicie pochłonięty inną sprawą. Wyjął telefon. Wybrał numer Christine.

Rozległ się sygnał oczekiwania, a potem poczta głosowa.

\*

Zaparkował na zakazie, wypadł na chodnik w sam środek mgły i popędził do bramy kamienicy. 1945. Kiedy winda dojechała na trzecie piętro, gwałtownie pchnął kratę. Z całej siły wcisnął guzik dzwonka. Raz, drugi. Żadnej odpowiedzi. Zaczął się dobijać. Zawołał. Miał pokusę, by rozwalić drzwi.

Przyłożył ucho. Cisza. Poza werblem walącym w jego piersi. Był mokry od potu. Na piętrze otworzyły się inne drzwi.

- Szuka pan mademoiselle Steinmeyer?

Surowy, wysoki głos. Odwrócił się i zobaczył niewysoką kobietkę o szarych włosach, która piorunowała go wzrokiem.

- Tak - odpowiedział, sięgając po odznakę.

- Wyszła.

- Nie powiedziała pani, dokąd idzie?

Kobieta parsknęła z pogardą.

- To, co robi mademoiselle Steinmeyer, nic a nic mnie nie obchodzi.

- Dziękuję pani - odpowiedział tonem, który oznaczał coś wręcz przeciwnego.

Cholera! Nie wiedział, co go bardziej wkurza. Czy to, że Beaulieu pozwolił Marcusowi uciec, czy też fakt, że Christine nie poinformowała go o swoim wyjściu z domu. Zastanawiał się intensywnie. Dlaczego, u diabła, nie odbiera telefonu? Czuł się tak, jakby do żył wstrzykiwano mu regularne dawki adrenaliny. Nie odczuwał już zmęczenia ani znużenia. Tylko narastający niepokój. Przeczucie nieuchronnej katastrofy. Zjechał na parter i wybiegł na chodnik. Jakaś policjantka właśnie wsuwała mu mandat za wycieraczkę. Bez słowa pokazał odznakę. Kobieta spojrzała na niego mniej więcej takim samym wzrokiem jak tamta stara na górze. Jego córka odlatuje na koniec świata, Marcus zwiął, Christine wyparowała i jeszcze ta mgła... Przeklęty poranek.

\*

Było południe, a oni wciąż jej nie znaleźli. Marcusa również. Nie odbierała telefonu. Coś było nie tak. W głowie Servaza raz po raz zapalały się lampki alarmowe.

- Co robimy? - odezwał się głos Beaulieu w słuchawce. Najwyraźniej to było jego ulubione pytanie.

- Mam jej numer. Postaraj się o pilny nakaz. „Ochrona życia ludzkiego”. Później

zawiadomimy prokuraturę. Jeden nakaz dla operatora i jeden dla Deveryware<sup>18</sup>. Załatw to przez Leveque'a z Dokumentacji Operacyjnej. On ich zna, tak będzie szybciej. Powołaj się na mnie.

- Okay - powiedział Beaulieu.

- Informuj mnie na bieżąco.

Beaulieu się rozłączył. Servaz był zdenerwowany. Bardzo zdenerwowany. Miał nadzieję, że Leveque zrozumie wyjątkowość sytuacji i dzięki niemu zyskają na czasie - jako analityk kryminalny utrzymywał dobre stosunki z wszystkimi trzema operatorami telefonicznymi. Deveryware natomiast była firmą specjalizującą się w geolokalizacji smartfonów, z której usług korzystała policja. Kiedy operator przekaże jej namiary, ona przez Internet prześle Leveque'owi dostęp do mapy, na której analityk będzie miał możliwość stałego śledzenia lokalizacji telefonu Christine. Normalnie procedura zajęłaby trzy, cztery godziny, ale przy odrobinie starania powinna potrwać dwa do trzech kwadransów. Servaz jednak nie miał złudzeń. Jeśli Christine jest w mieście, oznacza to setki, a nawet tysiące adresów możliwych kryjówek. Nie sposób wszystkich sprawdzić. Nawet gdyby zastosowali triangulację kilku przekaźników - jeśli uda się dostatecznie mocno przycisnąć operatora, by ten zlecił robotę wykwalifikowanemu technikowi. Pozostawało tylko się modlić, by telefon został namierzony na otwartym terenie. Albo pod jakimś znanym mu adresem: Fontaine'a, Géralda albo Cordélii.

Spojrzał na drzwi. Znowu stał przed jej mieszkaniem. Cholera. Wsunął łom między skrzydło i futrynę i pociągnął z całej siły. Trzask. Zamek wyskoczył i brzęknął o podłogę po drugiej stronie. Drzwi otworzyły się przed nim na oścież. Servaz rzucił się do środka.

- Christine?

Żadnej odpowiedzi. Wszedł do salonu i natychmiast go zobaczył: jej smartfon.

Z kolei jego telefon odezwał się w kieszeni. Servaz odebrał.

- Jest w domu - powiedział Beaulieu. - Albo gdzieś w pobliżu. Namierzyli ją.

Spojrzał na urządzenie.

- Nie, w domu jej nie ma. Jest tu tylko jej telefon.

Rozłączył się. I w jednej chwili wiedział. Wiedział, bo przeżył już podobną sytuację. Tę chwilę, kiedy wszystko się wymyka. Kiedy rzeczy toczą się niezgodnie z przewidywaniami. Kiedy ziemia usuwa się spod nóg. Stracił ją. I tym razem znowu była to jego wina. Nie powinien był zostawiać jej samej.

---

<sup>18</sup> Firma pełniąca usługi geolokalizacyjne.

Próba identyfikacji adresu e-mailowego i numeru karty kredytowej na stronie hotelu do niczego nie doprowadziła. Podobnie jak lista klientów, którzy zgubili klucz od pokoju. Pudełka, w których otrzymywał wskazówki, pochodziły z masowej produkcji. Ten, kto za tym stoi, potrafi zacierać ślady.

Zamknął oczy, zacisnął powieki, odetchnął głęboko.

Przeklął samego siebie.

Wiedział, że już nie zobaczy jej żywej.

## 39.

### KANAŁ

Drzewa po obu stronach drogi migały jak duchy. Szpalery platanów. Wyłaniały się z mgły, by zaraz znów się w niej pograżyć jak senne obrazy, które rozplývają się wraz z przebudzeniem.

Wszystko było nieruchome. Jakby już umarło. Niebo, ziemia, mgła, ten sam nieokreślony kolor. Słyszała tylko lekki szmer kół na mokrej nawierzchni. I własny oddech. Kolejna droga, kolejne skrzyżowanie, a pośrodku duży zardzewiały krzyż na kamiennym cokole. Zwolniła. Kątem oka zdążyła zauważyć wronę, która u stóp krzyża silnymi uderzeniami dzioba wyjadała wnętrzności jakiegoś padłego zwierzęcia. Na zakręcie trochę za mocno wcisnęła pedał gazu. Gołoledź... Miała wrażenie, jakby tylne koła samochodu zamieniły się w łyżwy. Zniosło ją w bok. Ruch kierownicą w prawo, w lewo. Nie hamować. Nogi z pedałów. Iść za ruchem samochodu. Żadnego szarpania kierownicą. Odzyskała kontrolę. Uff.

Jej serce zachowywało się jak piłka do squasha uderzana przez silnych graczy. Oddychaj, już po wszystkim. Opony znowu wgrzyzały się w asfalt.

Puls jednak nie chciał się uspokoić. Ogrzewanie - tym razem sprawne - huczało trochę zbyt mocno i kiedy Christine uświadomiła sobie, że jej kark i pachy są wilgotne od potu, zmniejszyła nawiew. Do jej uszu dobiegło krakanie niewidocznych kruków. Nieco dalej minęła figurkę Matki Boskiej w kapliczce ustawionej pod potężnym, ogołocnym z liści wiązem. Ktoś domalował jej wulgarne piersi i obrysował oczy na czarno. Wyglądały jak oczy Cordélii. Jej wzrok uchwycił całe to mroczne objawienie wyłaniające się spośród mgły w jednym mgnieniu. Christine zadrżała.

Przypomniała sobie tego policjanta, który u niej nocował. Servaza. Wygląda na dobrego człowieka, pomyślała. Chciała mu zaufać. Ale Léo wyjaśnił jej, że w aktualnej sytuacji jej policjant, niezależnie od jego dobrej woli, nie ma żadnych dowodów i nie mógłby utrzymać zarzutów wobec jej wroga; inaczej mówiąc, żaden sędzia nie wydałby nakazu przesłuchania, a tym bardziej zatrzymania na podstawie tak teoretycznych i trudno uchwytanych przesłanek. Głina oczywiście o tym wiedział. Dla niego pozwolenie ludziom na to, by sami wymierzili sobie sprawiedliwość, nie wchodziło w grę. Tymczasem Christine widziała problem inaczej: albo wróg, albo ona... Nie było innego wyjścia. Równanie z dwiema niewiadomymi.

Pomyślała o Maksie/Jorgem, którego trup leżał pewnie w kostnicy w Tuluzie, i jej

wewnętrzny napęd otrzymał bezpośredni zastrzyk gniewu, który od razu ją zapalił.

W zamglonym krajobrazie zobaczyła żółty dom. GPS nie pozostawiał wątpliwości. To tutaj.

Zwolniła i wrzuciła drugi bieg.

Niewielki budynek bez wdzięku i stylu. Samotny. Ogród otoczony płotem z siatki, psia buda, drewniana ogrodowa altanka w stylu szałas pod wysokim, wyłysiałym świerkiem. Wszędzie bruzdy zaoranej ziemi, nad którymi przemieszczały się pasma mgły. Brama była otwarta.

Wjechała zwirową ścieżką, zaparkowała; sięgnęła po paralizator i gaz łzawiący, wsunęła je do kieszeni bluzy i wysiadła. Poczowała przenikliwą wilgoć i chłód. Mgła delikatnie pachniała spalenizną, ziemią i krowami. Silnik wciąż chodził. Spaliny wydobywające się z rury wydechowej znikwały w gęstej mgle. Ruszyła w stronę ganku. Żwirek chrząścił pod jej obcasami.

- Dzień dobry, Christine.

Rozpoznała ten głos. Odwróciła się, trzymając przed sobą paralizator.

- Tss-tss. Chyba nie zamierzasz znowu tego użyć, co? Raz wystarczy, dzięki.

Siedział po turecku w budzie, czubkiem głowy prawie dotykając pochylego dachu, z twarzą do połowy ukrytą w cieniu. Lufa jego pistoletu była wycelowana prosto w Christine.

- Wyrzuc to, proszę - powiedział Marcus.

Wyszedł z budy, wyprostował się, wykonał kilka ćwiczeń rozciągających i skrzywił się.

- Muszę przyznać, że nieźle mnie urządziłaś.

Miał na sobie bluzę z podobizną afroamerykańskiego rapera Lila Wayne'a. Przykuśtykał do niej po żwirku, a gdy znalazł się dostatecznie blisko, podniósł głowę w jej stronę i wymierzył jej policzek. Zachwiała się i cofnęła o krok, przykładając dłoń do piekącej twarzy. Pomyślała o dziwnej asymetrii między Marcusem i tyczkowaną Cordelią.

- To za moje kolana - powiedział, patrząc na nią spokojnie z wysokości swojego metra i sześćdziesięciu pięciu centymetrów. - Wskazał na dom. - Nie martw się. Właściciele wyjechali na ferie, to ja otworzyłem okiennice.

Podszedł bliżej i zaczął ją obmacywać.

- Nie tego się spodziewałaś? - Udał zaskoczenie, wędrując dłońmi po jej ciele. - To nic... Zrobimy to po mojemu, jeśli chcesz. Podobnie jak ty nie mam ochoty wylądować z glinami na karku. Gdzie masz telefon?

- Na fotelu pasażera.

Odwrócił się, otworzył drzwi, chwycił telefon na kartę, rzucił go na ziemię i mocno



tłukł w niego obcasem, tak że po chwili urządzenie leżało z wnętrznościami na wierzchu i przypominało padlinę. Zauważyła, że Marcus ma na nogach szpiczaste buty z wężowej skóry na ośmiocentymetrowym obcasie.

- Dobra. Spadamy stąd. Siadaj za kierownicą.

Wrócili na drogę. Marcus szybko gdzieś zadzwonił: „Mam ją”. Potem przez jakieś trzydzieści minut wskazywał jej drogę: w prawo... w lewo... prosto... aż znaleźli się na długiej prostej szosie wiodącej przez tunel platanów, których sękate gałęzie łączyły się u góry jak łuki sklepienne w katedrze. Na samym jej końcu wznosił się duży dom, który we mgle wyglądał jak niewyraźna bryła. Na ostatnim stumetrowym odcinku Christine zwolniła. Dom wyłonił się z oparów i pomału się zbliżał. Był to niemal sześcienny budynek z dwoma piętrami prawie identycznych wysokich okien. Sześcienny, ale imponujący: grube mury, podwójne kominy na każdym rogu i okienka przy samym gruncie. Wyobraziła sobie, że znajdujące się za nimi piwnice są przestronne, głębokie i mroczne. Dom, w przeciwieństwie do poprzedniego, z pewnością był bardzo stary; był świadkiem dorastania pokoleń, całych rodzin, poznał liczne sekrety, widział wiele śmierci i narodzin - taką oto dziwną refleksję snuła Christine, przemierzając naga, odsłoniętą przestrzeń otoczoną wąskim rzędem topoli, która zaczynała się zaraz za drzewnym tunelem. Nie zauważyła żadnego samochodu, jednak jakieś dziesięć metrów dalej dostrzegła garaż z blachy falistej.

- Jesteśmy.

Kiedy wysiadali z samochodu, otworzyły się drzwi. W oparach mgły pojawiła się na progu wysoka i szczupła kobieta. Christine była pewna, że nigdy wcześniej jej nie spotkała, a jednak, co zagadkowe, twarz kobiety wydała jej się znajoma. Rzuciła okiem na Marcusa, który ruchem broni, zaciskając dłoń wokół czarnej, matowej kolby, wskazał jej trzy schody na ganek. Kobieta się uśmiechała.

- Kim pani jest? Gdzie Denise?

Uśmiech kobiety stał się jeszcze szerszy. Owinęła się szczelniej szalem z dzianiny. Miała szerokie ramiona i atletyczną sylwetkę.

- Dzień dobry, Christine. Nareszcie się spotykamy.

Z wnętrza domu popłynęła fala muzyki. Christine drgnęła.

We mgle niosła się wokaliza na sopran.

Opera...

\*

Korytarz. Niekończąca się kiszka prowadząca do kuchni - ładnie urządzonej, przestronnej i nowoczesnej, w przeciwieństwie do wiekowego korytarza pełnego starych

mebli i obrazów.

Do okien kleiła się mgła, ale w pomieszczeniu nie paliło się żadne światło. Muzyka operowa dobiegała z innego pokoju i rozchodziła się po całym domu. Pęczniała, opadała i znowu wzbierała jak żagle na statku. Christine miała wrażenie, że dźwięki wsączają jej się bezpośrednio do żył.

A potem stanęła przed nią ona: brunetka o pięknej twarzy, nieco przywidłej z powodu wieku.

- Spodziewałaś się kogo innego? Pewnie sądziłaś, że jesteś blisko.

- Gdzie Denise?

- Nie ma Denise. - Kobieta nacisnęła włącznik i w kuchni natychmiast zrobiło się jasno. Christine zauważyła połyskujące blaty z nierdzewnej stali i rzędy lśniących rondli. - To ja wysłałam ci tego e-maila. Jest czysta? Przeszukałeś ją?

Marcus prawie niezauważalnie skinął głową, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że to pytanie było zbędne. Przecież zna się, do cholery, na swojej robocie.

- Mówiąc dokładniej - oświadczyła kobieta, znowu zwracając się do Christine - Denise nie ma z tą sprawą nic wspólnego. A tak na marginesie: Denise bzyka się z twoim Géraldem. Robili to, jeszcze zanim on się od ciebie odsunął. W tej kafejce wycięła ci niezły numer, co? Ale daj spokój, nie potępiaj go. Kto mógłby się oprzeć Denise? To znaczy, który normalny facet by się jej oparł? Zresztą Gérald nie jest jedyny. On jest dla niej zbyt tchórzliwy, zbyt leniwy, zbyt nużący. Znudzi się nim, zobaczysz. - Kobieta mówiła lekkim tonem, ale Christine domyślała się w nim jakiegoś mrocznego, niebezpiecznego dna.

- Kim pani jest? - Jej głos brzmiał jeszcze zdecydowanie, aż sama się zdziwiła.

- Nazywam się Mila Bolsanski. Thomas! - zawołała nagle i Christine zauważyła jakiś ruch po prawej stronie.

Otworzyły się drzwi, na podłodze rozległo się delikatne tupanie drobnych, lekkich jak oddech kroków i w kuchni pojawił się chłopiec. Mógł mieć cztery albo pięć lat. Spojrzał na nią dużymi i smutnymi brązowymi oczami.

- A to jest mój syn Thomas - przedstawiła go kobieta. - Thomas, powiedz dzień dobry. Thomas jest synem Léo...

- Dzień dobry - powiedział chłopczyk.

- Wracaj do pokoju, kochanie.

Chłopiec posłusznie zniknął. Nie był przesadnie ciekawski. Przez ułamek sekundy myślała o Madeleine pod koniec jej życia, kiedy wszystko spływało po niej, nie zostawiając śladów. Syn Léo... Christine miała wrażenie, że wszystko jej się miesza, że gubi wątek, że

igła jej wewnętrznego kompasu wariuje, na próżno usiłując znaleźć północ.

Zauważyła, że gdy tylko dziecko zniknęło, Marcus znowu wycelował w nią broń. Spojrzała na kobietę. Gdzie ona ją widziała? Czuła, że odpowiedź na to pytanie jest tuż-tuż.

- Chodź - rozkazała kobieta.

Otworzyła drzwi do pomieszczenia za kuchnią i zapaliła światło. Christine zobaczyła wielkie zdjęcie Ziemi widzianej z kosmosu, pokrywające całą ścianę. Mimo rozmiarów zdjęcie było doskonałej jakości. Można było mieć wrażenie unoszenia się pośród kosmicznej nocy ponad oceanami, kontynentami, wyspami, lodowcami, obszarami miejskimi i pustynnymi, ponad cyklonami i tajfunami. W pokoju stała biała sofa i ława, na której leżały książki. Po okładkach Christine poznała, że wszystkie dotyczą jednego tematu. Pomyślała o Léo. I nagle doznała olśnienia. Mila Bolsanski. Ależ tak, to astronautka. Parę lat wcześniej widziała jej twarz w telewizji. Druga Francuzka w kosmosie. Jeśli dobrze pamięta, misję przerwano, ponieważ na górze coś się wydarzyło. Jakiś wypadek... Teraz wydawało jej się nawet, że przypomina sobie, iż Léo brał udział w tej misji. Uświadomiła sobie, że nigdy nie poruszał z nią tego tematu, i przeszedł ją dreszcz.

Podczas swoich spotkań rozmawiali o tylu rzeczach. Dlaczego nigdy nie wspomniał o tej misji? Czy ten chłopiec faktycznie jest jego synem? Za dużo tego jak na jeden raz.

- Słyszysz tę muzykę? - zapytała Mila. - To także opera. *Zmierzch bogów*. Na końcu Brunhilda, dawna walkiria, rzuca się na koniu w płomień stosu pogrzebowego Zygfyryda. Zawsze lubiłam ten utwór. Niewiarygodne, jak wiele oper mówi o samobójstwie. Ale tobie, Christine, za bardzo zależało na życiu. I to jest twój błąd.

Christine omiotła spojrzeniem resztę pomieszczenia. Czarny, lśniący fortepian, a na nim partytury i zdjęcia w ramach. W głębi, pod przeszkloną ścianą, osobliwy kominek z białego marmuru z pustym paleniskiem, zza którego przezierają kładące się na zewnątrz mgły.

- Opera to domena czystych emocji. Kiedy namiętność, smutek, cierpienie czy obłęd osiągną tak wielki stopień nasycenia, że nie da się ich wyrazić słowami, można to uczynić tylko poprzez śpiew. To przekracza granice zrozumienia, logiki. To jest nie do opisanania.

Potężna muzyka wciąż płynęła. Christine pomyślała o chłopcu. Mimo grubych ścian na pewno słyszał ją w swoim pokoju. Na dywanie walały się jego zabawki - figurki z serii Transformers, czerwony wóz strażacki, piłka do koszykówki.

- Wiesz, co świadczy o jakości libretta? To proste: akcja musi się szybko posuwać naprzód, trzeba dawkować napięcie aż do zakończenia, oczywiście tragicznego. Jeśli chodzi o muzykę, zwieńczenie stanowi trzyczęściowa *aria da capo*, gdzie trzecia część jest powtórzeniem pierwszej. Nie może ona jednak zakłócać rozwoju napięcia dramatycznego.

Wszystko jest kwestią napięcia...

Sopran wspiął się na wysokie rejestry.

- O, słyszysz?

- Co? - odparowała Christine niezbita z tropu. - To śmieszne gruchanie? Trochę to pretensjonalne, nie?

W oczach astronautki dostrzegła błysk wahania, podobny do linii życia na monitorze EKG.

I co, kochana, sądziłaś, że mnie pobiłaś, unicestwiłaś i teraz będziesz świętować zwycięstwo? Nie tym razem. Tym razem nie poszło tak, jak się spodziewałaś. Przyznasz, że z Célią była lepsza zabawa. Zwłaszcza to jej samobójstwo na końcu. Jak w tych twoich kurewskich operach.

Zobaczyła, że Mila odwraca się w kierunku Marcusa.

- Masz to, o co cię prosiłam?

Przytaknął skinieniem głowy i sięgnął dłonią w rękawiczce do kieszeni kurtki, z której wyjął niewielką ampulkę. Popatrzył krótko na Christine spod długich jasnych rzęs.

Jej wzrok spoczął na karafce z wodą i szklance, które stały na ławie. Zobaczyła, jak Mila bierze do ręki karafkę i do połowy napełnia szklankę wodą. Nie pokazuj, że się boisz, pomyślała Christine. Następnie kobieta stuknęła ampulkę nad szklanką i wymieszała wszystko łyżeczką.

- Masz. Wypij to.

- Znowu? Nie uważacie, że to trochę... nudne?

- Pij - ponagliła ją.

- Słuchajcie, ja... - zaczęła Christine, chwytając szklankę drżącą dłonią.

- Pij - powiedział Marcus, celując do niej z broni. - Pośpiesz się. Masz trzy sekundy.

Raz... dwa...

Zawahała się, spojrzała na szklankę i podniosła ją do ust. Napój smakował jak witaminy z dzieciństwa, które jej mama kupowała w aptece. Wypiła.

- A więc to z Célią to też pani?

Mila zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem.

- Rościła sobie prawa do Léo, nie chciała się od niego odczepić. A Léo był prawie gotowy, by zostawić dla niej żonę. To była obrona własna: Léo należy do mnie, jest ojcem mojego dziecka.

- Ale on jest żonaty.

Jej wzrok stał się jeszcze bardziej ponury.

- Ty to nazywasz małżeństwem? Dla mnie to jest żart. Są w trakcie rozwodu, wiedziałas o tym? - (Christine wzruszyła ramionami). - Prędzej czy później do mnie wróci. Kiedy wreszcie zrozumie, kiedy będzie miał już tylko mnie. Ale ta głupia Célia stanęła nam na drodze, tak jak ty. Więc zmieniłam jej życie w piekło. A gdy wszyscy uznali ją za wariatkę, gdy schudła, gdy zaczęła się stawać coraz brzydsza, coraz mniej zabawna, coraz bardziej przygaszona i ponura, cóż, wtedy nasz drogi Léo otworzył oczy. Trzeba przyznać, że nie jest zbyt dobry w odgrywaniu Matki Teresy. - Zamilkła na chwilę. - Więc ją zostawił. A ona tego nie wytrzymała. Ciąg dalszy znasz.

Christine przytaknęła.

- Hmm. I teraz przyszła moja kolej - powiedziała. - Szkoda, że robisz to na darmo. Rozstałam się z Léo w ubiegłym miesiącu. Powiedziałby ci, gdybyś go o to zapytała.

- Kłamiesz.

- Po co miałabym kłamać? I tak jest już trochę za późno, by się cofnąć, prawda?

Mila znowu spojrzała na nią zaskoczona. Z pewnością spodziewała się, że Christine będzie ją błagać, zaklinać, by nie odbierała jej życia. Że się rozplacze.

- A Marcus? Skąd go wzięłaś?

Obie jednocześnie zwróciły oczy w kierunku drobnego młodego mężczyzny o łysej czaszce, bladej skórze i kobiecych rysach.

- Poznałam Marcusa dzięki pewnym przyjaciołom z Moskwy. Niezwykle cennym przyjaciołom, z czasów gdy byliśmy w Gwiezdnym Miasteczku. Marcus to w pewnym sensie ich... filia we Francji. Przyjechał tu trzy lata temu, ale francuskiego nauczył się w Rosji. On i jego koledzy są świetni w grzebaniu w koszach na śmieci, wyszukiwaniu informacji, wślizgiwaniu się nocą do mieszkań i dowiadywaniu się wszystkiego, co trzeba, na temat ich właścicieli, wydobywaniu zeznań, majstrowaniu przy zamkach i komputerach. - Czubkiem paznokcia musnęła tatuaż na szyi człowieczka. - Marcus nie jest szczególnie ciekawski. Nie zadaje pytań. I to jest jego wielka zaleta. Z wyjątkiem pytań dotyczących jego honorarium. Wiesz, że w niektórych krajach można zlecić zabójstwo za garść dolarów albo za działkę towaru?

Christine zauważyła, że na zewnątrz zaczęło się ściemniać, a mgła opadała. Za przeszkloną ścianą widziała ciemne gałęzie i czerwonawą poświatę.

- Marcus i Cordélia: jaka dziwna para, prawda? Marcus opowiadał mi, że poznał Cordélię, gdy próbowała go okraść w metrze. Musiała myśleć, że ten drobny jegomość jest niegroźny. Nie miałam tego w planach, ale ponieważ Cordélia wyglądała na świetną w podwójnej grze i machlojkach, kiedy dowiedziałam się, że twoje radio szuka stażystki,

zasugerowałam, by aplikowała na to stanowisko, oczywiście z wymyślonym CV. Twój Guillaumot niczego nie podejrzewał. Faktem jest, że Cordélia doskonale wynajduje u ludzi czułe punkty. Wiedziałaś, że twój szef chętnie oglądał striptiz w miejscu pracy po godzinach spędzonych przy biurku? Wszyscy mężczyźni są jednakowi...

- Ja... niezbyt dobrze się czuję...

To była prawda. Christine miała wrażenie, że cały pokój powoli zaczyna wirować, jak startująca karuzela. I skąd te uderzenia gorąca?

- Ja... Co było w tej ampułce? - Zamrugła. - Nie wywiniecie się z tego tak łatwo. Léo coś podejrzewa... I ten glina... dotrze do was.

Na ustach Mili pojawił się uśmiech - wąski jak ostrze brzytwy.

- Napisałam dziennik - zaczęła łagodnie. - Zmyślony. O tym, co niby się wydarzyło w Gwiezdnym Miasteczku. O tym, co ten biedny Léo rzekomo mi zrobił. - Uśmiechnęła się. - Dałam go temu glinie. Pewnie właśnie go czyta. A kiedy skończy, nie będzie miał wątpliwości, że Léo jest winny.

- Dlaczego?

- Bo kiedy zostanie sam, opuszczony przez wszystkich, pójdę do niego do więzienia i stopniowo go odzyskam. - Milla znowu się uśmiechnęła. - A on zrozumie, że ma tylko mnie. Uświadomi sobie potęgę mojej miłości. Moje poświęcenie, wszystko, co dla niego zrobiłam. Przejrzyj na oczy i pokocha mnie jak dawniej, jak na początku.

Christine przygryzła dolną wargę. Boże, ta kobieta jest szalona. Powinno się ją zamknąć. Spojrzała na Marcusa, ale ten z doskonale obojętną miną trzymał ją na muszce. Płacą mu. I to mu wystarczy.

- Chodźmy - powiedziała Milla, spoglądając najpierw na zegarek, a potem na Marcusa.

Otworzyła niskie drewniane drzwi w grubej kamiennej ścianie za swoimi plecami. Mgła na zewnątrz prawie zniknęła; tylko pnie przy samej ziemi oplatały jeszcze białe wstęgi. Z tej strony domu od budynku aż do wejścia do lasu ciągnęła się betonowa pergola, podtrzymująca winobluszcz, który zimą był suchy i szary. Christine zobaczyła purpurowe kamelie, bluszcz, blade ciemierniki, miskę na omszałym, kamiennym brzegu studni. Spomiędzy obluzowanych płytek chodnikowych, które podnosiły się, gdy po nich stapała, sterczały zeschnięte chwasty.

- Ruszaj się - powiedział Marcus, popychając ją lufą pistoletu.

Wyprostowała się, uszła trzy kroki i przystanęła.

- Co zamierzacie zrobić?

- Powiedziałem ci, ruszaj się!

Doszli do lasu. Ścieżka była ledwie widoczna. Słońce zachodziło za linią drzew i gałęzi,

które na szczycie pagórka drapały je jak drucziana siatka. Białe, czerwone promienie przypominające zamarzną krew kładły się między cienkimi pniami. Strumyk lśnił jak miedziana rzeźba. Przecinał gruby, gąbczasty dywan martwych liści. W powietrzu unosił się zapach ziemi i próchnicy.

Jej serce waliło jak szalone. Niebo krwawiło.

- Ruszaj się.

Posuwali się wzdłuż strumienia, z wysiłkiem wspinając się na wzgórze. Marcus szedł przed nią. Wiedział, że gdyby spróbowała uciekać, daleko nie odejdzie.

- Cholera, kręci mi się w głowie - powiedziała, zwalniając.

Pośliznęła się na liściach i wylądowała na czworaka. Czarne błoto i liście oblepiły jej dłonie. Wstała i przystanąła na chwilę, by złapać równowagę i otrzepać ręce. Marcus zatrzymał się i czekał na nią z nieprzeniknionym wyrazem kobiecej twarzy. Mila podeszła do niej.

- Idziemy.

Zaczął padać drobny deszcz. Poczowała na twarzy zimne krople jak ze zraszacza.

- A więc tutaj to się skończy - powiedziała. - W środku lasu.

Serce tłukło się jej w piersi jak werbel. Idący przed nią mały, łysy, wytatuowany mężczyzna schylił się, by przejść pod nisko wiszącą gałęzią.

- Pośpiesz się! - powiedział z lekkim akcentem. - Mamy więcej spraw do załatwienia.

Zszedł do niej i obydwójce chwycili Christine pod ramiona, by przyspieszyć jej marsz.

- Chyba będę... wymiotować.

Ale nie zwymiotowała. Zeszli do małej kotlinki, gdzie drzewa rosły nieco rzadziej. Była to niemal polana. Nagle w głębi parowu Christine zobaczyła dużą czarną dziurę, obok której leżała łopata, i zaczęła się opierać, z całych sił wbijając obcasy w grząskie podłoże.

- Nie! Nie!

Wrywała się.

Puścili ją. Marcus wycelował w nią pistolet.

- Połóż się w dole.

Stare, sękate drzewo wyginało się na samym brzegu wykopu niczym człowiek guma. Widać było, że łopata uszkodziła część jego korzeni.

Christine odwróciła się twarzą do nich.

- Nie! Nie! Zaczekajcie!

Marcus pchnął ją i poleciała do tyłu, prosto do dołu. Na szczęście ziemia na dnie była grząska i Christine miała bardzo miękkie lądowanie. Otworzyła oczy. Leżała na plecach. Jej

nozdrza wypełniał zapach świeżo przekopanej ziemi. Deszcz, który padał jej na twarz, wzmógł się - spływał jej do oczu i na uwalane ziemią włosy.

- Kobiety są o wiele lepszymi zabójczyniami od mężczyzn - odezwała się Mila nad dołem. - Są bardziej pomysłowe, bardziej finezyjne, mają więcej wyobraźni.

- A więc zrób to - odpowiedział Marcus, ruchem głowy wskazując Christine.

Z dna dołu zobaczyła, jak podaje Mili pistolet, trzymając go za lufę. Zauważyła jej szalone spojrzenie.

- Co? Co ty wygadujesz? Rób swoje! Zapłaciłam ci!

- *Niet.* Za mało, żebym miał ryzykować dożywocie - powiedział. - *Pażałsta.* Proszę.

Mila zarechotała okrutnie, chwytając broń za kolbę.

- A ja myślałam, że masz jaja! To tak wygląda dzisiaj rosyjska mafia?

Marcus ze spokojem wyjął paczkę papierosów, nie oburzając się jej przemową. Zapalił jednego. Uśmiechnął się. Christine lekko przekręciła głowę. Czy jej się śni, czy tam, gdzie łopata przecięła czułą tkankę lasu, kłębią się dżdżownice? Widziała, jak wiją się kilkanaście centymetrów od jej policzka pod płataniną cienkich białych korzeni.

Głos Marcusa:

- Twój ruch, madame. Są tylko dwie kulki. Więc ich nie zmarnuj.

Christine zamknęła oczy.

Nagle poczuła, że się trzęsie - ze strachu i przygnębienia jednocześnie. Jej ciało, pokryte gęsią skórą i potem, przeszedł potężny dreszcz. Myślała tylko o jednym - wyskoczyć z tego dołu i uciekać co sił w nogach.

Ponieważ miała zamknięte oczy, nie widziała, jak Mila podchodzi do krawędzi wykopu i mierzy do niej z broni.

Nie widziała, że kobieta lekko drży.

Nie widziała, jak celuje, jak naciska spust.

W lesie rozległ się niesiony echem huk wystrzału. Z drzew poderwały się wszystkie ptaki. Obie kule trafiły w sam środek klatki piersiowej, za każdym razem ciało Christine podskakiwało. Chwilę później na jej bluzie zakwitły dwa czerwone kwiaty, wsiąkając w wilgotną tkaninę. Ostatnie drgnienie. Ciało wyprężyło się i zastygło. Z ust popłynęła strużka krwi.

Wykonało się.

Prosto.

Poprawnie.

Ostatecznie.



Lufa pistoletu jeszcze dymiła. Mila wpatrywała się w ciało Christine, wytrzeszczając oczy. Broń w jej ręku mocno się trzęsła. Jeszcze nigdy nikogo nie zabiła. W każdym razie własnoręcznie.

Marcus złapał za łopate.

- Witaj w klubie - powiedział, rzucając pierwszą porcję ziemi na twarz denatki.

## **AKT TRZECI**

*Wiem, że nic nie ukoi jej bólu.*

*Ale trzeba zapewnić przyszłość dziecku.*

Madame Butterfly

## 40.

### ARIA DA CAPO

W zimny i przejrzysty styczniowy poranek Fontaine pływał w swoim basenie. Servaz przez lornetkę obserwował jego umięśnione plecy, okrągłe pośladki i smukłe nogi tnące parującą powierzchnię wody. Następnie wrócił do wychłodzonego jak lodówka samochodu, włożył lornetkę do schowka i cicho odjechał.

Za wcześnie. Było jeszcze za wcześnie na konfrontację z Léonardem Fontaine'em, ale wiedział, że prędzej czy później się z nim zmierzy. Kiedy będzie miał więcej atutów w ręku i sprzyjającą kartę.

Gdzie się podziała Christine Steinmeyer?

Już od dziesięciu dni nie dawała znaku życia. Servaz prowadził z szeroko otwartymi oczami. Krajobraz oświetlało słabe poranne słońce, a półmrok w samochodzie rozjaśniały tylko lampki deski rozdzielczej. Wpatrywał się we wstęgę autostrady, w blade światła jadących przed nim samochodów i miał wrażenie, że w jego umyśle jak neon migają oślepiające litery, które układają się w słowo: MARTWA. Christine Steinmeyer jest martwa. Leży gdzieś zakopana. Próbowali wszystkiego, by zrekonstruować trasę, którą pokonała tamtego ranka, kiedy wyszła z domu, by więcej tam nie wrócić. Na próżno. Od tamtego czasu nikt jej nie widział. Ani narzeczonej, ani rodzice, ani dawni koledzy z Radio 5. Wszczęto śledztwo w sprawie zaginięcia. Corinne Délia i Marcus - a tak naprawdę Jegor Niemcow - byli długo przesłuchiwanie, ale niczego nie ujawnili.

Servaz żałował, że nie mógł brać udziału w przesłuchaniach. Otrzymał jednak szczegółową relację z ust Vincenta i Samiry, a także Beaulieu, który postanowił współpracować i który wyglądał, jakby czuł się trochę winny.

Beaulieu podobnie jak Servaz był przekonany, że Jegor „Marcus” Niemcow jest zamieszany w zniknięcie Christine. Servaz pomyślał o dzienniku Mili. O zdjęciach Fontaine'a w towarzystwie Célie Jablonki. O trójce Mila-Célia-Christine, byłych kochanek astronauty. Świadek Mili pograżało Fontaine'a. W dniu, kiedy wszedł do jego domu i zobaczył na nocnej szafce tamtą książkę, Servaz nabrał pewności, że Fontaine jest człowiekiem, którego szuka... A teraz zniknęła Christine. Żaden sędzia nie otworzyłby jednak dochodzenia na podstawie tak niewielu dowodów. Kręcił się w kółko. Wiedział, że należy sprowokować Fontaine'a do wpadki. Ale w jaki sposób? Facet był ostrożny i twardy.

Mila patrzyła, jak Thomas ostatni raz macha jej ręką i z tornistrem na plecach biegnie platanową alejką do kolegów z klasy zgromadzonych na szkolnym podwórku. Wróciła do samochodu. Był piątek, a w piątki nie pracowała. Odpaliła SUV-a i pojechała do hipermarketu, w którym zwykła robić zakupy. Zostawiła auto na parkingu, ruszyła w stronę wózków, wsunęła monetę w rowek i odczepiła jeden z nich.

Przez prawie godzinę przechadzała się nieśpiesznie sklepowymi alejkami. Choć był piątek rano, między regałami było mnóstwo ludzi. Przeciskała się, szturchała tych, którzy stali jej na drodze, w zamian również zbierając szturchańce, w regularnych odstępach czasu zerknęła na listę, choć co tydzień kupowała to samo. Pozwoliła sobie na odstępstwo w postaci butelki wina Clos-Vougeot. Na następny dzień, który miał być dniem targowym, zaplanowała drobniejsze zakupy spożywcze.

Poszukała najkrótszej kolejki i stanęła na końcu. Przed nią było piętnaście osób, a kiedy doszła do kasy, drugie tyle stało już za nią. Po drodze zgarnęła jeszcze miętowe gummy do żucia i program telewizyjny.

Kasjerka - młoda kobieta z piercingiem w nosie i niebieskim kosmykiem opadającym na czoło - przywitała ją grzecznie i zaczęła przykładać jej zakupy do czytnika kodów kreskowych. Mila ruszyła w kierunku bramki kontrolnej, by pozbierać je po drugiej stronie. Jej uszy rozdarł przenikliwy pisk. Kasjerka natychmiast podniosła głowę i przyjrzała jej się uważniej.

- Proszę się cofnąć - powiedziała. - I jeszcze raz przejść przez bramkę.

Mila westchnęła. Zrobiła krok w tył. I do przodu. Znowu rozległo się ogłuszające wycie. Głowy wszystkich zwróciły się w jej stronę. Kasjerka spojrzała na nią nieprzychylnie.

- Do tyłu, proszę pani, do tyłu. - Słysząc było, że jest coraz bardziej poirytowana. - Na pewno nie ma pani niczego w kieszeniach? - Było to mniej niż oskarżenie, ale trochę więcej niż pytanie.

Mila zdała sobie sprawę, że patrzą na nią nie tylko klienci z jej kolejki, którzy już zaczęli zdradzać pierwsze oznaki zniecierpliwienia, ale także ludzie z sąsiednich ogonków. Oblała się rumieńcem wstydu.

Włożyła dłoń do kieszeni płaszcza. Rzeczywiście, na dnie coś było. Jej palce zacisnęły się wokół jakiegoś plastikowego przedmiotu. Wyjęła go. Karta upominkowa z perfumerii o wartości stu pięćdziesięciu euro zapisanej na wierzchu. Zobaczyła, że kasjerka spochmurniała.

- Nie rozumiem... - powiedziała Mila.

- Kupuje ją pani czy nie?

Surowy ton, ponure spojrzenie. Kasjerka najwyraźniej wzięła ją za złodziejkę, ale nie chciała tracić czasu. Niejedno już widziała. Mila poczuła, że ogarnia ją złość.

- Powtarzam pani, że nie wiem, co ta karta robi w mojej kieszeni - odpowiedziała oschle, rzucając kobiecie piorunujące spojrzenie.

- Okay. Proszę mi ją dać i przejść przez bramkę.

Jej „proszę” bynajmniej nie zabrzmiało jak prośba. Mila zdusiła w sobie złość i położyła kartę na otwartej dłoni kasjerki. Zrobiła krok w tył i ze ściśniętym żołądkiem ruszyła przed siebie.

Bramka zapiszczała.

- Kurwa! - krzyknęła kasjerka.

Rzuciła Mili rozwścieczone spojrzenie, chwyciła słuchawkę telefonu i szybko coś powiedziała, po czym odwróciła się w stronę alejki biegnącej wzdłuż kas, niecierpliwie bębniąc palcami o ladę. Ludzie z tyłu zaczęli narzekać. Do uszu Mili dobiegły pytania: „Co się dzieje?”, „Dlaczego się nie przesuwamy?” i odpowiedzi w stylu „Jakaś złodziejka”, „No tak, dzisiejsza Francja”. W alejce zauważyła nadchodzącego żwawym krokiem ochroniarza. Był ubrany na czarno. Rzucił jej szybkie, fachowe spojrzenie, po czym schylił się, by wysłuchać wyjaśnień kasjerki. Wszystko z zachowaniem maksimum dyskrecji: żadnych niejasności, u nas problemy załatwia się skutecznie, jesteśmy przyzwyczajeni.

Pod Milą ugięły się kolana, kręciło jej się w głowie. Wpatrywało się w nią kilkadziesiąt par oczu.

- Proszę za mną.

- Niech pan posłucha, nie rozumiem, co się...

- Proszę pani, proszę iść za mną. Żadnych wykrętów. Załatwimy to na spokojnie, dobrze?

- Co się dzieje? - odezwał się inny głos za ich plecami.

Kolejny strażnik. Ten był starszy i dla odmiany ubrany w biały, trochę zbyt obcisły uniform. Potężny mięśniak, ale nieco zapuszczony. O niepozornym spojrzeniu i policzkach zniszczonych jak winnica po burzy. Zmierzył ją nieprzeniknionymi małymi oczami, podczas gdy kolega szeptem przekazywał mu wyjaśnienia kasjerki. Położył na ramieniu Mili swoją wielką dłoń.

- Łapy przy sobie!

- Dobra, a teraz przestaniesz stroić fochy i pójdziesz z nami, okay? A przede wszystkim, przede wszystkim mnie nie prowokuj, bo jestem w złym humorze. Zrozumiałaś?

Gdy znalazła się na parkingu, położyła drżące ręce na kierownicy. Dusiła się ze złości i wstydu. Została przesłuchana przez dyrektora sklepu w niewielkim pomieszczeniu bez okna. Mężczyzna zgodził się nie informować policji, ponieważ nazwiska Mili nie było w rejestrze hipermarketu i kobieta oddała dwie „ukradzione” karty upominkowe. „Ma mnie pan za złodziejkę?” - oburzyła się. Dwaj ochroniarze także byli obecni przy rozmowie. Czuła na sobie trzy męskie spojrzenia. Wielki drań z kostropatą twarzą bez żenady gapił się na jej piersi; dyrektor był wyniosły i lekceważący - chętnie by go spoliczkowała; pierwszy ochroniarz miał wszystko gdzieś. Kurwa, z chęcią wróciłaby do tego sklepu i puściła go z dymem. Albo poprosiła Marcusa, żeby trochę potrząsnął tym aroganckim szefuńciem. Zapaliła i powoli wyjechała z alejki, w której parkowała. Nagle rozległo się trąbienie i Mila podskoczyła na fotelu. Pograżona w myślach nie zauważyła nadjeżdżającej z prawej strony toyoty prius.

\*

Któraś z okiennic skrzypiała w ciemności. Irytujące zgrzytliwe piski. Mila rzuciła okiem na budzik. Trzy kwadranse po północy. Niechętnie wstała z łóżka. Zeszła na parter. Dom pograżony był w ciszy, było zimno jak w psiarni. Była jednak pewna, że pozamykała wszystkie okiennice. Znalezienie „winowajczyni” zajęło jej siedem minut. Dom był rozległy. Okazało się, że chodzi o jedno z okien w salonie. Poruszane wiatrem gałęzie urządzały na jego szybach teatr cieni. Otworzyła okno. Chłodny, pachnący powiew musnął jej twarz jak uperfumowana dłoń. Był styczeń, ale wyglądało na to, że zima już się kończy. Mila stoczyła z wiatrem krótką walkę o okiennicę. Zamknęła ją i wróciła do łóżka. Zdarzenie z hipermarketu nie dawało jej spokoju. Czuła się upokorzona, poniżona. Była zła i sen nie chciał nadejść. Gdy zaczęła zasypiać, skrzypienie się powtórzyło. Usiadła na łóżku. Absolutna cisza. I znowu ten dźwięk. Piskliwy i natrętny. Ogarnął ją niepokój. Zeszła bosą na parter, tym razem jednak zabrała ze sobą pistolet gazowy, który trzymała w szufladzie szafki nocnej. Inne okno. Poruszana silnym wiatrem okiennica tańczyła na zawiasach i niewiele brakowało, a uderzyłaby o ścianę. Mila wychyliła się, by ją złapać. Znowu poczuła na twarzy chłodną pieszczotę wietrznej nocy. Skrzypienie się nie powtórzyło, ale kobieta nie była w stanie zasnąć do trzeciej nad ranem.

\*

W poniedziałek wydarzył się kolejny incydent, który ją zaniepokoił. Mila od kilku lat pracowała dla Thales Alenia Space, jednego ze światowych liderów w branży satelitów, który miał swą futurystyczną siedzibę w dzielnicy Mirail na południowym zachodzie Tuluzy, niedaleko autostrady A 64. Zajmowała się komunikacją i relacjami z mediami. Mila miała w

firmie nie tylko przyjaciół: niektórzy współpracownicy z trudem znosili jej nieugięty charakter, niezbyt skory do ustępstw i dyplomacji. Ale to nie powód, by przebijać wszystkie opony w jej samochodzie, który zostawiła na ogromnym parkingu przeznaczonym dla dwóch tysięcy pracowników przedsiębiorstwa...

Kiedy z dwugodzinnym opóźnieniem wróciła do domu (musiała poprosić nianię, by odebrała Thomasa ze szkoły), nie całkiem jeszcze ochłonęła z gniewu. Wieczorem, by się uspokoić, po tym, jak położyła syna do łóżka i poczytała mu na dobranoc, włożyła do odtwarzacza CD ulubioną płytę: *Don Carlosa* Verdiego. Jeszcze jedna historia nieakceptowanej, niemożliwej miłości. Kochała operę właśnie za to, że zawsze znajdowała w niej echo własnego życia. I każdego życia... Bo czy wszyscy nie toczą tej samej walki? O kasę, o władzę, o sukces. Zawsze jednak, od dzieciństwa, chodzi o to samo: o bycie kochanym. Rozluźniła się, moszcząc się w wygodnym fotelu, który precyzyjnie ustawiła w miejscu o najlepszej akustyce. Jednak o tej porze nie mogło być mowy o włączaniu okrągłych głośników Elipson Planet L na cały regulator. Założyła na uszy słuchawki Bose i wcisnęła guzik pilota.

Zamknęła powieki. Zmusiła się, by oddychać spokojnie, wsłuchując się w wyborną ciszę poprzedzającą rozpoczęcie utworu. Gdy tylko usłyszała pierwsze nuty, otworzyła oczy.

To nie był *Don Carlos*.

Posłuchała jeszcze przez kilka sekund.

*Łucja z Lammermooru!*

Musiała pomylić pudełka, gdy chowała płytę... Wstała i podeszła do półek swojej płytkoteki. Odszukała okładkę opery tragicznej Donizettiego, w której Łucja nieodwracalnie popada w obłąd. Otworzyła ją, sądząc, że w środku będzie *Don Carlos*. Skonsternowana patrzyła na płytę: *Opowieści Hoffmanna*... Coś było nie tak. Z rosnącym niepokojem otworzyła na chybił trafił okładkę *Włoszki w Algierze*. W środku była *Traviata*. Powtórzyła operację z pudełkiem *Mojżesza i Arona* Schönberga: *Tannhäuser*...

I z okładką opery *Zamorskie zaloty czyli eleganckie Indie: Rycerskość wieśniacza*... Kilka minut później na podłodze leżały dziesiątki pudełek. W ani jednym nie było właściwej płyty! A *Don Carlos* wciąż się nie znalazł.

Mila uznała, że albo właśnie popada w obłąd, albo...

Ktoś się z nią bawi. Ktoś tu był.

Rozejrzała się dookoła, tak jakby ta osoba mogła się jeszcze znajdować w pokoju. Okay, pomyślała. Zdarzenie w hipermarkecie, cztery przebite opony na parkingu, okiennice, które same się otwierają w środku nocy, a teraz to... Ktoś próbuje odplacić jej pięknym za

nadobne. Pomścić śmierć tej dziwki. Każe jej znosić to samo, w co ona wciągnęła Christine Steinmeyer - jak w *arii da capo*, której ostatnia część jest powtórzeniem pierwszej. Thomas... Zostawiła go samego z zapaloną lampką nocną. Jak co wieczór. Poświata małej żarówki u wezłowia rozjaśniała panujący półmrok pokoju pachnącego szamponem dla dzieci. Mila sprawdziła, czy wszystkie okiennice są pozamykane, i pogłaskała synka po ramieniu w miejscu, gdzie zsunęła się z niego piżama, wyczuwając dłonią delikatne kości pod jego skórą.

Zanim zgasła lampkę, spojrzała na otwartą książkę leżącą na narzucie. Mila czytała Thomasowi, ale nie przypominała sobie, by zapomniała schować ilustrowany album na półkę. Podeszła, sięgnęła po książkę i zamknęła ją. I nagle ją zamurowało.

To nie był album Thomasa, ale książka zatytułowana *Opera czyli zagłada kobiet*<sup>19</sup>. Poznała ją. Była to jedna z wielu pozycji w jej biblioteczkę poświęconych operze, wśród których były książki Kobbego, Henry'ego Barrauda, Alaina Duaulta i tuzina innych autorów. Była jednak prawie pewna, że nie przyniosła tej książki do pokoju syna. To nie jest odpowiednia lektura dla pięcioletniego dziecka.

Już miała zanieść ją z powrotem na dół do biblioteki, gdy nagle stanęła jak wryta na szczycie schodów.

Choć czytała tę książkę przed kilku laty, bardzo dobrze pamiętała jej treść. Książka opisywała długi korowód kobiet upadłych, zranionych, porzuconych, zdradzonych, zniesławionych, zamordowanych, doprowadzonych do obłędu, które zawsze były ulubionymi bohaterkami miłośników opery. W operze wszystkie kobiety umierają. Bez wyjątku. W operze kobiety zawsze są nieszczęśliwe. W operze kobiety zawsze kończą tragicznie. Księżniczki, plebejki, matki, kurwy: opera to miejsce nieuchronnej klęski. Mila czuła się coraz bardziej zaniepokojona.

Tej nocy dwukrotnie zrobiła obchód domu, by sprawdzić, czy wszystkie drzwi wyjściowe i wszystkie okiennice są dobrze zamknięte. Udało jej się jednak zasnąć tylko na dwie godziny. Do rana wsłuchiwała się w wiatr wiejący za oknem.

\*

Nazajutrz zadzwoniła do firmy i powiedziała, że ma trzydzieści dziewięć stopni gorączki i zostanie w domu. Następnie zaczęła przeglądać Internet w poszukiwaniu instalatora systemów alarmowych. Porównywała produkty, firmy, wydajność i zatelefonowała w kilka miejsc. System, który ostatecznie wybrała, wyposażony był w czujniki ruchu w strategicznych miejscach domu, które każdemu niechcianemu gościowi miały zrobić zdjęcie,

---

<sup>19</sup> Catherine Clément, *L'opéra ou la défaite des femmes*.



syrenę o natężeniu dźwięku w wysokości stu dziesięciu decybeli, a w przypadku włamania wysyłał sygnał do centrum telemonitoringu; agent ochrony dzwonił wówczas do domu, a jeśli osoba, z którą rozmawiał, błędnie odpowiadała na pytania identyfikacyjne, interweniował. Ona zaś miała otrzymywać regularne powiadomienia alarmowe na komórkę. W razie wątpliwości mogłaby nawet sprawdzić na odległość, czy włączyła alarm. Instalator przyszedł po południu. Niski, siwowłosy jegomość wyglądał na emeryta, miał jednak świetną gadkę i budzącą zaufanie twarz. Założył instalację w rekordowym tempie. Sprawdzał połączenie z centrum telemonitoringu i z telefonem komórkowym Mili, a następnie oświadczył:

- Teraz może pani spać spokojnie.

I odjechał niebieską półciężarówką.

Facet się nie mylił: następną noc przespała jak niemowlę. Żadna okiennica nie skrzypiała. Nazajutrz Mila odstawiała Thomasa do szkoły i wróciła do pracy.

\*

Żarówka nad schodami musiała się przepalić, bo wieczorem kobieta na próżno wciskała włącznik. Powiedziała Thomasowi, by zaczekał na dole, poszła do komórki po drabinę i nową żarówkę i naprawiła usterkę. Znowu rozbłysło światło. Następnie poczytała synkowi na dobranoc (*Grinch: Świąt nie będzie*<sup>20</sup>), a kiedy zasnął, dokładnie go przykryła i zamknęła drzwi.

Kiedy zeszła do salonu, włączyła *Don Carlosa* (aby zdobyć ten utwór, odwiedziła FNAC, ale nie mieli tam wersji z Renatą Tebaldi, Carlem Bergonzim i Dietrichem Fischerem-Dieskauem i musiała się zadowolić wykonaniem Placida Dominga, Montserrat Caballé i Ruggera Raimondiego). Wysłuchała całej opery i poszła spać. Oczywiście miała już zarezerwowane miejsce na czerwiec w Théâtre du Capitole, który miał wystawiać *Don Carlosa* z udziałem Dimitriego Pittasa i Tamar Iveri.

Rozmyślała o Léo i tym gliniarzu. Kiedy policjant przejdzie do działania? Wiedziała, że gliny potrzebują więcej dowodów, by go przyskrzynić, ale nie śpieszyło jej się. Wszystko w swoim czasie. Musiała też zająć się Cordelią i Marcusem: niezwykle kłopotliwymi świadkami. I znaleźć jakiś sposób, by odpowiedzieć na te ataki. Czyżby stał za nimi Léo? Tak, to możliwe. Mila wiedziała, że Christine się do niego zwróciła. Marcus śledził ją w drodze do hotelu mimo jej nieporadnych prób zmylenia tropów. Léo z pewnością się domyślił, że Christine nie żyje. A także tego, kto za tym stoi. Prawdopodobnie w końcu skojarzył fakty. Mila rozważała tę możliwość. Jakie haki Léo ma na nią? Żadne. Za to

---

<sup>20</sup> Theodor Seuss Geisel, *How the Grinch Stole Christmas* - tytuł przytoczony w tekście to polski tytuł filmu nakręconego na podstawie tej książki.

wszystko świadczy przeciwko niemu. Łącznie z dziennikiem, o którego istnieniu nie ma pojęcia. Niezależnie od tego, czy skończy w więzieniu czy nie, Léo należy do niej. Jest ojcem jej dziecka. W końcu do niej wróci. Tak czy inaczej. Nawet jeśli teraz jeszcze o tym nie wie. Choćby miała na to poświęcić całe życie, Léo musi do niej wrócić. To jej jedyne pragnienie. A tymczasem, gdyby trochę za bardzo zbliżył się do jej domu, Mila zorganizuje to tak, by został nakryty przez tego glinę. Byłby to kolejny dowód świadczący o jego winie. Uspokoiała się. Niepokój uleciał. Wszystko było na swoim miejscu. Kontrolowała sytuację.

Opera skończyła się po piątym akcie, w którym grób Karola V się otwiera i jego duch wyłania się z ciemności, pociągając don Carlosa za sobą (*Mój synu, ziemskie cierpienia towarzyszą nam także tutaj. Pokój, którego pragnie twoja dusza, znajdziesz jedynie u Boga*).

Zgasiła światło i poszła na górę, by się położyć.

Około drugiej w nocy nagle się obudziła. W ostatniej chwili dobiegła do toalety, gdzie dostała gwałtownych torsji. Spuściła wodę. Spocone włosy lepiły jej się do czoła. Udało jej się złapać powietrze. Wypuściła je z płuc z charczącym świstem i w tej samej chwili w jej wnętrzościach wezbrała kolejna fala nudności. Kwaśny strumień znowu chlusnął na emalię. Wymiotowała, odchrząkiwała, pluła, łapała oddech. Dwadzieścia minut później w dalszym ciągu kucała na podłodze, drżąca, z zamkniętymi oczami, a jej żołądek skręcały konwulsje. Zbierała się, by zadzwonić na pogotowie.

\*

Był środek nocy. Siedzący w swoim porsche 911 Léonard Fontaine zobaczył, że w budynku pogaszono światła, które wcześniej nagle się zapaliły. Znajdował się w odległości pięciuset metrów od jej domu. Jego twarz oświetlała tylko rozżarzona końcówka papierosa, kiedy się zaciągał. Odpalił silnik i cicho wyjechał z wyboistej ścieżki, która prowadziła do szpaleru platanów, wrzucił drugi bieg i nie zapalając świateł, oddalił się szosą wiodącą pod drzewnym tunelem. Przezierające między sękatymi gałęziami gwiazdy i księżyc oświetlały drogę. Wiatr przegnał chmury. Temperatura rosła z każdym dniem. Kiedy miał pewność, że jest już wystarczająco daleko, włączył długie światła i delikatnie przyspieszył. Dźwięk słynnego sześciocylindrowego silnika typu „bokser” mógł nieść się daleko i dość łatwo było go rozpoznać. Jeśli Mila sądzi, że dzięki swojemu systemowi alarmowemu będzie bezpieczna, to grubo się myli. Większość tych bezprzewodowych urządzeń jest niezwykle wrażliwa: wystarczy zwykły zakłócacz fal, by je unieszkodliwić.

Nie, zagrożenie pochodziło z innego źródła. Ten glina deptał mu po piętach. Na pewno sądzi, że Léo go nie zauważył. Ale komendancik nie wie, że kobieta, którą spotkał w jego domu, to detektyw. Kompetentna i przytomna profesjonalistka. Dwa razy w tygodniu

przyjeżdżała do niego, by zdać mu relację. Nie omieszkała zanotować numerów rejestracyjnych dziwnego listonosza. Będzie musiał działać ostrożnie. Wiele ryzykował, gdyby glina przyłapał go na kręceniu się koło domu Mili. Wyglądało bowiem na to, że policjant jest przekonany, iż Léo ma coś wspólnego ze zniknięciem Christine.

## 41.

### „SOLA, PERDUTA, ABBANDONATA”

Lampa nad schodami znowu się nie świeciła. Gdzieś musiało być zwarcie, od którego żarówka się przepalała. Zmieniła ją. Następnego dnia padła inna: w jej gabinecie-płytotece. Potem znów żarówka nad schodami, a kolejnego dnia - jeden z halogenów w kuchni.

Z wściekłości rozwalila jakiś przedmiot. Zadzwoiła do elektryka, który oczywiście nie mógł przyjść wcześniej niż za dwa dni. Kiedy się pojawił, długo sprawdzał wyłączniki, gniazdko, tablicę rozdzielczą i same lampy. Diagnoza: wszystko w porządku. Wymienili kilka nieprzyjemnych zdań i elektryk wyszedł, trzaskając drzwiami, odmówiwszy przyjęcia honorarium.

Następnego nocy znowu chorowała. Zamierzała wyrzucić całą żywność, którą przechowywała w lodówce, ale uświadomiła sobie, że Thomasowi nic się nie dzieje. Wieczorem jadł to samo co ona. Było w pół do trzeciej. Dolegliwości żołądkowe były tak silne, że wiała się z bólu. Zwymiotowała do miski, którą na wszelki wypadek postawiła przy łóżku. Po pokoju rozszedł się kwaśny smród, ale nie miała odwagi ani siły, by pójść opróżnić miskę. Tej nocy bardzo źle spała. Jej żołądek, opróżniony kilka godzin wcześniej, skręcał się z głodu. Kiedy nazajutrz wyjeżdżała do pracy, była wyczerpana. Przez cały dzień ledwie się ruszała. Wyglądała jak trup. Kilkoro kolegów - z troski lub wręcz przeciwnie - zwróciło uwagę na jej kiepską formę. Usadziła ich.

Kiedy wieczorem wróciła do domu, sprawdziła system alarmowy, który od razu zaczął wyć. Wystukała kod. Wycie ustało. Jeszcze raz uruchomiła. Znowu się rozległo. Po minucie zadzwonił telefon.

- Dzień dobry, tutaj ośrodek monitoringu. Może pani podać hasło?

- *Co się zdarzyło Baby Jane?* - Był to tytuł jej ulubionego filmu. - Nic się nie dzieje - powiedziała. - Chwila nieuwagi.

- Dziękuję.

- À propos. W systemie nie było innych śladów włamania?

- To znaczy?

- Nie, w porządku, nieważne.

\*

Żarówki nadal gasły. A ona wciąż chorowała, mimo że co wieczór łykała środek przeciwwymiotny i zamawiała dania z różnych restauracji online. W końcu przestała jeść

kolacje.

Każdą sytuację, kiedy naciskała włącznik, a lampa się nie zapalała, odbierała jak psychiczny cios. Wiedziała, co się dzieje. Ktoś postanowił wprowadzić w jej życie chaos, tak jak ona wprowadziła chaos w życie Célie Jablonki i Christine Steinmeyer. Ale ta wiedza nijak jej nie pomagała. Musiała coś wymyślić, by się zrewanżować. Wyglądało na to, że ktoś miał sposób, by pod jej nieobecność mimo systemu alarmowego wejść do jej domu.

Potrzebowała pomocy. Ale ani Marcus, ani Cordélia nie odbierali telefonu. Nagrała im ze dwadzieścia wiadomości. Któregoś sobotniego poranka pojechała do Reynerie. Zadzwoiła do mieszkania numer 19 B. Drzwi otworzył młody mężczyzna, którego nie znała.

- Tak?

- Corrine Délie nie ma?

Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem.

- Wyprowadziła się. Nie powiedziała pani?

- A kim pan jest?

- Nowym lokatorem. A pani?

Odeszła od drzwi.

\*

Czternastego lutego Servaz obudził się nagle o czwartej nad ranem. Śniło mu się, że jest na orbicie ziemskiej i unosi się w stanie nieważkości. Przemieszczał się z jednego modułu statku do drugiego, machając niezdarnie rękami i nogami, a kobieta niepodobna do Mili Bolsanski, która jednak była Milą Bolsanski - nie wiedział, skąd to wie, ale był tego pewien - „goniła” za nim i bez przerwy powtarzała rzeczy w stylu: „Bierz mnie, pieprz mnie; tutaj, już...” Choć tłumaczył jej grzecznie, że nie, że jest żonaty, że nie chce, że nie, dziękuje, po prostu nie, i że mężczyźni także mają prawo odmawiać, nie tylko kobiety, ona nie przestawała się do niego przystawiać w każdym zakątku stacji. Obudził się w chwili, gdy jego nieżyjąca od trzydziestu trzech lat matka zapytała go: „Martin, co ty robisz tej kobiecie?”. Wiedział, jakie jest źródło tego koszmaru: wieczorem ponownie przeczytał dziennik Mili. W jego śnie była też muzyka operowa.

Przez dłuższą chwilę siedział w łóżku zdjęty głębokim smutkiem na wspomnienie głosu i twarzy matki. Obraz był tak wyraźny, tak żywy...

Z dzieciństwa nigdy się nie zdrowieje. Kto to powiedział? Wstał, wziął prysznic, zagotował wodę w dzbanku na biurku i zalał sobie kawę rozpuszczalną. Na zewnątrz wiał wiatr. Było zupełnie ciemno. Rozmyślając, czekał na pierwsze oznaki dnia za oknem. Miał sen. Sen, w którym była muzyka. Kiedy spał, w jego mózgu uruchomił się nieświadomy

proces: Servaz powoli połączył ze sobą elementy, które do tej pory do siebie nie pasowały.

O siódmej piętnaście nie wytrzymał i zszedł do wspólnej sali na prawdziwą kawę. Kilku pensjonariuszy go przywitało, inni nie. Wypił kawę, zastanawiając się nad tym, co wie: nad tym, co od samego początku było przed jego oczami, choć do tej pory tego nie widział. O wpół do ósmej odjechał spod ośrodka i ruszył wąskimi lokalnymi drogami. Poranna szarówka coraz bardziej jaśniała.

\*

Léonard Fontaine prawie bezgłośnie pruć powierzchnię wody z gibkością i lekkością zawodowego pływaka.

Miał wrażenie, że woda obmywa jego twarz i plecy jak kadłub żaglówki. Nagle usłyszał czyjś głos dochodzący z brzegu basenu.

- Cześć.

Astronauta się zatrzymał. Wynurzył głowę z wody i podniósł oczy na mężczyznę stojącego przy samej krawędzi. Facet miał około czterdziestki i nie wyglądał na szczególnie sprawnego fizycznie. Było w nim coś bladego i wymiętego, jakieś znużenie, od którego plecy mężczyzny były nieco przygarbione. Rozpoznał go, ale i tak zapytał:

- Kim pan jest? Kto panu pozwolił wejść?

- Dzwoniłem - skłamał Servaz. - Ponieważ nikt nie otwierał, pozwoliłem sobie... trochę się rozejrzeć.

- Nie odpowiedział pan na moje pierwsze pytanie.

Servaz zerknął na umięśnione barki i ręce astronauty. Wyjął odznakę.

- Komendant Servaz, policja kryminalna.

- Ma pan papier? Jakiś dokument, który upoważnia pana do wchodzenia do domów bez pozwolenia? To, że nie ma płotu, nie oznacza, że...

Servaz uniósł dłoń.

- Mam coś lepszego. Myślę, że wiem, kto zabił Christine Steinmeyer. Bo ona oczywiście nie żyje. O czym pan zresztą wie. Ale mam też przynajmniej jedną dobrą wiadomość: sądzę, że to nie pan.

Fontaine rzucił mu spojrzenie, które przez krótką chwilę zdradzało głębię jego niepewności i smutku. Skinął smętnie głową, dopłynął do drabinki i powoli wyszedł z wody.

\*

- Proszę.

Kiedy weszli przez drzwi balkonowe, Servaz poczuł lekki uścisk w żołądku na myśl o swojej ostatniej wizycie w tym miejscu i o Darkhanie - pięćdziesięciokilogramowym

potworze, który patrzył na niego jak na kawałek wołowiny na rzeźniczej ladzie. Molos zszedł z antresoli, ale wyglądało na to, że nie rozpoznaje Servaza. Podszedł do swojego pana, który czule pogłaskał go po łbie. „Idź się położyć”. Zadowolone zwierzę wdrapało się na swoją grzędę. W dużym telewizorze wiszącym nad ściennym kominkiem na bioetanol widać było obrazy jakiegoś angielskiego kanału informacyjnego: Euronews albo BBC World. Fontaine, ubrany w szlafrok koloru kości słoniowej, który wyglądał na miękki, gruby i wygodny i na którego kieszonce wyhaftowane były jego inicjały, wskazał mu sofę i zaproponował kawę, po czym przeszedł do otwartej kuchni. Nie zamienili ani jednego słowa, dopóki nie mieli przed sobą dymiących filiżanek. Fontaine skończył wycierać włosy grubym ręcznikiem i usiadł po drugiej stronie ławy na dużym pufie. Servaz dostrzegł ogromną bliznę na jego lewej nodze - ząbkowaną, zasklepioną szramę w kształcie półksiężyca, która zdobiła jego łydkę i piszczel od kostki do kolana. Astronauta odłożył ręcznik. Spojrzał na Servaza. Pycha i siła jakby go opuściły i teraz na jego twarzy widać było tylko niepokój i smutek.

- A zatem uważa pan, że Christine nie żyje?

- Pan również, prawda?

Fontaine pochylił głowę. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale zadowolili się skinieniem.

Servaz wyjął z kieszeni zeszyt i pchnął go w stronę astronauty.

- Co to jest?

- Dziennik Mili Bolsanski.

Zauważył ledwie uchwytną reakcję Fontaine'a na dźwięk tego nazwiska. Mężczyzna odstawił filiżankę i sięgnął po dziennik.

- Utrzymuje, że prowadziła go podczas waszego pobytu w Gwiezdnym Miasteczku - wyjaśnił Servaz. - Proszę na to rzucić okiem.

Fontaine spojrział na niego zaskoczony i ostrożnie otworzył zeszyt. Zaczął czytać. Servaz zobaczył, że już od pierwszych linijek mężczyzna marszczy brwi. Po pięciu minutach kompletnie nie pamiętał już o obecności policjanta, a jego kawa stygła w filiżance. Coraz prędzej przewracał kartki. Czytał pobieżnie, zatrzymując się przy niektórych fragmentach, a inne przeskakując, czasem wracając do już przeczytanych miejsc.

- To niewiarygodne - powiedział wreszcie, zamykając zeszyt.

- Co jest niewiarygodne?

- Że zadała sobie tyle trudu, żeby napisać to... coś. To prawdziwa powieść. Miła minęła się z powołaniem!

- To się nie wydarzyło naprawdę?

Fontaine wyglądał na oburzonego.

- Oczywiście, że nie!

Servaz wyczytał w jego rysach mieszankę wściekłości i niedowierzania.

- Może opowie mi pan swoją wersję?

- To nie jest moja wersja - poprawił go oschle. - Wersja jest tylko jedna: to, co się rzeczywiście stało. Choć żyjemy w społeczeństwie, w którym kłamstwo i przeinaczanie faktów stały się niemal normą, prawda jest prawdą, do cholery.

- Słucham pana.

- Cóż, należy zacząć od tego, że Mila Bolsanski jest szalona. I zawsze była.

\*

- Nie wiem, jak to się stało, że przeszła testy psychologiczne. Wygląda na to, że niektórym zaburzonym osobom się to udaje. Ostatecznie ja sam potrzebowałem czasu, żeby zrozumieć, że jest chora.

Odstawił pustą filiżankę. Servaz zauważył, że Fontaine jest mańkutem i że na jego palcu serdecznym widać jaśniejszy ślad po obrączce. W jej miejscu znajdował się wąski pasek lekko ściągniętej skóry, jakby ilustracja tego, czym jest małżeństwo: zawężeniem. Servaz, który przez siedem lat żył w małżeństwie, zanim się rozwiódł, pomyślał, że nie przez przypadek palec serdeczny jest najmniej użytecznym z palców.

- Śledztwo przeprowadzone po tych wypadkach wykazało, że jako nastolatka przebywała w szpitalu psychiatrycznym po kilku próbach samobójczych. Wydaje mi się, że zdiagnozowano u niej jakiś rodzaj schizofrenii. Nieważne. Kiedy poznałem Milę, była piękną młodą kobietą, inteligentną, ambitną i ujmującą. Jak promyk słońca... Prawie nie dało się w niej nie zakochać. Problem polega na tym, że tak jak inne osoby jej pokroju Mila nosiła maskę: cała ta wesołość, energia były tylko jakąś komedią, fasadą. Mila dostosowuje swoje zachowanie do tego, co chce widzieć osoba, z którą ma do czynienia. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy zobaczyłem, jak reaguje w sytuacjach społecznych: delikatnie zmieniała zachowanie w zależności od tego, z kim rozmawiała. Wyglądała na osobę pewną siebie, mocną. Tymczasem jest dokładnie na odwrót: Mila Bolsanski jest w środku pusta. Jest jak tworzywo, które dopasowuje się do formy proponowanej przez drugiego. Zwierciadłem jego pragnień. W mig orientuje się, czego szuka jej rozmówca, i daje mu to. Przystudiowałem ten temat po całym zdarzeniu. Przeczytałem całą dostępną literaturę. - (Servaz pomyślał o książce, którą widział na szafce nocnej). - Próbowałem zrozumieć, kim, czym ona właściwie jest. Należy do osób nazywanych manipulacjami, które są jak żywe pułapki. Na początku są wesołe, miłe, otwarte, uważne na innych, uśmiechnięte i hojne. Nierzadko dostajemy od nich



drobne upominki, nie szczędzą nam pochwał, we wszystkim nam dogadzają. Nie da się nie uznać ich za sympatyczne. Nie da się ich nie lubić. Oczywiście nie oznacza to, że wszyscy mili i uśmiechnięci ludzie to manipulanci. Maksyma, która mówi, że pierwsze wrażenie zawsze jest trafne, to bujda. Prawdziwi manipulanci na początku zawsze robią dobre wrażenie. Jak ich więc zdemaskować? To przychodzi z czasem. Jeśli należymy do kręgu ich bliskich, zaufanych osób, ich niedociągnięcia i kłamstwa w końcu wychodzą na jaw. Chyba że zdążyliśmy się od nich uzależnić na tyle, by nie zauważyć, gdy to wszystko zaczyna wypływać...

Servaz napotkał spojrzenie Fontaine'a.

- Uwaga, nie próbuję panu powiedzieć, że Mila nie jest błyskotliwą kobietą. Trzeba być inteligentnym, by osiągnąć tyle, ile ona osiągnęła. Przez wszystkie młode lata Mila ciężko pracowała na swój sukces. Ona nienawidzi porażek. W klasie zawsze była pierwsza. W trakcie studiów, gdy jej koleżanki odkrywały uroki imprez, randek i polityki, ona siedziała po nocach nad notatkami z termosem pełnym kawy. Pierwszy rok medycyny ukończyła jako najlepsza spośród pięciuset studentów. A miała dopiero siedemnaście lat! W tym samym roku się zaręczyła. To inny aspekt jej osobowości: Mila Bolsanski jest przerażona na myśl o samotności, zawsze musi mieć u swojego boku kogoś, kto ją podziwia, kto potwierdza jej wysokie mniemanie o sobie.

Fontaine przerwał. Servaz pomyślał o wielkim domu na uboczu. Czy to przeczy temu obrazowi? Nie. Bo jest Thomas. Mały Thomas, uroczy blondynek, dla którego blask matki przyćmiewa wszystkie słońca. Nareszcie ma mężczyznę, z którym może robić, co chce.

- Tylko że - ciągnął Fontaine - mistrzyni konkursów i egzaminów nie miała dość czasu dla swojego narzeczonego, który w końcu się ulotnił. To była jej pierwsza porażka. Dotkliwa. Mili przecież wszystko się udawało. Wygląda na to, że było jej ciężko to przetrwać, na ten temat też zrobiłem prywatne dochodzenie. I wie pan co? Ten biedak wylądował w więzieniu za gwałt na nieletniej. Dowody w jego aktach były przytłaczające, ale on nie przestawał krzyczeć, że jest niewinny. Aż do dnia, kiedy się powiesił. W więzieniu. Życie pedofilów pod całą nie jest łatwe, niech pan sobie więc wyobrazi, jak by się pan czuł, gdyby pan nic nie zrobił... Musiałby pan zobaczyć zdjęcia, na których są razem: on tam wygląda na łagodnego jak baranek. Nic przy niej nie znaczył. Ani przez chwilę. Od samego początku był skazany na pożarcie.

- Dlaczego jest pan taki przekonany o jego niewinności?

- Dziewczyna, która wniosła skargę, ma dziś kartotekę długą jak tunel pod kanałem La Manche: kradzieże, wyłudzenia, oszustwa, oszczerstwa, nadużywanie czyjejś słabości,

doprowadzenie do upadłości, przestępstwa podatkowe. Jej dorosłe życie to lista prób oszustw, wyłudzeń i kradzieży. W tamtych czasach miała szesnaście lat i oczywiście czyste konto. Nie wiem, w jaki sposób Mila ją znalazła, ale musiała jej zapłacić ładną sumkę. A może i nie: ta dziewczyna za kilkaset franków sprzedałaby własną matkę.

Servaz zadrżał. Pomyślał o Célii Jablonce i Christine Steinmeyer, które znalazły się na celowniku Mili Bolsanski. Przy okazji uświadomił sobie, że Fontaine musi mieć kontakty w policji, skoro udało mu się zdobyć takie informacje.

- Słowem, ukarawszy narzeczonego, Mila ruszyła dalej swoją drogą do sukcesu i, jak sądziła, do szczęścia. Ciągle chciała być najlepsza. Wszędzie. Zawsze. Nawet w łóżku robiła rzeczy, które robi niewiele kobiet. Nie dlatego, że to lubi, bynajmniej: wie jednak, że to się podoba mężczyznom. A przynajmniej tak się zachowuje na początku. Kiedy chce uwieść, przekonać do siebie, ugruntować swój wpływ, Mila oddaje się bez reszty. Potem, gdy ma już kontrolę, wkłada w swoją robotę coraz mniej serca i jej maska coraz bardziej opada. Widziałem, jak się stopniowo zmienia. Nie potrafiła się powstrzymać od robienia mi wyrzutów: przy stole, wprost albo przez jakieś ponure aluzje. Wszystkie albo prawie wszystkie były bezpodstawne lub przesadzone. Była też coraz bardziej zazdrosna o moje małżeństwo, o rodzinę. Zarzucała mi, że mam inne kochanki. Wiem, nie jestem święty. Lubię kobiety i dobrze się z nimi czuję. Ale nigdy nie miałem więcej niż jednej kochanki, i każdą z nich na swój sposób kochałem: nigdy nie chodziło tylko o seks. Poślubiłem moją żonę, ponieważ wierzyłem, że ona sprawi, iż zapomnę o wszystkich innych kobietach. Ale nie sprawiła. - Przerwał na chwilę. - Cóż, facet bardziej wrażliwy psychicznie niż ja na pewno w końcu miałby poczucie winy z powodu wszystkich tych grzechów i zastanawiałby się, co z nim jest nie tak, zamiast zadać sobie pytanie, które ja postawiłem sobie dość szybko: Co jest nie tak z Milą? Nie jestem kimś, kto łatwo ulega wpływom, komendancie. Kiedy sobie uświadomiła, że jej zwykłe triki na mnie nie działają, zaczęła prawie histeryzować. Zagroziła, że zadzwoni do mojej żony i wszystko jej powie. Zanim wyjechaliśmy do Gwiezdnego Miasteczka, nasze relacje bardzo się pogorszyły i coraz poważniej myślałem o zakończeniu tego związku, ale byłem w szachu. Bałem się, że Mila się zemści, że opowie wszystko Karli i zniszczy moje małżeństwo, moją rodzinę. Zachodziłem w głowę, jak postąpić, i nie widziałem wyjścia. Miała mnie w garści i była tego świadoma. - Jego oczy na chwilę zaszyły mgłą i miejsce bohatera przestworzy zajął mężczyzna pokonany, niepewny, a także winny - taki sam jak wszyscy mężczyźni od chwili urodzenia. - A potem, tam, na miejscu, wydawało się, że znowu stała się dawną entuzjastyczną Milą, błędnym ognikiem, promykiem słońca. Publicznie się pokajała, przeprosiła za swoje zachowanie. Powiedziała, że nikt w jej życiu nie

był dla niej tak ważny jak ja i że dlatego się pogubiła. Taka gadka... I że tamto zachowanie już nigdy się nie powtórzy. Że nie mam się czego obawiać, nigdy nie pozwoli sobie na to, żeby zniszczyć moją rodzinę, moją więź z dziećmi. Przynęła mi to. Przyjąłem jej przeprosiny. Znowu stała się tą samą radosną, spontaniczną, zabawną i uwodzicielską Miłą, którą była na początku. Wydawało się, że wszystkie chmury się rozproszyły. A kiedy ona zachowuje się w ten sposób, bardzo trudno się jej oprzeć. Widziałem, jak znowu jest tą cudowną kobietą-dziewczynką, niewiarygodnie ujmującą, zdolną rozjaśnić każdą chwilę moich dni. I sądzę, że w głębi serca ona tylko na to czekała. Wytłumaczyłem sobie, że we Francji tak się zmieniła z powodu stresu, oczekiwania, niepewności; ciężko jest tak ćwiczyć całymi miesiącami, latami, w jednym jedynym celu, żeby polecieć w kosmos, nie wiedząc, czy kiedyś rzeczywiście się tam poleci. Poza tym na pewno trudno jej było z tym skazaniem na tajemnicę, bez możliwości pokazania się u boku mężczyzny, którego kochała... Ależ byłem idiotą. Chciałem jakoś przeprosić, czułem się winny i - podniósł oczy na Servaza. - wiem, co pan sobie teraz myśli, do pewnego stopnia bez wątplenia byłem winny. Zamierzałem z nią zerwać, ale później, na spokojnie. A tymczasem chciałem zrobić wszystko, żeby jej pobyt w Gwiezdnym Miasteczku upłynął najlepiej, jak to możliwe, i żeby czuła się szczęśliwa. Oczywiście, byłem tchórzem, sam siebie oszukiwałem, chciałem zyskać na czasie, znowu byłem pod jej urokiem. A przecież, powtarzam panu, nie jestem człowiekiem podatnym na wpływy. Powinienem był uważać. Twierdziła, że bierze pigułki. Więc kiedy mi oświadczyła, że jest w ciąży i zamierza zachować dziecko, zrozumiałem, że mnie wydymała. Wściekłem się, wrzeszczałem na nią, powiedziałem, że nigdy nie uznaję tego dziecka, że nigdy jej nie kochałem i żeby szła ze swoim bachorem do diabła. Że między nami skończone i poza treningami nie chcę jej oglądać. Złapałem ją za ramię i wyrzuciłem na zewnątrz ze wszystkimi jej rzeczami. Od razu poszła do swojej nauczycielki rosyjskiego... - Przerwał i pokręcił głową, jakby cała ta historia nie miała żadnego sensu. - Nie wiem dokładnie, co zrobiła, ale kiedy znów się pojawiła, miała posiniaczoną twarz i rozcięty łuk brwiowy. Powiedziała, że ją uderzyłem. I że to nie był pierwszy raz. Że mam w zwyczaju stosować wobec niej przemoc, obrażać ją i poniżać. Zrobił się piekielny zamęt. Sądziłem, że już po wyprawie. I po moim małżeństwie. Na szczęście odpowiedzialny za misję chciał wyciszyć sprawę: przygotowania były w bardzo zaawansowanym stadium, poza tym mogła na tym ucierpieć reputacja Gwiezdnego Miasteczka. Rozdzielono nas i wszystko zaczęło się toczyć jak dawniej. Tamtego dnia zrozumiałem, że jeśli chcę polecieć w kosmos, do chwili startu muszę położyć uszy po sobie, a kiedy znajdziemy się na górze, w grupie, nie będzie miała do mnie żadnego dostępu. I tutaj się myliłem - dodał ponuro.

Nagle od strony wejścia rozległy się hałasy i do salonu wbiegła dwójka dzieci, które rzuciły się przez środek, prosto w ramiona ojca, który przytulił je, śmiejąc się.

- Ho, ho, co za huragan! Nie widziałem go w prognozach na dzisiaj! Ratunku!

Dzieci parsknęły śmiechem i cała trójka, ciasno przytulona, runęła na puf.

- A mama? - zapytał nagle Fontaine.

- Powiedziała, że wpadnie jutro o piątej.

Servaz zobaczył, że twarz byłego kosmonauty nagle posmutniała.

- Śpieszyła się?

- Nie. Nie chciała wejść, i tyle - odpowiedziała starsza, wyrośnięta dziewczynka, na oko dwunastolatka.

- Tato, dlaczego ona nie chce wejść do domu? - zapytał chłopiec, który miał nie więcej niż siedem lat.

- Nie wiem, Arthur, nie wiem. Pewnie ma jakieś powody... Macie swoje rzeczy?

Dziewczynka wskazała na niewielkie plecaki w drzwiach salonu.

- Zanieście je do swoich pokoi. Muszę porozmawiać z tym panem. A potem zrobimy gofry, zgoda, dziubasku?

- Super! - zawołał chłopiec. - Darkhan! - rzucił w kierunku antresoli.

Czarny potwór natychmiast wstał i merdając ogonem, zbiegł po schodach. Chłopiec przytulił się do niego jak do pluszaka.

- Jaki mamy program? - zapytała dziewczynka.

- Najpierw pyszne śniadanko. Potem jazda konna i kino. A później małe zakupy. Odpowiada ci, pchełko?

Twarz młodej panienci rozjaśnił szeroki uśmiech i dwójka dzieci zniknęła tak samo szybko, jak się pojawiła.

- Wyglądają na fajne dzieciaki - powiedział Servaz.

- I takie są.

- Mówił pan, że tam na górze coś poszło niezgodnie z przewidywaniami?

Astronauta przez chwilę zbierał myśli.

- A tak... - Sprawiał wrażenie, jakby to wszystko nagle nie miało już znaczenia, jakby śpieszno mu już było zakończyć rozmowę i iść do dzieci. - Podobnie jak zbałamuciła tego Siergieja w Gwiezdnym Miasteczku, Mila zaczęła manipulować astronautami, którzy już byli w Stacji Kosmicznej i nastawiać nas przeciwko sobie nawzajem. Przylecieliśmy we trójkę: komendant Paweł Korowiew, Mila i ja. A wcześniej na pokładzie były trzy osoby: dwóch Amerykanów i Rosjanin. ISS to ciąg modułów zbudowanych przez Rosjan, Amerykanów,

Europejczyków i Japończyków, choć w tamtym czasie nie było jeszcze japońskiego laboratorium Kibo. Przypomina to długą rurę z przedziałami, trochę jak łódź podwodna albo gigantyczny model z klocków Lego unoszący się w kosmosie. Segmenty rosyjskie znajdowały się z tyłu: to tam Paweł, Miła i ja spędzaliśmy większość czasu, choć wszyscy do pewnego stopnia krążą po całej stacji. Nie wiedzieliśmy, co Miła opowiada za naszymi plecami, ale uświadomiliśmy sobie, że coś nie gra, gdy zobaczyliśmy, że tamci krzywo na nas patrzą. Na początku wszystkie posiłki jedliśmy razem w węźle trzecim, Unity, który łączy moduły przednie z tylnymi. Potem, stopniowo, ni stąd, ni zowąd napięcie między starymi i nowymi zaczęło narastać, tarcia były coraz częstsze. Nie wiedzieliśmy, że za wszystkim stoi Miła. Spędzała z tamtymi dużo czasu, na pewno nas obgadywała, ale jak znam Miłę, zręcznie owinęła ich sobie wokół palca i robiła to tak subtelnie, by nie zdając sobie z niczego sprawy, po prostu zaczęli uważać nas za dupków. Miałem okazję czytać fragmenty akt ze śledztwa, które przeprowadzili Rosjanie po tamtych zdarzeniach, zeznania osób przebywających w ISS: wygląda na to, że ci trzej idioci z niczego nie zdawali sobie sprawy. Myśleli, że udało im się skłonić ją do wyznań, a ona udawała, że z trudem przychodzi jej opowiadanie im, jak to Paweł i ja codziennie ją upokarzamy i molestujemy, poniżamy, ośmieszamy, a nawet wykonujemy wobec niej niestosowne gesty i obmacujemy ją. Takie bzdury. - Zaśmiał się. - Paweł Korowiew to najbardziej prawy, najbardziej poukładany i najodważniejszy człowiek, jakiego znam. W życiu nie spotkałem mężczyzny, który okazywałby kobietom więcej szacunku. Nigdy się nie pozbierał po tych oskarżeniach... - Rzucił okiem w kierunku miejsca, w którym zniknęły dzieci. Z piętra dochodziły radosne krzyki i nawoływania. - Tam, na górze, jeszcze raz rozmawiałem z Miłą o dziecku. Powiedziała mi, że jest za późno na aborcję, a ja odpowiedziałem tak jak wcześniej, że nigdy go nie uznam. Błagała mnie. Kompletnie oszalała. To tamtej nocy udała, że została zgwałcona, i stawiała się po drugiej stronie w podartych ubraniach i z siniakami na twarzy. Badania lekarskie wykazały nawet, że miała... obrażenia wewnętrzne odbytu, kurwa. Nie wiem, jak sobie to zrobiła. Ale nawet kiedy już zacząłem podejrzewać, że ma bzika, daleki byłem od przypuszczenia, że jest na tyle zaburzona, by tak się urządzać. Musiała to zrobić, kiedy Paweł i ja spaliśmy. Po tym zdarzeniu tamta trójka zrobiła taki raban, że wysłano misję ratunkową, żeby zabrała naszą trójkę. - Poderwał się i poszedł do kuchni nalać sobie szklankę wody. Gdy wrócił, obdarzył Servaza spojrzeniem, w którym widać było coś więcej niż gniew: to była nienawiść. Szklanka w jego dłoni drżała. - Odizolowano nas na kilka tygodni. Komisja śledcza ostatecznie oczyściła Pawła i mnie z zarzutów, ale wiedzieliśmy, że po tej aferze, niezależnie od tego, że jesteśmy ofiarami, nasza kariera kosmiczna jest skończona, zrujnowana. Zwłaszcza moja. W końcu

Mila była moją dziewczyną, wszyscy o tym wiedzieli, i uznano, że jestem odpowiedzialny za to, co się stało. Od tego czasu reprezentuję Agencję Kosmiczną na przyjęciach, robię za żywą reklamę, cóż, jestem aktorem. Założyłem też własną firmę. Ale tęsknię za kosmosem. Oj, kurwa, tak... Na początku miałem nawet coś w rodzaju depresji. To dość częste u byłych astronautów. Kosmiczny blues. Niektórzy wpadają w mistycyzm, inni odcinają się od ludzi, jeszcze inni topią swój spleen w alkoholu. Trudno się pogodzić z tym, że człowiek już nigdy nie wróci na górę, komendancie. A jeszcze kiedy to się kończy w taki sposób...

Servaz pokiwał głową w zadumie.

- Kiedy pan przyszedł - zagadnął go Fontaine - powiedział pan, że pan wie, kto zabił Christine. Sądzi pan, że to Mila?

- Tak - odparł.

- Jak pan na to wpadł?

Servaz znowu pomyślał o tym zdaniu z dziennika Mili, w którym kobieta opowiada, że tam na górze w Stacji Kosmicznej słuchała muzyki operowej. Musiało jej się to wymknąć. Nie da się wszystkiego przewidzieć.

- Za sprawą opery - powiedział.

Fontaine spojrzał na niego zaskoczony.

- Dziś w nocy śniła mi się opera. I kiedy się obudziłem, przypomniałem sobie, że w dzienniku czytałem, iż Mila słuchała takiej muzyki.

- I... i to wszystko? Co pan zamierza?

- Przyprzeć ją do muru. Zajmie to trochę czasu. Należałoby zrobić rewizję w domu i wokół niego, ale na razie nie mam dość dowodów, by przekonać sędziego.

Fontaine rzucił mu sceptyczne spojrzenie.

- Wiem, co pan sobie myśli - powiedział Servaz. - Ale niech mi pan wierzy, w przeciwieństwie do pańskiego psa nie mam w zwyczaju odpuszczać, kiedy kogoś gryzę. Pana dziewczyna jeszcze o tym nie wie, ale ja już wbiłem kły w jej łydkę. Potrzebuję tylko niewielkiej pomocy, panie Fontaine. Jakiejś drobnej rzeczy, wszystko jedno czego, z którą będę mógł pójść do sędziego.

Fontaine popatrzył Servazowi prosto w oczy. Jego wzrok był jednocześnie świdrujący i nieufny, jakby chciał przeniknąć procesy zachodzące w mózgu policjanta.

- Na jakiej podstawie sądzi pan, że mam to, czego pan szuka?

Servaz wstał. Wzruszył ramionami.

- Jest pan człowiekiem dysponującym całym mnóstwem możliwości, panie Fontaine. I co jak co, ale rola ofiary zupełnie do pana nie pasuje. Niech się pan nad tym zastanowi.

\*

Luty był deszczowy, wietrzny i smutny. Od rana do wieczora długie, niekończące się, zacinające opady. Niebo było bez przerwy szare, zaciągnięte chmurami, a drogi tonęły w strumieniach deszczu i Mila czuła, jak smutek i rozpacz przenikają do najgłębszych zakamarków jej ciała.

W ubiegłym tygodniu zainstalowała jeszcze cztery kamery zewnętrzne pod dachem, rejestrujące obraz ze wszystkich stron domu. Z czujnikami, które uruchamiały je przy każdym podejrzanym ruchu. Ale jedyne nagrania ukazywały jej przyjeżdżający i odjeżdżający samochód. W dalszym ciągu chorowała. Każdej nocy. I wciąż zmieniała przepalające się z niewytłumaczalnych przyczyn żarówki.

Rano stanęła na wadze. Przez pięć tygodni schudła osiem kilogramów. Nie miała apetytu. Brak snu sprawiał, że była coraz słabsza. Nawet zabawy z Thomasem nie cieszyły jej tak jak dawniej. Smutek przywarł jej do skóry jak lepka pajęczyna zroszona kroplami deszczu. Kiedy oglądała się w lustrze, widziała ducha. Ciemnobrażowe sińce pod oczami, niespokojny wzrok, zapadnięta, koścista twarz, przezroczysta skóra: wyglądała jak Mimi z ostatniego aktu *Cyganerii!* Wokół jej nadgarstków i w okolicy pach pojawiły się placki egzemy. Obgryzała paznokcie do krwi. W pracy zaważyła kilka spraw i zapomniała odpisać na ważne e-maile. Dostała ochrzan od szefa. Zauważyła, że część kolegów mściwie z niej żartuje.

Tego wieczoru, kiedy odebrała Thomasa od opiekunki i wróciła do domu, zrobiła sobie tylko gorącą, mocno posłodzoną herbatę. Patrzyła, jak chłopiec je z apetytem.

- Mamo, co ci jest? - zapytał.

- A o co chodzi?

- Wyglądasz na smutną.

Potargała jego czuprynę i zmusiła się do uśmiechu, powstrzymując łzy.

- Ależ nie, skąd, kochanie.

Poczytała mu, zaczekała, aż zaśnie, zgasiła lampkę i wyczerpana poszła się położyć. Przed snem na wszelki wypadek sprawdziła system alarmowy, choć była coraz bardziej przekonana, że on niczemu nie służy. Wzięła pół tabletki nasennej. Szybko zasnęła.

\*

Poczuła, że coś uderzyło ją w czoło. Coś zimnego. Obudziła się. W ciemności otworzyła oczy i zaczęła się zastanawiać, czy jej się to nie przyśniło. Wciąż jednak czuła na czole mokry ślad. I znowu lekkie uderzenie tuż nad brwiami. Plum. Zrozumiała: to kropla wody.

Wyciągnęła rękę i po omacku znalazła kabel od lampki. Palcami odszukała włącznik i zapaliła światło. Dotknęła czoła. Było mokre. Strużka wody spłynęła nawet do nasady jej nosa, po chwili wahania wybrała prawą stronę twarzy i pocięła po policzku. Miła spojrzała w górę i zobaczyła na suficie wilgotną plamę. Wytarła twarz prześcieradłem. Ciemna plama miała już dobre piętnaście centymetrów średnicy, a na jej środku tworzyła się kolejna wisząca kropla, jak wielka łza, która za chwilę spadnie.

Wanna na górze...

Piętro wyżej była nieużywana łazienka ze starą wanną na nóżkach. Po zakupie domu Miła postanowiła urządzić nową funkcjonalną łazienkę na parterze. Hydraulika na górze była stara. Podobnie jak kafelki na ścianach, kaloryfery i sama wanna.

Pistolet gazowy...

Otworzyła szufladę szafki nocnej i wyjęła broń. Usiadła na brzegu łóżka. Odetchnęła głęboko. Nie całkiem jeszcze rozbudzony mózg (cholerny proszek nasenny) balansował między niepokojem a wściekłością.

Sięgnęła po szlafrok leżący na krześle i narzuciła go na nocną koszulę, ruszyła korytarzem, minęła pokój Thomasa i znalazła się przy schodach.

Przeklęty deszcz bez chwili przerwy ściekał po szybach. Nacisnęła włącznik. Nic. Cholera! Jej mózg dał się ponieść wściekłości. Przez okienko wpadało jednak wystarczająco dużo światła i kobieta weszła po schodach, pokonując po dwa stopnie. Gdy znalazła się na piętrze, poszła korytarzem w kierunku znajdującej się na końcu łazienki. Zaczęła ocieplanie budynku i ze ścian zwisały wielkie płaty waty szklanej, które wyglądały jak futro jakiegoś gigantycznego zwierzęcia. W półmroku pchnęła uchylone drzwi, które otworzyły się z suchym zgrzytem.

Przekręciła włącznik. Światło... Zrobiła krok do przodu.

Poczuła wilgoć pod stopami. Spojrzała w dół. Na podłodze łazienki stała woda głęboka na jakieś dwa centymetry. Rzuciła okiem w kierunku wanny na nóżkach uwięzionej w sieci pajęczyn, które sięgały aż do rogów pomieszczenia: zakurzone strzępy pełne były złapanych w pułapkę martwych owadów. Stara wanna była pełna, woda wylewała się ze wszystkich stron. Podeszła bliżej, brodząc po zalanej podłodze, odsunęła z jednej strony lepką zasłonę i schyliła się, by zamknąć miedziany kurek, który długo i ze zgrzytem obracał się w jej dłoni. Ktoś go odkręcił. Do końca...

Odwróciła się. Jej serce na ułamek sekundy zapomniało o pracy. Miała wrażenie, że zawodzą ją zdrowe zmysły. Ten sam ktoś napisał na ścianie olbrzymimi literami:



## ZDECHNIESZ, PIEPRZONA KURWO

Czerwona farba (jeżeli to była farba) spływała z białych płytek pokrytych grubą warstwą kurzu. Na pozostałych ścianach napisano grubym markerem:

KURWA ŚWINIA  
ŚWIRUSKA  
WARIATKA CIOTKA  
CHORA KOBIETA  
SZMATA POMYLONA  
PINDA NIENORMALNA DZIWKĄ  
KRETYNKA  
MANIACZKA STUKNIĘTA  
ZDZIRA OSZUSTKA  
POTWÓR  
PROSTYTUTKA

Słowa te powtarzały się kilkadziesiąt razy...

Czuła się, jakby ją spoliczkowano. Krew szumiała jej w skroniach. Nagle zrobiło jej się gorąco. Do kurwy nędzy! Zbiegła po schodach i wpadła do pokoju. Otworzyła szafę, wyjęła torbę podróżną i zaczęła do niej wrzucać, jak leci, bieliznę i ubrania. Popędziła do łazienki. Wpakowała do kosmetyczki wszystko, co nawinęło jej się pod rękę. Rzuciła się, by obudzić Thomasa:

- Wstawaj, kochanie. Wyjeżdżamy.

Chłopiec zamrugał.

- Co?

Pod wielkim plakatem z filmu *Epoka lodowcowa 4* stała szafka nocna, a na niej duży żółto-różowy budzik z głupkowatym uśmiechem oznajmiał, że jest trzecia nad ranem.

Synek Mili usiadł i potarł powieki.

- Musimy wyjechać. Natychmiast.

Thomas położył się na drugim boku i próbował zasnąć. Potrząsnęła nim za ramię. Odwrócił się i znowu usiadł.

- No co?!

- Przykro mi, słoneczko, ale musimy szybko się stąd wynosić. Ubieraj się, już.

Spojrzała w jego oczy i zauważyła, że chłopiec zaczyna się bać. Głos matki przestraszył go. Żałowała, że straciła zimną krew. Thomas z niepokojem zerkał w stronę drzwi.

- Ktoś jest w domu, mamó, tak?

Mila spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Ależ skąd! Dlaczego tak mówisz?

- Bo czasami w nocy słyszę dziwne odgłosy.

Przerażenie napływało do jej mózgu falami. Teraz opadł ją strach, a jej myśli zaczęły pędzić jak szalony pociąg, który w każdej chwili może się wykoleić. A więc to prawda: przeklęty system alarmowy! Jest w tym wielkim domu sama z synkiem, wydana na pastwę jakiegoś pomyślnca, wściekłego furiata. Wystarczy spojrzeć na te napisy w łazience... Zdarła z niego kołdrę.

- No już! Szybko! Wstawaj!

- Mamó, co się dzieje? Co się dzieje, mamó?

Malec był przerażony. Próbowwała się uspokoić, uśmiechnąć.

- Nic. Po prostu ogłosili, że te deszcze mogą wywołać powódź. Nie możemy tutaj zostać, rozumiesz?

- Mamó, ale dziś w nocy? Dziś w nocy?

- Ciii... Nie ma się czego bać. Zdamy wyjechać, aniołku. Ale nie możemy tracić czasu.

- Mamó, ja się boję.

Chwyła synka w ramiona i przytuliła.

- Jestem tutaj, widzisz, nie ma się czego bać. Pojedziemy sobie do hotelu i zaczekamy, aż to się uspokoi, zgoda? A potem wrócimy.

Szybko go ubrała, naciągnęła skarpetki na jego stopy, zawiązała buty i razem zeszli do salonu. Włączyła telewizor, jednak o tej porze kanały dla dzieci nie nadawały. Wsunęła płytkę DVD, jego ulubioną: efekt murowany.

- Pójdę po samochód.

Ale chłopiec, który zwinął się w kłębek na sofie, był już całkowicie pochłonięty tym, co działało się na ekranie. A może zaczynał usypiać... Przechodząc korytarzem, wzięła z wieszaka płaszcz przeciwdeszczowy i otworzyła drzwi. Zapaliła lampę nad wejściem. No proszę, przynajmniej ta działa. Lało jak z cebra. Okolica była pogrążona w ciemności. Do blaszanego garażu było piętnaście metrów. Nigdy go nie zamykała. Bieg do blaszaka w środku nocy wcale jej się nie uśmiechał. Ale nie miała wyjścia.

Wzięła wdech i ruszyła przed siebie.

Po chwili była mokra. Deszcz obmywał jej twarz, przesiąkał przez podeszwy, spływał do uszu i za kołnierz. Kiedy doszła do garażu, była przemoczona. Pociągnęła rozsuwane drzwi, które ustąpiły ze zgrzytem. Sięgnęła do kieszeni płaszcza. Znalazła kluczyki. Usiadła za kierownicą i zapaliła światła, które zmieniły krople deszczu w tysiące iskierek. Włożyła kluczyk do stacyjki, powoli ruszyła i przejechała kilkanaście metrów. Deszcz walił w blaszany dach samochodu. Wysiadła, nie gasząc silnika, i już szła w kierunku ganku, gdy nagle motor zakrzuszył się i umilkł. Ogarnęła ją panika. Wróciła za kierownicę, przekręciła kluczyk. Nic! Jeszcze raz. Z takim samym skutkiem. Cholera! Uparcie próbowała, ale silnik nie chciał zapalić. Są uziemieni... Thomas! Ten szaleniec może jeszcze być w domu! Pchnęła drzwi tak mocno, że o mało ich nie wyrwała, i popędziła korytarzem, zostawiając za sobą mokre ślady. Jej synek usnął z kciukiem w buzi. Telewizor rzucał intensywny blask na jego zamknięte powieki.

Telefon!

Tym razem potrzebuje pomocy. Do tej pory starała się trzymać policję z dala od domu, a zwłaszcza od lasku na jego tyłach. Rzuciła się do aparatu, podniosła słuchawkę. Nie było sygnału! Przeciął linię... Komórka! Zazwyczaj zostawiała ją na kuchennym blacie. Albo na stole, przy którym jedli posiłki. Jednak tam jej nie było. Ani nigdzie w kuchni.

W sypialni... Na pewno zostawiła ją na szafce nocnej.

Uświadomiła sobie, że coś jest nie tak, kiedy nie znalazła telefonu ani w sypialni, ani w łazience, ani w żadnym innym pomieszczeniu. Gdy obeszła już wszystkie pokoje, w których była w ciągu dnia, nabrała pewności, że to on zabrał jej komórkę.

Był tutaj. I przez cały czas tu jest.

Przeszedł ją dreszcz - nie był to zwykły dreszcz, ale długie drżenie całego ciała, jakby po jej kościach, karku, sercu, spływał lód. Trwoga w czystej postaci. Być może jej prześladowca siedział na strychu i każdego dnia słuchał, jak wracają ze szkoły i z pracy, może nasłuchiwał, jak żyją, rozmawiają, poruszają się, aż do chwili, gdy zasypiali, a wtedy on mógł zejść, patrzeć na nich, dotykać ich, zatruwać jej jedzenie, podawać jakieś świństwa... Miała ochotę krzyknąć, ale nie chciała przestraszyć Thomasa. Pistolet gazowy. Gdzie go włożyła? Znalazła go w pokoju na łóżku i zabrała ze sobą. W przyływie desperacji pomyślała, żeby wejść na ostatnie piętro, otworzyć klapę strychu, ściągnąć drabinę i wspiąć się na górę. Ale co tam się może stać? Gdy tylko wystawi głowę z dziury, on bez trudu ją unieszkodliwi. Na myśl, że Thomas miałby zostać z nim sam, ogarnęło ją przerażenie. Zeszła na parter.

Ze strachu traciła głowę. Ona, która była w kosmosie, która pozytywnie zaliczyła wszystkie próby, która zawsze była silna.

Zbieraj się! Walcz!

Czuła się jednak taka zmęczona... Od tak dawna. Od dłuższego czasu nic nie jadła, budziła się w nocy, by wymiotować, sypiała źle i krótko. Thomas! Zrób to dla niego. Instynkt tygrysicy znowu wziął górę. Nie ma mowy, żeby ten szaleniec tknął choćby jeden włos jej synka. Będzie go bronić, tak jak lwica broni swoich młodych. Na dole, na parterze, panowała cisza. Straszna cisza. Tylko deszcz szumiał wokół domu. Thomas spał na sofie. Poszła po jego zimową kurtkę, szalik i parasol. Obliczyła, że do najbliższego gospodarstwa, Grouardów, jest kilometr drogi. Sama pokonałaby ten dystans w dziesięć minut. Z zaspanym Thomasem, w deszczu i po ciemku na pewno będzie szła dwadzieścia.

Obudziła go delikatnie.

- Choć, kochanie.

Przez chwilę malec wyglądał na zdezorientowanego. Znowu potarł ciężkie od snu powieki.

- Powódź, tak? - upewnił się.

- Tak. Chodźmy.

Usiłowała nadać swojemu głosowi uspokajające brzmienie. Posłusznie poddał się wkładaniu kurtki i szalika. Postanowiła nie brać parasola. Zamierzała nieść małego na barana. Włożyła mu kaptur na głowę. Szeroko otworzyła drzwi wejściowe.

- Wskakuj na plecy.

Wykonał polecenie. Gdy już mocno do niej przywarł i złapał za szyję, wyprostowała się i zeszła po schodach ganku, przecięła mroczną, pustą przestrzeń okalającą dom i ruszyła w stronę czarnej drogi.

- Mamo, dlaczego nie jedziemy autem?

- Jest zepsute, kochanie.

- Dokąd idziemy, mamo?

- Do Grouardów.

- Mamo, wracajmy. Boję się, mamo. Proszę...

- Ciii... Nic się nie martw. Za dziesięć minut będziemy siedzieć w ciepłe. Pod dachem.

- Mamo...

Usłyszała, że dziecko na jej plecach nie wytrzymało i zaczęło płakać. Słyszała bębnienie deszczu o kaptur jego kurtki tuż przy swoim uchu. Czuła zimne, nieprzyjemne krople spadające jej na głowę.

- Boję się...

Jakaś jej część - ta, której Mila nie chciała słuchać - odpowiedziała, że ona także się boi,

jest przerażona. Deszcz nagle ustał i kobieta podniosła głowę, by spojrzeć na chmury. Wkrótce pojawił się księżyc. Mila domyśliła się, że podąża za nią nieostry cień jej własnej postaci. Spojrzała niżej i obserwowała tunel pod drzewami, który miała przed sobą. Po obu stronach drogi za rzędami drzew było zupełnie czarno. Ruszyła środkiem prawego pasa. Każdy krok na asfaltowej drodze wywoływał w jej ciele niewielki wstrząs z powodu ciężaru wiszącego na jej plecach drżącego syna. Ona także drżała. Z zimna, ze strachu. Nad ich głowami splatały się grube, sękate konary. Księżyc w pełni płynął teraz między chmurami i gałęziami, jakby chciał im wskazać drogę. Poczowała łyzy na policzkach, w ustach rozpoznała smak soli. W żadnym wypadku nie chciała się rozplakać przy małym. Milczał, ale czuła, że wstrząsają nim gwałtowne dreszcze.

- Mamo, boję się, wracajmy... - W jej uchu znowu rozległ się błagalny, przerażony głosik.

Nic nie odpowiedziała. Zaciśnęła zęby. Mocniej przytrzymała pośladki syna zgrabiałymi palcami. Uszli jakieś sto metrów, a ona już czuła się bardzo zmęczona. Nie odważyła się odwrócić, by sprawdzić, czy ktoś za nimi nie idzie. Czy ktoś nie śledzi ich w milczeniu, w środku nocy. Sama myśl o tym prawie ścięła ją z nóg. Uparcie wpatrywała się przed siebie w ginący w ciemności drzewny tunel, starając się nie myśleć o niczym innym. Najpotworniejszą rzeczą było dla niej to, że nie wie kto, nie wie kiedy i nie wie jak. I ta straszna pewność, że to będzie trwać dalej. Przez kolejne dni. Kolejne noce. Aż do wyczerpania. Aż...

Wiedziała. Ona zrobiła tak samo.

Uświadomiła sobie, że idzie z niemal zamkniętymi oczami. Potrząsnęła głową, by się obudzić. Spuściła wzrok i wpatrywała się w posuwające się krok za krokiem czubki swoich trampek. Machinalnie. Ale teraz coś się zmieniło. Nawierzchnia drogi była oświetlona. Każda grudka, każda nierówność, każda dziura i każda szczelina rzucała ciężki, czarny cień, a asfalt lśnił żółtym blaskiem jak folia aluminiowa w świetle lampy.

- MAMO! - Thomas prawie zawył.

Podniosła głowę. Zamrugła, oślepiona reflektorami na skraju prawego pasa. Samochód... naprzeciwko nich... w odległości niespełna trzystu metrów... Nieruchomy. Jego światła rozjaśniały wnętrze tunelu pod drzewami jak reflektor ustawiony w środku katedry. Miała wrażenie, że jej mózg zaczyna się rozplływać. A potem światła zgasły i nastąpiła całkowita ciemność. Tylko księżyc świecił na niebie. Mila nie słyszała niczego poza szumem wiatru. Uderzenia serca odbijały się echem w jej klatce piersiowej. Próbowwała się zastanowić. Co może zrobić? Ogarnęła ją panika. Nagle światła znów się zapaliły i usłyszała warkot

uruchamianego silnika.

- Mamo, mamo! - Thomas na jej plecach zaczął wrzeszczeć.

Poczuła, że jej mózg ustępuje jak tama, która pęka pod naporem wody. Przykucnęła i postawiła chłopca na ziemi. Odwróciła się w stronę domu. Wzięła syna za rękę.

- Biegnij! - zawołała. - BIEGNIJ!

Usłyszała, że samochód rusza i jedzie za nimi najpierw na pierwszym, a potem na drugim biegu.

## 42.

### FINAŁ

*(Taki jest kres tego, kto źle postępuje)*

Nazajutrz, dwudziestego czwartego lutego, Servaz zobaczył się z Fontaine'em w barze przy place des Carmes. To astronauta wyznaczył mu spotkanie. Na jego widok Léonard odsunął kufel z piwem i sięgnął do kieszeni kurtki.

- Cześć - powiedział.

Położył zdjęcia na wilgotnym stoliku i przesunął je w stronę Servaza.

- To jest to, o co pana prosiłem? - zapytał policjant.

- „Jakaś drobna rzecz” - potwierdził astronauta z uśmiechem. Servaz się pochylił. Od razu rozpoznał Milę. Wchodziła do bloku, w którym mieszkali Cordélia i Marcus. I wychodziła z niego, najwyraźniej niezadowolona. Zdjęcia wykonano z teleobiektywem.

- Jak pan to zdobył?

Astronauta wciąż się uśmiechał.

- To pan zrobił te zdjęcia?

Znowu uśmiech.

- À propos, nie wie pan, gdzie oni się podziali? - zainteresował się Fontaine.

Servaz popatrzył na niego.

- Cordélia i Marcus? Zniknęli bez śladu. Moim zdaniem wyjechali z kraju.

- Teraz mogą już być w Rosji - zasugerował Léo.

Pomyślał o dwudziestu tysiącach euro, które przelał na konto Marcusa, i o swoim telefonie do znajomych, którzy mieli innych znajomych... Nigdy by nie przypuszczał, że kiedykolwiek odbędzie taką rozmowę. Przelał pieniądze na pewne konto w Luksemburgu, podał rozmówcy godzinę lądowania i numer lotu. Zwłoki Marcusa nigdy nie zostaną odnalezione. A Cordélia o tej porze na pewno leci innym samolotem.

- Pytam jeszcze raz. To pan zrobił te zdjęcia?

- A czy to ważne? - odparł Léo. - Nie, prawda? Ważne, że ma pan to, czego pan chciał: dowód świadczący o powiązaniach między Milą a Marcusem i Corinne Délią. Którzy zbiegli i wobec których policja ma silne podejrzenia o udział w uprowadzeniu, a być może i zamordowaniu Christine Steinmeyer. To panu pozwoli uzyskać nakaz...

- Léo, powinniśmy pogadać w najbliższym czasie - powiedział Servaz, wstając ze

zdjęciami w ręku.

- Sądziłem, że już to zrobiliśmy - odparł astronauta. - Ale bardzo chętnie, komendancie. O czym pan zechce. Na przykład o kosmosie. To ciekawy temat.

Teraz Servaz się uśmiechnął. Czuł do tego faceta coraz większą sympatię. Co za idiota powiedział, że pierwsze wrażenie jest zawsze trafne?

\*

Otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Nikogo nie było na horyzoncie. Nad szarą równiną między topolami wstawał ponury dzień. Wróciła do środka, w szlafroku, z wynędzniałą twarzą i rozczochranymi włosami. Miła pamiętała czasy - wcale nie tak odległe - kiedy to ona była górą. Miała wrażenie, jakby od tamtej pory minęły wieki. Jakby ktoś od nowa potasował karty. Jak mogła tak szybko stracić dobrą passę? W którym momencie szala zaczęła się przechylać na jej niekorzyść?

Tej nocy po powrocie do domu zabarykadowali się i Miła wyłożyła na kuchenny stół wszystko, co mogło służyć za broń: noże ze stojaka, młotek, pogrzebacz z kominka, pistolet gazowy, długi widelec do mięsa z dwoma zębami. Na widok tego arsenału Thomas był przerażony. Popatrzył na matkę oczami wielkimi od strachu. Musiała mu podać lekki środek uspokajający, ukołysać go, ukoić, aż wreszcie zasnął na sofie w salonie. Sama zaś pokrzepiła się dwoma dżinami z tonikiem i czuwała do czasu, gdy za oknami zaczęło świtać.

Rano czuła się zbyt zmęczona, by się skupić, niezdolna do obmyślenia jakiegokolwiek strategii. Ostatnie godziny i dni wystawiły jej nerwy na ciężką próbę. Thomas jeszcze spał. Wypiła drugą kawę. Kiedy mały się obudzi, pójdą do Grouardów i poproszą o pomoc. Nagle usłyszała warkot nadjeżdżającego skutera doręczyciela prasy i wybiegła na zewnątrz.

- Ma pan telefon? - zapytała. - Mój jest zepsuty, samochód także. - Wskazała na otwarty garaż. - Jesteśmy tu uziemieni.

- To rzeczywiście pech - przyznał młody mężczyzna, podając jej komórkę.

- Ma pan pięć minut? Zadzwońię do serwisu...

Kiedy znowu wyszła z domu, młodzieniec zapytał:

- Zapomniała pani zakręcić wlew paliwa?

- Nie.

- W takim razie możliwe, że ktoś wrzucił tam jakieś świństwo. Pewnie wsypał cukier albo piasek. Naprawdę trzeba być debilem, żeby zabawiać się w taki sposób...

\*

Fachowiec potwierdził diagnozę: silnik padł. Patrząc za odjeżdżającym mężczyzną, poczuła dotkliwe zwątpienie. Thomas w dalszym ciągu spał. Włóczyła się po domu



nieprzytomna i rozczochna, a szuraniu jej pantofli towarzyszyło żalosne echo. Była wyczerpana, na skraju załamania nerwowego. Thomas nie pójdzie dziś do szkoły: pozwoli mu się wyspać. Chciała zadzwonić do pracy, by poinformować, że ona także nie przyjdzie, i wtedy przypomniała sobie, że nie ma telefonu. Cholera! Była na siebie wściekła. Powinna była zamówić taksówkę, kiedy dzwoniła po serwis! Włączyła komputer, by uruchomić Google, ale wyrok zapadł natychmiast: brak sygnału. Oczywiście. Przecież ten przeklęty Internet łączy się przez linię telefoniczną. Spojrzała na sufit.

Ktoś chce zniszczyć jej życie i najwyraźniej mu się to udaje. Zastanawiała się przez chwilę.

Listonosz! Powinien się wkrótce pojawić. Tego ranka czyhała na niego przez kilka godzin, w miarę upływu czasu coraz bardziej nerwowa, otulając się ciasno flanelowym szlafrokiem, ponieważ była przemarznięta do kości. A jeśli nie będzie poczty?

Jeśli on dzisiaj nie przyjdzie? Czują, że nie ma już sił, by iść do Grouardów. Co sobie pomyślą, gdy zobaczą ją w tym stanie? Może jutro... Kiedy się pozbiera. O ileż łatwiej było odpuścić, poddać się, zaczekać do jutra.

- Mamo, nie idę dziś do szkoły?

- Nie, kochanie. Dziś są wakacje. Idź do pokoju i pobaw się.

Nie trzeba mu było dwa razy mówić. Mila, siedząc w oknie, pilnowała drogi. Wreszcie zobaczyła nadjeżdżający żółty skuter. Wskoczyła na ganek, znowu zaczęła się tłumaczyć. Najpierw zadzwoniła do Isabelle, koleżanki z pracy.

- Mila, co się dzieje? - zapytała zaniepokojona Isabelle.

- Później ci wyjaśnię.

- Mila, to już czwarty raz w tym miesiącu. Plus tamte dwie sprawy...

Wiedziała, do czego Isabelle pije. Rzeczywiście zdarzyły się dwie poważne wpadki, kiedy pojawiła się na spotkaniach z ważnymi zagranicznymi partnerami w oplakanym stanie fizycznym, nie przygotowana jak należy dokumentów.

- Byłoby lepiej, gdybyś przyszła - nalegała Isabelle. - Tym razem to nie przejdzie, cholera, uwierz mi, jesteś już na cenzurowanym u dyrektora.

Wybełkotała słowa przeprosin i rozłączyła się. Była zbyt zmęczona, by wdawać się w dyskusję. Następnie wezwała taksówkę. Przede wszystkim musi wynająć samochód i sprawić sobie nową komórkę. Przerwać tę izolację...

- Proszę - powiedział listonosz, wręczając jej korespondencję i odbierając swój telefon. W jego oczach dostrzegła dezaprobatę dla swojego wyglądu.

W słabnym świetle patrzyła, jak się oddala. Od zachodu zbliżała się ściana chmur,

rozciągnięta na całą szerokość horyzontu. Niebo robiło się czarne. Grzmiało. W powietrzu kłębiły się kruki, niespokojne z powodu nadciągającej burzy. Wśród korespondencji zauważyła kopertę bez znaczka i adresu nadawcy. Podobną do tej, którą włożyła w wigilię Bożego Narodzenia do pewnej skrzynki na listy... Otworzyła ją drżącą ręką. Zdjęcia. Doznała szoku: ktoś sfotografował przekopaną ziemię u stóp starego, powykręcane drzewa... Trzy niemal identyczne zdjęcia grobu.

Na jej czoło wystąpiły krople potu.

W panice ruszyła przez las i dotarła do pagórka - gdy tymczasem zerwał się wiatr i spadły pierwsze krople deszczu - po czym biegiem ruszyła do kotlinki. Warstwa liści przykrywająca wykop była nienaruszona: wszystko pozostawało nietknięte.

Pod domem rozległ się dźwięk klaksonu.

Zapomniała o taksówce!

Deszcz zaczął padać gęściej. Miła zbiegła z pagórka. Usłyszała natarczywe trąbienie. Minęła dom i bez tchu, w strugach deszczu dobiegła do samochodu. Kierowca zaskoczony patrzył na jej strój i na nią samą: ociekający wodą szlafrok, błoto za paznokciami, ogrodowe chodaki uwalane błotem, mokre, rozczochrane włosy, błędne spojrzenie.

- Przepraszam, zapomniałam o panu! Jak pan widzi, nie jestem gotowa... Niech pan wraca do siebie.

- Cholera, a kto mi zapłaci za kurs? Droga damo, odnoszę wrażenie, że ma pani poważny problem - powiedział, obrzucając ją krytycznym spojrzeniem i bezczelnie pukając się palcem w czoło.

- Co pan mówi? Wynocha mi stąd! - wrzasnęła. - Ale już!

- Pieprzona wariatka - mruknął, wsiadając do samochodu. - Wykonał ciasny wiraż, bryzgając w jej stronę wodą i błotem. - Dziwka! - rzucił jeszcze, chcąc mieć pewność, że ostatnie słowo należy do niego. Słowo to przypomniało o napisach, które wciąż jeszcze widniały na ścianach łazienki.

\*

Znużona rzuciła okiem na resztę korespondencji. Faktury, gazetki reklamowe, promocje. Jej spojrzenie znowu stało się czujne: list nadany przez ASE<sup>21</sup>, instytucję opieki społecznej dla dzieci z Górnej Garonny. Targana złymi przecuciami rozdarła kopertę i wyjęła z niej złożoną na pół, zapisaną na maszynie kartkę.

---

<sup>21</sup> Aide sociale à l'enfance.

*Szanowna Pani,*

*Wpłynęło zgłoszenie dotyczące Pani osoby, wniesione przez Valérie Dévignes, dyrektorkę szkoły w Névac, oraz Pierre'a Chabrilla, nauczyciela, w związku z podejrzeniem o psychiczne i fizyczne znęcanie się nad synem Thomasem, lat pięć. Pański syn wielokrotnie przychodził do szkoły z siniakami na łokciach, kolanach i twarzy (do zgłoszenia dołączono zdjęcia). P. Dévignes i p. Chabrilac poinformowali też władze o częstych nieobecnościach Thomasa w ostatnim czasie, o jego braku zaangażowania w naukę, o jego niestabilnym zachowaniu i nawracającym smutku. W wywiadzie psychologicznym syn wyznał, że się pani boi.*

*ASE powołała zatem interdyscyplinarny zespół celem ustalenia stanu faktycznego. W najbliższym czasie zespół przeprowadzi rozmowę z panią. Tymczasem, zakładając powagę faktów, ASE złożyła już u prokuratora prośbę o przekazanie praw do opieki nad dzieckiem i wniosła powiadomienie do sędziego do spraw rodzinnych. Gdyby sąd postanowił przekazać nam opiekę nad Thomasem, przysługuje Pani prawo do wyrażenia opinii w sprawie wyboru ośrodka. Thomas także zostanie zapytany o zdanie. Opinie te nie będą jednak wiążące dla naszych służb.*

*Z poważaniem...*

Na moment Milę zamurowało. Po raz drugi przebiegła wzrokiem treść listu, który trzymała w drżącej dłoni. Dołączono do niego kilka zdjęć, na których rzeczywiście widać było siniaki na ramionach, nogach i twarzy Thomasa. Próbowała się z tego śmiać, ale jej śmiech przerodził się w szloch. To głupie! Thomas był odważnym, niezważającym na przeszkody chłopcem, który ciągle się o coś obijał i przewracał. Nieraz odwoziła go do szkoły z ranami i guzami, ale żeby sobie wyobrazić coś takiego...

Dawniej zareagowałaby błyskawicznie. Zadzwoiłaby do swojego adwokata i do tej idiotki dyrektorki, odsłoniłaby pazury i drapała, by sprawić ból, wylewając na nich całą siłę swojego oburzenia. Zrównałaby ich z ziemią. Wyobrazić sobie, że ona mogłaby choćby tknąć własnego syna! Teraz jednak była taka słaba, taka wycieńczona... Taka niepewna. Jutro... To może poczekać dzień albo dwa. Do czasu, aż zbierze siły. Czuła się tak bardzo zmęczona... Położyła list na kuchennym stole i naląła sobie jeszcze jeden dżin z tonikiem. Poszła do apteczki po opakowanie valium i od razu wzięła trzy tabletki.

\*

Servaz patrzył na notatki, które sporządził dzięki kilku rozmowom telefonicznym:

*Mila Hélène Bolsanski, urodzona 21 kwietnia 1977 roku w Paryżu. Jedyna córka Konstantina Arkadiewicza Bolsanskiego i Marie-Hélène Jauffrey-Bertin (którzy zginęli 21 sierpnia 1982 roku w wypadku samochodowym). Rodziny zastępcze, a potem pensjonat, gdzie jej oceny systematycznie się poprawiają dzięki wpływowi wychowawcy, pana Willma. Zostaje najlepszą uczennicą w klasie. Lekarka, specjalistka medycyny lotniczej, z doktoratem, a w roku 2008 druga kobieta w kosmosie na pokładzie Sojuza, a potem w Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.*

*W roku 1989 jako dwunastolatka dwukrotnie trafia do szpitala psychiatrycznego po próbach samobójczych (rozpoznanie: depresja, poważne zaburzenia osobowości). Następnie jest leczona farmakoterapią i psychoterapią. Po osiągnięciu pełnoletności wbrew woli wujów i ciotek przerywa leczenie. Jest znakomitą studentką, w dniu osiemnastych urodzin, 21 kwietnia 1995 roku, zaręcza się z Régisem Escande'em, także wbrew swoim bliskim. Zaręczyny zostają zerwane sześć miesięcy później. Warto zauważyć, że dwa lata później Escande popełnia samobójstwo w więzieniu, gdzie przebywa skazany za gwałt na nieletniej.*

*W roku 2003 zostaje wybrana przez Państwowy Ośrodek Badań Kosmicznych na astronautkę, a w 2005 dołącza do grupy astronautów Europejskiej Agencji Kosmicznej. Najwyraźniej ani CNES, ani ESA nie dysponowały wiedzą o istnieniu dokumentacji psychiatrycznej i kobieta zalicza wszystkie testy psychologiczne z sukcesem.*

*20 listopada 2007 wyjeżdża w towarzystwie Léonarda Fontaine'a do Gwiezdnego Miasteczka.*

Niewiele - ale pokrywało się to ze słowami Fontaine'a. Bez konkretnego powodu w jego wyobraźni pojawiło się wspomnienie domu Mili. Ujrzał długi korytarz prowadzący do kuchni, ciemny jak kopalniany chodnik, i dumną kobiecą postać kroczącą przed nim. Czy poczuł wtedy jakiś ostrzegawczy dreszcz? Czy miał jakieś przeczucie? Nie, nic z tych rzeczy.

Spojrzał na telefon leżący na biurku. Co ten Beaulieu wyprawia? Już dawno powinien być po rozmowie z sędzią. Dlaczego to tak długo trwa? Jego wzrok padł na paczkę papierosów. Wyjął jednego, wetknął sobie do ust, lecz nie zapalił. Odezwała się komórka.

- Servaz.

- Tu Beaulieu.

- I jak?

- Ta cholerna sędzina jest z tych, co to się zabezpieczają ze wszystkich stron, byle tylko chronić własną karierę: była astronautka, druga kobieta w kosmosie, celebrytka, sam rozumiesz... Musiałem nią trochę potrząsnąć. Wymieniliśmy parę grzeczności, ale udało się,

mamy nakaz. Rozumiem, że tym razem do nas dołączysz?

- Skoro proponujesz.

Zmiażdżył papierosa i po chwili miał w dłoni tysiąc drobinek tytoniu.

\*

Jej dziecko. Zamierzają odebrać jej dziecko. Powierzyć je obcym, jakiejś rodzinie zastępczej. On jest taki delikatny, tak bardzo zależny od niej. Co się z nim stanie? Jej Thomas, jej skarb. Nikt go nie dotknie! Ojciec się go wyparł, ona jest jego jedyną rodziną. Thomas, mój najdroższy, mój kochany, nie pozwolę im. Piła drugi, a może trzeci dżin z tonikiem - przestała już liczyć. Mieszanka, w której zawartość dżinu z każdym drinkiem była trochę większa. Tabletki przeszkadzały jej w myśleniu. Musi się pozbierać. Jutro... jutro będzie się czuła lepiej. Będzie walczyć.

O swoje dziecko, o siebie i swoje dziecko. Jest taka słaba, taka zmęczona...

Jutro...

\*

Znowu musiała biec do toalety, by zwymiotować. Śmierzący strumień żółci, dżinu i kawy chlusnął na emalię. Miała charczący oddech, a pot na skroniach, który wydobywał się przez wszystkie pory w skórze, sklejał jej włosy. Długo płakała, łkając na podłodze, oparłszy ciepły od gorączki policzek o zimną ścianę.

\*

Skradając się bosą, wspięła się na piętro i ruszyła do swojego pokoju. Przez uchylone drzwi rzuciła okiem na Thomasa. Chłopiec siedział na łóżku i grał na konsoli. Był skoncentrowany, ale uśmiechnięty, rozluźniony. Poczowała, jak słone łzy zalewają jej policzki, obmywają twarz i spływają do ust. Zeszła do kuchni. Przez długą, przerażającą minutę wpatrywała się w leżące na stole noże i na swój nagi nadgarstek wystający z rękawa szlafroka. Przez jej głowę jak błysk flesza przemknęło wspomnienie: ma dwanaście lat, zabandażowane nadgarstki i właśnie zabiera ją pogotowie.

\*

Rozpętała się burza. Za smagany deszczem szybami migały blade błyskawice. Rozległ się dzwonek przy drzwiach. Zadrżała. Czyżby to on przyszedł po swoje zwycięstwo? Ruszyła długim korytarzem.

- Mademoiselle Bolsanski?! Policja, proszę otworzyć! - rzucił głos zza drzwi.

Policja... To słowo przeszło ją jak strzała. Powoli otworzyła drzwi i zewsząd otoczył ją szum deszczu. Ktoś podstawił jej pod nos legitymację. Było ich kilku. W ociekających deszczem pelerynach i nieprzemakalnych kurtkach. W pomarańczowych opaskach na

ramieniu. Z ganku patrzył na nią niski glinka z fryzurą pudła. Ciekło mu z nosa. Wyprostował się, zmrużył powieki, by przebić się wzrokiem przez ulewę, i sięgnął do kurtki.

- Mam nakaz sądowy. Jeśli pani pozwoli, wejdę do środka - powiedział, patrząc wymownie na strumienie deszczu, które spływały mu do oczu.

Omiotła wzrokiem resztę grupy - złożonej z trzech mężczyzn i jednej kobiety - i nagle jej spojrzenie zatrzymało się na glinkie, który stał trochę na uboczu ze spuszczonej rękami. Rozpoznała go. To jemu wysłała klucz do pokoju 117 i zdjęcie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Wielokrotnie był na pierwszych stronach gazet. Powierzyła mu swój dziennik. Stał tam, bez ruchu, na deszczu. Z gołą głową. Patrzył na nią w milczeniu. Ich oczy spotkały się i przez kilka niekończących się sekund toczyli pojedynek na spojrzenia.

W tym momencie Mila zrozumiała, że przegrała.

To, co wydarzyło się później, docierało do niej w postaci okruchów, przebłysków, bezładnych fragmentów. Słowa na zadrukowanym kawałku papieru: *oficer policji kryminalnej... działałam na mocy nakazu podpisanego niżej... stawiam się celem przeprowadzenia rewizji w domu Mili Bolsanski (jej imię i nazwisko wpisano długopisem)... przyjęty przez tegoż (sic)... przedstawiając się z imienia i nazwiska...* Pieczętka, podpis. Kręciło jej się w głowie. Rozpierzchli się po wszystkich pokojach. Dłońmi w rękawiczkach podnosili poduszki, otwierali książki, pudełka z płytami CD, szuflady, szafki, kosze na śmieci, drzwi...

- Mamo, kim są ci ludzie? - rzucił Thomas, biegnąc w jej stronę.

- Nikim, skarbie. To policjanci - odpowiedziała, przyciskając go do siebie.

- Czego oni szukają?

- To ja ich poprosiłam, żeby przyszli, są tutaj, żeby nam pomóc - skłamała.

Spojrzała na mężczyznę, który złożył jej wizytę w styczniowy wieczór, który przeczytał jej dziennik i o którym sądziła, że ma go w garści. Nie brał udziału w przeszukaniu. Poprzestawał na obserwowaniu jej i od czasu do czasu ze smutną miną spoglądał na Thomasa.

- Dlaczego im pan nie powie? - rzuciła w jego stronę. - O tym, co pan... co panu pokazałam?

- Ponieważ ten dziennik jest fałszywy - odparł.

Zachwiała się. Ogarnęła ją rozpacz. Myśli kłębiły jej się w głowie, nachodziły na siebie nawzajem. Objęła Thomasa, przycisnęła go do łona, chwyciła w dłonie jego buzię i ucałowała blade czoło. Zanurzyła wzrok w ślicznych oczach jasnowłosego synka.

- Kocham cię, nie zapomnij o tym nigdy, skarbie.

- Wszystko w porządku, mam - powiedział, jakby nagle stał się głową rodziny i

uświadomił sobie, że teraz to on powinien ją chronić.

- Tak... Wszystko w porządku - powtórzyła z wilgotnymi oczami.

Delikatnie go odsunęła. Bała się, że się przewróci i pociągnie go za sobą. Chłopiec patrzył na matkę z zaniepokojoną miną. Był rozwinięty ponad wiek: miał inteligencję, dojrzałość siedmio-, ośmiolatka. Młoda kobieta o zadziwiająco brzydkiej twarzy wybrała właśnie ten moment, by wpaść do domu przez drzwi wychodzące na pergolę i las.

- Chodźcie zobaczyć! - zawołała. - Myślę, że coś znalazłam!

Poszli za nią, a jeden z policjantów poprosił Milę, by włożyła coś na siebie i dołączyła do nich. Inny został z Thomasem. Krople deszczu bębniły o kaptury, tłusta ziemia i liście kleiły się do butów. Weszli na pagórek w ślad za młodą policjantką, brnąc w deszczu i błocie, w tym płynnym świecie bez początku i końca. Milla miała wrażenie, że się cofa, że zanurza się w wilgoć i spokój wód płodowych. Spokój: nareszcie. Wiedziała, dokąd idą. Znaleźli...

\*

Młoda kobieta klęczała przy starym sękatym drzewie, powykęcany niczym jakiś szalony gimnastyk. Spomiędzy jego korzeni i warstwy liści, którą częściowo odgarnęła, ukazywał się ciemny prostokąt świeżo przekopanej ziemi. Jej niebieskie rękawiczki były uwalane ziemią. Podniosła ku Mili swoją szpetną twarz wyłaniającą się spod kaptura. Pozostali też na nią patrzyli. I we wszystkich tych skupionych na sobie spojrzeniach czytała jedno - „winna”, „winna”, „winna”.

- Co to jest? - zapytał pudel.

Nie odpowiedziała.

- Wezwijcie techników - powiedział ten, który nazywał się Servaz, patrząc na nią neutralnym wzrokiem. - I zawiadomcie prokuratora.

\*

Grzmoty przetaczały się po niebie z hukiem, przywodząc na myśl teatralnego imitatora dźwięków potrząsającego blachą. Jeszcze przed pierwszym wbiciem łopaty technicy w białych kombinezonach pobrali próbki ziemi i liści i zapieczętowali je w próbkach. Robili zdjęcia z lampą błyskową, przykładając taśmy z podziałką, aby określić wymiary dołu. Z powodu szybko słabnącego światła zainstalowano reflektory, których kable wiły się w błocie jak węże. Wszyscy wpatrywali się w wykop oświetlony ostrym blaskiem, który przecinały strugi deszczu. Dół był pusty... Mężczyźni z brygady identyfikacyjnej wymieniali wściekłe spojrzenia, strzelając rękawiczkami z białego lateksu.

- Dzięki, chłopaki. Przypominam, że pierwszy kwietnia jest za półtora miesiąca.

Policjanci spojrzeli po sobie, a potem odwrócili się w kierunku Servaza.

- Cholera - podsumował Beaulieu, zbierając się do odejścia. - Pusty dół - powiedział, usadowiwszy się za kierownicą.

Wszyscy poza ich dwójką już odjechali.

- Nie został wykopany bez powodu - powiedział Servaz, spoglądając na dom przez spływającą deszczem przednią szybę.

- Nie. W dodatku ta dziura w środku lasu wygląda zupełnie jak jakiś pieprzony grób. Więc dlaczego jest pusta?

Servaz wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Ona na pewno mogłaby nam powiedzieć. - Beaulieu wskazał na dom.

- Nie będzie mówiła.

- Więc co robimy?

- Czekamy.

- Na co?

- Na wyniki ekspertyz próbek. Wystarczyłaby odrobina DNA...

\*

Usiłuje zasnąć, ale nie może. Tamci dawno już odjechali. Burza wokół domu nie rozluźniła uścisku. Wręcz przeciwnie. Usiłuje zasnąć, ale jej się nie udaje. Jak mogłaby spać, skoro grób w lesie jest pusty? Co to znaczy? Próbuje pojąć sens tego znaleziska, ale jej myśli są tak bardzo pogmatwane, poplątane. Przecież sama zabiła tę dziwkę, widziała, jak jej ciało podskakuje trafione pociskami, a potem sztywnieje. Widziała krew. Widziała, jak Marcus przysypuje zwłoki pierwszymi łopatami ziemi. Potem zostawiła go, żeby dokończył robotę, i zeszła do domu.

Czyżby przeniósł gdzieś ciało? Ale w jakim celu? Bał się, że któregoś dnia dotrą do niej, a przez nią do niego? Nie ma go tutaj, więc jej nie odpowie. Gdzie się podział? Gdzie oni się podzieli, Cordélia i Marcus?

Mila wsłuchuje się w ciszę. Jest jej zimno, ma dreszcze, trzęsie się. Leży bez ruchu, skulona pod kołdrą. Jej umysł ogarnia odrętwienie. Przez zasłony wpada blask błyskawic i rozświetla sufit. Cały dom pogrążony jest w ciszy. I nagle do jej uszu dochodzi muzyka.

Z parteru: płynie w górę po schodach, rozchodzi się po korytarzu, przez uchylone drzwi wpełza do pokoju. Nie ma wątpliwości, to nie sen, to opera. Mila rozpoznaje ją od pierwszych taktów: trzeci akt *Madame Butterfly*. Ten, w którym Cio-cio-san popełnia samobójstwo. Ogarnia ją lodowate zimno. Duet Pinkertona i Sharplessa dochodzi z parteru:



SHARPLESS

*Porozmawiaj z tą dobrą kobietą*

*I przyprowadź ją tutaj.*

*Nawet jeśli Butterfly ją zobaczy.*

*To nie ma znaczenia.*

*Będzie nawet lepiej,*

*Jeśli zrozumie prawdę, kiedy ją zobaczy.*

PINKERTON

*Ale tu panuje nieznośna atmosfera.*

Rozpoznaje głos Pinkertona. To szwedzki tenor Nicolai Gedda, wersja Herberta von Karajana z Marią Callas w roli Madame Butterfly - nagranie pochodzi z jej płytki.

Siada w swoim dużym łóżku, głos niewzruszenie przenika zalegające w domu ciemności. Thomas... Obudzi się... Patrzy na czerwone wskazówki budzika: przesuwają się z trzeciej pięć na trzecią sześć. Szybami znowu wstrząsa grzmot. Mila szeroko otwiera oczy.

*Tak, w jednej chwili widzę*

*Cały rozmiar mojej winy*

*I dobrze wiem, że w tej udręce*

*Nigdy nie zaznam wytchnienia.*

Ta muzyka... Mila jest bliska płaczu.

*Żegnaj, ukwiecona przystani, żegnaj ukochane miejsce.*

Zrzuca z siebie kołdrę, wstaje z łóżka, narzuca szlafrok. Ma pustkę w głowie, jest bez sił. Jak lunatyczka idzie do drzwi, wychodzi na korytarz. Przyciska włącznik, ale oczywiście nic się nie dzieje.

Drzwi do pokoju Thomasa są zamknięte.

Trzy kroki i jest przy schodach. Z dołu dochodzi jakiś blask, przytłumiony i odległy.

Gdzieś musi być zapalona lampa. Pstryka włącznikiem na klatce schodowej, ale tak jak przewidywała, bez skutku. Rusza więc w dół, licząc stopnie w nikłym świetle, które ma do dyspozycji. Jej serce dopasowuje się do rytmu muzyki, jakby stała za kulisami i za chwilę

miała wkroczyć na scenę.

Pod ostrzałem tysięcy uważnych spojrzeń utkwionych w niej w ciemności. Z nadzieją na triumf, z lękiem przed porażką.

Na dole rozlega się donośniejszy, wyraźniejszy mezzosopran Lucii Danieli w roli Suzuki:

*Pośród tego cierpienia*

*Będzie wiele płakać.*

Jej źrenice wpatrują się w półmrok. Już wie, że światło pochodzi z korytarzyka prowadzącego do łazienki, po drugiej stronie kuchni. Przechodząc przez nią, Mila bierze ze stojaka jeden z noży. O Panie, ta muzyka! Co za piękno! Jakiż smutek! Wreszcie rozlega się głos Marii Callas - Madame Butterfly:

*Suzuki, Suzuki! Gdzie jesteś?*

Znowu grzmot. Rekwizytor za kulisami bębni raz za razem. Mila przechodzi przez kuchnię i rusza korytarzykiem. Robi się coraz jaśniej. Uchylone drzwi po lewej... Nie myliła się. Światło dochodzi z łazienki.

*On tu jest, on tu jest! Gdzie się schował?*

Końcami palców popycha drzwi, w drugiej dłoni trzymając nóż. W powietrzu unosi się ciężki, odurzający zapach wosku, a blask kilkadziesiątu świeczek tańczy na suficie i ścianach jak pożar. Tańczy również na twarzy denatki, która nie jest denatką, na jej ogolonej czaszce, na której odrósł delikatny puszek. Tańczy w jej źrenicach, w jej nieruchomym, spokojnym i zdecydowanym spojrzeniu, otoczonym oceanem czarnej maskary, i przez chwilę Mili wydaje się, że wpada w obłąd. Madame Butterfly jest tutaj! Cio-cio-san. W swoim ciemnym kimonie, z twarzą upudrowaną na biało, o oczach jak dwie szparki, o ustach cienkich jak szrama po ostrzu skalpela.

Ale ten obraz się rozprasza i jest jeszcze gorzej. Duch. Zjawia.

Niewyraźne widmo za kłębami pary unoszącej się w pomieszczeniu. Duch ma na sobie męskie ubrania. Celuje do niej z broni.

- Dobry wieczór - mówi Christine, gdy tymczasem Callas nie przestaje śpiewać:

*Ta kobieta! Czego ona ode mnie chce?*

Jej głowa jest pusta. Myśli o Thomasie. Jak on może spać przy tej muzyce?

- Wyrzuć ten nóż - mówi Christine. - Rozbierz się i wejdź do wanny.

Mogłaby odmówić, opierać się, ale po co? Wszystko - muzyka, jej słabość, ogromne zmęczenie ostatnich dni i ten ostatni akt, który niesie się po całym domu - skłania ją do posłuszeństwa. Nie ma już własnej woli, nie ma ochoty, by walczyć. Jest po prostu zmęczona. Zresztą wycelowana w nią broń w ręku ducha nie pozostawia wielkiego wyboru. Wypuszczony z dłoni nóż z brzękiem uderza o podłogę, a następnie ubrania jedno po drugim spadają jej na stopy. Otula ją para unosząca się z wanny i wypełniająca całe pomieszczenie. Ciało Mili momentalnie zaczyna lśnić od potu.

- Zapraszam - nalega spokojnie Christine.

Przez dłuższą chwilę Milla stoi bez ruchu. Następnie przekłada nogę przez brzeg wanny. Zauważa leżącą na nim brzytwę fryzjerską. Narzędzie jest otwarte: długie ostrze lśni w roztańczonym blasku świec. Zanurza nogę w gorącej wodzie, później całe ciało. Siada na dnie. Przez moment czuje się dobrze. Doświadcza ulgi, uwolnienia, jakie daje rezygnacja z kontroli. Znowu pływa w wodach owodniowych. Ale przecież jest Thomas.

- Mój syn! - woła nagle.

- Nie martw się. Śpi. Zaopiekujemy się nim.

- My?

Z zewnątrz dochodzi śpiew Butterfly:

*Chcą mi wszystko odebrać! Mój syn!*

*O ja nieszczęsna matka! Wyrzec się własnej krwi.*

- Jego ojciec i ja - mówi Christine. - Léo zajmie się swoim synem, uzna go i wychowa. Przyrzekł mi to. A Thomas będzie nosił podwójne nazwisko: twoje i jego. Pójdzie do najlepszych szkół, otrzyma najlepsze wykształcenie. Léo nigdy nie powie Thomasowi, co się naprawdę wydarzyło. Nie zdradzi mu, co zrobiła jego matka. Powie mu, że jego mama miała wypadek. Przysiągł, że tak będzie. Ale jest jeden warunek...

Milla mruga powiekami z powodu pary i potu spływającego jej po twarzy. Słucha tego, co mówi duch, usiłuje zrozumieć. Stopniowo słowa przenikają do jej świadomości. Torują sobie do niej drogę. A wraz z nimi ich przerażające znaczenie.

- Jaki warunek? - szepce w końcu słabym, ledwie słyszalnym głosem.

Spojrzenie ducha kieruje się na otwartą brzytwę leżącą na brzegu wanny. Mila drży.

- Widziałam, jak umierasz - mówi do ducha. - Zastrzeliłam cię.

- To były ślepaki - odpowiada Christine.

- A krew?

- Proste kinowe gadżety schowane pod ubraniem: małe torebeczki z czerwoną farbą, które pękają w wybranym momencie. Bardzo łatwo je kupić. Musiałam tylko udawać konwulsje w chwili uderzenia. I ugryźć się w język do krwi.

- Ale... Marcus?

- Kiedy poszłaś do domu, pomógł mi wyjść z dołu. - Uśmiecha się. - A ten niby narkotyk, który mi podałaś, to zwykłe witaminy, jakie można dostać w każdej aptece.

- Dlaczego?

- Dlatego że Marcus sprzedaje się temu, kto daje więcej, Mila. Powinnaś o tym wiedzieć. Léo i ja rozbiliśmy nasze skarbonki. Przecież sama powiedziałaś: „Marcus nie jest szczególnie ciekawski. Nie zadaje pytań. Z wyjątkiem pytań dotyczących jego honorarium”. Powiem ci, że przekonanie go nie było trudne. Choć poszło na to całe moje ubezpieczenie na życie. Kiedy tamtego ranka dostałam wiadomość podpisaną przez Denise, od razu zrozumiałam, że to pułapka. Léo zdążył do mnie zadzwonić i powiedzieć mi, że tego dnia coś się wydarzy. Dowiedział się tego od Marcusa, który wiedział od ciebie. To Marcus wszystko zorganizował. Miał wybór: albo to, albo więzienie.

- Gdzie on jest?

- Kto? Léo? Powiedziałam mu, żeby dziś wieczorem pilnował tego gliny.

- A... Marcus?

- Obawiam się, że użyźnia już swoją ukochaną rosyjską ziemię. Kupiliśmy mu bilet do Moskwy, ale boję się, że ktoś tam na niego czekał. Wiesz, jednak podał mi narkotyk, zgwałcił mnie i, kurwa, poderznął gardło mojemu psu. Ale w sumie wykonywał tylko twoje polecenia, prawda?

Cisza. Mila zerka na leżącą na brzegu wanny brzytwę. Mogłaby spróbować ją złapać i rzucić się z nią na ducha. Wie jednak, że duch byłby szybszy. Myśli o Léo, o swoim synu, o nich dwóch... razem... wreszcie razem. Muzyka to opada, to się wznosi. Cała sala spija słowa z jej ust. Spija jej oddech. Publiczność jest w transie, zastygła w ekstazie.

I oto wreszcie rozlega się tak bardzo wyczekiwana aria końcowa: *Con onor muore. Umiera z honorem... ten, kto nie może żyć z honorem...*

Tak. Czemu nie?

- Więc te żarówki, nudności, przebite opony, hipermarket, to wszystko twoja sprawa?

Jest taka zmęczona...

- Tak.

- Jak to zrobiłaś?

Tak bardzo znużona tym wszystkim...

- Ale co?

- Wszystkie te noce, kiedy chorowałam, kiedy nie mogłam zasnąć. Wyrzuciłam żywność, kupiłam w aptece nowe leki. Jadłam to samo co Thomas, ale on nie chorował.

Duch wskazuje lufą pistoletu na drugi koniec wanny. Mila podąża za nią wzrokiem. Z początku nie rozumie. I nagle doznaje olśnienia. Sole do kąpieli! Co wieczór brała kąpiel. Po tym, jak położyła Thomasa do łóżka. Thomas nie, on myje się pod prysznicem. Nagle duch bierze do ręki pilota, wciska guzik i muzyka w jednej chwili milknie.

- Obserwuję cię od tygodni. To, co można dziś dostać na rynku, to czyste szaleństwo. Miniaturowa kamera w kuchni, w twoim pokoju, w łazience: ot, i cała sztuczka. Mila, wiem być może więcej o twoich zwyczajach i drobnych natręctwach niż ty sama. A ten system alarmowy, który zainstalowałaś? Wybacz, ale to śmieszne. - Christine wyciąga z jednej z licznych kieszeni spodni prostokątne czarne pudełko z trzema antenkami. - Zakłócać fal - wyjaśnia. - Sto euro w Internecie. Włamywacze mają przed sobą piękne dni.

- Przez ciebie chcą mi odebrać syna - wyrzuca z siebie Mila w ostatnim przypiływie buntu.

Christine patrzy na nią. Powstrzymuje się od wyjawienia jej, że list z pomocy społecznej to fałszywka, że sama go napisała. Pochyla się nad Milą, tak że jej twarz znajduje się kilka centymetrów od twarzy kobiety.

- Dlatego powinnaś pozwolić Léo, by wychowywał swojego syna. Ale dość tego gadania. - Ruchem broni wskazuje na brzytwę, a Mila nie dostrzega coraz silniejszego drżenia dłoni trzymającej pistolet ani łez na jej policzkach. - Skończysz ze sobą tej nocy, a ja dopilnuję, żeby Léo zaopiekował się Thomasem, żeby go uznał i wychował. Masz moje słowo. - Grzbietem dłoni w rękawiczce Christine ociera z twarzy pot i łzy. Jej oczy lśnią w otoczeniu czarnej maskary. - Albo odmówisz i pójdiesz do więzienia. A Thomas trafi do jakiejś rodziny zastępczej, a potem do następnej i do kolejnej... I wiesz, co się z nim stanie? Tego dla niego chcesz? Teraz decyzja należy do ciebie, Mila. Wyłącznie do ciebie...

\*

- Czy mogłabyś włączyć muzykę? Proszę. Chciałabym usłyszeć zakończenie.

Christine bierze do ręki pilota. Muzyka zaczyna grać od miejsca, w którym się

zatrzymała: ostatni akt. Głosy mieszają się ze sobą, odzywają się jeden po drugim, łączą się.

- Mila?
- Zmęczona...
- Co?
- Jestem zmęczona...
- Możesz się od tego wszystkiego uwolnić, Mila.

*Ty, ty - śpiewa Callas,  
Moje małe bóstwo, miłości moja, kwiecie lilii i róży,  
Obyś się nigdy nie dowiedział, lecz to dla ciebie  
Dla twoich czystych oczu  
Umiera Butterfly.*

Następuje długa chwila milczenia, podczas której obie kobiety słuchają muzyki. A potem nagle Mila sięga po brzytwę. Christine patrzy na nią. Bez słowa. Słone krople szczypią ją w oczy, widzi też pot na twarzy Mili.

*Przyjrzyj się dobrze,  
Obojgiem oczu twarzy swojej matki,  
By zapamiętać jej obraz.  
Przyjrzyj się dobrze!  
Miłości moja, żegnaj, żegnaj!  
Moja mała miłości!*

- Zmęczona... jestem taka zmęczona...
- Więc odpocznij, Mila.
- Kochał mnie.
- Wiem, mówił mi o tym - kłamie Christine.

Mila się uśmiecha. Błądząc wzrokiem w oddali, jednym precyzyjnym, nieśpiesznym ruchem rozcina skórę przedramienia - mięsień, tętnicę promieniową, od łokcia po nadgarstek. Lewa ręka. Przekłada brzytwę. Prawa ręka - nieco mniej wprawnie. Krew zaczyna płynąć - dwa gejzery tryskają wprost na emalię wanny, która barwi się na czerwono.

Z każdym uderzeniem jej rozkołatanego serca pojawia się kolejna fala krwi. A potem nagle puls zwalnia. Mila czuje, jakby jej tułów nagle zanurzał się w lodzie. Ma wrażenie, że

zamarza w zawrotnym tempie, jak staw w środku zimy.

Muzyka wznosi się, osiąga apogeum. Gdy rozlega się końcowy okrzyk Pinkertona, z oczu Mili wypływa ostatnia łza.

*Butterfly! Butterfly! Butterfly!*

Ostatnie pięć minut Christine poświęciła na zacieranie śladów i przygotowanie się do wyjścia. Z kieszeni spodni wyjęła telefon Mili, wetknęła go w jej zimne palce i wybrała numer. Kiedy wreszcie ktoś odebrał, wyszeptała cicho:

- Błagam... Przyjedźcie szybko... Umieram... Mój syn jest sam...

- Co? Co? Może pani powtórzyć? Proszę pani?

Powtórzyła i zostawiła aparat w martwej dłoni na brzegu wanny. Nagle odwróciła się w stronę drzwi i drgnęła. Na progu stał Thomas. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Zamrugała i obraz zniknął. To tylko cień w korytarzu... Wyszła z łazienki i ruszyła na piętro w plastikowych ochraniaczach na mokrych trampkach. Uchyliła drzwi - chłopiec spał, ssąc kciuk. Nagle poczuła wzbierające nudności, pośpiesznie wróciła na parter wielkiego, cichego domu i pobiegła do wyjścia. Wielkimi haustami wciągała w płuca wilgotne powietrze. Żeby tylko nie zwymiotować... Nie tutaj... Nie teraz... Zostawiwszy drzwi domu otwarte na oścież, pobiegła do zaparkowanego nieco dalej samochodu. Zdjęła ochraniacze i rękawiczki, dopiero gdy znalazła się w środku. Zapaliła cicho, dojechała do tunelu pod drzewami, ruszyła prawym pasem i na skrzyżowaniu skręciła. Deszcz przestał padać. W prześwicie między chmurami pojawił się księżyc. Noc była wietrzna. Zatrzymała samochód. Zgasiła silnik, wyłączyła światła i wyskoczyła na zewnątrz. W jednej chwili żółć wezbrała i Christine zwróciła kolację do wypełnionego wodą rowu tuż przy przednim kole.

Oddychała długo i chrapliwie, usiłując uspokoić bicie serca. Usadowiła się za kierownicą i siedziała w bezruchu. Czekwała. Burza się oddalała. Pioruny były już tylko bladymi rozbłyskami na nocnym niebie, grzmoty przerodziły się w odległe pomruki. Upłynęło trzynaście minut, zanim usłyszała charakterystyczną syrenę, a potem zobaczyła, jak z całym pędem mija ją furgonetka żandarmerii. Światła wozu przesuwały się szybko w drzewnym tunelu, migocąc wśród pni. Sięgnęła po lornetkę i wypatrzyła samochód w chwili, gdy parkował przed domem. Zobaczyła, jak wysiadają i wpadają do środka. Było ich trzech.

Włożyła lornetkę do schowka i przejrzała się w lusterku znajdującym się w osłonie przeciwsłonecznej. Jej spojrzenie w blasku sufitowej lampki było puste. Czerń źrenic rozlewała się na całe tęczęówki. Nie poznawała własnej twarzy.

Cicho zamknęła drzwi i odjechała w ciemną noc.



## EPILOG

Kolejny cud życia. Była pod koniec piątego miesiąca i jej brzuch ładnie się zaokrągłał. Wiedziała, że mózg i rdzeń kręgowy dziecka są już całkowicie ukształtowane i że do końca swego dorosłego życia nie przybędzie mu już żaden dodatkowy neuron.

- Przykro mi, Léo juniorze, będziesz musiał sobie radzić z tym, co masz. Mam tylko nadzieję, że będziesz umiał jak najlepiej to wykorzystać. Liczę na ciebie.

Miała zwyczaj mówić do niego i nazywać go Léo, choć jeszcze się nie dogadali w sprawie imienia. Ojciec chciał, by mały nazywał się Mathis albo Louis. Nie wiedział o tym, ale ona już postanowiła, że będzie Léo, koniec, kropka.

Odwróciła głowę w kierunku uchylonych przeszklonych drzwi.

Słońce wstało niecałą godzinę wcześniej, ale już było gorąco. Była głodna. A ściślej mówiąc, była głodna jak wilk. Ciągłe by żarła. Miała ochotę na obfite śniadanie: płatki, kawa, sok owocowy, pieczywo maczane w jajkach na miękko, masło, dżem... Ciekła jej ślinka. Uśmiechnęła się. Czula się wspaniale: nudności i zmęczenie pierwszych miesięcy zniknęły. Była w doskonałej formie.

Léo poruszył się i otworzył oczy.

- Nie śpisz już?

Spojrzał na nią. Potem, niemal natychmiast, jak każdego ranka, jego wzrok powędrował w stronę jej brzucha.

- Cześć, Mathis - powiedział, dotykając dziecka.

- Léo.

- Cześć, Louis.

- Léo.

- Nie rusza się.

- Dużo śpi, to normalne.

Spojrzał na nią. Jakoś inaczej.

- W takim razie nie zorientuje się, jeśli... - A ponieważ nie zareagowała, dodał: - Jesteś cudowna, wiesz, ta ciąża cię...

- Ciii...

Przez chwilę całowali się i pieścili. Letnie słońce grzało coraz mocniej, a temperatura ich ciał rosła i Christine zauważyła, że się poci.

- Thomas tak szybko się nie obudzi, a Karla przyprowadzi dzieci nie wcześniej niż o

dziewiątej - szepnął jej do ucha. - Mamy mnóstwo czasu na...

- Ciii...

Zaśmiała się. Była dopiero szósta rano. Przechyliła się w stronę szafki nocnej i wyjęła z szuflady pudełko prezerwatyw. Próbowwała nie pamiętać, co one oznaczają. Tamtej nocy Marcus nie kłamał. Zanim odszedł z tej ziemi, zostawił po sobie ostatnią pamiątkę. W jej krwi. Christine była zakażona. Leczenie nic nie dało. Byli skazani na zabezpieczanie się do końca życia. Kiedy Léo oświadczył, że chce mieć z nią dziecko, długo się zastanawiała. Zasięgnęła informacji i dowiedziała się, że ryzyko przeniesienia HIV z matki na płód jest bardzo niewielkie (mniej niż jeden procent), jeśli matka znajduje się pod ścisłą kontrolą lekarza i od drugiego trymestru ciąży stosuje kurację przeciwretrowirusową. Wiele zakażonych kobiet dzięki temu zostało matkami.

A ponieważ Léo nie był nosicielem, zastosowali starą dobrą metodę „zapłodnienia chałupniczego”. Krzywiła się na wspomnienie tego rytuału, który powtarzali do czasu, aż bóg płodności zgodził się wynagrodzić ich wysiłki: każdego ranka po obudzeniu mierzyła temperaturę i kiedy nadszedł ten dzień, zbierali spermę Léo do prezerwatywy bez środka plemnikobójczego, po czym wciągali ją w małą strzykawkę bez igły, a następnie Léo osobiście wstrzykiwał swoje nasienie do jej pochwy. Na szczęście za trzecim razem się udało. Dla maksimum bezpieczeństwa poród odbędzie się przez cięcie cesarskie. Wiedziała, że nie będzie mogła karmić piersią.

Kochali się przy otwartych drzwiach na taras. Gdyby ktoś przechodził ścieżką w pobliżu domu, mógłby ich zobaczyć, ale mieli to gdzieś. Christine poddała się, zanurzając palce w jego włosach. Podłożył poduszkę pod jej biodra: zbliżenie było bardzo delikatne i powolne, jak to lato, które ciągnęło się w nieskończoność. Zastanawiała się, czy Léo junior może czuć to, co się dzieje, to zespolenie ich pragnień i lęków, nadziei i obaw, i czy czuje miłość swoich rodziców. Tak, naprawdę kochali się teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Tajemnica, w jakiej musiała żyć przez kilka miesięcy, podczas których ukrywał ją przed wszystkimi, łącznie z własnymi dziećmi, ryzyko, jakie razem podejmowali, ich wspólny sekret i obecność Thomasa niewyobrażalnie wzmocniły ich związek. Poza tym Christine się zmieniła. Musiała uznać, że za sprawą tych doświadczeń stała się kimś innym. I była świadoma, nawet jeśli czasem jej to ciążyło, że Léo jest zakochany właśnie w tej nowej Christine.

Oparł się na łokciu i spojrzał na nią.

- Wyjdiesz za mnie?

- He?

- Dobrze słyszałaś.
- Dopiero się rozwiodłeś i już chcesz się zenić?

Zaśmiał się.

- Wiem, co sobie myślisz... - Przestał się śmiać i zrobił poważną minę, z którą wyglądał prawie komicznie. - Zazwyczaj mężczyźni są wierni na początku, a niewierni stają się później. Ja zacząłem od końca.

- To znaczy?
  - Że możesz liczyć na moją wierność, w granicach rozsądku.
  - W granicach rozsądku?
  - Powiedzmy na dziewięćdziesiąt osiem procent. Może być?
  - A jeśli dwa procent przeważy?
  - Obiecuję, że nigdy cię nie okłamię i nie będę przed tobą niczego ukrywał.
  - Na początek brzmi nieźle, ale nie jestem pewna, czy to wystarczy. Zdajesz sobie sprawę, że to trochę nietypowe oświadczenie?
  - Jeśli chciałaś typowych, trzeba było się związać z księgowym. Nie musisz się zgodzić
- dodał. - A przynajmniej nie od razu...
- Też tak myślę.
  - A zatem nie?
  - Tak. Ale tylko dlatego, że nie muszę.

\*

Tego ranka obudziła go muzyka. Jak co dzień. Oczywiście Mahler. *Das Klagende lied*. Pierwsza pieśń nosiła tytuł *Waldmarchen* - „Legenda leśna”. Servaz uśmiechnął się i pomyślał, że on także ma bajkę mówiącą o lesie. Muzyka narastała. To prezent od córki - jego córki, która teraz mieszka za oceanem wśród karibu, szarych wiewiórek i kur Chantecler.

Usłyszał syrenę policyjną, warkot motorynki, rozejrzał się dookoła i przez moment był dezorientowany, ale wreszcie rozpoznał swój pokój. Nie ten na poddaszu. To był jego pokój. Jego mieszkanie. Usiadł na swoim łóżku, przeciągnął się i przypomniał sobie, że czeka na niego jego praca i biurko. Wziął prysznic, ubrał się, wypił czarną kawę i po piętnastu minutach był już w drodze do komendy policji.

Ruchomymi schodami wyjechał z metra, przeciął plac przed wysoką fasadą z cegły, w której znajdowało się łukowate wejście z okalającym je prostokątnym freskiem. Za każdym razem Servaz zastanawiał się, co on może oznaczać. Zakurzone liście wzdłuż Kanału Południowego były skąpane w słońcu, brzegiem biegali ludzie w odbłaskowych koszulkach ze słuchawkami w uszach. Bulwarem ciągnęły samochody. Funkcjonariusze policji przypinali

rowery do stojaków, wchodzili po schodach i znikali za obrotowymi drzwiami. Dziwki stacjonujące nieco dalej nad kanałem poszły już spać i pracownicy służb oczyszczania miasta zbierali wiszące na krzakach prezerwatywy, a także strzykawki. Dealerzy liczyli utarg, miejscy czatownicy właśnie się budzili. To była partytura tego miasta, jego codzienna opera: chór samochodów i autobusów, arioso godzin szczytu, kadencja zbyt łatwo zarobionych pieniędzy, leitmotiv zbrodni. Czuł się zadziwiająco dobrze. Znał tę muzykę na pamięć. To było jego miasto i jego muzyka. Zna każdą jej nutę.

Akta czekały na jego biurku.

Szybko je przejrzał i zszedł na parking po służbowy samochód. Wyjechał z Tuluzy na południowy zachód i przez niespełną godzinę przemierzał podrzędne drogi. Nowoczesny dom z basenem, białymi barierkami i stajnią niezmiennie stał na dnie dolinki.

Zaparkował na trawie obok porsche 911 i wysiadł. Kobieta wyszła na próg z kubkiem w dłoni, w dzinsach, bluzie z kapturem i tenisówkach. Servaz jej się przyjrzał. Ścięta włosy bardzo krótko i była nieumalowana, co przy jej stu siedemdziesięciu centymetrach wzrostu i wąskich biodrach - mimo widocznej ciąży i coraz okrągłego brzucha - nadawało jej sylwetce androginicznego wyglądu chłopczycy. Promieniała wewnętrznym pięknem i pewnością siebie.

- Kawy? - rzuciła Christine w jego stronę.

Uśmiechnął się, podszedł bliżej i wszedł za nią do domu. Léo i Thomas bawili się w basenie. Zobaczył ich przez przeszkloną ścianę. Pogodny śmiech chłopca i plusk wody, którą ochlapwał go ojciec, słychać było aż w salonie.

- Mam to, o co pani prosiła - powiedział.

Stała do niego tyłem, naprzeciw ekspresu do kawy. Zobaczył, że sztywnieje. Zanim odwróciła się w jego stronę, przez chwilę się wahała.

- Miała pani rację - dodał, przesuwając teczkę po ladzie w jej kierunku.

Nagle przypomniał sobie ten kwietniowy dzień, kiedy nieoczekiwanie się pojawiła. To ona do niego zadzwoniła. „Wróciłam” - powiedziała po prostu. Spotkali się w kafejce w centrum. Zapytał ją, gdzie była przez cały ten czas. Odpowiedziała mu, że uciekła, że musiała to wszystko zostawić, pobyć sama i że dużo podróżowała. Oczywiście nie był naiwny. Ale to nie miało znaczenia. Samobójstwo. Sprawa umorzona.

- Zastanawiam się, co by było, gdyby porównać głos osoby, która zatelefonowała tamtej nocy z głosem Mili Bolsanski... czy okazałoby się, że to ten sam głos - zagadnął, patrząc na nią w zamyśleniu.

Ta uwaga najwyraźniej nie zbiła jej z tropu.

- Sądzi pan, że to morderstwo?

Pokręcił głową.

- Medyk sądowy nie ma wątpliwości, że sama przecięła sobie żyły. Nie wyklucza to jednak możliwości, że ktoś, kto nie chciał się ujawniać, znalazł ją w tym stanie i podszywając się pod nią, wezwał policję. Chodziło o dziecko. Bez tego telefonu Bóg jeden raczy wiedzieć, co by się z nim stało. To musiała być kobieta.

Przyglądał jej się przez chwilę. Ale Christine nauczyła się ukrywać emocje.

Pchnął teczkę jeszcze kilka centymetrów w jej kierunku.

- Przed kremacją odbyła się sekcja zwłok pani siostry - oświadczył. - Miała pani rację. Była w ciąży. Tak naprawdę nikt nie próbował się dowiedzieć, kto był ojcem. Nawet jeśli miało to związek z jej samobójstwem, nie prowadzono śledztwa kryminalnego w tej sprawie. Poza tym analizy DNA w tamtych czasach należały do rzadkości. Płód został skremowany razem z matką.

- Wiadomo, kto wnioskował o kremację?

- Tak.

Wyjął z teczki jedną kartkę.

- To jest w aktach.

Zgoda na kremację. Przeczytała:

*Biorąc pod uwagę prośbę osoby upoważnionej do organizacji pochówku, zgodnie z decyzją Prokuratora Sądu Okręgowego w Tuluzie, wyrażam zgodę na przeprowadzenie kremacji denatki.*

Dwukrotnie przeczytała nazwiska podpisanych osób: swojego ojca i lekarza rodzinnego, którego zaatakowała, gdy miała dwanaście lat.

- Dziękuję.

Podsunął jej inny dokument.

- To nie wszystko. Jest coś jeszcze - powiedział. - W związku z tym, co wydarzyło się u Mili Bolsanski. Proszę... Niech pani przeczyta i pozbędzie się tego. To nie jest kopia.

- Co to jest?

- Proszę przeczytać.

Pochyliła się i Servaz zobaczył, że kobieta jeszcze bardziej się usztywniła. A potem spojrzała na niego oszołomiona.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie wiem, co to znaczy. A poza tym, tak czy owak, śledztwo jest zakończone.

Wpatrywała się w niego.

- Dziękuję - powiedziała po raz drugi.

Wzruszył ramionami i odwrócił się, zamierzając wyjść. Dokument, który trzymała w ręku, był fragmentem policyjnego raportu. Informował, że w dole wykopanym za domem Mili Bolsanski znaleziono ślady DNA dwóch osób: Marcusa oraz Christine Steinmeyer...

Już był przy drzwiach, ale zawrócił.

- A pani pies? - zapytał. - Co pani z nim zrobiła?

Uśmiechnęła się.

- Pochowaliśmy go z Léo tam, gdzie pan mówił. Miał pan rację. To bardzo piękne miejsce.

\*

Jechał obwodnicą, na której zapowiadano korki, choć tam, gdzie akurat się znajdował, ruch był płynny. Nagle z zapartym tchem zatrzymał się na pasie awaryjnym. Nie słyszał wściekłego trąbienia za swoimi plecami. Nie widział poirytowanych twarzy. Z otwartymi ustami i walącym sercem wpatrywał się w pas i murek za przednią szybą.

Dwa DNA...

Czy to możliwe? Patrzył przed siebie błędnym wzrokiem i widział, jak ona spogląda na niego i uśmiecha się. Patrzył i widział ją.

Miał wrażenie, jakby nagle zaczął przewijać film do tyłu. Czy to możliwe? Na Boga, tak, to było możliwe!

Nigdy w życiu się nie modlił.

Ale teraz to zrobił.

Pomodlił się, gwałtownie wcisnął pedał gazu i z całym pędem ruszył obwodnicą. Modlił się pośród koncertu klaksonów i przekleństw, będących reakcją na jego nagłe przyspieszenie i jazdę zygzakiem w stronę absolutnie szalonej nadziei.

\*

Zaparkował na dziedzińcu komendy policji i jak szalony popędził do stojącego nieco na uboczu budynku laboratorium kryminalistycznego. Wszedł do środka w takim tempie, jakby zależało od tego jego życie, odepchnął zdezorientowanego strażnika i skierował się do sekcji analiz biologicznych.

Kierowniczką sekcji, inżynier Catherine Larchet, była na miejscu. To ją kilka miesięcy wcześniej poprosił o pilne zbadanie DNA serca Marianne. Wykonała je w rekordowym

tempie dwunastu godzin, gdyż domyśliła się, jak bardzo mu na tym zależy. Widziała, jak się załamał, jak wyrócił biurko, jak wył z bólu, gdy przekazała mu straszną wiadomość.

- Martin? - zdziwiła się, gdy zobaczyła, jak Servaz biegnie wprost na nią z impetem napastnika rugby mknącego do bramki.

- DNA... - zaczął, łapiąc oddech.

Zrozumiała, jakie DNA ma na myśli, i zamilkła. Znała jego historię, słyszała o jego pobycie w ośrodku i depresji.

- Martin...

Pokręcił głową.

- Spokojnie, dobrze się czuję. DNA - powtórzył - skąd wzięłaś próbkę?

- Co?

- Jakie DNA pobrałaś do analizy?

Nachmurzyła się.

- Podważasz moje kompetencje?

Zamachał rękami, po czym schylił się głęboko, jakby witał się po japońsku.

- Catherine, jesteś najbardziej kompetentną osobą, jaką znam! Po prostu muszę to wiedzieć. Robiłaś badanie na pokrewieństwo, tak? Przodek/potomek?

- Tak. Chciałaś, żebym porównała jej DNA z DNA jej syna Hugona. To była krew Marianne, Martin. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. DNA mitochondrialny przekazywany jest w niezmienionej formie z matki na dziecko. Wszyscy ludzie dziedziczą DNA mitochondrialny wyłącznie od matki.

Oczami wyobraźni Servaz zobaczył izotermiczne pudełko z sercem Marianne zatopionym w skrzepłej już krwi - piekielny prezent Szwajcara dla jego ukochanego gliny.

- Powiedziałaś: krew?

- Tak, krew. Krew, oczywiście. Krew i sperma zawierają najwięcej DNA. W najmniejszej kropli jest osiemdziesiąt tysięcy białych krwinek, a każda z nich zawiera w jądrze pełen komplet DNA. Poza tym przypominam ci, że bardzo ci się śpieszyło i chciałaś mieć wyniki najszybciej jak się da. Pobraliśmy więc krew sercową do strzykawki. To był najlepszy sposób, by szybko uzyskać wyniki, nie było żadnego powodu, żeby postąpić inaczej.

Miał wrażenie, że jego serce zaraz wyfrunie z piersi.

- I niczego więcej nie sprawdzaliście?

Kobieta znowu poczerwieniała. Rzuciła mu pytające spojrzenie.

- A po co? Wynik był pozytywny.

- Macie jeszcze to serce?

- Oczywiście, to dowód w trwającym śledztwie. Przechowują je w Instytucie Medycyny Sądowej. Słuchaj, Martin, powinienesś...

Instytut Medycyny Sądowej znajdował się w obrębie Kliniki Akademii Medycznej w Rangueil, na południu Tuluzy. Servaz spojrział na Catherine.

- Mogłabyś zrobić jeszcze jedną analizę? - przerwał jej. - Tym razem na podstawie komórek samego serca?

Spojrziała na niego badawczo.

- Mówisz poważnie? - Zobaczył, że kobieta się zastanawia. - Chyba nie myślisz, że... A niech to szlag! To byłby pierwszy taki przypadek. Jeśli okaże się to prawdą, sprawa znajdzie się na pierwszych stronach czasopism medyczno-prawniczych! - Rzuciła się w stronę biurka i patrząc na niego, chwyciła za telefon. - Już do nich dzwonię.

\*

Denise uśmiechała się, siedząc w półcieniu balkonu. Na dole sopranistka Natalie Dessay zęgnęła się ze sceną operową. Na tej samej scenie Théâtre du Capitole w Tuluzie, na której zadebiutowała ćwierć wieku wcześniej. Tego - ostatniego - wieczoru była Manon Masseneta.

Denise położyła dłoń na brzuchu. Piąty miesiąc... Miesiąc podróży. Nazajutrz wylatują do Tajlandii. Coś w rodzaju miodowego miesiąca, choć się nie pobrali. Spojrzała na siedzącego obok Géralda. W ostatecznym rozrachunku udało jej się go zdobyć. Miała go teraz tylko dla siebie. Pragnęła go od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła. A kiedy ona czegoś chce...

Patrzyła na niego: był poważny, pochłonięty, szkła jego okularów odbijały światła sceny. W końcu zaczęła się zastanawiać, czy sprawa rzeczywiście była warta aż tak wielkiego zachodu. Czy trochę go nie przeceniła. Dopóki Christine o niego walczyła, Denise zrobiłaby wszystko, by go jej wydrzeć, by wygrać tę wojnę. Ale teraz, gdy osiągnęła to, czego chciała, gdy wojna się skończyła, gdy nie musiała już walczyć o Géralda, wcale nie była tego taka pewna. Gérald będzie dobrym ojcem, dobrym mężem - o tak, nie ma wątpliwości. Ale nie tworzyli takiej pary, jaką sobie wymarzyła. Przede wszystkim w łóżku był trochę zbyt spokojny. Nie to co „mały” Yannis, stażysta. Czarnowłosa jak orientalny książę, z długimi rękami, powalającą figurą, wybielanymi zębami i uśmiechem pirata. Była przekonana, że w łóżku zachowywałby się jak połączenie Spidermana i Jacka Sparrowa. Kobiety wyczuwają takie rzeczy.

Ale nosi w łonie dziecko Géralda. I kocha go. Tak, oczywiście, że go kocha. Nie zrobiła



przecież tego wszystkiego bez powodu. Tylko że teraz zobaczyła, jak Yannis na nią patrzy. I jak zabiega o to, by jak najczęściej być z nią sam na sam, a wtedy obsypuje ją komplementami, które sprawiają, że Denise się czerwieni. A przecież ona czerwieni się rzadko. Próbowwała się skupić na operze, ale bezskutecznie. Bez przerwy myślała o młodym Yannisie - o jego ciele, porozdzieranych dżinsach, opalonych, wytatuowanych ramionach. Tak, będzie matką, spodziewa się dziecka Géralda. Ma, czego chciała, prawda?

A jeśli chodzi o resztę, to się okaże. Gdy nadejdzie czas. Jutro zaczynają się wakacje w Tajlandii, cały miesiąc, a jej już się śpieszy, by być z powrotem.

\*

Cordélia podała paszport i bilet pracownicy obsługi, która przepuściła ją jako pasażerkę z pierwszeństwem do odprawy i uśmiechnęła się na widok Antona śpiącego na jej plecach w wyściełanym nosidełku mei-tai. Weszła na zamkniętą kładkę, ciągnąc za sobą czerwoną walizeczkę na kółkach, zignorowała stewarda witającego ich z szerokim uśmiechem w drzwiach samolotu i ruszyła w stronę swojego miejsca numer 29 D w środku kabiny od strony przejścia. Blisko wyjść bezpieczeństwa i toalet. Cierpiała na klaustrofobię. Nie chciała wciskać się ze swoim dużym ciałem i dzieckiem na kolanach między dwie osoby albo pod okno, i siedzieć w odległości kilku centymetrów od poręczy następnego fotela.

Była zdenerwowana.

Jak zawsze, gdy latała samolotem. Co w ciągu jej dziewiętnastoletniego życia zdarzyło się zaledwie trzy razy. Za niespełna piętnaście minut zostawi Moskwę za sobą. Ci, którzy powitali ich po wyjściu z samolotu - i którzy stali za zniknięciem Marcusa - pozwolili jej wybrać miejsce najbliższego pobytu. Zapłacili za bilet dla niej i jej dziecka. A także za nowe bagaże. Dostarczyli jej wszystkie niezbędne dokumenty. Pod jednym warunkiem: musi wyjechać daleko, bardzo daleko. Wiedziała, że ojciec Antona nie żyje. Choć przygotował ją na tę ewentualność, choć powtarzał, że mężczyźni jego pokroju nie dożywają sędziwego wieku, perspektywa bycia dwudziestoletnią samotną matką w obcym kraju z oszczędnościami w wysokości zaledwie piętnastu tysięcy euro mogłaby podciąć jej skrzydła.

Ale ona była twarda i nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Podczas pobytu w Moskwie pozbyła się piercingów i wydała jedną czwartą sumy dwudziestu tysięcy euro schowanej w walizce na laserowe usunięcie zbyt widocznych tatuaży - tylko tych czarnych, ponieważ kolorowe okazały się nieusuwalne - i zakup prostych, ale eleganckich ubrań (w tym szarego kostiumu, który właśnie miała na sobie) w centrum handlowym Cwietnoj niedaleko Cyrku Nikulina. Zrobiła sobie fryzurę i makijaż na miarę pasażerów business class i klientów luksusowych hoteli, których gusta kształtują czasopisma drukowane na kredowym papierze.

Oczywiście wolałaby siedzieć w klasie biznes, na wypadek gdyby pojawił się jakiś tłuściutki gołąbek: tutaj, w klasie ekonomicznej, nie znajdzie bogatej partii. Udała się jednak do ambasady swojego kraju przeznaczenia, zaopatrzyła w informacje na jego temat i zaczęła je studiować jeszcze przed odlotem - listy firm oferujących zamożnej klienteli niańki, sprzątaczkę, opiekunki do dzieci. Wiozła z sobą sfabrykowane CV i referencje. Nie, żeby zamierzała przez dłuższy czas sprzątać czy zajmować się cudzymi smarkaczami. Ale była to brama prowadząca do bardziej radosnej przyszłości. Wystarczyłby jeden lub dwa gołąbki... Kiedy poczuła w lędźwiach odrzut silników, odchyliła głowę na oparcie. Życie jej nie oszczędzało, dlaczego więc ona miałaby oszczędzać życie innych?

\*

Guy Steinmeyer uśmiechał się, wysiadając ze swojej ekologicznej sportowej limuzyny Fisker Karma za ponad sto tysięcy euro. Tego dnia, gdy spacerował ulicami Tuluzy, trzy osoby rozpoznały go i poprosiły o autograf. Nazwały go „monsieur Dorian”. Sam nie wiedział, czy rozpoznałby własne nazwisko, gdyby ktoś zwrócił się do niego per Steinmeyer. Od tak dawna był Guy Dorianem. Czyż nie pod tym pseudonimem zostanie zapamiętany na zawsze jako jeden z pionierów francuskiego radia i telewizji? Ich złotego wieku? Czyż to nie pod nim będzie się pojawiał w encyklopediach, historiach telewizji, retrospektywach?

Z daleka pozdrowił sąsiadkę, która przycinała trawnik na traktorku, i otworzył okrągłą skrzynkę na listy na nóżce w amerykańskim stylu, stojącą w odległości dziesięciu metrów od ich pięknego domu, który sąsiadował z tuluskim klubem golfowym: w pobliżu posiadłości znajdował się dziewiąty dołek. Wyjął korespondencję. Wzrok mężczyzny od razu przyciągnęła brązowa koperta zaadresowana na jego nazwisko, bez znaczka i adresu. Rozłożył znajdującą się w środku kartkę. Litery wycięte z gazety i naklejone na papier układały się w słowa:

*Popelnisz samobójstwo... Jeszcze o tym nie wiesz, ale zrobisz to.*

List nie był podpisany.

\*

Przyszła osobiście poinformować go o wyniku. Nie zadzwoniła, pofatygowała się do jego gabinetu. Ale Servaza tam nie było. Catherine Larchet, szefowa sekcji analiz biologicznych, szukała go wszędzie i wreszcie znalazła w biurze Espérandieu. Pochylony ponad ramieniem zastępcy wpatrywał się w monitor komputera. Szturchnęła go lekko. Odwrócił się, i zanim zdążyła się odezwać, zrozumiał.

To nie jej. To nie ona.

Servaz szeroko otworzył usta. Miał rację.

- Miałeś rację - potwierdziła. - To była jej krew, ale serce należało do innej kobiety. Jest nawet maleńki otwór, do którego wstrzyknął krew Marianne.

Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, oszołomiony, nie wiedząc, co zrobić, co powiedzieć, jak zareagować. Coś wzbierało w jego piersi. Nie radość, nawet nie ulga. Może nadzieja... Maleńka, ale prawdziwa nadzieja.

Co za nikczemny łajdak z tego Hirtmanna.

Przebiegł obok niej jak huragan i ruszył w kierunku wind, przeciął hol i wyszedł wprost w gorący, mleczny blask letniego dnia. Musiał pobyć sam. Szedł brzegiem kanału pod zakurzonymi koronami drzew. Instynktownie sięgnął ręką do kieszeni. Trafił na paczkę papierosów. Wyjął z niej jednego, wetknął do ust i tym razem zapalił.

Trucizna powoli i rozkosznie spływała mu do płuc. Nadzieja - był tego świadom - jest równie śmiertelną trucizną.

Pomyślał o człowieku, który wysłał mu ten prezent - eksprokuratorze z Genewy, byłym pacjencie Instytutu Wargniera. „Nie ujawnia się, ale gdzieś jest, być może tysiące kilometrów stąd, a może całkiem niedaleko, jedno wszakże jest pewne, Martin, on ciągle o tobie myśli. Doskonale się kamufluje, nie wie, co to litość, ale na swój sposób wie, co to miłość. I kocha cię. W przeciwnym razie naprawdę wysłałby ci jej serce. Ten prezent, ten dar - to zaproszenie”.

Szedł, nie widząc, co się wokół niego dzieje, po jego twarzy na przemian ślizgały się promienie słońca i cienie, miał spocone czoło i zaschło mu w ustach, a jego głowa płonęła.

„Jest jak niechciany syn, jak starszy brat, jak Kain. Robi potworne rzeczy i ma Marianne... Bo ona żyje. Wiesz, że żyje. Któregoś dnia wstaniesz rano i w skrzynce na listy znajdziesz kolejny znak. On nie zostawi cię w spokoju. A ona na ciebie czeka. Ma tylko ciebie. Wśród siedmiu miliardów ludzi jest tylko jeden człowiek, który może ją uwolnić”.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek roweru. Ocknął się, obrócił wokół własnej osi, ze wzruszeniem spoglądając na światło prześwitujące pomiędzy liśćmi, i o mało nie przewrócił rowerzysty, który ominął go w ostatniej chwili. Poczł fale gorąca i usłyszał warkot silników na bulwarze. Jego twarz wykrzywiła się w niemym śmiechu. Jego oczy lśniły. Kolejny cud życia.

Marianne...

## PODZIĘKOWANIA I GŁÓWNE ŹRÓDŁA

Dziękuję Christophowi Guillaumotowi, Yves'owi Le Hirowi, José Marietowi i Pascalowi Pasamontiemu z Regionalnego Wydziału Policji Kryminalnej w Tuluzie, a także mojemu sparringpartnerowi, André Adobes'owi, którzy nigdy nie skąpili mi swojego czasu. Żaden z nich nie ponosi odpowiedzialności za moje błędy ani moje opinie.

Pragnąc nadać tej fikcji pewien rys realności, znalazłem cenną pomoc w następujących książkach: Marie-France Hirigoyen *Femmes sous emprise* i *Molestowanie moralne. Perwersyjna przemoc w życiu codziennym*; Isabelle Nazare-Aga *Les manipulateurs sont parmi nous*; Jean-Paul Guedj *La perversité à l'œuvre. Le harcèlement moral dans l'entreprise et le couple*; Claudie André-Deshays i Yolaine de La Bigne *Une Française dans l'espace*; Jean- Pierre Haigneré i Simon Allix *Carnet de bord d'un cosmonaute*; Arlène Ammar-Israël i Jean-Louis Fellous *L'Exploration spatiale*; Bettyan Holtzmann Kevles *Almost Heaven, the Story of Women in Space*; Christine Détrez i Anne Simon *À leur corps défendant. Les femmes à l'épreuve du nouvel ordre moral*; Fernand Cousteaux i Michel Valdiguié *Toulouse hier, aujourd'hui, demain*; Catherine Clément *L'opéra ou la défaite des femmes*; Gustave Kobbé *Tout l'opéra, de Monteverdi à nos jours*; Henry Barraud *Cinq grands opéras*; Alain Duault *Dictionnaire amoureux de l'opéra*; *Russian Criminal Tattoo Encyclopaedia*.

Caroline Sers, Gwenaëlle Le Goff i Christelle Guillaumot pomogły mi dopracować tekst.

Serdecznie dziękuję zespołom XO Éditions i Pocket za ich ogromną pracę, zwłaszcza Bernardowi, Caroline i Edith - pierwszym czytelnikom.

Wszystkie błędy powstały z mojej winy. Bohaterowie książki są wyłącznie dziełem mojej wyobraźni. Znani mi prezenterzy radiowi i telewizyjni w niczym nie przypominają przedstawionych tutaj; Europejska Agencja Kosmiczna ani CNES, o ile mi wiadomo, nigdy nie starały się zatuszować żadnej afery. Jeśli chodzi o gusta muzyczne Servaza, po raz kolejny jestem dłużnikiem Jeana-Pierre'a Schamberra za to, że poprowadził mnie po tych usłanych cierniami ścieżkach, którymi przechadza się częściej niż ja; w tym miejscu należy też wspomnieć o wkładzie znamienitego Georges'a Haessiga w utrwaleniu na bębnach wykonania samego Mahlera.

Na koniec pragnę uściślić, że zamków w Grand Hôtel de l'Opera nie da się otworzyć tak łatwo, jak napisałem w tej książce. Nie zmienia to jednak faktu, że miliony elektronicznych zamków w hotelach całego świata w bardzo niewielkim stopniu chronią

przed w miarę doświadczonym i odpowiednio wyposażonym włamywaczem.

I wreszcie kieruję wyrazy wdzięczności do mojej rodziny, przyjaciół i wszystkich tych - oni będą wiedzieli, że o nich chodzi - którzy przyczynili się do tego, że mam czytelników. A także - *last but not least* - do samych czytelników.